DZIEŁA

IGNACEGO KRASICKIEGO.

(Wydanie najkompletniejsze ze wszystkich dotychczasowych.)

TOM I.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA,
Nowy-Świat, Nr. 39.

BIBLIOTEKA

NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW

LITERATURY EUROPEJSKIÉJ.

LITERATURA POLSKA.

WARSZAWA.

NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.

(Pod kierunkiem Redakcyi „Kłosów".)

1878.

DZIEŁA

IGNACEGO KRASICKIEGO.

TOM I.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.
Nowy Świat, Nr. 39.
1878.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 27 Января 1878 года.



IGNACY KRASICKI.

Ignacy Krasicki, książę biskup Warmiński, arcybiskup Gnieźnieński, najznakomitszy pisarz epoki Stanisławowskiej, syn Jana, kasztelana Chełmskiego, urodził się dnia 11 Lutego 1735 r. w Dubiecku, a po ukończeniu szkół jezuickich we Lwowie, wstąpił do stanu duchownego. Wyższe nauki pobierał w Rzymie, zkąd wróciwszy do kraju pod koniec panowania Augusta III, został kanonikiem kijowskim, następnie przemyślskim i koadjutorem biskupa Załuskiego; rozległemi przytem wiadomościami i wytwornym dowcipem zajął od razu świetne stanowisko w ówczesnem towarzystwie wyższem i dworskiem. Przyjaźń, zawiązana w tym czasie z młodym stolnikiem litewskim, późniejszym królem Stanisławem Augustem, nie ustała po tegoż wstąpieniu na tron i przetrwała do jego śmierci. Pierwsze swoje prace literackie zaczął Krasicki ogłaszać w 1766 r. w ówczesnem piśmie peryodycznem, p. t.: *Monitor*, a były już między niemi „Satyry“ i „Bajki“. W tymże roku mianowany został biskupem warmińskim, stale jednak do r. 1772 zamieszkał w Warszawie, to jest do czasu, kiedy po pierwszym rozbiorze kraju większa część dyecezyi warmińskiej przeszła pod panowanie pruskie. Wtedy bowiem osiadł w Heilsbergu, gdzie niemal wyłącznie oddawał się pracy piśmienniczej. Z tej epoki datuje jego „Monachomachia“, napisana w Sans-Souci, pałacu Fryderyka II, który wiele okazywał mu życzliwości, krwawa satyra na ówczesny stan zgromadzeń zakonnych, — dalej „Myszeis“, — „Przypadki Doświadczyńskiego“, — „Pan Podstoli“, — „Historya, na dwie księgi podzielona“, — „Satyry“ — „Wojna Chocimska“, — „Antimonachomachia“ i inne pisma pomniejsze, między któremi przekłady z Plutarcha, Lucyana i innych, które wszystkie począwszy od roku 1775 do 1793, wyszły nakładem Grölla w Warszawie. Pierwszem kompletnem wydaniem zebranych dzieł Krasickiego, w 10-ciu tomach, zajął się Fr. Dmochowski (Warszawa, 1803—1809); dopełnienia w 8-u tomach, obejmujące „Zbiór potrzebnych wiadomości“, — „Kazania“ — i trzy „Komedye“, wyszły od 1829—1832 r. w Warszawie, nakładem N. Glücksberga. Kilka razy jeszcze, a najprzód w 1782 roku, gościł Krasicki w Warszawie;

później zaś, kiedy mianowany arcybiskupem Gnieźnieńskim, zmuszony był ulubiony Heilsberg porzucić, i do nowéj przenieść się rezydencyi, ztąd często do dawnéj stolicy kraju zaglądał. Umarł w dniu 14 Marca 1801 roku w Berlinie, dokąd udał się był dla niektórych spraw dyecezyi; w 1829 roku zwłoki jego przeniesiono do Gniezna.

Mało który i w którymkolwiek narodzie pisarz poszczycić się może tak rozległym i trwałym na swoją społeczność i literaturę wpływem, jak X. Ignacy Krasicki, któremu już współcześni nadali przydomek „księcia poetów polskich“. Potomność przydomek ten zatwierdziła. Świętość stanu duchownego chroniła go od zbytniego naśladownictwa lekkości encyklopedystów francuzkich, do których pod wieloma zapewne względami nie brakło mu skłonności i podobieństwa; niemniéj przeto walczył on dzielnie w szeregach postępu, przeciw zabobonom, przesądom i uprzedzeniu, a siła jego oręża, głównie satyry i ironii, była tak wielką, że ogromną większość pociągnęła za sobą. Pomimo licznych wydań dzieł Krasickiego (w Warszawie, Paryżu, Lipsku i t. d.), wszystkie dziś już są wyczerpane, tak iż zupełne ich zamieszczenie w *Bibliotece najcelniejszych utworów literatury europejskiéj*, powiększonych jeszcze niektóremi pracami w poprzednich edycyach nie objętemi, bezwątpienia chętnie przyjętém będzie przez ogół. Wypuściliśmy tylko z niniejszego wydania wspomniony powyżéj „Zbiór potrzebniejszych wiadomości, porządkiem alfabetu ułożonych“, czyli po prostu „Encyklopedyę“, która w swoim czasie zapewne nie była pozbawioną wartości, ale któréj powtórzenie w porze obecnéj powiększyłoby tylko zbytecznie rozmiar całości, a z powodu ogromnych od téj pory postępów we wszystkich gałęziach nauki, nie miałoby już w ogóle racyi bytu.

DZIEŁA

JGNACEGO KRASICKIEGO.

BAJKI I PRZYPOWIEŚCI.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Suspicione si quis errabit sua.
Et rapiet ad se, quod erit commune omnium:
Stulte nudabit animi conscientiam.
Phaedr. ad Eutich. lib. III.

DO DZIECI.

O wy, co wszystkie porzuciwszy względy,
Za cackiem bieżyć gotowi z zapędy,
Za cackiem, które zbyt wysoko leci,
Bajki wam niosę, posłuchajcie dzieci.

Wy, których tylko niestatek żywiołem,
Co się o fraszki uganiacie wspołem,
O fraszki, których zysk maże i szpeci,
Bajki wam niosę, posłuchajcie dzieci.

Wy, którzy marne przybrawszy postaci,
Baśniami łudzić umiecie współbraci,
Baśniami, które umysł płochy kleci,
Bajki wam niosę, posłuchajcie dzieci.

WSTĘP DO BAJEK.

Był młody, który życie wstrzemięźliwie pędził;
Był stary, który nigdy nie łajał, nie zrzędził;
Był bogacz, który zbiorów potrzebnym udzielał;
Był autor, co się z cudzéj sławy rozweselał;
Był celnik, który nie kradł; szewc, który nie pijał;
Żołnierz, co się nie chwalił; łotr, co nie rozbijał;
Był minister rzetelny, o sobie nie myślał;
Był nakoniec poeta, co nigdy nie zmyślał.
A cóżto jest za bajka? wszystko to być może,
Prawda; jednakże ja to między bajki włożę.

Abuzei i Tair.

— Winszuj, ojcze, rzekł Tair, w dobrym jestem stanie,
Jutrom szwagier sułtana, i na polowanie
Z nim wyjeżdżam.— Rzekł ojciec: —Wszystko to odmienne,
Łaska pańska, gust kobiet, pogody jesienne. —
Jakoż zgadł; piękny projekt wcale się nadał;
Sułtan siostrę odmówił, cały dzień deszcz padał.

Potok i Rzeka.

Potok z wierzchołka góry płynący z hałasem,
Śmiał się z rzeki: spokojnie płynęła tymczasem.
Nie stało wód u góry, gdy śniegi stopniały,
Aż z owego potoku strumyk tylko mały,
Co gorsza: ten, co zaczął z hałasem i krzykiem,
Wpadł w rzekę, i nakoniec przestał być strumykiem.

Papuga i Wiewiórka.

Młoda jedna papuga, piękna, okazała,
Lepiéj jeszcze od pani swojéj szczebiotała.
Ztąd plotki; bo co tylko zdrożnego postrzegła,
Zaraz z nową powieścią do jéjmości biegła.
Była tam i wiewiórka wychowana z ptaszki,
Ta tylko pilnowała skoków i igraszki.
Żyły w zgodzie, co rzadko, zwłaszcza przez czas długi,
Pani ptaka kochała, a wiewiórkę sługi.

Widząc, że jéj nie lubią, raz papuga rzekła:
Radabym téj niechęci przyczyny dociekła.
Rzecze na to wiewiórka: — Przyczyny nie badaj,
Tak rób, jak ja: baw panią, a niewiele gadaj.

Lis młody i stary.

Młody lis, nieświadomy myśliwych rzemiosła,
Cieszył się, że sierć nowa na zimę odrosła.
Rzekł stary: — Bezpieczeństwo tych ozdób nie lubi;
Nie masz się z czego cieszyć, ta nas piękność gubi.

Kulawy i Ślepy.

Niósł ślepy kulawego, dobrze im się działo.
Ale że to ślepemu nieznośno się zdało,
Iż musiał zawsze słuchać, co kulawy prawi;
Wziął kij w rękę: — Ten, rzecze, z szwanka nas wybawi. —
Idą; a wtém kulawy krzyknie: — Umknij w lewą! —
Ślepy wprost, i choć z kijem, uderzył łbem w drzewo.
Idą daléj. Kulawy przestrzega od wody;
Ślepy w bród; sakwy zmaczał, nie wyszli bez szkody.
Nakoniec przestrzeżony, gdy nie mijał dołu,
I ślepy i kulawy zginęli pospołu.
I ten winien, co kijem bezpieczeństwo mierzył,
I ten, co bezpieczeństwo głupiemu powierzył.

Orzeł i Jastrząb'.

Orzeł, nie chcąc się podłém polowaniem bawić,
Postanowił jastrzębia na wróble wyprawić.
Przynosił jastrząb' wróble, jadł je orzeł smacznie;
Zaprawiony nakoniec przysmaczkiem nieznacznie,
Kiedy go coraz żywszy apetyt przenika;
Zjadł ptaszka na śniadanie, na obiad ptasznika.

Ojciec łakomy, Syn rozrzutny.

Zawżdy się zbytek kończy doświadczeniem smutném.
Płakał ojciec łakomy nad synem rozrzutnym.
Umarli obaj z głodu, każdy z nich zasłużył,
Syn, że nadto używał, ojciec, że nie użył.

Szczur i Kot.

— Mnie to kadzą — rzekł hardzie do swego rodzeństwa,
Siedząc szczur na ołtarzu podczas nabożeństwa.

Wtém, gdy się dymem kadzideł zbytecznych zakrztusił,
Wpadł kot z boku na niego, porwał i udusił.

Ocean i Tagus rzeka.

Ocean niezmiernością swoją zbyt zuchwały,
Gardzić począł rzekami, które weń wpływały.
— Przestańcie, mówił do nich, dodawać mi wody. —
Rzekł Tagus: Daj nam pokój: dla twojéj wygody,
Dla twojéj wspaniałości, żyzną ziemię porzem.
Gdybym ja nie był rzeką, nie byłbyś ty morzem.

Źrebiec i Koń stary.

Gdy starszych przybierano w pozłacane rzędy,
Gniewał się młody źrebiec na takowe względy.
Przyszła koléj na niego; z początku był hardy,
Aż kiedy w pysku poczuł munsztuk nader twardy,
Gdy jeźdzca przyszło dźwigać, znosić rzemień tęgi,
Gdy go ściskać poczęły dychtowne popręgi,
W płacz nieborak; a stary: — Na co ten płacz zda się?
Chciałeś, cierpże. — Żal próżny, kiedy po niewczasie.

Dwa Żółwie.

Nie żałując sił własnych i ciężkiéj fatygi,
Dwa żółwie pod zakładem poszły na wyścigi.
Nim połowę do mety drogi ubieżeli.
Spektatorowie poszli, sędziowie zasnęli.
Więc rzekła im jaskółka: — Lepiéj się pogodzić;
Pierwéj, niżeli biegać, nauczcie się chodzić.

Pszczoła i Szerszeń.

— Idź precz od nas, próżniaku, niegodzien żywienia! —
Mówiła, żądłem grożąc, pszczoła do szerszenia.
— Prawdę mówisz, rzekł szerszeń, i mnie to obchodzi;
Ale, żeś pracowitsza, czyż się łajać godzi?
Jestem w nędzy, lepiéj się nademną użalić,
Niżeli żądłem straszyć i saméj się chwalić.

Baran dany na ofiarę.

Widząc, że wieńce kładą, że mu rogi złocą,
Pysznił się tłusty baran, sam nie wiedział o co.
Aż gdy postrzegł oprawcę, a ten powróz bierze,
Aby go poniewolnie ciągnął ku ofierze,

Poznał swój błąd; rad nierad wypełnił los srogi;
Nie pomogły mu wieńce i złocone rogi.

Doktór.

Doktór, widząc, iż mu się lekarstwo udało,
Chciał go często powtarzać; cóż się z chorym stało?
Za drugim, trzecim razem, bardzo go osłabił,
Za czwartym jeszcze bardziéj, a za piątym zabił.

Strzelec i Pies.

Uciekł wyżeł od strzelca, błąkał się dni kilka,
Nakoniec znalazł pana, i przystał do wilka.
Gonił sarny, zające, do kaczek się skradał;
Ale, co tylko zdobył, wszystko to pan zjadał.
— Zła to służba, rzekł zatém, gdzie korzyść nie czeka.
Bił pan dawny, lecz karmił; wróćmy się do człeka. —

Bryła lodu i Kryształ.

Bryła lodu, spłodzona z kałuży bagnistéj,
Gniewała się na kryształ, że był przezroczysty.
Modli się więc do słońca. Słońce zajaśniało,
Śklni się bryła, ale jéj coraz ubywało;
I tak, chcąc los polepszyć niewczesnym kłopotem,
Stajała, wsiąkła w bagno, i stała się błotem.

Stary pies i stary Sługa.

Póki gonił zające, póki kaczki znosił,
Kasztan, co chciał, u pana swojego wyprosił.
Zstarzał się; aż z owego pańskiego pieścidła,
Psisko stare, niezdatne, oddano do bydła.
Widząc, że pies nieborak oblizuje kości,
Żywił go stary szafarz, niegdyś podstarości.

Syn i Ojciec.

Każdy wiek ma goryczy, ma swoje przywary:
Syn się męczył nad książką, stękał ojciec stary.
Ten nie miał odpoczynku, a tamten swobody;
Płakał ojciec, że stary; płakał syn, że młody.

Osioł i Baran.

Klął osioł los okrutny, że marznął na mrozie.
Rzekł mu baran, trzymany tamże na powrozie:

— Nie bluźń bogów, w żądaniach płochy i niebaczny!
Widzisz przy mnie rzeźnika; dziękuj, żeś niesmaczny.

Mysz i Kot.

Mysz, dlatego, że niegdyś całą książkę zjadła,
Rozumiała, iż wszystkie rozumy posiadła.
Rzekła więc towarzyszkom: — Nędzę waszą skrócę;
Spuśćcie się tylko na mnie, ja kota nawrócę! —
Posłano więc po kota; kot, zawżdy gotowy,
Nie uchybił minuty, stanął do rozmowy.
Zaczęła mysz egzortę; kot jéj pilnie słuchał,
Wzdychał, płakał!... Ta widząc, iż się udobruchał,
Jeszcze bardziéj wpadała w kaznodziejski zapał,
Wysunęła się z dziury. A wtém ją kot złapał.

Ptaszki w klatce.

— Czegóż płaczesz? staremu mówił czyżyk młody,
Masz teraz lepsze w klatce, niż w polu wygody. —
— Tyś w niéj zrodzon, rzekł stary, przeto ci wybaczę,
Jam był wolny, dziś w klatce, i dlatego płaczę.

Osioł i Wół.

Osioł, podczas upału szukając ochłody,
Postrzegł, iż pasterz bydło prowadził do wody.
Zbudował się z takowéj dobroci człowieka.
A gdy przyczyn postępku tego nie docieka,
Rzekł mu wół: — Cudzy przykład niechaj cię nauczy,
Siebie on, nie nas kocha: żeby zarznął, tuczy.

Dąb i Dynia.

Kiedy czas przyzwoity do dojrzenia nastał,
Pytała dynia dębu, jak też długo wzrastał?
— Sto lat. — Jam w sto dni zeszła taką, jak mnie widzisz —
Rzekła dynia. Dąb na to: — Próżno ze mnie szydzisz;
Pięknáś prawda na pozór, na pozór téż słyniesz,
Jakeś prędko urosła, tak téż prędko zginiesz.

Derwisz i Uczeń.

Pewien derwisz uczony, rano i w południe
Codzień pił świętą wodę z Mahometa studnie.
Postrzegł to uczeń, a chcąc większym być doktorem,
Czerpał z téj studni rano, w południe, wieczorem.

Cóż się stało? gdy mniemał, że już mędrcem został,
I nic się nie nauczył, i puchliny dostał.

Podróżny i Kaleka.

— Nie skarżyłem na ludzi, nie skarżył na losy,
Choć musiałem iść w drogę ubogi i bosy.
Wtém, gdy razu jednego do kościoła wchodzę,
Postrzegłem, leży żebrak bez nogi na drodze.
Nauczył mnie tém bardziéj milczyć ów ubogi;
Lepiéj mnie bez obuwia, niż jemu bez nogi. —

Lew i Zwierzęta.

Lew, ażeby dał dowód, jak wielce łaskawy,
Przypuszczał konfidentów do swojéj zabawy.
Polowali z nim razem, a na znak miłości,
On jadł mięso, kompanom ustępował kości.
Gdy się więc dobroć taka rozgłosiła wszędy,
Chcąc im jawnie pokazać większe jeszcze względy,
Ażeby się na jego łasce nie zawiedli,
Pozwolił, by jednego z pośród siebie zjedli.
Po pierwszym, poszedł drugi, i trzeci i czwarty.
Widząc, że się podpaśli, lew, choć nieobżarty,
Żeby ująć drapieży, a sobie zakału,
Dla kary, dla przykładu, zjadł wszystkich pomału.

Rybka mała i Szczupak.

Widząc w wodzie robaka, rybka jedna mała,
Że go połknąć nie mogła, wielce żałowała.
Nadszedł szczupak, robak się przed nim nie osiedział,
Połknał go, a z nim haczyk, o którym nie wiedział.
Gdy rybak na brzeg ciągnął korzyść okazałą,
Rzekła rybka: — Dobrze to czasem być i małą.

CZĘŚĆ DRUGA.

Jowisz i Owce.

Naprzykrzały się bogom częstemi prośbami
Owce, chcąc wiedzieć, co się stanie z jagniętami.

Rzekł im Jowisz: — Lepiéj to dla was, że nie wiecie.
Ale kiedy koniecznie przyszłość dociec chcecie,
Godna kary ciekawość w uporze zacięta;
I was ludzie wygubią i wasze jagnięta. —
W ścisłym kręgu ciekawość naszę trzeba mieścić:
Wié niebo, co nam taić; wié, co nam obwieścić.

Rolnik.

Gospodarz, we dwójnasób chcąc zyskować z roli,
Dobry grunt raz i drugi uprawiał do woli.
A chcąc nadto zyskować, sam sobie zaszkodził:
Zamiast zboża, zszedł kąkol i chwast się urodził.

Nocni Stróże.

Małe złego początki wzrastają z uporu;
Zawzdy ludzi omamia płochy punkt honoru.
Miasto jedno w ustawnéj zostawało trwodze:
Jędrzej, Piotr, nocni stróże zawzięli się srodze.
Więc rozruch w domach, karczmach, na każdéj ulicy;
Piotra wójt utrzymywał, Jędrzeja ławnicy.
Za mężami szły żony, za starszemi dzieci,
Przeniósł się wreszcie rozruch od mieszczan do kmieci.
Wojna zatém, i o to przez lat kilkanaście:
Piotr krzyczał: gaście ogień! Jędrzej: ogień gaście!

Filozof.

Zaufany filozof w zdaniach przedsięwziętych,
Nie wierzył w Pana Boga, śmiał się z wszystkich Świętych.
Przyszła słabość, aż mędrzec, co firmament mierzył,
Nie tylko w Pana Boga, i w upiory wierzył.

Zwierzęta i Niedźwiedź.

Pod lwem starym ustawną prowadziły wojnę.
Młody, że panowanie obiecał spokojne,
Cieszyły się zwierzęta. Niedźwiedź cicho siedział.
Spytany, czego milczy? wręcz im odpowiedział:
— Zatrzymajmy się jeszcze z tą wieścią radosną,
Aż młodemu lewkowi pazury urosną. —

Strumyk i Fontanny.

Impet wody w fontannach gdy ogromnie huczał,
Strumyk blizko płynący zazdrościł i mruczał.

Pękły rury, co wody hojnie dodawały;
Strumyk płynął, jak pierwéj, fontanny ustały.
Nastąpiła po żalu radość niewymowna;
Poznał, że kunszt naturze nigdy nie wyrówna.

Skarb.

Znalazł skarb człek bogaty, widział to ubogi;
Gdy więc bluźni Opatrzność, skarży się na bogi,
Rzekł mu Jowisz: — Poczekaj, co się daléj stanie! —
Wtém ów bogacz, skończywszy skarbów odkopanie,
Przenosił je do domu; a że dźwigał w nocy,
Wpadł w chorobę z niewczasu, i umarł z niemocy.
— Bierz tę zdobycz, rzekł Jowisz: a nie sądź z pozoru!
Karze czasem Opatrzność, gdy przyczynia zbioru. —

Talar i czerwony złoty.

Talar, zwierzchnią postacią swoją okazały,
Gardził czerwonym złotym, dlatego że mały.
Gdy przyszło do zmieniania, nie patrzano miary:
Złoty pieniądz, choć mały, wart był dwa talary.

Niedźwiedź i Liszka.

Rozumiejąc, że będzie towarzyszów bawił,
Niedźwiedź, według zwyczaju, nic do rzeczy prawił.
Znudzeni temi bajki, gdy wszyscy drzymali,
Gniewał się wilk na liszkę, że niedźwiedzia chwali.
Rzekła liszka: — Mnie idzie o ochronę skóry;
Niezgrabną ma wymowę, lecz ostre pazury.

Pieniacze.

Po dwudziestu dekretach, trzynastu remissach,
Czterdziestu kondemnatach, sześciu kompromissach,
Zwyciężył Marek Piotra; a że się zbogacił,
Ostatnie trzysta złotych za dekret zapłacił.
Umarł Piotr, umarł Marek, powróciwszy z grodu,
Ten co przegrał, z rozpaczy; ten co wygrał, z głodu.

Lew i Zwierzęta.

Gdy się wszystkie zwierzęta u lwa znajdowały,
Był dyskurs: jaki przymiot w zwierzu doskonały.
Słoń roztropność zachwalał; żubr mienił powagę;
Wielbłądy wstrzemięźliwość; lamparty odwagę;

Niedźwiedź moc znamienitą, koń ozdobną postać;
Wilk staranie przemyślne, jak zdobyczy dostać;
Sarna kształtną subtelność; jeleń piękne rogi;
Ryś odzienie wytworne; zając rącze nogi;
Pies wierność; liszka umysł w fortele obfity;
Baran łagodność; osioł żywot pracowity.
Rzekł lew, gdy się go wszyscy o zdanie pytali:
— Według mnie, ten najlepszy, co się najmniéj chwali.

Trzcina i Chmiel.

Chmiel się wił koło trzciny, miał jéj dopomagać.
Wspierał ją; ale kiedy zbyt się zaczął wzmagać,
Rzekła trzcina: — Daj pokój, już ja mocno stoję,
Już i bez twego wsparcia wiatrów się nie boję. —
— Mylisz się, chmiel jéj rzecze, przyjdą wiatry gorsze.—
Więc, gdy coraz gałązki rozpościerał sporsze,
Przyszło wreszcie do tego: wiatr trzcinę ocalił,
A chmiel, co miał podeprzéć, złamał i obalił.

Owieczka i Pasterz.

Strzegąc pasterz owieczkę, nad tém się rozwodził,
Jak wiele prac ponosi, żeby jéj dogodził.
Że milczała: — Niewdzięczna! — żwawie ją ofuknie.
Więc rzekła: — Bóg ci zapłać;... a z czego te suknie?

Szkatuła ze złotem i wór z kaszą.

Szkatuła pełna złota śmiała raz z wora.
Tegoż właśnie złodzieje do skarbu wieczora
Wkradli się, zamek zdarli, zawiasy odkuli,
I żeby złota dostać, szkatułę popsuli.
Widząc wór, który z kaszą odpoczywał w oknie,
Że w kawałki rozbita na podwórzu moknie,
Rzekł do niéj: — Jam ocalał, mając tylko kaszę. —
Nie trzeba się wynosić z tego, co nie nasze.

Małżeństwo.

Chwałaż Bogu! widziałem małżeństwo niemodne,
Stadło wielce szczęśliwe, uprzejme i zgodne:
Stateczna była miłość z podziwieniem wielu.
To szkoda, że mąż umarł w tydzień po weselu!

Łakomy i Zazdrosny.

Porzuciwszy ojczyznę i żonę i dzieci,
Szedł łakomy z zazdrosnym, Jowisz z niemi trzeci.
Gdy kończyli wędrówkę, bożek im powiedział:
— Jestem Jowisz: i żeby każdy o tém wiedział,
Proście mnie o co chcecie: zadosyć uczynię
Pierwszemu, a drugiemu w dwójnasób przyczynię. —
Nie chce być pierwszym skąpy, i stanął jak wryty;
Nie chce mówić zazdrosny, również nieużyty.
Nakoniec, kiedy przeprzéć łakomcy nie może:
— Wyłup mi jedno oko, rzecze, wielki boże! —
Stało się. I co mieli zyskać w takiéj dobie,
Stracił jedno zazdrosny, a łakomy obie.

Dwa psy.

Dlaczego ty śpisz w izbie, ja marznę na mrozie? —
Mówił mopsu tłustemu kurta na powrozie.
— Dlaczego? ja ci zaraz ten sekret wyjawię,
Odpowiedział mops kurcie: ty służysz, ja bawię. —

Przyjaciel.

— Uciekam się, rzekł Damon, Aryście do ciebie,
Ratuj mnie, przyjacielu, w ostatniéj potrzebie:
Kocham piękną Irenę. Rodzice i ona
Jeszcze na moje prośby nie jest nakłoniona. —
Aryst na to: — Wiesz dobrze, wybrany z śród wielu,
Jak tobie z duszy sprzyjam, miły przyjacielu,
Pójdę do nich za tobą! — Jakoż się nie lenił:
Poszedł, poznał Irenę, i sam się ożenił.

Gospodarz i drzewa.

Gospodarz, o ozdobie myśląc i wygodzie,
Zbyt obcinał gałęzie drzew w swoim ogrodzie.
Przyszła jesień; daremnie na wiosnę pracował,
I szpaleru nie zrobił, i drzewa popsował.

Filozof i Orator.

Filozof dysputował o prym z oratorem.
Gdy się długo męczyli mniéj potrzebnym sporem,
Nadszedł chłop. — Niech nas sądzi! — rzekli razem oba;
— Co ci się, rzekł Filozof, bardziéj upodoba?
Czy ten, który rzecz nową stwarza i wymyśla,
Czy ten, co wymyśloną kształci i określa? —

— My się na tém, chłop rzecze, prostacy nie znamy,
Wolałbym jednak obraz, aniżeli ramy. —

Człowiek i zdrowie.

W jednę drogę szli razem i człowiek i zdrowie.
Na początku biegł człowiek; towarzysz mu powie:
—Nie śpiesz się,bo ustaniesz...—Biegł jeszcze tém bardziéj.
Widząc zdrowie, że jego towarzystwem gardzi,
Szło za nim, ale zwolna. Przyszli na pół drogi:
Aż człowiek, że z początku nadwerężył nogi,
Zelżył kroku na środku. Za jego rozkazem
Przybliżyło się zdrowie, i odtąd szli razem.
Coraz człowiek ustawał, a że się zadysza:
— Prowadź mię, iść nie mogę — rzekł do towarzysza.
— Było mnie zrazu słuchać — natenczas mu rzekło:
Chciał człowiek odpowiedzieć... lecz zdrowie uciekło.

Konie i Furman.

Koniom, co szły przy dyszlu, powtarzał wożnica:
— Nie dajcie się wyprzedzić tym, co są u lica. —
Goniły się pod wieczór, zacząwszy od rana.
Wtém jeden z przechodzących rzecze do furmana:
— Cóż ci ztąd, że cię słucha głupich bydląt rzesza? —
A furman: — Konie głupie, ale wóz pośpiesza. —

Słowik i Szczygieł.

O prym, kto lepiéj śpiewa, szedł szczygieł z słowikiem;
Stanęli więc obadwa przed sędzią czyżykiem.
Wygrał szczygieł: zadziwił wszystkich dekret taki.
Zleciały się natychmiast do słowika ptaki:
— Żałujem cię, żeś przegrał, czyżyk sędzia zbłądził. —
— A ja tego, rzekł słowik, który mnie osądził. —

Komar i Mucha.

Mamy latać, latajmyż nie górnie, nie nizko.
Komar muchy tonącéj mając widowisko,
Że nie wyżéj leciała, nad nią się użalił:
Gdy to mówił, wpadł w świécę i w ogniu się spalił.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Słoń i Pszczoła.

Niechaj się nigdy słaby na mocnych nie dąsa!
Zaufana tém pszczoła, że dotkliwie kąsa,
Widząc, iż słoń ogromny na łące się pasie,
A na nią nie uważa, choć przybliżyła się;
Chciała go za to skarać. Gdy kąsać poczęła:
Cóż się stało? słoń nie czuł, a pszczoła zginęła.

Lis i Osioł.

Lis stary, wielki oszust, sławny swém rzemiosłem,
Że nie miał przyjaciela, narzekał przed osłem.
— Sameś sobie w tém winien, rzekł mu osioł na to:
Jakąś sobie zgotował, obchodź się zapłatą.
Głupi ten, co wnijść w przyjaźń z łotrem się ośmiela:
Umiéj być przyjacielem, znajdziesz przyjaciela.

Oracze i Jowisz.

Posiał jeden na górze, a drugi na dole.
Rzekł pierwszy: pragnę deszczu; drugi: suszę wolę.
Kiedy się więc z prośbami poczęli rozwodzić,
Jowisz, chcąc obu żądzy obficie dogodzić,
Ustawicznie niziny suszył, góry moczył.
Przyszło zbierać, aż każdy poznał, że wykroczył:
Bo zboże traktowane w kontr swojéj naturze,
Spaliło się w nizinie, wymokło na górze.

Dziécię i Ojciec.

Bił ojciec rózgą dziécię, że się nie uczyło:
Gdy odszedł, dziécię rózgę ze złości spaliło.
Wkrótce znowu Jaś krnąbrny na plagi zarobił,
Ojciec rózgi nie znalazł i kijem go obił.

Dyament i Kryształ.

Darmo tém być, do czego kto się nie urodził.
Kryształ brylantowany wielu oczy zwodził;
Gdy się więc nad rubiny i szmaragdy drożył,
Ktoś prawdziwy dyament z nim obok położył.

Zgasł kryształ; a co niegdyś jaśniał u obrączki,
Ledwie go potém złotnik chciał zażyć do sprzączki.

Dewotka.

Dewotce służebnica w czémciś przewiniła,
Właśnie natenczas, kiedy pacierze kończyła.
Obróciwszy się przeto z gniewem do dziewczyny,
Mówiąc właśnie te słowa: *i odpuść nam winy,*
Jak i my odpuszczamy, biła bez litości.
Uchowaj, Panie Boże! takiéj pobożności.

Bogacz i Żebrak.

Żebrak panu tłustemu gdy się przypatrował,
Płakał; tegoż wieczora tłusty zachorował:
Pękł z sadła. Dziedzic po nim, gdy jałmużny sypie,
Śmiał się żebrak nazajutrz, i upił na stypie.

Księgi.

W pewnéj biblijotece, gdzie była, nie pomnę,
Powadziły się księgi; a że niezbyt skromne,
Łajały się do woli różnemi języki.
Wchodzi biblijotekarz, pyta się kroniki:
— Dlaczego takie wrzaski? — Dlatego się swarzem,
Iżeś mnie śmiał położyć obok z kalendarzem. —
— Wszystko się tu porządnie, rzekł jéj, posadziło,
On zmyśla to, co będzie; ty zmyślasz, co było.

Hipokryt.

Mniéj szkodzi impet jawny, niźli złość ukryta.
Ukąsił idącego brytan hipokryta.
Rzekł nabożniś: — Psa obić, nie bardzo się godzi,
Zemścijmy się inaczéj, lepiéj to zaszkodzi. —
Jakoż widząc, że ludzie za nim nadchodzili,
Krzyknął na psa, że wściekły, w punkcie go zabili.

Dąb i małe drzewka.

Od wieków trwał na puszczy dąb jeden wyniosły;
W cieniu jego gałęzi małe drzewka rosły.
A że w swojéj postaci był nader wspaniały,
Że go dorość nie mogły, wszystkie się gniewały.
Przyszedł czas i na dęba pełnić srogie losy;
Słysząc, że mu fatalne zadawano ciosy,

Cieszyły się niewdzięczne: wtém upadł dąb stary,
Połamał małe drzewka swojemi konary.

Wilk i Owce.

Choć przykro, trzeba cierpieć; choć boli, wybaczyć,
Skoro tylko kto umié rzecz dobrze tłómaczyć.
Wszedł wilk w traktat z owcami: o co? o ich skórę,
Szło o rzecz. Widząc owce dobrą konjunkturę,
Tak go dobrze ujęły, tak go opisały,
Iż się już odtąd więcéj o siebie nie bały.
W kilka dni, ten, co owczéj skóry zawdy pragnie,
Widocznie, wśród południa, zjadł na polu jagnię.
Owce w krzyk... a wilk na to: — Po cóż narzekacie?
Wszak nie ma o jagniętach i wzmianki w traktacie. —
Udusił potém owcę: krzyk na wilka znowu;
Wilk rzecze: — Ona sama przyszła do połowu. —
Niezabawem krzyk znowu i skargi na wilka,
Wprzód jednę, teraz razem zabił owiec kilka.
— Drudzy rwali, wilk rzecze, jam tylko pomagał. —
I tak, kiedy się coraz większy hałas wzmagał,
Czyli szedł wstępnym bojem, czy się cicho skradał,
Zawzdy się wytłómaczył... a owce pozjadał.

Kartownik.

Zgrał się szuler w chapankę, a siedząc przy stole,
Zdarł pamfila z kinalem, spalił pancerolę.
Uspokoiwszy zatém rozjuszone żądze,
Zebrawszy w małéj reszcie ostatnie pieniądze,
Zaczął kartom złorzeczyć, słuchaczom probować,
Jak wiele mogą w kunszcie przemierzłym szkodować;
Jak gubi młodych, starych, pożądliwość taka.
Skończył... wziął karty w ręce, i zaczął tryszaka.

Potok i Rzeka.

Potok, szybko bieżący po pięknéj dolinie,
Wymawiał wielkiéj rzece, że pomału płynie.
Rzekła rzeka: — Nim zejdą porankowe zorza,
Ty prędko, ja pomału wpadniemy do morza.

Lis i Wilk.

Wpadł lis w jamę, wilk nadszedł, a widząc w złym stanie,
Oświadczył mu żal szczery i politowanie.
— Nie żałuj, lis zawołał, chciéj lepiéj ratować.

— Zgrzeszyłeś, bracie lisie, trzeba pokutować.
I nagroda i kara zarówno się mierzy;
Kto nikomu nie wierzył, nikt temu nie wierzy.

Woda i Wino.

Przymawiało jednego czasu wino wodzie:
— Ja panom, a ty chłopom, jesteś ku wygodzie. —
— Nie piłoby cię państwo, rzecze woda skromnie,
Gdyby nie chłop dał na cię, co chodzi pić do mnie. —

Pan i Pies.

Pies szczekał na złodzieja, całą noc się trudził ;
Obili go nazajutrz, że pana obudził.
Spał smaczno drugiéj nocy, złodzieja nie czekał;
Ten dom okradł; psa zbili za to, że nie szczekał.

Wół Minister.

Kiedy wół był ministrem i rządził rozsądnie,
Szły prawda rzeczy zwolna, ale szły porządnie.
Jednostajność nakoniec monarchę znudziła;
Dał miejsce wołu małpie lew, bo go bawiła.
Dwór był kontent, kontenci poddani z początku;
Ustała wkrótce radość, nie było porządku.
Pan się śmiał, śmiał minister, płakał lud ubogi.
Kiedy więc coraz większe nastawały trwogi,
Zrzucono z miejsca małpę. Żeby złemu radził,
Wzięto lisa: ten pana i poddanych zdradził.
Nie osiedział się zdrajca, i ten który bawił:
Znowu wół był ministrem i wszystko naprawił.

Lew pokorny.

Źle zmyślać, źle i prawdę mówić w pańskim dworze.
Lew, chcąc wszystkich przeświadczyć o swojéj pokorze,
Kazał się jawnie ganić. Rzekł lis: — Jesteś winny,
Boś zbyt dobry, zbyt łaskaw, zbytnie dobroczynny. —
Owca widząc, że kontent, gdy liszka ganiła,
Rzekła: — Okrutnyś, żarłok, tyran... już nie żyła.

Mądry i Głupi.

Nie nowina, że głupi mądrego przegadał;
Kontent więc, iż uczony nic nie odpowiadał,
Tém bardziéj jeszcze krzyczéć przeraźliwie począł.
Nakoniec, zmordowany gdy sobie odpoczął,

Rzekł mądry, żeby nie był w odpowiedzi dłużny:
— Wiesz, dla czego dzwon głośny? bo wewnątrz jest próżny.

Orzeł i Sowa.

Na jedném drzewie orzeł gdy z sową nocował,
Że tylko w nocy widzi, bardzo jéj żałował.
Dziękowała mu sowa za politowanie.
W tém, uprzedzając jeszcze zorza i świtanie,
Wkradł się strzelec pod drzewo; sowa to spostrzegła,
I do orła natychmiast z przestrogą pobiegła.
Uszli śmierci; a wtenczas rzekł orzeł do sowy:
— Gdybyś nie była ślepą, nie byłbym ja zdrowy. —

Kałamarz i Pióro.

Powadził się kałamarz na stoliku z piórem,
Kto świeżo napisanéj księgi był autorem?
Nadszedł ten, co ją pisał, rozśmiał się z bajarzów.
Wieleż takich na świecie piór i kałamarzów!

Groch przy drodze.

Oszukany gospodarz turbował się srodze:
Zjedli mu przechodzący groch zeszły przy drodze.
Chcąc wetować, i pewnym cieszyć się profitem,
Drugiego roku wszystek groch posiał za żytem.
Przyszło zbierać; gdy mniemał mieć korzyść obfitą,
Znalazł i groch zjedzony i stłuczone żyto.
Niech się miary trzymają i starzy i młodzi:
I ostrożność zbyteczna częstokroć zaszkodzi.

Słowik i Szczygieł.

Rzekł szczygieł do słowika, który cicho siedział:
Szkoda, że krótko śpiewasz. Słowik odpowiedział:
— Co mi dała natura, wypełniam to wiernie.
Lepiéj krótko, a dobrze, niż długo a miernie. —

Wół i Mrówki.

Wół się śmiał, widząc mrówki w małéj pracy skrzętne;
Wtém usłyszał od jednéj te słowa pamiętne:
— Z umysłu pracujących szacunek roboty!
Ty pracujesz, bo musisz; my mrówki z ochoty.

Tulipan i Fijołek.

Tulipan okazały patrzał na to krzywo,
Że fijołek w przyjaźni zostawał z pokrzywą.
Nadszedł pan do ogrodu tegoż właśnie rana;
Widząc, że pięknie zeszedł, urwał tulipana.
A gdy się do bukietu i fijołek zdarzył,
Chciał go zerwać, ale się pokrzywą oparzył.
Patrzał na to tulipan, mądry po niewczasie,
I poznał, że przyjaciel, choć nierówny, zda się.

Furman i Motyl.

Ugrązł wóz, ani ruszyć już się nie mógł w błocie;
Ustał furman, ustały i konie w robocie.
Motyl, który na wozie siedział wtenczas prawie,
Sądząc, że był ciężarem w takowej przeprawie,
Pomyślał sobie: litość nie jest złym nałogiem.
Zleciał, i rzekł do chłopa: — Jedźże z Panem Bogiem!

CZĘŚĆ CZWARTA.

Pszczoły i Mrówki.

W sąsiedztwie blizkiem były dwie Rzeczpospolite:
Pszczoły w ulach, w mrowisku mrówki pracowite.
A że przyjaźń sąsiedzka dumy nie umniejsza,
Częste były dysputy: która z nich rządniejsza?
Przyszły czasy jesienne, aż na pszczoły strachy;
Poderznął skrzętny bartnik wykształcone gmachy,
Powypędzał mieszkańców, wyprzątnął śpiżarnie.
Poznały wtenczas pszczoły, że zbierały marnie.
A mrówki, widząc smutne ich zbiorów ostatki,
Rzekły: — Lepsza jest mierność, niż zbytnie dostatki.

Daremna praca.

Nie chcąc się Jędrzej uczyć, zmazał abecadło;
Widząc się szpetnym, potłukł w kawałki zwierciadło;
Słysząc się złym, chciał stłumić wieść przemysły swemi:
Nie mógł się zrobić głuchym, a drugich niememi.

Jagnię i Wilcy.

Zawżdy znajdzie przyczynę, kto zdobyczy pragnie:
Dwóch wilków jedno w lesie nadybali jagnię.
Już je mieli rozerwać; rzekło: — Jakiém prawem? —
Smacznyś, słaby, i w lesie — zjedli niezabawem.

Żołw' i Mysz.

Że zamknięty w skorupie niewygodnie siedział,
Żałowała mysz żółwia: żółw' jéj odpowiedział:
— Miéj ty sobie pałace, ja mój domek ciasny;
Prawda, nie jest wspaniały, szczupły, ale własny.

Doktor i Zdrowie.

Rzecz ciekawą, lecz trudną do wierzenia powiem:
Jednego razu doktor spotkał się ze zdrowiem;
On do miasta, a zdrowie z miasta wychodziło.
Przeląkł się, gdy je postrzegł; lecz że blizko było,
Spytał je: — Dlaczegóż to tak śpiesznie uchodzisz?
Gdzie idziesz? — Zdrowie rzekło: — Tam, gdzie ty nie chodzisz.

Fijołek i Trawa.

W cieniu drzew rozłożystych na pięknéj murawie
Zeszedł razu jednego fijołek przy trawie.
Ta się bujno wzmagała; on, przejęty strachem,
Krył się, jak mógł; nakoniec wydany zapachem,
Gdy się z zguby sąsiada zazdrosna weseli,
Kosiarze i fijołki i trawę podcięli.

Wilk pokutujący.

Wzięły wilka skrupuły. Wiódł łotrowskie życie,
Więc ażeby pokutę zaczął należycie,
Zrzekł się mięsa. Jarzyną żyjąc przez dni kilka,
Znalazł na polowaniu znajomego wilka.
Trzeba pomódz bliźniemu! Za pracę usłużną
Zjadł kawał mięsa; gardzić nie można jałmużną.
Spotkał jagnię nazajutrz samopas idący,
Chciał upomniéć, nastraszyć, zabił go niechcący.
Nazajutrz, widząc cielę, że z krową nie chodzi,
Zabił je; takich grzechów cierpiéć się nie godzi,
Nazajutrz, gdy się pasły z krowami pospołu:
— Niech się dłużéj nie męczy! — zjadł starego wołu

I tak, cierpiąc przykładne z dóbr świata wyzucie,
Chudy, gdy był grzesznikiem, utył na pokucie.

Paw' i Orzeł.

Paw' się dął, śklniące pióra gdy wspaniale toczył.
Orzeł, górnie bujając, gdy w locie zoczył,
Rozśmiał się i przeleciał. Wrzasnął paw'; w śmiech ptacy.
— Nie znają się, powtarzał, na rzeczach prostacy. —
— Znają się, rzekł mu orzeł, wdzięk cenić umieją,
Ale gardzą przesadą, i z dumnych się śmieją. —

Chleb i Szabla.

Chleb przy szabli gdy leżał, oręż mu powiedział:
— Szanowałbyś mnie bardziéj, gdybyś o tém wiedział,
Jak ja na to pracuję, i w wieczór i rano,
Żeby twoich bezpiecznie darów używano. —
— Wiem ja, chleb odpowiedział, jakim służysz kształtem,
Jeśli mnie często bronisz, częściéj bierzesz gwałtem.

Podróżny.

Gniewał się wędrujący i przeklinał bogi,
Że mu deszcz ustawiczny przeszkadzał do drogi.
Tymczasem z boku czuwał nań rozbójnik chciwy,
Puścił strzałę; ale że przemokły cięciwy,
Padła bez żadnéj mocy. Zrazu przestraszony,
Kiedy poznał, że deszczem został ocalony,
Przestał bogi przeklinać, nie złorzeczył słocie.
Często, co złe z pozoru, dobre jest w istocie.

Król i Pisarze.

Król jeden, pełen myśli i projektów dumnych,
Kazał spisać szczęśliwych rejestr i rozumnych.
Ten, co pisał szczęśliwych, znalazł bardzo mało;
Pisarzowi rozumnych papieru nie stało.

Synogarlica

Dobrze czyni, kto zawsze z dobremi obcuje;
I najlepszego miejsce nieprawe zepsuje.
Smutną synogarlicę, na zdradnéj zasadzce
Złapał ptasznik przemyślny, i osadził w klatce.
Trzy dni w mieście siedziała, czwartego uciekła;
A co niegdyś powtórnych związków się wyrzekła,

Śmielsza w kroku i z przeszłéj śmiejąc się ofiary,
Za jednę utraconą znalazła dwie pary.

Chart i Kotka.

Chart widząc kotkę, że mysz jadła na śniadanie,
Wymawiał jéj tak podły gust i polowanie.
Rzekła kotka, wymówką wcale niezmieszana:
— Wolę ja mysz dla siebie, niż sarnę dla pana.

Człowiek i Wilk.

Szedł podróżny w wilczurze, zaszedł mu wilk drogę.
— Znaj z odzieży, rzekł człowiek, co jestem, co mogę. —
Wprzód się rozśmiał, rzekł potém człeku wilk ponury:
— Znam, żeś słaby, gdy cudzéj potrzebujesz skóry.

Prawda, Satyryk i Panegirysta.

Rzadko kłamca z swojego rzemiosła korzysta:
Zeszli Prawdę Satyryk i Panegirysta.
Chcieli od niéj nagrody za podjętą pracę:
— Jakeście zasłużyli, rzekła, tak zapłacę. —
W tém radośni od prawdy wzięli w podarunku
Każdy pełne naczynie przyprawnego trunku.
Jaki był, skosztowawszy, poznali po szkodzie,
Pierwszy znalazł truciznę w żółci, drugi w miodzie.

Atłas i Kitaj.

Atłas w sklepie z kitaju żartował do woli;
Kupił atłas pan sędzic, kitaj pan podstoli.
A że trzeba pieniędzy dać było kupcowi,
Kłaniał się bardzo nizko atłas kitajowi.
Gdy przyszło dług zapłacić, a dłużnik się wzbraniał,
Co rok się potém kitaj atłasowi kłaniał.

Zwierciadło pochlebne.

Patrząc się we zwierciadło, a widząc się białą,
Lubiła go smagława, że jéj pochlebiało.
Przyszła do niéj znajoma, nierównie czarniejsza:
Gdy postrzegła, że i téj szpetności umniejsza,
Zła, że i jéj sąsiadce do gustu przypadło,
Stłukła w drobne kawałki pochlebne zwierciadło.

18. Ptaki i Osioł.

Był dyskurs o słowiku: — Wdzięk jego śpiewania,
Rzekł czyżyk, tak jest miły, że aż do świtania
Od zmroku gotów jestem słuchać jego pieśni. —
Toż samo powtarzali śpiewaczkowie leśni,
Toż samo i zwierzęta; osioł, mało-dbały,
Gryzł chwasty na ustroniu.... więc się go spytały:
— A ciebie, czy ten jego głos wdzięczny poruszył? —
— Mnie?... jakem się odezwał, zarazem go zgłuszył. —

Dobroczynność.

Chwaliła owca wilka, że był dobroczynny;
Lis to słysząc, spytał jéj: — W czémże tak uczynny?
— I bardzo, rzecze owca, niewiele on pragnie,
Moderat! mógł mnie zajeść, zjadł mi tylko jagnię.

Skąpy.

Chciał się skąpy obwiesić, że talara stracił:
Żeby jednak na powróz dwóch groszy nie płacił,
Ukradł go pokryjomu. Postrzegli sąsiedzi;
Kiedy więc osądzony na śmierć w jamie siedzi,
Rzekł, gdy jedni żałują, a drudzy go cieszą:
— To szczęście, że mnie przecież bez kosztu powieszą.

Pan i Kotka.

— Nie masz prawéj przyjaźni — mówiła do pana
Kotka, syta połowem, i za to głaskana.
— Jak to nie masz przyjaźni? — pan na to odpowie.
— Pieścisz mnie, rzecze kotka, bo ci myszy łowię. —
— Łowić myszy, pan rzecze, przysługi to znaczne.
Ale dla czego łowisz?... dlatego, że smaczne. —

Człowiek i Suknia.

Brał się pewien do pręta, chcąc wytrzepać suknię;
Ta, widząc się w złym razie, żwawie go ofuknie:
— A takaż to jest pamięć na usługi, rzecze,
Bijesz tę, co cię zdobi, niewdzięczny człowiecze! —
Rzekł człowiek: — Ja nie biję, lecz otrząsam z prochu.
Zakurzyłaś się wczoraj, dziś trzepię potrochu.
Wybacz, z przykrych sposobów, kto musi, korzysta;
Gdybyś nie była bita, nie byłabyś czysta.

Szczurek i Matka.

Widząc, że z myszą igra, chwalił szczurek kota.
Rzekła matka do niego: — Fałszywa to cnota;
Na pozór on jest grzeczny, a wewnątrz jad mieści. —
Najokrutniejszy taki, co gryzie, a pieści.

Sąsiedztwo.

Zeszło żyto na ziemi, leżącéj odłogiem;
Cóż potém? kiedy zewsząd otoczone głogiem.
Grunt był dobry, chociaż go pług nigdy nie ruszył;
Byłoby z niego zboże, głóg wszystko zagłuszył.
Szczęśliwy, kto z równemi o granicę siedzi!
Zły głód, wojna, powietrze, gorsi źli sąsiedzi.

Wyszydzający.

Żartował, a od śmiechu trzymał się za boki,
Na ślepego kompana patrząc jednooki.
Nadszedł, co krzywo patrzył: śmiał się; nadszedł stary:
I ten się śmiał, włożywszy na nos okulary.
Przyszedł nakoniec jeden z dobrze patrzających,
Żałował i wyśmianych i wyśmiewających.

Mądry i Głupi.

Pytał głupi mądrego: — Na co rozum zda się? —
Mądry milczał: gdy coraz bardziéj naprzykrza się,
Rzekł mu: — Na to się przyda, według mego zdania,
Żeby nie odpowiadać na głupie pytania.

Jastrząb' i Sokół.

Niech zważa z kim ma sprawę, kto chce być junakiem.
Jastrząb', że się z niejednym dobrze spotkał ptakiem,
Chciał sokoły wojować: śmiał się sokół lotny.
Nakoniec z zuchwałości takowéj markotny,
Porwał go; a gdy ostre szpony wskróś przebodły,
Rzekł: daruję cię życiem, boś dla mnie zbyt podły.
Szpecą sławę zwycięztwa mdłe nieprzyjacioły;
Jastrzębie na przepiórki, orły na sokoły.

Woły krnąbrne.

Miłe złego początki, lecz koniec żałosny.
Nie chciały w jarzmie chodzić woły pod czas wiosny;

W jesieni nie woziły zboża do stodoły;
W zimie chleba nie stało, zjadł gospodarz woły.

Wilk i Owce.

Wilk, chociaż to ostrożny, przecię że żarłoczny,
Postrzegł ścierwo, chciał dostać, i wpadł w dół poboczny.
Siedzi w jamie, a wzdycha; w tém owieczki słyszy:
Patrzą w dół, aż wilk w jamie siedzi, ledwo dyszy.
Odezwał się nakoniec, rzekł do nich powolnie:
— Nie wpadłem, za pokutę siedzę dobrowolnie;
Trzeba czynić pokutę za boje, za groźby,
Za to, żem was pożerał.... — Owce zatém w prośby:
— Wyjdź z dołu!... — Nie, nie wyjdę!... — My będziem podnosić. —
Droży się wilk, nakoniec dał się im uprosić.
Jęły się więc roboty, i tak pracowały,
Że go ze dna samego jamy wydostały.
Wyszedł, a zawdzięczając nierozumnéj kupie,
Pojadł, pogryzł, podusił wszystkie owce głupie.

BAJKI NOWE.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Wierzba i Lipa.

Mówiła wierzba lipie: — Źle się masz, sąsiadko,
A co się, zwłaszcza w lesie, trafia dosyć rzadko,
Choć wiosna, liść twój więdnie. — Ta odpowiedziała:
— Alboś chrząszczów, gąsienic, nigdy nie widziała?
I tobie się wydarzyć może pora taka!
Każde drzewo, sąsiadko, ma swego robaka. —

Słonecznik i Fijołek.

Jeden wielki, drugi mały:
Słonecznik, wzrostem wspaniały,
Fijołek skromny postacią,
Jakto bywa między bracią,
Nakoniec się powadzili.
O co?... raz wraz z sobą byli:
A być razem, a być w zgodzie,
Ciężko nawet w jednym rodzie.
Szło o słońce, a hardy z swojego nazwiska,
Ten, co jaskrawym blaskiem się połyska,
I za słońcem się obraca;
Gardził drugim, iż się zwraca,
I kryje pomiędzy trawą.
Gdy więc nań powstaje żwawo,
Rzekł fijołek: — Miły bracie,
Żal mi cię, gdy patrzę na cię.

Chociaż jaśnie oświecony,
A ja do blasku niezdolny,
Twój zwrót jednak przymuszony;
Ja w ukryciu, ale wolny. —

Pasterz i Morze.

(Z Fedra.)

Po nad skały i rzeczki,
Pędził pasterz owieczki.
Gdy zeszło zorze,
A ujrzał morze,
Jak wspaniałe, dostojne,
Jak w zaciszu spokojne,
Jak się śklniły po wodzie
Blaski słońca przy wschodzie:
Zakochał się w żywiole.
Więc rzekł: — Płynąć ja wolę,
Niż się tułać po ziemi
Z owieczkami mojemi.
Przedał je więc i z stratą,
A za to
Nakupował daktylów, na okręt zgromadził.
Płynął morzem, a gdy go wiatr przeciwny zdradził,
W złą chwilę
Stracił okręt i daktyle.
Więc do owiec nieborak: a gdy je pasł znowu,
Zoczył morze. Wspomniawszy na korzyść z obłowu,
Rzekł, kłaniając się nizko raz, drugi i trzeci:
— Mówię to, i z przysięgą powtarzam waszeci,
Bądź jeszcze pozorniejsze,
Bądź jeszcze spokojniejsze,
Śklnij się, jak chcesz, w pogodzie,
I w zachodzie i w wschodzie;
Wiem ja, co cię łagodzi,
Wiem ja, o co tu chodzi!
Chciałoby się daktylów?... nie uda się sztuka!
Panie morze! ostrożny, kto się raz oszuka. —

Chmiel.

Chmiel chciał się ziemią sunąć, bo mu to niemiło
Było,
Iż musiał szukać wsparcia i pomocy.
Szedł więc o swojéj mocy,

I rozciągnął się dosyć;... Ale cóż się stało?
Liście żółkniało,
Kwiat był wązki,
Schły gałązki,
Już i rdzeń od wilgoci zaczynał się psować.
Trzeba się było ratować:
Gdzież się piąć? były żerdzie, ale je ominął,
Jął się chwastu, i zginął.

Puhacze.

Małżonka puhaczowa, męża swego godna,
A więc płodna,
Urodziła sześć sowiąt, puhaczków też nieco,
Zrazu słabe, dalej lecą.
Raz, gdy na zwykłe igrzyska,
Ponad puste stanowiska,
Nabujawszy się do sytu,
Wróciły do swego bytu,
To jest w dziurę przy kominie:
Pani matka, w córce, w synie,
Wnukach, wnuczkach spoważniona,
Przyjmując do swego łona,
Jak to zawsze panie matki,
Rzekła: — Cóż tam, moje dziatki?
Cóż tam słychać? —
A więc wzdychać:
— Za naszych czasów wszystko coś szło sporzéj,
Teraz raz wraz wszystko gorzéj. —
W téj tak wielkiéj troskliwości,
Najmłodsze puhaczątko, faworyt jéjmości,
Ozwał się: — Jakeśmy tylko wylecieli,
Wszystkie ptaki zaniemieli;
W kąty każdy jął się cisnąć,
Żaden nie śmiał ani pisnąć,
My tylko same bujały.
Coś tam w krzaczkach ptaszek mały,
Co go to zowią słowikiem,
Odzywał się smutnym krzykiem;
Ale i ten nie śmiał mruczyć,
Skoro my zaczęły huczyć. —
Po sercu, jak to mówią, matkę pogłaskało,
Że się tak pięknie udało,

Najbardziéj, iż pieścioszek tak dzielnie wymowny.
Myśląc jednak, iż trzeba dać obrok duchowny,
Rzekła: — Choć wasz głos piękny, chociaż lot tak skory,
Uczcie się, miłe dziatki, i z tego pokory.
Dobrze to jest, iż cudzą ułomność przebaczym:
Nie każdemu dał Pan Bóg rodzić się puhaczem.

Ziemia i Potok.

Potok nagle wezbrany z szumem się zapieniał,
A gdy groblą przerywał, drzewa wykorzeniał,
Zalewał pola,
Wzmogła się rola.
Po hałasie,
W krótkim czasie,
Kiedy mu wody coraz ubywało,
Z rzeki stał się strużką małą;
I ów, co huczał,
Mruczał,
I wymawiał niewdzięczność z siebie sprawnéj roli,
Iż go nie żałowała w tak srogiéj niedoli.
— Prawda, żeś mnie zasilił, kiedym była spiekła, —
Rzekła:
— Lecz przypadkiem wspomogłeś, rwąc brzegi twą wodą.
Nie jest to dobrodziejstwem, co jest z cudzą szkodą. —

Jaś.

Nie źle to jest posłuchać, gdy mówią staruszki.
Szedł Jaś na gruszki:
A ojciec widząc, jak pełen zapału,
Rzekł: — Trząś gruszki, mój Jasiu, ale trząś pomału! —
Jeszcze nie skończył, a już Jaś w sadzie.
Posłuszny radzie,
Zatrząsł drzewem pomału, i gruszka nie pada.
Zła rada!
Więc strząsnął mocniéj, nie pada znowu.
Chciwy połowu:
— Nie trząść tu, widzę, trzeba, rzekł, lecz rwać należy. —
Po drabinę więc bieży,
A gdy nie znalazł, i w prawo i w lewo,
Piął się na drzewo,
I to wskórał, iż zleciał, i potłukł się srodze.
Jednak, choć w bólu i trwodze

Smutną miał postać;
Przemyśliwał Jaś przecież, jakby gruszek dostać.
Więc sporym, który leżał koło drzewa, klocem,
Rzucił, przełamał gałąź, i padła z owocem.
Porwie, gryźnie, aż gruszka twarda i ladaco.
Gdy więc wrócił do ojca z nadaremną pracą:
Rzekł smutnemu po szkodzie Jasiowi staruszek:
— Gdy nie padną trzęsione, nie trzeba rwać gruszek.

Chłop i Jowisz.

Chłop stojący, zazdrościł siedzącemu panu
Lepszego stanu:
I lżył niebiosy
Za takie losy
Myślą zuchwałą:
Iż jednym nadto dają, drugim nadto mało.
Rzekł wtém Jowisz: — On chory, a ty jesteś zdrowy;
Lecz masz wybór gotowy.
Chcesz bogactw? będziesz je miał, lecz podagrę razem.—
Uszczęśliwiony wyrazem,
Przyjął chłop złoto, ale legł kulawy.
Wesół był zrazu, lecz gdy ból żwawy
Coraz bardziéj dokuczał,
Chłop narzekał i mruczał:
A winując się o to,
Rzekł: — Jowiszu! wróć zdrowie, a weź sobie złoto! —
Z uskutecznieniem Jowisz się nie bawił,
Odjął bogactwa, podagrę zostawił.

Lew, wół, lis.

Lew zjadł był wołu.
Strach do okoła
Powstał niezmierny,
Bo wół był wierny,
Źle łask nie użył,
Poczciwie służył.
Jeszczeby to znośniejsza, gdyby lew był zrzędził,
Wypędził;
Ale tracić i skórę, i łaskę, to wiele.
Przyjaciele,
(Bo ich miał, choć minister, nieboszczyk) płakali:
Lis raz wraz chwali

Najjaśniejszego króla jegomości
Dzieła pełne dobroci, pełne łaskawości.
Nieznośno to wszystkim było,
A nakoniec i lwu się słuchać naprzykrzyło.
Więc biorąc na się postać ponurą i hardą,
Rzekł z gniewem, ze wzgardą:
— Lisie! czém jesteś, z tém się nie wydawaj,
Jeżeliś głupi, nie chwal; mądry, nie przymawiaj! —

Fijołki.

Źle, gdzie umysł jest miałki.
Skarżyły się fijałki
Na swe losy niezręczne,
Iż, choć wonne i wdzięczne,
Względem kwiatów, co blizkie,
Zbyt ukryte i nizkie.
Gdy się wrzask nie ucisza,
Doszły skargi Jowisza;
A ten wyrok dał taki:
— Zbyt natrętne żebraki!
Narzekacie, a przecie,
Co wam zdatno, nie wiecie!
To, na które skarżycie,
Ocala was, ukrycie. —

Filozof.

Po stryju filozofie wziął jeden puściznę,
Nie gotowiznę.
Tam, gdzie duch buja nad ciało,
Takich, sprzętów bywa mało.
Ale były na szafach, w szafach, słojków szyki,
Alembiki,
Papierów stosy,
Globusy,
I na stoliku
Szkiełek bez liku;
A w końcu ławy
Worek dziurawy.
Wziął jedno szkiełko, patrzy, aż wór okazały.
Wziął drugie, a woreczek nikczemny i mały.
Westchnął zatém nieborak, i rzekł: — Wiem, dlaczego
Były pustki w dziurawym worku stryja mego:

Gdyby był okiem, nie szkłem, na rzeczy poglądał,
I onby użył, i ja znalazłbym, com żądał.

Małpy.

Małpa, wielki samochwał, co człeka udaje,
Zwiedziła cudze kraje,
Bo była z lasu wyszła i wlazła pod strzechę.
Wielką pociechę
Przyniosła za powrotem i siostrom i braci.
Kolligaci,
Krewni i przyjaciele, tak świezi, jak przeszli,
Wszyscy się zeszli.
A ta każdemu co słucha,
To w głos, to do ucha,
Opowiada.
Jedno łże, drugie zgada,
Zgoła, aż słuchać miło,
Jakto pięknie pod strzechą i zabawnie było.
Przyszło spać, nie masz strzechy, a jak spać bez dachu?
Małpy w strachu.
Więc w pośpiechy,
Szukać strzechy,
I znalazły!
Pod dach wlazły.
Słysząc szelest gospodarz, szedł z świecą na górę,
Małpy w nogi.... zatkał dziurę,
Ledwo jedna,
Zbita biedna
Zkąd przyszła, chyżo do lasu uciekła;
A gdy pytają, gdzie są drugie? rzekła:
— Pięknieć tam prawda, lecz straszy i więzi,
Kiedyśmy małpy, śpijmy na gałęzi.

Wilczki.

Pstry jeden, czarny drugi, a bury najmniejszy,
Trzy wilczki wadziły się, który z nich piękniejszy.
Mówił pierwszy: — Ja rzadki!
Mówił drugi: — Ja gładki!
Mówił trzeci: — Ja taki, jak i pani matka!
Trwała zwadka.
Wtém wilczyca nadbiegła;
Gdy w niezgodzie postrzegła:

— Cóżto, rzecze, same w lesie
Wadzicie się! —
Więc one w powieść, jak się rzecz działa.
Gdy wysłuchała,
— Idzie tu wam o skórę, rzekła, miłe dzieci,
Która zdobi, która szpeci.
Nasłuchałam się tego już to razy kilka,
Nie przystoi to na wilka
Wcale.
Ale,
Jak będziecie tak w kupie
Dysputować się głupie;
Wiecie, kto nie zbłądzi?
Oto strzelec was porwie, a kuśnierz osądzi.

Dzieci i żaby.

Koło jeziora
Z wieczora,
Chłopcy w koło biegały,
I na żaby czuwały:
Skoro która wypływała,
Kamieniem w łeb dostawała.
Jedna z nich, śmielszéj natury,
Wystawiwszy łeb do góry,
Rzekła: — Chłopcy, przestańcie, bo się źle bawicie!
Dla was to jest igraszką, nam idzie o życie.

Skowronek.

W czasy gorące
Na łące,
Pasły się społem
Osioł z wołem:
Tamten chróstem, ten trawą;
A pomiędzy murawą,
Tam, gdzie kwiaty i ziółka,
Pszczółka.
Chwytając motylki, zbierając robaczki,
Bujał skowronek nad krzaczki.
Na jednéj łące wszystko się działo.
Pszczółka brzęcząc w ul niosła zdobycz okazałą,
Chwast z trawą to użyczał;
Osioł beczał, wół ryczał.

Skowronek, wzbijając się czule i radośnie,
Dawał dzięki wiośnie.

Konie.

Koń maneżowy zszedł się z stadniczym;
Rzekł: — Tyś jest niczém.
Jeżeli mnie będziesz prosić,
Nauczę cię człeka nosić:
Jak suwać rowy,
Jak biedz na łowy,
Jak stąpać w ciągu,
Jak być w zaprzągu. —
— A ja jednak, rzekł stadny, o to cię nie proszę;
Może źle, że nie umiem; lepiéj, że nie noszę. —

Wróbel.

Wróbel pstry, iż był jeden pomiędzy szaremi,
Ledwo się tykał ziemi,
Tak był zhardział; rozumiał bowiem, iż nad niego
Piękniejszego
Natura wydać nie zdoła,
Nie tylko wróbla, ale i sokoła.
Gdy więc wszystkiemi gardził, rzekł mu jeden z szpaków:
— Kto jest pierwszym wśród wróbli, nie jest pierwszym z ptaków. —

CZĘŚĆ DRUGA.

Gołębie.

(Z indyjskiego, Pilpaia.)

Dwa gołębie razem żyły,
I szczęśliwe z sobą były.
Jeden się zwał Bezendech, Newazendech drugi.
W jedném jadły korytku, z jednéj piły strugi,
Razem po polach bujały,
Razem do domu wracały.
Zgoła, czy w wieczór, czy rano,
Zawsze je razem widziano.
Nie masz w świecie rzeczy stałéj!
Zażyłości poufałéj
Nienajdłuższe było trwanie.
Mimo prośby, odradzanie,

Bezendech chciał świat odwiedzić
Uprzykrzyło się na miejscu siedzieć,
I poleciał... Miło było,
Co obaczył, to bawiło.
Gdzie siadł, nowe widowiska.
Wtém, gdy już noc była blizka,
A odpocząć sam gdzie nie wie,
Usiadł na drzewie.
Nadeszła burza, grad i ulewa;
Spuścił się z wierzchołka drzewa.
I tak jeszcze gorzéj było.
Wspomniał sobie, jak miło
Spokojnéj chwili używać,
W gołębniku odpoczywać.
Po smutnéj porze
Nastały zorze.
Deszcz, grad, grzmoty ustały.
Wskróś przemokły, zmartwiały,
Widząc już rzeczy postać okazalszą,
Otrzepawszy skrzydełka, wziął lot w drogę dalszą.
A gdy coraz nowemi widoki się cieszy,
Postrzegł, że ktoś za nim śpieszy.
Był to jastrząb', w pędzie lotny.
Gołąb zwrotny,
Jak mógł uciekał... wtém orzeł z góry,
Straszny pazury,
Padł na jastrzębia... i gdy walczyli,
Korzystając z dobréj chwili,
Przecie tę miał pociechę,
Iż się dostał pod strzechę.
Nazajutrz, gdy dzień nastał pogodny,
Lekki, bo głodny,
Postrzegł gołębia: a on się pasie.
— I to zda się! —
Pomyślał sobie; więc się z nim wita.
Strawa obfita,
Potrzebna zdrowiu
Na pogotowiu.
Niedługo myśląc, jął się do jadła.
Wtém sieć zapadła,
I wraz z kolegą został w więzieniu.
Gdy więc w srogiém utrapieniu
Płakał stroskany,

Postrzegł, iż tamten był uwiązany.
Więc mu złorzeczył mądry po stracie,
A on: — Nie krzycz, bracie,
Płacz tu i krzyk nie pomoże!
Jakeś wpadł, tak i siedź nieboże.
I mnie się to przydało.
Lecz poweźmy myśl wspaniałą!
Kto wie, czy wspólni
Nie będziem wolni?
Jakoż tyle pracowali,
Iż się z więzów wydostali,
I każdy w swoję poleciał stronę.
Bezendech kontent, iż miał ochronę,
Nie mówiąc nic nikomu,
Powędrował do domu.
Już widział zblizka
Miłe siedliska,
Już do swojego domku się śpieszył,
Gdy strzelec skrzydło strzałą wskroś przeszył.
Wpadł w studnię, i ostatnia ginęła otucha;
Szczęściem niespodziewanem studnia była sucha.
Więc kiedy się ocucił,
A do lotu, jak mógł, wrócił,
A raczéj gdy sił zdobywał,
Po nad ziemię podlatywał,
Pełen wesela,
Znalazł dom i przyjaciela.
A doznawszy, jak podróż i trudzi, i smuci,
Przysiągł, iż więcéj do niéj nie powróci.

Platon.

Platon raz swoje zgromadziwszy ucznie,
Wybornie, sztucznie,
Dowodził, jak to mędrzec panuje nad światy,
Sam dzielny, sam bogaty.
Jemu się ziemia sili, jemu wschodzą zorze,
Pieni się morze;
I powietrze, i gwiazdy, i słońce i nieba
Dają, co trzeba.
On lotem nieścignionym wybujałéj myśli,
Czy co działa, czy kryśli,
Zawiaduje żywiołem, ziemią, oceanem,
Zwierząt, ludzi jest panem.

A pchła, co go w nos gryzła, nie zważając na to,
Rzekła: — To dla Platona, a dla mnie jest Plato.

Myszy.

Każdy się swoim zatrudnia kłopotem:
Myślały myszy, co tu robić z kotem.
Mówiły jedne: — Darami go skusić! —
Mówiły drugie: — Lepiéj go zadusić!
Wtém się odezwał szczur szczwany, bo stary:
— Próżne tu groźby, próżne i ofiary.
I dary weźmie, i przysięgi złamie!
Najlepiéj cicho siedziéć sobie w jamie,
A opatrzywszy zewsząd bez łoskotu,
Ani być z kotem, ani przeciw kotu. —

Noga i but.

Wiedli wojnę, i srogą,
But z nogą.
Ten ją winował,
Że się na niéj psował,
Tamta, iż ją uciskał.
Wdał się w to szewc, co zyskał:
A w pokorze i trwodze
Kłaniający się nodze,
Gromiąc but, rzecze, groźno wstrząsając narzędzie:
— Szanuj nogę, choć cię drze; but bez niéj nie będzie.

Pasterz i owce.

Owca na wilka
Płakała dni kilka:
Młode jagnię
Zagryzł w bagnie.
I pasterz, co go hodował,
Żałował;
Zgoła płakali oboje
Jak swoje.
Widząc to koza, rzekła do drugiéj:
— Patrz, co to człowiek czyni usługi!
Zasila w życiu, żałuje w zgubie;
Jakże go lubię! —
— Siebie on lubi, rzekła jéj druga;
Chytra to czułość, chytra usługa.
Nie płacze jagnię!
On mięsa pragnie!

Lew chory.

I panowie chorują, czemuż lwy nie mogą?
Boleścią srogą
Lew zdjęty ryczał; niebożęta
Drżały zwierzęta
Te, co na dworze króla jegomości
W żałości
Przymilały się panu. A że, gdzie chory,
Tam i doktory:
Niedźwiedź, mimo powagę, wraz z lisem kolegą,
Natychmiast biegą.
W radę: niedźwiedź po prostu
Na niestrawność życzył postu;
I zdławion za to.
Lis, przelękły zapłatą,
Kiedy się go pytano, co brać na chorobę?
Rzekł — Pan chory na wątrobę.
Moja rada o téj dobie,
Podjeść sobie:
Komu post miły, niech gryzie śledzia,
Pan zjé niedźwiedzia. —
Nagrodzony obficie, że dogodnie życzył,
Nowym kunsztem, chorego doktorem uleczył.

Młot i kowadło.

Raz zagadło
Młot kowadło:
— Czemu w robocie,
Młocie,
Choć się też raz nie znudzisz?
I mnie darmo dokuczasz, i próżno się trudzisz? —
— Alboż z ochoty
Pracują młoty? —
Rzekł zagadniony
Nie ja mam być winiony;
Ten nas nagli, co robi.
A gdy oręż sposobi
W pracy, trzask w pożarze,
My się mścimy, on karze.

Rumak i Źrebiec.

Koń w rzędzie sutym, zewsząd lśkniący złotem
Rżąc deptał ziemię pod jeździcem zuchwałym.

Źrebiec, bez uzdy, posuwistym lotem,
Uginał trawy w pędzie wybujałym.
Razem ku sobie zbliżyły się oba;
Rzekł rumak: — Patrzaj, jaka moja postać!
Siodło, rząd złoty, jak ci się podoba?
Przyznaj, bez jeźdzca trudno tego dostać.
Na wspaniałości wcale się nie znacie,
Tułacz na łąkach, jak nikczemne bydło. —
— Prawda, rzekł źrebiec: jednakże, mój bracie,
Chociaż to złoto, przecież to wędzidło. —

Przyjaciele.

Zajączek jeden młody,
Korzystając ze swobody,
Pasł się trawką, ziółkami w polu i ogrodzie,
Z każdym w zgodzie.
A że był bardzo grzeczny, rozkoszny i miły,
Bardzo go tam zwierzęta lubiły.
I on też, używając wszystkiego z weselem,
Wszystkich był przyjacielem.
Raz, gdy wyszedł w świtaniu i bujał po łące,
Słyszy przerażające
Głosy trąb, psów szczekania, trzask wielki po lesie.
Stanął; — słucha; — dziwuje się;...
A gdy się coraz zbliżał ów hałas, wrzask srogi,
Zając w nogi.
Spojrzy się po za siebie, aż dwa psy i strzelce!
Strwożon wielce,
Przecież wypadł na drogę, od psów się oddalił.
Spotkał konia, prosi go, iżby się użalił:
— Weź mnie na grzbiet i unieś! — Koń na to: — Nie mogę,
Ale od innych pewną będziesz miał załogę. —
Jakoż wół się nadarzył. — Ratuj, przyjacielu! —
Wół na to: — Takich jak ja, zapewne niewielu
Znajdziesz, ale poczekaj i ukryj się w trawie,
Jałowica mnie czeka, niedługo zabawię.
A tymczasem masz kozła, co ci dopomoże. —
Kozioł: — Żal mi cię, nieboże!
Ale ci grzbietu nie dam, twardy, nie dogodzi:
Oto wełniasta owca niedaleko chodzi,
Będzie ci miękko siedzieć. — Owca rzecze:
— Ja nie przeczę,

Ale choć cię uniosę pomiędzy manowce,
Psy dogonią i zjedzą zająca i owcę;
Udaj się do cielęcia, które się tu pasie. —
— Jak ja ciebie mam wziąść na się,
Kiedy starsi nie wzięli? — cielę na to rzekło,
I uciekło.
Gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły,
Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.

Konwersacya.

Nie tylko to w Paryżu, nie tylko w Warszawie,
Śni się ludziom na jawie.
Mają też i zwierzęta posiedzenia modne,
I w dowcip płodne.
Zeszły się raz w pół lasa; był dyskurs o człeku:
A jak zwyczaj w tym wieku,
Tyle o nim gadano,
Tak się z niego naśmiano,
Z takiem sławy ujęciem,
Iż ledwo był zwierzęciem.
Nakoniec, gdy raz nierychło
Posiedzenie ucichło,
Ktoś zagadł małpę, coby w nim dociekła?
Rzekła:
— Chciałby on to coś znaczyć, ale mi się zdaje,
Że źle małpę udaje.

Wyżeł i Brytan.

Pan strzelił, trafił kaczkę, pies dostał i dobił,
A gdy spostrzegł brytana, który nic nie robił,
Zgrzytnął zębami.
— My tylko sami,
Wyżły legawe,
Dajem wam strawę,
A wy śpicie, leniuchy. —
— Patrz na moje łańcuchy, —
Rzekł brytan, stróż domowy.
— Gdy ty idziesz na łowy,
Ja nic wprawdzie nie robię;
Ale, gdy w nocnéj dobie
Do wczasu się sposobisz,
I nic naówczas nie robisz;

Ja, uwolnion z łańcucha,
Czyniąc urząd podsłucha,
Gdy wyręczam kolegę,
Pana, ciebie, dom strzegę.

Czapla, Ryby i Rak.

Czapla stara, jak to bywa,
Trochę ślepa, trochę krzywa,
Gdy już ryb łowić nie mogła,
Na taki się koncept wzmogła.
Rzekła rybom: — Wy nie wiecie,
A tu idzie o was przecie. —
Więc wiedzieć chciały,
Czego się obawiać miały.
— Wczora
Z wieczora
Wysłuchałam, jak rybacy
Rozmawiali: wiele pracy
Łowić wędką, lub więcierzem;
Spuśćmy staw, wszystkie zabierzem.
Nie będą mieć otuchy,
Skoro staw będzie suchy. —
Ryby w płacz, a czapla na to:
— Boleję nad waszą stratą;
Lecz można złemu zaradzić,
I gdzie indziej was osadzić.
Jest tu drugi staw blizko,
Tam obierzcie siedlisko.
Chociaż pierwszy wysuszą,
Z drugiego was nie ruszą. —
— Więc nas przenieś — rzekły ryby.
Wzdrygała się czapla niby;
Dała się nakoniec użyć,
Zaczęła służyć.
Brała jednę po drugiej w pysk, niby nieść mając,
I tak pomału zjadając,
Zachciało się nakoniec skosztować i raki.
Jeden z nich widząc, iż go czapla niesie w krzaki,
Postrzegł zdradę, o zemstę zaraz się pokusił,
Tak dobrze za kark ujął, iż czaplę udusił.
Padła nieżywa:
Tak zdrajcom bywa.

Chłop i Cielę.

Nie sztuka zabić, dobrze zabić sztuka,
Z bajki nauka.
Szedł chłop na jarmark, ciągnąc cielę na powrozie:
W lesie, w wąwozie,
W nocy burza napadła, a gdy wiatry świszczą,
Wśród ciemności, postrzegł wilka po oczach, co błyszczą.
Więc do pałki; jak jął machać, nie myślawszy wiele
Zamiast wilka, który uciekł, zabił swoje cielę.
Trafia się to i nie w lesie, panowie doktorzy!
Leki pałka, wilk choroba, a cielęta chorzy.

Jodła i Jabłoń.

Jabłoń rzekła sąsiadce: — O ponura jodło!
Pocóż blizko mnie wzrastasz, gdy jesteś tak podłą?
Patrz, do moich owoców jak się każdy śpieszy!
Patrz, jak widząc, że kwitnę, każdy się ucieszy! —
Spadły kwiaty zaczasem, owoce zerwano,
Spadły liście, a zatém o iabłoń nie dbano.
Widząc to, rzekła jodła: — Sąsiadko zbyt harda,
Osądź teraz, czy słuszna była twoja wzgarda?
O tém, co było zewnątrz, trzymałaś wysoce;
Nie ciebie ludzie czczili, lecz twoje owoce.

Podróżny.

Arab jeden, gdy go noc w podróży zapadła,
A był dwa dni wśród stepu, bez wody, bez jadła,
Postrzegł worek na drodze: wziął rozweselony,
A w blasku gwiazd, chcąc wiedzieć, czém był napełniony,
Jęknął i rzekł, niezmierną boleścią przejęty:
— Jam rozumiał, że kasza, a to dyamenty! —

Bocian i Jeleń.

Bocian, miasta mieszkaniec, mówił jeleniowi:
— Ty kunsztu lekarstw nie znasz. — Jeleń mu odpowie:
Prawdę mówisz, bocianie, lekarstw nie rozumiem,
Ale ty leczysz, a ja chorować nie umiem. —
Umarł mędrzec, w lat dziesięć, na dachu przy mieście;
Umarł prostak na puszczy, żył tylko lat dwieście.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Trzoda.

Pies wierny, owca prosta, ale dobre zwierzę,
Z wilkiem i lisem raz weszły w przymierze.
Lis, aby od kur stronił,
Wilk, aby owce bronił.
Jednak, iż był lis zdradny, wilk w siłę zamożny,
Pies był ostrożny.
Gdy szły w manowce,
Pilnował owce,
A na odwodzie
Czuwał przy trzodzie.
Raz, gdy się kury, gęsi, owce w rapę zeszły,
Przybył tam i rzekł do nich lis w lata podeszły:
— Próżno się zgromadzacie już-to razy kilka;
Zawsze jest podejrzenie na lisa i wilka,
Na wilka, co was broni, kochane jagnięta,
Na lisa, co was strzeże, kury i gąsięta!
Pies was w to podejrzenie ku nam przyprowadza,
Pies was zdradza. —
Więc wyrok zgromadzenia psa odejść przymusił:
Cóż zatém? Wilk zgryzł owce, lis kury wydusił.
I takto zawsze bywa, gdy się zejdą w kupie
Pilnujący, roztropni; pilnowane, głupie.

Wyżeł i Brytan.

Wyżeł, czołgacz pochlebny, zdrajca skryty w duchu,
Chcąc się panu przymilić, stawał na podsłuchu,
I nosił raz wraz plotki, układny i tajny,
Jak to jemu podobnych zdrajców kunszt zwyczajny.
Wtém złodziej, co na dobrą porę w nocy czekał,
Nakarmił wyżła skrycie, i wyżeł nie szczekał;
A gdy i brytanowi przysmaczku użyczył,
Rzucił wierny pieczenią, złodzieja skaleczył.
Uciekł ten: wyżeł pobiegł tymczasem do pana,
Dzikim, wściekłym zabójcą mianował brytana.
I wypchnięto go z domu; a złodziej skradł w nocy.
Poznał pan po niewczasie, jak był ku pomocy

Ów, którego wypędził: więc nazad powrócił,
A wyżeł zdrajca, co się lizał, bałamucił,
Gdy na nowo zamyślał, jak kogo uwięzi,
Zyskał, czego był godzien: uwiązł na gałęzi.

Kogut.

Kogut, iż piał na odmianę,
Zyskał życie pożądane.
W szczęśliwéj porze
Osiadł we dworze:
Skoro raz pan umieścił,
Każdy sługa go pieścił;
Zażywając do rady,
Pan, panięta, sąsiady,
Uwielbiali proroka
Pół roka.
Zapiał był raz po deszczu: — odmiana!
Więc zaraz z rana
Gospodarz w pole,
Sąsiad na role
Szli zaufale:
Ale
W pośród roboty,
Nadeszły słoty.
Kogut winien; — więc na niego!
On sprawcą wszystkiego złego!
On źle poradził,
On grad sprowadził,
On czas rozziębił,
On zasiew zgnębił,
On zniszczył role!
Idąc na śmierć, rzekł nieborak:
— Dobrze mi tak, żem był dworak. —

Wóz z sianem.

Przy powrozie
Na mrozie
Wielki ciężar konie wlekły,
Więc sobie rzekły:
— Aby naszą pracę skrócić,
Starajmy się wóz wywrócić. —
I tak się stało:
Siano się w wodzie zmaczało.

Ale, czego nie docıekły,
Cięższe, bo zmokłe, do domu przywlekły;
A nim wyschło, bywszy w wodzie,
Pracowały trzy dni w głodzie.

Komar.

Brzęczał komar wesoło, bo się dobrze napił.
Gdy się więc kwapił,
Aby się to jeszcze stało,
Co mu się już raz udało,
Źle w tém sobie poradził:
Brzękiem własnym się zdradził.
I gdy próżno się trudził,
A śpiącego obudził;
Czatowany po głosie,
Skończył życie na nosie.

I cóż z tego wybadać?
Lepiéj milczyć, niż gadać.

Zajączek.

Już pora miła
Wiosny wschodziła;
Młode gałązki
Szły na zawiązki;
Trawki bujały:
Zajączek mały
Cieszył się wiosną.
Mruczał jednak na trawki, że tak prędko rosną,
Bo dla takiéj odmiany,
I widziéć nie mógł, i nie był widziany.
Gdy je więc wydeptywał po łące igrając,
Rzekł stary zając:
— Zetną trawki, ty wzrośniesz, i gdy się czas zmieni,
Na to, co w wiośnie pragniesz, zapłaczesz w jesieni.

Koń i Wielbłąd.

(Z Lessinga.)

Mało dla nas, co mamy, więcéj chcemy jeszcze.
A że to prawda, powieść o koniu umieszczę;

Skarżył się przed Jowiszem hardy i zuchwały,
Iż choć wspaniały,
Chociaż rzeźki, ozdobny,
Choć do skoków sposobny,
Chociaż ztąd bywa powszechnie chwalonym;
Przecież się mniema być upośledzonym.
— W czém-że to? rzekł mu Jowisz: mów, na czém ci zbywa? —
— Oto kark nie zbyt wzniosły, a zbyt gęsta grzywa;
Nogi nie dość wysokie,
Piersi nie dość szerokie;
Każesz nosić człowieka, a siodła nie dałeś. —
— Ujrzysz, co chciałeś —
Rzekł Jowisz: i natychmiast postawił wielbłąda.
Koń, gdy pogląda:
— Oto masz z małą grzywą, rzekł Jowisz, kark wzniosły,
Siodło, garb wyniosły,
Piersi, jak chciałeś,
Nogi długie, jakich do chodu żądałeś.
Godzienbyś za zuchwalstwo, porównany z bydłem,
Zostać straszydłem.
Ale głupstwu wybaczam; lecz na ukaranie
Wielbłąd zostanie. —
Jakoż, skoro go ujrzy zdaleka, czy zblizka,
Drży zaraz koń ze strachu, rży, zżyma się, pryska.

Gęsi.

Gęsi, iż Rzym uwolniły,
Wielbione były;
A że się to i w nocy i krzyczeniem działo,
Ujęte chwałą,
Szły na radę, i stanęło,
Aby zacząć nowe dzieło:
W krzyczeniu się nie szczędzić,
Lisy z lasa wypędzic.
Więc wspaniałe, a żwawe,
Poszły w nocy, i wrzawę
W lesie zrobiły,
Lisy zbudziły:
A te, gdy z jamy wypadły,
Zgryzły gęsi i zjadły.

Wabik.

Wabił strzelec tak dobrze, iż zwodził zwierzęta;
Szły na głos, albo raczéj na śmierć niebożęta.
On zaś, i gubiąc zwierzę i ptaszęta liche,
Jeszcze się z nich naśmiewał i podnosił w pychę.
Trafiło się, iż gdy raz z wabikiem polował,
Drugi strzelec, co także na ptaszki czatował,
Głos słysząc, gdy na ten krzyk strzelić się ośmielił,
Zamiast ptaszka, kompana swojego postrzelił.
I to może być nauką:
Gubi się frant swoją sztuką.

Góra i dolina.

Jak to zwyczaj: wyższy hardy.
Doznawając zwykłéj wzgardy,
Rzekła raz dolina górze:
— Ty się wznosisz, ja się nurzę,
Jednakbym się nie mieniała. —
Góra, szczytem swym zuchwała,
Pogroziła dolinie;
Ale w téjże godzinie
Osiadł tuman na górze,
A z nim wiatry i burze:
Wiatr liść dębów pomiotał,
Cedry piorun zdruzgotał.

Pszczółka.

Składała pszczółka na wiatr, ale to podobno
Chciało się żyć osobno;
Zgoła, jak się wyprawiła,
Przez trzy dni w domu nie była.
Cukier jéj zasmakował, chciała się sposobić,
Jakby go zrobić.
Choć się wiele pracowało,
Kiedy się to nie udało,
Pokryjomu
Wróciła do domu.
A szerszenie tymczasem,
Bujające za lasem,

W ul się zakradły,
I miód jéj zjadły.
I nie pszczółkom to bywa!
Kto ma, niechaj używa!
Chciwość żądze podnieca, zbytnie żądze źle wiodą,
Dobry rozum po szkodzie, lepszy rozum przed szkodą.

Człowiek i Gołębie.

W gołębniku chowane, na wyniosłym dębie,
Skarżyły się na ludzi niewinne gołębie;
Skarżyły się i słusznie strapione zwierzęta,
Iż szły dla nich na jadło młode gołębięta.
Wtém szła matka na strawę, postrzegł jastrząb chciwy;
Więc w biegu wybujałym, kiedy zapalczywy,
Już ją prawie miał ująć, już prawie ugnębia:
Postrzegł strzelec gonitwę i zabił jastrzębia.
Ocalona, lot nagły pomału zelżyła,
A kiedy do gniazdeczka i dzieci przybyła,
A przybyła z radością, uczuciem i drżeniem,
Rzekła: — I człowiek jednak nie jest złém stworzeniem.

Wyrok.

Czy nos dla tabakiery, czy ona dla nosa?
Była wielka dysputa ze starym młokosa.
Na złotnika sąd przyszedł; bezwzględny, a szczery,
Dał wyrok nieodwłocznie: — Nos dla tabakiery!

Pochodnia i świéca.

Świéca blizko pochodni raz stawiona była;
Więc harda wielkim blaskiem, gdy się wynosiła,
Rzekł ktoś: — Cudzéj jasności małaś uczestniczka:
Zna każdy, co pochodnia; zna każdy, co świéczka.

Wino Szampańskie.

Niezłe to bywa czasem, co przymusi.
Mruczało wino, iż go czepek dusi
I żwawe wielce
Wrzało w butelce,

I póty wrzało, aż go się pozbyło.
Ale cóż się wydarzyło?
Przez połowę wyleciało,
Co zostało, wywietrzało:
Aż nakoniec, własnym czynem,
Poszło w ocet, bywszy winem.

CZĘŚĆ CZWARTA.

Kruk i Lis.

(Z Ezopa.)

Bywa często zwiedzionym,
Kto lubi być chwalonym.
Kruk miał w pysku sér ogromny:
Lis niby skromny
Przyszedł do niego i rzekł: — Miły bracie,
Nie mogę się nacieszyć, kiedy patrzę na cię!
Cóżto za oczy?
Ich blask aż mroczy!
Czyż można dostać
Takową postać?
A pióra jakie?
Lśkniące, jednakie.
A jeśli nie jestem w błędzie,
Pewnie i głos śliczny będzie. —
Więc kruk w kantaty; — skoro pysk rozdziawił,
Sér wypadł, lis go porwał, i kruka zostawił.

Dudek.

(Z Fedra.)

Źle ten czyni, kto cudzą rzecz sobie przyswoił.
W pióra się pawie dudek ustroił,
I w téj postawie
Wszedł między pawie.
Poznały zdrajcy świeże rozboje,
Postradał cudze i stracił swoje.

Z tej więc pobudki,
Wrócił, gdzie dudki,
A te w śmiech z niego:
— Chciałeś cudzego?
Dobrze ci tak, i nikt cię żałować nie może,
Kiedyś stworzon na dudka, bądź dudkiem, nieboże!

Słońce i Żaby.

(Z tegoż.)

Sąsiad Ezopa, złodziej, się żenił.
Ezop do bajki; tak rzecz wymienił:
Słońce chciało mieć żonę.
Żaby strwożone
Tak wrzeszczały,
Iż się słyszeć Jowiszowi dały.
Pyta się: — O co
Tak się kłopocą? —
Rzekła z nich jedna: — Jak nie narzekać?
Gdy teraz samo może dopiekać,
I suszyć bagna, które nas chłodzą;
Niechże się z niego inne rozrodzą,
A ranem z ojcem razem wyruszą,
Bagna, i rzeki, i nas wysuszą.

Worki.

Nie patrzajmy na wzorki.
Zeszły się raz dwa worki:
Pozłacany
I skórzany.
Pozdrowiwszy się wdzięcznie,
Rzekł złoty: — To niezręcznie
Iżeś skórzany
I obszarpany;
Gdy patrzę na cię,
Żal mi cię, bracie.
— Choć ja u kupca, ty między pany,
Rzekł mu skórzany,
Ani się troszczę,
Ani zazdroszczę.
Owszem, mnie cię żal bracie, żeś choć złoty, głupi.
Nie ten dobry, co błyszczy, ale ten, co kupi. —

Kot i Kogut.

Kot sprawiedliwy koguta dławił
Za to, iż się czynami zbyt złemi osławił,
A te czyny były takie:
Budził zwierzęta wszelakie,
A budzić się nie godzi,
Sen przerwany zdrowiu szkodzi.
Małżeńskiej wiary koty wielbiciele,
On miał żon wiele,
A co gorzéj, nieprzykładnie,
Szkaradnie,
Bez względu na pokrewieństwa,
Wchodził w małżeństwa.
Dławiącemu,
Jak mógł, rzekł po swojemu
Dławny:
— Sędzio sławny!
Przykładny kocie!
Wiem ja o twojéj żarliwéj cnocie,
I kiedy się jéj dziwię,
Pozwól, niech też się usprawiedliwię.
Mój ród jeśli rozpładzam,
Ludziom przeto dogadzam;
Piejąc, budzę do pracy;
I majętni i żebracy
Dlatego mnie chowają.
— Na tobie się nie znają,
Rzekł kot: a że ja głodny,
Więc ty życia niegodny.

Motyl i Chrząszcz.

Czasem się złą być zdaje bardziéj, niż jest, chwila.
Złapało dziecko chrząszcza, filozof motyla.
Musiał się chrząszcz po kijku kręcić na około.
Motyl, pielęgnowany, poglądał wesoło,
I żałował kompana; puściło go dziecię.
Wsadzony motyl za szkło, kiedy kończył życie,
Rzekł: — Teraz znam, jak zmienne w pozorach istoty!
Lepsze prostych dziwactwo, niż mądrych pieszczoty.

Szczep winny.

Mówią Araby, iż, gdy szczep winny
Adam posadził, djabeł, zbyt czynny,
Podlał krwią pawia, co Adam szczepił.
A gdy się w wzroście szczep coraz krzepił,
I listki wydał,
Djabeł krew małpią do pierwszéj przydał.
Zeszły jagody: skropił lwią juchą.
A gdy dojrzały, a było sucho,
Skropił je wszystkie posoką świnią.
Cóż teraz czynią?
Oto: gdy wina szklankę kto łyknie;
Jak paw' się nadmie; po drugiéj krzyknie,
Skacze jak małpa, gdy szklanki mnoży;
Po piątéj, szóstéj, jak lew się sroży;
A kiedy coraz więcéj przyczynia,
Z pawia, lwa, małpy staje się świnia.

Wilczek.

Wilczek chowany zrobił się grzecznym,
Bezpiecznym.
Jegomość pieścił, a jéjmość pasła,
Przywykł do mleka i masła.
Hoży, dogodny,
Wilczek był modny.
Nieszczęściem kurczę zaszło mu drogę.
Chęć: zjem to kurczę; — skrupuł: nie mogę.
Więc chciwy, trwożny, a czuły,
Gdy się biedzi ze skrupuły,
Jakoś w téj walce gorącéj,
Zjadło się kurczę niechcący.
Po kurczęciu kogutek, po kogucie kura,
Przemogła w nim natura.
Zresztą poszedł do lasa, a wpadłszy w manowce,
Ów wilczek stał się wilkiem, gryzł gęsi i owce,
Aż go nakoniec w jamie dostali.
Najciężéj zacząć, pójdzie się daléj.

Młynarz, syn jego i osioł.

(Z La Fontaine'a.)

Nie wiem, gdziem ja to czytał, ale mniejsza o to.
Miał jeden młynarz osła: tak zmęczył robotą,

Iż nie wiedząc, co robić,
Wolał przedać, niż dobić.
Woła syna wyrostka, co go w domu chował,
I rzecze: — Żeby się nasz osioł nie zmordował
W długiéj drogi przeciągu,
Zanieśmy go na drągu. —
Dźwiga stary i stęka, chłopiec jeszcze gorzéj.
Im szli daléj, im szli sporzéj,
Tém srożéj trud uciemiężał,
Tém bardziéj im osioł ciężał.
Gdy to postrzegli,
Ludzie się zbiegli,
Śmiechy się wzniosły:
— Wzdyć-to trzy osły!
A ten najmniejszy, co jest na drągu. —
Nie kontent młynarz z zaciągu,
Rozumu się poradził,
Syna na osła wsadził.
Aż pierwsi, co napotkał, nuż się gniewać o to.
— Ty na ośle, niecnoto!
Rzekli do chłopca: a stary pieszo! —
Więc do kijów gdy się śpieszą,
Aby ich złość nie uniosła,
Zsadził syna, siadł na osła.
Przechodziły dziewczęta, mówi jedna drugiéj: —
— Patrz, biedny chłopiec, jak do wysługi
Ten stary go używa!
Dziécię z pracy omdlewa,
A dziad niemiłosierny
Pieszo go iść przymusza. —
To starego gdy wzrusza;
Wsadził chłopca za siebie.
Że dogodził potrzebie,
Jedzie, kontent z wynalazku.
Ledwo co wyjechał z lasku,
Znowu krzyk: — Jacy to głupi!
A kto od nich osła kupi?
Podróżą go udręczą,
Ciężarem go zamęczą:
Chyba skórę sprzedadzą! —
— Nieźle oni cóś radzą,
Rzekł młynarz, chociaż i łają. —
Więc z synem z osła zsiadają.

Aż znowu mówią przechodnie,
— A któż-to widział, aby wygodnie
Osioł szedł wolno, a młynarz za nim.
Wybacz, bracie, że cię ganim:
Każdy z ciebie śmiać się będzie,
Jak się nie poprawisz w błędzie. —
— Nie poprawię, rzekł młynarz; dość przymówek zniosłem
Chciałem wszystkim dogodzić, i w tém byłem osłem.
Odtąd. czy kto pochwali, czy mnie będzie winił,
Nie będę dbał nic o to; co chcę, będę czynił. —
Co rzekł, to się ziściło,
I dobrze mu z tém było.

Fajerwerk.

W lesie, w noc ciemną,
Zapalony fajerwerk miał postać przyjemną.
Więc kontenci puszkarze,
Chcąc rzecz zlepszyć w zamiarze.
Ku milszemu upominku.
Odprawili rzecz na rynku.
Ten, gdy się własném oświeceniem krasił,
Fajerwerk zgasił.
Zawiódł skorych w czynieniu,
Trzeba światłu być w cieniu,

Rzepa.

Kulawy, głuchy, stary i ślepy
Zeszli wór rzepy.
Chciało się podjeść, bo jeść nie mieli:
Lecz gdy szło o to, jakby się wzięli,
Powiedział stary: — Ja nie ugryzę. —
Powiedział chromy: — Ja ledwo lizę. —
Ślepy: — Nie widzę jéj, towarzysze. —
Głuchy: — A ja was, bracia, nie słyszę. —
I tak, gdy ciągle spór z sobą wiedli,
Została rzepa, i nic nie jedli.
Jak u nich rzepa, tak u nas mienie:
Każdy ma swoje wyrozumienie.
Gdy o zysk idzie, chcemy zarobić,
A kiedy na zysk, nikt nie chce robić.

Umbrelka.

Prosił bramin pobożny oświecenia z góry,
Wtém duch stanął, a wpośród pełnéj grzmotów chmury,
Wzniósł się głos: — W tém, co znajdziesz, jest nauka wielka! —
Duch zniknął. Spojrzy bramin, aż przed nim umbrelka.
Jeżeli się przestraszył, bardziéj jeszcze zdziwił;
Żeby się jednak górnéj myśli nie sprzeciwił,
Wziął rzecz, któréj zdatności dotąd był nie wiedział.
Gdy więc smutny i w myślach zatopiony siedział,
Nie wiedząc, czy los wielbić, czyli nań narzekać;
Tak niezwyczajnie słońce zaczęło dopiekać,
Iż, nie mając wśród pola żadnego schronienia,
Z rozpostartéj umbrelki zyskał pomoc cienia.
Wtém zbierały się chmury, i wiatry powstały;
Lubo w téj porze bramin cierpliwy i trwały,
Przecież widząc, co zyskał, rzekł sobie: — Duch zdarzył;
Kto wié? może w tym darze i inne skojarzył. —
Gdy mu więc wiatr był przykrym mocą swoją wielką,
Zastawił się, i zyskał schronienie umbrelką.
Po wichrze deszcz się spuścił, i gdy pola moczył,
Bramin, kiedy narzędzie dane sobie zoczył,
Rzekł: — Ukryję się pod tém, co mi dały duchy! —
Wzniósł nad siebie, i został wśród ulewy suchy.
Więc patrząc na tak zdatną żądz dogodzicielkę,
Wielbił dawcę, i chwalił dogodną umbrelkę.
Wtém słyszy odgłos w grzmocie: — Ucz się z małéj rzeczy,
Co masz czynić, jak czynić, i co mieć na pieczy.
Wiatry, są namiętności dzielne i burzliwe,
Deszcz rzęsisty, przygody życia nieszczęśliwe;
Zbytnie słońca upały, pomyślność gdy wielka;
Uczyni to roztropność, co teraz umbrelka.

Lew i Osioł.

(Z Fedra.)

Kiedy dmie głupi, śmiech z wzgardą zyska.
Wziął raz lew osła do stanowiska,
I okrył liściem,
Żeby za przyjściem
Zwierzęta go nie poznały,
A gdy ryknie, uciekały.

A on je miał bawić w ówczas utajony.
Co miał czynić, nauczony,
Jak jął śpiewać po swojemu,
Taki dał połów lwu obżartemu,
Iż mu za to podziękował.
— I masz za co, rzekł osioł, bom ja sam polował.
— Żebyś nie był tak głupim, nie byłbyś zuchwały, —
Rzekł zwierz wspaniały:
— Zażyłem cię dlatego, iż jesteś straszydło,
Skryłem postać obrzydłą:
A żeś jest hardy, z tego teraz wniosłem:
Iż osioł, choć z lwem, przecie zawsze osłem.

Szczygieł i Kos.

Po nad wrzosem
Szczygieł z kosem
Powadzili się o to, kto z nich lepiéj śpiewa.
Koło drzewa
Widząc, iż się przymyka,
Zdali się na ptasznika:
Ten przyjaźni zadatki
Chcąc dać, prosił do klatki.
Ale i kos i szczygieł powiedzieli na to:
— Lepsza zwada na dworze, niż zgoda za kratą. —

Filozof i Chłop.

Wielki jeden filozof, co wszystko posiadał,
Co bardzo wiele myślał, więcéj jeszcze gadał,
Dowiedział się o drugim, który na wsi mieszkał.
Nie omieszkał
I kolegę odwiedzieć,
I od niego się dowiedzieć,
Co umiał, i zkąd była ta jego nauka.
Znalazł chłopa nieuka,
Bo i czytać nie umiał, a więc książek nie miał.
Oniemiał.
A chłop w śmiech: — moje księgi, rzekł, wszystkie na [dworze:
Wół, co orze,
Sposobi mnie do pracy, uczy cierpliwości:
Pszczoła, pilności:

Koń, jak być zręcznym:
Pies, jak wiernym i wdzięcznym:
A sroka, co na płocie ustawicznie skrzeczy,
Jak lepiéj milczéć, niźli gadać nie do rzeczy.

Kuglarze.

Dosyć się to często zdarza,
Bywa kuglarz nad kuglarza.
Jeden z nich, a jest nie mało,
Żwawo i śmiało
Pokazywał, co może,
Zjadał łyżki i noże.
Z gałek ciasta robił grosze,
Karty przemieniał w kokosze.
Co chciał stawiał, co chciał zmykał,
Usta kłódkami zamykał,
Kuropatwy robił z chleba;
Zgoła był takim, jak trzeba:
Bawił, dziwił od tygodnia.
Wszedł drugi i powiedział: ja się zowię zbrodnia,
Rzekł zatém do pierwszego: kolego i bracie!
Na rzemiośle się nie znacie:
A wy, co mnie widzicie,
Patrzcie, cuda ujrzycie.
Oto zwierciadło,
Co wszystko zgadło.
Zbliżył się szpetny, ujrzał postać miłą;
Przyszedł garbaty, i garbu nie było;
Każdy z pociesznym odszedł zadatkiem,
Kto nie miał zębów, znalazł dostatkiem:
Poczerniałe,
Były białe,
Stara baba, będąc młodą,
Pocieszała się urodą.
Wszyscy sprawcę uwielbiali,
Wszyscy razem zawołali:
Oto zwierciadło,
Co wszystko zgadło.
Dał lichwiarzowi w rękę pełen kaszy garnek:
Skoro wziął, tyle groszy było, ile ziarnek:
Glina, postać przybrała okutéj szkatułki.

Otworzył stratny, znalazł pozew i pigułki.
Rzucił; porwał ją złodziej, i brzęczała złotem,
Ale gdy odbił zamek z niezmiernym łoskotem,
Przestraszył go natychmiast widok niespodziany:
Złoto znikło, znalazł się stryczek i kajdany.

Stawił butelek parę szampańskich,
— Oto, rzekł, ekstrakt obietnic pańskich. —
Zrazu nic w nich nie było:
Cóż się potém zjawiło?
Oto coś, jak się zaczęło burzyć,
Mieszać, przewracać, pienić i kurzyć,
Szelest zrobił się wielki,
Pękły obie butelki;
I znowu nic nie było.
Gdy to wszystkich dziwiło
Jakieś dziwackie jął odprawiać szepty;
Jak grad na stolik leciały recepty.
Wziął jednę zdrowy, czytał, i słabo mu było:
Wziął chory, nic nie znalazł, i to uleczyło.
Spazmatyczna, co tam stała,
To na swojéj wyczytała:
„Chcesz nie być chora?
Strzeż się doktora!“

Zmienił modne kornety w worek wypróżniony;
Zrobił pierścień z pszenicy, a kufer z karbony.
Zadziwili się wszyscy; on rzekł: — To jest fraszka! —
Dał młodemu trzos złota, została się flaszka.
Postrzegł w ciżbie dworaka, dał mu pęcherz z złotem;
Kazał ścisnąć; natychmiast, niespodzianym zwrotem,
Odmieniwszy postawę prostą i obrzydłą,
Wystrzelił jak z armaty, i wydał kadzidło.

Wziął fascykuł od jurysty,
Dmuchnął, został piasek czysty.
Z piasku owego zaraz bicz ukręcił,
Z bicza zrobił kałamarz; a gdy w nim coś zmęcił,
Ujrzeli w rękach swoich za taką robotą,
Ten, co miał sprawę, piasek; co w niéj gadał, złoto.
Sędziemu dwa pęcherze dał od zapozwanych;
Obadwa były pełne papierów pisanych.

Pękł, co był ubogiego, skoro go wymienił:
Bogacza w ważny weksel zaraz się przemienił.
A wszyscy zawołali zdaleka i zblizka:
— To mi-to pęcherz, gdy kto na nim zyska! —

— Chcecie wiedzieć, rzekł, jakto przemysł rzeczy mnoży?
Niech z was każdy w ten worek pieniądze położy. —
Stosując się do rozkazu,
Napełnili go do razu.
On się pokłonił, podskoczył, wykrzyknął,
Brzęknął pieniędzmi, rozśmiał się, i zniknął.

Pszczoły.

Rozum się rozpościera, to przywilej wieku,
I nie tylko w człowieku,
Ale już i zwierzęta, chociaż pism nie kreślą,
Głęboko myślą.
Pszczoła do mędrca zawędrowała,
A gdy go mówiącego żarliwie słyszała;
Zapomniawszy o kwiatkach co na oknie stały,
Na to swój umysł natężyła cały,
Aby pojąć, co on gada.
Z nauki rada,
Bez miodu, lecz z rozumem do roju przybyła:
I jako mądra tém się zatrudniła,
Jakby go to polepszyć, lepiéj usposobić,
Zgoła nową rzecz zrobić.
Gdy się więc zeszły, na pierwszym wniosku
Radziła, nie robić wosku,
Bo i wiele kosztuje, i człek go podrzyna.
Druga odmiany przyczyna:
Że miód zbyt słodki wydarza straty,
Omijać kwiaty.
Z ziół się obejść użytkiem;
Rzeczpospolite niszczą się zbytkiem.
— A nowość im bardziéj szkodzi,
Rzekła matka: niech was to nie zwodzi,
Co próżne mędrków roją mozoły!
Bez miodu, wosku nie będą pszczoły.
Próżna jest i szkodliwa na człowieka zmowa!
Prawda, my go karmiemy, ale on nas chowa:

Niech więc tak będzie, jak było od wieka,
Człowiek dla pszczoły, a pszczoła dla człeka.

Słońce, Obłoki, Ziemia.

Skarżyła się przed słońcem ziemia na obłoki:
— Cóż potém, że po świecie lot wiedziesz wysoki,
Kiedy cię obłok kryje i wilgoć zachmurza?
Dopieroż, kiedy z chmury uczyni się burza,
Noc ze dnia.—Słońce rzekło:—Darmo się rozwodzisz;
Nie skarż się na obłoki, ty je sama rodzisz. —

Lwica i Maciora.

Źle to, gdy się podli szczycą:
Zeszła się raz świnia z lwicą,
Więc w dyskursa. W tych przewlekła
Z żalem świnia lwicy rzekła:
— Żal mi ciebie, luboś godna,
Luboś zacna: żeś mniéj płodna.
Patrz na moją zgraję świnków,
Co tu córek! co tu synków!
A wszystkie jednym pomiotem. —
Rzekła lwica: — Wiem ja o tém:
Ródź ty dziesięć, cztery, dwa,
Ja jednego, ale lwa.

Malarze.

Dwaj portretów malarze słynęli przed laty,
Piotr dobry, a ubogi; Jan zły, a bogaty.
Piotr malował wybornie, a głód go uciskał;
Jan mało i źle robił, więcéj jednak zyskał.
Dlaczegoż los tak różny mieli ci malarze?
Piotr malował podobne, Jan piękniejsze twarze.

Koniec.

A jeszcze jedne — alboż to przychodzą
Bajki na rozkaz? — gdy zechcą, się rodzą,
A kiedy nie chcą, wołaj, wrzeszcz, jak czajka,
Nie przyjdzie bajka.

Tak, jak nasz Józio, co go pieści matka,
Postrzegł opłatka.
Postrzedz, naprzeć się, to u niego jedno.
Więc matkę biedną,
Nuż męczyć: — Daj go — a opłatek zjadła.
— Dam — rzekła — ale, Józiu, ucz się abecadła, —
Porozumiał to Józio, za co go tak łechce:
Więc rzekł: Schowaj opłatek: kiedy każesz, nie chcę.

SATYRY.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Do Króla.

Im wyżej, tem widoczniej, chwale, lub naganie
Podpadają królowie, najjaśniejszy panie.
Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka;
Wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka.
Gdy więc ganię zdrożności, i zdania mniej baczne,
Pozwolisz, mości królu! że od ciebie zacznę.
Jesteś królem, a czemu nie królewskim synem?
To nie dobrze; krew pańska jest zaszczyt przed gminem.
Kto się w zamku urodził, niech ten w zamku siedzi,
Z tegoć powodu nasi szczęśliwi sąsiedzi.
Bo natura na rządczych pokoleniach zna się;
Inszém powietrzem żywi, inszą strawą pasie.
Ztąd rozum bez nauki, ztąd biegłość bez pracy.
Mądrzy, rządni, wspaniali, mocarze, junacy,
Wszystko im łatwo idzie: a chociażby który
Odstrychnął się na moment od swojéj natury;
Znowu się do niéj wróci, a dobrym koniecznie
Być musi, i szanownym w potomności wiecznie.
Bo od czegóż poeci? skarb królestwa drogi,
Rodzaj możny w aplauzy, w słowa nie ubogi;
Rodzaj, co umié znaléźć, czego i nie było,
A co jest, a niedobrze, żeby się przyćmiło.
I w to oni potrafią; ztąd też jak na smyczy,
Szedł chwalca za chwalonym, zysk niosąc w zdobyczy;

A choć który falsz postrzegł, kompana nie zdradził:
Ten gardził, ale płacił; ów śmiał się, lecz kadził.
  Tyś królem, czemu nie ja? Mówiąc między nami,
Ja się nie będę chwalił, ale przymiotami
Niezłemi się zaszczycam. Jestem Polak rodem,
A do tego i szlachcic: a choćbym i miodem
Szynkował, tak jak niegdyś ów bartnik w Kruszwicy,
Czemużbym nie mógł osiąść na twojéj stolicy?
  Jesteś królem; a byłeś przedtém mości panem,
To grzech nieodpuszczony. Każdy, który stanem
Przedtém się z tobą równał, a teraz czcić musi,
Nim powié: Najjaśniejszy! pierwéj się zakrztusi.
I choć się przyzwyczai, przecież go to łechce;
Usty cię czci, a sercem szanować cię nie chce.
I ma słuszne przyczyny; wszak w Lacedemonie
Zawdy siedział Tessalczyk na Likurga tronie.
Greki Archontów swoich od Rzymianów brali,
Rzymianie dyktatorów od Greków przyzwali;
Zgoła, byleby nie swój, choćby i pobłądził,
Zawdy to lepiéj było, kiedy cudzy rządził.
  Czyń co możesz, i dziełmi sąsiadów zadziwiaj,
Szczep nauki, wznoś handel i kraj uszczęśliwiaj,
Choć wiedzą, chociaż czują, żeś jest tronu godny,
Nie masz chrztu, coby zmazał twój grzech pierworodny.
  Zkąd powstał na Michała ów spisek zdzadziecki?
Ztąd tylko, że król Michał zwał się Wiśniowiecki.
Do Jana, że Sobieski, naród nie przywyka;
Król Stanisław dług płaci za pana stolnika.
Czujesz to, i ja czuję; więc się już nie troszczę,
Pozwalam ci być królem, tronu nie zazdroszczę.
Źle to więc, żeś jest Polak; źle, żeś nie przychodzień:
To gorsza (lubo prawda, poprawiasz się codzień),
Przecież muszę wymówić (wybacz, że nie pieszczę),
Powiem więc bez ogródki: oto młodyś jeszcze.
Piękneż-to! gdy na tronie sędziwość się mieści;
Tyś nań wstąpił, mający lat tylko trzydzieści,
Bez siwizny, bez zmarszczków: zakał to nielada.
Wszak siwizna zwyczajnie talenta posiada?
Wszak w marszczkach rozum mieszka? a gdzie broda siwa,
Tam wszelka doskonałość zwyczajnie przebywa.
Nie byłeś prawda winien temu, żeś niestary;
Młodość, czerstwość i rzeźkość piękneż to przywary,
Przecież są przywarami. Aleś się poprawił;

Już cię tron z naszéj łaski siwizny nabawił.
Poczekaj tylko, jeśli starzéć ci się damy,
Jak cię tylko w zgrzybiałym wieku oglądamy,
Będziem krzyczéć na starych, dlatego żeś stary.
To już trzy, com ci w oczy wyrzucił przywary.
A czwarta jaka będzie, miłościwy panie?
O sposobie rządzenia niedobre masz zdanie:
Król, nie człowiek. To prawda, a ty nie wiesz o tém!
Wszystko ci się coś marzy o tym wieku złotym,
Nie wierz bajkom: bądź takim, jacy byli drudzy.
Po co tobie przyjaciół? niech cię wielbią słudzy.
Chcesz, aby cię kochali? niech się raczéj boją.
Cóżeś zyskał dobrocią, łagodnością twoją?
Zdzieraj, a będziesz możnym: gnęb, a będziesz wielkim,
Tak się wsławisz, a przeciw nawałnościom wszelkim
Trwale się ubezpieczysz. Nie chcesz? tém ci gorzéj!
Przypadać będą na cię niefortuny sporzéj.
Zniesiesz mężnie? cierpże z tym myślenia sposobem,
Wolę ja być Krezusem, aniżeli Jobem.
Świadczysz, a na złe idą dobrodziejstwa twoje?
Czemuż świadczysz, z dobroci gdy masz niepokoje?
Bolejesz na niewdzięczność? alboż ci rzecz tajna,
Że to w płacy za łaski moneta zwyczajna?
Po co nie brać szafunku starostw, gdy dawano?
Po témci tylko w Polsce króle poznawano;
A zagrzane wspaniałą miłością ojczyzny,
Kochały patryoty dawcę królewszczyzny.
Księgi lubisz, i w ludziach kochasz się uczonych?
I to źle. Porzuć mędrków zabałamuconych.
Żaden się naród księgą w moc nie przysposobił,
Mądry przedysputował, ale głupi pobił.
Ten co niegdyś potrafił floty duńskie chwytać,
Król Wizimierz, nie umiał pisać, ani czytać.
Waszéj królewskiéj mości nie przeprę, jak widzę;
W tém się popraw przynajmniéj, o co ja się wstydzę.
Dobroć serca monarchom wcale nie przystoi!
To mi-to król, co go się każdy człowiek boi.
To mi król, co jak spojrzy, do serca przeniknie.
Kiedy lud do dobroci rządzących przywyknie,
Bryka, mościwy królu, wzgląd wspacznie obróci:
Zły, gdy kontent; powolny, kiedy się zasmuci.
Nie moje to jest zdanie, lecz przez rozum bystry,
Dawno tak osądziły przezorne ministry.

Wiedzą oni (a czegoż ministry nie wiedzą?);
Przy sterze ustawicznie, gdy pracują, siedzą,
Dociekli na czém sekret zawisł panujących.
Z tych więc powodów, umysł wskroś przenikających,
Nie trzeba, mości królu, mieć łagodne serce:
Zwycięż się, zgaś ten ogień, zatłum go w iskierce.
Żeś dobry, gorszysz wszystkich, jak o tobie słyszę,
I ja się z ciebie gorszę, i satyry piszę.
Bądź złym, a zaraz kładąc twe cnoty na szale,
Za to, żeś się poprawił, i ja cię pochwalę.

Świat zepsuty.

Wolno szaléć młodzieży, wolno starym zwodzić,
Wolno się na czas żenić, wolno i rozwodzić.
Godzi się kraść ojczyznę, łatwą i powolną,
A mnie sarkać na takie bezprawia nie wolno?
Niech się miota złość na cię i chytrość bezczelna,
Ty mów prawdę, mów śmiało, satyro rzetelna.
Gdzieżeś, cnoto? gdzieś, prawdo? gdzieście się podziały?
Tuście niegdyś najmilsze przytulenie miały.
Czciły was dobre nasze ojcy i pradziady:
A synowie, co w bite stąpać mieli ślady,
Szydząc z świętéj poczciwych swych przodków prostoty,
Za blask czczego poloru zamienili cnoty.
Słów aż nadto, a same matactwa i łgarstwa;
Wstręt ustał, a jawnego sprosność niedowiarstwa
Śmie się targać na święte wiary tajemnice:
Jad się szerzy, a źródło biorąc od stolice
Grozi dalszą zarazą. Pełno ksiąg bezbożnych,
Pełno mistrzów zuchwałych, pełno uczniów zdrożnych.
A jeśli gdzie się cnota i pobożność mieści,
Wyśmiewa ją zuchwałość, nawet w płci niewieściéj.
Wszędzie nierząd, rozpusta, występki szkaradne:
Gdzieżeście, o matrony święte i przykładne?
Gdzieżeście, ludzie prawi? przystojna młodzieży?
Oślep tłuszcza bezbożna w otchłań zbytków bieży.
Co zysk podły skojarzył, to płochość rozprzęże,
Wzgardziły jarzmem cnoty i żony i męże.
Zapamiętałe dzieci rodziców się wstydzą,
Wadzą się przyjaciele, bracia nienawidzą.
Rwą krewni łup sierocy, łzy wdów piją zdrajce,
Oczyszcza wzgląd nieprawy jawne winowajce;
Zdobycz wieków, zysk cnoty, posiadają zdzierce;

Zwierzchność bez poważania, prawo w poniewierce.
Zysk serca opanował, a co niegdyś tajna,
Teraz złość na widoku, a cnota przedajna.
Duchy przodków! nagrody cnót co używacie,
Na wasze gniazdo okiem jeżeli rzucacie,
Jeśli odgłos dzieł naszych was kiedy doleci;
Czyż możecie z nas poznać, żeśmy wasze dzieci?
Jesteśmy, ale z grutu skażeni, wyrodni,
Jesteśmy, ale tego nazwiska niegodni.
To, co oni honorem, poczciwością zwali,
My prostotą ochrzcili; więc co szacowali,
My tém gardzim, a grzeczność przenosząc nad cnotę,
Dzieci złe, psujem ojców poczciwych robotę.
Dobra była uprawa, lecz złe ziarno padło:
Ztądci teraz Fenixem prawie, zgodne stadło.
Zysk małżeństwa kojarzy, żartem jest przysięga,
Lubieżność spaja węzły, niestatek rozprzęga.
Młodzież próżna nauki, a rozpusty chciwa,
Skora do rozwiązłości, do cnoty leniwa.
Zapamiętałe starce, zhańbione przymioty;
Śmieje się zbrodnia, syta z pognębionéj cnoty.
Wstyd ustał, wstyd, ostatnia niecnoty zapora:
Złość zarazna w swém źródle, a w skutkach zbyt spora,
Przeistoczyła dawny grunt ustaw poczciwych.
Chlubi się jawna kradzież z korzyści zelżywych,
Nie masz jarzma, a gdy jest taki, co je dźwiga,
Nie włożyła go cnota: fałsz, podłość, intryga.
Płodzie, szacownych ojców noszący nazwiska!
Zewsząd cię zasłużona dolegliwość ściska,
Sameś sprawcą twych losów. Zdrożne obyczaje,
Krnąbrność, nierząd, rozpusta, zbytki gubią kraje.
Próżno się stan mniemaną potęgą nasrożył,
Który na gruncie cnoty rządów nie założył;
Próżno sobie pochlebia. Ten, co niegdyś słynął,
Rzym cnotliwy zwyciężał, Rzym występny zginął.
Nie Goty i Alany do szczętu go zniosły:
Zbrodnie, klęsk poprzedniczki i upadków posły,
Te go w jarzmy wprawiły; skoro w cnocie stygnął,
Upadł, i już się więcéj odtąd nie podźwignął.
Był czas, kiedy błąd ślepy nierządem się chlubił;
Ten nas nierząd, o bracia! pokonał i zgubił.
Ten nas cudzym w łup oddał: z nas się złe zaczęło;
Dzień jeden nieszczęśliwy zniszczył wieków dzieło.

Padnie słaby i lęże — wzmoże się wspaniały:
Rozpacz podział nikczemnych. Wzmagają się wały,
Grozi burza, grzmi niebo; okręt nie zatonie,
Majtki zgodne z żeglarzem gdy staną w obronie;
A choć bezpieczniéj okręt opuścić i płynąć,
Poczciwiéj być w okręcie, ocaléć, lub zginąć.

Złość ukryta i jawna.

Łatwiéj nie łgać poetom, ministrom nie zwodzić:
Łatwiéj głupiego przeprzéć, wodę z ogniem zgodzić,
Niż zrachować filuty. Ciżba, wojsko spore:
Zkąd zacząć? z pośród tłumu na hazard wybiorę.
Wojciech, jadem zaprawny, co go wewnątrz mieści,
Zdradnie wita, pozdrawia, całuje i pieści,
W oczy ściska, w bok patrzy, a gdy złudzi wdzięcznie,
Cieszy się wewnątrz zdrajca, że oszukał zręcznie.
Czyni źle, bo gust w saméj upatruje złości;
Zdradza, byleby zdradził; a ten zysk chytrości
Stawia mu z cudzych trosków wdzięczne widowiska:
Najmilszy jego napój łza, którą wyciska.
Co słowo, sztuka zdradna; co krok, podstęp nowy;
Zdrajca czynami, giestem, milczeniem i słowy.
Na kogo tylko spojrzy, stawia zaraz sidła,
A gdy się coraz wzmaga złość jego obrzydła,
Jak pająk, co snuł z siebie, rozpostarłszy sieci,
Czuwa wśród pasm rozwitych, rychło w nie kto wleci.
Uśmiech jego nieprawy zmyka się po twarzy,
W oczach skra zajadłości błyszczy się i żarzy:
Spuszcza je na blask cnoty, a zjadle pokorny,
Sili się, swéj niecnocie kształt nadać pozorny.
Próżna praca. Sama się złość z czasem odkrywa.
Spada maska, a zdrajca, co pod nią przebywa,
Tém jeszcze wszeteczniejszy, im dłużéj był tajny.
Ten, co ma umysł zwrotny, a język przedajny,
Idzie za nim, Konstanty, szczęśliwy że wygrał;
A co w pierwszych początkach żartował i igrał,
Czyniąc jak od niechcenia, gdy sztucznie się czaił:
Tak kunszt zdradnych podstępów dowcipnie utaił,
Iż ten, co oszukany, nie wie, jak wpadł w pęta.
Wpadł jednak, a fortelnie sztuka przedsięwzięta,
Tego, co ją dokazał, uczyniła sławnym.
A poczciwość? — ten przymiot służył czasom dawnym,
A kto wie, czy i służył? Każdy wiek miał łotrów:

A co my teraz mamy i Pawłów i Piotrów,
Miał Rzym swoje Werresy, swoje Katyliny.
Był ten czas, kiedy Kato, z poczciwych jedyny,
Silił się przeciw zdrajcom sam, i padł w odporze.
Nie w tak dzikim już teraz jest cnota humorze:
Umie ona, gdy trzeba, zyskowi dogadzać;
Człowiek grzeczno poczciwy, kiedy kraść i zdradzać
Nakaże okoliczność, zdradzi i okradnie:
Ale zdradzi przystojnie, i zedrze przykładnie,
Ale wdzięcznie oszuka, kształtnie przysposobi;
Ochrzci cnotą szkaradę, i złość przyozdobi.
A choć zraża sumienie, niebo straszy gromem,
Śmieje się, zdradza, kradnie — i jest galantomem.
Więc poczciwych aż nadto. Paweł trzech mszy słuchał,
Zmówił cztery różańce, na gromnice dmuchał,
Wpisał się w bractwa wszystkie, dwie godziny klęczał,
Krzywił się, szeptał, mrugał, i wzdychał i jęczał,
A pieniądze dał w lichwę. Święte są pacierze,
Zdatne bractwa — lecz temu, co daje, nie bierze.
Syp fundusze, a kradnij; Bóg ofiarą wzgardzi.
Tacy byli, mniemaną pobożnością hardzi,
Owi Faryzeusze i wyschli i smutni,
A w łakomstwie niesyci, w dumie absolutni,
Mściwi, krnąbrni, łakomi, nieludzcy, oszczerce.
Próżne, Pawle, ofiary, gdzie skażone serce.
Krzyw się, mrugaj, bij czołem, klęcz, szeptaj i dmuchaj,
Zmów różańców bez liku, bez liku mszy słuchaj;
Jeśliś zdrajca, obłudnik, darmo kunsztu szukasz,
Możesz ludzi omamić, Boga nie oszukasz.
Brzydzi się niecnotliwym Jędrzej hipokrytą,
A natychmiast zbyt szczery, nie już złością skrytą,
Ale jawnem zgorszeniem zaraża i truje:
Pyszny mnóstwem szkarady, hańbą tryumfuje.
Zrzucił szacowną cnoty i wstydu zaporę,
A widząc skutki jadu i łatwe i spore,
Stał się mistrzem bezbożnych. Ma uczniów bez liku,
Leżą grzecznych bluźnierców dzieła na stoliku;
Gotowalniani mędrcy, tajemnic badacze,
Przewodniki złudzonych, wieków poprawiacze,
Co w zuchwałych zapędach, chcąc rzeczy dociekać,
Śmieją prawdzie uwłoczyć, i na jawność szczekać:
Czcze światła, dymy znikłe. Lecz z widoków sprosnych
Zwróćmy oczy, już nadto tych scen, zbyt żałosnych.

Dumny Jan pokrewieństwem i Litwy i Polski,
Że go uczcił Niesiecki, Paprocki, Okolski,
Rozumie, iż za zmową ugodną i spólną,
Wszystkim cierpiéć należy, jemu szaléć wolno.
Rozumie, iż gdy tytuł zaczyna od jaśnie,
Przy tym blasku i cnota i rozum przygaśnie;
Nadstawia się i gardzi. Mikołaj bogaty,
Choć go jaśnie wielmożne nie czczą antenaty,
Śmieje się z oświeconych, co złotem nie świecą.
To u niego zacności i szczęścia skarbnicą,
To rozum, to nauka, w tém się wszystko mieści:
Szóstak groszy dwanaście, a złoty trzydzieści.
Jakże zebrał? dość że ma: czy ukradł, czy zdradził.
Mikołaj pan, choć filut, bo skarby zgromadził,
Bo posiada po panach folwarki i włości.
Jak zechce, przyjdzie i do jaśnie wielmożności.
Woli być mości panem, a z summ pożyczonych
Brać lichwę od dłużników jaśnie oświeconych.
Dumą wewnątrz nadęci, zbytkiem podupadli,
Nie wstydzą się ci żebrać u tych, co je skradli;
Oszukani klną z dala, a łaszą się z blizka.
Śmieje się pan Mikołaj, a majętność zyska;
Za jedną, która poszła, w rok idzie i druga,
Aż ów lichwiarz pokorny, uniżony sługa,
Większy pan, niż jegomość, którego wielmożni.
Tak lecą w zdradne sidła młodzi nieostrożni.
Omamiony nieprawym polorem i gustem,
Piotr, co zaczął być stratnym, jest teraz oszustem.
Gdy nie ma wsi na zastaw, dopiéroż pieniędzy,
Chcąc uniknąć i głodu i zimna i nędzy,
Istotną dolegliwość, gdy jak może, tai,
Wiąże się z towarzyszmi, pochlebia i rai,
Czatuje, jakby ze wsi domatora dostać,
A uprzejmego biorąc przyjaciela postać,
Zaczyna rządy w domu, częstuje i sprasza.
Dobry gust gospodarza wielbi i ogłasza;
W spółce jest do wszystkiego, choć pieniędzy nie ma.
I póty w więzach tego, co usidlił, trzyma,
A go sobie we wszystkiém uczyni podobnym.
Więc ten, co niegdyś oczy pasł gustem ozdobnym,
Wraca do domu zdarty, smutny pokryjomu,
Albo i nie powraca, nie miawszy już domu.
Próżno więc, jak to mówią, po szkodzie korzysta.

Franciszek, przedtém pieniacz, teraz alchymista,
Dmucha coraz na węgle, przy piecyku siedzi,
Zagęszcza i rozwilża, przerzedza i cedzi.
Pełne proszków chemicznych szafy i stoliki,
Wszędzie torty, retorty, banie, alembiki.
Już postrzegł w ogniu gwiazdę, a kto gwiazdę zoczy.
Albo głowę Meduzy, albo ogon smoczy,
Już ten wygrał. Winszuję, ale nie zazdroszczę.
To mniejsza, że Franciszek o złoto się troszcze;
Niech dmucha, a nie kradnie. Choćby złoto zrobił,
Swoje stracił; na swojém niechby i zarobił.
Nie złoto szczęście czyni, o bracia, nie złoto!
Grunt wszystkiego poczciwość, pobożność i z cnotą.
Padnie taka budowla, gdzie grunt nie jest stały.
Chcemy nasz stan, stan kraju ustanowić trwały,
Odmieńmy obyczaje, a jąwszy się pracy,
Niech będą dobrzy, będą szczęśliwi Polacy.

Szczęśliwość Filutów.

Rok się skończył, winszować téj pory należy.
Komu? wszystkim. Niech Jędrzej z winszowaniem bieży;
Jędrzej, co to zmyśloną wziąwszy na się postać,
Szuka, gdzieby się wkręcić, lub zysk jaki dostać;
A przedajnym językiem, drogi, albo tani,
Jak zgodzą, jak zapłacą, tak chwali, lub gani.
Albo Szymon, miłośnik ludzkiego rodzaju,
Co złych i dobrych społem chwaląc dla zwyczaju,
Gdy cnotę i występki równą szalą mierzy,
Tyle zyskał w rzemiośle, że mu nikt nie wierzy,
Niechaj tacy winszują, ja milczę. — Źle czynisz;
Albož wszystkich zarówno potępiasz i winisz?
Albož wszystkim źle życzysz? — Owszem, dobrze życzę.
Są cnotliwi: a chociaż niewielu ich liczę,
Chociaż ledwo ten rodzaj w złych się tłoku zmieści,
Są dobrzy i w płci męzkiéj, są i w płci niewieściéj. —
— Więc im winszuj. — A jakaż winszować przyczyna?
— Stary się rok zakończył, a nowy zaczyna;
Cóż mam dobrym powiedzieć? W starym ucierpieli,
I w przyszłym cierpieć będą zapewne musieli.
Nie kończy się poczciwych niefortuna z rokiem,
Rzadko się cnota szczęsnym ucieszy wyrokiem.
Do was więc mowę zwracam, sztuczni a ostrożni,
Filuci oświeceni i jaśnie wielmożni,

Wielmożni i szlachetni z zgrają waszą całą!
Winszuję, że w tym roku dobrze się udało.
Coście tylko pragnęli, wszystko wam los zdarzył,
Wyście się tam ogrzali, gdzie się drugi sparzył.
Fortuna, któréj koło ustawnie się toczy,
Była ślepą dla innych, dla was miała oczy.
Więc winszuję wszem w obec, każdemu z osobna.
   Tobie najprzód, którego dziś postać ozdobna,
Którego oko śmiałe, a czoło, jak z miedzi;
W twoich progach los spoczął i fortuna siedzi.
Płyną ci dni pomyślne, a prządziarka Kloto
Pasmo życia nawija na jedwab' i złoto.
Gdzie stąpisz, wszystko w kwiecie; gdzie spojrzysz w owocach,
A gdy bierzesz spoczynek w twych rozkosznych nocach,
Ty śpisz, a szczęście czuwa. Brzęczą złota trzosy;
Wszak cię chwała otacza, a pochlebne głosy,
Im bardziéj natężone, im ogromniéj wrzeszczą,
Tém wdzięczniéj słuch twój mocnią, uszy twoje pieszczą.
Umiész słyszéć, coć miło, na przymówkę głuchy;
A gdy czasem mniéj wdzięczne zalecą podsłuchy,
Umiesz i niedosłyszéć. Talent dziwny, rzadki!
Takie więc szczęścia twego gdy widzę zadatki,
Winszuję ci. A najprzód, żeś ocalał zdrowo;
Wieluż za mniéj los srogi ukarał surowo!
A bardziéj sprawiedliwość, któréj wiek zepsuty
Nie zna teraz; a przeto szczęśliwe filuty.
Winszuję: jak ty inszym, że tobie nie mierzą;
Winszuję: żeś choć zdradził, przecież jeszcze wierzą;
Winszuję: żeś choć okradł, nie każą ci wracać,
Możesz łupu zdartego, na co chcesz, obracać.
Jest więc czego winszować. A tobie, Konstanty,
Coś się zgrał na wsie, weksle, pieniądze i fanty,
Przecież grasz: czego srogi los niegdy pozbawił,
Przemysł sztuczny to zleczył, fortunę poprawił.
Odzyskałeś, coś przegrał, już brzękasz wygraną,
Winszuję, że cię na złem dziele nie złapano.
   A tobie, Panie Pawle, jest czego winszować.
Przed rokiem musiałeś się o szeląg turbować,
Teraz krocmi rachujesz. Jak to przyszło? — sztuka!
Zyskałeś, cóżeś zyskał? Nowa to nauka!
Nie powiem. I satyra nie ma być zbyt jasną.
Tak-to nowe światełka wschodzą, stare gasną!
   Panie Piotrze, a waszeć, coś wskórał w tym roku?

Utyłeś, więc winszuję dobrego obroku.
A jak? mamże powiedzieć? czyli mam zasłaniać?
Zasłonię; proszę jednak jejmości się kłaniać.
A waść, panie Wincenty, coś majętność kupił,
Nie dawszy i szeląga? Czyś okradł, czyś złupił,
Dość, że wioska już twoja. Niechaj płacze głupi,
Po co nie był ostrożnym; już jéj nie odkupi.
Zły téż-to był gospodarz, grunt leżał odłogiem,
Pola były zarosłe chwastem, łąki głogiem;
Ty przemysłem naprawiasz, coś zyskał fortelem,
I tak się wysłużonym już obywatelem
Staniesz twojéj ojczyźnie. Tak pięknéj przysługi
Winszuję, a choćby się zgorszył może drugi,
Że gardzisz skrupułami, winszuję i tego;
Znak to jest mocnéj duszy, umysłu wielkiego.
Gmin podły, wnętrzna trwoga i sumienie straszy.
Mędrcy! wam dziękujemy, nauki to waszéj
Jest dzieło, że z nas każdy pozbył się wędzidła;
Stawia dowcip przemyślny śmiało teraz sidła:
Kto w nie wpadnie tém gorzéj, że był nieostrożny:
Śmieje się, co oszukał, a umysł nietrwożny,
Wsparty kunsztem dowcipnym wygodnéj nauki,
Na dalsze się natęża i sidła i sztuki.
Winszuję więc wam, ucznie młodzi i podeszli,
Winszuję, żeście nawet mistrzów waszych przeszli.
A wam, co mam powiedzieć, cnotliwa hołoto?
Dobrzy! cierpieć wasz podział, ale cierpieć z cnotą.
Modnéj maksym nauki że się nie trzymacie,
Trzódka mała wśród łotrów, nie wiele zyskacie.
Nie rozpaczajcie jednak. Patrzajcie, jak daléj
Los tych, których rozpieścił, wesprze i ocali.
Rzadko się niepoczciwość, tak jak zacznie, kończy,
A cnota, co się nigdy z chytrością nie łączy,
Choć jéj często dokuczą troski, niepokoje,
Późniéj, prawda, lecz lepiéj wychodzi na swoje.

Marnotrawstwo.

Znałeś dawniéj Wojciecha? — Któż nie znał! co teraz
Bez sług, ledwo w opończy brnie po błocie nieraz;
Niegdyś w karecie, z któréj dął się i umizgał,
Takich, jakim jest dzisiaj, roztrącał i bryzgał.
Ustępowali z drogi wielmożnemu panu
Lepsi i urodzeniem i powagą stanu:

Nieraz ten, który przedtém od filuta stronił,
Westchnął skrycie natenczas, gdy mu się ukłonił.
Musiał czcić; czegoż złoto nie potrafi dzielne?
Niedługo przecież trwały te czasy weselne;
Na złe wyszła wspaniałość. Przyjaciele kuchni,
Junacy heroiczni, wzdychacze miluchni,
Filozofy nakoniec, jak pustki postrzegli,
Z maksymami, z wdziękami, z junactwem odbiegli.
Został się niedostatek, z nim wstyd dawnéj pychy;
A co niegdyś wytrząsał kufle i kielichy,
Co szampańskim, węgierskim pyszne stoły krasił,
Wiadrem potém u studni pragnienie ugasił.
Jak to przyszło? — Nieznacznie. Łakome są żądze,
Pełen jest świat oszustów, toczą się pieniądze.
Zyskał Wojciech szalbierstwem, stracił wszystko zbytkiem,
A nie długo się ciesząc niecnoty pożytkiem,
Nawet tego nie doznał, gdy nic nie dochował,
Żeby zdrajcę, bankruta, ktokolwiek żałował.
To gorsza, kiedy młody dziedzic wielkiéj włości,
Zysk zasług przodków swoich, cnoty, poczciwości,
Niszczy, podły odrodek. Znałeś Konstantyna?
— Alboż widzieć odrodków u nas jest nowina?
Znałem go ale w nędzy. — Jam znał w dobrym stanie.
Młodo zaczął wspaniałe swoje panowanie,
Młodo skończył. Rodzice dzieckiem odumarli;
Opiekunowie najprzód (jak zazwyczaj) zdarli;
Dorwał się panicz rządów. Natychmiast do razu,
Jedni z sławy, ci z zysku, a tamci z rozkazu,
Dworzanie, pokojowi, krewni, assystenci,
Przyjaciele, sąsiedzi i plenipotenci,
I ta wszystka niesyta stołowników zgraja,
Co się zyskiem obłudy karmi i opaja,
Natarli wstępnym bojem. Rad pan wszystkim w domu,
Wrota jego nie były zamknięte nikomu.
Niech zna świat, jak pan możny, dzielny i bogaty.
Grzmią bębny na dziedzińcu, na wałach armaty,
Żaki prawią perory: ksiądz prefekt za niemi
Drukiem to wypróbował, że dzieły wielkiemi
Przeszedł pan przodków swoich, godzien krzeseł, tronów,
Prawnuk Piastów po matce, z ojca Jagiellonów.
Wiwat pan! brzmią ogromném hasłem okolice,
Dymy z kuchni, jak z Etny; a sławne piwnice,
Co dziad, pradziad, szacownym napełniał likworem,

Pełne zgrai ochoczéj stanęły otworem.
Wiwat pan! niech wiekuje szczęśliwy i zdrowy!
Objął sienie, przysionki, zapach dryakowy,
Wala się, wadzi, wrzeszczy rozpojona tłuszcza...
Pan rad, w domu każdego do siebie przypuszcza.
Ten wziął konia z siedzeniem, tamten za przysługę,
Nieboszczyka pradziada z lamusu czeczugę;
Ów wlecze złoty dywan, co w skarbcu spoczywał,
Dywan, co stół naddziada ministra okrywał,
Gdy w usłudze publicznéj pracował, lub sądził.
Śmieją się z starych gratów, a jakby pobłądził,
Wyszydzają wiek dawny, nowy rzesza chwali.
Liczne przodków portrety wyrzucono z sali,
Natychmiast, że zbyt wielka, ścieśniają gmach stary,
Cztery z niéj gabinety, i dwa buduary.
Że w nich były starego dzieje testamentu,
Nie cierpiano szpalerów jednego momentu,
Wziął je sąsiad za wyżła, a za dwie papugi
Zyskał zbroję złocistą w zamian sąsiad drugi.
    Od czasów nieboszczyka jeszcze Jegomości,
Płaczą w kącie z szafarzem stary podstarości;
Pan kontent. Skoro w rannéj porze słońce błyśnie,
Już się przez przedpokoje ledwo kto przeciśnie;
Ten ustawia pagody chińskie na kominie,
Ten perskie gierydony, ów japońskie skrzynie:
Pełno muszlów zamorskich, afrykańskich ptaków,
Wrzeszczą w klatkach papugi, krzyk szczygłów, świst szpaków:
Bije zegar kuranty, a misterne flety,
Co kwandrans, co godzina, dudlą menuety.
Wchodzi pan, pasie oczy nowemi widoki;
Zawsze gładkie pochlebstwa i ukłon głęboki.
Znają się na wielkości i pan na niéj zna się.
A chociaż do mówienia z gminem uniża się,
Zna, czém jest. Wszyscy wiwat! skoro tylko kichnie,
Na kogo okiem rzuci, każdy się uśmiéchnie,
Kontent z pańskich faworów. Wtém nowe kredense:
Dwa mniemane Wandyki, i cztery Rubense,
Niosą w pakach hajduki: wyjmują, gmin cały
Złoto ważne uwielbia, czci oryginały.
A pan wszystkich naucza, jak Rubens w marmurze
Jeszcze lepiéj rznął twarze; a w architekturze
Co to wszystkich patrzących dziwi i przenika,
Nie było celniejszego mistrza, nad Wandyka.

To to pan! krzyczy zgraja, to wiadomość rzeczy!
Wtém, gdy wszyscy w aplauzach, a żaden nie przeczy,
Wpośród ciżby wielbiących rejestrzyk podaje
Snycerz, malarz, tapicer, których cudze kraje
Na to do nas zesłały, aby według stanu,
Dogadzali wytwornie wspaniałemu panu.
Nie czytał pan rejestrów. Kto rejestra czyta?
Podpisał: niech zna Niemiec, jak Polska obfita.
Tak ów, co po jałmużnę niegdyś do Włoch śpieszył,
Złoto rzucał, nic nie wziął, a dumą rozśmieszył.
Lecą dnie w towarzystwie dobranych współbraci:
A że wojaż nowemi talenty wzbogaci,
Jadą do cudzych krajów. Z projektu kontenci,
Wysłani na kontrakty już plenipotenci.
Ten przedaje wpół darmo, a wdzięczen ochocie,
Dał ułomek kradzieży kupiec w dożywocie;
Ten zastawia za bezcen, ów fałszuje akty;
Tak to robią szczęśliwych zyskowane kontrakty!
Wraca się przecież cząstka do tego, co zdarli:
Wdzięczen, że go w potrzebie nieuchronnéj wsparli,
Wyjeżdża, niesie haracz niszczącéj nas modzie:
A weksel lichwą płatny mając na powodzie,
Dziwi kraje sąsiedzkie nierozumnym zbytkiem;
I z tym swojéj podróży powraca pożytkiem,
Że co panem wyjechał przystojnym i godnym,
Wraca grzecznym filutem i żebrakiem modnym.
Nie ganię ja podróży, ale niech nie niszczą.
Co po guście, dłużnicy gdy płaczą i piszczą?
Co po fantach, za które poszły wsie dziedziczne?
Bogacimy ubodzy kraje okoliczne;
A zbytek, co się tylko czczym pozorem chlubił,
Okrasił nas powierzchnie, a w istocie zgubił.

Oszczędność.

Naucz, panie Aleksy, jak to zostać panem?
Nie o takim ja mówię, co wysokim stanem
I wspaniałym tytułem dumnie najeżony,
Albo jaśnie wielmożny, albo oświecony,
Co tydzień daje koncert, codzień bal w zapusty,
A woreczek w kieszeni maleńki i pusty:
Ale o takim mówię, co w czarnym żupanie,
I w bekiesie wytartéj, rano na śniadanie,
Skosztowawszy z garnuszka piwa z serem ciepło,

Lub wczorajszą pieczonkę przypaloną skrzepłą,
Na saneczkach łubianych do Lwowa się wlecze,
Trwożny, czy z prowizyjką panicz nie uciecze:
A tymczasem w szkatule dębowéj, okutéj,
Nowy więzień pośpiesza na pańskie reduty.
Jam mniemał, że to wielkich włości dziedzic będzie,
Ma wieś jednę w zastawie, a dwie na arendzie.
Zkądże on ma te zbiory? czy jadących złupił?
Czy skarb znalazł, że tyle pożyczył i kupił?
— Nie. — Może jakim szczęśliwym przypadkiem
Po nieboszczce małżonce wziął majętność spadkiem?
— I to nie. — To zapewne, pieniając zuchwale,
Wygrał w ziemstwie fortunę, albo w trybunale?
— I to nie. — Może, żeby zbiorów przysposobił,
Wynalazł alchymistę, co mu złoto zrobił?
— Nie! — Zkądże ta szkatułka, co niosą na drągach?
— Zgadnij! — Nie wiem. — Zkąd przecię? znał się na [szelągach.
— Cóż ztąd? — Oto ztąd wszystko. — Pewnie bił [w mennicy?
— Ale nie, wszak jéj nie masz w całéj okolicy.
— To nie to. — Bądź cierpliwy, albo nic nie powiem.
— Słucham, już będę milczał, niech się tylko dowiem.
— Wszak w groszu trzy szelągi?— Cóż ztąd?—Ale proszę,
Wszak w groszu trzy szelągi? — W trojaku trzy grosze.
— Ale nie, nie to mówię: zamilknę, albowiem
Kto mi nie da dokończyć, ja mu nic nie powiem.
— Już milczę. — Więc zaczynam. Nie każdy bogatym
Urodził się, lecz szczęście nie zawisło na tém;
Owszem, według mnie, zawdy szczęśliwsi są tacy,
Których nie los zbogacił, ale skutek pracy.
Ten, co jechał do Lwowa na saniach łubianych,
Ażeby dostał zysku bogactw pożądanych,
Zbyt je drogo zapłacił. Na co sobie szkodzić?
Na co zbiory, jeżeli nie mają dogodzić?
Dla nas są, nie my dla nich. Niech dogodzą miernie.
Ten co żądze w zapędach rozpuszcza niezmiernie,
Światem się nie nasyci; jak ów, który stękał,
Że nie stało narodów, któreby ponękał.
Mówmy więc, o czém pierwsze mówienie się wszczęło:
Zostać panem, największe, prawda, to jest dzieło.
— Cnota teraz za złotem. — Tak i przedtém było,
Ale nie, nie tak złoto, jak teraz mamiło.

Cokolwiek bądź, powtarzam, com mówił: a zatém
Poznaj się na szelągach, a będziesz bogatym.
Z małych się rzeczy wielkie sklejają i wznoszą,
Z szelągów się, nie złota, ubodzy panoszą,
Nim się skleci z odrobin małych pieniądz złoty.
Nad miedzią zastanowić trzeba nam się póty,
Póki ten lichy kruszec srebru nie wyrówna.
Od srebra aż do złota praca niewymówna,
Pierwsze kroki najcięższe. Skoro złoto błyśnie,
Do kruszcu wybornego podlejszy się ciśnie:
Łatwo już reszta idzie. Tak początek mały,
Z pracą, czuciem, staraniem, rośnie w kapitały.
Trzeba więc czcić szelągi; nieznaczne wydatki,
Potoczne ujścia, te są utraty zadatki.
Zbierał Piotr, z arend żydów przenosił i zsadzał,
Ten ciemiężył poddanych, ten w percepcie zdradzał.
Niedbały na rozkazy ścisłe jegomości,
Wziął pięćdziesiąt gumienny, sto plag podstarości.
Nieustannie powtarzał, co rano przykazał,
Codzień nowe rozkazy i pisał i mazał,
Do gumien, obór, stodół porozsełał sługi,
Chodził rano i w wieczór, gdzie orały pługi.
Jedne zyski wyprosił, a drugie wyfukał;
Zwiózł wcześnie, przedał dobrze, i kupca oszukał.
Rok się skończył: perceptę gdy z ekspensą liczył,
Poszedł handel z intratą, i jeszcze pożyczył.
— To pewnie były zbytki? — Źle jadł, źle się nosił:
— Pewnie w święta? — I to nie: w dom gości nie prosił:
— Może jejmość? — Ta zawdy siedziała nad przędzą,
Przy niéj kapłony tuczą i pieczenie wędzą.
— Cóż tę stratę przyniosło? — Szelągi i grosze.
Nie znał się na nich, dawał, upuszczał potrosze,
Zrobiły się z nich złote, tynfy i talary:
I tak za małe fraszki, za drobne towary
Wyszła summa: a ten co poddanych uciskał,
Pracując stracił jeszcze, zamiast coby zyskał.
Nie tak czynił pan Michał — Jakże? — Ale proszę,
Proszę mi nie przeszkadzać. Znał pan Michał grosze,
Znał szelągi. — Któż nie zna? — Ale nie, nie znacie,
Nie jest to znać, kto małéj nie zabiega stracie.
Pan Michał, nim dał szeląg, pierwéj się zatrzymał,
Obejrzał go dwa razy: a chociaż się zżymał,
Choć już rękę wyciągnął, nazad w kieszeń schował,

Został szeląg z drugiemi, w grosz się porachował.
Przyszło więcéj, woreczek coraz się dął spory,
Aż nakoniec z woreczka zrobiły się wory.
Pierwszy szeląg schowany, co się w grosz pomnożył,
Ten grunt milionowy fortuny założył.
Złoto się samo strzeże; miedź wstrzymać należy.
Czerwony złoty siedzi, ale szeląg bieży...
Trzeba go mieć na oku, a gdy zbieg uciecze,
Zwracać nazad; bo drugich za sobą wywlecze.
Tak mówił nasz pan Michał, co krocie rachował.
— Nic téż nie jadł? — Jadł dobrze, sobie nie żałował.
Żył uczciwie, wygodnie, chociaż nie wspaniale;
Lepsze miał wino w kubku, niż drugi w krysztale.
Tuczniejszy jego kapłon, niż pańskie bażanty.
Wydawał on, gdzie trzeba, ale nie na fanty,
Nie na fraszki, co z wierzchu śklnią się, wewnątrz puste,
Nie na zbytki kosztowne, lub modną rozpustę.
Brał rzeczy, jak brać trzeba, i cenił istotą;
Znał on, co jest pozłota, znał co szczere złoto.
Tym sposobem zgromadził, wspomógł się i użył;
Godzien szczęścia, bo na nie gruntownie zasłużył.
Nad nasz polor prostotę ja dawną przenoszę.
Niegdyś za naszych ojców rachowano grosze;
Trzymały się téż lepiéj. Szły w liczbie na kopy;
Bogatsze były pany, majętniejsze chłopy.
Teraz modniejszą jakąś przywdzialiśmy cnotę,
Rachujem na talary, na czerwone złote.
Nie masz ich téż, a jeśli niekiedy zabrzęczą,
Napłaczą się poddani pierwéj i najęczą.
Wstydzimy się szelągów, złota trzosy nosim;
Cóż potém, kiedy z lichwą ledwie je uprosim?
Albo czyniąc bezwstydną zyskowi ofiarę,
Przedajemy za złoto ojczyznę i wiarę?
Zły to handel, o bracia! nikt na nim nie zyska!
Choć ostatnia potrzeba gnębi i przyciska,
Lepiéj być i żebrakiem, ale żebrać z cnotą,
Niż siebie i kraj wieczną okrywać sromotą.
Zbytek nas w to wprowadził, z nim duma urosła;
Ta z kraju krwawą pracę poddanych wyniosła,
Ta panów ogołaca, ta poddanych gnębi,
Ta naród w przepaścistéj klęsk zanurza głębi.
Chcieć być, czém być nie można, duma to jest podła.
Chcemy bogactw, wróćmy się do dawnego źródła!

Niechaj się każdy zbytków niepotrzebnych strzeże;
Nie szpeci wstrzemięźliwość i proste odzieże.
Lepszy szeląg z intraty, chociaż jest miedziany,
Niż pieniądz złoto-stemplny, ale pożyczany.
Takiemi się ojcowie nie obciążywali:
Po szelągu, po groszu, oni rachowali,
I mieli co rachować. My, z pozoru drodzy,
Choć tysiące rachujem, przecież my ubodzy.

Pijaństwo.

— Zkąd jedziesz? — Ledwo chodzę. — Słabyś? — I jak jeszcze!
Wszak wiesz, że się ja nigdy zbytecznie nie pieszczę;
Ale mi zbyt dokucza ból głowy okrutny.
— Pewnieś wczoraj był wesół? — Dlategoć dziś smutny.
— Przejdzie ból: powiedzże mi, proszę, jak to było?
Po smacznym, mówią, kąsku, i wodę pić miło.
— Oj nie miło mój bracie! bodaj z tém przysłowiem
Przepadł, co go wymyślił! jak było opowiem.
Upiłem się onegdaj dla imienin żony;
Nie żal mi tego było. Dzień ten obchodzony
Musiał być uroczyście. Dobrego sąsiada
Nieźle czasem podpoić; jéjmość była rada;
Wina mieliśmy dosyć, a że dobre było,
Cieszyliśmy się pięknie, i nieźle się piło.
Trwała uczta do świtu. W południe się budzę.
Cięży głowa, jak ołów; krztuszę się i nudzę;
Jéjmość radzi herbatę, lecz to trunek mdlący.
Jakoś koło apteczki przeszedłem niechcący,
Anyżek mnie zaleciał: trochę nie zawadzi;
Napiłem się więc trochę, może mi poradzi.
Nudno przecię: ja znowu; już mi raźniéj było.
W tém dwóch z uczty wczorajszéj kompanów przybyło:
Jakże nie poczęstować, gdy kto w dom przychodzi?
Jak częstować, a nie pić? i to się nie godzi.
Więc ja znowu do wódki: wypiłem niechcący
Omne trinum perfectum, bo trunek gorący
Dobry jest na żołądek. Jakoż, w punkcie zdrowy,
Ustały i nudności, ustał i ból głowy.
Zdrów i wesół wychodzę z mojemi kompany,
W tém obiad zastaliśmy już przygotowany.
Siadamy. Chwali trzeźwość pan Jędrzéj, my za nim:
Bodaj to wstrzemięźliwość! pijatykę ganim,
A tymczasem butelka nietykana stoi.

Pan Wojciech, co się bardzo niestrawności boi,
Po szynce, cośmy jedli, trochę wina radzi.
Kieliszek jeden, drugi, zdrowiu nie zawadzi,
A zwłaszcza kiedy wino wytrawione, czyste.
Przystajem na takowe prawdy oczywiste:
Idą zatém dyskursa tonem statystycznym,
O miłości ojczyzny, o dobru publicznem,
O wspaniałych projektach, mężnym animuszu,
Kopiem góry dla srebra i złota w Olkuszu,
Odbieramy Inflanty i państwa multańskie,
Liczymy owe summy neapolitańskie,
Reformujemy państwo, wojny nowe zwodzim,
Tych bijem wstępnym bojem, z tamtemi się godzim;
A butelka nieznacznie, jakoś się wysusza.
Przyszła druga; a gdy nas żarliwość porusza,
Pełni pociech, że wszyscy przeciwnicy legli,
Trzeciéj, czwartéj i piątéj, aniśmy postrzegli.
Poszła szósta i siódma, za niemi dziesiąta.
Naówczas, gdy nas miłość ojczyzny zaprząta,
Pan Jędrzéj, przypomniawszy żórawińskie klęski,
Nuż w płacz nad królem Janem.—Król Jan był zwycięzki!
Krzyczy Wojciech.—Nie prawda!— a pan Jędrzéj płacze.
Ja, gdy ich chcę pogodzić i rzeczy tłómaczę,
Pan Wojciech mi przymówił:—Słyszysz waść?—mi rzecze.
— Jakto, waść! Nauczę cię rozumu, człowiecze!
On do mnie ja do niego; rwiemy się zajadli.
Trzyma Jędrzéj: na wrzaski służący przypadli,
Nie wiem, jak tam skończyli zwadę naszę wielką,
Ale to wiem i czuję, żem wziął w łeb butelką.
Bodaj w piekło przepadło obrzydłe pijaństwo!
Cóż w niém? tylko niezdrowie, zwady, grubijaństwo,
Oto profit: nudności, i guzy, i plastry.
— Dobrze mówisz, podłéjto zabawa hałastry:
Brzydzi się niém człek prawy, jako rzeczą sprosną;
Z niego zwady, obmowy nieprzystojne rosną;
Pamięć się przez nie traci, rozumu użycie,
Zdrowie się nadweręża i ukraca życie.
Patrz na człeka, którego ujęła moc trunku!
Człowiekiem jest z pozoru, lecz w zwierząt gatunku
Godzien się mieścić, kiedy rozsądek zaleje,
I w kontr naturze postać bydlęcą przywdzieje.
Jeśli niebios zdarzenie wino ludziom dało,
To na to, by użyciem swojém orzeźwiało.

Użycie darów bożych powinno być w mierze;
Zawstydza pijanice nierozumne zwierze,
Potępiają bydlęta niewstrzymałość naszą:
Trunkiem, według potrzeby, gdy pragnienie gaszą,
Nie biorą nad potrzebę. Człek, co niemi gardzi,
Gorzéj od nich gdy działa, podlejszy tém bardziéj.
Mniejsza guzy i plastry, to zapłata zbrodni.
Większéj kary, obelgi, takowi są godni,
Co w dzikiém zaślepieniu występni i zdrożni,
Rozum, który człowieka od bydlęcia różni,
Śmią za lada przyczyną przytępiać, lub tracić.
Jakiż zysk taką szkodę potrafi zapłacić?
Jaka korzyść, tak wielką utratę nagrodzi?
Zła to radość, mój bracie! po któréj żal chodzi.
Ci, co się na takowe nie udają zbytki,
Patrz, jakie swéj trzeźwości odnoszą pożytki!
Zdrowie czerstwe, myśl u nich wesoła i wolna,
Moc i raźność niezwykła i do pracy zdolna:
Majętność w dobrym stanie, gospodarstwo rządne,
Dostatek na wydatki potrzebnie rozsądne.
Te są wstrzemięźliwości zaszczyty, pobudki,
Te są...—Bądź zdrów!—Gdzie idziesz?—Napiję się wódki.

Przestroga młodemu.

Wychodzisz na świat, Janie. Przy zaczęciu drogi,
Żądasz zdania mojego i wiernéj przestrogi:
Dam, na jaką się może zdobyć moja możność,
W krótkich ją słowach zamknę: miéj, Janie, ostrożność!
Wchodzisz na świat, krok pierwszy stawić nie jest snadno.
Zewsząd cię zbójcy, zdrajcy, filuty opadną,
Zewsząd łowcy przebiegli, kształtną biorąc postać,
Będą czuwać, jakby cię w sidła swoje dostać.
Wpadniesz, jeśli się pierwéj dobrze nie uzbroisz.
Słusznie się więc twych kroków pierwiastkowych boisz.
Rzadki na świat przychodzień, któryby obfito
Nie zapłacił na wstępie oszukania myto.
Strzeż się, nie żebyś grzeszył zbytniem nieufaniem.
Roztropna jest ostrożność. Piotr szedł za jéj zdaniem,
Średniej się drogi trzymał, i tak kroki zmierzał,
Że ani zbytnie ufał, ani nie dowierzał.
Piotr ocalał, i chociaż podejścia nie szukał,
Choć szedł drogą poczciwych, filutów oszukał.
— A to jak? — Tak, jak ślepy; ten, gdzie się obraca,

Nim stąpi, kijem pierwéj bezpieczeństwa maca.
Miéj się na ostrożności, nikt cię nie oszuka.
Znajdziesz Pawła na wstępie, co przychodniów szuka;
Stary to mistrz i profes w filutów zakonie,
Zna on nie tylko panów, ale psy i konie.
Układa się i łasi; powierzchownie grzeczny,
Z miny, z giestów, poczciwy, uprzejmy stateczny;
Temu rady dodaje, z tym się towarzyszy,
Tamtemu niby zwierza, co od drugich słyszy.
Trwożny, czy kto nie patrzy, czy kto nie podsłucha,
Zawsze ma coś w rezerwie, i szepce do ucha,
Rai, strzeże, poznaje, i godzi i różni;
Przeszli przez jego ręce szlachetni, wielmożni,
Przeszli; a z tych, co zdradnie całował i ściskał,
Żadnego nie wypuścił, żeby co nie zyskał.
Znajdziesz po nim Macieja, co już resztą goni.
Przechodzi dotąd wszystkich wytwornością koni,
Ekwipaż po angielsku, z francuzka lokaje:
A choć do dalszych zbytków sposobu nie staje,
Choć nikt borgować nie chce, przykrzą się dłużnicy,
Przecież Maciéj paradnie jedzie po ulicy,
Przecież laufry przed końmi, murzyn za karetą.
Chcesz wiedzieć tajemnicę przed światem ukrytą?
Nauczysz się, bylebyś tym szedł, co on torem,
Bylebyś się pożegnał z cnotą i honorem,
Bylebyś czoło stracił; dojdziesz przedsięwzięcia,
Zbądź się wstydu, a język trzymaj od najęcia:
Czołgaj się, a gdy podłość rozpostrzesz najdaléj,
Dokażesz, że przed tobą będą się czołgali.
Zyskasz korzyść niecnotą; ale to zysk podły.
Nie temi prawe szczęście obwieszcza się źródły,
Strzeż się więc takich zdobycz, co czynią zelżywym.
Jesteś w wiośnie młodości, w tym wieku szczęśliwym,
Co do wszystkiego zdatny. Do użycia wzywa
Rozkosz, miła z pozoru, w istocie zdradliwa;
Uwdzięcza bite ślady; lecz choć mile pieści,
Kładzie żółć przy goryczy, ciernie z kwiaty mieści,
Omamia nieostrożnych zdradnemi kompany.
Będziesz na pierwszym wstępie uprzejmie wezwany
Od rzeszy grzecznomodnéj, rozpustnie wytwornéj.
Tam się nauczysz w szkole przebiegłéj, wybornéj,
Jak grzecznie rozposażyć zbiory przodków skrzętne,
A ślady wspaniałości stawiając pamiętne,

Niesłychanemi zbytki i treścią rozpusty
Zawstydzać marnotrawców i dziwić oszusty.
Nauczysz się: jak prawom można się nie poddać;
Jak dostać, kiedy nie masz; dostawszy, nie oddać;
Jak zwodzić zaufanych, a śmiać się z zwiedzionych;
Jak w błędzie utrzymywać stucznie omamionych;
Jak się udać, gdy trzeba, za dobrych i skromnych;
Jak pochlebiać przytomnym, śmiać się z nieprzytomnych;
Jak cnocie, gdzie ją znajdziesz, dać zelżywą postać;
Jak deptać wszystkie względy, byle swego dostać;
Jak, wziąwszy grzeczną tonu modnego postawę,
Dla żartu dowcipnego szarpać cudzą sławę;
Jak się chlubić z niecnoty, a w wyrazach sprosnych,
Mięszać fałsz z zuchwałością w tryumfach miłosnych.
Taka to nasza młodzież! po skażonéj wiośnie,
Jaki plon, jaki owoc w jesieni urośnie?
  Rzuć okiem na Tomasza; słaby, wynędzniały,
Dwudziestoletni starzec; poszły kapitały
Poszły wioski, miasteczka, pałace, ogrody.
Jęczy nędzarz, a pamięć niepowrotnéj szkody
Truje resztę dni smutnych, co je wlecze z pracą;
Taka korzyść rozpusty, tak się zbytki płacą.
  Uszedłeś marnotrawców, wpadniesz w otchłań nową,
Ci to są, co z romansów zawróconą głową,
Bohatery miłosne, żacy teatralni,
Trawią wiek u nóg bogiń przy ich gotowalni.
Westchnienia ich kunsztowne do Filidów modnych,
Koloandry w affektach wiernych, a dowodnych,
Jęczą nad srogim losem: a boginie cudne,
Raz uprzejme, drugi raz dzikie i obłudne,
Czy się zechcą nasrożyć, czy wdzięcznie uśmiechać,
Dają im tylko wolność rozpaczać i wzdychać.
  Strzeż się matni zdradliwych, w które płochych mieści
Zbyt czuły na podstępy zawsze kunszt niewieści;
Strzeż się sideł powabnych, które młodzież wabią;
Choć sztuką zdradę skryją, pęta ujedwabią,
Przecież w nich wolność ginie, czas się drogi traci.
Zysk wdzięcznych sentymentów w cnoty nie bogaci:
A Filida tymczasem, gdy ją statek smuci,
Dla nowego Tyrsysa, dawnego porzuci.
  Skacz ze skały w miłosnych pętach, niewolniku,
Albo siadłszy w zamysłach przy krętym strumyku,
Gadaj z echem płaczącém na płonne nadzieje;

Twoja Filla tymczasem z głupiego się śmieje.
— Nie masz tego w romansach, ale jest na jawie;
Ktokolwiek się téj płochéj poświęcił zabawie,
Nie inszą korzyść żądań zniewieściałych zyska.
Czyli politowania wart, czy pośmiewiska,
Niech boginie osądzą. Ty zważ, co cię czeka:
Boginie są, mój Janie; czcij je, lecz zdaleka.
Nie żebyś był odludkiem: znajdziesz nawet w mieście,
Co umysł mając męzki, powaby niewieście,
Szacowne bardziéj cnotą, niż blaskiem urody.
Mimo zwyczaj powszechny, mimo przepis mody,
Śmią pełnić obowiązki, a proste Sarmatki,
Są i żony poczciwe, i starowne matki.
Romans je w obowiązkach nigdy nie rozgrzesza;
Z takich gniazd, jeśli znajdziesz, szukaj towarzysza;
I znajdziesz. Niech odszczeka, co je trzy rachował.
Nie będę ja zbyt ostrą satyrą brakował;
Są, a często, choć pozór przeciwnie obwieszcza,
W uściech płochość, a cnota w sercu się umieszcza.
   Wojciech, mędrzec ponury, łapie młodzież żywą,
A najeżony miną poważnie żarliwą,
Nową rzeczy podstawą gdy dziwi i cieszy,
Same wyroki głosi zgromadzonéj rzeszy.
Za nic dawni pisarze; stare księgi fraszki;
Dzieła wieków, to płonne u niego igraszki;
Filozof, jednem słowem, i miną i cerą,
Unosi się nad podłą gminu atmosferą:
Depce miałkość uprzedzeń, a dając, co nie ma,
Stwarza nowy rząd rzeczy, i wiary systema.
   Zdaleka od téj szkoły, zdaleka, mój Janie!
Powabne tam jest wejście, wdzięczne przywitanie,
Ale powrót fatalny. Zły to rozum, bracie,
Co się na cnoty, wiary, zasadza utracie.
Okiełznaj dumne zdania pokory munsztukiem:
Wierz, nie szperaj, bądź raczej cnotliwym nieukiem,
Niż mądrym, a bezbożnym. Tacy byli dawni,
Równie, a może więcéj naukami sławni,
Przodki twoi poczciwi, co Boga się bali.
Co mogli, co powinni, oni roztrząsali;
Umieli dzielić w zdaniu, o czém sądzić można,
Od tego, w czém nauka próżna i bezbożna.
   Na co rozum, dar boży, jeśli bluźni dawcę?
Mijaj, Janie, bezbożnych maksym prawodawcę,

Mijaj mądrość nieprawą! Ta niech tobą rządzi,
Co do cnoty zaprawia, w nauce nie błądzi;
Co prawe obowiązki bezwzględnie określa,
Co zna ludzką ułomność, w zdaniach nie wymyśla;
Co się łącząc z poczciwym staropolskim gminem,
Nie każe ci się wstydzić, żeś chrześcijaninem.

Żona modna.

A ponieważ dostałeś, coś tak drogo cenił,
Winszuję, panie Pietrze, żeś się już ożenił.
— Bóg zapłać! — Cóż to znaczy? Ozięble dziękujesz?
Albož to szczęścia twego jeszcze nie pojmujesz?
Czylić się już sprzykrzyły małżeńskie ogniwa?
— Nie ze wszystkiém: lubo to zazwyczaj tak bywa;
Pierwsze czasy cukrowe. — Toś pewnie w goryczy?
— Jeszczeć.—Bracie! trzymaj więc, coś dostał w zdobyczy.
Trzymaj skromnie, cierpliwie, a milcz tak, jak drudzy,
Co to swoich małżonek uniżeni słudzy,
Z tytułu ichmościowie, dla oka dobrani,
A jéjmość tylko w domu rządzczyni i pani.
Pewnie może i twoja? — Ma talenta śliczne;
Wziąłem po niéj w posagu cztery wsie dziedziczne,
Piękna, grzeczna, rozumna. — Tém lepiéj. — Tém gorzéj,
Wszystko to na złe wyszło, i zgubi mnie sporzéj.
Piękność, talent, wielkie są zaszczyty niewieście;
Cóż potém, kiedy była wychowana w mieście?
— Albož to miasto psuje? — A któż wątpić może!
Bodaj to żonka ze wsi! — A z miasta? — Broń Boże!
Źlem tuszył, skorom moję pierwszy raz obaczył;
Ale, żem to, com spostrzegł, na dobre tłómaczył,
Wdawszy się już, a nie chcąc dla damy ohydy,
Wiejski Tyrsys, wzdychałem do mojéj Fillidy.
Dziwne były jéj giesta i misterne wdzięki:
A nim przyszło do ślubu i dania mi ręki,
Szliśmy drogą romansów: i czym się uśmiechał,
Czym się skarzył, czy milczał, czy mówił, czy wzdychał,
Widziałem, żem niedobrze udawał aktora;
Modna Fillis gardziła sercem domatora.
I ja byłbym nią wzgardził; ale punkt honoru,
A czego mi najbardziéj żal, ponęta zbioru:
Owe wioski, co z memi granicą dziedziczne,
Te mnie zwiodły, wprawiły w te okowy śliczne.
Przyszło do intercyzy. Punkt pierwszy: że w mieście

Jejmość, przy doskonałej francuzkiej niewieście,
Co lepiej, bo Francuzka, potrafi ratować,
Będzie mieszkać, ilekroć trafi się chorować.
Punkt drugi: chociaż zdrowa czas na wsi przesiedzi,
Co zima jednak miasto stołeczne odwiedzi.
Punkt trzeci: będzie miała swój ekwipaż własny.
Punkt czwarty: dom się najmie wygodny, nie ciasny,
To jest, apartamenta paradne dla gości,
Jeden z tyłu dla męża, z przodu dla jejmości.
Punkt piąty... a broń Boże! zląkłem się! — A czego?
— Trafia się, rzekli krewni, że z zdania spólnego
Albo się węzeł przerwie, albo się rozłączy.
— Jaki węzeł? — Małżeński. — Rzekłem: ten śmierć kończy!
Rozśmieli się z wieśniackiej przytomni prostoty.
I tak, płacąc wolnością niewczesne zaloty,
Po zwyczajnych obrządkach, rzecz poprzedzających,
Jestem wpisany w bractwo braci żałujących.
Wyjeżdzamy do domu. Jejmość w złych humorach.
— Czém pojedziem? — Karetą. — A nie na ressorach? —
Dalej ja po ressory. Szczęściem kasztelanic,
Co karetę angielską sprowadził z zagranic,
Zgrał się co do szeląga. Kupiłem. Czas siadać.
Jejmość słaba. Więc podróż musimy odkładać.
Zdrowsza jejmość; zajeżdża angielska kareta.
Siada jejmość, a przy niej suczka faworyta.
Kładą skrzynki, skrzyneczki, woreczki i paczki:
Te od wódek pachnących, tamte od tabaczki,
Niosą pudło kornetów, jakiś kosz na fanty;
W jednej klatce kanarek, co śpiewa kuranty,
W drugiej sroka; dla ptaków jedzenie w garnuszku;
Dalej kotka z kocięty, i mysz na łańcuszku.
Chcę siadać, nie masz miejsca; żeby nie zwlec drogi,
Wziąłem klatkę pod pachę, a suczkę na nogi.
Wyjeżdżamy szczęśliwie, jejmość siedzi smutna;
Ja milczę; sroka tylko wrzeszczy rezolutna.
Przerwała jejmość myśli: — Masz wacpan kucharza?
Mam, moje serce. — A pfe, koncept z kalendarza!
Moje serce! proszę się tych prostactw oduczyć. —
Zamilkłem; trudno mówić, a dopiero mruczyć.
Więc milczę. Jejmość znowu o kucharzu pyta:
— Mam, mościa dobrodziejko — Masz wacpan stangreta? —
Wszak nas wiezie. — To furman. Trzeba od parady
Mieć inszego. Kucharza dla jakiej sąsiady

Możesz wacpan ustąpić. — Dobry! — Zkąd? — Poddany.
— To musi być zapewne nieoszacowany!
Musi dobrze przypiekać recuszki, łazanki,
Do gustu pani wojskiéj, panny podstolanki!
Ustąp go wacpan; przyjmą pana Matyasza,
Może go i ksiądz pleban użyć do kiermasza.
A pasztetnik? — Umiałci i pasztety robić.
— Wierz mi wacpan, jeżeli mamy się sposobić
Do uczciwego życia, weźże ludzi zgodnych,
Kucharzy cudzoziemców, pasztetników modnych!
Trzeba i cukiernika. Serwis zwierciadlany
Masz wacpan, i figurki piękne z porcelany?
— Nie mam. — Jak to być może? Ale już rozumiem,
I lubo jeszcze trybu wiejskiego nie umiem,
Domyślam się. Na wety zastawiają pułki,
Tam w pięknych piramidach krajanki, gomułki,
Tatarskie ziele w cukrze, imbir chiński w miodzie:
Zaś ku większéj pociesze razem i wygodzie,
W ładunkach bibułowych kmin kandyzowany,
A na wierzchu toruński piernik pozłacany.
Szkoda mówić, to pięknie, wybornie i grzecznie,
Ale wybacz mi wacpan, że się stawię sprzecznie.
Jam niegodna tych parad, takiéj wspaniałości. —
Zmilczałem, wolno było żartować jéjmości.
Wjeżdżamy już we wrota, spojrzała z karety:
— A pfe, mospanie! Parkan! Czemu nie sztachety? —
Wysiadła: a z nią suczka, i kotka i myszka.
Odepchnęła starego szafarza Franciszka;
Łzy mu w oczach stanęły i westchnął. W drzwi wchodzi:
— To nasz ksiądz pleban. — Kłaniam. — Zmarszczył się [dobrodziéj.
— Gdzie sala? — Tu jadamy. — Kto widział tak jadać!
Mała izba, czterdziestu nie może tu siadać. —
Aż się wzdrygnął Franciszek, skoro to wyrzekła,
A klucznica natychmiast ze strachu uciekła.
Jam został. Idziem daléj. — Tu pokój sypialny. —
A pokój do bawienia? — Tam gdzie i jadalny.
— To być nigdy nie może. — A gabinet? — Daléj;
Ten będzie dla wacpani, a tu będziem spali.
— Spali? proszę, mospanie, do swoich pokojów.
Ja muszę mieć osobne od spania, od strojów,
Od książek, od muzyki, od zabaw prywatnych,
Dla panien pokojowych, dla służebnic płatnych. —

A ogród? — Są kwatery z bukszpanu, ligustru.
— Wyrzucić! Nie potrzeba przydatniego lustru!
To niemczyzna. Niech będą z cyprysów gaiki,
Mruczące po kamykach, gdzie niegdzie strumyki,
Tu kijosk, tu meczecik, holenderskie wanny,
Tu domek pustelnika, tam kościół Dyanny,
Wszystko jak od niechcenia, jakby od igraszki.
Belwederek maleńki, klateczki na ptaszki.
A tu słowik miłośnie szczebioce do ucha,
Synogarlica jęczy i gołąbek grucha;
A ja sobie rozmyślam pomiędzy cyprysy,
Nad nieszczęściem Pameli albo Heloisy. —
Uciekłem, jak się jéjmość rozpoczęła zżymać.
Już téż więcéj nie mogłem tych bajek wytrzymać:
Uciekłem. Jéjmość w rządy: pełno w domu wrzawy,
Trzy sztafety w tygodniu poszło do Warszawy;
W dwa tygodnie już domu i poznać nie można.
Jéjmość w plany obfita, a w dziełach przemożna,
Z stołowéj izby belki wyrzuciwszy stare,
Dała sufit, a na nim Wenery ofiarę.
Już alkowa złocona w sypialnym pokoju;
Gipsem wymarmurzony gabinet od stroju;
Poszły słoje z apteczki, poszły konfitury,
A nowém dziełem kunsztu i architektury,
Z półek szafy mahoni, w nich książek bez liku,
A wszystkie po francuzku; globus na stoliku,
Buduar śklni się złotem, pełno porcelany,
Stoliki marmurowe, zwierciadlane ściany...
Zgoła, przeszedł mój domek warszawskie pałace,
A ja w kącie, nieborak, jak płaczę, tak płaczę.
To mniejsza, lecz gdy hurmem zjechali się goście,
Wykwintne kawalery i modne jéjmoście,
Bal, maski, trąby, kotły, gromadna muzyka:
Pan szambelan za zdrowie jéjmości wykrzyka,
Pan adjutant wypija moje stare wino,
A jéjmość, w kącie siedząc z panią starościną,
Kiedy się ja uwijam, jako jaki sługa,
Coraz na mnie pogląda, śmieje się i mruga.
Po wieczerzy fajerwerk; goście patrzą z sali.
Wpadł szmermel między gumna, stodoła się pali!
Ja wybiegam, ja gaszę, ratuję i płaczę,
A tu brzmią coraz głośniéj na wiwat trębacze.
Powracam zmordowany od pogorzeliska;

Nowe żarty, przymówki, nowe pośmiewiska.
Siedzą goście, a coraz więcej ich przybywa.
Przekładam zbytni ekspens: jejmość zapalczywa,
Z swojemi czterema wsiami odzywa się dwornie.
— I osiem nie wystarczy — przekładam pokornie.
— To się wróćmy do miasta. — Zezwoliłem, jedziem.
Już tu od kilku niedziel zbytkujem i siedzim;
Już... ale dobrze mi tak, choć frasunek bodzie:
Cóż mam czynić? żal próżny, jak mówią, po szkodzie.

Życie dworskie.

Joachimie! już młodość porywcza uciekła,
I wieku dojrzałego już pora dociekła;
Ta pora, w której żądze słabiéć zaczynają.
Strawiłeś lata twoje między dworską zgrają:
Zrazu młodzian, dojrzalszy potém, profes teraz,
Zyskujący, zdradzony, oszukany nieraz,
Zgoła, dworak. Więc naucz, świadom znamienicie,
Na czém zawisło, jakie u dworu jest życie?
Milczysz? znać, żeś jest dworak; ja wieśniak opowiem:
Najprzód (trzeba te rzeczy brać z lekka), albowiem
Obraziłbym i wielu, gdybym prawdę szczerą
Objawił, a z niezwykłą dworom manijerą.
Grzeczność, talent nielada; ten rad w dworach gości,
Ten kształci oświecone jaśnie wielmożności,
Ten jest cechą każdego, co się dworu ima,
Co pozoru ma nazbyt, a istoty nie ma;
Zgoła, co jest dworakiem. Panie Joachimie,
Powiedz, co tam w ohydzie, a co tam w estymie?
— Cnota. — Waszmość żartujesz. Kunsztem wielorakim,
Umiałeś żyć u dworu, i jesteś dworakiem.
A ja prostak, a przecież chciałbym z tego toru
Coś pojąć i określić, jak żyją u dworu.
Źlem się udał, daremniem staranie postradał!
A któż się u dworaków o prawdzie dobadał?
Więc coś nie odpowiedział, choć wiesz, a wiesz ściśle,
Ja co nie wiem, na domysł powiem i określę.
Dwór, jest to wybór ludzi; tak mówi świat grzeczny:
Ale świat pospolity zdaniu temu sprzeczny.
Kto z nich lepiéj osądził? Grzeczny mówi wdzięcznie:
Cnotę, dowcip, talenta, umieszczone zręcznie,
Dwór najlepiéj obwieszcza. Świat prosty, a szczery,
Jak z łupin, człeka łuszcząc z dobréj manijery;

Gdy nie patrzy, kto czyni, lecz o co rzecz chodzi,
Wszystko zwie po imieniu: Piotr kradł, więc Piotr złodziéj.
— To prawda, lecz niegrzeczna, wyraz zbyt dosadnie:
— Jakże to pięknie nazwać, kiedy Piotr okradnie?
— Można prawdę powiedzieć, ale tonem grzecznym:
Piotr się wprawił w rzemiośle trochę niebezpieczném;
Piotr zażył, a nie swoje; kunsztownie pożyczył;
Zgoła tyle sposobów grzecznych będziesz liczył,
Tak fałsz będziesz uwieńczał, do prawdy sposobił,
Że na to wreszcie wyjdzie: Piotr kradł, dobrze zrobił.
Fałsz grzeczny, to styl dworu, i moneta w kursie;
Wszędzie on się tam mieści: w dziełach i dyskursie,
I choć, nakształt liczmanów, przez się nic nie waży,
Nadali mu panowie walor. Do przedaży
Więc ten fant wielce zdatny, i każdy go chowa.
Ztąd grzeczne oświadczenia, ztąd pieszczone słowa,
Ztąd ostrożna nienawiść i podejścia sztuczne,
Ztąd łaski oświadczenia, łaknącym nietuczne:
Ztąd zgoła wszystko pozór, a mało istoty,
Fałszywe słowa, dzieła, dobrodziejstwa, cnoty;
Ztąd... ale dość już tego. Chciwy o puściznę,
Wlecze się Piotr z poranku na dzienną pańszczyznę:
Uprzedził go Mikołaj. Ściskają się oba;
— Jak się masz przyjacielu? jak ci się podoba
Dzień dzisiejszy?—Pogodny.—Cieszę się.—Ja wzajem.—
Idzie dyskurs uprzejmy zwykłym obyczajem.
Już się sobie zwierzyli, o czém i nie myślą;
Więc obcych wizerunki malują i kreślą.
Jan? — To oszust, — Bartłomiéj? — To szuler wierutny;
Jędrzéj? — Mędrek. — Wincenty? — Dziwak bałamutny.
Franciszek? — On ma rozum tylko przy kieliszku. —
Wchodzi, aż ci do niego: — Witajże, braciszku! —
A Franciszek, co właśnie z nich czynił igrzyska:
— Witajcież, kochankowie! — całuje i ściska.
Już ciżba; ci w dyskursach, ci szepcą do ucha;
Ten niby z drugim gada, a trzeciego słucha:
Tamten łże, a co słucha, łżącemu nie wierzy.
Tomasz stoi, a z boku układa i mierzy:
Jędrzéj mu nie do kroju, więc Jędrzéj ladaco.
Stawia sidła, a dzienną niezwątlony pracą,
Patrzy w ciżbę, gdzie natrzéć: jakoż się już wtłoczył,
Już świeżego wśród zgrai domatora zoczył.
Już przyjaciel serdeczny, sekretów się zwierza,

A na znak poufałych afektów przymierza,
Zmyślił piękną nowinę, szeptając do ucha.
Ten już przedał, co kupił, wieść nielada grucha,
Dopieroż w politykę. Nim pan wszedł do sali,
Już jedne państwa znieśli, drugie rozebrali:
Jędrzéj zyskał Neapol za królową Bonę;
Marek ojcu świętemu darował Lizbonę;
Nie masz Turków, rwą Persy, strach koło Japonów.
   Drzwi się znagła otwarły. Aż tysiąc ukłonów.
Wchodzi pan. Już umilkła świegotliwa zgraja;
Każdy się inszym kształtem łasi i przyczaja,
Każdy patrzy na pana, a z wzroku docieka,
Czego albo się chroni, albo na co czeka.
Wszystkie się usta śmieją, ciągną wszystkie szyje,
Ten się pcha, ten potrąca, ten się jak wąż wije,
Wszyscy na to, kogoby pan giestem oznaczył,
Spojrzał pan na Szymona, dniem dobrym uraczył:
Ażci Szymon w promieniach śmieje się i mruga,
Jan go kocha serdecznie, Piotr najniższy sługa,
Bartłomiéj go uwielbia, a Krzysztof go ściska.
Wszyscy hurmem do niego zdaleka i zbliska:
A Szymon, pełen wdzięków, i niby pokorny,
Mając zaraz na przedaż uśmiech i giest dworny,
Tym go daje w dwójnasób, a tym przez połowę:
Łapią w lot, a już szczęścia ztąd biorąc osnowę.
Ten, który trzema słowy Szymona się szczycił,
Gardzi tym, który tylko półtora uchwycił.
Piotr dostał pół uśmiechu, Jędrzéj ćwierć spojrzenia:
Szczęśliwy, kto z przyjaznéj fortuny zdarzenia
Tyle zyskał, czekając przez nie jeden tydzień,
Że wypadł z ust Szymona dla niego dobry dzień.
I nie próżno, bo mniejszych choć fawor nie szczyci,
Są z łaski faworytów, wicefaworyci.
Urząd to nie wysoki, lecz przecie wygodny,
A przemysł dworów, zawsze w kunszta nowe płodny,
Dzieląc fawor, jak wilgoć w drzewie przez zawiązki,
Z pnia w konary, z konarów przesącza w gałązki.
   O barwę faworytów niech się nikt nie pyta;
Poznać z miny zuchwałéj sługę faworyta.
Choć nierówne teatrum, gdzie są umieszczeni,
Co pan w izbie, to słudzy dokazują w sieni.
   Paweł, co w dworskiéj służbie strawił lat trzydzieści,
Śwista z szpakiem ministra, z psem się jego pieści,

Pochlebuje lokajom, z lauframi się wita,
Dobrze mu się też każda nadaje wizyta.
Jemu szwajcar otwiera drzwi z wdzięcznym uśmiechem;
Jemu lokaje służyć gotowi z pośpiechem:
A co większa, ów pański strzelec poufały,
Raczy słuchać te, co mu opiewa, pochwały.
Nawet jejmość (nie jejmość, jak to pierwej zwali
Ci, co z prosta tak pańskie żony mianowali),
Ale jejmość afektów, jejmość wdzięcznej chęci,
Jejmość miłosno-władna, na dowód pamięci
Uszczypnęła go w ramię. Kontent, głodny czeka;
Już ujrzał perspektywę szczęścia choć z daleka:
Wkrótce bowiem, skutecznej łaskę uprzejmości:
Zyskał przez garderobę wchód do jegomości.
W pierwiastkach nieświadomy Rzym praktyk faworu,
Stawiał cnoty przysionek przed domem honoru.
Przyszły pany, upadły szanowne świątnice:
A przybytków fortuny dumne okolice
Objął przysionek pochlebstw, matactwa i datków.
Otóż dwór, *Joachimie*, z skutków i zadatków:
Temi ścieżki iść musi, kto dworu się trzyma.
Wsi swobodna! szczęśliwy kto ciebie się ima!
Niekształtne twoje zyski, prawda, ale trwałe;
Niech dwór stawia złudzonym widoki wspaniałe,
Niechaj cieszy nadzieją: niźli się ta ziści,
Lepsze małe, lecz pewne, wieśniackie korzyści.

Pan niewart sługi.

I wziął tylko pięćdziesiąt.—Wieleż miał wziąć?—Trzysta!
Tak to z dobrego pana zły sługa korzysta.
— A za co te pięćdziesiąt? — Psa trącił. — Cóż z tego?
— Ale psa, faworyta jegomościnego.
— Prawda, wielki kryminał, ale i plag wiele.
— To łaska, że pięćdziesiąt. — I nieprzyjaciele
Taką łaskę wyświadczą. — On najlepszy z panów,
On sto plag nigdy nie dał. — Mów lepiej: z tyranów,
Co dom czynią katownią, a na płacz nieczuli,
Z wnętrzności się człowieczych ku sługom wyzuli.
Ten, co gdy był sam sługą, dobre miewał pany,
Porzuciwszy niedawno podłe pasamany,
Co się niegdyś pokornie nazywał Maciejem,
Dziś jest jaśnie wielmożnym mości dobrodziejem.
Z za karety, gdzie stawał, przesiadł się w karetę,

W mundur barwę zamienił, a nader obfite
Mając zacności swojéj próby oczywiste,
I herb znalazł, i przodków i panegirystę.
Niech ziółko w krzaczek idzie, choćby w dąb urosło,
Wolno igrać fortunie, jéj to jest rzemiosło;
Cudotworna, na krzesła przerabia warsztaty.
— Maciéj chłop. — I cóż z tego? — Ale że bogaty,
Maciéj szlachcic. — Niech będzie, ja nie chcę kaduka.
Ale Maciéj łakomy i złych zysków szuka;
Nie pracą, lecz podejściem majętność pomnożył,
Bo i nie kładł, gdzie trzeba; wziął, gdzie nie położył.
Ale Maciéj niewdzięczny tym, u których służył,
Ale Maciéj bogactwa na złe tylko użył,
Ale Maciéj nieludzki: to satyra karze.
Nie dba na to, kto w jakiéj zostaje maskarze,
Odrzuca czczą wielmożność: a gdy z chłostą czeka,
Nie szlachcica, nie chłopca ściga, lecz człowieka.
Śpi jegomość w południe, choć pracy nie użył,
Nie śpi Marcin, noc całą i oka nie zmrużył.
Wolno panom, i nadto zbytek im nie wadzi:
Choć mało, nie godzi się ubogiéj czeladzi.
Obudził się jegomość: Marcin, co czuł pilnie,
Krząta się, chce, jak może, dogodzić usilnie;
Nadaremne starania! któż panom dogodzi?
Jak legł, tak wstał niekontent jegomość dobrodziéj.
Wszystko mu nie do gustu. Noc na kartach strawił;
Wszystko źle, zgrał się, wczoraj klejnoty zastawił.
Przyszedł kupiec z rejestrem, termin przypomina,
Trzeba oddać, a nie masz; sto plag dla Marcina.
Płacze w kącie. Więc krnąbrny! Po plagach się schował;
Dali drugie w dwójnasób; za co nie dziękował?
Więc dziękuje, a płacze; ochłonął pan przecie,
I Marcin, że po drugich nie przyszły i trzecie.
Katów waszych, nie panów zjadłości igrzyska!
Nędzni! bydlęta z pracy, a sługi z nazwiska!
I płakać wam nie wolno, mówić jeszcze gorzéj;
Przyjdzie kara za słowem okrutna tém sporzéj!
Paweł skąpy na czeladź, na zbytki utratny,
Za to, że od pół roku służący niepłatny
Prosił go o posiłek, łaknący czas długi;
Dał plag dwieście za strawne, a sto za zasługi.
Hojny pan! stami karze, a płaci dziesiątkiem.
Nieźle zapomożony sługa takim wziątkiem,

Milczy, a widząc, że się nie doprosi snadnie,
Co widocznie nie zyskał, pocichu ukradnie.
Zasmakuje rzemiosło, ażci złodziéj w domu.
Zaprawił się na małéj kwocie pokryjomu;
Pójdzie daléj; z początku trwożny i przelękły,
Ośmieli się: już kłódki, już zawiasy pękły;
Skradł skarbiec, zniknął z oczu, a odmienny stanem
Przez kradzież, jakto teraz, zostanie i panem.
— A któżto teraz okradł? — Nie odpowiem snadnie;
Raczéj pytaj, mój bracie, kto teraz nie kradnie?
Stracił ten kunszt odrazę, przemyślnych oświeca;
Dla głupich, dla ubogich, tylko szubienica.
Inaczéj o tych rzeczach świat mądry rozumié;
Nie karzą, że ktoś okradł, lecz, że kraść nie umié.
Ale to nie o sługach. Zwyczajne u dworu
Są stopnie: jedne zysku, a drugie honoru.
Jaśnie wielmożny tyran, bożek okoliczny,
Dla większéj wspaniałości raczy mieć dwór liczny.
Ztąd wyższe urzędniki, niższe posługacze:
Pan koniuszy, co bije; masztalerz, co płacze;
Pan podskarbi, co kradnie; piwniczny, co zmyka;
Sługa pieszy, dworzanin, co ma pacholika;
Pokojowiec, przez zaszczyt wspaniałemu sercu,
A dlatego, że szlachcic, bierze na kobiercu.
Pan architekt, co plany bez skutku wymyśla;
Pan doktór, co zabija; sekretarz, co zmyśla;
Pan rachmistrz, co łże w liczbie; gumienny, co w mierze;
Plenipotent, co w sądzie; komissarz, co bierze
Więcéj jeszcze, niż daje, a złodziei mniejszych,
Kradnąc, sam jest użyty do usług ważniejszych;
Łowczy, co jé zwierzynę, a w polu nie bywa;
Stary szafarz, co zawsze panu potakiwa;
Pan kapitan, co Żydów drze, kiedy się proszą;
Żołnierze, co potrawy na stół w galę noszą;
Kapral, co więcéj jeszcze kradnie, niż dragoni;
I dobosz, co pod okna capstrzyk tarabani;
A kiedy do kościoła jedzie z gronem gości,
Bije w dziurawy bęben werbel jegomości.
    Mają króle marszałków: co być królem może,
Jak ma być bez marszałka? gale i podróże
Szlachci dumny urzędnik, namiestnik powagi,
Wice-tyran; bez niego i chłosty i plagi
Nie miałyby zaszczytu. On kary rozdawca,

On rozrządziciel męczeństw, on katowni sprawca.
A jak niegdyś, przed rzymskim konsulem, topory
Niosły kar wykonacze, bezwzględne liktory;
Tak przed srogim marszałkiem sążniste pajuki,
Niosą, skórom pamiętne, boćkowskie kańczuki.
Wchodzi; zewsząd jęczenia i płacze się wznoszą;
Oprawcy, gdy rozkazy srogie nędznym głoszą,
Dom się wrzaskiem napełnia; płacz sług pana cieszy.
Wspaniały jękiem nędznych, płaczem służnéj rzeszy,
Rzuca groźném spojrzeniem nieszczęśliwe losy;
Karmią słuch Neronowy płaczliwe odgłosy,
A w powszechnym nieszczęsnéj czeladzi ucisku,
Gdy przekleństw, narzekania, dań odnosi w zysku,
Czuje, że pan, bo gnębi. Jestże usłużony?
Bynajmniéj; szczęścia tego nie znały Nerony.
Służy wiernie, kto kocha; nie ma sług, kto dręczy;
Niewolnik, co pod jarzmem obelżywém jęczy,
Dźwiga ciężar w przekleństwie na tego, co włożył:
Klnie los, co się tém zjadléj dla niego nasrożył,
Tém dotkliwszym, odjąwszy wolność, skarał stanem:
Gdy kazał służyć temu, co nie wart być panem.

Gracz.

Słusznie niżnik czerwienny, a kinal z nazwiska,
Uczczony matadorstwem. Jemu kart igrzyska
Winniśmy; a walecznym dumne bohatérem,
Wyszły na świat szulery pod wodzem Lahirem.
Tak się zwał ten, co pierwszy dla zabawnéj spółki,
Pod różnemi barwami zebrał cztéry pułki:
I każąc się bić lalkom, głupiego gdy bawił,
Wszystkim jego następcom kunszt zacny objawił.
Weszły karty w potrzebę, tak jak innych wiela,
Których dziwacki wymysł gdy ludziom udziela,
Płacimy haracz modzie. Ztąd tyrany nowe,
Króle winne, czerwienne, żołędne, dzwonkowe,
Bez względu na poddanych majątku ostatki,
Coraz cięższe wkładają jarzma i podatki.
Łask pańskich (jak zazwyczaj) rywale, rywalki,
Dworzany niżnikowie, faworytki krałki,
Zawsze w wojnie, a z niemi i ich adherenci,
Biją wszystkich, skoro się ich kolor wyświęci.
Król najstarszy u innych; nasz, jarzmu niezdolny:
Pod tuzem, jak pod prawem, sadza go lud wolny.

Bije więc wstępnym bojem i króle i kralki,
A my głupi, co gramy, płacimy za lalki.
I lalki nam też płacą. Co ziemi i piędzi
Nie miał przedtém, dziś Marek hrabia na żołędzi,
Z łaski malowanego króla jegomości
Posiada summy, weksle, fanty, majętności.
Jako strumyk, co zlekka po kamyczkach ścieka,
Nim się z niego tak znaczna ustanowi rzeka,
Iż ją majtek w żegludze żartkiém porze wiosłem,
Tak szedł Marek do zbiorów szulerskiém rzemiosłem.
Podłe są gier wspaniałych pierwsze towarzyszki;
Chcesz przyjść do Faraona, trzeba zacząć w pliszki,
Trzeba skrzętném staraniem, gdy pora użycza,
Próbować różnych losów, i w rusa, i w bicza;
A zacząwszy w ciskankę z chłopcy po miesiącu,
Kończyć z pany wśród luster, grając po tysiącu.
Najśmieléj wódz takowy do zwycięztwa zmierza,
Który się od prostego dosłużył żołnierza.
O wy! dusze wyborne, i większe nad prawo!
Wspaniały punkt honoru co trzymając żwawo,
Zaufani, że na was cios kary nie natrze,
Na bankowym fortunę stawiacie teatrze;
A szacownéj wolności chcący zostać wzorem,
Domy wasze stawiacie szulerstwu otworem!
Pozwólcie, dusze wielkie! dusze uwielbione!
Niechaj igrzysk fortuny uchylę zasłonę.
Assamble. Niosą karty, i sztony i marki;
A jako bankierowie na walne jarmarki,
Zasiadają szulery, w wielkie dzieła wprawni;
Koło nich, jak na smyczy, pacyenci sławni.
Ten, nowy kabalista, zaczyna kwerendy:
Stawił na pamiątkę z asem połowę arendy;
Tamten, zazdrosném okiem patrząc na kolegę,
Sypie na kralkę pełną pszenicy komiegę.
Przegrał niźnik, ów niźnik, co się był tak wsławił;
Zgniótł Antoni złoczyńcę, i w komin wyprawił.
Marcin damie łeb urwał za dwa łaszty żyta;
Klnie Jędrzéj nieszczęśliwy i zębami zgrzyta;
A że sąsiad na takąż, jak on, kartę stawia,
Dąsa się na sąsiada, mruczy i przymawia.
I ów przegrał i westchnął, a Jędrzéj się cieszy.
Coraz więcéj zgromadza zysk szulerskiéj rzeszy;
Złoto brzęczy: ten daje, a tamten odbiera:

Ów, że przegrał, za siebie coraz się obziera:
Ktoś mu przyniósł nieszczęście. Piotr przegrał na kralkę,
Byłby i więcéj przegrał, szczęściem postrzegł balkę,
Posunął się, a miejsca gdy lepszego sięga,
Już nietrwożny, jak siedzi, zgrał się do szeląga.
Zgrał się, a nowy tytan, zjadłością rozżarty,
Jak Ossę i Pelion, rzucił w górę karty;
Wyzywa, a w perorach żwawo rozpoczętych,
Bluźni żywych, umarłych, i grzesznych i świętych.
Piotr więcéj jeszcze przegrał, przecież się uśmiecha;
Śmiech w uściech, a łzy w oczach; więc tajemnie wzdycha,
Żal dokucza, wstyd broni; trójka nieszczęśliwa,
Trójka niegdyś pomyślna, a teraz zdradliwa,
Poczwórnem złem padnieniem zgubiła go marnie.
Osierocone złoto, chciwy bankier garnie;
Niemasz czasu i żegnać miłe towarzysze!
Poszedł smutny, siadł w kącie, i satyry pisze.
Pisz, bracie! dobre będą, piękne i zbawienne.
W drugim kącie, na losy płaczący odmienne,
Co największą pociechą strapionego gracza,
Znalazł Łukasz nieszczęsnych awantur słuchacza;
Za nic Rzymu i Aten sławne oratory,
Naówczas, kiedy szuler płaczliwe perory
Rozpoczyna wybornym sposobem i kształtem:
Jakiś los, rozjuszony niesłychanym gwałtem,
Srożył się, jak tylekroć szczęsne i wygrane,
Owe karty z kabały, karty doznawane,
Odmieniły się wszystkie, odmieniły nagle.
A gdy dął wiatr pomyślny w rozpuszczone żagle,
Gdy już okręt ku mecie dążył w bystrym biegu,
Gdy już portu dotykał, rozbił się na brzegu.
Rozbił się!... umilkł mówca... westchnął... głową kiwnął;
Rozbił!... powtórzył słuchacz, i żałośnie ziewnął.
Wrzask — o co? — Jak nie wrzeszczéć! zyski oczywiste
Stracił Jan; wielkim głosem wotum uroczyste,
Co w zaklęciu wskróś serca słyszących przenika,
Czyni, że grać nie będzie... i stawia niźnika.
Stawia zdrajcę, co tyle złota na bank wegnał,
Stawia na pożegnanie; przegrał... nie pożegnał;
A losów nieszczęśliwych dopełniając miarki,
Pozbywszy gotowizny, gra teraz na marki.
Źle rzecz sądzić z pozoru. O marki! o sztony!
Któżby zgadł, żeście czasem warte miliony!

Spytaj Jana, opowie, kościanemi znaki,
Jak z sług pany, a z panów stały się żebraki.
Piotr kontent; Piotr, co wczoraj trzysta nie żałował:
Dziś wziął rewanż, trzy wygrał, do kieszeni schował.
Oszukał, bo grać przestał, tych, co wczoraj zgrali,
Jęczą nad srogą zemstę, więc się ich użali;
Niech wygrane odbiorą: stawił, przegrał; drugą,
I ta poszła; nie bawiąc z odgrywaniem długo,
Co chciał pocieszyć niby zawstydzone franty,
Dał pięćset w gotowiznie, a tysiąc na fanty.
Przegrał, lecz pięknie przegrał, nie oszczędza zbioru;
Ale przegrał na słowo, a to dług honoru.
Niech głód mrą, niech klną pana służący niepłatni,
Żebrak on na potrzeby, na zbytki dostatni.
Pierwszy dług kart u niego, niż zasług, niż cnoty;
Woli płacić za kralkę, niż wspomódz sieroty.
Nie kazał tak król polski, lecz kazał czerwienny:
A zbytek, coraz w głupich zapędach odmienny,
W tém tylko jest stateczny, że niecnotę wdzięczy.
To nie honor zapłacić, gdy sierota jęczy,
Kiedy płacze rzemieślnik, sługa strawion pracą,
A honor, gdy się zbytki i niecnoty płacą!
Jan objął po rodzicach majętność dostatnią,
Wjechał w miasto, a wpadłszy w filutowską matnią,
W takie go facyendy wprawił kunszt łotrowski,
Że w rok poszły intraty, i summy i wioski.
Cóż teraz czyni? oto, widząc w worku pustki,
Z szóstek robi siódemki, a z siódemek szóstki.
Żyje więc jeszcze lepiéj, niż kiedy był panem;
A teraźniejszym dobrze dyrygując stanem,
Kto wie, jeśli co przegrał, nazad nie odkupi.
A jak zdradę postrzegą? Alboto Piotr głupi?
Wyćwiczył się on nieźle. Są mistrze uczeni,
Co, kiedy zechcą, żołądź uczynią z czerwieni,
Co pamfila z kinala; a gdy karta zmyka,
Z króla kralkę uczynią, a z tuza niźnika.
Świat się przepolerował. Bogdajby był dziki,
Bodaj wiecznie przepadły tuzy i niźniki!
Dla głupich się zaczęły, mądrzy je przejęli;
I coby się kartami tylko bawić mieli,
Tracą na nich czas drogi, majątek i cnotę;
A zbrodni filuterskich przejmując ochotę,

Oszukani, utratni, zdrajce i oszusty,
Płacą głupstwu dań zdzierstwa, zbytków i rozpaczy.

CZĘŚĆ DRUGA.

Pochwała milczenia.

Co nie jest do istności, co brak w liczby rzędzie,
Tém mniemamy milczenie, i jesteśmy w błędzie.
Pozór je tak osądził, ale pozór zdradny.
Jest w niém przymiot istotny, jest przymiot dokładny;
Zgoła jest rzeczą dobrą, zdatną pożyteczną.
Pisarze i gadacze! znam waszą myśl sprzeczną,
Przecież na was powstanę. Ty, co ci się marzy,
Ty co bredzisz, co zmyślasz; czasem ci się zdarzy,
Że utrudzony krzykiem, którym drugich nudzisz,
Umilkniesz; a że płochą powieścią nie trudzisz,
Żeś dał uszom spoczynek, wielbią cię słuchacze.
Oddawaj hołd milczeniu. Wy, sławni matacze!
Wy szalbierze z rzemiosła, wy zdrajcy z urzędu,
Professy dzieł nieprawych, wy niegodni względu:
Wy, co słowem, co piórem, umiecie kaleczyć;
Wy, których dziełem, trudem, łgać, zdradzać, złorzeczyć,
Zbyt poznani, milczycie, a głupi wam wierzy.
Hipokryty! wśród waszych wzdychań i pacierzy,
Zdradne milczenie, wtenczas, gdy cnota nie milczy,
Pod jagnięcym pozorem ukrywa jad wilczy.
Szarpacze cudzéj sławy, dzielni błąd dociekać,
Wiecie, jak zdradniéj milczyć, niźli jawnie szczekać:
Wiecie, a cnota jęczy: ztąd zasługi tajne,
Ztąd talenta w pogardzie, ztąd dusze przedajne;
Ztąd nieszczęście poczciwych; a przeciw naturze,
Cnota w podłéj siermiędze, występek w purpurze.
Dworaki! w nieprawości wyćwiczeni szkole;
Wy, co w sztucznym, a zdradnym podstępów mozole
Kładziecie cały polor; strzeżcie się widoku!
Maska, coście przywdziali, patrzających wzroku
Nie osłabi: odkryją zdradę omamienia.
Dusze podłe! nurzcie się w otchłaniach milczenia.

Trwożliwa jest poczciwość: nie jest jéj kunszt głuszyć,
Jakże ją z zaniedbanych kryjówek wyruszyć?
Mógłbyś, Pawle, bo czujesz, choć pełen szkarady;
Mógłbyś, bo masz czołgaczów, coś wysłał na zwiady;
Mógłbyś, bo w twoich ręku los prawego człeka.
Czegoż się cnota, Pawle, od ciebie doczeka?
Milczeniem ją przytłumisz: więc skromna i cicha,
Nieznajoma u dworów narzeka i wzdycha.
Wzdycha nie tak o siebie, bo sobie wystarczy:
Ale gdy na nią podstęp niegodziwy warczy,
Gdy wydziera sposobność, aby zdatną była,
Jęczy, iż chcąc nie może, by uszczęśliwiła.

Niegdyś służyć ojczyźnie hasłem było człeka.
Święte hasło! gdzież jesteś? zmilczane od wieka!
Odgłosie serc poczciwych, niezmazanéj duszy,
Już się o nasze płoche nie obijasz uszy!
Dobrze milczyć, bo płacą: szukaj w pośród wiela!
Jest gmin, ale kto znajdzie w nim obywatela?

O wy! których powinność prawdę mówić jawnie,
Mówić słowo, przykładem potwierdzać ustawnie!
Milczenie was potępia, gdy myśl świecka trwoży;
Świętą śmiałość, bezwzględną, niesie zakon Boży.
Zbyt trwożliwą roztropność jak zgodzicie z stanem?
Znać, czuć, mówić, dać przykład, to jest być kapłanem.

Milczenie! w skutkach bywasz złe, lecz nie w istocie.
Zrzuć barwę, co cię podli, a towarzysz cnocie;
W świetnym się blasku wydasz. — O święto wymowne,
Wtenczas gdy uszy, pochlebstw wdziękom nie warowne,
Uszy pieszczone panów, do pochwał przywykłe,
Za korzyść biorąc brzęki łudzące i znikłe,
Słysząc pochwałę zbrodni, jakby cnotą była;
Wieleż dzielność milczenia zbrodni poprawiła!
Zdało się być przestępne; lecz umysł, co błądził,
Świętą niemotę z czasem, czém była, osądził.

Serc niewinnych okraso, skromności i wstydzie,
Nie daj się szerzyć słowom ku twojéj ohydzie;
Wznoś żądze ku milczeniu, ażeby cię strzegło.
Mniéj od miecza rażonych na placu poległo,
Niż tych, co dzielne w jadzie, w złych skutkach zamożne,
Zgubiło jedno słowo, wolne, nieostrożne.
Niegdyś zbrodnią to było, co dziś żartem mienią;
Płochość z głupstwem nie znają, co wielbią i cenią.

Nieszczęśliwie uwolnion od cnotliwéj dziczy,
Przywykł sprosnym wyrazom słuch czujny, dziewiczy;
Ztąd młodsze, gdy w ubite starszych wchodzą tropy,
Pełno widzim Messalin, rzadkie Penelopy.
Święta niemoto! gdybyś opanować chciała
Te usta, z których zbrodnia szkaradna, zuchwała,
Jak z źródła, gdy obficie w zarazie wytryska,
Śmie z świętości żart czynić, a z cnoty igrzyska!
Wznieś porę pożądaną, i wiekom pamiętną!
Niech zdrajcy, co mądrości znieważyli piętno,
Piętno właściwe cnocie, którą nienawidzą,
Niech poznają, co szepcą, i niechaj się wstydzą!
A jeśli głos wznieść śmieją, daj tego doczekać:
Niech mają dar mówienia, ażeby odszczekać!
Milczenie! sprawco myśli! w twojém łonie żywa
Wznosi się, działa, krzewi, poznaje, odkrywa.
Z tych łożysk buja; wolna od zmyślnéj katuszy,
Wywyższona, poznaje jaka dzielność duszy:
Szuka celu, choć widzi wyższy nad jéj silność,
Nieobjęty żądaniem, tłumiący usilność;
Przecież się lotem wzmaga, a w zapędy płodna,
Poznaje przyszłą istność; czuje, czego godna.

Pochwała wieku.

Lepiéj teraz niż przedtém. — Dlaczego? — Bo lepiéj.
— To dowód oczywisty. — Świat się coraz krzepi.
Nabrał z laty rozumu, a im bardziéj stary,
Tém dzielniéj zeszły, co go szpeciły, przywary.
— Ale dla czego lepiéj? — Dlatego, że byli
Lepsze syny od ojców, co nas poprawili. —
Więc zmyślał ów Horacy? — Zmyślał. — Toć i wierzę.
— Człowiek przedtém był prosty i dziki, jak zwierzę,
Dziś jest istność rozumna, ale jak rozumna!
Z szkół, z obozu, z warsztatu, nawet i od gumna,
Wszystko tchnie wytwornością, wszystko się zwiększyło;
Zgoła zawsze dziś lepiéj, niźli wczoraj było.
— Ale przecież o świecie zła się wieść roznosi:
Powiadają, że się coś popsuło u osi,
Ztąd już lato, nie lato, a zima, nie zima.
— Bajki, powieści, godne mamek, lub pielgrzyma,
Nawet i kalendarza! ale to ogólnie.
Chcesz, abym lepszość naszę dowodził szczególnie?
— Zgoda — Więc... ale zkądże wywodzić pochwały?

— Naprzykład pisma nasze... — To oryginały,
I choć czasem się zdaje, iż dawnych skradamy,
Gdy im czynim ten honor, wtenczas poprawiamy.
Drzémał Homer niekiedy: fraszka zadrzémanie;
My nie drzémiem, lecz śpimy: a to nasze spanie
Roi sny, których różność, wdzięki i wspaniałość,
W saméj treści zawiera wszystką doskonałość.
Żółwim krokiem szły przedtém nauki kłopotne;
My, orły wybujałe, orły bystro lotne,
Wzbiwszy pod same nieba rozpostarte skrzydła,
Z góry patrząc, widzimy treści i prawidła.
Darmo się matka rzeczy z swém działaniem kryła;
Bystrość nasza zakąty ciemne wyśledziła.
Darmo wyrok najwyższy granice oznaczył,
Przeszedł człek, zdarł zasłonę, i jawnie obaczył,
Co było wiekom tajno. Więc sędzie obrani,
Każdy, co jest, wychwala, a co było, gani.
Przewraca dawnych mozół działania na nice,
A rozpostarłszy bystre pojęcia granice,
W taki się lot zapuszcza, iż możnaby myślić,
Jak co lepiéj wynaléźć, albo-li określić.
Ten jest odgłos zbyt częsty; ale czyli bacznych,
Czy prawdy głosicielów, czy błędów dziwacznych?
Niech ci sądzą, co myślą, a myślą jak trzeba.
Pamięć, bystrość, pojęcie, są to dary nieba,
Ale ten skarb, dzierżących nie zawsze bogaci;
Użycie go powiększa, użycie go traci.
Czytał Szymon, wié co, jak i kiedy się działo,
Lecz na tém zasadzony zbyt dumnie, zbyt śmiało,
Czyli się w piśmie uda do prozy, czy wierszy,
Za siebie tylko patrzy, i mniema, że pierwszy.
Ztąd wyroki i w stylu, i w zdaniach opacznych,
Ztąd nowe wynalazki systemów dziwacznych;
Ztąd staremi pogardza, innych mało ceni.
Nie tak czynili, czynią prawdziwie uczeni.
    Wiek, mało dla nauki: powoli przychodzi,
Długo trzeba pracować, nim prace nagrodzi;
Ale téż, choć nieśpieszna, obfita nagroda.
Co powié prawy mędrzec, wiek wiekowi poda,
A te nasze światełka, co błyszczą dość jasno,
Jak się w punkcie rozświecą, tak w punkcie i zgasną.
    Tłum mędrców; przedtém ledwo znaléźć było w tłumie;
Czyż się nowe przymioty odkryły w rozumie?

Czyli wspacznym obrotem wrócił się wiek złoty?
Czy świat dzielniejszą zyskał istność i obroty?
Też same, co i pierwéj: jest tak, jak i było,
Lecz co się w szerz zyskało, w głąb' się utraciło.
Poszła w handel nauka, kramnicą drukarnie,
Głód kładzie pióro w rękę, zysk do pisma garnie.
Mają dowcip na zbyciu w ten jarmark otwarty,
Jak kramarze na łokcie, autory na karty.
A że w rzemiosło handlu wkrada się łotrostwo,
Ztąd owo, co nas gnębi, ksiąg rozlicznych mnóstwo,
W których rozum, naukę, dowcip, wynalazki,
Zastępuje druk, papier, pozłota, obrazki.
Ztąd, niby gazą kryte, wyrazy wszeteczne,
Ztąd fałsze modnym tonem, ztąd bluźnierstwa grzeczne,
Ztąd owe nudne muzy, a niezmiernie płodne,
Ztąd zbiory anegdotów, czytania niegodne;
Ztąd, pod nazwiskiem żartów dowcipnych, potwarze,
Bajki w rząd abecadła; ztąd dykcyjonarze,
Zgoła pisma, niewarte nawet ksiąg nazwiska.
O Fauście! z twojéj łaski druk głupstwa wyciska!
Dałeś łatwość naukom, dowcipowi cechę;
Ma świat, prawda, z przemysłu twojego pociechę,
Lecz z tych skarbnic mądrości nieprzerachowanych,
Za jedno dobre pismo sto głupstw drukowanych.
Bajkami się lud bawi, drukarnia bogaci.
Nim djabła Bohomolec dał w swojéj postaci,
Ileż książek, powieści, o strasznych poczwarach,
O wróżkach, zabobonach, upiorach i czarach,
Trwożyły naszych ojców! Ująwszy gromnicę,
Palił ławnik z burmistrzem w rynku czarownicę:
Chcąc jednak pierwéj dociec zupełnéj pewności,
Pławił ją na powrozie w stawie podstarości.
Zdejmowały uroki stare baby dziecku;
Skakał na pustéj baszcie djabeł po niemiecku;
Krzewiły się kołtuny, czarami nadane;
Gadały po francuzku baby opętane:
A czkając po krużgankach na miejscach cudownych,
Nabawiały patrzących strachów niewymownych.
Co zbytniém dowierzaniem upłodził wiek przeszły,
W teraźniejszym podłące te przywary zeszły;
Ale też zbyt porywczym zaciekły się pędem:
Często, gdy błąd poprawia, śmie prawdę zwać błędem.
Roztropną zdania nasze szalą trzeba mierzyć,

Źle jest nadto dowierzać, gorzéj nic nie wierzyć.
Że się obrzask pokaże w źle chowaném winie,
Nie likwor temu winien, ale złe naczynie.
Trafia się płód odrodny, choć cnotliwéj matki,
A dzikich latorośli poziome ostatki
Gdy ucina ogrodnik, drzewu to nie szkodzi,
Owszem piękniéj wybuja, lepszy owoc rodzi.
Jest granica, za którą przechodzić nie wolno.
Mając porę, ochotę i sposobność zdolną,
Dociekajmy, co możem, co dociec się godzi.
Wiek nasz w wielu odkryciach dawniejsze przechodzi,
Dzień dniu prawdę obwieszcza, godzinom godziny:
Z pracy ojców szczęśliwe korzystają syny,
A do zdatnego rzeczy stosując się życia,
Nowe wiekom późniejszym gotują odkrycia.
— Więc lepiéj rzeczy idą: bo żywiéj, bo sporzéj.
— Sądź, jak chcesz: może lepiéj, może téż i gorzéj.

Pochwała głupstwa.

A ja mówię, że głupstwo niezłym jest podziałem.
— Mądrość przecież zaszczytem, nierozum zakałem.
— Nie wchodzę ja w dysputę: rzecz jest niby jawna:
Maksyma teraźniejsza, tak jako i dawna,
Każe szukać mądrości, a głupstwa się chronić.
Umieli zawsze ludzie od dobrego stronić,
A że głupstwo jest dobrém, stronili od niego.
Patrz na mędrca tetryka, głupca wesołego!
Tu tryska z twarzy zdrowie, tam zapadłe oczy,
Wlecze się chuda mądrość, spasłe głupstwo toczy.
A co lepsza, kto głupi, mądrością jest dumny,
A co gorsza, kto mądry, zna, że mniéj rozumny.
Nasz pan Paweł, choć w głupstwie dni swoje postradał,
Skoro wszedł, wszystkich zgłuszył, Michała przegadał.
Michała, co wiek z księgą trawi w gabinecie.
Prawda... Paweł raz po raz nic do rzeczy plecie,
Ale żwawo i głośno; więc go zgraja słucha.
Zmiłuje się nakoniec, przecie udobrucha,
Da mówić Michałowi, który w kącie wzdycha.
Zaczyna, dobrze mówi, ale mówi zcicha:
Aż w śmiech, co go słuchali: więc milczy zlękniony.
Dopiéroż tym tryumfem głupiec uwielbiony,
Łże, bredzi, decyduje, a w zgrai nacisku,
Odbiera plauz mądrości, i ma sławę w zysku.

— Ale, rzeczesz, pan Paweł nie próbuje rzeczy.
Że czasem przykład jeden doświadczeniu przeczy,
Nie idzie, żeby zawsze podobne bywały.
— Prawda, ale w tėj mierze dowód okazały:
Pawłów jest tysiącami, a rzadki w złym stanie;
Każdy w podobnym sobie ma upodobanie,
Więc głupi prędko znajdzie komu się podoba.
Mędrzec, wieku okrasa, i kraju ozdoba,
Laur ma, prawda, ale ten ni grzeje, ni tuczy.
Głupstwo go jawnie nęka, zazdrość w kącie mruczy.
Półmędrków rodzaj zjadły, zblizka i zdaleka,
Gdy nie może ukąsić, jak szczeka, tak szczeka.
Sroga bitwa: a o co? o liść, lub kadzidła.
Bogdaj to w bractwie głupich! tam szczęścia prawidła,
Tam korzyści, tam rozkosz coraz żywsza z wiekiem:
Każdy kontent, bo czuje, że jest wielkim człekiem.
Fraszka, sława na potėm: co teraz, to moje.
O Pawle! niech ogłoszę uwielbienie twoje!
Pozwól... śmieje się... wielkiś... śmieje się i wierzy.
A że szczodrym wydziałem łaski swoje mierzy,
Za to, żem winny jemu szacunek oznaczył,
Lekkiėm głowy skinieniem obdarzyć mnie raczył;
Tak Jowisz u Homera utwierdzał wyroki.
Choć stopień uwielbienia posiada wysoki,
Zniża się czasem Paweł, kiedy tego godni
Jurgieltowi chwalacze, autorowie głodni:
Ci, których niezmazana w sądzeniu rzetelność,
Gotowa za grosz patent dać na nieśmiertelność,
A przypisując dzieło temu, co druk płaci,
Pieniężnym bohaterem kronikę bogaci.
Indy, Persy i Medy, Party, Baktryany
Zwyciężał Aleksander; więcėj zawołany
Nasz mecenas bohater zdziałał i dokazał:
Zapłacił szczodrobliwie, dawne dzieje zmazał.
On sam sławy posiadacz, a prawem dziedzicznėm,
Bo się przodków szeregiem zaszczycając licznym,
Pomimo Niesieckiego, sławne antenaty,
Stryjeczne i cioteczne licząc majestaty,
Tam gdzie słońce zapada, gdzie powstaje zorza,
Sławny z dzieł, z krwi, z talentów, od morza do morza.
Co druk głosi, to prawda: od czegóżby służył?
Płaci on wielkim mężom w czėm się świat zadłużył;
Płaci sławą, a że się wszystko w świecie płaci,

Głupi możny, głodnego gdy mędrca bogaci,
Staje się jeszcze większym i mędrszym nad niego.
Po sławie, cóż nad zdrowie jest pożądańszego?
A może i przed sławą. To dobro jedyne:
Cóż po tém, w życiu niezdrów, że po śmierci słynę?
Co mi po dobrém mieniu, gdy użyć nie mogę?
Co po wszystkiém, gdy słabość wznieca śmierci trwogę?
Tam, kędy zdrowia nie masz, jakiż zysk powabi?
Rycerstwo króci życie, mądrość zmysły słabi:
Praca siły wywnętrza, skrzętność zbyt zaprząta.
Wszędzie gorycz w pośrodku korzyści się pląta;
Zgoła, w zysku bez zdrowia musimy szkodować.
Jakże siły utrzymać? jak czerstwość zachować?
Próżno krzyczy Hipokrat, próżno Galen szepta:
Głupstwo, głupstwo, o bracia! jedyna recepta.
Skarbie niedość wielbiony! choć wielu bogacisz,
Nie przebierzesz się nigdy, ceny nie utracisz.
Obdarzasz, lecz niewdzięcznych; choć miła spuścizna,
Głupców tłumy niezmierne, a nikt się nie przyzna.
Wszyscy mądrzy! Nikt siebie prawdziwie nie widzi:
Czém nie jest, tém być pragnie; czém jest, tém się brzydzi.
Pełno w świecie obłudy, wkrada się i w fraszki:
Wewnątrz skryta osoba, z wierzchu same maski.
Zrzućmy je! Niech odkrycie głupstwo światem włada,
Sławę, honor, bogactwa, rozkoszy posiada!
Czemuż się szczęścia wstydzić? Dzień po nocy wschodzi,
Zrzucił świat uprzedzenia, wiek złoty się rodzi;
Niechaj mądrość, jakie chce, przepisy stanowi,
Próżne są. Mądrzy sławni, ale głupi zdrowi.

Wziętość.

Był niejakiś pan Łukasz, co chciał wiele dostać.
Cóż on czynił? najsamprzód zmyślił sobie postać:
Chciał oszukać, oszukał, bo to nie są cuda;
I niezgrabne szalbierstwo częstokroć się uda,
A dopieroż, gdy sztuczne. Patrzał Łukasz pilnie,
Jak to się drudzy wznoszą, i zgadł nieomylnie;
Zgadł sekret — A ten jaki? — Do możniejszych przystać,
Strzedz się słabych, śmiać z cnoty, a z głupstwa korzystać.
Przykład wszystkim widoczny rzecz wyłuszczy z prosta.
Gdy widzisz, senatorem że został starosta,
Patrz, jak się zsenatorzył? Był filut, jest możny,
Wczoraj ledwo mości pan, dziś jaśnie wielmożny.

To gra: los działa szczęście, lecz mu dopomaga
Czoło bezwstydne, podłość, w niecnocie odwaga.
Mały złodziéj wart chłosty: lecz ten, co kraj zdradza,
Lubo tyle za sobą hańb, sromot sprowadza,
Iż owe sławne sosny z nadbrzeża Pilicy,
Jeszcze małe do składu jego szubienicy;
Przecież filut, wisielec, na co patrzyć zgroza,
Wstęgi nosi na szyi, co warta powroza.
Nie dopiéro występek z cnotą walkę wszczyna;
Z Cyceronem w senacie siedział Katylina.
Wzdrygał się świat na sprosność; była sprosność przecie;
Ałboż to w jednym zbrodnie rodzaju na świecie?
Ów celnik, co wytartym odziany kontuszem,
Zaczął sławne rzemiosło z Świętym Mateuszem,
Przeszedł i apostoła. Ten wrócił, co zyskał;
Nasz wziął, schował, zarobił i jeszcze uciskał,
Zgoła stał się najpierwszym w rachmistrzowskiéj sztuce.
A coraz postępując w tak wielkiéj nauce,
Doszedł tego, iż dziesięć od sta, znaczna strata!
Kradzieżą oczywistą wzniosła się intrata.
Kraj zdarł, kradł go bez wstrętu, a wyszedł, jak święty.
O kunszcie krasomówski, w skutkach niepojęty!
Kunszcie! co możesz bielić to, co było czarném,
Nieprzepłacony w twoim zapędzie niemarnym,
Sprawiłeś (a kunszt lepszy jeszcze dopomagał),
Iż ten, co niegdyś chlebem żebraczym się wzmagał,
A w usłudze krajowéj zyskał miliona,
Samém tylko nazwiskiem różny od Katona.
Dobry folwark na zyski, skarb publicznéj rzeczy.
    Obroną się wojsk swoich kraj każdy bezpieczy;
Sili się na obrońcę, drodzy są rycerze,
Ten najdroższy, co niewart być płatnym, a bierze;
Co pierśmi kraju swego mający być murem,
Że żołnierz, samym tylko wydatny mundurem.
Sławny wiekom Czarniecki, w baranim kożuchu
Gromił Szwedy, Duńczyki, wśród klęsk i rozruchu;
Gromił, bo dusza wielka, co się nad gmin wzniosła,
Sławę, cnotę, stawiała za zyski rzemiosła.
Był wielkim, bo czuł, czém był; a co czuł, to czynił.
    Nie czuł nasz pan Mikołaj, i chociaż przewinił,
Grzech mały według niego: on ledwo nie świętym.
Nowy przeto teolog, kunsztem niepojętym,
Bezpłatny kraju sędzia, przestawając na tém,

Sądził, karał, doradzał, i stał się bogatym.
Ślepa, mówią, jest Temis. Bajka! Temis widzi!
Nasz pan sędzia, co z dawnych błędów mądrze szydzi,
Znając, jak przeświadczenie mądrości uwłóczy,
Wypróbował dowodnie, iż ma bystre oczy.
Fraszka, sądem bezwzględnym trybunał ozdobić,
Mógł to i Czartoryski; lecz sądząc zarobić,
Więcéj wygrać, niż strona, co zyskała dekret:
To treść bystrych dowcipów, to sędziowski sekret.
Mają go i patrony (nazwisko poważne),
Ale pod nim fortele w zyskach wieloważne,
Czyniąc wykręt dowodem, a prawność matactwem,
Panoszą stron obrońce bronionych żebractwem.
Świat się wypolerował, i my téż za światem.
Ja, co jestem dotychczas mości panem bratem,
Patrzę z kąta na drugich, widzę drogi snadne;
Chciałbym i ja téż urość; cóż? kiedy nie kradnę.
Straszy mnie szubienica, jak spojrzę na sosnę;
Więc Piotr rośnie, Jan urosł, a ja nie urosnę.

Człowiek i zwierzę.

Koń głupi. — Nie koń. — Osioł. — Nie osioł, mój bracie!
— Któreż więc zwierzę od nich głupsze jeszcze znacie?
— Człowiek. — A! już to nadto! — Nie nadto, lecz mało.
Gdyby się razem głupstwo człowiecze zebrało,
Poszedłby w rodzaj muszli, albo na ślimaki.
Słuchaj tylko cierpliwie! Któryż zwierz jest taki,
Iżby, wiedząc co czynić, nie czynił, co trzeba?
Zwierzom instynkt, nam ludziom rozum dały nieba;
Przecież patrząc, co czynim, my, rozumem dumni,
Zda się, że ludzie głupi, zwierzęta rozumni.
Sroży się lew nad sarną, więc nagany godny:
Ale dlaczego sroży? dlatego, że głodny.
Skoro głód uspokoił, rzuca polowanie.
Wilk żarłoczny, lis zdradny, ustawne czuwanie
Jeżeli czynią, muszą; tym sposobem żyją.
Zgoła: weź ptaka, rybę, zwierzę, albo żmiję,
Każde ma swoją miarę i według niéj działa.
Jeśli im przymiot zdatny natura przydała,
Idą do tego celu, do którego zmierza;
Zgoła, czém są z potrzeby, są z natury zwierza.
Pan, ich człowiek, lecz głupszy, lecz gorszy nad sługi.
Nie nowina to w panach. Z ich zdatnéj usługi

Korzysta; a niewdzięczny, pędzi wolne w pęta.
Dla niego siłą zdatność jarzmowe zwierzęta,
Dla niego wół pracuje, chlebem go uracza:
Więc, że niby to mędrszy nad swego oracza,
Wywnętrza go i pasie, żeby się spasł na nim.
    Mędrcy! chwalimy wierność, niewdzięczności ganim;
Któż nad nas niewdzięczniejszy? Lecz i to przebaczę,
Tak chciało przyrodzenie: ścierwa pożeracze,
Pasiem się łupem zwierząt: przynajmniéj, by w mierze.
    Inne niech porównanie człowiek z zwierząt bierze.
Gdzież takie, co rozmyślnie samo się niewoli,
A sposobiąc swe barki ku jarzmu powoli,
W poddaństwie sławy szuka? Orzeł, pan nad ptaki:
Lecz czy go ptaków innych rodzaj wieloraki,
Podłém czci uniżeniem? Wspaniały, ochotny,
Wyżéj jeszcze nad niego buja sokół lotny,
Ani się wraca z pędu na straszne odgłosy.
Nie powaga, lecz dzielność wzbija pod niebiosy.
    Człowiek, wybór natury, świata prawodawca,
Człowiek, praw stanowiciel, a przestępstwa sprawca,
Sam łamie obowiązki, co wznawia i kleci.
Któraż lwica jęczała na niewdzięczne dzieci?
Któryż żubr żubra zdradził? w przychylnéj postaci,
Zmówiliż się na wilka, wilcy koligaci?
Truł-że doktór lis lisa? gdy sprzeczka zmówiona,
Brał-że jastrząb' jastrzębia w sprawie za patrona?
I, żeby z nieprawego korzystał narzędzia,
Dla zysku, kruk krukowi stał-że się zły sędzia?
Towarzystwa przykładzie, pracowite pszczoły!
W pośród waszych zabiegów i skrzętnéj mozoły,
Któraż, chociaż ma porę dokazania snadnie,
Miód z pracą od sąsiadki zbierany ukradnie?
    Nasz to tylko przywiléj; więc bądźmy nim dumni;
Zwierzęta złe i głupie, my dobrzy, rozumni.
O! gdyby mogły mówić tak, jak myśléć mogą!
Wstydem, hańbą okryci, sromotą i trwogą,
Cóżbyśmy usłyszeli? wzgardę i nauki:
Koń, od nas zniewolony tęgiemi munsztuki,
Koń, co nam nóg pożycza, jakbyśmy nie mieli,
Koń, na którego grzbiecie, zuchwali i śmieli,
Ścigamy inne zwierzę, albo nam podobnych;
Ten koń, lubo nie w słowach wdzięcznych i ozdobnych,
Jakich zwykliśmy zażyć, gdy omamić chcemy,

Rzekłby z prosta: wy mocni, a my was nosiemy.
Rzekłby wół: ja chleb daję wprzężony do pługa!
Cóż zyska? śmierć okrutną istotna przysługa.
Któż z was ma na nas względy? kto o nas pamięta?
Rzekłyby na rzeź dane owce i bydlęta.
Ów pies, znędzniały wiekiem, leżący u płota,
Ów stróż, sługa, przyjaciel, którego ochota
Tyle ci zysków niosła, wierny, a niepłatny,
Wiekiem, pracą, bliznami do usług niezdatny,
Niewdzięczności ofiara w okropnéj zaciszy,
Wpół martwy, jeszcze czuje, gdy głos pana słyszy;
Słyszy nędzny i czuje; nie czuje, co woła;
Jak ma czuć taki, który bez serca, bez czoła,
Sam siebie czyniąc celem wyuzdanych chęci,
Statek, wierność, usługę wyrzucił z pamięci?
Nie na to tyle darów natura nam dała:
Duma w próżnych zapędach nieczuła, zuchwała,
Kryje błąd pod postacią, którą jéj dajemy.
Na cóż przymiot czułości, jeśli nie czujemy?
Na co światłość rozumu, jeśli ciemność miła?
Czyż się dzielność natury w darach wysiliła?
Nie bluźnmy, zbyt zuchwali, tego, co ją nadał:
Nasz występek przymioty szacowne postradał,
Ten zniżył nad bydlęta. Nie bajką wiek złoty!
Był on, będzie, jest może, gdzie siedlisko cnoty.
W naszéj mocy świat równym uszczęśliwić wiekiem:
Niechaj człowiek pamięta na to, iż człowiekiem,
Wzniesie się nad zwierzęta lotem siebie godnym!
Niegdyś mędrzec ponury, piórem zbyt swobodném,
W złéj sprawie sam patronem zostawszy i sędzią,
Zapędzał człeka w lasy i chciał paść żołędzią.
Znalazł uczniów; któryż błąd nie znachodził ucznie?
Omamiał wdziękiem pisma dość dzielnie i sztucznie,
Nowość była ponętą, a wdziękiem zuchwałość.
Nie na tém się zasadza człecza doskonałość:
Towarzystwo cel jego, do niego stworzony.
Rodzice, dzieci, bracia, i męże i żony,
Święte węzły natury, które nasz błąd targa;
Błąd zuchwały! płód jego bluźnierstwo i skarga,
Odgłos ślepoty, głupstwa, dumy, niewdzięczności.
Człowiek w ścisłym obrębie nadanéj istności,
W ścisłym, lecz przyzwoitym przez zrządzenie Boże,
Chcąc mieć więcéj, niż zdoła, mniéj ma, niż mieć może.

Ztąd rozpacz, a w uporze żądza zbyt zacięta.
Chcąc wznieść człeka nad człeka, zniża pod bydlęta.
Stwórca rzeczy cel dziełu swojemu położył,
I choć go w niezliczonych rodzajach pomnożył,
Każdemu nadał istność, dał istnościom dary,
Darom dzielność, dzielnościom przymioty i miary.
Tych się trzymać, nasz podział; brać korzyść, staranie;
Powinność, znać szacunek i być wdzięcznym za nie.

Klatki.

Zgodzić przeciwne rzeczy, cud, mówią, w naturze.
Wierzę, ale nie u nas. W każdéj konjunkturze
My mamy coś nad innych. Rzadkim przywilejem
Obdarzeni, gdzie inni płaczą, my się śmiejem;
Więc gdzie się drudzy śmieją, my płakać gotowi.
Ten przywiléj, czy sławę, czy hańbę stanowi,
Nie moja rzecz objawiać: a choćbym objawił,
Któżby wierzył? więc nad tém nie będę się bawił.
Lecz coraz nowe czyniąc do satyr zaciągi,
Na widok, dla ciekawych, stawię dziwolągi.
Cóż to są za straszydła? cóż to za ród przecie?
Rzadki, i oprócz naszych, cud prawie na świecie.
Panie Pawle! wchodź waszeć: patrzcie, jak się dąsa,
Grozi, ręce zaciera, tylko co nie kąsa;
Rwie się — Trzymać go — Puścić —Aż nasz Paweł luby!
A cośmy się od niego spodziewali zguby,
Bądźmy teraz bezpieczni, pan Paweł nas kocha!
Zkądże takowa dobroć? odmiana tak płocha?
Skryjmy się. Patrzcie teraz, jakie miny stroi!
Niechże się kto z nas wyda, że się śmiałka boi,
Zaraz męztwo przypadnie, jakby na powodzie.
Lubią sławę takowi, ale nie o szkodzie.
Wróć waszeć, panie Pawle, a strasz, gdzie się uda.
Cóżto za nowy widok? i jakież to cuda?
Idzie Piotr, albo raczéj wspaniale się toczy.
Do nóg! do nóg! na pana nie podnoście oczy!
To pan jaśnie wielmożny, jaśnie oświecony,
To pan z panów! u niego mitry i korony,
Berła, laski, infuły, klucze i pieczęci,
Inwentarskie narzędzia. Przesławnéj pamięci
Dziady jego, pradziady, siedzieli w senacie.
— Upadam do nóg pana. — Kłaniam, panie bracie. —
Pójdźmy ztąd: Lecz ktoś, widzę, do pana przychodzi.

A to co? pada do nóg jegomość dobrodziéj,
Pokorny. Któżto sprawił ten cud zbyt widoczny?
Jestto jaśnie wielmożny sędzia tegoroczny.
Pan ma sprawę. — Rozumiem. — A w tym gabinecie,
Ktoto pisze? — To rachmistrz największy na świecie;
On wszystko skalkulował, gospodarz nielada,
Nowe planty wymyśla, rachuje, układa.
— Więc bogacz? — Więc ubogi — Jakto? — Patrz co pisze:
Milion — To skarb — To dług. On i towarzysze,
Nie chcąc na miernym zysku przestawać dość sytnie,
Nic nie mają. — Dlaczego? — Bo pragną mieć zbytnie.
Ten, święty, pacierz szepce, i w dół spuścił oczy.
Połóż-no tylko worek, wnet on tu przyskoczy.
Fundusz zrobił. — To dzieło bliźniemu usłużne.
— Ale ukradł trzy części, czwartą dał w jałmużnę.
Zamknijmy go na haczyk, bo i nas okradnie.
— Jużci ten siedzi, widzę, spokojnie, przykładnie;
Cóżto jest za jegomość? — To sławny jurysta.
— Czy nie z tych, co to z pewnych wybiegów korzysta?
Co to kradną z Pandektów? — On z nich nic nie kradnie.
— Dlaczego? — Bo ich nie zna: bierze, co napadnie,
Ale bierze po prostu. Krzyczy po za kraty;
Najsławniejszy on w sądzie na prejudykaty,
Na biało sto, na czarno gotów tyle dwoje.
— Schowajże go do klatki, bo ja się go boję.
A tego jeszcze bardziéj; cóż to za wspaniałość?
— Jest to mędrzec, co posiadł wszystkę doskonałość;
On poprawia, w czém dawne pobłądziły wieki.
— Zkądże jemu ta biegłość? — Od gminu daleki,
Nie będzie z nami gadał. — Niechże i nie gada,
Ale któż z niego mądrość tak wielką wybada?
— Nikt. — Pewnie skryty. — Jawny. — Jakże to? — Opowiem:
Najprzód trzeba o mędrcach to wiedzieć, albowiem
Nie tacy oni prości, jacy dawni byli,
Co skarbnice nauki wszystkim otworzyli;
Nasi kryją, a w ścisłym rzecz trzymając karbie,
Nic nie dają. — Dlaczego? — Bo nie masz nic w skarbie.
— A to kto? To człek wielki. — Pewnie bitwy zwodził?
— Nie. — Pewnie wielu zawziętych pogodził?
Nie. — Pewnie nędznym w przygodzie usłużył?
Nie. — Pewnie w pismach wiele pracy użył?
Nie. — Pewnie skarby dla kraju wydostał?
— Dał na druk, i w przemowie wielkim człekiem został.

— A ten zaś? — To jest autor — O czém pisał? — O tém,
Jakto się trzeba rządzić. — Cóż się stało potém?
— Oto, aby się swemu krajowi przysłużył,
Pisał o gospodarstwie, a sam się zadłużył.
— Dobrze mu tak, trzeba tych ichmościów oduczyć.
— Ten nic prawa nie umiał, a chciał się go uczyć.
Więc aby skarb nauki dla siebie wydostał,
Znalazł sposób. — A jaki? — Oto sędzią został.
— Ten nic nie miał, a dobra za milion kupił.
— Pewnie znalazł pieniądze? — Nie znalazł. — Więc złupił?
— Nie złupił. — Pewnie okradł. — Nie okradł. — Zfrymarczył?
I to nie. — Jakże kupnu takiemu wystarczył?
— Ugodził się z dziedzicem, co już prawie żebrał.
— A to jak? — Ten nic nie dał, tamten nie odebrał.
— Ten zbyt kochał ojczyznę — Statuę wystawić;
Godzienby, gdyby zbytek w dobrém można sławić.
Służył ojczyźnie prawie całém swojém życiem;
A chcąc się plennych darów podsycić użyciem,
Wiedząc, że pani dobra, ale mniéj ostrożna,
Kradł ją, a kradł tak dobrze, jak tylko kraść można.
— Alboż kocha, kto kradnie? — Pytaj jegomości;
Insi kradli dla zysku, on ją kradł z miłości.
Brał, bo szanowne dary, gdy kochamy dawcę;
Brał, bo wiedział, że względy ma na prawodawcę;
Brał dlatego, ażeby mniéj godni nie brali;
Brał, aby się do usług drudzy zachęcali;
Brał, bo to honor pana, gdy sługa bogaty;
Brał, bo daje. — Wiedziałże, jakie jéj intraty?
— Jużci wiedział, kiedy kradł. — Mało klatka za to!
— Ci dalsi słuszną teraz cieszą się zapłatą.
— Którzyż to? — Słyszysz daléj, jak pełno hałasu?
— Bądź zdrów; klatek aż nadto, a ja nie mam czasu.

Mędrek.

A to co za jegomość? — Jegomość dobrodziéj,
On nie tak, jak to drudzy, i gada i chodzi.
Jakże mówi, jak stąpa? — Oto, jak człek wielki.
Skoro wyszedł z opieki jéjmość rodzicielki,
Zaraz znać było, jaki człowiek z niego będzie.
Jakoż nigdy się w takich nie chciał mieścić rzędzie,
Co tak czynią, jak drudzy; szedł zawsze nawiasem.
Zgoła, z pracą, pilnością, i kunsztem i czasem
Do tego stopnia przyszedł, iż człek zawołany.

— Zkądże to zawołanie? — Ztąd: panie i pany
Zgodzili się powszechnie, że to człowiek wielki.
Więc za niemi powtarzać musi człowiek wszelki;
A ktoby nie powtarzał, ten zysk sobie kupi,
Iż będzie osądzonym, że dziwak i głupi.
Ciężka, mówią, rzecz, człeku na sławę zarobić;
A ja mówię, że lekka, byle rzecz sposobić,
Byle umiéć ulegać tym, co sławić mogą.
Albož inszą Konstantyn uwielbiony drogą?
Wszedł na świat; kto go zoczył, przestraszył się, zdumiał.
Dlaczego? — Bo zgadł wszystko. — Więc wiedział? — Nie umiał.
— Jakże zgadł? — Tak, jak teraz. — A jakże to teraz?
— Mój bracie! widzę-ś prostak: ja, com bywał nieraz
Tam, gdzie to jest świat wielki. — I jamci na świecie.
— Nie na wielkim, on inszy: wy tego nie wiecie,
Co to jest ten świat wielki, więc go wam opiszę.
Świat wielki, gdzie są mędrcy i ich towarzysze,
Gdzie są umysły raźne, a pojęcia żywsze,
Gdzie uczucia dzielniejsze, wyrazy prawdziwsze;
Zgoła, gdzie łepiéj, piękniéj, niźli między wami.
— Któż tak osądził? — Zgadnij! — Nie wiem. — Oni sami.
— Któż w swojéj sprawie sędzią? — Bałamuctwo stare:
Inszą wiek polerowany ma cechę i miarę,
Insze czucia, rozmysły, sposoby, narzędzia;
W swojéj sprawie i patron, i strona i sędzia.
Więc wyroki pomyślne, a pospólstwo wierzy;
Nie pospólstwo, co kupczy, co płaci, co mierzy,
Lecz gmin, co moda szlachci, a umysł poniża.
Zkąd rozum? od Szwajcarów; zkąd dowcip? z Paryża.
Więc po rozum, po dowcip trzeba za granicę;
Niegdyś bywał on wszędy, dziś ma dwie stolice.
Nie uwłaczam ja cudzym, ale zbytek ganię;
Talent granic nie cierpi, jego panowanie
Nie od kraju zawisło. Przemysł znamienity
Zdobił Greki, lecz mieli mędrce nawet Scyty.
Natura wszystkim matką, nikomu macochą.
Ci więc, co się uwodzą częścią sławy płochą,
Przeświadczenia poddani, choć go w inszych ganią,
Chcieliby drogi towar kupić, ale tanio.
Doskonałość niełatwa, trzeba pracy przecię;
Za jednego mądrego sto głupich na świecie,
A kto wié, czy nie tysiąc? wiele to, czy mało,
Niechaj, kto chce, doświadcza: mnie gdy się tak zdało,

Nie upieram się w zdaniu, a wracam do rzeczy:
Szczególne i powszechne doświadczenie przeczy,
Iżby można być wielkim i prędko i łatwo.
Rzemieślnik lata trawi nad dłótem, nad dratwą,
A przecie rzadki dobry, choć proste rzemiosło.
Drzewo, nim w pień, w konary, gałęzie urosło,
Nim kwiat zszedł, owoc dojrzał, długie pory przeszły.
Doświadczenia nabywa wiek w lata podeszły,
A to mistrz najpewniejszy; więc mędrce bezbrodni,
Albo cudem natury, lub wiary niegodni.
— Lecz się to jednak trafia. — Bywać i śnieg w maju.
Rzecz bolesna, korzyści modnego zwyczaju:
Algiebra od kolebek, żaki prawią cuda,
Dźwięk mami, lecz na przyszłość szkodliwa obłuda.
Dawnych praca, nam korzyść; lecz korzyść, co szpeci
Zbierających rodziców marnotrawne dzieci.
Cytując bez rozsądku maksymy i strofy,
Smiałość głupstwa dumnego czyni filozofy.
Dawni myślami, trudem, nauką wybledli,
Albo żywot odludny, albo ostry wiedli.
Nasze mędrki rubaszne, i pulchne i hoże:
Przemieniły się w sofy Cyników rogoże;
Pełno Dyogenesów nie w beczce, lecz z beczką;
Sławni wielbieniem własném, i krzykliwą sprzeczką.
Czytają, a nie myślą; sądzą ślepém zdaniem,
A gmin czci dumne głupstwo owczém powtarzaniem.
Ztąd wziętość, a jak niegdyś płaszcz i gęsta broda,
Tak i teraz, gdy śmiałość wspaniałości doda,
Lada osioł w lwiéj skórze przestrasza bydlęta.
Konstantyn o téj bajce wcale nie pamięta;
Zamyśla się ustawnie, wznosi oczy w górę.
Niechaj spojrzy na siebie, postrzeże lwią skórę!
   Jakoż chcieć być uczonym, a mało się uczyć,
Siebie tylko wysławiać, a na innych mruczyć;
Dawać pismom ztąd wybór, iż je każą palić,
Ganić to, co chwalono, co ganiono chwalić;
Nowość tylko uwielbiać, zniżać czasy dawne,
Czynić łotry sławnemi, podlić męże sławne;
Rozsądnych gminem nazwać, na błędy narzekać;
Czego dociec nie można, na pozór dociekać;
Za dowody żart dawać, gdy prawda dokucza;
Tém dzielna nowa mądrość, tych kunsztów naucza.
   Czyż ją wielbić? Niech wielbi, któremu błąd miły!

Nie są światłem błyszczenia, co ledwo się śklniły,
I owszem, gdy zagasną, większa po nich ciemność.
Miła w kunsztownym żarcie wyrazów przyjemność,
Ale żart, ale wdzięki poco zwać nauką?
Czy błąd idzie podstępem, czyli inną sztuką,
Zawsze tém jest, tém będzie, czém z natury, błędem.
Więc, nasz panie Konstanty, co tak żwawym pędem
Doszedłeś celu rzeczy; jak ci się to zdaje?
Nie rozumiéj, że ja ci przymawiam, że łaję;
Malarz musi malować takie, jak są twarze.
Chcesz, aby te ustały (jak zowiesz) potwarze?
Nie dmij, gdy mało umiész: mędrszym nie dokuczaj;
Jeśli masz dar bawienia, baw, a nie nauczaj!

Małżeństwo.

Chcesz się żenić, winszuję, ale nie zazdroszczę.
To więc, co potém poznasz, a co cię dziś troszcze,
Ja opowiem. Ów Adam, ów najpierwszy człowiek,
Zasnął; gdy się obudził, za otwarciem powiek,
Postrzegł... — Co? — Oto Ewę, dobro nieskończone.
Bóg wyjął mu kość z boku, i zrobił z niéj żonę.
Gdybyć to tak i teraz! Próżne korowodów
Byłyby nasze stadła, a ztąd mniéj rozwodów.
Ale się świat zestarzał; Adamowe wnuki
Porzuciwszy dziadowskie poczciwe nauki,
Niby to rozumniejsi, źli męże, złe żony.
A nasz wiek ośmnasty, niby oświecony,
A w saméj rzeczy głupi, cóż zrobił? złe stadła.
Jegomość nadto dobry, jéjmość zbyt rozjadła,
A kiedy jéjmość dobra, jegomość jak jędza.
Jak ma być dobre pasmo, gdy zepsuta przędza!
— Cóż więc jest stan małżeński? – Rzecz w opisie trudna,
Rzecz z jednéj strony wdzięczna, z drugiéj strony nudna.
Konieczna jednak, muszą być żony i męże;
Jarzmo jest; tych zysk, miłość tamtych kiedy sprzęże,
Muszą dźwigać. Chcesz i ty, odwaga nielada;
Ale że dosyć liczna kompanów gromada,
Idziesz śmiało. Poczekaj; nie będę ja bawił.
Kto wié, może dla ciebie los się ułaskawił,
Może za nader szczęsną wyroków spuścizną,
Będzie tobie lekarstwem, co drugim trucizną.
Możeś jeden z tysiąca, ale liczbę zmniejszę;
Choćby też i fałszywe, niech będą grzeczniejsze

Wyrazy mojéj rady; szanujmy płeć piękną!
Jakaż jest twoja Fillis? — Niech wszystkie uklękną!
— Tożamant; siądź więc na koń, a ująwszy pikę,
Nowy Roland głoś światu twoją Angielikę.
Ścinaj karły, olbrzymy, smoki, czarownice,
Niech zna każdy, nad twoję iż oblubienicę,
Piękniejszéj w świecie nie masz. Tak romanse każą;
Ale nie rozum zdrowy. Ten pod swoją strażą,
Jeśli chcesz, by cię trzymał, posłuchaj co radzi:
Uwaga w każdym dziele nigdy nie zawadzi.
Więc zdatna i w miłości; namyśl się, mój bracie!
Lepsza przykrość przed stratą, niźli żal po stracie.
Piękne twojéj powaby, lecz to zwierzchne wdzięki;
To, co wewnątrz, istotne; więc dobréj poręki
Trzeba na to od wewnątrz. Wdzięczna, hoża, ładna,
Ale mylą pozory, a piękna płeć zdradna.
Przejdzie rozkosz, nastąpi sytość po użyciu,
Zникną wdzięki; a w dalszém natenczas pożyciu,
Jeśli węzłów wzajemnych nie wzmocni szacunek,
Nastąpi umartwienie, nudność i frasunek.
Dopiéroż, kiedy jéjmość, coć się w serce wkradła,
Stanie się podejrzliwa, i przykra i zjadła;
Kiedy się co dzień z nowym humorem popisze,
I coraz inne w domu ujrzysz towarzysze;
Kiedy w zwięzłych przymówkach do serca przegryzie,
A to, co ci przyniosła w swojéj intercyzie,
Stokroć na dzień wymówi; odpowiedzieć trudno;
Bić, niegrzecznie; zamilczyć, i przykro i nudno.
O święty Sokratesie! tak cię Erazm mienił,
Nie byłbyś nigdy świętym, gdybyś się nie żenił!
Zyskałeś uwielbienie, zyskał świątobliwość;
Któż cię świętym uczynił? małżeńska cierpliwość.
Dajmy jednak, iż twoja nie w Xantypów rzędzie,
Dobra, cicha, powolna, wstrzemięźliwa będzie;
Pokorna, jak dewotka; wstydliwa, jak mniszka;
Jednem słowem, jak owa w teatrach Agnieszka.
A wiész, co się z Agnieszki oblubieńcem stało?
Wielu się na pozorach płonnych oszukało;
O Arnolfy nie trudno. Aleś ty szczęśliwy!
Wierzę, że twojéj pozór szczery i prawdziwy.
Dobry towar; a ja go, choćbym mógł, nie kupię.
Wiész dlaczego? Agnieszki kiedy nie złe, głupie.
— Tém lepiéj. — Owszem gorzéj; grubo taki błądzi,

Który głupstwo przymiotem dla żony być sądzi.
Najlepiéj środek obrać; dumne animuszem,
Umieją mądre kornet czynić kapeluszem.
Niech będzie oświecona! rozum nie zawadzi!
Ale rozum powolny, co powinność radzi;
Rozum, co zna podległość. Może to niegrzecznie,
Przecięż żony podległe muszą być koniecznie.
— To się lepiéj nie żenić. — Czyż kupiec frymarczyć
Nie powinien dlatego, gdy zysk wydostarczyć
W jednym handlu nie może? W innym zysku szuka;
Złe stadło, nieszczęśliwe, dla drugich nauka.
Zła małżonka, treść nędzy; lecz kiedy poczciwa,
W dwójnasób szczęścia, pociech, natenczas przybywa.
Jedno słowo, los życia; nieznośny po stracie;
Najszczęśliwszy, gdy z zyskiem. Żeńże się, mój bracie!

Podróż.

Miał rozum, w domu siedząc, kto się śmiał z podróży.
Jeśli więc ten mu zaszczyt sprawiedliwie służy;
Jak zwać tych, co się raz wraz ustawicznie włóczą?
Oto: ale zaczekam. A czy się oduczą?
Jeszczeć można wybaczyć, gdy ostatnia nędza
Z domów, jeśli je mają, ubogie wypędza;
Ale kiedy bogaty puszcza się w podróże,
Ja o jego rozumie, iżby miał, nie wróżę.
Zdrowie, życie, nieść na szwank po przykréj przeprawie,
Głód znosić, snu nie użyć, spoczywać na ławie,
Albo się dusić w dymie, lub marznąć na dworze,
Słuchać świerki, wrzask dziecek, w spróchniałéj komorze
Robactwu się opędzać. — Może kto zaprzeczy,
Iż gdzie indziéj nie jest tak. — I tam nic do rzeczy;
Albo, żeby treść myśli objawić wytwornie,
Jeśli u nas niedobrze, indziéj niewybornie.
Droga zawsze jest drogą; pomimo wygody,
Rzadko obejść się cale, znaleźć się bez szkody;
A choćby innéj w ciągłych podróżach nie było,
Gdy się czas marnie strawił, wiele się straciło.
Przepłynąwszy przez morza, i zwiedziwszy ziemię,
Dajmy to, iż kto poznał wszystkie ludzkie plemię.
Cóż poznał? — To, co w domu miał na pogotowiu;
Może jazdą, płynieniem, mógł usłużyć zdrowiu?
Bo lekarze tak mówią; ale syty z wzorku,
Zapytajmy pielgrzyma, co mówi o worku?

— Pewnie mu nie usłużył. — A źle, gdy nie służy.
To nic jeszcze; gdy mówim ściśle o podróży,
Że się zlepszenia zdrowia w nim znajdzie przyczyna,
Większa, ważniejsza jeszcze potrzeba się wszczyna,
Trzeba jechać koniecznie. — Gdzie? — Jechać do wody,
Służyła ona przedtém tylko do ochłody.
Teraz większa usługa. — Jaka? — Żyć nie można,
Jeśli pilność, o zdrowie czuła a ostrożna,
Nie zapędzi tam, gdzie jest saletra i siarka.
— A nam co po saletrze? — Jeśli onéj miarka,
I z częściami ałunu, a najbardziéj z rana,
Dobrze trafiona; zdrowie! lecz ze źródła brana,
Gdzie ją chwytać należy, żeby moc nie zgasła.
Jeżeli więc na takie ozdrowienia hasła,
Nie wzbudzi się chęć jechać, pożegnaj się z życiem.
Jużci, ale i z workiem. Za takiém użyciem,
Droższe widzę, niż przedtém, było teraz zdrowie.
Żyli dłużéj, niżli my, nasi pradziadowie.
Za krzepkość z ojców wziętą nie płacąc nikomu,
Od zdrowych wzięte zdrowie, zachowali w domu.
Cnotliwéj roztropności urządzeni miarką,
Nie znali się z ałunem, saletrą i siarką.
Czerstwa starość poważne ich zmarszczki wdzięczyła,
Było zdrowie, bo święta wstrzemięźliwość była.
Lepsza ona od siarki i skuteczniéj zdrowi,
Niż co kreślą lekarze i starsi i nowi;
Którym (bo mają rozum), frymarczącym bólem,
Wody siarką przyprawne stały się Paktolem.
  Pitagoras i Tales, i Platon i inni,
Za których wielkiém zdaniem poszli ludzie gminni,
Niżeli swéj nauki cuda rozpostarli,
W kraju się właściwego cieśni nie zawarli;
Lecz chcąc ludzi oświecić w błędach, w których trwali,
Do innych się najdalszych w pielgrzymstwo udali.
Tam, czerpając u źródła, w wiadomość bogaci,
Z niezmiernym nauk trzosem wrócili do braci.
Pitagoras powiedział: *nie trzeba jeść bobu*,
A nie kontent z greckiego rządzenia sposobu,
Nową rzeczpospolitą mądry Plato sklecił,
I tak dowodnie onéj pożytek zalecił,
Iż się dotąd na jawie jeszcze nie skleciła.
Woda, według Talesa, wszystko sporządziła.

Wzmogli się niewiadomi wynalazki temi,
A szczęśliwi, zostali jeszcze szczęśliwszemi.
Nie mogę ja tak wielkiéj oprzéć się powadze,
Jednak się zbyt daleko zapędzać nie radzę.
Ostatnia-to po rozum za granicę jeździć.
Jeśli się on pod własnym dachem nie chciał gnieździć,
Darmo go indziéj szukać. Mimo górne wzory,
Wzory sławne Talesa, albo Pitagory,
Wzory zbyt uwielbione przez swoje wzniesienia,
Trzymajmy się poprostu skutków doświadczenia.
Dobry rozum, ale źle rozumem przesadzać;
Czuje to świat; ja światu nie będę doradzać.
Ale gdybym był takim, iżbym mógł dać radę,
Rzekłbym: świecie! miéj baczność na każdą przesadę!
Nie wierz łbom zagorzałym, które robią księgi,
Ani książek działaczom! Ich umysł nie tęgi,
Zabawnie bałamucąc, nabawił cię nędzą;
Nieszczęśliwe się chwile w światłym wieku pędzą;
I pisarz i czytelnik za naukę płacą.
Dobrze im tak; a kiedy zwodziciele tracą,
Rozsądny, co się ustrzegł takiego pogromu,
Niech się strzeże podejścia i zasklepi w domu.
Ale w nim raz wraz siedzieć, rzecz jest niepodobna!
Choćby rzecz najwdzięczniejsza, ciągła, a osobna,
Sprawi sytość, a téj jest skutkiem unudzenie.
Zarzut nowy! Więc innych okolic zwiedzenie,
A z nim odmiana rzeczy, lekarstwem nudności.
Nie nudzi się, kto kontent; lecz téj szczęśliwości
Rozum tylko i cnota są sprawicielami.
Z temi, choćby wśród stepów, nie będziemy sami.
Cóż dopiéro, gdy dzieci i poczciwa żona,
I uprzejmość sąsiedzka, prawa, doświadczona:
Słodycz losu poddanych, któryśmy sprawili;
I myśl lat przeszłych, cośmy poczciwie przebyli!
Piękne to towarzystwo, i nigdy nie znudzi.
Swoich znając, poco nam nowych szukać ludzi?
Miłe to przeświadczenie do tego nas wiedzie:
Iż dobrze w domu siedzieć. Kto nie chce, niech jedzie!

Odwołanie.

Na co pisać satyry? choć się złe zbyt wzniosło,
Przestańmy. Świat poprawiać, zuchwałe rzemiosło.

Na złe szczerość wychodzi, prawda w oczy kole;
Więc już łająć przestanę, a pochlebiać wolę.
Ktorych więc grzbiet niekiedy, mnie rozum nawrócił.
Przystępujcież, filuty, nie będę was smucił!
Ciesz się, Piotrze zamożny, ozdobny i sławny!
Dobrym kunsztem urosłeś; nie złodziéj, lecz sprawny!
Nie szalbierzu, lecz dzielny umysłów badaczu!
Nie zdrajco, ale z dobréj pory korzystaczu!
Nie rozpustny, lecz w grzeczne krotofile płodny,
Przystąp, Piotrze, bezpiecznie, boś pochwały godny!
Ciesz się, Pawle! Oszukać, to kunszt doskonały,
Tyś mistrz w kunszcie, więc winne odbieraj pochwały!
Fraszka Machiawelów wykręty i sztuki,
Przeniosłeś głębokością tak zacnéj nauki
Wytworność przeszłych wieków. Uczniów ci przybywa;
Winszuję ci, ojczyzno moja, bądź szczęśliwa!
Janie zacny, coś ojców majętność utracił!
Fraszka złoto, masz sławę, masz tych, coś zbogacił!
Brzmi wdzięczność, miło słuchać, choćby i o głodzie.
O szczęśliwa ojczyzno! szczęśliwy narodzie!
Masz umysły wyborne, dusze heroiczne,
Zewsząd wielkie przykłady, wspaniałe i liczne.
Zewsząd... pocóż te śmiechy? niech Zoil uwłacza,
Niechaj zjadliwe pióro w żołci coraz macza,
Nie przeprze! Ci, co satyr udali się drogą,
Mszczą się na wielkich, że być wielkiemi nie mogą.
Ta pobudka, co bardziéj, niż żarliwość wzrusza,
Wzbudziła Juwenala i Horacyusza,
Kiedy pod pretekstami obyczajów zdrożnych,
Targali się wśród Rzymu na jaśnie wielmożnych;
Gdy szydzili z konsulów, mimo ich topory;
A co skarb (jak zazwyczaj) okradły kwestory,
Choć nie kradli otwarcie, byli połajani.
Augury, z charakteru chociaż poważani,
Chociaż w mocy, w kredycie bywali ustawnie,
Choć ostrożnie grzeszyli, łajano ich jawnie.
Nie wiedzieli prostacy, że co lud obchodzi,
Że co małym nie wolno, to wielkim się godzi.
Nie chcieli raczéj wiedzieć, a zajadłość wściekła,
Skoro się w pierwsze stopnie zuchwale zaciekła,
Nie patrząc na osoby, lecz ścigając zdrajcę,
Z śród kościoła, senatu, brała winowajcę.
Ale też z mody wyszli, mało je kto czyta!

A co komu do tego, kto był hipokryta?
Kiedy żył Juwenalis, na przymówki skory,
Co ztąd Persyuszowi, że kradły kwestory?
Źle czynił, że się na nie z satyrą ośmielił;
Kto wié, milcząc, czyby się z niemi nie podzielił?
Jak naówczas, tak teraz mało kogo wzrusza,
Że Augury gorszyły za Horacyusza;
To przywiléj urzędu. Dumny, a bogaty,
Nie dla wróżki żył Augur, ale dla intraty.
Pretor, że w trybunale niekiedy pobłądził,
Tém gorzéj przegranemu: kto wygrał, osądził,
Że Pretor sprawiedliwy. A poeta, za co
Głos podniósł? Nieźle milczéć; czasem za to płacą.
Takby nam czynić; ale łatwiéj z paszczy wilczéj
Łup wyrwać, niż dokazać, że poeta zmilczy.
Więc gdy milczyć nie mogę, tak jak przedsięwziąłem,
Każdego w szczególności, wszystkich chwalę społem,
Jak Piotr, Paweł, z osobna; mnogiemi orszaki
Przystępujcie, szulery, oszusty, pijaki,
Hipokryty, pieniacze! niech każdy przychodzi:
Stratni, skąpcy, filuci, i starzy i młodzi,
Zgoła, kogom ukrzywdził; ile tylko zdołam,
Przychodźcie! Com niebacznie powiedział, odwołam.
Do czegoś w polerowanym tym wieku przywykła,
Płci piękna, czyń krok pierwszy! Cóż wstyd? marność znikła.
Co honor? mistrz dziwaczny, i tyran ponury;
Oswoiłyście cnotę; już innéj natury,
Zgodziła się z wdziękami; a co niegdyś dzika,
Już pieszczotom niesprzeczna, i modzie przywyka.
Bodaj ów czas szczęśliwy nigdy był nie mijał,
Kiedy się król ze trzema stanami upijał!
Nie byłoć prawda rządów, lecz było wesoło.
Wroćcie się, dobre wieki! Niech pogodne czoło
Oznacza wnętrzną radość! Trunek troski goi,
Trunek serca orzeźwia, trwogę uspokoi,
I będziemy szczęśliwi. Dobréj chwili dawce,
Bierzcie, co wam należy, chwałę marnotrawce;
Dobroć serca w was mieszka, czynicie szczęśliwych;
Na cóż ranę rozjątrzać w pismach uszczypliwych?
Dusze słodkie! dość kary! Śmiéch krótki, płacz trwały.
Nie satyr, lecz pociechy godniście i chwały.
Stracił Tomasz majętność, lecz kraj przyozdobił;
Pałac został, tapicer na meblach zarobił;

Przeniósł pysznym ogrodem Francuzy i Włochy,
Nie miał prawda pszenicy, ale miał karczochy.
Zgoła, pięknie z nim było. Źle z skąpemi wszędzie.
Przecież i tych nie gańmy: a choć w zdrożnych rzędzie
Górne miejsce trzymają, choć dzicy, nieczuli,
Z wstydu, względów i cnoty chociaż się wyzuli,
Przecież się czasem zdadzą. Płużne te bydlęta
Orzą, kto inny zbiera; ztąd hojne panięta,
Co spasłe głodem ojców, na dowód wdzięczności,
Śmieją się z fundatorów swojej wspaniałości.
Niech się śmieją do woli! równie to los dzieli;
Przyjdzie czas, gdy się i z nich drudzy będą śmieli.
Ja chwalę. W czém złe karty? kto przegrał, ten gani.
Ci, co do tego stanu nie są powołani,
Próżno bluźnią. Że dobre, wyprobuję snadnie;
Wojciech, ów sławny Wojciech, kiedy gra, nie kradnie.
Niechby grał, niechby grali oszusty, matacze,
Hipokryty, złodzieje, rozpustni, pieniacze,
Mniejby było szkarady. Dwór? to źrodło cnoty!
Dwór cecha, gdzie się wielkie probują przymioty.
Dwór, szkoła uczciwości, skarbnica poloru;
Zgoła, cokolwiek dobrze, to wszystko u dworu.
Więc grzeczne filozofy, Platony dorodne,
Pełne wdzięków Seneki, Sokratesy modne,
Solony manierne, Epiktety sprawne,
Tacyty żartobliwe, Katony zabawne,
U dworów się wylęgły; a nas prostych rzesza,
Na hołd tym wielkim duszom zdziwiona pośpiesza.
I ja biegnę za gminem, ile mogę zdołać.
   Lecz, nie dosyć przeprosić, nie dosyć odwołać,
Niechaj pozna świat cały, zdaleka i zblizka.
Kiedym ganił, taiłem ganionych nazwiska;
Chwalę, niech będą jawni... rumieniec... nie chcecie.
Zacny wstydzie! osiadłeś na tych czołach przecię?
Cóż czynić? nieznajomych czy w dwójnasób sławić?
Mowić? czyli umilknąć? taić? czy objawić?
Milczą. Szacowna skromność zdobi wielkie dusze;
Niechże sądzi potomność, a ja pióro kruszę.

LISTY.

Do Króla, o przyjaciołach.

A czy godzi się spytać, Najjaśniejszy Panie?
Powiadają, a bardzo wielu takie zdanie,
Iż królowie przyjaciół nigdy nie miewali.
Więc czego owi dawni smutnie doznawali,
Teraźniejsi doznają. Wstręt mam temu wierzyć;
Choćby bowiem ztąd tylko los monarchów mierzyć,
Godniby użalenia bardziej, niż zazdrości.
Tron, prawda, miejsce zacne, pełne wspaniałości;
Ale cóż i po tronie, kiedy nikt nie kocha?
Moc czynienia szczęśliwych, nie jest to rzecz płocha;
I skarby wiele ważą, i powaga dzielna,
I pamięć wielkich czynów w sławie nieśmiertelna;
Ale to wszystko czczością, gdy serce nie czuje.
Człek zwierzę towarzyskie; gdy tém nie zyskuje,
Iż w podobnym zaufa, przestaje być człekiem.
Co więc dawniej mówiono, co późniejszym wiekiem,
Co ów Wolter wyraził dowcipnym wierszykiem,
Zwąc każdego z monarchów zacnym niewdzięcznikiem:
Może mnie błąd uwodzi; jednakże w téj mierze
Powtarzam, mości królu, iż temu nie wierzę.
Nie mówię to z pochlebstwa, gardzę tém rzemiosłem.
Wiesz, panie miłościwy, iż niém nie urosłem;
Więc mówię z przekonania, iż to czcze przysłowie.
Mogą mieć przyjaciołów, i prawych, królowie;
Ale czyli ich mają? ale czy ich mieli?
Mogli mieć, i mieć mogą, byle tylko chcieli.

Któżby nie chciał? chcieć łatwo; lecz dobrze chcieć, sztuka.
Kto winien? nie znalezion? czy ten, co nie szuka?
  Człowiek prawy, więc skromny, natręctwa się lęka;
Wié, jak słaba u dworów jest cnoty poręka,
Wié, przez jak wielkie tłumy trzeba się przeciskać
Temu, kto chce być znanym i poczciwie zyskać.
Więc rzecz pilnie roztrząsa, czy wart zysk podłości,
I postrzega, że nie wart; więc w swojéj mierności
Zasklepia się, i lepszych zysków w cnocie szuka.
  Królu! nie twemu sercu służy ta nauka.
Ale jeśli wzrost morza nad mędrców przemyślność,
Ale jeśli wzrost rzeczy nad najbystrszą zmyślność
Nie poznane, o królu, i z skutków i znaków;
To są jeszcze kryjomsze działania dworaków.
  Los podwyższa i wielbi: lecz rzecz dzierżąc w mierze,
Ten co losu jest panem, i daje, i bierze;
W jego rządzie, jedne się rzeczy drugiém płacą.
Dał królom wielkość z mocą, dał niesmaki z pracą.
Więc na jedno wstrzymałość, na drugie cierpliwość.
To, panie miłościwy, urządzi szczęśliwość.
Jak ogrodnik przemyślny, gdzie szczepił, gdzie zaciął,
Łgarzem zrobisz Woltera wśród twoich przyjaciół.

Do Krzysztofa Szembeka, koadjutora biskupa Płockiego. O dzikości.

  Dzikość, zacny Krzysztofie, kto dobrze tłómaczy,
Nie samo okrucieństwo, lub niezgrabność znaczy.
Jest jéj wiele rodzajów. Odmienna i zdradna,
Najgorsza, gdy umysłów pani wielowładna.
  W narodach nieraz władzę swoję rozpostarła;
Nie masz twierdzy takowéj, gdzieby się nie wdarła.
Odpór jéj niebezpieczny, bo ma wojska liczne;
Osiada wstępnym bojem miejsca okoliczne,
A jak pożar, gdziekolwiek swą moc rozpościera,
Wszędzie niszczy, pustoszy, trawi i pożera.
  Fanatyzm jéj towarzysz, czujny na wzburzenie,
Punkt honoru nieprawy, płoche uprzedzenie,
Zazdrość, zemsta, ślepota, nadchodzą w przydatek,
A za niemi w odwodzie głupstwo naostatek.
Harda takim orszakiem, we wszystko się miesza,
A gdy jéj ulubiona dopomaga rzesza,
Choć z siebie małodzielna, choć słaba z oręża,
Zuchwałością zastrasza, natręctwem zwycięża.

Gmin u niéj tylko w łasce, albo gminne dusze;
Wtenczas, kiedy wspaniałe zoczy animusze,
Z pocztem się swoich na nie zapalczywie miota.
Nie ustrzegła się przed nią i mądrość i cnota,
Ściga je, a gdy w biegu nie potrafi dostać,
Żeby lepiéj złudziła, bierze onych postać.
W téj dopiéro zakryta zdradliwéj maszkarze,
Nieprawnie chwali, gani, nagradza i karze;
A ślepym się instynktem rządząc, nie rozumem,
Pyszni się tym, co zwiodła, uprzedzonym tłumem.
Ztąd liczne błędów mnóstwo, co państwa zgubiło,
Ztąd owe sławne hasło: niech będzie, jak było!
Ztąd przywary w zaszczycie, a rady, choć zdrowe,
Nie, że złe, odrzucone, ale że są nowe.
Walczyć z gminem należy: kto go chce oświecać,
Umié błąd, coraz nowe uprzedzenia wzniecać;
Umié winę poświęcić, dać pozór niecnocie;
A zbawiennéj, kiedy się sprzeciwia robocie,
Sili się dzieło skazić, upośledzić sprawcę.
Rządcy, wodze, sędziowie, starsi, prawodawce,
Smutnym swoim wspierają tę prawdę przykładem.
Ktokolwiek więc tak przykrym następuje śladem,
Nim się o dobro, szczęście, dla drugich pokusi,
Niech zawczasu przewidzi, co ucierpiéć musi.
Likurg za to, że prawa swéj ojczyźnie nadał,
Szczęśliwy, zamiast życia, że oko postradał.
Sokrates, co występki Ateńczyków hydził,
Cóż miał w zysku? lud z niego na teatrach szydził.
Stratą życia nakoniec wziął zasług nagrodę.
Do rozpaczy w téj mierze cnotliwych nie wiodę;
Miło służyć ojczyźnie, miło dla niéj ginąć, —
Ale cierpiéć bez zysku, i nieszczęściem słynąć,
Ale czuć się niewinnym, a być w złéj maszkarze,
Ale służyć niewdzięcznym, i znosić potwarze,
To heroizm prawdziwy. Co kreślę w téj strofie,
Czujesz, możeś i doznał, szacowny Krzysztofie.

Do Pawła, o roztropności.

Gdzie nie jest obowiązek, czy dobrze jest wierzyć?
Powiédz, Pawle, co zdanie tak umiałeś mierzyć,
Iż twoja cnota miła, a grzeczność nie płocha,
Uczyniła cię cudem, co cię każdy kocha.
Roztropność każe wszystko i bacznie roztrząsać,

Mądrość... lecz czasem i ta, gdy się zacznie dąsać,
Czyni mędrca dziwakiem. Ta więc mądrość zda się
Czasem sądzić porywczo, czasem po niewczasie.
Ztąd owe filozofy, niby to nieczułe;
Ztąd ów głupi, co w morzu utopił szkatułę;
Ztąd ów głupszy od niego, co się zamknął w beczce.
W téj więc sławnéj, a często powtarzanéj sprzeczce,
Mówmy z sobą po prostu, jak to gminni ludzie.
Jużem wyżéj namienił o twoich spraw cudzie:
Umiałeś rodzajowi ludzkiemu dogodzić,
Czyli więc dowierzenie mogło ci zaszkodzić?
Czyli, strzegąc się wszystkich, doszedłeś twéj mety?
Wielu ludzie malują: różne są portrety.
Jedni aż nadto czernią, drudzy nadto bielą;
A ja z temi, mój Pawle, co rzeczy weselą.
   Niech nudne Heraklity stękają i płaczą!
Jeśli mędrcy w swych zdaniach niekiedy dziwaczą,
Idźmy za dziwakami, co raczą przebaczyć.
Jakoż, gdyby szperaniem ścisłém rzeczy znaczyć,
Możeby się znalazło, czego się nie szuka.
Poznać ludzi, istotna, najpierwsza nauka.
Lecz kto ją zacznie, w dobroć niechaj się uzbroi.
Ta wątpliwość uśmierzy, trwogę uspokoi;
Ta, jeżeli maluje, nieprzykre ma farby;
Ta, jeżeli rozmierza, własne kładnie karby.
Wzrok jéj nie nadto bystry, lecz trwały i czysty.
   Widok rzeczy, mój Pawle, nie jest oczywisty.
Tłumi go, miesza chytrość tych, co poznać chcemy;
Częstokroć i my winni ztąd, iż źle patrzémy.
Z ludźmi żyjem, podlegli błędom i obłudzie;
Bierzmy miarę z nas samych, czém są inni ludzie.
Że poznać nie możemy, nie traćmy ochoty;
Może pozór błąd ukryć, może kryć i cnoty.
   Świat jest wielkie teatrum, a ludzie aktory;
W jednych dzielność popłaca, a w drugich pozory.
Zły częstokroć plauz zyska, a z dobrego szydzą,
Mylą się patrzający, lecz wielbią, co widzą.
   Źli ludzie, lecz nie rodzaj; jest w sercu grunt cnoty.
Czy więc godni nagany z dzieła, czy z ochoty?
Nad słabością się godnych nagany użalmy,
Mniéj dzielnych oszczędzajmy, więcéj dzielnych chwalmy.
   Chcieć i czynić, to cnoty prawidło istotne.
Czujem wszyscy wśród siebie wzruszenia ochotne;

Miła cnota każdemu, lecz powabne zbrodnie.
Rozum światło zapala, złość gasi pochodnie.
Ślepi w żądzy, w działaniu, nie wiemy, co gasim,
I chociaż, co złe z siebie, sztucznym kunsztem krasim:
Spada postać; rzecz, czém jest, widzi się odkryta.
Zdzierca, chytry, lubieżny, dumny, hipokryta,
Spytaj go? dobry człowiek! a choćbyś nie pytał,
Gdy nie masz téj dzielności, iżbyś w sercach czytał,
Tak układa postawę, iż poczciwym zda się.
Wśród tłumu zbrodnia, czém jest, zawsze odkrywa się;
Ale wyżéj, kunszt strzeże; ciężka ku odkryciu.
Jakiż sposób poznania, czém kto ku użyciu?
Roztropność; i tę jednak trzeba trzymać w mierze,
Często ona zawodzi, gdy miarę przebierze,
A ścigając zbyt mocno skryte działań tropy,
Gdy obmierza ściganych, czyni mizantropy.
Więc jest lepiéj dowierzać, niżli zbyt nie wierzyć;
Strzegąc się, by nie ująć, lepiéj i nadmierzyć.
Mała szkoda, a cudzéj krzywdzie się zabiega.
Niebezpieczny wzrok taki, co nadto postrzega;
Bystrością się osłabia, a w reszcie utraci.
Ten, co w współludziach, swoich uznaje współbraci,
Choćby go z ich przyczyny dotknęła i nędza,
Im więcéj ich poznaje, tém bardziéj oszczędza.
Więc i my tak działajmy, nie lepsi od innych.
A jeśli niby lepsi, w staraniach uczynnych
Naprawiajmy, choć sami godni poprawienia.
Ale w dziele poprawy, w sposobie czynienia,
Taką miarę trzymajmy, jaką trzeba trzymać.
Darmo się mniéj upadłym nad upadkiem zżymać;
Myślmy, patrząc na zdrożność, czy wielką, czy małą,
I nas to mogło spotkać, co innych spotkało.

Do księcia Stanisława Poniatowskiego.
Podróż Pańska.

A najprzód, mości książę! trzeba o tém wiedzieć,
Że jeśli dobrze jeździć, lepiéj w domu siedzieć.
Lepiéj z władzy udzielnéj korzystać, choć w kącie,
Niżli peregrynować w cudzym horyzoncie,
I trudzić się niewczasem, żeby ludzi poznać.
Chcesz, czém są, czém być mogą, rozeznać i doznać,
Znajdziesz to i u siebie; wszędzie lud jest ludem.
A jeśli w tłoku, szczęściem, albo raczéj cudem

Znajdziesz, co wart szukania, znajdziesz bez podróży;
Lepiéj hazard częstokroć, niż praca usłuży.
Chcesz odkryć, jak złość w kunszta przemożna i płodna,
Jak cnotliwym dotkliwa, filutom wygodna,
Jak zuchwała otwarcie, zdradna pokryjomu —
Na co jeździć daleko? powróć się do domu!
Znajdziesz to, czego szukasz, i w prawo i w lewo.
A jak wieczystém trwaniem wybujałe drzewo,
Ćmi krzaki i zagłusza, coby owoc niosły,
Tak złość cnocie zdradnemi uwłacza rzemiosły.
Nie szpećmy własne gniazdo; równie złe umysły
Nad brzegami Sekwany, Tamizy i Wisły.
Wszędzie rzadka jest cnota. Gdzie częstsza nieprawość?
Na co szperać, mój książę? Zbytnia to ciekawość.
Wróćmy się do podróży. Wyjeżdżasz, rozumiem,
I chociaż wieszczym duchem zgadywać nie umiem,
Pewnie jedziesz, ton dobry kędy jeździć każe;
Zagęściły gościńce polskie ekwipaże.
Pewnieś chory, dla wody; a że Karlsbad blizko,
Zaciągnąłeś takowéj słabości nazwisko,
Co do Spa zaprowadza. Kazały doktory!
Raźny, hoży, rumiany, a z tém wszystkiém chory,
Ażeby zdatną czerstwość sprowadził z zagranic,
Śpieszy pędem niezwykłym do wód kasztelanic.
Już trzykroć się kurował, i trzy wioski stracił.
Cóż po wioskach bez zdrowia? choć drogo zapłacił,
Więcéj zyskał — cóż przecię? — Nie do wód on śpieszył!
Trzy tylko szklanki wypił, ale się ucieszył,
Ale mód nowych nawiózł, z książęty się poznał,
Ale wdzięcznych korzyści i awantur doznał;
Ale księżnom, księżniczkom, głowy pozawracał,
Trzy banki złota wygrał, stoły powywracał.
Złoto w zdobycz, Niemiec w płacz, co nad bankiem siedział!
A cały rodzaj ludzki wtenczas się dowiedział,
Co to jest, polski rezon! Spazmów i waporów
Nie uleczyły wody, trzeba do doktorów.
Gdzież doktory? W Paryżu! gdzież indziéj być mogą?
Zlękła się starościna nad takową drogą,
Musi Paryż odwiedzić. Nie tracąc momentów,
Leci więc, gdzie stolica miłych sentymentów,
Za pasportem miłości Teppera i Blanka — —
Leci w źródło rozkoszy strapiona kochanka,
Leci szaléć na widok. Zajaśniał wiek złoty.

Pełzną wsie, pełzną miasta, mnożą się klejnoty,
Adoratory jęczą, brzmi ogromna chwała,
Wzniosła honor narodu matrona wspaniała.
Trzeba wrócić! Powraca heroina nasza.
Zapomniała po polsku; już nie wie, co kasza;
Słabną nerwy sarmackie jednostajne pląsy;
W złość wprawują żupany, kontusze i wąsy;
Widzi — ach! jak to wspomnieć bez rzewnego żalu? —
Widzi podłe dworzyszcza po sławnym Wersalu,
Widzi folwark po Luwrze! W dwójnasób wapory!
Niechże sobie choruje. Nie twoje to wzory.
Jedziesz w kraj, rodowita ciekawość cię budzi,
Chcesz zwiedzić Litwę, Polskę, nawet być na Żmudzi.
Stój! co rzecze Warszawa? Tam nie masz foxhalu!
Ale gdy się wydzierasz nie bez mego żalu,
Pozwól, niech się przynajmniéj przysłużę, jak mogę!
Świadom, dam ci niektóre przepisy na drogę.
Aby dziwił sąsiady i kraj okoliczny,
Kiedy pan do dóbr jedzie, musi miéć dwór liczny.
W jednéj karecie doktor, felczer i z kuchmistrzem,
W drugiéj fryzyer, pasztetnik, piwniczy z rachmistrzem,
Ojciec Majcher kapelan z bibliotekarzem,
Pan marszałek z podskarbim, łowczy z sekretarzem.
Z tych pierwszy najcelniejszy, od spraw pańskich walnych,
Drugi za nim od listów rekomendacyalnych.
On gruntownie posiada Polaka sensata,
A gdy pisze do mościom i pana i brata,
Wskroś polszczyznę dziurawiąc łaciną, jak ćwieki,
Bóg zapłać i Bóg daj zdrów cytuje z Seneki.
Dopiéroż pan w karecie z przyjaciołmi swemi,
Przyjaciołmi, z zagranic nakłady wielkiemi
Co ledwo posprowadzał. Opasłéj figury,
Siedzi Szwajcar filozof, z nim Anglik ponury,
Głębokomyślny mędrzec, wszech skrytości badacz.
Francuz grzecznouprzejmy, świegotliwy gadacz,
Gdy drzémią filozofy, w dyskursach przyjemnych
Łże o swoich przypadkach i morskich i ziemnych:
A czyli peroruje, czy szepce do ucha.
Drwi i z tych, co drzémają, i z tego, co słucha.
Przy karecie, ci jadą, ci skaczą, ci idą:
Kozak z spisą, z kołczanem Murzyn, Tatar z dzidą.
Wozy zatém i wózki, bryki i kolaski,
Tu kufry, tam tłomoki, i paki i faski.

Na wozach, wózkach, konno, pieszo pędzi zgraja;
Ten już okradł, ten kradnie, tamten się przyczaja.
Żyd płacze, pan podskarbi że mu nie zapłacił;
Chłop stęka, czapki pozbył, i bydlę utracił,
Wziął przez łeb za zapłatę: klnie, o pomstę woła,
Krzyk, jęk, wrzawa za pańskim dworem do około.
Znać wielkość. Już do hrabstwa pan swego zawitał:
Tłum suplik; wziął je hajduk, jegomość nie czytał.
Pan komisarz natychmiast po folwarkach gości:
Wziął sto kijów gumienny, sto plag podstarości,
Ekonom wpadł w rachunki, wzięto go pod wartę,
Dał tysiąc w gotowiznie, a cztery na kartę.
Więc dobry, więc przykładny, a na znak wdzięczności
Wziął przywiléj na kradzież do pierwszéj bytności.
Nowe planty natychmiast z górną swoją radą
Pan wynalazł: chłop płaci; a niźli odjadą,
Ułożone projekta dla zysku, wygody,
Wiatraki po nizinach, młyn w górze bez wody,
Rowy w piasku; gdzie chmielnik, tam sadzić winnice,
Krzaki w ścieżki wycinać, a lasy w ulice,
Z łąk na piasek dla trawy pozawozić darnie,
Z pasieki dla wygody zrobić królikarnie,
Gdzie staw, ma być zwierzyniec, a gdzie pasą owce,
Sypać wzgórki; niech błądzą pomiędzy manowce.
Pasterkom, aby grały, pokupować flety;
Niech wójt chłopom w niedziele tłómaczy gazety,
W poniedziałek dla dzieci kurs architektury,
Botanika we środę; a ciągłemi sznury
Niechaj pierwéj ksiądz pleban uczy dobrze mierzyć,
Potém może napomknąć, jak potrzeba wierzyć.
Tak to drudzy, a nie ty! Wstydźże się, mój książę!
Przyjaźń, co mię słodkiemi węzły z tobą wiąże,
Każe mówić. Ci wszyscy, co cię otaczają,
Wierz mi, na gospodarstwie wcale się nie znają.
Ten najbardziéj, co prawi, abyś uszczęśliwiał,
Kogo? — chłopów? to bydło! On będzie wydziwiał
Póty, aż twoich kmieciów przerobi w szlachcice!
Nie wierz mu, to pogorszy wszystkie okolice.
On mówi, żeśmy wszyscy synowie Adama.
Ale my od Jafeta, a chłopi od Chama!
Więc nam bić, a im cierpieć; nam drzéć, a im płacić.
Nie powinien pan swoich przywilejów tracić,

A zwłaszcza kiedy dawne, i zysk z nich gotowy.
Jedźże teraz szczęśliwie, a powracaj zdrowy!

Do Adama Naruszewicza, o pisaniu historyi.

Dzieje ludzkie, złe, dobre, mądre, albo głupie,
A dziejopis jak echo, uczony biskupie!
Kronika jest zwierciadłem; kto w nie wejrzéć raczy,
Tak każdego, jak godzien być znanym, obaczy,
A co za życia tai przywary i zbrodnie,
I pozwala niekiedy wykraczać swobodnie;
Bojaźń, wzgląd, zysk, nadzieja ustawają z laty,
Choć zacny, znamienity, mocny i bogaty,
Gdy te blaski powierzchnie coraz gasną z wiekiem,
Złym się tylko pokaże, lub dobrym człowiekiem.
Niełatwe to jest dzieło, dzieje ludzkie głosić;
Poniżać, gdzie należy, gdzie trzeba wynosić;
Dać poznać, jak się rzeczy na świecie kojarzą;
Środek między pochlebstwem trzymać a potwarzą;
Czerpać rzeczy istotę w ich właściwém źródle;
Obwieszczać bez przesady prosto, a nie podle;
Co godne wiadomości, to tylko określać;
Dla miłości ojczyzny nie taić, nie zmyślać;
Nie koligacić przodków z Turnem, lub Ewandrem,
Lub, jak dobry Kadłubek, bić się z Aleksandrem;
Wawelskiego się smoka paszczęki wystrzegać,
I z Leszkiem prędkonogim po ćwieczkach nie biegać.
Nasze ojcy poczciwe dobre mieli serce,
Nie chcieli nawet bajek trzymać w poniewierce;
Ztąd też jeden za drugim owczym bieżąc pędem,
Skoro zełgał najpierwszy, wszyscy łgali rzędem.
Z ich łaski po za morze granic naszych meta,
Z ich łaski ród Magoga, Tubala, Jafeta;
A tak dobrze ułożon, iż za pilnym składem,
Wiemy, kto naszym przodkiem, dziadem, prapradziadem.
Niech Pan Bóg temu płaci, kto nam dobrze życzy;
Ale, gdy chcąc pochlebiać, bajki tylko liczy,
Mimo serce uprzejme, kiedy zmyśla w oczy,
Chcąc podwyższyć, uniża; chcąc wielbić, uwłóczy.
Bądźmy i z zbójców rodu, bylebyśmy byli
Takiemi, byśmy ród nasz cnotą uszlachcili.
Wtenczas, im mniéj poważni, im z pierwiastków mniejsi,
Tém bardziéj w oczach ludzkich będziem szacowniejsi.
Każdy kraj miał bajarzów. Czasy heroiczne,

Cóż innego w istocie nad bajki rozliczne?
Nie pierwsi my-to łgali, łgali poprzednicy,
Grecy szli z zębów smoczych, Rzymianie z wilczycy;
A dopieróż po rodzie szło wszystko cudownie,
Bajarz, choć sam nie wierzył, plótł bajki wymownie.
Dość ciemna zawsze przeszłość: pocóż ją kunszt ciemni?
Na co pisać, jeśli się zmyślać zda przyjemniéj?
Wielkie pole romansów, i te kreślić sztuka.
Niech miejsce naszéj Wandy zajmie Banaluka,
Krakusa, Koloander, a dopiéro pięknie
Pod hasły zwycięzkiemi nieprzyjaciel stęknie.
Zbijemy Niemce, Turki, Francuzy, Hiszpany;
Ów zwycięzca narodów, król Lech zawołany,
Pójdzie po za Ocean, morze Białe, Czarne:
A puszczając się żwawo w żeglugi niemarne,
Przejdziemy Argonautów... o których też łgano.
Dość już bajek, uczony biskupie, pisano.
Ty bierzesz pióro w rękę, w rękę, co na straży
Prawdę mając rzetelną, ściśle rzeczy waży.
Pisz śmiało, bo tak dzieje państw pisać należy.
Czas znika, mija przeszłość, wiek niezwrotnie bieży,
A występków szkaradność, lub cnoty przykłady,
Te obrzydłe, te święte zostawują ślady.
Ścigaj je i okazuj, a gardź podłą rzeszą:
Niech się wstydzą bezbożni, niech poczciwi cieszą.
Niech wiedzą, iż choć podstęp dobrych uciemięża,
Wyjdzie cnota na swoje, i wieki zwycięża.
Ten cel dziejów, inaczéj pozioma robota,
Ciekawość, czcza pobudka; grunt wszystkiego, cnota.
Co mi po tém to wiedzieć, w jakim dzieło roku?
Nie rok służy do dzieła prawego wyroku,
Nie dzień czyni treść rzeczy, lecz ten, co weń czynił.
Kto pisze, czy utaił, zmniejszył, czy przyczynił,
Stał się dzieła niegodnym. Prawda treścią rzeczy,
Wdzięk stylu nie pomoże, kunszt nie ubezpieczy.
Wzgardą jest potomności zwodziciel zuchwały.
Odbierze sposób pisma, właściwie pochwały,
Ale rzecz, gdy opaczna, upodli autora.
Pierwiastkowa narodów rozmaitych pora,
Mgłą niewyślakowanéj okryta ciemności,
Cienie w ledwo dojrzanéj stawia odległości.
Te, zgadywać, tłómaczyć dowcipnie, a skromnie,
Przymiot tobie podobnych, trwałych wiekopomnie.

Wszystkie czasów odmiany są losu igrzyska;
Wzrok prawy, czy zdaleka widzi je, czy z bliska,
Tém sądzi, czém są istnie. Tłum idzie za kształtem,
Sławi wielkość, nabytą niecnotą i gwałtem:
Wielki ten, co pognębiał, wielki, co ciemiężył,
Wielki ten, co przemocą niezdolnych zwyciężył;
Wielki, który tysiącmi nieszczęśliwych robił,
I, jakby mnóstwem zbrodni na chwałę zarobił,
Stawia go błąd poziomy w zacnych mężów szyku.
Prawda umie rozdzielać przymiot w wojowniku:
Chwali męztwo, lecz cnotę nad męztwo przenosi,
Tryumf wielbi, moc zważa, ale ludzkość głosi.
Wielki u niéj, kto władzę z dobrocią połączył,
Wielki, kto władzę męztwem, ludzkością dokończył.
Nie ztąd ją Aleksandra przemożność porusza,
Iż z małą garstką mężnych przemógł Daryusza,
Lecz, gdy młody wstrzymał się, płakał nad zgnębionym;
Nie zwycięzca, lecz skromny godzien być chwalonym.
Bohatér, zręczny zdzierca, rozbójnik szczęśliwy;
Lecz gdy cnoty miłośnik, dobréj sławy chciwy,
Obrońca, nie zaczepnik, wtenczas zawołany,
Wtenczas w poczet rycerzów godzien być wpisany.
Lecz te sławne potwory, bez serca, bez duszy,
Których cnota nie wzmaga, ludzkość nie poruszy,
Sławne zdzierstwy, wielkości które tytuł podlą,
Chociaż niekiedy aplauz przedawczy wymodlą,
Spełznie nikczemność podła, jak mgła, co wiatr znosi.
Możność dzielna niekiedy fałsz zyskiem uprosi,
Lecz się chwała nabyta nie utrzyma snadnie:
Czém kto jest, tém się wyda; z czasem maska spadnie.
O wieki! nie wśród laurów, ale pośród snopków,
Ogłoście Kazimierza, głoście króla chłopków.
Błąd gruby mniemał, iż to przydomek był podły:
Ztąd się jego zaszczyty w potomność rozwiodły.
Pamięć jego szacowna i wziętość stateczna
Bardziéj rzewni, niż dziwi: a ztąd chwała wieczna,
Ztąd przykład na następców. Przeszły dobre chwile;
W zuchwałości zbyt krnąbrny, zaufany w sile,
Coraz nasz naród słabiał; wzmogły się sąsiady.
Przyszedł czas, gdy bez rządu, bez mocy, bez rady,
Stał się łupem postronnych: a gdy istność traci,
Te, co niegdyś zwyciężał, narody bogaci.
Wypada pióro z ręki na myśli takowe.

Niech syny ojców nieszczęść czytają osnowę,
Niech wiedzą, sprawy nasze poznawszy dokładnie,
Iż, gdzie cnota w pogardzie, sam naród upadnie.
Niech wiedzą. Ale po co rzewnością wykraczać?
Błąd uznać,—krok do cnoty: podła rzecz, rozpaczać.
Zdruzgotane wiatrami, choć maszty się chwieją,
Sternik dobry, pracując zasila nadzieją.
Ogłaszaj potomności, jak los cnotę nęka,
Pisz, coś widział; poczciwość prawdy się nie lęka.

Do pana Rodkiewicza, który przepisał dla króla wiersze autora; o talencie pisania i losie piszących.

Mości panie Rodkiewicz! miałeś wielką pracę,
Przepisałeś mnie wiernie: czémże ci zapłacę?
Wdzięczność hojnym być każe, lecz Parnas ubogi;
Laur, prawda, wiecznie sławny, ale nie jest drogi.
A kadzidła nie tuczą. Źle być niewdzięcznikiem;
Więc ci zwykłą monetą zapłacę... wierszykiem.
A ten o czém? — Nasamprzód na podziękowanie.
Żeby jednak do czego zmierzało pisanie,
Podziękowawszy grzecznie, powiem ci rzecz nową:
Oto lepiéj pracować ręką, niźli głową.
Wspaniała rzecz jest stwarzać, myśl nową określić;
Prawda, ale wygodniéj przepisać, niż myślić:
A że z zysku dzisiejsza wzrasta doskonałość,
Powabniejsza wygoda, niżeli wspaniałość.
Jakoż, bierzmy na szalę nas obudwóch stany:
Kto szczęśliwszy? piszący, czyli przepisany?
Czy waćpan, co mnie piszesz? czy ja, co się zżymam?
Mości panie Rodkiewicz, ja z waćpanem trzymam.
A najprzód, jeżeli się chcesz o tém dowiedzieć,
I waćpanu, i wszystkim mam honor powiedzieć:
Iż pisać nie jest łatwo; to jest komponować.
Nim zaczniem, trzeba pilnie z sobą się rachować,
Czyli, co przedsiębierzem, wypełnić zdołamy.
A że często rachmistrzem miłość własną mamy,
Mylimy się w rachunku: ztąd się często dzieje,
Iż się z pism i pisarza czytający śmieje,
A ów biedny tymczasem w żalach i rozpaczy.
Świat się popsuł, i nigdy wejrzéć w to nie raczy,
Ilu trudów potrzeba, choć i na złe rzeczy:
I przy dobrych nie zawsze sława ubezpieczy.
Różne są ludzkie zdania: ci w lewo, ci w prawo;

Ci chcą nazbyt powolnie, tamci nazbyt żwawo;
Ci płakać z Bewerlejem, ci śmiać z Donkiszotem;
Więc autor, ustawicznym strudzony kłopotem,
Gdy do usług publicznych z swém dziełem pośpiesza,
Chcąc ucieszyć, frasuje; chcąc cieszyć, rozśmiesza.
Dawne przysłowie: trudno każdemu dogodzić.
Bodaj na zysk pracować, nie na sławę godzić!
A porzuciwszy książek marne paragrafy,
Pisać weksle zyskowne, albo cyrografy.
Tak mówi pan Bartłomiéj, nie bardzo uczony,
Ale wekslarz nielada, rachmistrz doświadczony,
Co doszedł, gdy kunszt szczęścia w ścisłéj liczbie mieści,
Jak brać trzy od dziesięciu, a od sta trzydzieści.
Nigdy się on nad zbytniém pismem nie spracował;
Dłużnik kartę podpisał, on ją podyktował.
Styl łatwy, korzyść pewna, sława bez utraty;
Tak świat idzie; z mądrego śmieje się bogaty.
Pieniądze, podły towar, nie wart wielkiéj duszy,
Przecież zysk i monarchy i mędrce poruszy:
A ten, co się naśmiewał z fortuny igrzyska,
Wielbi ją, skoro promyk pomyślności zyska.
Mądrość, chociaż wspaniałych sentymentów uczy,
Wesprze, wzmoże, pocieszy, ale nie utuczy.
Źle się myśli o głodzie i snują i marzą,
Koncepta się nie roją, słowa nie kojarzą;
Zgoła, źle bez pieniędzy: a uczone bractwo,
Choć z pozoru powabne, w istocie matactwo.
Praca wielka, a jaka korzyści nadzieja?
Chcesz przykładu? masz w oczach, spojrzyj na Błażeja!
Jak jął pisać, i nadto pisma nagryzmolił,
W jednych łajał, łgał w drugich, a w trzecich swawolił.
To chciał starych poprawiać, to nauczać dzieci,
Puścił niewód na głębią; cóż wyciągnął? sieci,
Albo, jeśli co było, to błoto i trzaski.
Zgłuszył go ojciec Alfons uczonemi wrzaski,
Wyśmiała Julianna, gniewał się podstoli.
Zgoła, czy kto pracuje śpieszno, czy powoli,
Czy łaje, czy pochlebia, przestrzega, czy zwodzi,
Choćby drugim i pomógł, sam sobie zaszkodzi.
Wiecznéj, prawda, pamięci są pisarze godni.
Lecz cóż sława po śmierci, gdy za życia głodni?
Ten, co wojnę trojańską w dzielnych rytmach zebrał,
Kiedy żył, ślepy Homer, po ulicach żebrał;

Siedm miast było w sporze, w którém się z nich rodził,
A kiedy je za życia o kiju obchodził,
Żadne wsparcia nie dało; żył, umarł ubogi.
Gdyby był rznął w marmurze te, co śpiewał bogi,
Gdyby był kunsztem pędzla dawne dzieje zdobił,
Mniéj na sławę, lecz na chléb więcéjby zarobił.
Zginęłyby, to prawda, dzieł wielkich przykłady,
Nie miałby Odyssei świat i Ilijady,
Aniby dziwił Homer kunsztem wielorakim,
Aleby żył wygodnie, nie umarł żebrakiem.
Otóż zysk tych, co wierszem, albo prozą piszą.
Zewsząd bojaźń, zgryzoty, smutki towarzyszą;
Tych zazdrość uciemięża, tamtych niedostatek,
A gdy troski wytrawią żywości ostatek,
Ów Pegaz, co się dosiąść niekiedy pozwala,
Laurowego hołysza wiezie do szpitala.
Zły to nocleg; niekiedy na lepsze trafiały,
Rzadko jednak talenta szczęśliwe bywały.
Fortuna sprzeczna muzom. Z przypadku i pracy
Miałeś niegdyś folwarczek pod Rzymem, Horacy!
Miał i Nazo, lecz gdy się nieostrożnie chlubił,
I wolność i majątek swym talentem zgubił.
Były, przeczyć nie można, talenta szczęśliwe;
Ileż nędznych! Umysły sławy tylko chciwe,
Sławą się téż i pasą; lecz ta strawa licha.
Błąd zuchwały korzysta, talent skromny wzdycha;
A gdy śmiałém natręctwem fortuny nie kupi,
Czego godzien rozumny, to posiada głupi.
Trzeba talentom wsparcia, cnocie przewodnika.
Ale gdzież takie oko, które wskróś przenika?
Które mogąc, chce widziéć, czego nie dostawa?
Znać, czuć, zdobić, wspomagać, przymiot Stanisława.

Do Lucińskiego. Pochwała miodu.

Na garncu zasadzony i kwarcie i flaszy,
Zda się podłym twój urząd, mospanie podczaszy.
Nie myśleli tak starzy, gdy go stanowili;
Chcieli oni porządku i w tém, jakby pili.
Więc na pamiątkę ojców naszych wiekopomnych,
Choć masz urząd pijacki, wodzem masz być skromnych.
Tobie zatém, aby się zniósł zbytek w narodzie,
Tobie to dzieło niosę o piwie i miodzie;

A gdy mnie pod twém hasłem krytyka nie straszy,
Kończę, choć nie kielichem: — Bogdaj zdrów podczaszy!
  Rób, Polaku, miód, piwo, a będziesz bogaty!
Nasi tak nam ojcowie mawiali przed laty.
Tak i teraz, a przecież, o nasz zysk niedbali,
Nie słuchamy, jakeśmy przedtém nie słuchali.
Słodka zawsze rzecz cudza; co nasze, mniéj ważne;
Ztąd miód poszedł w pogardę, piwo niepoważne,
A że go dostać można i łatwo i tanio,
Dla mody go nie piją, dla mody go ganią.
Wkradł się zbytek w umysły zgnuśniałe w pokoju,
Wkradł się w odzież, w mieszkanie, do jadła, napoju,
A coraz postępując, fatalném ogniwem,
Wzgardził dawną prostotą, w niéj miodem i piwem.
Przeszedł nałóg nieprawy od ojców do dzieci:
Co było trunkiem panów, teraz ledwo kmieci.
Zrażeni niezgrabnością mniemanéj prostoty,
Wstydzim się miodu, piwa, tak, jak dawnéj cnoty.
Lepiéj było, kiedyśmy nasze trunki pili.
Nie piwo, lub miód czynił, żeśmy zwyciężyli,
Ale, co za prostemi trunki zawsze chodzi,
Trzeźwość była zaszczytem i starców i młodzi.
Z nią mężność, trwałość, praca i cierpliwość rosła;
Z niemi po krajach sława nasza się rozniosła,
Z niemi byliśmy straszni, możni i szczęśliwi.
Teraz? mód niewolniki i nowości chciwi,
Fraszkami zatrudnieni, starowni o zbytki,
W nasyceniu żądz płochych kładziemy pożytki.
Jakież są? Zewsząd strata, zamiast zasilenia,
Zewsząd ujma korzyści i dobrego mienia,
Zewsząd... Ale się może nadto rozszerzyłem.
O czém więc na początku samym namieniłem,
Do tego teraz zmierzam. Źle z zbytkami bywa;
Bracia! nie gardźmy miodem, wróćmy się do piwa!
Może się zda ten sposób i podły i mały?
„Czyż się kiedy trunkami narody wzmacniały?"
„Nie trunkami, to prawda; lecz, jak wśród machiny,
Wielkich skutków sprawcami są małe sprężyny,
Tak i napój ojczysty zbyt drogo niepłatny,
Gdy oszczędza wydatki, szanowny i zdatny.
Więc, ażeby kraj pewnym obdarzyć dochodem,
Rzeczesz: trzeba się piwem upijać i miodem?
Bynajmniéj! Zbytek każdy zdrożny i szkodliwy;

W mierze trzeba używać. Człowiek wstrzemięźliwy
Czuje dzielnie, pijaństwo jak jest rzecz obrzydła;
Czuje, iż pijanice podlejsi od bydła.
Możnaż wino porzucić? powabny to trunek,
Lecz takiego powabu zbyt drogi szacunek.
Niech go piją bogatsi, gustu w niém nie ganię,
Ale gdyśmy ubodzy, pijmy trunki tanie.
Przykra może ofiara, lecz skutki szacowne;
Przejdzie przykrość, słodycze za tém niewymowne
Nastąpią, a uczucie, pochodzące z cnoty,
Zgasi stałą słodyczą nietrwałe pieszczoty.
Przyjdzie zysk, i pomocnym wesprze nas ratunkiem,
Wtenczas, gdy się ojczystym zasilając trunkiem,
Tego będziem używać, co nam kraj nadawa.
Milszy napój, gdy własny, milsza i potrawa.
Dym nawet, mówią, słodki, gdy własnego kraju.
Czemuż od powszechnego dalecy zwyczaju,
Dobrych ojców złe syny, krwi zacnéj wyrodki,
Nie idziem prostym torem, ubitym przez przodki?
Źle wątpić, gorzéj jeszcze nadzieję utracić;
Mogliśmy się wyniszczyć, potrafim zbogacić.
Z oszczędności dostatek, z pracy się zysk wszczyna;
Pijmy skromnie miód, piwo; dojdziemy do wina.

Do wojewody. O zepsuciu publiczném.

Rzadki jest dobry przykład, zacny wojewodo!
Złe czasy, gorsi ludzie, do straty nas wiodą.
Czas, rzecz czcza; ludzie, co się z cnót starych wyzuli,
Te spodlone narzędzia, rzecz naszę zepsuli.
Mamy powstać? Niech spełzną przekupni czołgacze!
Pocieszy się ojczyzna, gdy zdrajca zapłacze,
Zdrajca, co równym sobie nadęty orszakiem,
W wolnéj ziemi jurgieltnik, śmiał się zwać Polakiem.
Rzym trwał, bo trwała cnota w mieszkańcach poczciwych,
Ale gdy się wkradł podstęp zysków niegodziwych,
Zdrobniały, spełzły, znikły owe wielkie dusze.
Odźwiernemi Cezarów były Fabijusze.
Przykład wieków nauka; do rzecz wielkich zdolność
Tam osiadła, tam trwała, gdzie ludzie i wolność.
Ty, co znasz, czém był niegdyś gmach, z małych ułomków,
Bądź podporą ojczyzny, bądź przykładem ziomków!

Do księdza plebana. O mierności.

Można przestać na małém, mój księże plebanie!
Dogodzić miernym chęciom, na to zawsze stanie;
Byle tylko mieć chęci na roztropnéj wodzy,
W jakimkolwiek bądź stanie nie będziem ubodzy.
Czegóż trzeba istotnie? Zaprawdę niewiele;
My się zbyt kochający, my nieprzyjaciele,
My jesteśmy nieszczęścia naszego działacze.
Ow głupi, co świat posiadł, a posiadłszy płacze,
Bo już nie miał co posiąść. Niechby Jowisz zatém,
Chcąc go więcéj szczęśliwym czynić i bogatym,
Stworzył jeszcze świat drugi, a właśnie dla niego;
Posiadłby go, i płakał, iż nie masz trzeciego.
Nie posiędziem my świata, Aleksandry nowe,
A choćbyśmy posiedli cały, lub połowę,
Gdy nie wiemy, w czém miara, i jak miara bywa,
I takby nasza istność była nieszczęśliwa.
Nie to, co mam, szczęśliwi, choć w wszystko opływam;
Lecz to, jak miarę dzierżę, i jak jéj używam.
Różnicę czyni żądza mierna, rozżarzona;
Grosz cichy, troskliwego znosi miliona.
Więc i groszem kontenci, gdy z poczciwéj pracy,
Jak niegdyś Kochanowski, a przed nim Horacy,
Użyjmy dobréj chwili, mimo zdania gminne.
Śmiechy, żarty, zabawki czułe a niewinne,
Niechaj liczbę zbyt małą dni naszych przedzielą.
Źli siłą się weselić, dobrzy się weselą.
Święta cnoto! tyś nie jest ponura i dzika!
Tobie niosę ofiary wśród mego chłodnika,
Ofiary niegdyś łatwe, winą naszą trudne:
Umysł bez uprzedzenia, serce nieobłudne.

Do kasztelana. O prawdziwéj godności senatora.

I trzeba ci winszować, bo jesteś w senacie;
Wczoraj bliźniak, a dzisiaj starszy, panie bracie!
Jaśnie wielmożny, niegdyś byłeś mości panem;
Więcéj jesteś, niźli ja, boś jest kasztelanem.
A zdziałał to przywiléj, dzieło pół arkusza!
I to dzieło mnie teraz do czczenia przymusza,
Bo masz prawo siąść w krześle, ja ledwo na ławce.
Tak dawniejsi kazali, słucham prawodawce.
Więc osiędziesz to krzesło, a rzecz powiedziawszy,

Niby pokorny, małość twych zasług uznawszy,
Wiedząc, co za czém idzie, przez zręczne żądania,
Pojdziesz nibyto wdzięczny do pocałowania.
Królów naszych jest ręka nader czczenia warta,
Prawem na złe zamknięta, na dobre otwarta.
Tak zrządził naród, czasy, w poczciwym okrzyku;
Rządca u nas bez żądła, jak matka w pszczelniku.
Ale nie dość siąść w krześle sporém i wygodném,
Trzeba jeszcze coś więcéj: być siedzenia godnym.
Bo krzesło nie nadaje rozumu i cnoty;
Nie z worka, ale z siebie ważny pieniądz złoty.
Jaśnie wielmożny, ważnyś — ale jakiéj wagi?
Jeżeli do przemocy tylko i powagi,
Zła to waga; więc wybacz, coć w prostocie powiem:
Ołów' bardzo jest ważny, przecięż jest ołowiem.
Wielka to jest powinność, być innym na czele;
Patrzą z dołu na górę stopniów wielbiciele,
A patrzą z góry na dół, co wielbienia mają;
Wzrok tych jednak bystrzejszy, co z dołu patrzają.
Osiadajże więc krzesło; lecz myśl, nim usiędziesz,
Czém byłeś, jesteś teraz, i czém potém będziesz;
A kiedy tak uczynisz, z użytkiem, nie szkodą,
Nie tylko kasztelanem, bądź i wojewodą.

MYSZEIS.

Parturiunt montes.
Hor.

PIEŚŃ I.

Treść: Król Popiel, odrodny od swoich przodków, zaniechawszy ćwiczeń rycerskich, pędzi życie w biesiadach i rozkoszach. Najprzód polubił myszy, lecz potém dostawszy *Mruczysława* kota, robi go swoim faworytem, i daje rozkaz wygubienia myszy w całym kraju.

Wy, co śpiewacie bohatérów dzieła,
I świat dziwicie cudy rozlicznemi!
Jeśli was sława ich wielka ujęła,
I praca, którą stali się zacnemi;
Pozwólcie nucić to, co przedsięwzięła
Nie muza, zdjęta duchami wieszczemi,
Ale wierszopis, pracujący w ciszy,
Nie dla rycerzy walecznych, lecz myszy.

— Cóż kiedy myszy sławnego zrobiły? —
Rzecze zuchwale krytyk mniéj wiadomy;
— Próżnym ciężarem i szkodliwym były;
Zwierząt odrodki, płód gnuśny, poziomy.
Rzuć tylko okiem na straszne mogiły,
Jeśliś Kruszwickich okolic świadomy;
Tam potężnego zbyt nieprzyjaciela
Zagryzły mężnie, książęcia Popiela.

Rozległe pola i żyzne oblewa
Gopło, jezioro wiekopomnie sławne;

Zdobią go cieniem ponadbrzeżne drzewa,
Brzozy, topole, buki starodawne;
Ptastwo rozliczne tam schronienie miewa,
I echo wrzaskiem sprawuje zabawne;
Doliny, wzgórki zielone i żywe
Miłą patrzącym czynią perspektywę.

Daléj równiny okiem nieprzejrzane,
Im rozleglejsze, miléj się wydają;
Łąki rozlicznym kwiatem przyodziane;
Własnym się kłosy ciężarem zginają;
Gaiki, jakby umyślnie sadzane,
W chłodzie ich cienia bydlęta igrają;
Pod gęstym krzaczkiem, siedząc w miłéj parze,
Hoży pastuszek nuci na fujarze.

Po drugiéj stronie jeziora, Kruszwica,
Miasto wspaniałe w struktury rozliczne,
Okazałemi gmachami przyświéca;
Wieże się zewsząd wznoszą niebotyczne;
Godna monarchów tak wielkich stolica
Okrasza bardziéj te widoki śliczne;
Gdziekolwiek wzroku lot bystry przyśpieszy,
Wszędzie się zdziwi, wszędzie się ucieszy.

W środku jeziora, natury igrzysko,
A, jako stara powieść w kraju głosi,
Czarnoksiężniczéj sztuki dziwowisko,
Wyspa ozdobna wspaniale się wznosi.
Na niéj twierdz mocnych jest obozowisko;
W szczycie, herb kraju, orzeł się unosi;
Tam zacne plemię Krakusa i Leszka,
Sarmatów książę, spoczywa i mieszka.

Potęgą kraju i przodków zasługi,
Popiel odrodny próżno się nadymał.
Na ulubione spuszczając się sługi,
Płochym letargiem zniewolony drzémał.
Brzydził się jarzmem publicznéj usługi,
I wodze rządów słabą ręką trzymał.
Mniemał być królem, że mógł rozkazywać,
I więcéj rozkosz nad innych zażywać.

Zniewieściałego pana faworyci,
Harpije państwa, krew poddanych ssały.
Łupem zdartego ubóstwa niesyci,
Na to swój umysł natężali cały,
Aby w tych gmachach, z monarchą ukryci,
Stan szczęścia swego uczynili trwały;
A dzieląc z panem władzę tronu ślizką,
Sobie rząd dali, a jemu nazwisko.

Zamiast odgłosu wojennego hasła,
Słychać tam było same biesiadniki.
Ochota mężna zupełnie wygasła,
I zapomniane marsowe okrzyki.
Trzoda nikczemna rozkosznie się pasła
Przy słodkiém brzmieniu przyjemnéj muzyki;
Miedziane bramy uwieńczały róże,
A Nimf orszaki były twierdzy stróże.

Co niegdyś prawa obowiązek ścisły
Sarmatów sercem i myślą kierował,
A zagrzewając wspaniałe umysły,
W oczach całego świata dystyngował;
Popiel odrodny, przez swoje wymysły
Skaził wszetecznie, i z gruntu popsował.
Nic nie pomogły cnoty przodków starsze;
Trucizną kraju są grzechy monarsze.

Dwór pański źródłem występków, lub cnoty.
Lud w obieraniu prosty i mniéj baczny,
Głupio zdziwiony na wyższe obroty,
W sądzeniu płochy, w działaniu dziwaczny,
Patrzy na dworskich intryg kołowroty;
Ten mu prawidłem, kto z postaci znaczny;
Na wzór bydlęcéj nieroztropnéj trzody,
Uczniem jest błędu, niewolnikiem mody.

W dziwactwie swojém Popiel niestateczny,
Coraz odmieniał wyuzdane chęci.
Nikt się nie ważył być królowi sprzeczny:
Chęć zysków pewnych do pochlebstwa nęci.
Odpór monarsze zawżdy niebezpieczny,
Cnota u dworu mało kiedy święci;
Nie syt, lecz mnóstwem chęci zmordowany,
I pan i naród szalał na przemiany.

Już dzień dziewiąty i z okładem mijał,
Jak Popiel myszki pokochał statecznie.
Każdy im z dworskich nieodstępnie sprzyjał,
Biegały sobie po polach bezpiecznie;
Kotki, kocięta, kto chciał, to zabijał.
Zrazu się bardzo broniły walecznie;
Nic nie pomogły nakoniec pazury:
Niejeden rycerz pozbył swojéj skóry.

Dobrze to jeden filozof powiedział:
Że się każdemu trzeba piędzią mierzyć.
Rzadki się w szczęściu statecznie osiedział;
Ślepéj fortunie nie potrzeba wierzyć.
Gdy się o kocie wybornym dowiedział,
Myszkom faworów król nie chciał powierzyć.
Zginęły myszki z dobrym swoim bytem;
Mruczysław kotek został faworytem.

Na co się tylko zdobyć który może,
Jak myszy gubić, każdy z dworskich myśli.
Jeden kunsztowne sporządza obroże,
Klatki, aby je trzymać jak najściśléj,
Łapki subtelne, zasadzone noże;
Rzemieślnik zdradnych sztuk modele kreśli;
Dopiéroż koty, w tak okropnym stanie,
Obfite z myszek mają polowanie.

Trzeba opuszczać dziedziczne siedliska,
W których się kryły myszki od pradziadów.
Kąty rozkoszne, miłe legowiska,
Śpiżarnie, pełne sérnych, mięsnych składów;
Kuchnie, wypasłéj trzody stanowiska,
Dawnych już u was nie ujrzycie śladów!
Gdy się zajadła na nie złość przeklęta,
Muszą uciekać w pola niebożęta.

Tak, kiedy orzeł, głodem uciśniony,
Ruszy się z gniazda, i skaliste góry
Rzuca, połowem już rozłakomiony,
Pędzi przed sobą małych ptasząt chmury;
A rozpostarte otwierając szpony,
Trwożliwą trzodę srogiemi pazury
Straszy; ta, szelest słysząca z daleka,
Wzmaga skrzydełka, i w strony ucieka:

Błądzą po polach mysz nędznych ostatki.
Ta dzieci szuka; te, bez doświadczenia,
Śladów kochanéj nie znajdując matki,
Okropne uszom wydają piszczenia.
Starsze, zdradliwéj bojące się klatki,
Stoją jak wryte na każde wzruszenia:
Umysł strwożony w polu, czy u płota,
W oczach im stawia drapieżnego kota.

Płodna tymczasem w rozmaite wieści,
Sława stugębna po świecie roznosi:
Jak los szczęśliwe koty tylko pieści,
A dekret srogi, nieużyty, głosi
Na biedne myszy, gubiąc ich do treści;
Rodzaj piszczący do ostatka znosi.
Odmienne krajem, lecz jednéj natury,
Trwożą się wszystkie i myszy i szczury.

Kogóżby taka przeciwność nie zbodła,
Gdy o ojczyznę idzie i o życie?
Z tak okropnego pochodzące źródła
Trwogi, zastraszyć powinny sowicie;
I chociaż w drugim panuje myśl podła,
Gotów natenczas działać znamienicie.
Umysł się wzmaga, zostający w cieśni;
Co się więc stało, powiem w drugiéj pieśni.

PIEŚŃ II.

Treść: Prześladowane myszy i szczury udają się do swego króla Gryzomira, mieszkającego w Gnieźnie, aby poddanych od zguby ratował. Rada szczurów i myszy bardzo burzliwa.

Szczęścia na świecie drogi kręte, śliskie;
A każdy chciwie do mety się śpieszy.
Uwielbia nader jeden stany niskie,
Chce być ukrytym w pospolitéj rzeszy;
Drugi, w mniemaniu, że honory bliskie,
Nędzny w istocie, nadzieją się cieszy;
Tymczasem, kiedy los szczęścia zagrodzi,
I tron nie wesprze, i mierność zaszkodzi.

Fortuna, kroki stawiając niebaczne,
Przypadkiem tylko skłania się i rządzi.
Choć jéj wyroki płoche i dziwaczne,
Przecięż to czynić musim, co osądzi.
W momencie wzruszyć zdoła stany znaczne,
I lubo w swoich procederach błądzi,
Przecież, choć słaba, i ślepa, i głucha,
Każdy ją wielbi i każdy jéj słucha.

Piszczący naród, znagła rozproszony,
Do najwyższego rządcy się ucieka.
Majestat jego w Gnieźnie położony;
Tam monarchowie myszowscy od wieka,
Ubezpieczeni będąc z każdéj strony,
Od zgrai kotów mieszkali zdaleka,
Nie przykrzy własnym hołdownikom, ani
Swemu monarsze wzajemnie poddani.

Lekkie daniny, jako znak poddaństwa,
W dni wyznaczone do niego nosili;
Schaby, słoniny, specyały państwa,
Dawali chętnie na co się zdobyli.
Uprzejme serca wiernego ziemiaństwa
Przyjmował, karmiąc tych, co mu służyli.
Nie dla potrzeby odbierał te datki;
Był bowiem nader obfity w dostatki.

Gmach był niezmierny mniszego klasztora,
Od dawnych czasów używany marnie;
Pierwszego bowiem wymysł fundatora
Tam ustanowił niezmierną księgarnię.
Doskonalszego coraz wieku pora
Dostatnią z niego zrobiła śpiżarnię;
A porzuciwszy marność, która uczy,
Tego się jęła, co karmi i tuczy.

Ledwo czytelnych książek folijały
Ojciec kanafarz lepiéj dysponował;
Co przedtém próżne na pulpitach stały,
On tam ozory, szynki uszykował.
Pargaminami zwijał specyały;
I aby imbier i pieprz się nie psował,
Pogańskie pisma i stare kroniki,
Lepiéj użyte, poszły na funciki.

Niezmierne zewsząd wznosiły się stosy
Najwyborniejszych do gustu przysmaków.
Ztąd przełożony, ubogi i bosy,
Pasł miękką trzodę pulchnych nieboraków.
Znosili skromnie tak przeciwne losy,
A w nasyceniu nie czyniący braków,
Coraz dostatnią zwiedzając karbonę,
Pędzili w Bogu życie umartwione.

Tam, w pośród sérów, szynek i ozorów,
Król mysz Gryzomir przebywał spokojnie.
Czczych wspaniałości nie szukał pozorów,
A darów bożych używając hojnie,
Kiedy usłyszał smutnych oratorów,
Którzy mu wieści przynieśli o wojnie,
Zwołuje radę, i nim zaszło słońce,
Już wyprawione sztafety i gońce.

Schodzi się zewsząd radnych panów rzesza.
Laty skurczeni starcy się czołgają,
Każdy, jak może, kroki swe przyśpiesza:
Młodzi się w lotnym biegu wyścigają;
I lubo cała mnogość onych piesza,
Rozkazy pańskie skrzydeł im dodają.
Stara się każdy, choć z dalekiéj strony,
Ażeby na dzień stanął naznaczony.

Najprzód poważną dworzanów gromadę
I radnych panów ażeby uraczył,
Królewską dla nich sprawuje biesiadę.
Gdy nasyconych zupełnie obaczył,
Dopiéro wszystkich zwołuje na radę;
I, aby każdy zdanie odkryć raczył,
Poprzedniczemi obliguje słowy;
A sam układa treść swojéj przemowy.

Tém poważniejsi, iż się już objedli,
Misterne na się przybrawszy postaci,
Gdy miejsca swoje porządkiem zasiedli
Narodu szczurów, myszów delegaci,
Aby do skutku swe zdania przywiedli,
I pozostałych pocieszyli braci;
Myślą, jak siły ojczyzny ponowić;
Wtém kanclerz woła: „Król pan nasz chce mówić“.

Żałosnym głosem monarcha zawoła:
„Smutne, poddani, ogłaszam wam wieści.
„Dotąd was strzegłem w pocie mego czoła,
„Teraz nieszczęścia doznajemy treści;
„Już i moc moja temu nie wydoła,
„Jakby was ustrzedz od dalszych boleści.
„W Kruszwicy najprzód, teraz w całym stanie,
„Srogie na myszy jest prześladowanie.

„Na tom was teraz zebrał i zgromadził,
„Abyście złemu skutecznie zabiegli.
„Nie czas, aby się jeden z drugim wadził;
„Rozumiem, żeście to samo postrzegli:
„Teraz jest pora, aby każdy radził;
„I jeżeliście w własnych sprawach biegli,
„Na dobro kraju ten talent obróćcie,
„A w tym się czasie przynajmniéj nie kłóćcie."

Nie bez przyczyny pobudzał do zgody;
Od dawnych bowiem czasów na przemiany,
Szczurów i myszy złączone narody
Wspólnie się gryzły; a choć wszystkie stany
Traciły przez to ojczyste swobody,
Przecież duch złości niepohamowany
Sprawiał, że sprzeczne w każdéj konjunkturze
Myszowskie zdania szczurom, myszom szczurze.

Zgiełk powstał wielki, gdy przyszło wotować,
Która ma strona głos pierwszy podnosić.
Orator szczurów przedsięwziął probować,
Że oni mają pierwsze zdania głosić:
„Do nas należy wszystko rezolwować,
„Prawa stanowić dobre, a złe znosić;
„I jeśli cierpim mysz stowarzyszenie,
„W większéj być od nich powinniśmy cenie."

Nie w moc szczególną, lecz w wielość znaczniejsze
Myszy, brać prymu nie chcą sobie dawać:
„Lubo się zdajem być w postaci mniejsze,
„Nie ztąd o zdaniu trzeba rozeznawać —
„Rzekły — a kiedy o rzeczy ważniejsze
„Zachodzi sprawa, natenczas poznawać
„Każdemu można będzie, która strona
„Lepiéj w rozsądek, w dzielność obdarzona."

Wzmaga się hałas; zamiast rady wrzawa;
Gryzomir ledwo usiedzi na tronie.
Powagę swoję nadaremnie wdawa;
Każdy, jak gdyby przysiągł swojéj stronie.
Nakoniec z miejsca pierwszego powstawa,
„Ratujcie — woła — ojczyznę przy zgonie!“
Krzyknęli: „Niechaj ginie wolność przeszła“.
I tak się rada senatu rozeszła.

PIEŚŃ III.

Treść: Gryzomir, król myszy i szczurów, wyséła posły za granicę, prosząc o wsparcie, a sam nakazuje pospolite ruszenie. Mruczysław zbiera kotów i staje do boju. Stoczona bitwa; pierzchają szczury i myszy. Filuś kotek, faworyt księżniczki Duchny, zabity.

Z ustawicznego mamy doświadczenia,
Przykład jak wiele pomaga lub szkodzi.
Na wzór jednego drugi się przemienia;
Co czynią starzy, naśladują młodzi.
I choć nie ujdzie pewnego skażenia,
Przecięż ubitym torem każdy chodzi,
Pewien, że swego szczęścia nie omieszka.
Przestępstw ubite drogi, cnoty ścieszka.

Więcéj występnych, niżeli cnotliwych.
Na oślep przeto ludzi naśladować,
Jest to się tułać po drogach błędliwych,
I dobrowolnie korzyść zostawować.
Ta była wada myszy nieszczęśliwych,
Kiedy się z sobą zaczęły pasować.
Fatalny przykład miesza je i łudzi,
Nauczyły się niezgody od ludzi.

Co miała rada dzielnie dopomagać,
W gorszéj ich jeszcze zostawuje doli.
Gdy się zaczęły przesadzania wzmagać,
Nie zysk wolności, lecz skutki swywoli.
Jedni na drugich chcą wszystko wymagać;
Klęska ojczyzny nikogo nie boli.
Obywatelów dobrych mała rzesza
Jeszcze przy swoim monarsze się wiesza.

Za ich powodem wysłani posłowie,
Po wszystkich państwach o posiłki proszą.
Każdy, gdy stanął, w żałosnéj przemowie
O mysz Sarmackich fatalności głoszą.
Odpowiadają pomyślnie królowie;
Ci dobre wieści do domu przynoszą.
Gryzomir z tego kontent nieskończenie,
Na pospolite zwoływa ruszenie.

Tymczasem, gdy się świat cały oburza,
Jędza niezgody z swych łożysk wypada;
Jad swój szkodliwy obficie wynurza,
Syta zjadłością i klęsk przyszłych rada.
Wzmaga się coraz powstająca burza:
Skażone serca nienawiść osiada.
Na jéj łbie węże najeżone świszczą;
To słysząc, koty mruczą, myszy piszczą.

Już obojętném na to patrzyć okiem
Monarcha kotów, Mruczysław, nie może.
Zwołuje dworzan, których miał pod bokiem,
Wierne osoby, obrońce i stróże.
Ci, rozesłani, bystrolotnym skokiem
Zbierają pułki, nim się wojna wzmoże.
Ledwo co były zaciągi skończone,
Gdy wojsko myszy idzie niezliczone.

Muzo! coś niegdy Homera budziła,
Kiedy w przewlekłych bajkach swoich drzémał;
Jeśli ci sztuka rymotworów miła,
Którą się grecki wierszopis nadymał,
Gdy śpiewał szczury, żaby, tyś przybyła;
On plauz zdziwionych słuchaczow otrzymał:
Niech się ja w jego towarzystwie mieszczę;
Daj myślom żywość, natchnij duchy wieszcze!

Na lewém skrzydle wojska zagraniczne
Myszy i szczurów w dobrym szyku stoją.
Lśnią się rynsztunki w rodzajach rozliczne,
Każdy ozdobny wspaniałością swoją.
Brzegów Sekwany wymuskane, śliczne,
Nie tylko kotów, i lwów się nie boją.
Nim hasło bitwy wodzowie dać raczą,
One tymczasem pląsają i skaczą.

Dunajskie szczury, harde i ponure,
W porządnym szyku stanęły jak wryte.
Z nad Tybru, trwożne, gdy chodzi o skórę,
Jednakże w zdradne podejścia obfite;
Zadnieprskie, twardą co mają naturę;
Od Elby, srogim bojem znamienite;
Tamizy, dzikie i sławne w rozpustę;
Szwajcarskie, wierne, opasłe i tłuste.

Nie tak mnogością straszny, jak wyborem,
Mruczysław swoje animuje koty.
Wzywa do sławy, i punktu honorem
Wzbudza poddanych do wojennéj cnoty.
Gryzomir wzajem, tymże idąc torem,
Swym wojownikom dodaje ochoty.
Z obu stron, skoro dane tylko hasło,
Kocie i mysze wojsko razem wrzasło.

Miauczących kotów przeraźliwa wrzawa,
Szczurów odważnych pisk słychać ochoczy.
Pobojowisko okrywa kurzawa,
Gęstym tumanem wojowników mroczy.
Wzmaga się coraz bitwa straszna, krwawa,
A potokami krwi ziemia się broczy;
Zamiast kunsztownéj z stali armatury,
Broń stron obudwóch, zęby i pazury.

Rominagrobis, szwagier Mruczysława,
Wódz pierwszéj straży mężnych wojowników,
Przykładem swoim ochoty dodawa;
Zagryzł rotmistrza i dwóch pułkowników.
Wszystko się jego pazurom poddawa,
I rocie, którą rządzi, dzikich zbików.
Chociaż go mnóstwo myszy zewsząd ściska,
Pełne już trupów są pobojowiska.

Gryzosław, młodszy brat monarchy myszy,
Co prawém skrzydłem wojska zawiadował,
Przez adjutanta gdy o tém usłyszy,
Co hetman dzikich kotów dokazował;
Natychmiast szybkim krokiem idzie w ciszy,
Aby kompanów w przygodzie ratował.
Bierze tył zbikom; dognawszy ostatki,
Straszne zaczyna z onych czynić jatki.

Miaukas, waleczny rotmistrz zagryziony,
Tuż koło niego Dusimyszek leży;
Nie wskórał Filuś, kotek wypieszczony,
Z pstrocętkowanéj udatny odzieży;
Ani Myszogryz, połowem wsławiony.
Bez wodzów reszta niedobitków bieży.
Zwycięzca coraz gdy żwawiéj naciera,
Wszystko ucieka, nic się nie opiera.

Usłyszał swoich głosy przeraźliwe
Rominogrobis, nagle zadziwiony.
Kiedy zaś hufce zobaczył pierzchliwe,
Nową natychmiast złością rozjuszony,
Ku tamtéj stronie pazury straszliwe
Zwraca, a świeżym łupem rozłakniony,
Tém większą jeszcze zajadłość wywiera;
Szarpie w kawałce, na sztuki rozdziera.

Po stosach trupów z obu stron pobitych,
Śpieszą ku sobie wielcy adwersarze.
Mniejszy szczur, przecięż w dziełach znamienitych
Godzien, z walecznym kotem by był w parze.
Nowy laur przydać do innych obfitych,
Kot myśli, szczura gdy zuchwałość karze.
Pierzchają z pułków rycerze zmięszani:
Sami na placu zostali hetmani.

Jeden drugiego bystrém okiem mierzy.
Widzi kot szczura niezmiernéj postaci.
Wprzód się do zwykłych udaje pacierzy;
Szczur, mniéj nabożny, nic serca nie traci.
Wtém tak go nagle z impetem uderzy,
Iż ledwo życiem walki nie przypłaci.
Kot zagłuszony ciosem, ledwo lezie,
Szczur go tymczasem, jak gryzie, tak gryzie.

Bólem nieznośnym zbyt srodze przejęty,
Chce go przygarnąć, lecz chyżo odskoczył.
Przypadnie z boku, urwał mu pół pięty;
Kot z miejsca umknął, i trochę wyboczył.
Leci szczur obces, lecz znagła przejęty
Pazurmi za kark, tak aż się zamroczył,
Gdy się raz jeszcze miotać żwawie kusił,
Kot go za szyję porwawszy udusił.

Bez wodza wojsko zostawszy ucieka,
Lecz kocia trzoda gonić go nie zdoła.
Widzi rozsypkę Gryzomir zdaleka:
Postać się niegdyś odmienia wesoła,
A czując, że go los okropny czeka,
Gdy nadaremnie łaje, prosi, woła,
Przynajmniéj, żeby szli za jego śladem,
Sam do ucieczki najpierwszym przykładem.

Dzielnaż to przecię rzecz, monarchów czyny!
Skoro król uciekł, wszyscy za nim w nogi.
Każdy do swojéj pośpiesza krainy,
A mniema, że tuż nieprzyjaciel srogi.
Krajowe wojska, i cudze drużyny,
Każdy, unosząc życie, wiatronogi;
Szczęśliwi przecię, że im pora nocna
Do téj podróży zdatna i pomocna.

PIEŚŃ IV.

Treść: Rozpacz księżniczki Duchny po śmierci Filusia; pogrzeb jego. Zapalona zemstą księżniczka, prosi ojca, aby naród myszy ze szczętem zatracił.

Bodajby świecił szczęśliwy wiek złoty,
Kiedy Astrea mieszkała na ziemi!
Pod słodkiém jarzmem ulubionéj cnoty,
Szczerość czyniła wszystkich przyjaznemi.
Nie przykrzyły się ustawne kłopoty,
Ani łudziła chciwość wdzięki swemi;
To, które wszystkich nam trosków dodało,
Złoto, w wnętrznościach ziemi spoczywało.

Bez tego kruszcu nikt nie był ubogi,
Ani się pysznił bogaty w szkarłacie;
Zasypiał smaczno, po pracach bez trwogi,
Strudzony rolnik w miernéj swojéj chacie;
Nie straszył sędzia winowajców srogi;
Lichwiarz nie składał pieniędzy w komnacie;
Dla spadków, śmierci nie czekał syn ojca,
Ani rycerzem był płatny zabójca.

Ożywiające już swoje promienie
Zaczął rozpuszczać Febus złotowłosy;
Nową przywdziewa postać przyrodzenie;
Zioła kroplistéj pozbywają rosy;
Uspokojonéj natury milczenie
Przerywa ptastwo rozlicznemi głosy;
Rozkoszne niegdyś Kruszwicy siedliska
Straszne wydają jednak widowiska.

Cieszy się jędza z swéj złości zabytków:
Ponad plac bitwy rada się unosi.
Miły jéj widok tylu niedobitków;
Nędzarz niejeden o ratunek prosi;
A syt aż nadto wojennych pożytków,
Jęczeniem smutném los okropny głosi.
Takie korzyści ma rycerska sztuka:
Ów syna płacze, a ta ojca szuka.

Dochodzą wieści Popiela stolicy,
Jak wiele kotów zginęło w téj walce;
Rozruch po całéj zaraz okolicy;
Damy, rozjadłe bardziéj niż padalce.
Płacz się rozlega zewsząd po Kruszwicy,
Ta włosy targa, a ta gryzie palce.
Ale największy płacz księżniczki Duchny,
Gdy zginął Filuś, jéj kotek miluchny.

Filuś rozkoszny, miły i przyjemny,
Filuś, w pokojach co ustawnie gości,
W uciesznych skokach sztuczny i foremny,
Filuś, co nigdy w swém życiu nie pościł,
W oddaniu miłych karesów wzajemny —
Niejeden amant skrycie mu zazdrościł —
Padł śmierci łupem, przykład kociéj cnoty;
Zginęły wdzięki, zginęły pieszczoty!

Łzami rumiane oblewa jagody
Smutna księżniczka, a przy niéj dwór cały.
Odrzuca wszystkie od siebie wygody,
Brzmią tylko same Filusia pochwały.
Niejeden amant, udatny i młody,
Choć skrycie kontent, na oko zmartwiały;
A dogadzając żałosnéj potrzebie,
Wszyscy staranie czynią o pogrzebie.

Idą porządkiem szykowane roty,
Wszyscy w ponuréj i smutnéj postaci.
Najpierwsze w marszu idą dzikie koty,
Wyborne czoło od innych współbraci;
Sztandar niósł jeden przedziwnéj roboty.
Nieboszczykowscy za tém koligaci,
W żałobne flóry ich łapki uwite,
Ostre pazury wciągnione i skryte.

Przyjazne za tém nadchodzą orszaki.
Jak który może, boleść ciężką znaczą:
Żałosne głosy wydają ptaki;
Synogarlice w parach swoich płaczą;
Swojskich zwierzątek rodzaj wieloraki,
Rozkoszne nawet wiewiórki nie skaczą;
Milczą papugi, niegdyś rezolutne;
Igrać małpeczki zapomniały smutne.

Niesie Minetka obróż cętkowaną,
Hektorek grzebień ze słoniowéj kości;
Irys kołderkę złotem haftowaną,
Bebe manelki dziwnéj wspaniałości;
Miledy czarkę wewnątrz wyzłacaną,
Z któréj zwykł jadać i częstować gości.
Sprzęty szacowne od łapek i szyje,
Już was kochany Filuś nie użyje!

Leżą na złotych marach położone,
Ulubionego faworyta zwłoki.
Po wszystkich stronach kwiaty rozrzucone,
A całun mary okrywa szeroki;
Bujają w puchu członeczki pieszczone,
Dym się z kadzidła wznosi pod obłoki;
Niosą trumienkę, nakształt kolebeczki,
Najukochańsze księżniczki małpeczki.

Już się do stosu zwłoki znamienite
Zbliżyły; w kiry przybrani rycerze.
Cyfry z posępnych cyprysów uwite;
Mruczysław długie zaczyna pacierze,
Daléj obrządki czyni należyte;
A w drżące łapki, gdy pochodnią bierze,
I stos i Filuś spłonęły pospołu;
Garstka się tylko została popiołu.

Smutne ostatki wybornego kota
Skrzętnie przytomni do kupy zbierają;
A że największych wielbień godna cnota,
Wszyscy Filusia pochwały śpiewają.
Już sporządzona puszka szczerozłota,
W niéj resztę drogich popiołów składają.
Gmach zaraz stanął wyborny w strukturze,
A taki napis ryty na marmurze:

„Tu leży Filuś, swéj pani kochanie,
„Ten, co w przymiotach przeszedł wszystkie koty.
„Ucieszne jego i miłe igranie,
„Skoki przyjemne, uprzejme pieszczoty,
„Nic nie pomogły: smutne narzekanie
„Zostawił tylko i wieść swojéj cnoty.
„Chwalebną, prawda, lecz śmiertelną bliznę,
„Poniósł za naród i miłą ojczyznę.

„Płaczcie tak wielki zaszczyt utracony,
„I wspólną waszę ozdobę, zwierzątka!
„Dziatki młodziuchne, owdowiałe żony,
„Płaczcie sieroty teraz niebożątka!
„Niewcześnie Filuś ze świata sprzątniony;
„Przecięła nagle pasmo życia prządka.
„Koło mogiłki, kto tylko przebieży,
„Westchnij: tu Filuś najmilejszy leży!“

Nieutulona Duchna rzewnie szlocha,
Lecz żal o zemście myślić nie przeszkadza.
Płeć ta, z pozoru choć zdaje się płocha,
Przecięż, kiedy jéj cokolwiek zawadza,
Tak nienawidzi zbytecznie, jak kocha.
Nie zna co miara, we wszystkiém przesadza;
Staje się zdradna, okrutna, lub podła,
Byle, co zechce, do skutku przywiodła.

Przebacz, płci piękna, zbyt śmiałym wyrazom!
Nasz obowiązek wam zawżdy dogadzać,
Macie nas swoim podległych rozkazom,
Lecz respekt prawdzie nie może przeszkadzać.
Powolność każe przepuszczać urazom;
Chwalić defekta, jest więcéj niż zdradzać.
Jeśli was prawda niemiła obchodzi,
Mówcie: że zmyślać poetom się godzi.

Nie dosyć na tém, że gardłem skarani,
Myszego wojska wszystkie niewolniki,
Nie dość, że będąc z ojczyzny wygnani,
Świat żałosnemi napełniają krzyki:
Nieutulona w żalach swoich pani,
Ustawne ojcu podaje supliki,
Żeby się w zemście powziętéj nie lenił,
I cały rodzaj myszy wykorzenił.

Obstaje takim prośbom państwa rada,
Twierdząc, iż płochość sławę królów maże.
Insza myśl jednak w Popielu osiada;
Ci myszy bronią, on je gubić każe.
Gdzie miękkie serce, tam rozum nie nada.
Czegóż płeć piękna kiedy nie dokaże?
Mimo tak wielkie płci naszéj zalety,
My rządzim światem, a nami kobiety.

PIEŚŃ V.

Treść: Gryzomir uciekający z placu, głodem przyciśniony, wchodzi do jednéj ubogiéj chaty i tam wpada w łapkę. Czarownica wróciwszy do domu, chce go zabić, ale dowiedziawszy się o jego dostojeństwie i przypadkach, daruje mu życie i bierze go na łopatę.

Bajka częstokroć sens moralny mieści;
Ztąd Ezop bajarz sprawiedliwie słynie.
Źle czyni, który gardzi przypowieści,
Smaczny to owoc, choć w podłéj łupinie.
Dźwięk słów wybornych uszy tylko pieści,
Jeśli z nich zdatna nauka nie płynie.
Natenczas blaskiem czczym tylko jaśnieją,
I nakształt próchna świecą, a nie grzeją.

Czas zacząć powieść o skutku przegranéj,
I gonić myszy pierzchające z pola.
Zostają wszystkie w trwodze niesłychanéj,
Gdy z oczu swego utraciły króla.
Ten, choć w złym stanie, myśli o oddanéj,
I choć go nagła uciska niedola,
Aby się zemścił, pory tylko czeka,
A sam tymczasem, jak może, ucieka.

Nieraz z bitego toru w pędzie zboczy,
Zda mu się widzieć okropne straszydła;
Wraca się... staje... i znowu poskoczy,
Aby uniknął zdradliwego sidła.
— Stara przypowieść: strach ma wielkie oczy;
Możnaby jeszcze dodać, iż ma skrzydła.
Rączéj, niż zając w kniei po za sieci,
Nasz król Gryzomir nie bieży, lecz leci.

Gdy coraz naglćj pędzi i ucieka,
Wtém noc swe grube spuściła zasłony;
Pora przyjemna dla zwierza i człeka,
Aby spoczynkiem został orzeźwiony.
Westchnął Gryzomir... w tém postrzegł zdaleka,
Domek od ziemi mało co wzniesiony;
Ostrzy apetyt, wietrzy, ale marnie,
W podłéj lepiance ubogie śpiżarnie.

Zbliża się przecię pragnący spoczynku;
Szczęściem natrafił, że drzwi wpół otwarte.
Pali się reszta drewek na kominku,
Na kołku wiszą odzieże wytarte.
Ściany dziurawe, wiatr świszcze jak w rynku,
Przez dach deszcz leci, bo gonty obdarte.
Przy piecu stara kądziel, na niéj przędza,
A w każdym kącie ubóstwo i nędza.

Na złą gospodę trafił nasz podróżny,
Śpieszno się jednak krząta i uwija.
A że żołądek zbyt dokucza próżny;
Żadnego miejsca takiego nie mija,
Gdzieby posiłek znalazł; mniéj ostrożny,
Co znajdzie gryzie, co znajdzie wypija.
A gdy chce dostać więcéj jeszcze jadła,
Wpadł w łapkę, zdradna sprężyna zapadła.

„O losy srogie! fortuna zdradliwa!“
Woła nieborak siedzący w obręczy.
Żąda ratunku, nikt się nie odzywa.
Chce przedrzeć kratę, sili się i męczy.
Dodaje mocy postać obelżywa;
Widząc daremną pracę, bardziéj jęczy.
Więc pewien, że zła czeka alternata,
Począł rozmyślać o marnościach świata.

Tak ów Bajazet, rycerz zawołany,
Co niegdyś całym zdawał się trząść światem,
A zawiadując dzikiemi pogany,
Groził narodom zwycięzkim bułatem:
Nakoniec w bitwie sromotnie pojmany,
Gdy się z możniejszym spotkał potentatem,
Znalazł nieszczęście na zdradnéj zasadzce;
Osiadł niewolnik w Tamerlana klatce.

Już kogut głosem swoim przeraźliwym
Północną światu porę zapowiedział;
Wskróś przerażony okrzykiem wrzaskliwym,
Gryzomir w klatce ledwo co dosiedział.
Zapomniał myśléć o losie zdradliwym:
Lecz wkrótce więcéj jeszcze się dowiedział.
Skoro koguty piania zakończyły,
Drzwi się natychmiast znagła otworzyły.

Wchodzi dziwotwór, baba przestarzała,
Co się bawiła dotąd nad granicą;
Zsiniałe usta, twarz zmarszczona cała,
Oczy zapadłe we łbie się jéj świécą.
Półtora tylko zęba w gębie miała:
Poznał z postaci zaraz czarownicę.
Jeszcze i z potu nie otarła czoła,
„A tuś, mój gościu!“ straszliwie zawoła...

Porwie za klatkę, trzęsąc się jak żmija.
Gryzomir, jak mógł, tak się w niéj ułożył.
Siedzi w kąciku, i w kłębek się zwija,
Powstał nakoniec, łapki na krzyż złożył:
„Niechaj twa zemsta, rzecze, nie zabija,
„Na twe usługi życie będę łożył.
„Komu gotujesz los straszny i smutny,
„Wiédz, iż jest myszów książę absolutny.

„Jestem w twych ręku, i możesz mnie zgubić,
„Skoroś mnie tylko w niewolę dostała.
„Lecz co za sława, bezbronnego ubić?
„Gardzi takową zbrodnią myśl wspaniała.
„Puść mnie; natenczas możesz się pochlubić,
„Żeś większéj jeszcze sztuki dokazała.
„Dzielnie się twoja dobroczynność wyda:
„Czasem téż słaby mocnemu się przyda.“

Z razu się zdaje baba nieużyta:
Postać ją daléj pokorna zmiękczyła.
Jak do niéj trafił? daléj się go pyta:
Wtém, gdy ciekawość swą uspokoiła,
Wypuszcza z klatki, a w łaskę obfita,
Dzielną pomocą więźnia ucieszyła.
„Zobaczysz, rzecze, losu alternatę!
„Siadaj tymczasem ze mną na łopatę.“

Rzekła: posłuszne rozkazom narzędzie,
Samo z za pieca śpieszy się do pani:
Na niém Gryzomir gdy z babą usiędzie,
Zda mu się, jakby zostawał w otchłani.
Bierze latarnię baba; w nagłym pędzie
Dziurą komina są w górę porwani.
Król myszów, aby nie zaginął marnie,
Przedarł się jakoś do babiéj latarnie.

Niechże tam siedzi przy łojowéj świecy,
I buja z babą aż po nad obłoki!
W złém towarzystwie sprosnéj czarownicy
Nie nazbyt miłe hazardowne skoki.
My się tymczasem wróćmy do Kruszwicy,
Gdzie Filusiowe pochowano zwłoki.
O innych rzeczach dosyć się gadało,
Czas mówić o tém, co się z koty stało.

Obchody smutne Filusia gdy przeszły,
Sam król Mruczysław, wielekroć raniony,
Dopiéro uznał skutek bitwy zeszłéj;
Późno albowiem został opatrzony.
A że niezdrowy i w lata podeszły,
Ustawicznemi pracami zwątlony,
Legł: a w tém odgłos, powszechne szemranie,
Iż jego życie w niebezpiecznym stanie.

Nacisk doktorów chorego otacza.
Ten radzi chodzić, ów radzi ogrzewać,
Tamten surową dyetę naznacza,
Drugi tucznemi potrawy nadziewać.
Jeden drugiemu w niczém nie przebacza;
I kiedy wspólnie zaczęli się gniewać,
Król, który zdrowia szczerze sobie życzył,
Wszystkich wypędził, i tak się uleczył.

PIEŚŃ VI.

Treść: Głodny szczur, dorwawszy się łoju, gasi świeczkę w latarni, i razem z nią rzucony od baby. Gryzander, brat jego, zbiera rozpierzchnione wojska i prowadzi do gumna lichwiarza.

Nie ten szczęśliwy, kto jest wywyższony
I w pożądanéj buja obfitości,
Pogląda z góry, widzi z każdéj strony
Podłych czcicielów swojéj wspaniałości:
Lecz ten, co w dole, że upośledzony,
Życzy mu spadku bez żadnéj litości.
Niechże fortunie dziwactwo przypadnie;
Im wyżéj latał, tém ciężéj upadnie.

I nasz bohatér leci na łopacie,
Jednakże ja mu szczęścia nie zazdroszczę.
Nie chcę z górnemi być za panie-bracie;
Mam być zbyt syty, lepiéj się przeposzczę.
Znalazł ratunek, prawda, w babiéj chacie,
Kontent na oko, a wewnątrz się troszcze.
Piękna rzecz latać, gdy się komu godzi;
Bezpieczny jednak, kto po ziemi chodzi.

Noc była ciemna, a grube obłoki
Słabe księżyca światło przykrywały;
Słyszy na dole mruczące potoki,
Leci nad lasy, przepaści i skały.
Świst wiatrów straszny sprawia lot wysoki;
Nasz wielki rycerz, napoły zmartwiały,
Siedzi w latarni, nic jednak nie widzi;
Wołać ratunku boi się i wstydzi.

Tak niegdyś Astolf, rycerz staréj daty,
Powietrznéj jazdy zuchwale próbował;
A zamiast podłéj guślarskiéj łopaty,
Na hippogryfie siedząc wojażował.
Szukał rozumu, aże po-za światy;
Tam się albowiem Orlandowi schował.
Ktoby chciał wiedzieć, gdzie się nasz zagnieździł,
Podobnoby ten nadaremnie jeździł.

Widzi Gryzomir swój błąd po niewczasie.
Na nic się nie zda, już późno żałować,
A gdy apetyt coraz naprzykrza się,
Wietrzy łój... świeczce jął się przypatrować...
Z początku wzrokiem, myślami się pasie...
Daléj wziął śmiałość przynajmniéj skosztować.
Zgryziona świeczka niewiele go spasła;
Skoro ją wzruszył, upadła i zgasła.

Jęknęła baba, zostając w ciemności,
Nie wié, jak dalszą podróż dyrygować.
Szuka przyczyny téj nieszczęśliwości:
„Musiał latarnię któś, rzecze, zepsować.“
Nie wiedząc, że w niéj książę myszów gości,
„Na cóż ją daléj mam daremnie chować?
„Niech się o skały rozbije i zetrze!“
Rzekła... w tym punkcie puszcza na powietrze.

Gryzander, ten, co zawiadował szczury,
Ubiegłszy milę, stanął heroicznie.
A jako mężny i żwawy z natury,
Złorzeczył niebu, łajał ustawicznie,
Wyzywał kotów, nie dbał na pazury.
Słysząc głos jego, myszy okolicznie,
Skoro swojego hetmana spostrzegły,
Hurmem się wszystkie koło niego zbiegły.

Czytał on niegdyś podobno w Homerze,
A drudzy mówią, w kronikarzach dawnych:
Jak wymownemi bywali rycerze;
Umiał na pamięć kilka przemów sławnych,
Przetoż ten sposób zaraz przedsiębierze,
Gdy widzi swoich szczurów mniéj zabawnych.
Wstąpił na miejsce do tego gotowe,
Kaszlnął, nos utarł, i zaczął przemowę:

„Rycerze moi, współbracia boleśni!
„Bardzośmy mało w téj wojnie wskórali.
„Widzę płacz, zamiast tryumfalnych pieśni!
„A nacożeście z placu uciekali?
„Strwożeni, zbici, zostajecie w cieśni;
„Lecz was ucieczka dalsza nie ocali.
„Czas się otrząsnąć, przy mnie tylko stójcie,
„Kocich się więcéj pazurów nie bójcie.

„Brat mój, czy zginął, czyli jest w niewoli,
„Czyli też lepiéj, niźli my, ucieka;
„Jeśli go widziéć nam niebo pozwoli,
„Niech się z nas przecież pociechy doczeka.
„Rozpacz zostaje w ostatniéj niedoli;
„Ta dzieł odważnych sprawczyni od wieka.
„Zwycięztwem tylko hańbę możem zmazać:
„Co mogą szczury, czas teraz pokazać.

„Nowe posiłki idą nader liczne;
„Mam wiadomości o tém niewątpliwe.
„Myszy kaspijskie, szczury meotyczne,
„I z krajów, gdzie są Araby szczęśliwe,
„I gdzie Kaukazu góry niebotyczne,
„Libijskie straszne i Maurów zjadliwe.
„A choćby i tych posiłków nie było,
„Umrzéć za wolność i ojczyznę miło.“

Ledwo co skończył, wesołe okrzyki,
Miłe szemrania natychmiast powstały.
Tak, gdy po mrozach słoneczne promyki
Rzeźwić wszczynają świat, zimnem zmartwiały,
Ciepłe nieznacznie powstają wietrzyki;
Topią się zlekka lodowe kryształy;
Trawki się krzepią; ptastw wrzaski radosne,
Po smutnéj zimie wdzięczną głoszą wiosnę.

Lubo wśród pola uczyniona rada,
Gryzander jednak na siebie to bierze,
Aby bezpiecznie spoczęła gromada,
I zmordowani ucieczką rycerze.
A gdy o miejsce sposobne się bada,
Postrzegł zdaleka obszerne śpichlerze.
Tam marsz obraca, i nie bez przyczyny,
Gdzie myśli znaléźć dobre magazyny.

Od lat czterdziestu lichwiarz zakamiały,
Zdarłszy dziedzica, w tym folwarku gościł.
Zdradnemi matactw wsparty foliały,
Na cudzą pracę prawo sobie rościł;
A bardziéj głodem, niż laty znędzniały,
W Boga nie wierzył, a w niedzielę pościł.
Bez cnoty, serca i punktu honoru,
Strażnikiem tylko był swojego zbioru.

Szczodre w obfitych darach przyrodzenie
Na jego dobro próżno się siliło.
Żałował wody, gdy gasił pragnienie;
Słońca nie lubił, że darmo świeciło.
Pasły się w gumnach szczury nieskończenie,
A zboże w styrtach butwiało i gniło.
Tam orszak myszy, gdy coraz się mnożył,
Czekając wsparcia, obozem rozłożył.

Co téż poczyna Duchna nieszczęśliwa?
Jeszcze mnie dotąd nikt o to nie spytał.
Jęczy nad grobem Filusia wpół żywa;
Klnie los, co nagle faworyta schwytał.
Łączy się z żalem nienawiść zjadliwa,
Z jéj oczu każdy rozpaczby wyczytał.
Codzień promienie jutrzenki uprzedza,
I grób miłego Filusia nawiedza.

Śmieje się w duchu Popiel z kota straty,
Lecz rozpacz córki martwi go niezmiernie.
Wymyśla różne igrzysk alternaty;
Co było różą, teraz dla niéj ciernie.
Amanci, którzy przyjechali w swaty,
Wzgardzeni, chociaż usługują wiernie.
Na tém chce przestać księżniczka koniecznie,
Albo się zemścić, albo płakać wiecznie.

Bić się z myszami, niebardzo przystoi:
Przecież chce wojny jéj zajadłość wściekła.
Nie bić się; znowu o córkę się boi,
Pamiętny na to, co pierwéj wyrzekła.
Połowem myszy może się ukoi;
Lecz próżne łapki; każda z nich uciekła.
Sprawiwszy przeto królewską biesiadę,
Ministrów, dworzan zwoływa na radę.

PIEŚŃ VII.

Treść: Gryzomir spada z latarnią na grób Filusia. Schwytany i księżniczce oddany, już miał zginąć, gdy czarownica przybiega do Kruszwicy i ratuje go od śmierci.

Nie masz choroby takowéj na świecie,
Któraby swego lekarstwa nie miała.
Wy, co umysły ludzkie leczyć chcecie,
Patrzcie, jak wasza usilność zuchwała!
Nadto jest maksym moralnych, a przecię
Niewiele dzielność mędrców dokazała.
Kiedyśmy w szczęściu, wszystko idzie snadnie:
W nędzy i statek i rozum odpadnie.

Póki Gryzomir na babiéj łopacie,
Raz posadzony, bezpiecznie spoczywał,
Póty nie widział losu w alternacie;
Lecz, gdy na śmielsze kroki się zdobywał,
Mniemając, że mógł zabiedz życia stracie,
Wlazł do latarni, i ciepło spoczywał.
Chciał więcéj, przeto stara powieść iści:
Przynosi stratę chęć zbytnia korzyści.

Nagłém wzruszeniem srodze przelękniony,
Sam nie wié, gdzie jest, i co się z nim dzieje;
Chciałby co czynić, ale zagłuszony
Impetem wiatru, który zewsząd wieje.
Ten, lekki ciężar rzuca w każde strony,
Spuszcza, unosi, zastanawia, chwieje.
Świeczka wypadła, papiery się zdarły;
Trzyma się sznurka rycerz wpół umarły.

Już gwiazdy coraz niknąć poczynały,
I zorza miłą jasność pokazywać.
Tam, gdzie się wznosił grób nader wspaniały,
Przyszła Filusia Łuchna opłakiwać.
Już kantor, wziąwszy pieśni foliały,
I okulary na nos, miał zaśpiewać.
A gdy po cichu pierwsze strofy nucił,
Wziął w łeb latarnią tak, aż się wywrócił.

Cud niesłychany! lud cały zawoła:
Dusza Filusia pieśni nasze słyszy.
Zrazu strwożona, lecz potém wesoła
Księżniczka rości ztąd zgubę dla myszy.
Kantor, choć guza dostał wpośród czoła,
Gdy postrzegł, że szczur wśród latarni dyszy;
Porwał go z nagła, i już raduje się,
Że taką zdobycz dla księżniczki niesie.

Nie tak lichwiarza cieszy kruszec złoty,
Nie tak pijaka kufel napełniony,
Nie tak doktora żółtaczka, suchoty,
Nie tak szulera pamfil postrzeżony,
Nie tak dewotkę szwanki cudzéj cnoty,
Nie tak dworaka faworyt sprzątniony,
Jak, gdy księżniczka, skoro tam przybiegła,
Monarchę myszów w swych ręku postrzegła.

Tymczasem baba, po zgasłym kaganku,
Ku miejscu czarów, jako może, zmierza.
Nie obeszło się w podróży bez szwanku;
Nieraz łopatą o drzewa uderza;
Już się zbierało prawie ku poranku,
Budzić się leśne zaczynały zwierza;
Gdy kończąc drogę, którą przedsięwzięła,
Na łysej górze szczęśliwie stanęła.

Spojrzy za siebie, aż łopata próżna;
Ryknie, jak lwica, tak jéj to niemiło.
Sama się wini, iże mniéj ostrożna;
Siedzieć się pewnie szczurowi sprzykrzyło.
Żalu ciężkiego opisać nie można:
Choć włosy targać, ale ich nie było.
I gdyby jeszcze spełna zdrowe miała,
Pewnieby była zębami zgrzytała.

Do gusłów zatém i czarodziejstw sławnych
Skrzętnie się baba natychmiast udaje.
Cyrkuł na ziemi kreśli z liter dawnych,
Szepce pod nosem, dzikie rzeczy baje.
Rzuca pęk ziółek czarami zaprawnych;
Zżyma się, siada, i znowu powstaje.
Nim zaś te wszystkie gusła uczyniła,
Dziewięć się razy wkoło okręciła.

Okropnym głosem straszy okolice,
Mocarstw piekielnych ku pomocy wzywa;
Na wielowładnéj rozkaz czarownice,
Jęk się okropny z pod ziemi dobywa.
Lucyper z swojéj rusza się stolice,
I trzoda duchów podziemnych pierzchliwa;
Gwiazdy swych spuszczać przestały promieni,
Księżyc się krwawą posoką rumieni.

Zjadłe padalce i gadziny piszczą;
Żmije się na jéj czołgają skinienie;
Drży ziemia, ognie piorunowe błyszczą;
A jakby zginąć miało przyrodzenie,
Wzmaga się coraz burza, wiatry świszczą,
Stuletnich dębów wzruszają korzenie.
Dzielniejsze zatém kuglarstwa zaczyna,
I zwykłym czarty sposobem zaklina.

Już z wymuszonéj piekła odpowiedzi
Wié, co się z nędznym Gryzomirem stało:
Jako w niewoli u księżniczki siedzi,
Co się z nim pierwéj, co się potém działo.
Czegoż ciekawość babia nie wyśledzi?
Kontenta przeto, że się jéj udało
Przy rannéj zorzy, nie potrzebna świécy,
Na swéj łopacie jedzie do Kruszwicy.

Tam winowajca, prędko osądzony
Za swe przestępstwa i nowe i stare,
Już na plac śmierci jest wyprowadzony,
Aby odebrał zasłużoną karę.
Zbiegł się na widok lud nieprzeliczony,
Patrząc na miłą księżniczce ofiarę;
Kantor, co na guz nie przestał się żalić,
Stos nałożony miał pierwéj zapalić.

Widzi to baba, i z litości wzdycha.
Myśli, jak wyrwać rycerza od śmierci;
Nakoniec z zemsty przyszłéj się uśmiecha,
Wysypie proszku z pudełka pół ćwierci:
Kantor raz po raz jak kicha, tak kicha,
Po wszystkich nosach ciemierzyca wierci.
Kicha księżniczka, kichają dworzanie,
Kicha król, senat, panowie i panie.

Poznał, że łaska bogów oczywista:
Gryzomir z więzów uwolnion na stosie,
Z tak powszechnego kichania korzysta;
I gdy z nich każdy myśli o swym losie,
Ucieka; już był ubiegł kroków trzysta,
Gdy poznał babę łaskawą po głosie.
Kicha lud cały; im kto głośniéj huknie,
Baba się z śmiechu ledwo nie rozpuknie.

Nie tracąc czasu, gdy go tylko zoczy,
Zaraz mu każe na koń z sobą siadać.
Ociera z śmiechu zapłakane oczy;
Nie było czasu babie odpowiadać.
Więc jak najprędzéj w tamtą stronę skoczy,
O dalszą podróż już się nie śmie badać.
Mądry po szkodzie, na którą zasłużył,
Siadł na łopatę, i oczy zamrużył.

Gdyby był patrzył lecący pod chmury,
Byłbym mu za to wdzięczen nieskończenie.
Pięknież-to przecie patrzyć na świat z góry,
Widziéć rzek kręty i miast położenie,
Gmachów różnice i architektury!
Cieszy się umysł na samo wspomnienie!
Gdyby co widział, łaskawie objawił,
I pisarzby się i czytelnik bawił.

Skupia się coraz wojsko rozpierzchnione:
Gryzander wszystkich mieści w swojém gumnie.
Posiłki, długim marszem utrudzone,
Krzepi, a jako zwykł działać rozumnie,
Tai, co nie wié: „W którą poszedł stronę,
„Gryzomir, rzecze, wiadomo to u mnie:“
Z zaczęciem wojny bynajmniéj nie śpieszy,
Nowe zaciągi wzmacnia, stare cieszy.

Szpiegi tymczasem oznajmują wiernie,
Co się w Kruszwicy z Gryzomirem stało.
Jak koło niego już było mizernie,
Co przed kichaniem, co potém się działo.
Że brat ocalon, cieszy się niezmiernie;
Lecz go to przecie tajemnie bolało,
Iż się z swoimi już poprzestał bratać,
Jak tylko zaczął po powietrzu latać.

PIEŚŃ VIII

Treść: Na radzie króla Popiela wojna uchwalona na myszy. Gryzomir, od baby zaniesiony nad Ren do szczurów, które niedawno zjadły elektora moguckiego, otrzymuje od Sérowinda, ich wodza, obietnicę posiłków, i wraca do kraju.

Jest to na tuzie czerwiennym pisano:
„Ile głów, tyle sposobów myślenia.“
Przez co potomnym wiekom znać dawano,
Jak towarzystwo trudne do zgodzenia.
Z szkodą powszechną nieraz doznawano
Takową wadę ludzkiego plemienia.
Niech tylko razem czterech, pięciu radzą,
I nic nie zrobią, i pewnie się zwadzą.

Zasiadła rada, wybrana wśród wiela;
Przyszło kolejno dawać wszystkim zdanią.
Uwielbia pierwszy monarchę Popiela,
Czci wiekiem złotym słodkie panowanie.
Umysłu swego tajemnic udziela,
Jakby zakończyć myszów wojowanie;
Górnéj wymowy rozwodząc osnowę,
Taką natychmiast zaczyna przemowę.

„Za nic rozjadłych Garamantów ciosy,
„I meotycznych narodów rycerze;
„Ani zwycięzkich Bityńczyków losy,
„Ani cejlańskie hartowne puklerze.
„Tłumią się w mnogich applauzach odgłosy;
„Czczące milczenie, miejsce pochwał bierze:
„Że nam Opatrzność Najwyższa udzielą,
„Najjaśniejszego monarchę Popiela.

„Przeszedłeś, panie, wszystkie twoje przodki;
„Wzniosłeś twoj naród nad Kaukazu góry.
„Wszyscy potomni muszą być wyrodki,
„Chociażby cudem zostali natury.
„Twojéj mądrości przyczyny i środki
„Przyszłe i przeszłe łączą konjunktury.
„Przemów, a cały narod ludzki w ciszy,
„Z respektem twoje wyroki usłyszy.“

Kanclerz natychmiast, poważny i stary,
Trzykroć odkasznął i oczy zamrużył.
Zdjął z garbatego nosa okulary,
Nadął się, zwykłéj wspaniałości użył,
Rzekł zatém: „Winne myszy srogiéj kary:
„Żeby zaś termin im się nie przedłużył,
„Na przykład innych poddanych niesfornych,
„Trzeba je pozwać do sądów zadwornych.“

Rzecze podskarbi: „Wiele czynią szkody;
„Słuszna, niech winny, co zepsuł, nagrodzi.
„Mniejszą się przez nie publiczne dochody,
„W gumnach, stodołach na żywności schodzi.
„Przez naszą gnuśność zyskały swobody,
„A że niekarność kryminały rodzi,
„Kiedy się żywią krwawą naszą pracą,
„Niech znaczną summę do skarbu zapłacą.“

Idzie kolejno dalsze wotowanie;
Różnią się w radzie, i nie bez przyczyny.
Podskarbi gani kanclerzowe zdanie;
Kanclerz w marszałku wynajduje winy;
Hetmani radzą śpieszne wojowanie;
Trwa wrzawa więcéj, jak cztery godziny.
Tamten, ażeby daremnie nie siedział,
Chwali, lub gani, co drugi powiedział.

Przychodzi zbierać wota rozstrzelane,
Ażeby wiedzieć, co skonkludowali.
Na wzór umysłów zdania pomieszane;
Pokazało się, iż darmo gadali.
Żeby więc wrócić czasy pożądane,
W tumulcie na tém niby-to przestali:
Ażeby tronu nie spełzła ozdoba,
Niech pan to robi, co mu się podoba.

Zamilknął jeden z senatorów dawnych,
Od czasów kilku dyzgracyonowany
Za to, że zbytnie szperał w księgach prawnych,
Nie tak się stroił, jak inne dworzany,
Nie śmiał się z kocich igraszek zabawnych,
Nie chwalił w radzie ministry i pany.
Od innych przeto zupełnie odrodny,
Mądry, poczciwy, cóż? kiedy nie modny.

Co więc z początku kotom poruczono,
Na siebie teraz księżniczka to bierze.
Wojnę formalną myszom ogłoszono;
Ludzie z kotami zachodzą w przymierze.
Ręce niewieście rzucają wrzeciono,
Tarcze, pociski piastują w cholerze.
Mruczysław kontent zbiera swoje koty,
I do dzieł sławnych dodaje ochoty.

Wszystko gotowo do okrutnéj wojny,
Czas téż z łopaty Gryzomira zsadzić!
Siedzi na miejscu już teraz spokojny,
Daje się babie, tam gdzie chce prowadzić.
A w nowe coraz dziękczynienia hojny,
Jéj to porucza, jak ma sobie radzić.
Lubo do lotnych podróż mniéj ochoczy,
Leci na azard, zamrużywszy oczy.

Chociaż nie widzi, lecz czuje i słyszy,
Jako łopata, w bystrym locie chyża,
Idzie ukosem; już powietrze w ciszy;
Znak, że się coraz ku ziemi przybliża.
Słychać pisk wielki zgromadzonych myszy:
Wtém, gdy się bardziéj wietrzny powóz zniża,
Staje na ziemi: a gdy z babą zsiada,
Zewsząd go wielka otoczy gromada.

Zjazd to był szczurów nad Renu brzegami,
Którzy niedawno wielką bitwę zwiedli:
Świeżemi jeszcze okryci laurami
Wielbili wodzów; a w zemście zajedli,
Oznajmowali swojemi pieśniami,
Jak mogunckiego elektora zjedli.
Nic nie pomogła twierdz mocnych obrona:
W baszcie na wyspie zagryzły Hattona.

Że wieść prawdziwa i dowodne cuda,
Nikomu o tém wątpić się nie godzi.
Jakże ma w druku znaleźć się obłuda?
Z ksiąg starożytnych wszak prawda wychodzi!
Co za dziw, czasem że szczurom się uda?
A wreszcie, gdy to nikomu nie szkodzi,
Wierzmy z pospólstwem, a śmiejmy się w ciszy:
Ja się tymczasem powrócę do myszy.

Z razu się trwoży całe zgromadzenie;
I dziwna powieść przytomnych obeszła.
Coraz się wzmaga większe zadziwienie;
Mniéj już zaprząta i wygrana przeszła.
Powszechne zatém nastało milczenie,
Gdy baba wpośród zgromadzenia weszła,
Na pierwszém miejscu przy krolu stanęła,
I taką zaraz przemowę zaczęła.

„Królu przemożny, waleczni rycerze,
„Wy, coście męztwem świat cały zdziwili!
„Przychodzę z wami zawierać przymierze;
„Wojnę ogłaszam w zbyt okropnéj chwili.
„Jeśli wspaniałość górę u was bierze,
„Teraz czas, byście czynami sprawdzili:
„Iż mimo szczupłość mniéj zdatnéj postaci,
„Cnota w was swojéj dzielności nie traci.

„Jednego z wami zostaje rodzaju
„Ten, co go zemną przed sobą widzicie!
„Był królem szczurów, myszów w polskim kraju,
„Niegdyś w dostatki korzystał obficie.
„Fortuna, według swojego zwyczaju,
„Odjęła wszystko, ledwo uniósł życie.
„Im surowszego dziś losu doznawa,
„Tém śmieléj zemną wraz przed wami stawa.“

Obszernie zatém powiadać zaczęła
O przeszłéj wojnie, jéj całym porządku:
Zkąd się najsamprzod nieprzyjaźń powzięła,
Jak można było zapobiedz z początku,
Co każda strona czynić przedsięwzięła:
Szły dalsze dzieła pasmem z tego wątku:
Kto co opuścił, a kto zaś przyczynił,
Kto był mniéj winny, kto bardziéj zawinił.

Dopiéro kiedy przyszło w szczególności
Wyliczać dzieła każdego rycerza:
Jakie z obu stron były zajadłości;
Jak czynić z sobą nie chciały przymierza:
Prawi godzinę i drugą w żwawości,
A gdy bynajmniéj do końca nie zmierza,
Tyle wymową obfitą sprawiła,
Iż wszystkich, nawet kompana uśpiła.

Już się też była baba zmordowała;
Spojrzy... aż nowe dla niéj widowisko.
Wszystkich, co pierwéj w porządku widziała,
Czy kto wysoko siedział, czyli nizko,
Leżą pokotem; chrapi rzesza cała:
Więc rozgniewana na takie igrzysko,
Porwie za oręż... wtém, gdy się postrzegła,
Znowu łopata na swém miejscu legła.

Król mysz, Sérowind, jak postrzegł łopatę,
Czuły monarcha, zaraz się obudził.
Gryzomir smutną, widząc alternatę,
Lubo się równie i naspał i znudził,
Przeprasza babę; w tém łupy bogate
Gdy jéj oddano, ten ją widok wzbudził;
Sérowind, który groźby skromnie znosił,
Pomoc obiecał, i tém ją przeprosił.

Z skutku podróży zupełnie kontenta,
I łagodnemi zniewolona słowy.
Powstały ze snu myszy niebożęta,
Stanął i pojazd do drogi gotowy.
Przeszłe przypadki gdy dobrze pamięta,
Zmyśla Gryzomir, że ma zawrót głowy;
Żegna się przeto z babą pokryjomu,
A sam piechotą wędruje do domu.

PIEŚŃ IX.

Treść: Gryzomir prowadzi wojska. Popiel rozpacza: bitwa z kotami kończy się śmiercią Mruczysława, którego w szczególnym pojedynku Gryzomir, król szczurów, zabija.

Kiedym był młodszy, i jam też wędrował!
Co i z drugiemi, to się ze mną działo.
Nieraz-em próżnéj włóczęgi żałował,
Nieraz sposobów i wątku nie stało.
Rzadki z ustawnych podróż profitował;
Kto zyskał, temu szczęściem się udało.
W pielgrzymowaniu kto czas drogi trawi,
I innych trudzi, i sam się nie bawi.

Nadto się lekko wybrał w podróż wielką
Nasz rycerz, który do ojczyzny bieży.
Skoro się rozstał z swoją wodzicielką,
Porzuca miejsce, gdzie obozem leży
Wielki Sérowind: ten, uczynność wszelką
Gdy obiecuje, srodze się najeży:
„Czas, rzecze, przestać ustawnego smutku!
„Co my umiemy, poznasz to po skutku.“

Gdzie teraz żyzne Renu okolice
Przejeżdżającym widok czynią miły:
Hercyńskich lasów naówczas ciemnice
Okropną swoją zaroślą straszyły.
Pragnące żeru zjadłe niedźwiedzice
Straszliwy odgłos po kniejach czyniły.
Miłość ojczyzny bojaźń gdy uśmierza,
Nie dba Gryzomir na dzikiego zwierza.

Ile ucierpiał, ile musiał znosić,
Któreż-to pióro wyobrazić zdoła?
Nieraz się ledwo potrafił wyprosić;
Nieraz obskoczon prawie do okoła;
Nieraz kryjomo musiał się wynosić;
Nieraz pracował w pocie swego czoła.
Powab go żaden bynajmniéj nie nęcił;
Ztąd się odwagą, ztąd sztuką wykręcił.

Święta miłości kochanéj ojczyzny,
Czują cię tylko umysły poczciwe!
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe!
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkoszy prawdziwe!
Byle cię można wspomódz, byle wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać!

Już się ku krajom sarmackim przybliża:
Snują się różne myśli na przemiany.
Stan smutny prawéj radości ubliża,
Cieszy pielgrzymstwa termin pożądany.
Choć go los przykry gnębi i poniża,
Chociaż przewlekłą podróżą stargany,
Nie dba na prace, sili się i śpieszy,
Aż jéj się miłym widokiem nacieszy.

Staje tam, kędy wśród nizin rozległych
Pieniste wały bystra Warta toczy.
Chciałby zgromadzić towarzyszów zbiegłych;
Nieraz z bitego gościńca wyboczy;
Pamięć współbraci, w srogich bitwach ległych,
Łzami napełnia zapłakane oczy;
Zemsta potępia umysł zbyt spokojny;
Miłość ojczyzny wstręt czyni od wojny.

Rzuca się w rzekę, mimo groźne wały
Coraz to bardziéj wzmagającéj burzy,
Zimnem przejęty i prawie zmartwiały;
I lubo cały firmament się chmurzy,
Krzepi sił słabość animusz wspaniały.
Czy się nad flukta wznosi, czyli nurzy,
Po pracowitym lądem, wodą biegu,
Na pożądanym przecież stanął brzegu.

Wkrótce śpichlerze owego lichwiarza,
Koło nich zgraje myszy gdy obaczył,
Kontent, iż mu się dobra pora zdarza,
Wiernym poddanym ukazać się raczył:
Wesołe echo okrzyki powtarza,
Zwłaszcza, gdy zbiegłym rycerzom przebaczył.
Widok monarchy naród cały cieszy,
Ze wszech stron każdy do niego się śpieszy.

Nie stawiły się w takowym pośpiechu
Wojska sarmackie na rozkaz Popiela.
Nie chcą się mięszać w wojnę godną śmiechu:
Kotom téj wieści gdy książę udziela,
Ucieka do swéj wyspy bez oddechu,
Ani już wyniść z zamku się ośmiela.
Wódz kotów, choć się tą nowiną strwożył,
Obóz porządnie nad Gopłem rozłożył.

Lelum Polelum Popiel błaga, wzywa,
Ale ofiary złe wróżki przynoszą.
Wtém, zgraja myszy idzie zapalczywa;
Rotmistrze hasła po szykach roznoszą:
Całe się wojsko do broni porywa,
Kotły i trąby czas potyczki głoszą.
Mruczysław hufce swoje uszykował,
Popiel trwożliwy w piwnicę się schował.

Prawém Sérowind zawiadował skrzydłem,
Wodne prowadząc z ponad Renu szczury.
Gryzander, co był Popiela pieścidłem,
Nieulękniony na kocie pazury,
Mężnych rycerzów godny być prawidłem,
Straszny z postaci, straszny z armatury,
Wiedzie lewego skrzydła wojowniki;
Gryzomir średnie ustanawia szyki.

Nie mieli czasu do przemowy wodze,
Taka złość oba wojska zdejmowała.
Rozpacz wzajemna nie myśli o trwodze,
Mięsza się w kupę wojsk gromada cała:
Gryzą się wzajem zapaleni srodze,
Od wrzasku, pisków aż ziemia zadrżała;
Tuman się wzbija pod same obłoki;
Trupów mogiły; krwi płyną potoki.

Świecą się we łbie, jakby dwie pochodnie,
Zapalczywego Mruczysława oczy.
Straszy pozorem swoje i przychodnie:
Gryzomir, niemniéj mężny i ochoczy,
Dawniejszą sławę utrzymuje godnie.
Wtém trochę na bok gdy znagła uskoczy,
Widzi Mruczysław, że już bardzo zblizka
Hufce renańskie trwoży i uciska.

Stary Sérowind, mimo wiek zgrzybiały,
Dawnéj mężności swojéj nie uwłacza.
Olbrzymowatą postacią wspaniały,
Nieprzyjaciołom w niczém nie przebacza.
Tuż koło niego hufiec okazały,
Synów i wnuków grono go otacza.
Pełne odwagi i mężnéj ochoty,
Na przelęknione rzucają się koty.

Wrzaskiem trwożliwym swoich wskroś przejęty,
Mruczysław prosto na ten odgłos leci.
Za jednym razem Gomułkiewicz ścięty,
Sławny pułkownik szczurów roty trzeciéj;
Szperkas, Twarogus, pazurmi ujęty;
Osierociały pozostałe dzieci.
Nie wybiegał się przemysły sztucznemi!
Poległ Sérosław razem z bracią swemi.

Parmezanides bieży z lewéj strony,
Syn Sérowinda piękny i waleczny.
Widzi, iż ojciec, wkoło oskoczony,
Od natarczywych kotów mniéj bezpieczny:
Gdy leci obces, w punkcie zagrożony,
Godzien pamięci, godzien sławy wiecznéj.
Sérowind, który śmierć syna oglądał,
Pełen rozpaczy, umrzéć tylko żądał.

Znagła Gryzomir natychmiast przypada:
Rzuca Mruczysław połów pewny prawie.
Ażeby koniec wzięła dawna zwada,
Stanęli razem na pięknéj murawie.
Trwoga we wszystkich umysłach osiada:
Komu niebiosa stawią się łaskawie?
Nim się zaczęła jednak bitwa żwawa,
Gryzomir mówił tak do Mruczysława:

„Niechaj się postać twoja nie nadyma,
„Zuchwalcze, godzien prędkiego skarania!
„Nie straszy mężnych statura olbrzymia;
„Owszem jest celem sławy pożądania.
„Kto zbyt o sobie tak, jako ty, trzyma,
„Nie wart jest względów, nie wart pobłażania.
„Uznasz twym zgonem, ślachcąc me zwycięztwo,
„Jak głupią hardość karze prawe męztwo.“

Rzekł: a ku górze gdy oczy podniesie,
Postrzegł łaskawą babę na łopacie.
Pewnym zadatkiem szczęścia raduje się,
Tuszy o losu kotów alternacie.
Pewien, że nowy laur bitwa przyniesie,
Myśli Mruczysław o szczurów zatracie.
Dalszą rozmową czasu nie trawili,
Obadwa pędem ku sobie skoczyli.

Widziéć tam było rzeczy niesłychane,
Sztuki rycerskie przedniego wyboru.
Pobojowisko krew czyni rumiane,
Nie gasi jednak srogiego rankoru.
Patrzą się na to wojska zadumane,
Co może zjadłość wraz z punktem honoru.
Mruczysław srogi i w mocy potężny,
Gryzomir szybki, udatny i mężny.

Trzykroć się jeden na drugiego miota,
Trzykroć zamachy obu nadaremne:
Szarpie kot szczura, dogryza szczur kota;
I zysk i strata z obu stron wzajemne.
Dodaje siły rozpacz i ochota;
Każdy cios czyni dźwięki mniéj przyjemne.
Snują niepewne nici czułe Parki,
Gdy się rycerze porwali za barki.

Los, który waży stan wszego stworzenia,
Natychmiast stawił szale swoje złote:
Los, co wyroków swoich nie odmienia,
I w jedno jarzmo wprząga złość i cnotę,
Fatalny kotom wyrok zaginienia
Na Mruczysława dał: a w tém ochotę
Ujął i dzielność; rycerz zawołany
Padł, Gryzomira męztwem pokonany.

PIEŚŃ X.

Treść: Popiel, dowiedziawszy się o przegranéj kotów, upił się z rozpaczy. Za zbliżeniem się myszy i szczurów, ucieka łódką na wyspę, ale go myszy dopędziły i zjadły.

Gdybym był królem, lub jaśnie wielmożnym,
Chciałbym mieć serca sług, albo poddanych.
Miłość powszechna czyni człeka możnym,
Stawia w korzyściach nieoszacowanych.
Na cóż się przyda rozkazywać trwożnym?
Czyliż nie lepiéj mieć obowiązanych?
Skarby, oręże, wszystko to rzecz płocha:
To grunt, gdy sługa pana swego kocha.

Ciężka rzecz dostać poddanych życzliwych;
Zraża podległość prawo rozkazania.
Już się przebrało na sługach poczciwych;
Sama nierówność wstrętem od kochania.
Hardość, w zamysłach swoich popędliwych
Sądzi na oślep i płocho nagania.
Pan wszystkim winien, wszystkim w odpowiedzi:
Dlaczegoż winien? bo najwyżéj siedzi.

Takie nieszczęście dobrych królów czeka.
Nie był w ich liczbie Popiel rozpieszczony;
Sam wojnę zaczął, a z placu ucieka,
Nieprzyjacielskiém zbliżeniem strwożony.
Patrzyć się nawet na bitwę zdaleka
Nie śmie, twierdzami choć ubezpieczony.
Zemdlony pracą, strudzony w ucieczce,
Upił się miodem, i zasnął na beczce.

Twardym snem zdjęty, stojący przed sobą
Widzi otrutych stryjów orszak smutny.
Byli ci niegdyś narodu ozdobą,
Nieprzyjaciele władzy absolutnéj.
Przybliżają się okryci żałobą:
Poznał swe dzieło monarcha okrutny:
A gdy przejęty strachem ledwo dyszał,
Taką do siebie przemowę usłyszał.

„Zniewieściałego ojca godny płodzie,
„Cnoty najmniejszéj nie mający znaku!
„Ty, któryś wojnę wypowiedział wodzie,
„Największy swego królestwa pijaku!
„Cierpisz, a przecie niemądry po szkodzie,
„W piwnicyś osiadł, i pijesz bez braku.
„Gdy cię obżarstwo do tego przywiodło,
„Nie warteś zginąć, tylko śmiercią podłą.“

Wtém postawione zwierciadło postrzega.
Patrzy... aż nowe stoją w oczach dziwy.
Zląkł się długiego następców szerega;
Każdego obraz uważa prawdziwy.
Z miodu się pierwszy Piast książe wylega;
Za nim syn idzie odważny i chciwy.
Toż dalsi, jedni śmieli i potężni,
Drudzy rozpustni, gnuśni, niedołężni.

Trunkiem się wielkie dusze upodlały:
Leszków i Mieszków on na złe przemienił.
Bolesław, z męztwa okrzykniony śmiały,
Miodem kijowskim cnoty wykorzenił.
Poległ na uczcie Przemysław wspaniały,
Gdy się w Rogoźnie do kufla nie lenił.
Kazimierz wielki! a przecież kwaterką
Łykał miód smaczny w Łobzowie z Esterką.

Olbracht w Krakowie berdyszem raniony,
Gdy się pijany uwijał po rynku.
Stefan! ów Stefan! dziełami wsławiony,
Połknął śmierć w Grodnie z ustawnego szynku.
I nasz Władysław słusznie uwielbiony,
Przecież podagry dostał w upominku.
Każdy w pijaństwie dziwne rzeczy broił:
August Sas Polskę do reszty rozpoił.

Porwie się ze snu na poły zmartwiały,
Słyszy na górze coraz większą wrzawę;
Obiega zamek, zwołuje dwór cały,
Chcąc jakąśkolwiek mieć z niemi rozprawę.
Próżne okrzyki echa powtarzały;
Każdy z nich inną wziął przedsię zabawę:
Wszyscy się dawnych obietnic wyrzekli,
Wszyscy w nieszczęściu od pana uciekli.

Kanclerz zabrawszy, co zyskał z pieczęci,
Poszedł w świat czekać, co się dalej stanie.
Marszałkom czujność wypadła z pamięci;
Senat potępił przeszłe panowanie.
Hetman wziął pretext prywatnych niechęci:
Nie stało miodu, uciekli dworzanie.
Podskarbi, skrzętność okazując czułą,
Zostawił klucze, sam uciekł z szkatułą.

A ojciec kantor, co śpiewał pochwały
Króla i kota, gdy się dobrze działo,
Widząc kruszwicki zamek spustoszały:
Jak postrzegł, że się panu nie udało,
Wielki poeta, dworak doskonały,
Natychmiast zwrócił Muzę okazałą.
W upadku kotów wielbił górne losy,
Myszy szczęśliwe wyniósł pod niebiosy.

Od sług zupełnie Popiel opuszczony,
Widzi płynącą myszy wielką zgraję.
Strach go natychmiast objął nieskończony,
Nikt mu ratunku, nikt rady nie daje;
Wtém małe czółno postrzegł z jednéj strony,
W niém senatora swojego poznaje,
Który, że pana pochlebstwy nie gubił,
Dwór się nim brzydził, i on go nie lubił.

Zapłakał Popiel na to widowisko;
Bardziéj, gdy mu się ów rzuca pod nogi:
„Widzisz, o panie, fortuny igrzysko,
„Rzecze, los tobie dokucza zbyt srogi!
„Chociaż potężny nieprzyjaciel blizko,
„Masz mnie wiernego; bądź jeszcze bez trwogi!
„Albo do brzegów bezpiecznych zawinę,
„Albo przynajmniéj razem z tobą zginę“.

Siadają w łódkę: w tém wiatry burzliwe
Nagle wzruszone ze wszech stron powstały;
Pędzą, gdzie wojsko myszy zapalczywe,
Płynąc, prowadzi Sérowind wspaniały.
Kończy monarcha losy nieszczęśliwe,
Trwogą, zgryzotą na poły zmartwiały.
Gdy go przyjaciel broni do upadłéj,
Popiel wpadł w wodę, i myszy go zjadły.

Wielki Kadłubku, któż cię wielbić zdoła?
Tyś to nam pierwszy te dziwy objawił.
I żeś pracował w pocie twego czoła,
Wiek cię potomny będzie błogosławił.
Przebacz, jeżeli muza zbyt wesoła;
Nie dość nauczyć, trzeba, żebyś bawił.
Czyś bajki pisał, czyś prawdę określił,
Wiem, żeś w prostocie ducha twego myślił.

A my, którzy te powieści słyszemy,
Dobrego męża wszyscy wychwalajmy.
Sławmy autora, z którego bierzemy;
Gdy wodę pijem, źródło uwieńczajmy.
Niesłusznie wielcy małemi gardziemy;
To za duchowny obrok wszystkim dajmy:
Szczęśliwy, kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył!
Bądźcie łaskawi, jam pracy dokończył.

MONACHOMACHIA

CZYLI

WOJNA MNICHÓW.

PIEŚŃ I.

Treść: Niezgoda, zazdrosna spokojności zakonnej, wznieca rozruch w klasztorze synów Dominika. Zebrani ojcowie radzą o daniu odporu zawistnym, i uchwalają wyzwać ich na dysputę.

Nie wszystko złoto, co się świeci z góry,
Ani ten śmiały, co się zwierzchnie sroży.
Zewnętrzna postać nie czyni natury,
Serce, nie odzież, ośmiela lub trwoży.
Dzierżały miejsca szyszaków kaptury:
Nieraz rycerzem bywał sługa Boży;
Wkrada się zjadłość i w kąty spokojne.
Taką ja śpiewać przedsięwziąłem wojnę.

Wojnę domową śpiewam więc i głoszę,
Wojnę okrutną, bez broni, bez miecza;
Rycerzów bosych i nagich potrosze;
Samo ich tylko męztwo ubezpiecza:
Wojnę mnichowską. Nie śmiejcie się, proszę,
Godna litości ułomność człowieka!
Śmiejcie się wreszcie: mimo wasze śmiechy,
Przecież ja powiem, co robiły mnichy.

W mieście, którego nazwiska nie powiem,
Nic to albowiem do rzeczy nie przyda;
W mieście, ponieważ zbiór pustek tak zowiem,
W godnem siedlisku i chłopa i żyda;
W mieście (gród, ziemstwo, trzymało albowiem
Stare zamczysko, pustoty ohyda),
Było trzy karczmy, bram cztery ułomki,
Klasztorów dziewięć, i gdzie niegdzie domki.

W téj zawołanéj ziemiańskiej stolicy
Wielebne głupstwo od wieków siedziało;
Pod starożytném schronieniem świątnicy
Prawych czcicieli swoich utuczało.
Zbiegał się wierny lud; a w okolicy
Wszystko odgłosem uwielbienia brzmiało.
Święta prostoto! ach! któż cię wychwali!
Wiekuj szczęśliwie!... ale mówmy daléj.

Bajki pisali o dawnym Saturnie
Ci, co za niego tworzyli wiek złoty.
Szczęśliwszy przeor, jadący poczwórnie,
Szczęśliwszy lektor mistycznéj roboty,
Szczęśliwszy ojciec po trzecim nokturnie,
W puchu topiący chórowe kłopoty.
Szczęśliwszy z braci, gdy kaganek zgasnął,
Co w słodkiém miodu wytrawieniu zasnął.

W tym było stanie rozkoszne siedlisko
Świętych próżniaków. Ach! losie zdradliwy!
Ty! co z niewczesnych odmian masz igrzysko,
I nieszczęść ludzkich jesteś tylko chciwy!
Ma świat z dziwactwa twego widowisko,
Jęczy pod ciężkiém jarzmem człek cnotliwy;
Mniejsza, żeś państwa, trony, berła skruszył:
Będziesz tak śmiałym, żebyś kaptur ruszył?

Już były przeszły owe sławne wojny,
Którym się niegdy świat zdumiały dziwił;
Już Seraficzny zakon był spokojny;
Już Karmelowi nikt się nie przeciwił;
Już Kaznodziejski wzrok, mniéj bogobojny,
Oka na kaptur śpiczasty nie krzywił;
Dawnych niechęci mgłę rozniosły wiatry:
Szczęśliwe nawet były Bonifratry.

Ta, która nasze padoły przebiega,
I samém tylko nieszczęściem się pasie;
Jędza niezgody, co Parysa zbiega
Znalazła niegdyś na górnym Idasie:
Słodki raj mnichów gdy w łocie postrzega,
Jęknęła w złości i zatrzymała się;
Widząc fortunny los spokojnych mężów,
Świsnęły żądła najeżonych wężów.

Wszczęła pochodnie natychmiast siarczyste,
Iskry na dachy i wieże wypadły;
Wskroś przebijają gmachy rozłożyste,
Już się w zakąty najciaśniejsze wkradły;
A gdzie milczenie bywało wieczyste,
Wszczyna się rozruch i odgłos zajadły.
Rażą umysły jędze rozjuszone,
Budzą się mnichy, letargiem uśpione.

Wtenczas, nie mogąc znieść tego rozruchu,
Ojciec Hilary obudzić się raczył.
Wtenczas ksiądz przeor, porwawszy się z puchu,
Pierwszy raz w życiu jutrzenkę obaczył.
Klął ojciec doktór czułość swego słuchu,
Wstał, i widokiem swym ojców uraczył,
I, co się rzadko w zgromadzeniu zdarza,
Pędem niezwykłym wpadł do refektarza.

Na taki widok zbiegłe braci trzody,
Pod rzędem kufli garcowych uklękli;
Biegli ojcowie za mistrzem w zawody.
Ten, strachem zdjęty i srodze przelękły,
Wprzód otarł z potu mięsiste jagody;
Siadł, ławy pod nim dubeltowe jękły,
Siadł, strząsnął mycką, kaptura poprawił,
I tak wspaniale wyroki objawił:

„Bracia najmilsi! Ach! cóż się to dzieje?
„Cóż to za rozruch u nas niesłychany?
„Czy do piwnicy wkradli się złodzieje?
„Czy wyschły kufle, gęsiory i dzbany?
„Mówcie!... cóżkolwiek bądź, srodze boleję;
„Trzeba wam pokój wrócić pożądany...“
Wtém się zakrztusił, jęknął, łzami zalał;
Przeor tymczasem pełny kubek nalał.

Już się dobywał na perorę nową
Doktor, gdy postrzegł likwor przezroczysty.
Wódka to była, co ją zwą kminkową,
Przy niéj toruński piernik pozłocisty;
Sucharki, massą oblane cukrową,
Dar przeoryszy niegdyś uroczysty.
Zachęca przeor w urzędzie chwalebny:
„Racz się posilić, ojcze przewielebny!“

O! rzadki darze przedziwnéj wymowy,
Któż ci się oprzéć, któż sprzeciwić zdoła?
Tak łagodnemi zniewolony słowy,
Wziął doktór kubek w pocie swego czoła,
Łyknął dla zdrowia posiłek gotowy;
Lecz, żeby jeszcze myśl przyszła wesoła,
W świętym orszaku, w gronie miłych dzieci,
Raczył się napić raz, drugi i trzeci.

Jako po smutnéj chwili, która mroczy,
W pierwszém świtaniu rumieni się zorze,
Uwiędłe ziółka wdzięczna rosa moczy,
I rzeźwi kwiatki w tak przyjemnéj porze;
Wyiskrzyły się przewielebne oczy
Po słodko dzielnym wódczanym likworze.
Odkrząknął żwawo, niby się uśmiechnął,
Przymrużył oczy, nadął się i kichnął.

Na takie hasło, ojcowie, co rzędem
Według godności i starszeństwa stali,
Najprzyzwoitszym poruszeni względem,
Wiwat! chórowym tonem zawołali.
Ojciec Honorat, najbliższy urzędem,
Którego bracia wielce szanowali,
Niegdyś promotor sławny różańcowy,
Temi najpierwszy applaudował słowy:

„Pisze Chryzyppus o Alfonsie królu,
„Kiedy prowadził wojnę z Baktryany,
„Iż wpośród bitwy, na licyjskiém polu,
„Od wojska swego będąc odbieżany,
„Stanął: a wody czerpnąwszy z Paktolu,
„Tak się orzeźwił, iż zgnębił pogany.
„Ztąd poszło *Lemma* na marmurze ryte,
„*Pereat umbra!* Lemma znamienite.

„Wiem, bom to czytał w uczonym Tostacie,
„Po ciemnéj nocy że jasny dzień wschodzi.
„Na godnym kiedy cnota majestacie
„Siędzie, o szczęściu wątpić się nie godzi.
„Czegóż się, mili bracia, obawiacie?
„Z nami jest ojciec doktór i dobrodziéj.
„Dał szczęsne hasło, orzeźwił swym wzrokiem;
„Cieszmy się pewnym fortuny wyrokiem.“

Skończył; natychmiast skosztowawszy trunku,
Ojciec Gaudenty z urzędu się wtoczył:
A znieść nie mogąc swojego frasunku,
Napół drzémiące oczy łzami zmoczył.
Rzekł: „Okoliczność złego jest gatunku:
„Nie chcę ja, żebym pochlebstwem wykroczył.
„Rozruch dzisiejszy smutne wieści głosi;
„Wiem ja, ojcowie, na co się zanosi.

„Zazdrość od wieków na nas się oburza,
„Zgnębić niewinnych pragnie w tych krainach.
„Już jad z pokątnych kryjówek wynurza,
„Chce się sadowić na naszych ruinach.
„Od gór Karmelu niebo się zachmurza;
„Równa zajadłość w Augustyna synach.
„I tym, co z cicha działają, nie wierzmy:
„Pókiśmy w siłach, na wszystkich uderzmy.“

Ojciec Pankracy, nestor różańcowy,
Co trzykroć braci i siostry odnowił;
Nim puścił strumień łagodnéj wymowy,
Najprzód starszyznę i braci pozdrowił.
Słodkiemi serca zniewalając słowy,
Miękczył umysły, i nadzieje wznowił.
„Wierzcie — rzekł — bracia, zgrzybiałéj siwiznie!
„Rzadko się płochość z ust starych wyśliźnie.

„Od tylu czasów siedząc na urzędzie,
„Znam, co są ludzie, wiem, co są zakony.
„Wkrada się zazdrość, wkrada niechęć wszędzie:
„I święty kaptur, chociaż uwielbiony,
„Nigdy tak mocnym, tak dzielnym nie będzie,
„Żeby człek pod nim był ubezpieczony.
„Choć w zacność, mądrość, każdy z was zamożny,
„Niech będzie czuły, niech będzie ostrożny.

„O! mili bracia, gdybyście wiedzieli,
„Jakie to były niegdyś wasze przodki!
„Inaczej wtenczas, niż teraz myśleli;
„Insze sposoby były, insze środki.
„Lepiej się działo: byliśmy weseli;
„Teraz, nieczułe i gnuśne wyrodki,
„Albo zbyt trwożni, albo zbyt zuchwali,
„Nie ważym rzeczy na roztropnéj szali.

„Moja więc rada, wyzwać na dysputę
„Tych, co się nad nas gwałtownie wynoszą.
„Niech znają bronie jeszcze niezepsute;
„Niechaj litości zwyciężeni proszą;
„A za najsroższą hardości pokutę,
„Niech oni sami nasze laury głoszą.
„Wyjdziemy sławni z niesłusznéj potwarzy.
„Zgnębim potwarców... tak robili starzy."

Rzekł; i natychmiast doktór się obudził,
Przeor odetchnął, lektor przetarł oczy.
Makary, co się słuchaniem utrudził,
Wymknął się cicho, i ku celi toczy.
Ojciec Ildefons, co równie się znudził,
Bryknął, jak rześki rumak na poboczy.
Morfeusz, patrząc na dzieci kochane,
Siał słodkie spania i sny pożądane.

PIEŚŃ II.

Treść: Źle wróżący przypadek ojca Rajmunda sprawia zamięszanie w murach Karmelu. Zgromadzają się ojcowie; wtem wchodzą posły od synów Dominika, i wyzywają na dysputę.

Już wschodzącego słońca pierwsze zorze
Opowiadały wrzaskliwe grzechotki;
Już się krzątali bracia po klasztorze,
Już koło furty stękały dewotki;
Już ojciec Rajmund, w pierwiastkowéj porze,
Wychodził słuchać świętobliwe plotki:
Gdy myśląc, (kto wie, czy o Panu Bogu?)
Zgubił pantofel, i upadł na progu.

Skoczył na odwrót, a jako uczony,
Fatalną wróżbę w téj przygodzie znaczy.
Wtém się kościelne odezwały dzwony,
Jęk smutny nowe nieszczęścia tłómaczy.
Ledwo odetchnąć może przestraszony;
Czuje, co stracił... a w takiéj rozpaczy,
Gdy nie wie, czy spać, czy wynijść, czy siedzieć:
Sąsiad uprzejmy raczył go nawiedzić.

Ojciec to Rafał od Bożego ciała,
Rafał, towarzysz niewinnych radości;
Równego góra Karmelu nie miała
W rubasznych wdziękach, hożéj uprzejmości.
Ten, skoro postrzegł, jak się wydawała
Twarz przyjaciela, w zbytniéj troskliwości,
Cieszy go najprzód w tak okropnéj doli;
Daléj ośmiela pytać, co go boli.

„Wiesz, przyjacielu, rzecze Rajmund trwożny,
„Jak krok najpierwszy, resztą dzieła włada.
„Wyszedłem rano z izby nieostrożny,
„Zaraz się w progu zjawiła zawada.
„Zły to dzień! będzie w nieszczęścia zamożny:
„Tak los chciał, nic tu roztropność nie nada.
„Trudno przeciwne kazusy odegnać,
„Trzeba się z furtą kochaną pożegnać.“

Rzekł, i zapłakał. Wtém brat Kanty leci:
„Panna Dorota do furty zaprasza“.
Nic nie rzekł Rajmund... Poseł drugi, trzeci,
Jeden go łaje, a drugi przeprasza.
„Porzuć te wróżki, straszydła dla dzieci, —
Rzekł Rafał — „prosi przyjaciółka nasza.
„Zwycięż tę słabość odwagą wspaniałą,
„Śmiałym się zawżdy najlepiéj udało.“

Porwał się Rajmund: lecz, jak groźne wały
Nadbrzeżna skała nazad w morze wpycha;
Stanął na progu napoły zmartwiały,
Sili się wynijść, jęczy, płacze, wzdycha.
Ośmiela Rafał, mówca doskonały:
Lecz darmo cieszy, darmo się uśmiecha;
Widząc nakoniec bez skutku perory,
Zwoływa starszych i definitory.

Wchodzi Eliasz od Świętéj Barbary,
Marek od Świętéj Trójcy z nim się mieści:
Jan od Świętego Piotra z Alkantary,
Hermenegildus od siedmiu boleści,
Rafał od Piotra, Piotr od świętéj Klary;
Zeszło się ojców więcéj jak trzydzieści.
Starzy i młodzi, rumiani, wybledli;
Wszyscy swe miejsca porządnie zasiedli.

Już ojciec przeor, kaczkowatym głosem,
Wprzód odkrząknąwszy, perorę zaczynał:
Już ojciec Marek, siedzący ukosem,
Kręcił szkaplerzem i za pas się trzymał:
Już ojciec Błażej coś szeptał pod nosem:
Już stary ojciec Elizeusz drzymał:
Już i niektórzy znudzeni odeszli:
Biało kapturni gdy posłowie weszli.

Pierwszy Gaudenty, ów Gaudenty sławny,
Co wstępnym bojem chciał losu próbować:
Skrytych fortelów nieprzyjaciel jawny,
Świadom swéj mocy, nie lubił próżnować;
A walecznemi dziełami zabawny,
Ręką, nie piórem umiał dokazywać;
Oko wyniosłe, i postać, i cera,
Niezlęknionego były bohatera.

Hyacynt drugi, w dziecinnéj wiek porze,
Skromnie udatny, pokornie wspaniały,
U sióstr zakonnych pierwszy po doktorze:
Kształtny, wysmukły, hoży, okazały,
Posuwistemi kroki po klasztorze
Płynął: Zefiry z kapturem igrały.
Razem wśród rady obadwaj stanęli,
I tak poselstwo sprawować zaczęli:

Najprzód Gaudenty, pozdrowiwszy żwawo:
„Ojcowie, rzecze: czas pokazać światu,
„Kto ma z nas lepsze do nauki prawo;
„Czyje są dzieła lepszego warsztatu.
„Jeśli się książek nudzicie zabawą,
„Jeśliście szkole nie dali rozbratu:
„Nam na zwycięztwo, a wam na pokutę,
„Plac wyznaczony... prosim na dysputę.

Trzykroć odkaszlnął, uśmiechnął dwa razy
Piękny Hyacynt, nim zaczął przemowę:
„Raczcie, rzekł, słuchać, bez żadnéj urazy,
„Ojcowie mili, poselstwa osnowę.
„Jeżeli pełniąc starszeństwa rozkazy
„Znajdę umysły do względów gotowe;
„Szczęśliwym nadto, najszczęśliwszy z wielu,
„Żem znalazł łaskę w przezacnym Karmelu.

„Zakon nasz, jako zbawiennéj ochłody,
„Szacunku waszéj wielebności szuka;
„A chcąc dać swoich prac jawne dowody,
„I w jakiéj cenie u niego nauka;
„Wyznacza bitwy plac na łonie zgody.
„Kto zwierzchnie sądzi, pewnie się oszuka:
„Nie złość, nie zemsta te nam chęci zdarza,
„Równego dzielność pragnie adwersarza."

Skończył: natychmiast filozofskiéj szkoły
Wyborne punkta do wybrania daje.
Na takie hasło niewdzięcznéj mozoły,
Rozruch się wzmaga, mruczenie powstaje.
Gaudenty na to, walecznie wesoły,
Strzela oczyma, gdy giesty nie łaje.
Wtém ojciec przeor, co najwyżéj siedział,
Tak na poselstwo obu odpowiedział.

„Przyjmujem chętnie uczone wyzwanie,
„Stawiam się w miejscu, które mianujecie.
„Jeszcze nam siły na tę wojnę stanie,
„Jeszcze broń dobra, któréj spróbujecie:
„Hardym w przegranéj będzie ukaranie,
„Będzie pokuta, kiedy tego chcecie.
„Nie zna zazdrości, kto przestał na swoim;
„Pochlebstw nie chcemy, a gróźb się nie boim."

Chciał już Gaudenty ukarać tę śmiałość,
Już się zamierzał: lecz go kompan wstrzymał:
A miękcząc srogą umysłu zuchwałość,
Gdy postrzegł, że się coraz bardziéj zżymał;
Żeby utrzymać poselstwa wspaniałość,
Wypchnął go za drzwi, a sam się zatrzymał.
Gniewliwych ojców pozdrowiwszy wdzięcznie,
Wymknął się z cicha, dopadł furty zręcznie.

Nowa przyczyna w Karmelu do rady:
Ojciec Makary nie życzy wojować,
Ojciec Cherubin cytuje przykłady,
Ojciec Serafin chce losu próbować;
Ojciec Pafnucy wysyła na zwiady,
Ojciec Zefiryn nie chce i wotować.
Ojciec Elijasz wielbi stan spokojny:
Starzy się boją, a młodzi chcą wojny.

Za złém zwyczajnie idzie większość głosów:
Kréski wojenne znagła powiększone.
Wszyscy niepewnych chcą próbować losów,
I na powszechną gotują obronę.
Starych uwagi zgłuszył wrzask młokosów:
Nie słyszą dzwonów na *sextę* i *nonę.*
Wtém brat Kleofas na obiad zadzwonił,
Wypadli wszyscy, jakby ich kto gonił.

PIEŚŃ III.

Treść: Rada w Karmelu o przyszłéj dyspucie. Wysłane braciszki szukają biblioteki, i znajdują onę pod dachem. Wszyscy biorą się do czytania. Podobnie gotują się synowie Dominika.

Że dobrze myśléć o chlebie i wodzie,
Bajali niegdyś mędrcy zapalczywi.
Wierzył świat bajkom, lecz mądry po szkodzie,
Teraz się błędom poznanym przeciwi.
Już wstrzemięźliwość nie jest teraz w modzie,
Piją, jak drudzy, mędrcowie prawdziwi.
Miód dobry myślom żywości udziela;
Wino strapione serce rozwesela.

Dali to poznać ojce przewielebne,
Skoro, jak mogli, wyszli z refektarza;
Wstępując w ślady swych przodków chwalebne,
Pełni radości, którą trunek zdarza,
Znowu na radę poszli: tam potrzebne
Sposoby, środki, gdy każdy powtarza;
Ojciec Gerwazy od Zielonych świątek,
Taki radzenia uczynił początek.

„Niedość, ojcowie, najeść się i napić,
„Trzeba tu więcéj coś jeszcze dokazać.
„Kto wie? w dyspucie możem się poszkapić.
„Ja radzę: żeby tę niezgodę zmazać,
„Trzeba się wcześnie, a dobrze pokwapić.
„Niech z nami piją: a wtenczas ukazać
„Potrafim światu, o ich własnéj szkodzie,
„Co może dzielność w największéj przygodzie.“

„Daj pokój bracie, rzekł ojciec Hilary;
„Nie zaczepiajmy rycerzów zbyt sławnych.
„Wierz doświadczeniu, wierz, co mówi stary:
„Widziałem nieraz w téj pracy zabawnych.
„Zbyt to są mocne kuflowe filary;
„Nie zdołasz wzruszyć gmachów starodawnych.
„Znam ja ich dobrze, zna ich brat Antoni:
„Pijemy dobrze, ale lepiéj oni.

Już dziewięć głosów było w rożném zdaniu,
Gdy koléj przyszła na Elizeusza:
„Żeby dogodzić waszemu żądaniu,
„Rzekł, sprawiedliwa żarliwość mnie wzrusza.
„Za nic tu kufle: w księgach i czytaniu
„Cała treść rzeczy, żal mówić przymusza.
„Minęły czasy szczęśliwéj prostoty;
„Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty!

„Z góry zły przykład idzie w każdéj stronie,
„Z góry naszego nieszczęścia przyczyna.
„O! ty, na polskim co osiadłszy tronie,
„Wzgardziłeś miodem i nie lubisz wina:
„Cierpisz, pijaństwo że w ostatnim zgonie;
„Z ciebie gust książek, a piwnic ruina.
„Tyś naród z kuflow, szklenic, beczek złupił.
„Bodajeś w życiu nigdy się nie upił!

„Trzeba się uczyć. Wiem z dawnéj powieści.
„Że tu w klasztorze jest biblioteka:
„Gdzieś tam pod strychem podobno się mieści,
„I dawno swego otworzenia czeka.
„Był tam brat Alfons, lat temu trzydzieści,
„I z starych książek poodzierał wieka.
„Kto wie? może się co znajdzie do rzeczy?
„I słaby oręż czasem ubezpieczy.

Rzekł: a gdy żaden nie wie gdzie są księgi;
Na ich szukanie wyznaczają posły.
Żaden się podjąć nie chce téj włóczęgi;
A uczonemi wzgardziwszy rzemiosły,
Wolna starszyzna od przykréj mitręgi,
Wkłada ten ciężar na domowe osły.
Bracia kochani! wam to los nadarza!
Posłano w zwiady z krawcem aptekarza.

Między dzwonnicą i furcianym gmachem,
Na starożytnéj baszty rozwalinach,
Laty spróchniały, wiszący nad dachem,
Był stary lamus: ten w tylu ruinach
Nabawił nieraz przechodzących strachem,
Chwiejąc się z wiatry w słabych podwalinach.
Tam, choć upadkiem groził szczyt wyniosły,
Po zgniłych krokwiach dostały się posły.

Czegóż nie dopnie animusz wspaniały!
Przy pożądanéj mecie ich postawił.
Drzwi okowane posłów zatrzymały;
Więc, żeby długo żaden się nie bawił,
Porwą za klamry: pękł zamek spróchniały.
Widok się wdzięczny natychmiast objawił.
Wracają, pracy nie podjąwszy marnie;
Dając znać wszystkim, że mają księgarnie.

Właśnie na ten czas ojciec przeor trwożny,
Dla dobréj myśli, resztę kufla dusił.
Wchodzi w tym punkcie goniec nieostrożny:
Porwał się ojciec i znagła zakrztusił.
Już chciał ukarać: lecz, jako pobożny,
Wypić za karę, co było, przymusił.
Zagrzany duchem pokory chwalebnym,
Wypił brat resztę po ojcu wielebnym.

Wdzięczna miłości kochanéj szklenice!
Czuje cię każdy i słaby i zdrowy!
Dla ciebie miłe są ciemne piwnice,
Dla ciebie znośna duszność i ból głowy!
Słodzisz frasunki, uśmierzasz tęsknice:
W tobie pociecha, w tobie zysk gotowy!
Byle cię można znaléźć, byle kupić,
Nie żal skosztować, nie żal się i upić.

Co tam znaleźli, ukrył czas zazdrosny,
Czas, który niszczy nietrwałe dostatki.
Mówmy więc teraz: jak doktór żałosny
Poszedł na radę do wielebnéj matki.
Co wskórał, dobra zakonu miłosny,
I to czas zakrył. Więc dziejów ostatki,
Gdy każe umysł, natchnieniu posłuszny;
Piszmy, jak możem, na pożytek duszny.

Piszmy: jak doktór, wróciwszy od kraty,
Zwołał najpierwsze głowy zgromadzenia;
Jak wierne swemu powołaniu braty
Byli posłuszni na jego skinienia:
Jako się wszystkie zamknęły komnaty;
Jako się postać klasztorna odmienia.
Ustał brzęk kuflów i radość obfita;
Nawet Gaudenty w rubryceli czyta.

Tak, kiedy Jowisz poprzedniczym grzmotem
I rażącemi błyski świat uciska:
Trzęsie się Atlas okropnym łoskotem;
Jęczą pieczary i Etny łożyska,
Pełne Cyklopów; pod hartownym młotem,
Grom się rozżarza, i iskrami pryska;
Wulkan je nagli, a z swego warsztatu,
Raz wraz pociskiem strasznym grozi światu.

O! miejsce niegdyś szczęśliwe prostotą,
Jakaż trwożliwość z gruntu cię odmienia?
Książki nieszczęsne! waszą zjadłe cnotą
(Zamiast słodkiego z pracy odpocznienia),
Płochéj dysputy złudzeni ochotą,
Dwa przewielebne cierpią zgromadzenia!
Przemogła zazdrość, zemsta, duch spokojny;
Bracia pokoju biorą się do wojny.

PIEŚŃ IV.

Treść: Schodzą się mędrcy na dysputę, której jest Mecenasem pan Wicesregent. Po kilku wystrzelonych i odbitych argumentach, wszczyna się krzyk, zamieszanie i bitwa.

O ty! którego żaden nie zrozumiał,
Gdy w twoich pismach błąkał się, jak w lesie;
O ty! nad którym nieraz się świat zdumiał,
I dotąd sławi, wielbi, dziwuje się;
O ty! coś głowy pozawracać umiał,
Bądź pozdrowiony, Arystotelesie!
Bożku łbów twardych i próżnéj mozoły!
Witaj, ozdobo starodawnéj szkoły!

Osioł w lwiéj skórze nieostrożnych zwodził;
Często niezgrabny płód, choć matka hoża;
Nieraz cedr słabą latorośl urodził;
Nieraz się zakradł kąkol wpośród zboża.
Nie twoja wina, żeś głupich napłodził:
Są to potomki nieprawego łoża.
Jeśli się śmiejesz, patrząc na te fraszki,
Rzuć jeszcze okiem dla nowéj igraszki.

Schodzą się mędrcy, i biali i szarzy,
Czarni, kafowi, w trzewikach i bosi;
Rumiana dzielność błyszczy się na twarzy,
Tuman mądrości nad łbami się wznosi;
Zazdrość i pycha zjadłe oczy żarzy;
Jeden się tylko zakon nie wynosi:
Pokorę świętą zachowując wszędzie,
Siedli przy końcu; jednakże nie w rzędzie.

Mniemał Cyneasz królów w majestacie,
Kiedy na rzymskie patrzał senatory.
Twój to jest obraz, zacny Jubilacie!
Wasz, bakałarze, regenty, lektory!
I wy, co pierwsze miejsca posiadacie,
Prowincyały i definitory!
Znać z twarz powagę: jak Tatry przed burzą,
Sławą zagrzane łysiny się kurzą.

Powstali wszyscy, póki nie usiędzie
Pan wicesregent, mecenas dysputy.
Sławny to mędrzec, i pilny w urzędzie:
Wziął kunią szubę i czerwone buty.
Dalej ksiądz proboszcz w rysiej rewerendzie;
Dalej ojcowie, co czynią zarzuty.
Defendens zatém, uchyliwszy głowę,
Do mecenasa zaczął tak przemowę.

„Na płytkim gruncie rozbujałych fluktów,
„Korab mądrości chwieje się i wznosi:
„A pełen szczepu wybornego fruktów,
„Niewysławioną kiedy korzyść nosi;
„Twoich, przezacny mężu, akweduktów
„Żąda: a pewien, że względy uprosi;
„Płynie pod wielkiém hasłem, głosząc światu,
„Żeś ty jest perłą konchy Perypatu.

„Słońce, co światłość znikłą wydobywa,
„Planety, które różne chwile dzielą,
„Księżyc, co równie wzrasta i ubywa,
„Gwiazdy, co nocną posępność weselą;
„Wszystko to w sobie zawiera Leliwa,
„I dom, szacowną wsparty parentelą
„Ostrogskich książąt, Pińczowskich margrabiów,
„Górków, Tarnowskich i Krasickich hrabiów.

„Milczcie, Burbony: lub w koncentach nowych
„Głoście szczęśliwość sarmackiéj krainy.
„I wy, potomki synów Jagiełłowych,
„I wy, auzońskie Gwelfy, Gibeliny,
„Znoście wielbienia: a w pieniach gotowych
„Dziś uwielbiajcie heroiczne czyny.
„Niechaj najdalsza potomność pamięta
„Wielkość dzieł, nauk, cnót wicesregenta.

„Niechaj się Zoil od zazdrości puka,
„Niechaj się Syrty i Charybdy kruszą,
„Niechaj i Paktol nowych źródeł szuka,
„Niech się Olimpy i Parnasy wzruszą!
„W tobie firmament znajduje nauka:
„Tyś kraju zaszczyt, tyś ojczyzny duszą.
„Przyniosłeś w sławie Sfinksy i Feniksy,
„W dziełach Euryppy, Bucentaury. *Dixi.*

Powszechne zatém nastało milczenie.
Przerwał go ojciec Łukasz od trzech królów,
A nie rozwodząc się w słowach uczenie,
Ani cytując Szkotów i Bartolów,
(Pocóż tak zbytne głowy zaprzątnienie?)
Zaczął od rzeczy, Hidaspów, Paktolów:
I wziąwszy stronę przeciwną na oko,
Nabił argument, i strzelił z *Baroko*.

Gdyby nie puklerz *Distinguo* dwuręczny,
Ległby *Defendens* na pierwszém spotkaniu.
Nim się zastawił, a w ujęciu zręczny,
Nie bawiąc długo w reassumowaniu,
Strzelił na odwrót pocisk niezbyt wdzięczny.
Raził *Oppugnans* w drugiém nabijaniu;
Odstrzelił zasie z *Celarent*, jak z kuszy,
Ale grot słaby poszedł mimo uszy.

Ocalon dwakroć rycerz zaczepiony,
Już się na trzeci bój wstępny zdobywał;
Już, jak z cięciwy, dzielnie natężony
Świeży grot, tylko co nie wylatywał:
W tém krzyk ogromny wszczął się z drugiéj strony.
Powszechnéj bitwy gdy się nie spodziewał,
Spojrzał na swoich: w tém trąby i kotły
Stłumiły odgłos, i wrzawę przygniotły.

Zdrętwieli wszyscy na takowe hasło,
Już i mecenas z krzesła się był ruszył.
W tém, natężywszy figurę opasłą,
Gdy o dyspucie nikt dobrze nie tuszył,
Dwóch Jubilatów tak okrutnie wrzasło,
Że się i kotłów i trąb dźwięk zagłuszył.
Wzdrygnął się doktór, i zatrząsł gmach cały;
Echa okropny odgłos powtarzały.

Upuścił kielich, który w ręku trzymał,
Pijąc za zdrowie wicesregentowéj
Piękny Hyacynt, co się właśnie zżymał
I już zdobywał na komplement nowy.
Skoczył brat Czesław, lecz go nie utrzymał.
Oblało wino żużmant parterowy,
Zużmant! ozdoba dubieńskich kontraktów,
Zysk nieśmiertelny sfałszowanych aktów.

Wtenczas, gdy złością uwiedzione Mnichy
Wzięły się nagle do uczonéj broni,
Hyacynt, miły, łagodny i cichy,
Porzuca bitwę i od wojny stroni.
Słodkie rozmowy przerywały śmiechy;
Zegar zbyt prędko bieży, prędko dzwoni.
Płyną w zaciszy szczęśliwe momenta,
Wesół Hyacynt, dewotka kontenta.

Postać jéj wdzięczna, oczy choć spuszczone,
Przecież niekiedy błyszczą się jaskrawie:
Choć w świętéj mowie słoweczka pieszczone,
Krył się subtelny kunszt w skromnéj postawie.
Westchnienie, wolnym jękiem powleczone,
Umiała mieścić w potocznéj zabawie.
Muszki z różańcem, wachlarz przy gromnicy,
Przy Hippolicie, głos synogarlicy.

Już przeszedł rozdział upiorów i strachów,
Dezyderosa i matki d'Agreda;
Już się wytoczył dyskurs z miejskich gmachów,
I okolicom już pokoju nie da;
Żarliwość, pełna skutecznych zamachów,
Wojnę występkom ludzkim wypowieda:
A gromiąc w innych grzechy nieostrożnie,
Z cicha kaleczy, zabija pobożnie.

W tém świętém dziele, wrzask je nagły zastał,
Wrzask popędliwy, okropny i srogi:
Po wdzięcznéj chwili czas ponury nastał.
Piękny Hyacynt, pełen trosk i trwogi,
Słysząc, że odgłos coraz bardziéj wzrastał,
Porzuca wszystko, bierze się do drogi.
Darmo dewotka i płacze i prosi,
Darmo brat Czesław butelkę przynosi.

Trzykroć się ku drzwiom alkierza potoczył,
Trzykroć go miła ręka zatrzymała:
Wyrwał się wreszcie, i przez próg przeskoczył;
Padła dewotka i z żalu omdlała.
(Brat Czesław flaszkę do kaptura wtroczył;)
I gdy się wzrusza okolica cała,
Przez mostki, kładki, bruki i rynsztoki,
Pędził, gdzie górne niosły go obłoki.

PIEŚŃ V.

Treśc: Bitwa: ojciec Gaudenty najwięcej dokazuje. Proboszcz, Wicesregent i Doktor radzą o sposobach zakończenia boju. Ten wreszcie najskuteczniejszy sądzą, aby przynieść *vitrum gloriosum*.

I śmiech niekiedy może być nauką,
Kiedy się z przywar, nie z osób natrząsa;
I żart, dowcipną przyprawiony sztuką,
Zbawienny, kiedy szczypie, a nie kąsa.
I krytyk zda się, kiedy nie z przynuką,
Bez żółci łaje, przystojnie się dąsa.
Szanujmy mądrych, przykładnych, chwalebnych,
Śmiejmy się z głupich, choć i przewielebnych.

Wpada Hyacynt. Nowa postać rzeczy!
Miejsce dysputy zastał placem wojny;
Jeden drugiego rani i kaleczy,
Dostał po uchu nasz rycerz spokojny:
Widzi, że skromność już nie ubezpieczy;
Więc dzielny w męztwo, w oddawaniu hojny,
Jak się zawinął i z boku i z góry,
Za jednym razem urwał dwa kaptury.

Lecą sandały, i trepki i pasy,
Wrzawa powszechna przeraża i głuszy.
Zdrętwiał Hyacynt na takie hałasy,
Chciałby uniknąć bitwy z całéj duszy:
A przeklinając nieszczęśliwe czasy,
Resztę kaptura nasadził na uszy.
Już się wymykał... w tém kuflem od wina
Legł z sławnej ręki ojca Zefiryna.

Ryknął Gaudenty, jak lew rozjuszony.
Gdy Hyacynta na ziemi zobaczył:
Nową więc złością znagła zapalony,
Żadnemu z ojców, z braci, nie przebaczył.
Padł i mecenas z krzesłem przewrócony;
Definitora za kaptur zahaczył.
Łukasz, raniony, zwinął się w trzy kłęby,
Stracił Kleofas ostatnie dwa zęby.

Coraz się mnożą i krzyki i wrzaski,
Hałas zmięszany powstaje, aż zgroza!
Ojciec Remigi, sążnisty, a płaski,
Używa żwawo zgrzebnego powroza.
Wziął w łeb Kapistran obręczem od faski,
Dydak półgarcem ranił Symforoza;
Skacze Regulat do oczów, jak żmija,
Longin się z rożnem walecznie uwija.

Już był wyciskał talerze i sklanki;
Pękły i kufle na łbach hartowanych:
Porwał natychmiast książkę z za firanki,
Wojsko affektów zarekrutowanych.
Nią się zakłada, pędzi po za szranki
Rycerzów, długą bitwą zmordowanych.
Tak niegdyś sławny mocarz Palestyny,
Oślą paszczęką gromił Filistyny.

Widzi to Rajmund, ozdoba Karmelu,
Widzi w tryumfie syna Dominika;
Wyjeżdża na harc, i wpada wśród wielu,
Godnego siebie szuka przeciwnika.
Rafał z nim obok: „Ratuj, przyjacielu!“
Rzekł, seraficzna w tym punkcie kronika
Padła nań z góry; legł i ręką kiwnął,
Dwa razy jęknął, cztery razy ziewnął.

Zapłakał Rafał; a mądry po szkodzie,
Wtenczas błąd poznał, że wróżkom nie wierzył:
Dotrzymał jednak kroku na odwodzie,
A gdy Gaudenty na niego się mierzył
Z mokrém kropidłem w poświęconéj wodzie,
Oczy mu zalał, trzonkiem w łeb uderzył.
Nie spodziewając się takowéj wanny,
Stanął Gaudenty zmoczony i ranny.

Otrząsł się wkrótce; a nabrawszy duchu,
W dwójnasób czyny heroiczne mnożył.
Ojcze Barnabo! lepiéj było w puchu!
Pocoś szedł w wojnę, pocoś się tak srożył?
I ty, Pafnucy, ległeś w tym rozruchu,
I ty, Gerwazy, słusznieś się zatrwożył.
Nikt go nie wstrzyma w zemście przedsięwziętéj!
Na waszę zgubę odetchnął Gaudenty.

Tak, gdy z wierzchołka Alpów niebotycznych
Mały się strumyk sącząc wydobędzie;
Wzmaga się coraz w spadaniach rozlicznych:
Już brzeg podrywa, już go słychać wszędzie;
Echo szum mnoży w skałach okolicznych;
Staje się rzeką; a w gwałtownym pędzie
Pieni się, huczy, i zżyma w bałwany;
Tém sroższy w biegu, im dłużéj wstrzymany.

Wojna powszechna. Jak zabieżyć złemu,
W kącie z proboszczem vicesregent radzą;
A chcąc usłużyć dobru powszechnemu,
Doktora tamże do siebie prowadzą.
Każdy z nich daje zdanie po swojemu:
Prałat, gdy postrzegł, że się w domu wadzą,
Biorąc w głąb' rzeczy, przez swój wielki rozum,
Rozkazał przynieść *vitrum gloriosum*.

Co niegdyś w Troi był posąg Pallady;
Co w Rzymie wieczne Westalskie ognisko;
Tém był ten puhar, czczony przez pradziady.
Starożytności wdzięczne widowisko
Wyjęto ze czcią z najpierwszéj szuflady:
Przytomni zatém skłonili się nisko;
I tę wieczystéj załogę rozkoszy
W obiedwie ręce wziął ksiądz podkustoszy.

Któż cię nad niego mógł lepiéj piastować,
Zacny puharze? kto nosić dostojnie?
On jeden z tobą umiał dokazować;
On cię wart dźwigać w pokoju i w wojnie.
Szli daléj, żeby ten skarb uszanować,
Dzwonnik z szafarzem, ubrani przystojnie:
I Krzysztof trębacz, co w post i wielkanoc,
Z kościelnéj wieży trąbił na dobranoc.

Już się zbliżają ku miejscu strasznemu,
Gdzie się zwaśnione mnichy potykają.
Czynią plauz wszyscy dzbanu poważnemu,
Wszyscy ciekawie skutku wyglądają.
Mężny nosiciel; jednak postaremu
Myśli trwożliwe pokoju nie dają:
Umysł wspaniały podłéj trwodze przeczy,
Orzeźwia dobro pospolitéj rzeczy.

Już są u furty: ta stoi otworem:
Zły znak! w tym punkcie zdaleka postrzegli,
Jako mecenas, prałat wraz z doktorem,
Na przywitanie szybkim krokiem biegli;
I żeby z zwykłym wprowadzić honorem,
Niektórych ojców i braci przestrzegli.
Wchodzi szczęśliwie puhar między braty,
Do doktorowskiéj zaniesion komnaty.

PIEŚŃ VI.

Treść: Opisanie puharu: Wyryte na nim skarby, wdzięki i zabawy czterech pór roku. Skoro pełny pokazał się, wszystkim broń wypada z ręki, i po bitwie szczęśliwa zgoda następuje.

Już to ostatnia pieśń, mili ojcowie!
Miejcie cierpliwość, czekajcie do końca.
Jeśli czujecie niesmak w przykréj mowie;
Znalazł się krytyk, znajdzie się obrońca.
Pocóż się gniewać? wszak astronomowie
Znaleźli plamy nawet w pośród słońca.
W szyszaku, w czapce, w turbanie, w kapturze,
Wszyscyśmy jednéj podlegli naturze.

Postawion puhar na miejscu osobném;
Odkrył go prałat, aby był widziany.
Zadziwił oczy widokiem ozdobnym,
Sklni się w nim kruszec srebrno pozłacany.
Wiele pomieścić trunku był sposobnym,
Miara oznacza: był to dzban nad dzbany!
Rzeźba wyborna na górze, a z boku
Wyryte były cztery części roku.

O wdzięczna wiosno! twoje tam zaszczyty
Kunszt cudny wydał; tu w pługu zziajane
Ustoją woły; oracz pracowity
Nagli już niwy na pół zaorane.
Śpiewa pastuszek w chłodniku ukryty,
Skaczą pasterki w wieńce przyodziane,
Pękają listki, krzewią młode trawki:
Echo głos niesie niewinnéj zabawki.

Gospodarz z domu, do wiernéj czeladzi,
Na oglądanie roli swojéj śpieszy;
Małe wnuczęta za sobą prowadzi;
Widok go zboża już weszłego cieszy.
Niesie posiłek; czeladź się gromadzi.
Porzuca brony, odbiega lemieszy.
Kmotry śpiewają, skaczą, lud się mnoży:
Pleban wesoły, uznaje dar boży.

Już kłos dojrzały ku ziemi się zgina;
Już wypróżnione są gniazdeczka ptasze;
Lato swych darów używać zaczyna;
Parafijanie jadą na kiermasze.
Pije ksiądz Wojciech do księdza Marcina:
Piją dzwonniki, Piotry i Łukasze;
Gromady, odpust, wesela, jarmarki;
Skrzętne po domach biegają kucharki.

Jesień plon niesie, korzyści zupełne,
Jesień radości pomnaża przyczyny;
Składa gospodarz z owiec miękką wełnę,
Tłoczy na zimę wyborne jarzyny;
Cieszy się, patrząc, że stodoły pełne.
Śmieje się pleban, kontent z dziesięciny;
Codzień odbiera nowiny pocieszne,
Codzień rachuje wytyczne i meszne.

Mróz rolą ścisnął, śnieg osiadł na grzędzie,
Zima posępna przyszła po jesieni.
Wrzaski po karczmach, radość słychać wszędzie,
Trunek myśl rzeźwi i twarze rumieni.
Idzie z wikarym pleban po kolędzie;
Żaki śpiewanie zaczynają w sieni;
Gospodarz z dziećmi dobrodzieja wita;
Kończy się kuflem pobożna wizyta.

Wierzchołek dzbana przedziwnéj roboty,
Grono prałatów w kapitule stawił:
Ogromne barki kształcił łańcuch złoty;
Daléj wspaniałą ucztę proboszcz sprawił.
Znużonéj trzodzie z przykładnéj ochoty
Pulchnokarczysty pasterz błogosławił.
Śmierć była na dnie; za nią, w ścisłéj parze,
Obfite stypy i anniwersarze.

Pasą się oczy wspaniałym widokiem,
Już zapomnieli o bitwie i radzie.
Wtém ojciec Kasper leci szybkim krokiem:
Oko podbite świadczy, że był w zwadzie.
Doktor, zwyczajnym tonem i wyrokiem,
Iść z kuflem w bitwę, za pierwszy punkt kładzie.
— Z pełnym — rzekł prałat: i tak rzecz wywodzi:
Puhar ich wstrzyma, a wino pogodzi.

W nagłéj potrzebie i skąpiec uczynny;
Niesie brat Czesław, rumiany i tłusty,
Ogromne flasze; już czuć zapach winny.
Wina, którego w post i mięsopusty
W swéj celi tylko doktór miodopłynny
Przewielebnemi sam popijał usty;
Garniec wlał w puhar Czesław, wlał i stęknął:
Rozśmiał się w duchu prałat; doktór jęknął.

Idźcież szczęśliwie, gdzie was sława niesie,
Pokoju, zgody i miłości dzieci!
Idźcie! w ciemnościach niech blask ukaże się,
Chwała przed wami przodkuje i leci.
Tobie przekleństwo, Arystotelesie!
Czyż cię ta bitwa uczonym zaleci?
Cóż ma za korzyść, kto twój towar kupi?
Próżność, nauka! najszczęśliwsi głupi!

Wchodzą już w same progi refektarza,
Zkąd Mars zajadły Minerwę wypędził:
Rajmund tymczasem trzonkiem od lichtarza
Jeszcze się bronił. Doktór próżno zrzędził:
— Przestańcie bitwy! — krzyczy i powtarza;
Wrzask wszystkich zgłuszył, strach twarze wywędził;
Jeszcze się reszta krzepi bez oręża,
Gaudenty gromi, Gaudenty zwycięża.

Stanął, opuścił broń, skłonił się nizko,
Skoro szacowny skarb w progu zobaczył.
Stanęli wszyscy na to widowisko:
A gdy się puhar coraz zbliżać raczył.
Krzyknęli:... Zgoda! Tak wojny siedlisko
W punkcie dzban miejscem pokoju oznaczył.
Czarni i biali, kafowi i szarzy,
Wszystko się łączy, wszystko się kojarzy.

Za czyje zdrowie pili w takiej porze?
Nie wiem: lecz gdybym znajdował się z niemi,
Piłbym za twoje, szanowny przeorze!
Za twoje, który czyny chwalebnemi
Jesteś i mistrzem i ojcem w klasztorze,
I dajesz poznać przykłady twojemi,
Jak umysł prawy zdrożności unika.
Cnota, nie odzież czyni zakonnika.

Czytaj i pozwól, niech czytają twoi,
Niech się z nich każdy niewinnie rozśmieje.
Żaden nagany sobie nie przyswoi;
Nikt się nie zgorszy, mam pewną nadzieję.
Prawdziwa cnota krytyk się nie boi;
Niechaj występek jęczy i boleje.
Winien odwołać, kto zmyśla zuchwale:
Przeczytaj; osądź! Nie pochwalisz? spalę.

ANTI-MONACHOMACHIA.

PIEŚŃ I.

Treść. Jędza niezgody, dostawszy księgę wojny mnichów, rzuciła do mieszkania doktora. Mędrzec czyta ją z uśmiechem; lecz ojciec Honorat ciężkim zapala się gniewem, który w nim napróżno doktór łagodzić usiłuje.

Często pozory łudzą słabe oczy,
Zwłaszcza gdy staną na widok gromadnie:
Często i malarz, w dziele zbyt ochoczy,
Zmyli się, obraz chcąc wydać dokładnie.
I w kunszcie nieraz rzemieślnik wykroczy,
Kiedy się w złoto szych podły zakradnie;
Nie traci przeto kruszec swéj korzyści:
Szych pełznie w ogniu, a złoto się czyści.

Jędzo niezgody! twoje to są sztuki!
Ty, co się w dziełach zdradliwych objawiasz,
Mięszasz się w kunszta, mięszasz i w nauki,
Słodycze żółcią mięszasz i zaprawiasz:
Wkładasz obmierzłe jarzmo twéj przynuki,
A gdy się tylko niesnaską zabawiasz,
Niedość dla ciebie państw, narodów klęski;
W cienie zakonne rzucasz grot zwycięzki.

Twój to kunszt zdradny, żeś zacisze święte
Nowém podejściem mięszać zamyślała;

Jużeś poczęła dzieło przedsięwzięte,
Jużeś na poły z twych sztuk korzystała.
Niebo, sług swoich niewinnością tknięte,
Nie dopuściło, byś tryumfowała!
Opowiem, jakeś padła z piekieł łona,
Opowiem, jakeś była zwyciężona.

Nie podła gnuśność rządziła klasztorem,
Gdzie się te sceny wydały tragiczne:
Klasztor był cnoty zawołanym wzorem,
Klasztor obfity w dzieła heroiczne.
Klasztor, od wieków wsławiony wyborem,
Budował wszystkie miejsca okoliczne.
Dzielny przykładzie! ach któż cię wychwali?
Tyś tarczą twoich, co ciebie dawali.

Święte więzienia miłość cnoty wzniosła,
Niewinność twierdzą otoczyła wieczną,
Żarliwość z świeckiej marności uniosła,
Pokora skryciem czyniła bezpieczną.
Przykładność dzielna w ich cieniu urosła,
Wiara obronę znalazła waleczną;
Ukryte światło stanęło na korcu
W nauczycielu, świętym cudotworcu.

W takiém schronieniu, lepszy, niż wiek złoty,
Trawiły prawe dla Boga ofiary,
W straży ubóstwa, posłuszeństwa cnoty,
W zaszczycie pewnéj nadziei i wiary,
W czułych zapędach żarliwéj ochoty;
A niebieskiemi obdarzona dary
Miłość, rękojmia cnoty i załoga,
Słodziła prace dla bliźnich i Boga.

Ta Jędza przerwać zabawy gdy chciała,
Zbliża się, kędy w głębokiém ukryciu
Księga zakonnéj wojny zostawała,
Płód żartobliwy. Chcąc ją miéć w użyciu,
Tyle przewrotnych kunsztów używała,
Że wpadł w jéj ręce: a w klasztorném życiu
Chcąc wzniecić pożar, raduje się zjadła,
Że dzieło przyszłéj niezgody wykradła.

Wzbiła się w górę, a jak jabłko owe,
Co poróżniło i ludzie i bogi,
Niesie płód żartów; gmachy klasztorowe
Skoro zoczyła, wydała krzyk srogi,
Cieszy się, widząc klęsk przyszłą osnowę.
Furty warownéj już przebyła progi,
A myśląc wściekła o przyszłym pożarze,
Przebiega szybkim krokiem korytarze.

Staje przed drzwiami mieszkania doktora,
Pewna, że starzec spokojnie spoczywa:
Myliła się; najpierwszy bo z klasztora
Do służby bożéj śpieszy i przybywa.
W chórze północna trzymała go pora,
W chórze wraz z bracią chwały boże śpiewa.
Wielka rzecz, z zasług być od prawa wolnym!
Większa, z zasługą być prawu powolnym.

Weszła; a widząc i sprzęty i łoże,
Jęknęła z złości, czując baśnie płonne.
Zamiast kotary wytarte rogoże,
Wszędzie ubóstwo zastała zakonne;
Ksiąg mnóstwo, których zrachować nie może,
Ledwo objęły pokoje przestronne:
Sprzęt godny mędrca, godny zakonnika,
Jadem ją nowym żarzy i przenika.

Rzuciła pismo; a zawywszy wściekła,
Powróciła się do swego łożyska;
Z nią zazdrość zjadła i zemsta przewlekła,
Fanatyzm straszny z daleka i z blizka,
Wpadły, zkąd wyszły, Jędze w otchłań piekła,
Wpadły w zwyczajne sobie stanowiska;
Tam z źródła jady na nowo czerpały,
Aby tém dzielniéj truły, zarażały.

Wrócił się doktór; a gdy pismo czyta,
Rozśmiał się: taka zemsta wielkiéj duszy;
Trwoga występnym tylko przyzwoita.
Kto się złym czuje, tego zarzut wzruszy.
Cienia się swego boi hipokryta,
Gdy go wewnętrzne przeświadczenie głuszy;
Ubezpieczona w niewinności swojéj
Prawdziwa cnota krytyk się nie boi.

Tak brzeżna skała, gdy niebo się chmurzy,
I groźne coraz zbliżają obłoki,
Wzrusza się morze, grzmi chmura wśród burzy;
A choć uderza bałwan w brzeg wysoki,
Chociaż się w fluktach zapienionych nurzy,
Chociaż szum srogi rwie twarde opoki;
Trwa niewzruszona; pełzną wiatry hyże,
A bałwan twardy piasek pod nią liże.

Wchodzi Honorat, a pismo podane
Z rąk od doktora, kiedy czytać bierze,
Na pierwszą strofę znać po nim odmianę;
Miesza się, płoni, blednieje w cholerze.
Karty nie skończył, już rzuca o ścianę,
Chce drzéć; lecz doktór hamuje w téj mierze.
Sroży się starzec dziki i surowy,
Temi nakoniec obwieszcza gniew słowy:

„Taż-to nam korzyść za tyle podjętych
„Prac, trudów! takie wdzięczności zadatki!
„Targa się śmiałość na mądrych i świętych;
„Wyszydza zjadła i ojce i matki:
„A niekontenta z bluźnierstw przedsięwziętych,
„Hańbi różaniec. Jeżeli ostatki
„W nas jeszcze cnoty żarliwéj zostały,
„Niechaj jéj dozna bluźnierca zuchwały.

„Heretyk sprosny, Turczyn, Jansenista,
„Ateusz, piekła zarażony jadem,
„Oszczerca, z cudzych defektów korzysta,
„Godzien największéj być kary przykładem.
„Niechaj go hańba ogarnie wieczysta,
„I wszystkich, którzy tym będą iść śladem!
„Niech go“.... Dech ustał ojcu żarliwemu;
Wtém tak się doktór odezwał ku niemu:

„Złorzeczyć, nie wiem, jeżeli przystoi
„Tym, którzy tylko winni błogosławić.
„Jad bardziéj ranę rozjątrza, niż goi.
„Na cóż się próżném narzekaniem bawić?
„Nie z zemsty pozna Bóg, którzy są swoi.
„Jeśli należy, jemu ją zostawić;
„A choć nas boleść najsroższa dotyka,
„Cierpiéć, a milczyć, podział zakonnika.

„Ten, który swoim naśladowcom wiernym,
„Za złe stokrotnie dobrém kazał płacić,
„Potrafi ulżyć troskom, choć niezmiernym!
„Potrafi oddać, co możem utracić.
„Zyskiem się zemsty nie zmożem mizernym,
„Cierpliwość lepiéj nas zdoła zbogacić,
„Darujmy“.... Uciekł Honorat, i mruczał,
A doktór westchnął, który go nauczał.

Mógł był ukarać, ile przełożony,
Ale, że starszy, nie śpieszył się z karą.
Starzec był łaty i pracą zwątlony,
A zwykłą wieku swego tchnąc przywarą,
Nadto był w zdaniu swojém uprzedzony,
Gdy kładł zakonność w równéj szali z wiarą.
Choć zdrożność widział, ale że przy cnocie,
Przebaczył doktór żarliwéj prostocie.

PIEŚŃ II.

Treść. Honorat krzykiem i narzekaniem wzrusza cały klasztor: wpada do biblioteki i cztery pulpity ksiąg przewraca. Potém długie rozwodzi skargi, na które bibliotekarz odpowiada.

Jak chmura, co grom po polach roznosi,
Obiegł Honorat wszystkie korytarze;
Wszędzie wiadomość nieszczęśliwą głosi,
Wszędzie o wszczętym znać daje pożarze.
O zemstę wszystkich nalega i prosi,
Niechaj to dzieło i autora skarze;
„Kupcie się! woła, ku wspólnéj odsieczy!
„Kupcie się, bronić pospolitéj rzeczy!“

Na taki odgłos, jak piorunem tknięte
Tłumy się braci ze wszystkich stron śpieszą:
Rzucają pracy i zabawy święte,
A coraz większą gromadząc się rzeszą,
Tam idą, kędy żale rozpoczęte
Wynurzał starzec: wzmagają i cieszą.
Próżne starania! Honorat się trwoży,
Im bardziéj miękczą, tém zjadléj się sroży.

Tak łań, po puszczach dzikich obłąkana
Z płodem, którego dotąd pilnie strzegła,
Nagłym łoskotem myśliwców zmięszana,
Z miejsc się porywa, na których obległa.
Próżno ucieka, wkoło opasana,
Unosząc życie, choć płodu odbiegła:
Chociaż rąk uszła, i buja po lesie,
Tkwi grot śmiertelny, który z sobą niesie.

Wrzask, krzyk, hałasy: ni prośbą, ni sporem,
Nie da się starzec ubłagać rozjadły,
Zajęty cały zakonnym honorem.
Gdzież się zdrożności nasze nie zakradły?
Pędzi, księgarni drzwi zastał otworem,
Tam wpadł; strwożeni bracia tam z nim wpadli.
Jednym zamachem starzec nieużyty,
Wywrócił cztery ksiąg pełne pulpity.

O ty, wszech rzeczy płodnéj rodzicielki
Dzielny tłómaczu, i w lewą i w prawą;
Którego wielbić musi człowiek wszelki,
Ty, coś jest świata nauką, zabawą,
Perło pisarzów, o Albercie wielki,
Coś tajemnicę objawiał tak żwawą!
Uczczenia godny! nieuszanowany
Spadłeś pod szafę z twoimi kompany.

Wielki Tostacie! ty, coś znamienicie
Pisał o wszystkiém, o czém pisać można!
Nie osiedziałeś się na tym pulpicie;
Złość cię zrzuciła, ale złość pobożna.
Poznał cię starzec, zapłakał obficie,
Twym spadkiem myśl się powiększyła trwożna.
A gdy się coraz wzmaga i rozżarza,
Tak z płaczem mówił do bibliotekarza:

„Nie tylko ludziom i księgom uwłacza
„Bezbożnik, co się uwziął na zakony.
„Co winien Tostat, że mu nie przebacza?
„Co winien Alfons, ów król uwielbiony?
„Zuchwalec śmiało grzeszy i wykracza,
„Kroniki nawet dotknął zaślepiony;
„Niegodzien czytać piękności dobranych
„Wojska affektów zarekrutowanych.

„Wiem, zkąd te złości i jady pochodzą,
„Już się świat zepsuł, a płody odrodne
„Polorem niby jady sobie słodzą,
„Nazwiska nawet uczonych niegodne.
„Ich to koncepty; prawdzie nie zagrodzą!
„Znajdziem my na nich sposoby dowodne.
„Umilkną zdrajcy, damy się we znaki;
„Spełznie z konceptem pisarz ladajaki.

„Bodaj to dawni w księgach nie szperali!
„Było też lepiéj, każdy cicho siedział.
„I cóż nowego teraz wybadali?
„Bodajby lepiéj o nich świat nie wiedział!
„Nie tak to nasi ojcowie działali:
„A jeśli który co pisał, powiedział,
„Nie dął się z swojéj mądrości mniemanéj,
„Ani zaczepiał książki drukowanéj.

— „Niejeden głupi był wydrukowany —
Biblijotekarz rzekł do Honorata —
„Druk nie jest piętnem chwały lub nagany.
„Dawniejszych, świeższych czasów alternata:
„Głupstwo i rozum stawia na przemiany,
„Jednym je węzłem wiąże i przeplata.
„Z powszechnej wady my się nie odkupim!
„Można i u nas być mądrym i głupim.

„Że się z prostoty śmiał pisarz swywolny,
„I my się śmiejmy, zawstydzim go snadnie:
„Pozna po śmiechu, w wyrazach zbyt wolny,
„Że fałsz napisał: odwoła dokładnie.
„Będziem się dąsać? nie będzie powolny,
„Gorszy jad może w pióro mu się wkradnie.
„A kto wie wreszcie, czyli nie chciał użyć
„Tego sposobu, aby się przysłużyć?

— „Piękna przysługa! paszkwilem! potwarzą!
— „Posłuchaj tylko, ojcze Honoracie,
„Różne się myśli wierszopisom marzą;
„Jeszcze ich trybu zupełnie nie znacie.
„Bywa częstokroć, gdy się zbyt rozżarza,
„Że mniéj pamiętni o sławy utracie,
„Zbyt lekko cudzą dotkliwość tłómaczą. —
— „Zły to śmiech, ojcze, gdy na niego płaczą!

— „Targa się paszkwil na niewinność trwożną,
„Zaraża jadem, na złe zbyt ochoczy;
„Satyra, cierpieć nie mogąc rzecz zdrożną,
„Karze bez względu, wyrzuca na oczy;
„Krytyk żarliwość ma, ale ostrożną,
„Śmiechem poprawia, jadem nie uwłoczy:
„A kunsztu jego te prawe sposoby:
„Występek karać, oszczędzać osoby.

— „Ale mnie wytknął! — Przypadkiem się stało.
— „Jakto przypadkiem? szydzić moje lata! —
— „W myśli to jego może nie postało,
„Osławiać, szydzić z ojca Honorata.
„Co tam wyraził, u nas się nie działo,
„Jakaż ztąd sławy być może utrata?
„Nigdy się, ojcze, taki nie frasuje,
„Który zarzutu przyczyny nie czuje.

„Hazard nadarzył twe imię w pisaniu,
„Ale opisał nie tém, czém cię znają.
„Alboż uparty jesteś w twojém zdaniu?
„Alboż cię bracia o złość posądzają?
„Alboż nie trawisz dni, nocy, w czytaniu?
„Alboż cię flaszki przyjacielem mają?
„Dobrzyście, mądrzy, na książkach się znacie;
„To nie o tobie, ojcze Honoracie. —

— „Piękne to słowa, ale nic nie znaczą,
Krzyknął Honorat; — „śmiał się z nas do woli!
„Są uprzedzeni, co dobrze tłómaczą
„To co jest skutkiem nieprawéj swawoli.
„Niech mi mędrkowie dzisiejsi wybaczą!
„Jak to nie sarknąć, kiedy kogo boli?
„Pożal się Boże, widzę, naszéj pracy!
„I waszeć zmodniał, ojcze Bonifacy!

PIEŚŃ III.

Treść. Jędza przebudza Gaudentego i złością zapala. Zrywa się, bieży i spotyka Honorata. Słysząc jego narzekania na obrazę honoru zakonnego, chce wszystkich użyć sposobów, aby się pomścić na oszczercy.

Bodaj to zasnąć! byle sen był smaczny,
Mniejsza na miękkiém łożu, czy na ławie.
Bodaj to zasnąć! chociaż sen dziwaczny;
Słodsze te baśnie, niż troski na jawie.
Niechaj mnie łudzi, niech będzie opaczny.
Stawia częstokroć w szczęśliwéj postawie.
Płyną w śnie miłym rozkoszne momenty.
Nie śpią królowie; spał ojciec Gaudenty.

Myśli swobodna! twoje to są dzieła;
Ty prace wieńczysz rozkosznem uśpieniem,
A co zbyt skrzętném staraniem ujęła,
Najpożądańszém wracasz zasileniem.
Gnuśność, co twardym letargiem zasnęła,
Nie zna snów smacznych, mży za przebudzeniem.
Usnął Gaudenty w spokojnéj zaciszy;
Powszechnéj trwogi nie czuje, nie słyszy.

Postrzegła Jędza, co się wrzawą cieszy,
Że na ustroniu rozkosznie spoczywa
Jeden Gaudenty z tak gromadnéj rzeszy;
Jadem się nowym sroży zapalczywa.
Do jego celi szybkim krokiem śpieszy,
Nową się zdradna postacią okrywa,
I żeby wsparcia dzielniejszego dostać,
Bierze na siebie żarliwości postać.

Świętym pozorem tai myśli zjadłe,
Pokorném słodzi jad swój ułożeniem:
Spuszczone na dół, zmrużone, zapadłe,
Pałają oczy jaskrawym płomieniem:
Usta zsiniałe i lica wybladłe,
Głos drżący, coraz przerwany westchnieniem.
W taką się postać Jędza przemieniła,
Do Gaudentego kiedy przystąpiła.

„Śpisz, rzecze, wtenczas kiedy drudzy czują?
„Zażywasz wczasu, kiedy bracia płaczą?
„Gnuśne umysły nieprawie próżnują,
„Zbyt wolnie kiedy powinność tłómaczą.
„Nie tak się dzieci matce wysługują,
„Nie tak jéj wdzięczność oddają i znaczą;
„Jeśli masz serce, porwij się i wzmagaj!
„Jeśliś syn jeszcze, wstań, ratuj, wspomagaj!

Gdyby się była Jędza nie umknęła,
Byłby jéj dostał za pierwszym zamachem:
Tak się w Gaudentym złość sroga zajęła,
Złość, rozpacz, zjadłość powiększona strachem.
Wzmaga się raźno na wspaniałe dzieła:
Jędza tymczasem już buja nad dachem,
Zająwszy żądzę zemsty niewygasłą,
Już strasznéj wojny dała srogie hasło.

Jak syn Alkmeny, gdy na wielkie sprawy,
Walki z olbrzymy i smoki wychodził,
Pałając chęcią wiekopomnéj sławy,
Nadzieją bitwy żądze zjadłe chodził;
Zdobycz Nemejską, zysk sławnéj wyprawy,
Przywdziewał, gdy na nieśmiertelność godził;
Tak i Gaudenty w téj walnéj potrzebie,
Porwał za kaptur i wdział go na siebie.

Wypadł rozjadły, sam nie wie, gdzie leci,
Woła na bitwę, choć bez przeciwnika:
„Do mnie, kto śmiały! do mnie, moje dzieci!“
Woła, a coraz żwawiéj się pomyka.
„Kogo trwożliwość podląca nie szpeci,
„Kogo zaszczyca imie zakonnika,
„Kupcie się ze mną, nacierajcie żwawo!
„Tak się najlepiéj utrzymuje prawo.“

Noc była jeszcze, a słabe promienie
Najpierwsze zorza puszczać zaczynały:
Słyszą krzyk bracia i nagłe wzruszenie,
Słyszą, jak echo gmachy powtarzały.
Nowy strach nastał, nowe zatrwożenie.
Stanął z swojémi Honorat struchłały:
A gdy się ku nim Gaudenty przybliża,
Uciekła rzesza trwożliwa i chyża.

Został Honorat, laty ociężały.
Strach nogi zemdlił, strach przeraża, mroczy:
Postrzegł go zdala bohater zuchwały,
Niezwykłym pędem ku niemu przyskoczy.
Padł z strachu starzec, napoły zmartwiały,
Już ciosu czeka, nie śmie podnieść oczy;
Już się na niego Gaudenty zamierzył,
W tém poznał starca, i gniew swój uśmierzył.

„Tyżeś to, ojcze?“ zdziwiony zawołał.
„Jam jest, rzekł starzec, co was wszystkich bronię:
„Na to los srogi starość moję chował,
„Tegom się nędzny doczekał przy zgonie,
„Że lada bajarz będzie nas strofował,
„I w całym szukał zdrożności zakonie.
„Złącz, bracie, pomoc! zwołaj młodzież, starce!
„Zgińmy z honorem, lub zgnębmy potwarcę.

„Niechaj nas pozna, co się targać waży,
„Niech pozna smutnem doświadczeniem swoim;
„Niech wie, w jakowéj jest nasz honor straży,
„Niech wie, jak próżnych dąsań się nie boim.
„Niech się i drugi i trzeci odważy,
„Choć i największą liczbę, uspokoim.
„Gniew, co ma honor zgromadzenia w pieczy,
„Zgubą przeciwnych rany swoje leczy.“

„Do argumentów.“ — „A książki tu po co?“
Krzyknął Gaudenty, nowym zdjęty jadem.
„Niech się mędrkowie nad księgami pocą,
„I pysznią dumnym maksym swoich składem!
„Ręka, nie pióro będzie nam pomocą:
„Idźmy powszechnym i ubitym śladem,
„Kiedy potrzeba znieść z siebie zelżywość:
„Gdzie moc, lub sztuka, tam jest sprawiedliwość.

„Dawne to bajki o cnocie, nauce!
„Świat polerowny te czcze światła zgasił:
„Podejściu szczęście przypisał i sztuce,
„Zbrodnią szczęśliwą uczcił i okrasił:
„A niepodległy sumienia przynuce,
„Zdradnie się srożył, zdradnie się i łasił.
„Któż teraz w cnocie wsparcia będzie szukał?
„Ten wielki, mądry, kto zdarł, kto oszukał.

„I my tak czyńmy, gdy nas losy muszą,
„A radzić sobie inaczej nie można,
„Kiedy moc, podstęp, świata teraz duszą,
„I wszystko chytrość posiadła ostrożna;
„Kiedy szczęśliwi, co się o złe kuszą,
„A w niewinność już nadzieja próżna.
„Trudno się teraz odwołać na cuda:
„Bądźmy, jak drudzy, a wszystko się uda."

Tak duch zajadłéj Jędzy popędliwy,
Wskróś umysł złością zdjęty opanował.
Struchlał Honorat na takowe dziwy;
Nagłéj odmiany kiedy nie pojmował,
Nie ścierpiał bluźnierstw, lubo zemsty chciwy;
Przecież, ażeby w złości uhamował,
Miękczył zawziętość, zbytek jadu słodził.
Już téż dzień jasny po zorzach nadchodził.

PIEŚŃ IV.

Treść. Rozniesiona księga wojny duchów, ma wielu przyjaciół i przeciwników. Wicesregent rokuje przegraną w sądach. Hyacynt wcale się na nią nie gniewa: Lecz Gerwazy mniej jest umiarkowany, i łączy się do konfederacyi przeciw autorowi.

Rzadko się kradzież nada kradnącemu,
Choć ją i pięknem nazwiskiem przywdziejem:
Choćby służyła dobru publicznemu,
Nie oczyści się i tym przywilejem.
Mówmy więc szczerze, mówmy po dawnemu,
Ktokolwiek kradnie, ten zawsze złodziejem.
Pięknie, czy szpetnie, pomaga, czy szkodzi,
Niech będzie, jak chce, a kraść się nie godzi.

O wojno Mnichów! takeś w ręce wpadła,
Takeś się najprzód zjawiła na świecie!
Płochość cię z twoich kryjówek wykradła,
Ciekawość fraszki stawiła w zalecie,
Złość cię rozniosła ślepa i zajadła,
A sława, która rada bajki plecie,
Za rzecz szacowną, gdy udała baśnie,
Prysłaś, jak iskra, co parzy i gaśnie.

Byli, którzy cię słusznie zwali fraszką,
A poważniejszą zatrudnieni pracą,
Gardząc wspaniale nikczemną igraszką,
Nie czytając cię, rzekli, żeś ladaco;
Drudzy, nie wzdęci tak poważną maszką,
Nad zgrają wierszów gdy czasu nie tracą,
Rzekli: dźwięk próżny, co pozory kreśli,
Nie wart uczonych czytania i myśli.

Rodzaj poetów, co się z słowy pieści,
Nie godzien u nich względu i szacunku:
Mędrzec, ważący istoty i treści,
Mędrzec, mający wyroki w szafunku,
W gminnych umysłów tłumie takich mieści,
I w najpodlejszym osadza gatunku,
Co kunsztem słowa układając zręcznie,
Łagodnym dźwiękiem omamiają wdzięcznie.

I sprawiedliwe były takich zdania,
Co im o dobro kraju tylko chodzi:
Cóż wiersz pomoże do praw układania?
Alboż się zboże po wierszach urodzi?
Próżne są, płoche, nie warte słuchania,
Więc się ich pisać i czytać nie godzi.
Nic nie probują, a pocóż je chwalić?
Najlepiéj bajkę i bajarza spalić.

Spalić do szczętu! Ale nim go spalą,
Wróćmy tymczasem do naszéj powieści.
Bajkę, czy prawdę, ci ganią, ci chwalą,
Tym jest przyczyną śmiechu, tym boleści.
Jedni się chlubią, a drudzy się żalą;
Zgoła, zwyczajnym trybem wszystkich wieści,
Miało los dzieło, co po rękach chodzi,
Złe gdy przymawia, dobre gdy dogodzi.

Po niejednego zakątach klasztora
Poszło na ogień; w drugich zachowane.
Ci błogosławią, a ci klną autora,
Zgoła, umysły były rozerwane.
Pan wiceregent śle instygatora,
I w przyszłych sądach rokuje przegranę:
A jejmość różnie krzykliwa, lub cicha,
Gniewa się, miękczy, płacze i uśmiécha.

Szczęściem, i wielkiém dla dzieła autora,
Nigdy Hyacynt w jéj domu nie gościł:
Nikt tam nie bywał, prócz ojca przeora,
Lecz ojciec przeor ustawicznie pościł;
A jeśli bierał ojca promotora,
Hyacynt takich wizyt nie zazdrościł;
Pogardzający marnemi igraszki,
Pilnował wiernie książek, a nie flaszki.

Prawda, że piękny, udatny i hoży,
Prawda, że patrzyć na niego aż miło;
Alboż być pięknym nie ma sługa boży?
Alboż to grzecznym być się nie godziło?
Wdzięczna jest skromność, gdy postać ułoży;
Zda się, iż nowych z nią wdzięków przybyło.
Niechaj występek wydaje się sprośnie,
Cnocie wdzięk nowy niechaj coraz rośnie.

Można ją śmiele z grzecznością skojarzyć,
I owszem taka lepiéj przykład wdraża;
Nie jéj to przymiot srożyć się i swarzyć,
Dzikiém spojrzeniem nigdy nie odraża;
Nie umie próżnie dziwaczyć i marzyć,
Ani się płochém podejrzeniem zraża.
Przykładny mile, dziwacznie niesprzeczny,
Ojciec Hyacynt był święty i grzeczny.

Ani on wiedział, co drukiem podano;
Pożyteczniejsze bawiły go dzieła.
Gdy już wieść doszła, co wydrukowano,
Ani go wtenczas ciekawość ujęła:
Przeczytał wreszcie, co o nim pisano;
Lecz się myśl mściwa w sercu nie zawzięła,
Ani się rozśmiał, ani się zasmucił,
Lecz dwakroć ziewnął i pismo porzucił.

Tak orzeł, górnym wybujały lotem,
Ledwo poglądać na niziny raczy;
A piorunowym nie przelękły grzmotem,
Kiedy ptaszęta pod sobą obaczy,
Skrzydeł wspaniałych straszy je łoskotem,
I gdy w ostatniéj postrzeże rozpaczy,
Rzuca plon podły, a lotnemi pióry
Pod nad obłoki wzbija się i chmury.

Nie z orłów rodu był, choć przewielebny,
Ojciec Gerwazy od zielonych świątek.
Lubo Hiacynt dał przykład chwalebny,
I do działania szacowny początek;
Wzgardził nim ojciec, rady mniéj potrzebny,
Wzgardził, a rzeczy nowy snując wątek,
Brał je do serca; a gdy zemstę knował,
Z rzeszą się braci ukonfederował.

Więc chcąc, by jeszcze większe znaléźć wsparcie,
Wzywał na pomoc inne zgromadzenia.
Zastał u furty, jakoby na warcie,
Pannę Dorotę, co chwałę imienia
Strzegąc, na zemstę czuwała otwarcie;
Od najpierwszego zaczém pozdrowienia,
Zamiast potocznych dyskursów zabawy,
O srogiéj burzy wszczął się dyskurs żwawy.

Tam się dowiedział w zapalczywéj mowie,
W srogiém wejrzeniu i udatnym geście,
O całéj rzeczy dokładnie osnowie,
Co powiadano i na wsi i w mieście.
Zgoła, co tylko nowiną się zowie,
Co usta wywrzéć zdołały niewieście,
Wszystko to było powiedziano różnie,
Żwawo, dokładnie, zwięźle i pobożnie.

Usłyszał, jako autor złego dzieła,
Od bezbożników na to namówiony;
Jako go zysków nadzieja ujęła;
I nawet o tém został upewniony,
Jakie bezbożność ukaranie wzięła,
Jak w świętéj ziemi nie był pogrzebiony;
Jak panna Anna na rozstajnéj drodze,
Widziała w ogniu jęczącego srodze.

Szczęściem kur zapiał. Niechże sobie pieje!
Krzyknął Gerwazy; a ja nie mam czasu.
Więc wszedł za furtę, wzmagając nadzieje;
Wszedł, a wśród zgiełku, wrzawy i hałasu,
Gdy słyszy, jako Honorat boleje,
Ażeby złemu zabieżyć zawczasu,
Aby obwieścić, zkąd złego przyczyna,
Wprzód odkaszlnąwszy, tak mówić zaczyna:

„O bracia! choć wy bieli, my kafowi,
„Nic to jedności serdecznéj nie szkodzi;
„Każdy z nas wdzięczność winien zakonowi,
„Bo z tego źródła szczęśliwość pochodzi.
„Łączmy się przeciw nieprzyjacielowi!
„Z małych złączonych rzecz wielka się rodzi.“
— „Prawda, Honorat rzekł, i ja wiem o tém!
„To napisano na czerwonym złotym.“

Więc go zaprasza w izbę zgromadzenia,
Gdzie się żarliwi na odsiecz kupili.
Pospolitego tam centrum ruszenia,
Tam źródło rady, jak będą walczyli.
Na powszechnego odgłos zaproszenia,
Hurmem się zewsząd radni gromadzili.
Szedł tchnący zemstą, uniesion honorem,
Pan wiceregent, ksiądz proboszcz z doktorem.

PIEŚŃ V.

Treść: Rada przeciw autorowi. Zdanie pana wiceregenta, ojców Gaudentego, Rafała, Pankracego, aby go ścigać. Ksiądz proboszcz radzi umiarkowańsze środki.

Na wielkie dzieło trzeba się zdobywać,
Fraszka pod Troją i bitwy i rady!
Kogoż na pomoc w téj potrzebie wzywać?
Do muz się udać, czyli do Pallady?
Czy na Pegazich skrzydłach podlatywać?
A dawnych bajek wskrzeszając przykłady,
Kiedy się powieść heroiczna wszczyna,
Do snu zachęcać w imię Apollina?

Wielkie przykłady do naśladowania,
I drogę widzę przed sobą nie ciasną!
Chluba nie wabi pióra do pisania,
Zabawę kreślę i cudzą, i własną.
Czytelnikowi nie bronię ziewania;
Chcą spać czytając, niechajże i zasną!
Ja, rzecz stosując do miary i wzrostu,
Co wiem, co nie wiem, opowiem po prostu:

Zeszły się czapki, birety, kaptury,
A co największa, i głowy nielada.
Pan wiceregent, burzliwéj natury,
Plantę zemszczenia najpierwszy układa.
Więc się nadąwszy, rzekł: „Złe konjunktury,
„Mości panowie! zaczém moja rada
„Jąć się sposobów dobrych. To, co myślę,
„Opowiem krótko, i jawnie określę.

„Najprzód ten zdrajca, co z nas się naśmiewał,
„Niech pozna, żeśmy dobrzy w odpowiedzi.
„Tém grzeszył, że się zemsty nie spodziewał;
„Swoją podłością zasłoniony siedzi,
„Nie wart, żeby się człek zacny nań gniewał;
„Z tém wszystkiém niech go karanie uprzedzi,
„Jeśli *plebejus*, zbić go bez litości.
„Jeżeli szlachcic, pozwać jegomości.

„Różne być mogą sprawy, aktoraty,
„A ja na wszystkich nie źle dopilnuję.
„Niechno się tylko odezwę z za kraty,
„Niech wezmę na cel! tak go odmaluję,
„Takie wynajdę nań prejudykaty,
„Zgoła, co umiem, co mogę, poczuje.
„Wprzód za to, że się śmiał z bluźnierstwy ozwać,
„Z *Arianismi* rejestru go pozwać.

„Mógłby i *crimen status* być na stole,
„Za to, że z królem chciał wadzić Węgrzyny,
„Lecz ja to wyższéj władzy oddać wolę.
„Mnogie są daléj oskarżeń przyczyny:
„Ojcy lektory niech myślą o szkole,
„Duchowni niechaj bronią dziesięciny,
„A nasz ksiądz prałat, przez swój wielki rozum,
„Weźmie w opiekę *vitrum gloriosum.*

„Co się mnie tyczy, wiem ja, co się stanie;
„Pozna jegomość...“ Wtém machnął obuchem.
Krzyknął Gaudenty: „Dobrze tak, mospanie!
„To mi to sposób, co śwista nad uchem:
„Na nic się nie zda pozew i gadanie,
„Po co to straszyć widzeniem i słuchem!
„Kto chciał być naszéj przyczyną niedoli,
„Kto nas zaczepił, niech czuje, co boli.“

Jak, za powstaniem miłego wietrzyka,
W rozległéj puszczy liść wdzięcznie szeleści;
Coraz się echo szerzy i pomyka,
Coraz słuch szeptem rozkosznym się pieści:
Tak w gromadnego liczbie zakonnika,
Krzyk Gaudentego hasłem dobrych wieści.
Nieukojone mający urazy,
Wzmogli się Rafał, Marek i Gerwazy.

Trzy to filary swego zgromadzenia,
Trzy to pociechy braci rozrzewnionych.
Pierwszy z nich zwykłe, dawszy pozdrowienia,
W słowach dobranych, zwięzłych i uczonych,
Od gór Libańskich wziął assumpt mówienia;
Spuścił się potém, a wszystkich zdziwionych,
I duchownego i świeckiego stanu,
Ciągle prowadził do rzeki Jordanu.

Dopiéroż ztamtąd, jak się wzbił do góry,
Jak zaczął latać, z oczu wszystkich zniknął;
Głos tylko słychać, wzrok widać ponury,
Giest groźny, jakim zadziwiać przywyknął.
Wtém, kiedy wspomniał Helikońskie córy,
Wskróś poruszony wiceregent, krzyknął:
„To mi to mówca, co się aż człek zlęknie,
„Kiedy to raz wraz i górno i pięknie!“

Szła dalsza koléj; a ojcy wielebne,
Raźnéj młodzieży otoczone gronem,
Zdobywały się na rady potrzebne.
Każdy za swoim obstawał zakonem;
Pełzły, niknęły zamachy haniebne;
Wtém, seraficznym akcentem i tonem,
Okryty laurem kaznodziejskiéj pracy,
Podniósł grzmotliwy głos ojciec Pankracy:

„A pókiż, krzyknął, barbarzyniec w błędzie,
„Zoil przebrzydły, co się na nas miota,
„A pókiż szarpać naszę sławę będzie?
„I bluźnić zdrajca subtelnego Szkota?
„A pókiż w równym szeregu i rzędzie
„Z nim stawać będą ci, których robota
„Do tego zmierza ustawnie, koniecznie,
„Aby nas zgnębić i osławić wiecznie?

„A pókiż?...“ Nadto rozpoczął był żwawie,
Przeto go kompan, strwożony mniéj bacznie,
Chcąc ciągnąć za płaszcz, głasnął po rękawie,
I chociaż mniemał, że było nieznacznie,
Tak zmięszał mówcę, iż oniemiał prawie.
Chce mówić, ale słowa szły opacznie,
Więc, co tak żwawo już miał się ku wojnie,
Skrył głowę w kaptur, i usiadł spokojnie.

Zamilkli wszyscy; wtém z miejsca się ruszył
Doktór, i zaczął namieniać o zgodzie.
Próżno namieniał; przytomnych obruszył,
Nawet tych, którzy byli na odwodzie.
Wrzask zjadłéj tłuszczy mówiącego zgłuszył.
Więc upewniony o pewnéj przeszkodzie,
Umilkł; natychmiast żwawe wojowniki
Coraz groźniejsze wznawiały okrzyki.

Jak wichry, nagle kiedy wypadają,
Spienione wody i mącą i burzą;
Próżno się trwożne majtki wysilają,
Razem z okrętem w dnie morskiém się nurzą;
Powstaje Neptun, wiatry ucichają,
Spokojne wody, nieba się nie chmurzą:
Tak proboszcz, skoro w stół pięścią uderzył,
Ucichła wrzawa, i krzyk się uśmierzył.

„A moje zdanie, rzekł, mości panowie,
„Duchowni, świeccy, wielebni, wielmożni,
„Poco się gniewać? w téj księgi osnowie
„Cóż jest, żebyście mieli być tak trwożni?
„Czyż, co w poeciéj marzyło się głowie,
„Ma tych obrażać, co mądrzy, pobożni?
„Na co się zemsty złych sposobów chwytać?
„Jeśli złe pismo, to go i nie czytać.

„Jeżeli kształtnie, dobrze napisane,
„Czytajmy, żartu nie biorąc do siebie;
„Było podobne niegdyś udziałane
„I na prałaty; w takowéj potrzebie,
„Ci się rozśmieli, ci dali naganę;
„A czas, zazwyczaj, co urazy grzebie,
„To zdziałał, co się pospolicie dzieje.
„Nikt się nie gniewa, a każdy się śmieje.

„I ja tak radzę; a żem w tych dniach prawie
„Przypadkiem pismo o téj wojnie czytał,
„Że posłużyło ku mojéj zabawie,
„Śmiałem się i ja, o resztę nie pytał.
„Poetom śni się czasem i na jawie;
„Któżby więc bajki za prawdę poczytał?
„Puhar opisał; i cóż w tém jest złego?
„Niech przyjdzie do nas, wypijem do niego."

Tak mówił prałat, a wyraz łagodny,
Miłe uczucie w słuchających sprawił;
Wzrok niegdyś dziki stawał się pogodny,
A co się nader zapalczywym stawił
Pan wiceregent, mniéj do bojów zgodny,
Honorat srogi, już się ułaskawił;
Gaudenty nawet już nie tak ochoczy.
Wtém nowy widok ściągnął wszystkich oczy.

PIEŚŃ VI.

Treść: Z rozkazu proboszcza przyniesiono dzban czworogarncowy, nasadzony talarami. Gdy go ojcowie wypróżnili, prawda pokazała się na dnie, i dawszy zgromadzeniu stosowne przestrogi, znikła.

Jakiż to widok? któryby odmiany
I nową rzeczy osnowę przywodził?
Cóżto za widok tak niespodziewany,
Iż naradzeniu wielkiemu przeszkodził?
Jakiż nakoniec, zły, czy pożądany
Po tylu wielkich przygodach nadchodził?
I jak przemyślnym wzniecon wynalazkiem?
Opowiem: drzwi się otworzyły z trzaskiem.

Właśnie na ów czas wieszczym zdjęty duchem
Ojciec Regalat, pałał żarliwością;
Srogim niebożność krępował łańcuchem,
A zwykłą gnębiąc złość zapalczywością,
Niespodziewanym przelękły rozruchem,
Porwał się z miejsca. Za nim z skwapliwością
Wszyscy słuchacze śpieszno ku drzwiom biegli;
Wszyscy stanęli, jak tylko postrzegli.

Mamże powiedzieć, co postrzegli oni?
Powiem: postrzegli dzban czworogarncowy.
Krzyknął Gaudenty: Do broni! do broni!
Gerwazy raźny, Pankracy gotowy.
Doktór się wstydem niezwyczajnym płoni;
Pan wiceregent wzrok mieni surowy;
Prałat, ażeby dobrze dzieło sprawić,
Na pierwszém miejscu kazał go postawić.

Stanął; jednakże nie był on takowy,
Jakim go powieść bajeczna udała.
Złocisty prawda i marcepanowy,
Ale go rzeźba wzwierzch nie otaczała;
W tém zaszczyt wielki, iż czworogarncowy,
Jakoż i postać tak okazowała.
Poważny z kształtu, wspaniały i stary,
Śklnił się nakoło twardemi talary.

Na nich pamiątki królów naszych dawnych,
Ku pocieszeniu zgromadzonych braci,
Królów uprzejmych, szczęśliwych i sprawnych,
Wyryte były twarze i postaci.
Owych Zygmuntów, Władysławów sławnych,
Których się nigdy pamięć nie zatraci;
Niósł dzban pamiątki szacownych wyrazów,
Niósł piętna Piastów, Jagiełłów i Wazów.

Takiemi nasi ojcowie pijali;
Smutek stroskanych myśli nie zajmował,
Takiemi uczty swoje odprawiali,
Uczty, na których zbytek nie panował.
Szedł dzban na koléj, w nim radość czerpali,
A przemysł chytry ochoty nie psował.
Rozweseleni uprzejmym obchodem,
Napawali się i piwem i miodem.

O dobre czasy, gdy trwała prostota!
Wprawdzieć nie było tak kształtnie i grzecznie,
Nie śklniła w kunsztach wytworna robota,
Ani się przemysł silił ostatecznie;
Uprzejmość wszystko kształciła i cnota:
Żyli wesoło, żyli i bezpiecznie.
Słodkie wspomnienie, szacowne przykłady!
Bodaj się nasze święciły pradziady!

Lecz nazbyt długo już ten dzban na stole!
Czas się go imać! Ze czcią winną wzięty,
Aby naprawił uprzykrzone dole,
Ojciec Zefiryn, żarliwy i święty,
Na złość światową płacząc i swawole,
Pierwszy go ujął; zaczém nadpoczęty,
Gdy się do niego każdy z ojców bierze,
Sączył się likwor w skromności i mierze.

Już koléj wielu była przeminęła:
I wiceregent nie źle pokosztował,
I prałat, sprawca przykładnego dzieła,
Smacznego trunku sobie nie żałował.
W Gaudentym większa żwawość się zawzięła,
Honorat niby z niechcenia sprobował.
Każdy się z swoją odezwał pochwałą:
Tymczasem wina coraz ubywało.

Bo téż to nadto ci filozofowie
Rozprawowali o wstrzemięźliwości;
I w dobrém zbytek cnotą się nie zowie.
Jakto nie lubić, zkąd płyną radości?
Dobrze to znali wielebni ojcowie;
Więc, zasilając ducha w troskliwości,
Pod dobrém hasłem: niech poczciwi żyją!
Wielebne ojcy jak piją, tak piją.

W kącie ukryty doktór cicho siedział;
Widząc, że mierna, uczcie nie przyganiał.
Chciał jednak, aby nikt o tém nie wiedział,
Więc, jak mógł tylko, krył się i zasłaniał.
Postrzegł go prałat, i wręcz mu powiedział:
„Pocóż się będziesz od ochoty wzbraniał?
„Alboż w mych ręku naczynie zabójcze?
„Wino weseli: pij, wielebny ojcze!

Koléj tak dobrze już była chodziła,
Iż już ku reszcie likwor się nachylał.
Poznali wszyscy, iż zabawa miła;
Więc, gdy się każdy wdzięczył i przymilał,
Wstał doktór, zgraja placu ustąpiła,
Wziął dzban i westchnął, przecież się zasilał;
A gdy już resztę dopijał przykładnie,
Cud nad cudami! postrzegł prawdę na dnie.

Bajka to była, co o niéj pisali,
Jakby w dnie studni siedziała nieboga.
Znać, filozofy wina nie pijali;
A zaś poeci w źródle swego boga,
Gdy tylko wodę Kastalską czerpali,
W nię prawdę kładli: nie ta jéj załoga.
Lepiéj częstokroć pijak ją wyśledzi;
I ztąd przysłowie: prawda w winie siedzi.

Przeląkł się doktór na takowe dziwy,
I dzban na miejscu, zkąd wzięty, postawił.
Ruszyć się nie śmiał, chociaż boju chciwy,
Gaudenty, skoro cud doktór objawił.
Czy obraz skryty, czy widok prawdziwy?
Każdy go pyta; wszystkim jedno prawił:
„Kto się dowiedziéć o tém chce dokładnie,
„Niechaj w dzban spojrzy, znajdzie prawdę na dnie."

Rzekł; więc wspaniale Zefiryn się toczy
Prosto ku dzbanu, chcąc w głąb' rzecz dociekać:
Blask niezwyczajny zraził wszystkie oczy,
Stanęli zlękli, nie śmieją uciekać.
Jasność przytomnych przeraża i mroczy;
Z drżeniem widoku końca muszą czekać:
Wtém obłok świetny, gdy się rzedzić pocznie,
Prawda przed niemi stanęła widocznie.

„Nie często, rzekła, tak mnie ludzie widzą,
„Chociaż się zawżdy chętna ku nim śpieszę;
„Zamiast wdzięczności wszyscy ze mnie szydzą,
„I bylem tylko weszła w którą rzeszę,
„Rzadki mnie uczci, a wielu się wstydzą,
„Bo złych zasmucam, a niewinnych cieszę.
„Dziś z wami jestem; bo chociaż w rozruchu,
„Godniście mego widzenia i słuchu.

„Zkąd wasza rozpacz? zkąd chęci zemszczenia?
„Za lada pismo, które bajki plecie!
„Mnie wierzcie; wszystkie przenikam wzruszenia,
„Znam tego, co go dziś prześladujecie.
„Wie on, jak święte wasze zgromadzenia;
„Lecz chcąc osoby postawić w zalecie,
„Przychylność jego, która nie jest płocha,
„Tém się obwieszcza, iż was szczerze kocha.

„Żart broń jest często zdradna i szkodliwa,
„Ale też czasem i jéj trzeba zażyć;
„W śmiechu przestroga zdatna się ukrywa,
„A ten, który się śmiał na nie odważyć,
„Nie zasługuje, aby zemsta mściwa
„Miała go gnębić, miała go znieważyć.
„Porzućcie zjadłość, uśmierzajcie żale!
„Wszak i wy ludzie, i on nie bez ale.

„Sam się oświadczył, iż chętnie odwoła,
„Iż jeśli szkodzi, gotów pismo spalić.
„Jeden wam wszystkim nigdy nie wydoła:
„Nacóż go gnębić? lepiéj się użalić.
„Myśl może była zbytecznie wesoła;
„Sposób, osądźcie, czy ganić, czy chwalić?
„Jeżeli potwarz, sama pełznąć zwykła;
„Jeżeli prawda, poprawcie się" — znikła.

WOJNA CHOCIMSKA.

Exoriare aliquis!
Virgil.

PIEŚŃ I.

Treść: Osman przedsiębierze wykorzenić chrześciaństwo. Duch zły w postaci Mahometa zapala go do tego. Skinder wnosi na radzie, aby miecz obrócić na Polskę. Zgromadzają się liczne wojska za rozkazem Osmana.

Już się był mieczem zwycięzkim zbyt wsławił
Naród, na zemstę od Boga zesłany;
Już w krwi niewinnéj od wieków się pławił;
Jednak, w zapędzie nieuhamowany,
Niesyt, że tyle dzieł okrutnych sprawił,
Dumny potęgą i sławą zagrzany,
Groził i reszcie, a srogim bułatem
Chciał przelęknionym zawiadować światem.

Na państwa Greków wspaniałych ruinach,
Tron swój postawił bisurman zuchwały;
Rozciągnął władzę po wielu krainach,
Mnogie królestwa jemu hołdowały;
Miasta i grody zagrzebał w perzynach,
Na hasło jego narody zadrżały;
Zadrżały państwa trwożnemi odgłosy,
Kiedy się wzmagał na śmiertelne ciosy.

Miasta pańskiego padły świetne mury,
Córki Syonu jęczały od wieka;

Gmachy wybornéj upadły struktury;
A które wielbił przychodzień zdaleka,
Opustoszałe miejsca świętéj góry,
I grób, co chował Boga i człowieka,
I gdzie zbawienia dzieło rozpoczęte;
Sprosny pohaniec deptał miejsca święte.

Osman waleczny nad niemi panował,
Osman, co państwa granic rozprzestrzenił;
W ślady ubite swych ojców wstępował,
I do dzieł wielkich nigdy się nie lenił.
Żeby ich jednak lepiéj naśladował,
Pragnął, ażeby wiernych wykorzenił.
Bezbożny! mniemał, że to ludzka siła
Zniesie, co boska ręka uczyniła.

W tych był zamysłach, a duchy piekielne
Coraz goręcéj chciwe żądze pasły;
Snują mu w oczach laury nieśmiertelne,
I uszy pieszczą zwycięzkiemi hasły.
Mienią płacz nędznych w okrzyki weselne,
A w sercu niecą ogień niewygasły;
Tymto pożarem szczęśliwi i zręczni
Gnębią narody zbójcy stutysięczni.

Nie zna spokojność gmachów okazałych;
Częściéj sen smaczny w lepiankach się mieści,
Ucieka z tłoku projektów wspaniałych,
Rzuca monarchów, z rolniki się pieści.
Nie może zamknąć powiek ociężałych
Osman, chociaż się w miękkiém łożu mieści;
Już nad świtaniem blask jutrzenki gasnął,
Kiedy, strudzony, mdłym snem ledwo zasnął.

Ten, co fałsz sieje i nieprawość miota,
Duch odrzucony od Stwórcy oblicza,
Staje przy łożu, gdzie kotara złota
Sklniła, danina Indów hołdownicza.
Zmyśla postawę, a tajemna cnota
Głos mu człowieczy i członki użycza.
Wziął Mahometa podobieństwo na się,
I tak do tego, co śpi, odzywa się:

„Nie czas, o synu! na miękkiéj pościeli
„Wygody szukać i rozkosz używać.
„Już świetna zorza poranek weseli,
„Już gwiazdy zgasły, już się pokazywać
„Zaczyna słońce. Czas, by cię widzieli
„Ci, którym dzielnie zwykłeś rozkazywać.
„Wstań, i daj przykład obudzony wcześnie,
„Że nie gnuśniejesz zatopiony we śnie.

„Wstań, a bądź takim, jakim być przystoi
„Temu, kto rządzi zwycięzkim narodem,
„Co nie do pierza przywykł, lecz do zbroi,
„I słońce czuły uprzedza przed wschodem.
„Już cię na placu oczekują twoi,
„Ukaż się, i bądź do tego powodem.
„Ażeby mężność, co twój naród wzniosła,
„Wzmogła się jeszcze i bardziéj urosła.

„Masz pole do niéj otwarte przed tobą:
„Sława, cel wielkim duszom pożądany,
„Niechaj cię wzbudzi! Sam twoją osobą
„Staw się na czele wojsk, zgnęb chrześcijany!
„Niech się ich ziemia okryje żałobą,
„A krwią niewiernych miecz zafarbowany,
„Niech czyni twoim wdzięczne widowiska,
„Miecz ottomański, co się na śmierć błyska!“

Jak żubr ogromny, co w pieczar zaciszy,
Mocnym snem zdjęty, na miękkim mchu leży,
Kiedy głos trąby myśliwskiéj usłyszy,
Powstaje z rykiem, grzywa mu się jeży,
Pryska zajadły, i okropnie dyszy;
A próżen strachu, oślep w odgłos bieży:
Takim się z łoża porwał Osman skokiem,
Wskróś przerażony prorockim widokiem.

Wznoszą się zewsząd natychmiast okrzyki
Za rozgłoszonym tyrana rozkazem,
Bojów okrutnych srogie poprzedniki;
Błyszczą zbrojownie hartownem żelazem;
Idą na pałac pierwsze urzędniki,
I wodze wojska zawołani razem.
Na dzielną rzeszę dumném okiem z góry
Rzucał niekiedy monarcha ponury.

Zasiadł na czele górnego dywanu,
I żądze dumne natychmiast ogłosił.
Rzesza pochlebna uniża się panu,
Wielbi fatygi, które dla nich znosił.
Rzekł z nich napierwszy: „Twierdzo Alkoranu!
„Skoro zwycięzki miecz będziesz podnosił,
„Zgnębisz niewiernych, a we mgnieniu oka
„Pozna świat prawo wielkiego proroka.

„Tak jak się wszczęło, wspieraj go orężem!
„Rozpostrzyj święte po świecie ustawy!
„W jarzmo poddaństwa nieposłusznych wprzężem;
„Posłuszni wyrok niech mają łaskawy.
„Najdalszych krain zwycięzko dosiężem,
„Pod hasłem dzielném téj świętéj wyprawy;
„A Rzym, co niegdyś pierwszeństwa tytułem
„Dumnie się chełpił, padnie przed Stambułem.“

Między pierwszemi siedział w owém gronie,
Skinder, zwycięztwem sławny nad Cecorą.
Rrzekł: „Co na pierwszym świata siedzisz tronie,
„Słuchaj, coć mówi twój sługa z pokorą:
„Zemścij się najprzód na Polskiéj koronie,
„Niech karę swojéj hardości odbiorą.
„Już eś to zaczął, a w boju zuchwali
„Wojsko i wodza świeżo postradali.

„Wiódł ich zuchwale na okropne boje
„Wódz ich Żołkiewski, co się w wojnach zstarzał:
„Wywiedli w pole liczne wojska swoje.
„Hetman im dawne czyny gdy powtarzał,
„Bluźnili imię, Mahomecie, twoje.
„Ale ty, któryś dumnych upokarzał,
„Wspomogłeś twoich, a pamiętnym cudem
„Dałeś zwycięztwo nad zuchwałym ludem.

„Bojaźń téj klęski trwoży ich i mięsza;
„Łatwo rozproszyć przelękłe ostatki.
„Pójdzie w rozsypkę niedobitków rzesza,
„Doznają naszéj dzielności zadatki.
„Spuść miecz, nad karki co się ich zawiesza!
„Niech idą w jassyr i dzieci i matki!
„Jeśli się który w sile ubezpiecza,
„Niech pozna, jakie cięcie twego miecza!

„Lud ten w dzielności zaufany swojéj,
„Dotąd się, panie, jarzma twego wzbrania,
„Łaskami gardzi, groźby się nie boi.
„Nierządny, przecięż, wpośród zamięszania
„Za mur i tarczę innym państwom stoi,
„I od nas mężnym odporem zasłania;
„Od nich zaczynaj, pójdzie reszta snadno,
„Skoro te pierwsze zastępy upadną.“

Tak mówił Skinder, a przytomna rada,
Milcząc, dalszego czekała wyroku.
Ten, co na tronie niewiernych zasiada,
Osman, łagodzi dzikość swego wzroku,
Miła nadzieja dumném sercem włada,
I dobre wróżby śle przy pierwszym kroku.
Dał znak, że mu się podoba to zdanie,
Kazał do boju mieć przygotowanie.

I dodał nadto, że i sam na czele
Niezwyciężonych wojsk swoich się stawi;
Objęło serca poddanych wesele,
Każdy monarchę wielbi, błogosławi.
Za nic są w oczach tam nieprzyjaciele,
Gdzie sam w obozie rządca kraju bawi;
Gdzie wódz odważny sam kroku dostoi,
Tam żołnierz chętny śmierci się nie boi.

Już są po kraju rozesłane posły,
Już lud do boju garnie się ochoczy,
Już się radosne okrzyki rozniosły;
Nowym widokiem już bawią się oczy.
Czy starzec, czyli młodzian niedorosły,
Raźny ochotnik w zaciągi się tłoczy.
Każdy chce służyć ojczyznie i panu,
I życiem stwierdzić prawo Alkoranu.

U szczytu bramy cesarskiéj z wysoka,
Na najbogatszym złotogłowiu szyta,
Śklni się ozdobna chorągiew proroka,
Drogiemi hafty i perły okryta.
Nie śmie lud trwożny podnieść w górę oka,
Z strachem wyznanie wiary na niéj czyta.
Jeden Bóg tylko, wszechmocny, niezmierny,
Jeden Mahomet, prorok jego wierny.

Skoro się tylko zdaleka wskazała,
Dały się zewsząd słyszéć grzmotne huki;
Wrzaskiem ją rzesza Janczarów witała,
I Spahy, w świetne uzbrojone łuki;
Ziemia w odgłosach ogromnych zadrżała,
I siedmiotulne skłoniły buńczuki.
Powstał i Osman, zniżył hardą głowę,
A Mufty taką uczynił przemowę:

„Wierni! wybrani wśród narodów wiela,
„Na czyny święte i waleczne sprawy,
„Prawowiernego syny Izmaela!
„Idźcie za hasłem nieśmiertelnéj sławy,
„Idźcie z weselem na nieprzyjaciela!
„Wyrok wam nięba ogłaszam łaskawy;
„Znak Mahometa wzniesion na powietrze
„Blaskiem niewiernych zagnębi i zetrze.

„A ty, o wielki rządco wszystkich wiernych,
„Ciesz się zawczasu prac dzielnych zapłatą!
„Znajdziesz nagrodę twych czynów niezmiernych,
„Gdy naród wzniesiesz zwyciężonych stratą.
„Dokonaj resztę nędznych i mizernych!
„Niechaj zdziwieni wszyscy patrzą na to,
„Niechaj drżą hardzi! Ty żyj jak najdłużéj,
„A jak powinien, niechaj ci świat służy!“

Zatém prorockie księgi w ręce bierze,
I czyta baśnie swego Alkoranu;
A kiedy skończył bezbożne pacierze,
Dumnemu najprzód błogosławi panu,
Potém waleczne wzmiankuje rycerze,
I lud powszechny wszelakiego stanu;
Dopomagają jego towarzysze,
Liczne Santony, Mołny i Derwisze.

Gdy się tak pierwsze obrządki skończyły,
Powrócił cesarz w zamek Carogrodu.
Nieraz się basze na dywan schodziły,
Żeby uniknąć wszelkiego zawodu;
Zewsząd się liczne zaciągi śpieszyły,
I jak najpilniéj ciągnęły od wschodu.
Surowy rozkaz ściąga wojska liczne;
Okryły wkrótce pola okoliczne.

Z dalekich krain roty pozbierane,
Kwapią na wyszłe od tronu wyroki;
Gdzie Eufrat wody szeroko rozlane
Pędzi pomiędzy nadbrzeżne opoki,
I kędy Tygrys spławy pożądane
Nosi, w swych nurtach szybki i głęboki;
I gdzie Arakses, szumiący na głazie,
Rwie twarde brzegi w skalistym Kaukazie;

Ogromnym spadkiem kędy Nil wspaniały
Wchodzi, i Egipt wolnym biegiem porze,
Żyzną powodzią orzeźwia kraj cały,
I siedmiorakim wstępem wpada w morze:
Stawa Numidów poczet okazały,
I Maurytany najpierwsze w wyborze.
Mnogiemi tłumy nadchodzą w też tropy,
Z zapadłych krain czarne Etyopy.

Piaszczystych stepów błędliwi mieszkańcy,
Idą Araby słońcem ogorzałe;
Nadmorskich brzegów idą krnąbrni brańcy,
Fezu, Algieru junaki zuchwałe;
Idą prorockiéj ziemi wychowańcy,
Mekki z Medyną hufce okazałe.
Za niemi poczty ochotników wielu,
Od puszcz Libańskich i góry Karmelu.

Któż objąć zdoła mnogość zjadłéj dziczy?
Snują się coraz tłumy niezliczone.
Patrzy monarcha na lud hołdowniczy,
Patrzy z weselem na pułki skupione.
Już mnogie państwa mniema miéć w zdobyczy;
Pasł tym widokiem żądze rozjuszone,
A dumny mocą swego majestatu,
Wzniósł się nad człeka, i pogroził światu.

PIEŚŃ II.

Treść. Na odgłos idących wojsk bisurmańskich trwoga rozchodzi się w Polsce. Król Zygmunt składa radę. Chodkiewicz mianowany wodzem rycerstwa polskiego. Zwołany sejm. Polska czyni przygotowania do odparcia bisurmanów.

Ta, co się błędnie wzmaga i unosi
Ustawicznemi przeloty po świecie;
Ta, która wieści szeroce roznosi,
I dzieła wieńczy w szacownej zalecie,
Sława, co zwiększa to wszystko, co głosi,
I stu gębami wieści trwożne plecie;
Wzmogła się razem, a zwykłym łoskotem
Ku Polsce zmierza nieścignionym lotem.

Oracz przelękły rzuca pług na roli,
Rzuca i woły swoje ulubione;
Pasterz odbiegać miłéj trzody woli,
Niżeli widzieć kraje spustoszone.
Każdego klęska pospolita boli,
Żegna syn ojca z płaczem, a mąż żonę.
Bieży na domysł zatrwożona tłuszcza,
Unosi życie, a wszystko opuszcza.

Na odgłos straszny zamachów pogańskich
Opustoszały koronne granice;
Zbliża się coraz tłum wojsk bisurmańskich,
Błyszczą orężem groźnym okolice.
Bieży lud trwożny do przybytków Pańskich,
I płaczem rzewnym napełnia świątnice;
Płaczą niewiasty, dzieci, lud się trwoży,
Kapłani w modłach błagają gniew boży.

Wieczna pomocy! ty z ręku zajadłych
Wyrywasz słabość, i choć los dokuczy,
W twojéj on mocy. Ty dźwigasz upadłych;
Wyrok twój święty wszak tego nas uczy.
Spojrzyj na postać nędznych i wybladłych!
Komuż się lud twój strapiony poruczy?
Wszakżeś powiedział, że w najgorszéj dobie
Jeszcze nie zginął, kto zaufał Tobie.

Do Ciebie woła lud upokorzony,
Wesprzyj go, Panie, świętą ręką Twoją!
W Tobie pociechy szuka i obrony!
I choć nad karki srogie miecze stoją,
Spojrzyj, a spełznie bisurman shańbiony;
Płacze się nasze i troski ukoją.
Boże zastępów! spojrzyj tylko na nie,
A cień zuchwalców nawet nie zostanie.

Jeszcze się świeża krew mężnych kurzyła,
Którą się Dniestru brzegi sfarbowały;
Jeszcze w Cecorze nie oschła mogiła,
A zwłoki święte o pomstę wołały:
Gdy się o uszy Zygmunta obiła
Wieść smutna. Westchnął monarcha struchlały.
Zapłakał rzewno, oczy w niebo wlepił,
I ducha bożą pomocą zakrzepił.

Ów to był Zygmunt, co dziedziczne państwa
Dla prawéj wiary wspaniale porzucił,
Zbudowanego zaszczyt chrześcijaństwa.
Stratą dla Boga najmniéj się nie smucił,
Znalazł pociechę u swego poddaństwa,
Gdy się do Polski, gdzie panował, wrócił.
Kochał on swoich, i rządził powolnie
Temi, co wznieśli na tron dobrowolnie.

Gdzieindziéj hazard monarchów użycza;
Nie zna go naród wolny i wspaniały,
Jeśli z pańskiego cieszy się oblicza,
I czci majestat jego okazały.
Nie kazi téj czci podłość niewolnicza,
Wolne są usta, które go obrały,
Wolne jest serce. A wierność niepłocha
Godnego wielbi, szanuje i kocha.

Takim był Zygmunt, a jak sternik czuły,
Co się wśród burzy mocnie rudla trzyma,
Choć się i maszty i żagle zepsuły,
Strasznym łoskotem choć morze się zżyma;
Łódź zapędzoną pomiędzy skopuły
Zwraca, i żagle dzielną ręką ima.
Drżą trwożne majtki, on siły natęża,
Szturm pracą, męztwem bałwany zwycięża.

Strażniki państwa i dzielne zakłady,
Idą poważni starcy na pokoje,
Idą na pomoc kraju wierne rady;
A którzy niegdyś przywdziewali zbroje,
Świętej miłości ojczyzny przykłady,
W szacownych bliznach niosą dzieła swoje.
Rzadki włos siwy pokazuje znaki,
Jak go hartowne przytarły szyszaki.

Już w gronie siedli. Wielkie ojców dusze
Patrzą z weselem na płód nieodrodny.
Widzisz, Tarnowski, że choć w zawierusze,
Jeszcze twój naród w zacne męże płodny.
Widzisz, Zamojski, wielkie animusze,
Widzisz z pociechą, że syn ciebie godny.
Patrzą z weselem na płód znamienity
Firleje, Fredry, Herburty i Kmity.

Ojcze Jagiełłów ubłogosławiony,
I ty na tego potomka patrzałeś!
Na polskim tronie Zygmunt osadzony;
Krew własną w jego dobroci poznałeś.
Cierpiał (nie bronią od nieszczęścia trony);
Nad jego losem, gdy ubolewałeś
Dał ci Bóg poznać dalsze przeznaczenia,
Dał ci oglądać los twego plemienia.

Widziałeś, jako Władysław waleczny
Szczęśliwie państwa ojczyste sprawował;
Jako potomek Wazów ostateczny,
Kazimierz, w troskach dni smutne rachował;
Jak bunt poddaństwa złego niebezpieczny
Zgubę i jemu i ojczyźnie knował;
Walczył on z losem, lecz gdy się zbyt srożył,
Zrzekł się niewdzięcznych i koronę złożył.

Wznieci się światło, tlejące w iskierce:
Nowy się Zygmunt na tronie objawi;
Będzie Jagiełłów miał umysł i serce,
I choć się ojcem dobrotliwym stawi,
Przecież oburzy na siebie morderce;
Lecz go najwyższa Opatrzność wybawi.
Bóg go uchowa, złe chwile się skrócą,
Znowu się dzieci do ojca powrócą.

Różne są zdania, jak zabieżyć złemu,
Jak, jeśli przyjdzie, zmniejszać i uśmierzać,
Jak tyranowi dać odpór hardemu,
I do obrony pospolitéj zmierzać.
Gdy przyszło na to, wodzowi jakiemu
Losy ojczyzny oddać i powierzać,
Który obradom dzielności użycza,
Powszechny odgłos żądał Chodkiewicza.

Tento był hetman, co nieprzyjacioły
Niezwyciężoną szablą swoją liczył.
Wśród wstępnych bojów śmiały i wesoły,
Cnotę i męztwo z pradziadów dziedziczył.
Z niejednéj polor brał rycerskiéj szkoły,
I tak się w dziełach wojennych wyćwiczył,
Iż w całym świecie rycerz zawołany,
Równał dzielnością najpierwsze hetmany.

Na straszne hasło walecznego męża,
Pierzchał Moskwicin niegdyś porażony,
Nie czekał ciosów dzielnego oręża;
A gdzie wieczyste okiści i szrony,
Gdzie gruba ciemność dzień słaby zwycięża,
Krył się w śnieżystych jamach przestraszony;
I tam go ścigał mocarz boju chciwy,
I tam go raził oręż zapalczywy.

Skoro go podniósł rycerz doświadczony,
Natychmiast nowe zwycięztw żniwo zyskał.
Nieraz pohaniec zdrętwiał przelękniony,
Kiedy mu w oczach przerażonych błyskał;
I Sudermańczyk, dumą najeżony,
Zdradny posiadacz tronu, tyle zyskał,
Że ledwo uszedł do swego Sztokolmu,
Gdy go do szczętu zgnębił u Kircholmu.

Takiemu mężu wszystkie swoje losy
Pyszna tym płodem ojczyzna oddała.
Poszły natychmiast wesołe odgłosy,
Hasłem zwycięzkiém kraina zabrzmiała,
Zmarniały w oczach bisurmańskie ciosy,
A gdy te wieści sława powtarzała,
Lud, niegdyś trwożny, co stracił nadzieję,
Pełen ufności z przegróżek się śmieje.

Tak, kiedy huczne zbliżają się grzmoty
Na bujne łąki i role obfite,
Przeraża chmura groźnemi łoskoty,
Biegną rolniki z pola pracowite.
W tém wiatr grom spędza, słońce promień złoty
Spuszcza na niwy plennością okryte;
Wraca się oracz wesoły do żniwa,
Dziękuje Bogu. pracuje i śpiewa.

Już są od rady posły wyprawione,
Aby obwieścić wodzowi obranie,
Jak ma opatrzyć krajowi obronę,
I stawić siły państwa w dobrym stanie.
Już na zjazd walny listy ułożone,
Co poprzedzają wolne zgromadzanie.
Te, gdy o wojnie tak wielkiéj wieść niosły,
Obrane na sejm gromadzą się posły.

Naród monarsze choć władzę powierzył,
Wraz nim na tronie wolność odpoczywa;
Tą blask rażący łagodnie uśmierzył.
Żeby zaś zbytkiem nie była szkodliwa,
Prawem tak wspólne granice wymierzył,
Że tron go zdobi, a wolność okrywa.
Król wolnych kocha; naród, siebie godny,
Swój wybór w królu szanuje swobodny.

Z trzech stanów całość powszechna się składa,
Wszystkie trzy wzajem siłą się i ważą.
Król pierwsze miejsce na tronie osiada;
Senat swobody ma kraju pod strażą;
Rycerstwo równie losem kraju włada.
Wszystkie trzy, kiedy uradzą i każą,
Co każą razem, król, bracia, starszyzna,
To każe naród, to mówi ojczyzna.

Przed każdém dziełem oczy w niebo wznosić,
Prawego zwyczaj święty chrześcijaństwa.
Cóż mdli bez wsparcia? O nie trzeba prosić,
To twierdza kraju, to obrona państwa.
Nie zaniechali pasterze ogłosić
Święte modlitwy do swego kapłaństwa.
Ci zgromadzają ludne okolice,
Pobożném pieniem brzmią Pańskie świątnice.

Idzie z śpiewaniem lud upokorzony,
I prawą skruchą zemstę bożą błaga;
Niewiast i dzieci tłum nieprzeliczony
Świętym obrządkom wiernie dopomaga;
Lud, ich gorliwéj pieczy poruczony,
Kapłanów przykład zachęca i wzmaga.
W Bogu zaufan naród wierny, prawy,
Rozpoczął zatém wojenne wyprawy.

PIEŚŃ III.

Treść: Chodkiewicz dopiero co wszedł w śluby małżeńskie z Anną księżniczką Ostrogską, gdy mu posłowie przynoszą od króla i stanów rozkaz, stawania na czele rycerstwa. Smutek ztąd czułéj małżonki. Wódz śpieszy do Chocima.

Nie zawżdy niebo w chmurach wydaje się,
Czasem go miła chwila wypogodzi;
Nie zawżdy żeglarz w zamierzonym kresie
Walczy z burzami, i na skały godzi.
Nie zawżdy prace i troski wiek niesie:
A wpośród życia ludzkiego powodzi,
Po ciężkiéj pracy i gwałtownym biegu,
Miło odetchnąć i spocząć na brzegu.

Zamku Ostrogski! w twoje zacne progi
Wchodzi gość wielki, wchodzi w dobrą chwilę.
Ty, coś w twych cieniach ukrywał skarb drogi,
Dziś go obwieszczasz. Wdzięczne krotofile
Biorą plac bojom, ustępują trwogi;
Miłość, co rządy rozpościera mile,
Miłość, co mimo zbroje i oręża
Ima rycerzów i wodze zwycięża.

Szacowny celu słodkiego wybrania!
Ty, któraś mężne serce zwyciężyła,
Anno z Ostroga, wyborze kochania!
Anno przezacna, cnotliwa i miła!
Twój wdzięk ku tobie wszystkie serca skłania,
Lecz cnota bardziéj wszystkich zniewoliła.
Co umysł wzrusza, i co oko pieści,
W twojéj osobie wszystko się to mieści.

Nie są to podłe pęta i ogniwa,
Które twój zacny oblubieniec nosi;
Prawego serca dzieło wykonywa,
Gdy wdzięczne jarzmo nad wolność przenosi.
W duszy wspaniałéj gdy miłość przebywa,
Równie wspaniałe sentymenta głosi;
Miłość, co szczęsne przeznaczenie darzy,
Szacunek wszczyna, a cnota kojarzy.

Na starożytne gmachy i wspaniałe,
Gmachy wybornym gustem ozdobione,
Wchodzi Chodkiewicz; ściany okazałe
Sklnią, i przysionki górnie wyniesione;
Wszędzie kunszt stawia dzieła doskonałe,
A w którąkolwiek spojrzyj tylko stronę,
Czy w rzeźbach, czyli w sztucznym pędzla wzórze,
Cieszy się oko w przecudnym wyborze.

Co niegdyś powieść bajeczna głosiła,
Kunszt tam wyrażał, co może kochanie;
Jak bohaterów miłość zwyciężyła,
Jak kiedy swoje więzy kładła na nie.
Lekkie im były, a niewola miła
Łzy zasileniem, wdziękiem narzekanie;
Jak choć zdradliwa, trosk pełna i trwogi,
Rządziła światem, sięgała i bogi.

Tu Jowisz górne rzuca majestaty,
I przemienia się w rozliczne postaci;
Równéj doznaje Neptun alternaty;
Apollo wieśniak opuszcza współbraci;
Płacze Wenera Adonisa straty;
Łupem się miłym Danae bogaci.
Herkules, w bogów umieszczony rzędzie,
U nóg Omfali zniewieściały przędzie.

Ten, co na srogie czuwa tylko boje,
Mars, co orężem strasznym klęski miota,
Bierze kwiecisty wieniec, rzuca zbroje.
Zgasła w nim mężność i dzielna ochota,
W oczach Wenery miękczy dzikość swoję.
Synu jej zdradny, twoja to robota!
W tryumfie matka, brzmi Cytera z Knido,
Zwycięzca bogów śmieje się Kupido.

Już zapalone są ślubne pochodnie,
Już kapłan stanął na stopniach ołtarza;
Rodzice, krewni, znajomi, przychodnie
Błogosławieństwo dają, lud powtarza:
Żyjcie szczęśliwi długowiecznie, zgodnie!
Niech was Opatrzność sowicie obdarza!
Żyj, zacna paro! idź twych przodków śladem!
Jesteś już cnoty, bądź szczęścia przykładem!

Wszystkich są oczy na oblubienicę;
W téj sercu bojaźń z żałością osiadła,
Okrył rumiany wstyd nadobne lice,
Mieni się, staje natychmiast wybladła.
Wtém, gdy postrzegła przy sobie rodzice,
Rodzice miłe, do nóg im upadła;
Ci błogosławią. Kapłan modły kończy,
I wiecznym węzłem prawe serca łączy.

Nie masz zupełnéj w życiu szczęśliwości.
Los wdzięczne chwile zaprawia goryczą;
Miłe ogniwa wzajemnéj miłości,
I te niefortun bywają zdobyczą.
Wpośród okrzyków powszechnéj radości,
Przynoszą posły władzę namiestniczą,
Przynoszą rozkaz króla i starszyzny:
Opuścić wszystko, a bronić ojczyzny.

Niespodziewanym wyrokiem strapieni,
Wszyscy natychmiast wodza otaczają.
Wieścią okropną srodze przerażeni,
Na los tak srogi wszyscy narzekają.
Żałość i bojaźń smutne twarze mieni,
Echa żałosne głosy powtarzają;
Zamilkły wdzięcznéj odgłosy muzyki,
Ustała radość, ustały okrzyki.

Anno z Ostroga! po twéj pięknéj twarzy
Nagle wzruszone lecą łzy rzęsiste.
Miłość, co wdzięczném ogniwem kojarzy,
I wiąże serca przez śluby wieczyste,
Smutne ci chwile w tém rozstaniu darzy,
Niebezpieczeństwa stawia oczywiste.
Dopiéro wzięte tak słodkie ogniwa,
Los zbyt okrutny targa i rozrywa.

Równie boleje, lecz boleść zwycięża,
Ten, co twych żalów jedynym jest celem.
Bierze się nagle z pieszczot do oręża,
Z biesiady w bitwę, a z nieprzyjacielem
Jak pójść w zapasy, myśl dzielną natęża,
I zwierzchném postać okrasza weselem.
Czuje, co traci, lecz go cnota wzmaga;
Z niéj umysł mężny, z niéj prawa odwaga.

Nie los to zdarzył, lecz ten, który losem,
Bóg wszechmogący, kieruje i włada.
Śpieszy Chodkiewicz, gdzie wojny odgłosem
Truchleje trwożnych mieszkańców gromada;
Śpieszy, a strasznym gdy pogroził ciosem,
Słodka w umysłach nadzieja osiada.
Wszystkich na niego obrócone oczy,
A żołnierz wodza wygląda ochoczy.

Tak, kiedy zbytnim żarem rozgorzały,
Okrąg słoneczny promieniami strzela,
Przejęta ziemia srogiemi upały,
Nadzieje żeńców, kłos zemdlony schyla,
Dżdżu pragną trawy, żeby orzeźwiały,
Dżdżu pragną ziółka, które czczość wysila;
Przychodzi, pora nastaje wesoła,
Krzepią się kłosy, i trawki, i zioła.

Dzieło przedziwne kunsztu i natury,
Widać Kamieniec obronny zdaleka.
Wznoszą się twierdze nad skaliste góry,
Huczy w opokach zacieśniona rzeka,
Strzegą przystępu niedobyte mury,
I zamki w mocy stwierdzone od wieka.
Szkopuł fatalny hardego pogaństwa,
Twierdza ojczyzny, zastęp chrześcijaństwa.

Skoro się zbliżył hetman pożądany,
Natychmiast działa ogromne zagrzmiały;
Drżą okolice, stokroć powtarzany
Odgłos nadbrzeżne podawają skały;
Zwierz się po puszczach trwoży obłąkany,
W ciemne pieczary łanie uciekały;
Pasterze trwożni, opuściwszy trzody,
Biegną przelękli po górach w zawody.

Stójcie! waszego obrońcy-to hasło,
Wasz-to w te miejsca wybawiciel śpieszy!
Wzmaga ochotę już prawie wygasłą,
I trwożne myśli przelęknionéj rzeszy.
Stójcie! bezpiecznie będzie stado pasło;
Wróćcie się! przyszedł ten, co was pocieszy.
Zgnębion niewierny będzie zęby zgrzytał,
Obrońca Polski, Chodkiewicz, zawitał!

Osierocona bolesném rozstaniem,
Nie słyszysz, Anno, okrzyków radosnych,
Płacz rzewny częstém przerywasz wzdychaniem,
A zamiast wdzięcznych wyrażeń miłosnych,
Napełniasz smutne miejsca narzekaniem,
Dni pędzisz w płaczu i w myślach żałosnych.
Mieni się twoja uroda przecudna,
Błąkasz się smutna, błąkasz się odludna.

Gdzie nizki padół, lub zarośle ciemne,
Najskrytsze w puszczach sprawują zacisze;
Gdzie strumyk czyni mruczenia przyjemne,
A wiatr gałęźmi pomału kołysze;
Tam przyrzeczenia wspomina wzajemne,
Na miękkiéj korze tam ich pamięć pisze.
Wiatr się ucisza, strumyk słabiéj brzęczy,
Podawcze echo gdy smutnie zajęczy.

Jeżeli wzniesie głos, milczą ptaszęta,
I smutnych pieśni, zda się, iż słuchają:
Jeśli w milczeniu płyną jéj momenta,
Kwilą żałośnie, i bolu dodają.
Przeszła, ach! przeszła słodyczy ponęta!
Okropnym jękiem echa powtarzają.
Wtém dzika cichość i smutek ponury
Osiada puszcze, padoły i góry.

PIEŚŃ IV.

Treść: Stwórca wszechmogący lituje się nad losem Polski. Zesłany od niego duch, opiekujący się tą krainą, wzmaga męztwo w wodzu i w wojsku. Wyliczenie znakomitszych rycerzy i dowódzców polskich.

Gdzie szczęście żadnéj nie zna alternaty,
A coraz nową korzyścią bogaci;
Gdzie czas, prędkiemi odmierzony laty,
Nietrwałą istność ostatecznie traci;
Gdzie ziemia pełznie, nikczemnieją światy,
I prochem wszystkie stworzone postaci;
Ten, co skinieniem, nieba, światy mnożył,
Tron swój ogromny wieczyście położył.

Źródłu istności na niczém nie zbywa;
Sam sobie dosyć. Lecz dobroć bez miary
Na mdłe stworzenia hojnie się wylewa,
I mimo podłość i liczne przywary,
Sprawca wszechmocny z swém dziełem przebywa,
Najobfitszemi ubogaca dary,
Domieszcza chwały; widzą Stwórcę swego,
I wieczném pieniem wielbią Najwyższego.

W téj byli świętéj wybrani zabawie,
Nagłém wzruszeniem gdy nieba zagrzmiały.
Padli na twarze, obumarli prawie,
Nie śmią wznieść oczu tam, gdzie wiecznéj chwały
Tron się unosił w wspaniałéj postawie;
Duchy go skrzydły swemi zasłaniały,
Z stopni obłocznych wypadały gromy,
Strzęsły się nieba, świat zadrżał poziomy.

Pozwolił Stwórca, ażeby, co legli
Na straszny odgłos jego majestatu,
W wieczystéj prawdzie widocznie postrzegli,
Na co się mdłemu zanosiło światu.
Jak wierni jego, zatrwożeni biegli
Przed okropnego błyskaniem bułatu;
Postrzegli, jako potęgą niezmierną
Chciał Osman zniszczyć Polskę prawowierną.

Głos wszechmogący, co nieba zadziwia,
Miejsca przenosi, i bezdenność głuszy;
Głos, który niszczy, i który ożywia,
Głos, co mocarstwa pognębia i kruszy.
Głos Pański, co się bezbożnym sprzeciwia,
Głos pożądany uwielbionéj duszy
Dał się usłyszéć; bojaźnią przejęci,
Umilkli trony, mocarstwa i święci.

Na rzewność płaczu Pańskie względy padły;
Dał się przebłagać, już Polska szczęśliwa!
Już próżno grozi nieprzyjaciel zjadły;
Tam, kędy boża opieka przebywa.
Choćby najsroższe przygody zapadły,
Nie dojmie onych zjadłość zapalczywa.
Nie dojmie temu jad w złości obrzydły,
Kogo Pan trzyma pod swojemi skrzydły.

Jak szumy wodne, wznoszą się wielbienia,
Wznoszą się dzięki duchów niezliczonych.
Odgłos powszechny chwały, dzięczynienia,
I Serafinów miłością strawionych.
I tych, co w straży trzymają stworzenia,
Aniołów świętéj służbie poświęconych.
Ten, co rząd świata człowiekowi poddał,
W straż świętym swoim aniołom go oddał.

Mało go mniejszym zdziałał nad anioły,
Gdy zmyślność z duchem zamknął w człeku razem,
Jemu dań winną oddały żywioły,
Zwierzęta poszły za jego rozkazem.
Dla niego ziemia okryła się zioły,
Znał świat, że boskim zaszczycon obrazem.
Nie chciał znać człowiek dumny, a ułomny,
Gdy Stwórcy swemu został wiarołomny.

Odtąd żywioły, i świat, i zwierzęta
Przeciw hardemu przestępcy powstały;
Ziemia, w usłużnéj plenności przeklęta,
Przeklęte ręce, co ją uprawiały.
Uznał błąd człowiek. Dobroć niepojęta
Wsparła, co zepsuł uczynek zuchwały.
I choć niegodnych chcąc wspomódz otwarcie,
Dała anioły na radę i wsparcie.

Ten, co ma Polskę w nieustannéj pieczy,
Stanął przed Pańskim strasznym majestatem :
„Stwórco najwyższy! rzekł, co zrządzasz rzeczy,
„I dobrotliwie zawiadujesz światem;
„Któż się bez Twego wsparcia ubezpieczy?
„Strwożona Polska, lud, król i z senatem,
„Nie w swojéj sile ufność kładą marną,
„Pod Twoję świętą opiekę się garną.

„Ty, coś danego zwierzom na pożarcie
„Wyrwał proroka przez twego anioła,
„Ty, coś Chaldejski lud zgromił otwarcie,
„Gdy cię o pomoc Ezechijasz woła;
„Ty, coś mnie zsełał na ich ojców wsparcie,
„Abym strzegł granic polskich do okoła,
„Rozkaż i teraz!“ — Niebiosa zadrżały,
Prośby pokorne skutek otrzymały.

Jak myśl, duch zniknął, a w nagłym obrocie,
Ponad gwiaździste okręgi się wzbija;
Nikną natychmiast w nieścignionym locie
Planety, słońca, światy, które mija.
Staje nad Polską w uprzejméj ochocie,
Nad Polską swoją, któréj wiernie sprzyja.
Zakryty oczom stróż święty tam stawa,
Gdzie hetman pułki wojska rozeznawa.

Okrył go swoim niebieskim puklerzem.
Czuje wódz w sercu radość niesłychaną,
Wzmaga w nim ufność, a boskiém przymierzem
Stwierdza nadzieję skutku pożądaną.
Potém się stawił przed licznym żołnierzem,
Tchnął duchem męztwa; natychmiast wygraną
Rokują wszyscy, a pomiędzy szyki
Słychać radosne przy wodzu okrzyki.

Wsiadł na koń dzielny; ten czuje, co nosi;
Zarżał wesoło, tchem ognistym pryska,
Rwie grunt kopytem, głos raźno podnosi;
A gdy pod obóz przysunął się zblizka,
Przybycie wodza okrzyk wojska głosi.
Brzmią radosnemi hasły stanowiska;
Słyszy Chodkiewicz, jak w męże obfita,
Dzielna go rzesza przyjmuje i wita.

Tak, gdy dojrzałym plonem przyodziane,
Obszerne łany przyjemnie żółcieją,
Śklnią się od słońca kłosy poschylane;
A kiedy miłe wietrzyki zawieją,
Chylą się, wznoszą, okiem nieprzejrzane:
Buja blask wdzięczny, a miłą nadzieją
Wzmaga się oracz; w stokrotnéj zdobyczy
Już pewną korzyść pracy swojéj liczy.

Pierwszy na czele Lubomirski sławny.
Tyś pierwszy poczet wiódł twoich rodaków,
W tobie ród dzielnych Szreniawczyków dawny
Odkwitł na nowo z zaszczytem Polaków!
Waleczny, czuły, ostrożny i sprawny,
Wiódł czoło wojska wybranych junaków;
Sława dzieł twoich, co cię wiecznie zdobi,
Do dalszych zwycięztw wzmaga i sposobi.

Znać i z spojrzenia krew w rycerze płodną:
Na czele swoich Sieniawski przybywa,
Wśród bojów niesie twarz wdzięczną, pogodną,
Rękę, co wielkie dzieła wykonywa.
Niesie i sławę mężnych przodków godną,
I na chwalebne czyny się zdobywa.
A co w przezacnych domach nie nowina,
Gdzie inni kończą, on ztamtąd zaczyna.

Laty podeszły, lecz rzeźki odwagą,
Tuż Żurawiński idzie z swym orszakiem;
Szacowną wieku ozdobny powagą,
I otoczony gronem wielorakiém.
Idzie, ojczyzny zagrzany zniewagą,
Pod hasłem wiary i zbawienia znakiem;
Jemu ojczyzna zwierzyła w zakładzie
Los swój, wodzowi przydając ku radzie.

Wierny towarzysz i trudów i rady,
Wierny Sobieski z pocztem okazałym,
Rodaków swemi zachęca przykłady,
A postępując umysłem wspaniałym,
Idzie w ubite sławnych przodków ślady.
Tam zmierza, kędy laurem wiecznotrwałym
Cnota uwieńcza pożądane blizny
Tych, którzy życie kładą dla ojczyzny.

Spojrzał na pola Chocimskie zdaleka.
Natychmiast wieszczym orzeźwiony duchem.
I choć wewnętrznych wzruszeń nie docieka,
Ani wyroków wiecznych zmyślnem uchem
Mógł słyszeć, przecięż w uiszczeniu czeka,
Czego nie powziął widzeniem i słuchem;
Choć wzruszeń nagłych miał przyczynę tajną,
Uczuł pociechę w sercu nadzwyczajną.

Głos to był boży, wyrok poprzedniczy,
Co w sercu ojca z syna radość wznawiał.
Na tychże polach Jan zyska w zdobyczy
Tych, coś się na nie ty, ojcze, wyprawiał!
Ojcze szczęśliwy! z ciebie odziedziczy
Cnotę i męztwo, tu się będzie wsławiał;
Tu rycerz mężny obwieści się znacznie,
Tu wódz szczęśliwy dzieła swoje zacznie.

Zienowicz zatém wiedzie pułki swoje,
Zienowicz, męztwem, radą znamienity.
Wesół przywdziewa dla ojczyzny zbroje;
Za nim krwi zacnéj szacowne zaszczyty,
Sapieha, mężnych prowadzi na boje.
Tyszkiewicz, w zdatne przemysły obfity;
Umysłem równy, krwi złączeniem blizki,
Wiódł pułk ozdobny, dzielny Czartoryski.

Jak pogodnego dnia rumiane zorze,
Gdy słońce pierwsze promienie rozwodzi,
Piękny Zawisza, w wdzięcznéj wieku porze,
Na czele raźnéj i udatnéj młodzi,
Równéj i w męztwie, równéj i w wyborze,
Z ozdobnym pułkiem wspaniale wychodzi;
Za nim nadchodzą, porządnemi szyki,
Pod dzielnym wodzem śmiałe Lisowczyki.

Gdzie bystre wody Dniepr szumem spieniały
Pomiędzy pola nieprzejrzane toczy,
A zacieśniony nadbrzeżnemi skały,
Hucznemi spadki zagłusza i mroczy;
Stepów zdziczałych tłum pędzi zuchwały,
Tłum zdradny w wierze, lecz w boju ochoczy.
Przed niemi starzec odważny i baczny,
Najpierwszy z wodzów jechał Sahajdaczny.

Tak, gdy się wszystkie wojska popisały,
Łączą się z niemi i te, co prowadził
Waleczny hetman: obóz okazały
Nad brzegi Dniestru bystrego osadził.
Dalej, jak przebyć i rzekę i skały,
Z gronem wybranem wodzów pilnie radził;
Tymczasem gońce wysłane znać dały,
Że się już wojska przeciwne zbliżały.

PIEŚŃ V.

Treść: Wojska polskie przeprawują się za Dniestr. Lubomirski oddaje buławę Chodkiewiczowi. Zbliżają się Turcy. Chodkiewicz zagrzewa swoich. Stoczona bitwa.

Ty, coś z przepaści piekieł wyzioniona,
Na ziemny okrąg nieszczęśliwie padła;
Ty, co rwiesz dzieci z nędznych matek łona,
I osierocasz zgodne małżeństw stadła,
Głucha na jęki, płaczem niewzruszona,
Wojno okrutna, bezbożna, zajadła!
Niesyta klęski, nędzą i ruiną,
Tobą narody, tobą państwa giną!

Groziłaś Polsce, ale co od wieka
Trzyma ją w straży dobrotliwie swojej,
Bóg, stróż niewinnych nad nią się opieka;
Pod jego skrzydły niewzruszona stoi.
Zgrzytaj zębami i szarp się zdaleka,
Próżnych się twoich zamachów nie boi;
Darmo się srożysz i rzucasz postrachy:
Większa moc Pańska, niż twoje zamachy!

Gdzie szybkim pędem płytkie biegły łodzie,
I drżał przewoźnik w odmętach zdradliwych,
Wznoszą się trwałe pomosty na wodzie,
Dzieło przemysłu i prac nieleniwych;
A co nurt nagły działał ku przeszkodzie,
Wzdęty w zapędach groźnych i straszliwych,
Zwycięża praca; przez spienione wały,
Grzbiet dumnej rzeki rycerze deptały.

Nie już grożący ostatecznym zgonem,
Na widok straszny mnogiego szeregu,
Jak Cezarowi po nad Rubikonem,
Smutny stał posąg ojczyzny na brzegu;
Stała ojczyzna, chlubna wielkim plonem,
Chlubna w ochoczym dzieci swoich biegu;
Stanęła wolność, co ją szli ochronić,
Stanęła wiara, którą mieli bronić.

Na takie hasła, na takie widoki,
Orzeźwiał umysł mężny i wspaniały;
Wzbił się radosny okrzyk pod obłoki,
Ochoczym wrzaskiem okolice brzmiały;
A gdzie brzeg Dniestru wznosi się wysoki,
W porządnym szyku tam wojska zmierzały.
Oczekujący na nieprzyjaciele,
Stanęli mężni, stanął wódz na czele.

Stanął, a który od Boga zesłany
Mieszkaniec niebios, co Polską opieka,
Swemi go skrzydły okrył, pożądany
Instynkt wzmógł wodza; tłum dzielny zdaleka
Większym nad ludzkość widokiem zagrzany,
Z uszanowaniem wodza swego czeka;
Ten się przybliża, a z wspaniałéj twarzy,
Jak płomień serca roznieca i żarzy.

Wpośród okrzyków, któremi witały
Złączone wojska wodza walecznego,
Którego ręce dotychczas dzierżały
Losy ojczyste; wśród pułku mężnego
Szedł Lubomirski, postacią wspaniały;
I gdy się zbliżył do wodza samego,
Na znak, że mu się w władzę z wojskiem poddał,
Tę, co niósł w ręku, buławę mu oddał.

Bierze Chodkiewicz, na boje ochoczy,
Bierze znak władzy z zwykłém dziękczynieniem.
W tém, kiedy w ręku swych buławę zoczy,
Niezwykłém zaraz wzruszon rozrzewnieniem,
Łzami się smutne napełniły oczy,
Żal powtórzoném obwieścił westchnieniem;
W tym znaku, co miał, rządu najwyższego,
Poznał łup drogi przyjaciela swego.

Ten-to był niegdyś, co w sławie, honorze,
Hetman waleczny, piastował i nosił;
Ten był, co w szczęścia i tryumfów porze,
Zawżdy zwycięztwa rokował i głosił;
Ten był nakoniec w nieszczęsnéj Cecorze,
Co ostatecznie Żółkiewski podnosił.
Ten znak Chodkiewicz w ręku swoich zoczył,
Co się krwią swego piastownika zbroczył.

Rzekł Lubomirski po krótkiém milczeniu:
„Ten znak ojczyzna w ręce twoje składa!
„Polski i Litwy masz wojska w dzierżeniu,
„Wszystkiemi wzajem cnota z męztwem włada.
„Nie pragną płochych różnic w prowadzeniu;
„Miłość ojczyzny o pierwszość nie bada.
„Pod znakiem Orła, czyli pod Pogonią,
„Równi, bo bracia, wspólnéj matki bronią.

Jak groźny obłok, co ulewę nosi,
A pełen grzmotu i straszliwéj tuczy,
Coraz się srożéj wzmaga i podnosi,
Coraz okropniéj błyśnie i zahuczy:
Tak mnogość tłumów niewiernych się głosi;
Niezliczonemi wrzaski echo mruczy.
Drżą okolice pod niezmierną zgrają,
Gęste tumany zewsząd się wzbijają.

Osiada tuman; natychmiast orszaki
Wojsk niezliczonych oglądać się dały:
Świetne chorągwie, proporce i znaki,
Pola, niziny, góry przykrywały.
Śklnią się zdaleka zbroje i szyszaki.
Blask się obija zewsząd okazały.
Góry, pagórki, i pola, i puszcze,
Pokryły okiem nieprzejrzane tłuszcze.

Państw wielorakich narody zebrane,
Odmienne życiem, mową, obyczajem,
W jednę się mnogość zeszły zawołane,
W jednę potęgę spoiły się wzajem.
W pewnéj nadziei kładł Osman wygrane,
Już się nad polskim pastwił dumny krajem.
Stał widok wielki, tylu mocarstw wspólnych,
Widok straszliwy, — ale nie dla wolnych.

Wolności! której dobra nie docieka
Gmin jarzmu zwykły, nikczemny i podły;
Cecho dusz wielkich! ozdobo człowieka!
Strumieniu, cnoty zaszczycony źródły!
Tyś tarczą twoich Polaków od wieka,
Z ciebie się pasmem szczęścia nasze wiodły.
Większaś nad przemoc; a kto ciebie godny,
Pokruszył jarzmo, albo padł swobodny!

Nie mnóstwem dumne, ani blaskiem świętne,
Stanęły w szykach prawowierne roty;
O własne życie bynajmniéj nieskrzętne,
Hasłem ojczyzny wzmożone i cnoty.
Stanęły wojska na dzieła pamiętne,
Pełne walecznéj do boju ochoty.
Wódz widząc na śmierć lub tryumf gotowe,
Taką natychmiast miał do nich przemowę:

„Tu pole, bracia, oddać, cośmy winni
„Bogu, ojczyźnie i potomkom naszym;
„Tu plac, gdzie światu całemu uczynni
„Obrońcy wiary; w męztwie teraz waszém
„Całość narodów; niech się trwożą inni,
„Niechaj drżą podli, my się nie zastraszym!
„Pokażmy światu przez chwalebne blizny,
„Co może miłość wiary i ojczyzny.

„Gdzie cnota każe, nie trzeba słów wiela;
„Nie mówić, bracia, lecz działać przystoi.
„Idźmy z ochotą na nieprzyjaciela!
„Kto w Bogu ufa, śmierci się nie boi.
„Ojczyzno! któréj wzgląd syny ośmiela,
„Poznasz, odrodni jesteśmy? czy twoi?
„Kto Polak, za mną!“ rzekł, a w mgnieniu oka,
Padł na niewiernych, jak piorun z obłoka.

Co impet zdziałał wówczas zapalczywy,
Któreż to pióro określi wyrazem?
Świst strzał, blask mieczów nastąpił straszliwy;
Wrzaski okropne powstały zarazem.
Powyprężane brzęknęły cięciwy,
Stal szczęka płytkiém ujęta żelazem.
Zjadłość niewiernych dodaje ochoty,
Cnota i honor wzmaga polskie roty.

Wsparły się wojska zapalczywe zbliska,
Mimo różnicę mnogości niezmierną;
Niejeden oszczep zdruzgotany pryska,
A krwią się ziemia rumieni niewierną;
Niezwyciężonym wódz orężem błyska,
Wzmaga przykładem rzeszę prawowierną.
Uchodzi z pola bisurmańska dzicza,
Na wstęp rażący męztwa Chodkiewicza.

Okrzyk radosny po smutku nastąpił.
Spojrzał na swoich Pan pełen litości;
Nigdy on wiernym pomocy nie skąpił,
I chociaż przewlókł przyczynę radości,
Dał ją w dwójnasób temu, co nie wątpił,
A w jego wsparciu kładł swoje ufności.
Nie zginął, choć się los twardy nasrożył,
Kto w Bogu swoję nadzieję położył.

Wpośród tryumfów wieści się rozniosły,
Że się Władysław z posiłki przybliża;
Syna Zygmunta chęci żywe niosły
Gromić świętego nieprzyjaciół krzyża.
Naprzeciw niemu wyznaczone posły,
Hetman się z wojskiem czcią winną uniża.
Wysłani, wojska żądaniem niezmiernem,
Dzielny Sobieski z Żórawińskim wiernym.

Wysłani, aby w serca rozrzewnieniu
Uprzejme chęci braci oświadczali,
I w krwi monarchy swojego uczczeniu
Miłość poddanych wierną oznaczali.
Ku panujących zawżdy pokoleniu
Sercem się nasi ojcowie skłaniali.
A choć je prawo wraz z innemi równa,
Krew królów zawżdy Polakom szacowna.

PIEŚŃ VI.

Treść: Na odgłos ciągnącego Władysława królewicza, wysłani na przeciw niemu Sobieski i Zórawiński. Ciemną nocą zaskoczeni w puszczy, przychodzą do domku pustelnika, który cieszy ich nadzieją, i swego życia przypadki im opowiada.

Błogosławieństwo wziąwszy u ołtarza,
Posłów z obozu wódz w drogę wypuszcza:
— Idźcie szczęśliwi! — rzekł im; toż powtarza
Mężnych rycerzów zgromadzona tłuszcza.
Jadą, a droga w tę się stronę zdarza,
Gęstemi drzewy gdzie okryta puszcza;
Gdzie się więc wznosił las ciemno zarosły,
Tam się natychmiast udawają posły.

Już blask ostatni słoneczne promienie
Po gór wierzchołkach słabo wydawały;
Już dzień ustawał, a pomroczne cienie
Nieznacznym wstępem ziemię okrywały.
Las coraz gęstszy i głuche milczenie
Okropność dzikim zaroślom dawały.
Zniknęła pora światłości przyjemna,
Zagasły zorza, noc powstała ciemna.

Błądzą posępną przerażeni ciszą,
Droga się coraz mylniejsza wydaje;
Szum zdala w lesie powtórzony słyszą,
Co z wichry nagle wzrasta i ustaje.
Drzew się wierzchołki pomału kołyszą,
A liść szelestem łoskotu dodaje;
Potoki ze skał spadające mruczą,
Nocne potwory i wyją i huczą.

Wtem się światełko wśród gęstwi mignęło;
W tamtę natychmiast udali się stronę.
Już wiele godzin było upłynęło,
Jak ich nadzieje były uludzone;
Wesele zatem ich serce objęło,
Że znajdą przecież spoczynek, ochronę;
Jeden drugiego w zapędzie wyściga
Do blasku światła, co się coraz miga.

Rzedniała ciemność, a dzień w téj był porze,
Kiedy się miłém świtaniem zaczyna.
Już słabo błyszczyć poczynały zorze,
I wschodu wdzięczna zbliżała godzina;
Już gwiazdy śklniące zapadały w morze,
Gdy się przyjemna odkryła dolina.
Strumyk ją wązki krętym biegiem dzielił,
A słuch rozkosznėm mruczeniem weselił.

Słodkiém śpiewaniem ptaszęta rozliczne,
Wschodzące zorza, co żywo witały,
A na przemiany echa okoliczne,
Przewlokłym jękiem pieśni powtarzały.
Okryła rosa dęby niebotyczne,
Kwiaty się śklniącym ciężarem zginały;
Powabna świeżość wzmogła zapach miły,
Którym się z rosą kwiaty napoiły.

Wybornym znagła ujęci widokiem,
Nienasycone paśli wdzięcznie oczy,
A skorym coraz postępując krokiem,
Kiedy Sobieski na stronę wyboczy,
Wpośród gęstwiny, nad krętym potokiem,
Tam, kędy bystre wody swoje toczy,
Postrzegł lepiankę w ukrytéj zaciszy;
Zbliżył się, i głos śpiewania usłyszy.

Ciekawém okiem szczupłość domku mierzy,
Zbliża się coraz do tego mieszkania,
Ledwo swojemu wtém słuchowi wierzy,
Tak wdzięczne były, co słyszał śpiewania.
We drzwi nakoniec pomału uderzy;
Wtém słyszy dziwny sposób przywitania.
„Przystąp, Sobieski!“ gdy padł na kolana,
Głos się powtórzył: „Przystąp w imię Pana.“

Drzwi się otwarły, a starzec zgrzybiały
Podniósł go z ziemi i mile przywitał.
Powstał Sobieski, na poły zmartwiały.
O Żórawińskim zatém się go pytał;
Ten wszedł; przemówić gdy nie mógł zdumiały,
Wraz z swym kompanem za nogi go chwytał.
„Nie bój się, rzekł mu starzec znamienity;
„Powstań, chwal Boga; jam człowiek, jak i ty.“

„Czuwała na was, rzekł im, dzika rzesza,
„Wiadomi, żeście w drogę się wybrali.
„Lecz Bóg, niewiernych co zamysły miesza,
„Tak chciał, aby się przeciwnie udali.
„Na swoją zgubę nieprawy pośpiesza;
„Już w ręce naszych zbójcy się dostali.
„Was Bóg ochronił z nieprzyjaciół ręki,
„Oddajcie winne pokłony i dzięki."

Padł na kolana: przelękli i zbladli,
Korząc się Panu za Jego obronę,
Razem Sobieski z Żórawińskim padli.
A gdy modlitwy były zakończone,
Z pokorą starca świętego zagadli:
Jaką otuchę kładzie na koronę.
„Bóg wié, co czyni, pustelnik im rzecze:
„Słabe, nikczemne zabiegi człowiecze.

„Skłońmy przed strasznym tronem nasze twarze,
„Księga wyroków tam jest położona.
„Prochem są w oczach Najwyższych mocarze,
„Jak wiatr źdźbłem miota, tak dumnych pokona.
„Za grzechy ojców często syny karze;
„Lecz litość Jego wielka, nieskończona.
„Pan miłosierny wié o swojéj rzeszy;
„Skarał, zasmucił: wesprze i pocieszy.

„Przejdzie ta burza; a jak wiatr poziomy
„Śladu po sobie nawet nie zostawi.
„Nastaną inne i wichry i gromy:
„I z tych nas wyrwie, i z tych nas wybawi.
„Przyjdzie najgorsza: gdy podstęp łakomy,
„Najszacowniejszych zaszczytów pozbawi.
„Nie traćmy serca, a ufajmy w Panu,
„Potrafi wrócić do pierwszego stanu.

„Wróci —" w tém umilkł. A słodka osiada
Nadzieja w sercach na to objawianie.
Wtém Żórawiński ze czcią winną bada:
Jak dawno obrał na puszczy mieszkanie?
„Lat już sześćdziesiąt, starzec odpowiada,
„Jak mnie tu trzyma Pańskie zawołanie.

„Przebiegł czas spory, choćby trwał najdłużéj,
„Wiek jest momentem, gdy kto Bogu służy.

„Był czas, gdy młodość płocha mnie uwiodła,
„I do światowéj wabiła ponęty;
„Czerpałem gorycz z nieprawego źródła,
„Zmyślnemi tylko powaby ujęty;
„Próżna nadzieja chęci płoche zwiodła,
„Lecz Bóg, w dobroci swojéj niepojęty,
„Otworzył oczy: poznałem czczość rzeczy,
„Poznałem, w czém stan szczęśliwy człowieczy.

„Tą, którą teraz wy idziecie drogą,
„I jam szedł niegdyś dla miłéj ojczyzny.
„I jam doznawał, jak wojna jest srogą,
„Odniosłem nieraz i szwanki i blizny.
„Miło mi wspomnieć, jak gardziłem trwogą;
„A w sławie zacnéj szukając spuścizny,
„Nie dbałem na śmierć, bo nie dbać się godzi,
„Kiedy o wiarę, o ojczyznę chodzi.

„Byłem z Tarnowskim owym zawołanym
„Pod Obertynem, gdy gromił Wołoszą;
„Byłem, gdy hordom tatarskim zebranym,
„Co się rabunki i gwałtem panoszą,
„Odbierał jassyr, a w stepy zagnanym,
„Tam, kędy zdobycz swéj grabieży znoszą,
„Przebywszy Budziak, Krym i Zaporoże,
„Dał czuć, co szabla polska zdziałać może.

„Odtąd w téj dzikiéj pustyni zamknięty,
„Skończyłem błędne marności podróże,
„Ani już patrzę na świata odmęty;
„Lepszą mam służbę, kiedy Bogu służę.
„Śmierć się przybliża skoremi momenty;
„Nie bawiąc, oczy wieczyście zamrużę.
„Ostatnie jednak te słowa wyrzekę:
„Panie! weź Polskę pod twoją opiekę!

Rozrzewnił starzec tych, co go słuchali,
Sam też wylewał łzy hojnym strumieniem;

Resztę dnia w wdzięcznych mowach przepędzali.
Wzmożeni zatém miernem zasileniem,
Gdy się podróżni do spoczynku brali,
Starzec ich świętém żegnał pozdrowieniem;
A jak miał zwyczaj, nim poszedł na łoże,
Chodząc po puszczy, śpiewał chwały Boże.

PIEŚŃ VII.

Treść: Turcy z liczném wojskiem przypuszczają szturm do okopów. Zawisza, już prawie przemagających odpiera. Zabija w boju pojedynkowym Karakasa, jednego z dowódców tureckich, a sam z boku od Hussejna strzałą przeszyty. Żal w obozie polskim po jego zgonie.

Wdzięczne już zorza wschodzić poczynały,
Gdy się tłum zbrojnych pokazał zdaleka;
Wstąpił Chodkiewicz na obronne wały,
A gdy obrotów przeciwnych docieka,
Chrapliwy odgłos trąby wydawały,
Żołnierz się kupi i na hasło czeka.
Starsi je wiodą na wały i szańce,
A wtém przybyły szpiegi i posłańce.

Głoszą: że Osman z niezliczoną zgrają
Coraz się bliżéj pod obóz przymyka.
Wszyscy natychmiast wodza otaczają,
A na rzeźkiego czele ochotnika
Stawa Zawisza; ochotą pałają,
Zgromić na pierwszym wstępie przeciwnika.
Chwalił Chodkiewicz ochotę wspaniałą;
Wstrzymać ją jednak w téj porze się zdało.

Słychać dźwięk muzyk, a wrzawy hałasów
Uszy okropném wyciem przerażały;
Odgłos trąb, kotłów, surm i tołumbasów,
Zajadłéj tłuszczy pomnażał zapały.
Echa z pomiędzy padołów i lasów,
Stokrotnym jękiem głosy powtarzały.
Bluźnili, Panie, święte imię Twoje,
Dumni potęgą, kiedy szli na boje.

Bóg, co się krnąbrnej hardości sprzeciwia,
Pokornych szczęsnym co wzmaga wyrokiem;
Bóg, który wierne sługi uszczęśliwia,
Raczył łaskawem rzucić na nie okiem.
Już je niezmierność tłumów nie zadziwia,
Nieustraszonym szli na odpór krokiem;
Chodkiewicz pierwszy, a za nim w też tropy
Młodzież, starszyzna, biegli na okopy.

Gdy ku obronie wojska się zebrały,
I każdy stanął, gdzie mu poruczono,
Grzmotnym się hukiem działa odezwały,
Bomby, kartacze razem wypuszczono.
Szedł śmiało w ogień Bisurman zuchwały;
Wybrane Spahów i Janczarów grono,
Ledwo widziani przed gęstą kurzawą,
Pod same szańce cisnęli się żwawo.

Tam, gdzie Sapieha trzymał mężne roty,
Najpierwszy atak, najżwawsze spotkanie;
Sam Osman swoim dodawał ochoty.
Lecieli oślep na jego wołanie;
Niezmierne działa wydawały grzmoty,
Równe z obozu było odstrzelanie.
Zadrżała ziemia krzyki straszliwemi,
Skryło się słońce przed dymi gęstemi.

Już przystawione do szańców drabiny,
Fossy głębokie już przeprawom zdolne;
Już zewsząd widać zdziałane ruiny,
Od armat baszty słabieją okolne.
Broni Sapieha, sławny swemi czyny;
Męztwo i rozpacz wonczas zobopólne,
A punkt honoru, wstyd bitwy przegranej,
Jadem niezwykłym srożył Bisurmany.

Już Mahometa proporzec ozdobny
Blizko się wierzchu okopów unosił,
A odpór, w słabych miejscach mniej sposobny,
Wygraną wojskom niewiernym ogłosił.
Skoczył na odsiecz Zawisza nadobny,
Niewiernych znaki już tkwiące poznosił;
Za nim, odwagą i dzielnością znaczny,
Z zadnieprskim hufcem mężny Sahajdaczny.

Wsparli w pierwiastkach nadto zaufanych;
Zmienił się tryumf i radosne krzyki.
Jęk z srogich ciosów dzielnie zadawanych,
Wydała dzicza okropnemi ryki;
Na nieprzyjaciół z hańbą odegnanych
Padli z stanowisk swoich Lisowczyki.
Cofa się zgraja na pobojowiska,
A miecz zwycięzki nad karki im błyska.

Mężnym zapałem wszystek rozżarzony,
Ściga Zawisza pierzchającą zgrają;
Wyrwał wśród pułków sztandar podniesiony,
Oczy mu ogniem jaskrawym pałają;
Śmierć mieczem miota, a na wszystkie strony
Niewiernych tłumy zajęte padają.
Strach objął serca, a owi zuchwali
Sromotnym pędem z boju uciekali.

Na wrzask okropny uchodzącéj tłuszcze,
Karakas mężny wywiódł hufce swoje,
Co na odwodzie stały tam gdzie puszcze ;
A świeżym ludem wzmagający boje,
Krzyknął: „Żadnemu z zdrajców nie przepuszczę,
„Krwią się nasycę, lub śmiercią ukoję.
„Kogo nieprawa śmiałość ubezpiecza,
„Niech dozna, jakie cięcie mego miecza.“

„Dumny pohańcze! ozwał się Zawisza;
„Nie takich nasi gromili mocarze,
„Znajdziesz każdego z moich towarzysza,
„Co twoję hardość zgnębi i ukarze.“
Z obu stron zatém wrzawa się ucisza,
Oni zaś w dalszym nie bawiąc poswarze,
Zwróciwszy końmi ku dolinie blizkiéj,
Rzucili na się hartowne pociski.

Szybkiém schyleniem ustrzegł się od grotu
Piękny Zawisza, i raźny i hoży,
A nagłym skokiem rzeźkiego obrotu,
Tnie w kark pohańca i trupem położy.
Padł, a chrzęst zbroje, podobny do grzmotu,
Zdziczałe tłumy gdy razi i trwoży,
Hussejn, co na bój ku Zawiszy śpieszył,
Z boku go strzałą jadowitą przeszył.

Jako kwiat polny, co mu rosa sprzyja,
Gdy żywą farbą wdzięcznie pasie oczy,
Podcięty kosą zwiędłe kolki zwija:
Tak grot śmiertelny słabi go i mroczy.
Na pierś śnieżystą mdła skłania się szyja;
Padł śmierci łupem młodzieniec ochoczy,
Rumiane lice gasną i drętwieją,
Usta, przyjemne uśmiechem, sinieją.

Kto żal, kto rozpacz przytomnych opisze,
Na tak okropne zbiegłych widowisko?
Przypadli tłumem wierni towarzysze,
A zwłoki w puszczę gdy zanieśli blizką,
Tam je w posępną złożyli zaciszę.
Sami zaś biegli na pobojowisko
Mścić się na reszcie pierzchającéj rzeszy,
Co trwożna do swych stanowisk się śpieszy.

Zapłakał Weyher, kiedy się dowiedział
O nieszczęśliwéj młodzieńca utracie;
Ani się dłużéj w okopach osiedział,
Ale o mściwéj myślący zapłacie,
Wypadł w tłum dziki, który coraz rzedział.
Więc w pożądanéj nasi alternacie
Gromią niewiernych, a na wszystkie strony
Obfitych zwycięztw odbierają plony.

Wysłał Chodkiewicz, aby hamowali
Starsi żołnierza impet zbyt rozjadły.
Więc się zwycięzcy nazad powracali,
I mężne hufce, zkąd wyszły, osiadły.
Bogu cześć winną wszyscy oddawali,
A gdy już nocne ciemności zapadły,
Szli na spoczynek; lecz im nie był miły,
Zwłoki Zawiszy gdy w obóz przybyły.

Gmin rozmaity, żołnierze i wodze,
Wyszli naprzeciw w żałosnéj postaci;
Żal ciężki wszystkich dotykał zbyt srodze,
Ale największy był jego współbraci.
Grono młodzieńców stanęło na drodze,
Grono młodzieńców, co swój zaszczyt traci.
Płakali rzewnie na pierwiastki smutne,
Co losy nagle zdziałały okrutne.

Szacowne zwłoki krył całun bogaty.
Gdy na śmiertelne włożono je mary,
Młodzieńcy drogę uściełali kwiaty,
A pod ozdobne gdy wniesion kotary,
Płacz rzewny wszystkich głosił wielkość straty;
Płakał go równie i młody i stary.
Chodkiewicz, tłumiąc żal serca głęboki,
Tak mówił, patrząc na szacowne zwłoki:

„Dzielnością, cnotą i gorliwą wiarą,
„Wszystkiemi zgoła dary ozdobiony,
„Młodzieńcze! żadną nie skażon przywarą,
„Jużeś w przybytkach bożych umieszczony.
„Ojczyzny miłej wyborna ofiaro!
„Patrz na żal twoich, płacz nieutulony;
„Niewcześnie zgasłeś, a pamięć twa miła
„Wszystkich nas ciężkim żalem rozrzewniła.

„Stanąłeś teraz już w porcie szczęśliwym,
„Doszedłeś mety po krótkiej przeprawie.
„Proś Boga, niech nam będzie litościwym,
„Na twą ojczyznę niech spojrzy łaskawie.
„Nasza rzecz mścić się mieczem zapalczywym;
„Dogodzim żalom, dogodzim i sławie.
„Przysiężmy przez ten przykład, który chwalim,
„Że jego zemścim; kraj, wolność ocalim!“

Rzekł, a natychmiast powstały okrzyki.
Jeden głos, jedno hasło wszystkich było;
Szerzył się, wzmagał, a pomiędzy szyki
Hasło wspaniałe coraz się mnożyło.
Na stanowiska poszły wojowniki;
Już też ciemnością niebo się zakryło.
Namiot tymczasem ozdobiwszy wieńcy,
Przy zwłokach smutni zostali młodzieńcy.

PIEŚŃ VIII.

Treść: Osman, dzielny znalazłszy odpór, rozjada się ze złości. Omar czarnoksiężnik obiecuje mu swemi sztuki wygraną, i wzywa na pomoc piekło. Skinder i Hussejn, nie w zabobonach, lecz w męztwie każą pokładać zwycięztwo. Chodkiewicza przezorność.

Im więcej w mocy nadziei położył,
Dumną potęgą Osman zaufany,
Tém się zjadliwiéj zawziął i nasrożył,
W zuchwałych myślach swoich oszukany.
Nową natychmiast radę baszów złożył,
Jakby pognębić i znieść chrześcijany.
Zeszli się wszyscy, skupieni do razu,
Na straszny wyrok tyrana rozkazu.

Różne projekta były roztrząsane;
Wtém jeden z rady Osmanowi rzecze:
„Pewną mieć będziesz, Padyszo, wygranę,
„Żaden przed mieczem twoim nie uciecze!
„Niech stanie Omar, ten sprawi odmianę,
„Ten przyszłość dalszych powodzeń docieczе.
„A czarnoksięzkie gdy pocznie zaklęcia,
„Zmniejszy niewiernych dumne przedsięwzięcia.“

Stanął, natychmiast Omar zawołany,
Stanął wśród rady za pana rozkazem,
Obiecał zgubić wszystkie chrześcijany,
Zniszczyć do szczętu ogniem i żelazem.
„Poznasz, o panie! rzekł, szczęsne odmiany,
„Oddam w zwycięzkie ręce wszystkich razem.
„Żywych, czy martwych, w jakiéj chcesz postawie,
„U stopni tronu twojego postawię.“

Tam, gdzie się ciągła rozległa dolina,
A przez nią strumień czyste wody toczy,
Las się zdaleka podnosić zaczyna;
Wybujałemi drzewy dziwi oczy.
Nazwisko jego dawne Bukowina,
Cieńmi zarośli wieczystemi mroczy;
Dęby stuletnie i buki i jodły,
Ledwo dojrzane wierzchołki wywiodły.

Sławna ta puszcza klęską niegdyś naszą,
Gdy za Olbrachta w niéj rycerze legli;
Odtąd poczwary tam okropne straszą,
Co je strwożeni mieszkańcy postrzegli.
Pasterze, trzody wiodący na paszą,
Nieraz ich, strachem przejęci, odbiegli;
Nieraz grom huczny i wrzask, jakby tłuszczy,
Okropne echo nosiło po puszczy.

Słychać tam wycia, ryki przeraźliwe,
Okropnym wrzaskiem co trwożą słyszących:
Nieraz, jak wojska, krzyki zapalczywe,
Chrzęst zbroi, szczęk mieczów wydawały śklniących.
Znagła pożary wznoszą się straszliwe;
A wśród płomieni dębów pałających,
Zbyt okropnemi najeżone wzory,
Snują się sprosne larwy i potwory.

Wieczysto-trwałym mchem zewsząd okryte
Gęste konary zasępiają drzewa:
Żadne tam nie jest w owoc, w kwiat obfite,
Liść je ponuro zwiędły przyodziewa.
Krzewią się w cieniach zielska jadowite,
W okrąg jezioro bagniste oblewa.
A wśród zgęstwiałych wód oparzeliska,
Głucho bełkocząc, zdrój mętny wytryska.

Zefir przyjemny tym miejscom nie sprzyja,
Ani go słońca promienie weselą;
Mgła zaraźliwa zwierzęta zabija,
Ptaki tam swoich gniazdeczek nie ścielą.
Z trwogą podróżny Bukowinę mija;
A jeśli którzy tam wnijść się ośmielą,
Gdy w głębię ciemną puścić się pokuszą,
Wpół obumarli uciekać z niéj muszą.

Wszedł w nią bez trwogi niezbożnik zuchwały,
Wszedł Omar w godne swych zbrodni siedlisko.
Srogim go rykiem poczwary witały,
Miłe zajadłym oczom widowisko.
Zewsząd się larwy okropne skupiały:
Lecz gdy zakazał przystępować blizko,
Pierzchnęły nagle, i zniknęły razem,
Z powtórzonym Omara rozkazem.

Przyszedł na miejsca, gdzie spadek pochyły
W najokropniejsze zarośle prowadził.
Gdzie zjadłe węże i żmije się kryły,
Tam czarnoksiężkie narzędzia osadził,
I kopiąc tarniem zarosłe mogiły,
Zbutwiałe kości na stosy gromadził.
A gdy już dzieło rozpoczynać myślił,
Cyrkuł fatalny na ziemi określił.

Wszedł weń; natychmiast zaklęcia straszliwe
Okropnym głosem potrzykroć gdy czyni,
Wyzionął bluźnierstw szkarady zelżywe;
A gdy je coraz mnoży i przyczyni,
Szum głuchy powstał, jęki przeraźliwe
Dały się słyszéć z poblizkiéj jaskini.
Dopiéro z trzaskiem, jakoby po gromie,
Duchy piekielne stanęły widomie.

W niezbożnéj zatém swych guślarstw osnowie
Zniewolił czarty barbarzyniec wściekły,
I tyle wymógł w tajemnéj rozmowie,
Że mu swą pomoc ochotnie przyrzekły.
Więc zaufany w tém, co dały, słowie,
Wypuścił z zaklęć: natychmiast uciekły.
On zaś, by myśli strapione pocieszył,
Z dobrą otuchą do Osmana śpieszył.

Zastał go z swemi zamkniętego w radzie;
Baszów go pierwszych otaczało grono.
Dał znać, iż tryumf przynosi w zakładzie:
Zaraz go w namiot cesarski wpuszczono.
Więc rzecz przełożył cesarskiéj gromadzie:
I gdy kunszt dzielny powszechnie chwalono.
Powstał z swojego miejsca Skinder śmiały,
I przerwał zbytnie guślarza pochwały.

„Odpuść, cesarzu, rzekł, niezwyciężony,
„Niegodne ciebie że przerywam mowy!
„Nie temi kunszty wzmacniają się trony;
„Dziełmi się wznoszą państwa, a nie słowy.
„Gardzi podłemi męztwo zabobony!
„Masz w nas, o panie, posiłek gotowy:
„Jeżeli dzielność klęsk przeszłych nie zmaże,
„Wspaniała rozpacz wszystkiego dokaże.“

Toż mówił Hussejn, niedawno przybyły,
Hussejn, wielkiego namiestnik Bagdatu.
Tam się ogromne hufce gromadziły,
Od perskich granic, i od Eufratu;
Rzekł: „Złe sposoby takie, coby ćmiły
„Blask niezmazany twego majestatu.
„Niech trwożni czynią guślarskie ofiary;
„Sława i honor, te są mężnych czary.“

Nim odszedł Osman z górnego dywanu,
Pochwalił swoich ochotę wspaniałą:
A zaś każdemu, według jego stanu,
Zlecił, co czynić na potém przystało.
Nizkim pokłonem oddali cześć panu;
A kiedy się już ku zmierzchu zbierało,
Wprzód go obfitym obdarzywszy darem,
Sam na ustroniu zamknął się z Omarem.

Chodkiewicz, równie przezorny i czuły,
Obchodził obóz, szańce i namioty.
Skrzętnie poprawiał, gdzie się twierdze psuły,
Dociekał, jakie przeciwnych obroty;
Różne mu w myśli projekta się snuły,
A pełen zawżdy walecznéj ochoty,
Na nowy zastęp i zwycięzkie boje
Natężał pilnie wszystkie myśli swoje.

Tak żeglarz czuły, gdy do portu zmierza
Po ciężkiéj burzy, którą już wytrzymał,
Chociaż szturm srogi coraz się uśmierza,
Choć wiatr ustaje, co mu żagle wzdymał:
Przecież on zdradnéj ciszy nie dowierza,
A spracowany gdy sternik zadrzémał,
Sam żagle wznosi, a steru krawędzi
Jąwszy się, czuwa, gdzie wiatr okręt pędzi.

Jak zefir miły, gdy srogie upały
Zbyt rozżarzonym śle słońce promieniem:
Tak wieści wdzięczne wszystkich zasilały,
Władysławowém ciesząc przybliżeniem.
Coraz się bardziéj w obozie wzmagały,
I coraz żywszém żądane pragnieniem:
Nasycił wkrótce dowód oczywisty,
Gdy pożądane wódz odebrał listy.

Z tych się naówczas jeszcze dowiedzieli,
Za Władysławem iż sam Zygmunt śpieszy.
Monarchę swego iż będą widzieli,
Wszystkich nadzieja pożądana cieszy,
I czego ledwo spodziewać się śmieli,
Z nim ciągnął wybór narodowéj rzeszy.
Za wszystkich bowiem stanów zezwoleniem
Król z pospolitém nadchodził ruszeniem.

Ta jest ostatnia nadzieja ojczyzny,
Gdy los fatalny pogrozi ruiną:
Kupią się wszyscy na chwalebne blizny,
Obrony kraju wzbudzeni przyczyną.
Sam król na czele, z wyborem starszyzny,
Bronią walecznie, lub chwalebnie giną,
A gdy ochotne roty w pole wiodą,
Sława i wolność jest dla nich nagrodą.

PIEŚŃ IX.

Treść: Władysław Królewicz nadciąga z wojskiem. Wysłany od niego do Chodkiewicza Zawisza, spotyka zwłoki syna z pogrzebnym obrządkiem niesione. Rozpacz starca. Pustelnik go cieszy. Władysław staje w obozie. Bitwa przerwana ciemnością, którą Omar sprawił.

Śpieszył na kraju swojego obronę
Władysław, w zacne już wprawiony dzieła.
Śpieszył; a sławą myśli rozżarzone
Pomoc ojczyzny gorliwiéj ujęła.
Patrzył na pole męztwu otworzone,
Gdzie się zwycięzka korzyść rozpoczęła;
Przynaglał kroki, chcąc przed mężnym szykiem
Czynów chwalebnych zostać uczestnikiem.

Już tych przyjemnych okolic dochodził,
Gdzie bystrym biegiem Dniestr szumiący płynie,
A co swe nurty szeroko rozwodził,
Rwie twarde brzegi w skalistej cieśninie.
Tam, żeby swemu żądaniu dogodził,
Zséła do wojska, o téjże godzinie,
Wiernego podróż swoich towarzysza:
Z ochotą bierze poselstwo Zawisza.

O nędzny starcze! nie wiesz, coć los niesie!
Ojcze nieszczęsny, nie wiesz, co cię czeka!
Próżno z widzenia syna raduje się,
Próżno na zwłokę wyjazdu narzeka.
Wyjeżdża; w blizkim odpoczywał lesie,
Blask niezwyczajny gdy postrzegł zdaleka;
Przy ciemnéj nocy postrzega dowodnie
Gęstemi światły błyszczące pochodnie.

Wstręt go niezwykły natychmiast ogarnie;
Nie śmie, co znaczył ten widok wybadać.
Przybliżały się światła i latarnie,
Patrzy na swoich, a nie może gadać;
Sili się z konia spuścić, ale marnie;
Porwali mdłego i pomogli zsiadać.
Trzykroć ku światłu silący się rzucił,
Trzykroć, jak mocą odparty, powrócił.

Wtém się ozwały żałobne śpiewania,
Krokiem leniwym światła się zbliżały;
Coraz płacz słychać, jęki, narzekania,
Coraz je smutne echa powtarzały.
Zdrętwieli wszyscy na te powtarzania;
Wtém się ozdobne mary ukazały,
A gdy się zbliżył do ciała martwego,
Poznał nieszczęsny ojciec syna swego.

Stanął: i wszystkich zdrętwiały przelęknie,
Gdy w zwłoki syna suche wlepił oczy;
Cichym odgłosem niekiedy zajęknie,
Wokoło wzrokiem zmięszanym powłoczy.
Drżący, natychmiast wzdychając uklęknie,
Porwie się, znagła do ciała przyskoczy:
O synu! — głosem płaczliwym zawołał,
Zemdlał, i więcéj już mówić nie zdołał.

Cichość posępna zatém nastąpiła,
Na tak okropne patrząc widowiska.
Boleść niezmierna przytomnych dręczyła,
Kapłani płacząc przystąpili zblizka,
Chcąc starca odwieść: próżna praca była,
Niezwykłą mocą martwe zwłoki ściska.
Jęczy, a smutne wznosząc w niebo oczy,
Przytula syna, i łzy rzewne toczy.

Ten, który płacze strapionych osusza
I wskroś skrytości serc ludzkich przenika,
Naówczas mocą niezwykłą porusza
Do wyjścia z domku swego pustelnika.
Idzie, gdzie dzielny instynkt iść przymusza;
Wtém, kiedy smutną gromadę potyka,
Dał mu Pan poznać, że na to się śpieszył,
Ażeby starca strapionego cieszył.

Więc się przybliżył; a łzami zalany,
Pełen litości podnosił go z ziemi.
Ani go postrzegł starzec obłąkany,
A serca krajał jęki płaczliwemi.
Wtém rzekł pustelnik w Bogu zaufany:
„Wstań! Co wykraczasz żalami zbytniemi?
„Niewiernych podział dręczyć się rozpaczą!
„Gdy ojciec karze, nie tak dzieci płaczą!“

Porwał się starzec zapłakany, zbladły,
Na głos, z bożego co słyszał natchnienia.
W skrytości serca te słowa się wkradły,
Czuje niezwykłe wewnątrz zasilenia:
Zda mu się, z oczu że zasłony spadły,
A rozrzewniony, pełen zadumienia,
Gdy go niezwykła dzielność wskróś przenika,
Tak do świętego mówił pustelnika:

„O ty! czyś człowiek, czyś boskiém zrządzeniem
„Anioł na moją pociechę zesłany;
„Ty, który dzielném umysłu wzruszeniem
„Sprawiasz niezwykłe w mém sercu odmiany;
„Objaw się! Niechaj powinném uczczeniem
„Bóg, co cię zesłał, będzie uwielbiany.
„Czyś człowiek, jak ja? czy nieba osiadasz?
„Powiedz, czém jesteś, ty, co sercy władasz!“

Rzecze pustelnik: „Człek jestem mizerny,
„Człek, co się w nędzy rodzi i umiera.
„Słabe naczynia, w dobroci niezmierny,
„Na okazanie mocy, Pan obiera;
„A w swych obietnic dotrzymaniu wierny,
„Tych, którzy płaczą, łzy suszy, ociera.
„Temu cześć dawaj, co, gdy chłostę spuszcza,
„Dotknie, zasmuci, ale nie opuszcza.“

Jak deszcz, na ziemię co spragnioną pada,
Tak dzielne były słowa pustelnika.
W sercu Zawiszy spokojność osiada,
I łaski bożéj wzruszenie przenika:
Rozbrat wieczysty światu wypowiada,
I sam się w dzikiéj pustyni zamyka,
A gdzie strumyczek mruczał wśród opoki,
Tam pogrzebł syna ulubione zwłoki.

Odtąd, na boże usługi wylany,
Świętą modlitwą troski swoje słodził:
Spełzł mu świat w oczach, niegdyś zbyt kochany,
Świat, co goryczą pieszczoty nagrodził.
Został żal w sercu, lecz umiarkowany;
Codzień nad smutny grób syna przychodził,
Błagając niebo pieniem, modlitwami;
Codzień rzewnemi oblewał go łzami.

Na czele wojska, co do boju stawa,
I do zwycięzkich laurów żniwa śpieszy,
Wesół Chodkiewicz witał Władysława,
Witało grono bohaterskiéj rzeszy.
Ochocza w pułkach rozniosła się wrzawa,
Widok je miły zasila i cieszy.
Zatém Władysław objeżdżał szyk cały;
Wojska go krzykiem radosnym witały.

Srogiemi bitwy sławne Lisowczyki,
Za danèm hasłem żwawo nacierali:
Wspierał Tyszkiewicz mężne wojowniki,
Wstrzymali impet Spahowie zuchwali.
Drugim zawodem, kiedy wpadł w ich szyki,
Z nim Czartoryski, Spahy uciekali.
Hussejn z Janczarmi przypadłszy od puszcze,
Próżno zasłaniał potrwożone tłuszcze.

Gdzie z Władysławem Chodkiewicz był mężny,
Tam krwi niewiernéj potoki pluszczały;
I lubo odpór dawał im potężny
Skinder, w zwycięztwach dawnych zaufały,
Poznał, że w sile swojéj niedołężny;
Poznał, iż przyszedł koniec jego chwały.
Pełen rozpaczy i na pomstę skory,
Rzucał się oślep zwycięzca Cecory.

Tak w dzikich stepach znagła obskoczony
Lew, co go zwycięztw ośmiela ochota,
Nieukojonym jadem rozjuszony,
Leci na bitwę, w oszczepy się miota:
Nie czuje razu, którym obrażony,
Drzewce pocisków łamie i druzgota.
A jeżąc grzywę wspaniały i w klęsce,
Okropnym rykiem przeraża zwycięzce.

W odmiennej zatem szczęścia alternacie,
Wsparł losy Skinder rozpaczą wspaniałą.
Już padł Zienkowicz, mąż zacny w senacie,
Już i chorągiew wodza okazałą
Posiadł niewierny. O takiej utracie
Słysząc wódz, zwrócił tam potęgę całą,
Gdzie dumny mocarz z Janczary i Spahy
Strwożonym pułkom przymnażał postrachy.

Już się zoczyli, już zmierzone groty.
Postrzegł to Omar, a swemi czarami
Nagle sprowadza szumy i łoskoty:
Czarne obłoki snuły się pasmami,
Srogiemi trzaski przerażają grzmoty,
Strasznemi niebo śklni błyskawicami;
Wzmaga się burza, a zrażone oczy
Blask nagły ślepi, gruba ciemność mroczy.

Leciały piekieł mocarstwa i siły
Na czarnoksiężkie zaklęcia straszliwe;
Okropnym jękiem ćmy nocne zawyły,
Zewsząd się wzniosły wrzaski przeraźliwe;
Z gradem ulewy srogie nastąpiły,
Okropne grzmoty i wichry burzliwe:
Jaskrawym ogniem błyskały obłoki,
Z gór zapienione leciały potoki.

Stanęły wojska w okropnej ciemności,
Stanęły strachem przerażone srodze;
Ustał wzajemny spór zapalczywości,
Nie wiedzą, gdzie są żołnierze i wodze:
W równej zostają wszyscy troskliwości,
Jak się ratować w tak gwałtownej trwodze;
Leci na domysł obłąkana tłuszcza,
I plac potyczki z obu stron opuszcza.

Bluźni rozpaczą ostatnią rozżarły
Skinder, przeklina guślarstwa i czary:
Łaje piekielnym mocom, co go wsparły.
Chodkiewicz, słuszniéj strapiony bez miary,
Gdy z rąk zwycięztwo losy mu wydarły;
Choć umartwiony z dotkliwéj ofiary,
Widząc, że niebios taka była wola,
Korząc się Bogu, zwrócił wojska z pola.

PIEŚŃ X.

Treść: Chodkiewicz we śnie uniesiony od ducha Władysława Jagiellończyka do świątyń niebieskich, widzi z tych wysokości układ świata i marność rzeczy ziemskich.

Już przeraźliwe grzmoty ustawały,
Wiatry już były nieco uciszone,
W blasku błyskawic wojska powracały,
Żołnierze w szańcach znaleźli ochronę.
Wodzowie obóz lustrują i wały,
Czyli powodzią nie były skażone.
Smutny, zawiedzion w wspaniałéj ochocie,
Zamknął się w swoim Chodkiewicz namiocie.

Stała mu w oczach ojczyzna stroskana,
Ojczyzna, któréj wiernie dopomagał.
Więc, rozrzewniony padłszy na kolana,
Ufnością w Bogu myśl troskliwą wzmagał.
Losów rozdawcę i zastępów Pana
Pokorném czczeniem gdy wielbił i błagał,
Sen go powabny wdzięczném czuciem zmorzył,
A taki widok oczom się otworzył.

Jakby na jawie przed zdziwionym stawa
Młodzieniec wdzięczny, przedziwnéj urody.
Kto był, z wejrzenia kiedy nie uznawa,
Wziął go za rękę ów bohater młody:
„Masz w oczach twoich, rzecze, Władysława,
„Co bronił wiary i kraju swobody:
„Co sławy chęcią ułudzony marną,
„W kwiecie młodości zabity pod Warną.

„Święty był zapał, który mnie wiódł w boje,
„Lecz gwałt przysięgi myśli prawe skaził.
„Nadeszło wkrótce ukaranie moje,
„Gdy mnie i wojska niewierny poraził.
„Umieszczon jestem w wieczyste pokoje,
„Bom się dla wiary na zgubę naraził;
„Żem się dał uwieść, w życium skaran za to,
„A teraz wieczną cieszę się zapłatą.

„Pójdź i oglądaj.“ — Wtem znagła porwani,
Lotem nieścigłym w tych miejscach stanęli,
Gdzie z ziemskich trosków i nędzy wybrani,
W porcie szczęśliwym słodko odpoczęli:
Zdrojem radości świętych napawani,
Pewnie spokojni i trwało weseli.
Zyskawszy synów światłości swobodę,
Boga i wieczność mają za nagrodę.

„Wiele przybytków w domu wiecznéj chwały,
„Rzekł duch: a wyrok skutkami się iści.
„Tu treść i wybór szczęścia doskonały,
„Tu zbiór najsłodszych pociech i korzyści;
„W tych miejscach osiadł poczet okazały,
„Co, w życiu prawi i od zbrodni czyści,
„Gdy pilnie czystych obowiązków strzegli,
„Za kraj i wiarę wspaniale polegli.

„Masz moc widzenia, Bóg ci to nadaje,
„Czegoby zmyślność moja nie objęła.
„Patrz, jaki widok wspaniały powstaje,
„Jaka się światłość zewsząd rozpoczęła!
„Co jest przed tobą, patrz, jak się wydaje!
„Co jest pod tobą, patrz, jakie są dzieła!
„Co wyżéj, i nam patrzyć na to marnie;
„Co nad tém jeszcze, to sam Bóg ogarnie.

„Patrz, jakim lotem dzielnie poruszone,
„Koléj trzymając w swym biegu stateczną,
„W obrębach swoich gwiazdy umieszczone,
„Idą w krąg, w podłuż, lub drogą poprzeczną.
„Patrz, jako daléj, ledwo postrzeżone,
„W téj, co wy drogą nazywacie mleczną,
„Każda do swojéj zmierzająca mety,
„Są niezliczone słońca i planety.

„Kunszt wasz przemyślny temu nie poradził,
„Czemu dostarczyć wzrok tępy nie zdoła.
„Co Bóg nad wami w niebiosach osadził,
„Widzicie, postać jak świetna, wesoła.
„Słońc, planet, światów niezmierność gromadził,
„Lecz wam ukryte ich zwroty i koła.
„Zmyślność, co nadal rzeczy nie dościga,
„Widzi światełko mdłe, które się miga.

„Wszystkie ogółem, i każde osobne,
„Częścią są istną niezmiernego wątku.
„Każde do skutków właściwych sposobne,
„Na to zdziałane z samego początku,
„Ażeby wzajem wspaniałe, ozdobne,
„Do powszechnego zmierzały porządku,
„A jawnem piętnem rządu przedziwnego
„Głosiły wielkość stworzyciela swego.

„Wszystko z wyroków wypada istotnych,
„Nic przypadkowym nie zdarza się losem.
„Ten dźwięk, co słyszysz, kręgów bystrolotnych,
„Czy w górę idą, czy w dół, czy ukosem,
„Różnemi siły wzruszonych i zwrotnych;
„Pieśń to stworzenia, co dzielnym odgłosem
„Wielbiąc majestat dobroci i mocy,
„Dzień dniu obwieszcza, noc podaje nocy.

„W niezmiernym innych umieszczony tłoku,
„Ten okrąg mały pomiędzy gwiazdami,
„Ten punkt, co ledwo dostrzedz można oku,
„Wpół objaśniony, wpół skryty cieniami:
„Twoje siedlisko z bożego wyroku,
„Ziemia, pomiędzy swemi planetami
„Co na podwójnej zawieszona osi,
„Dziennym się zwrotem waży i unosi.

„Patrz, jak w ustawnym niby kołowrocie
„Od słońca jasność bierze i utraca!
„Księżyc ją ściga, a w powszechnym locie,
„I z nią, i w sobie coraz się obraca.
„Bladawą jasność gdy mieni w obrocie,
„Ziemi się światłem słonecznem wypłaca;
„Tego krąg, wpośród innych wzruszeń stały,
„Z siebie blask puszcza i żywne upały.

„Ztąd wasza plenność owoców i żniwa,
„Ztąd i powietrza stanowne odmiany.
„Wiosna odnawia, gdy wdzięcznie przybywa;
„Lato płód kłosów niesie pożądany;
„Owoców bujność w jesieni dojrzewa;
„Zima, czas ziemi na spoczynek dany.
„Upał się chłodem, deszcz suszą przeplata,
„Tak idą wasze miesiące i lata.

„Patrz bliżej w okrąg, co go ziemią zwiecie,
„I żebyś dojrzał, spuszczaj oczy nizko.
„Cóś powabnego widzisz w twoim świecie?
„Ztąd patrząc, podłe to jest widowisko.
„Nietrwałe, co wy dobrém mianujecie:
„I choć wam szczęście zaśklni czasem blizko,
„Droga do niego zbyt przykra, zbyt trwożna,
„Jeśli szczęśliwym na świecie być można.

„Na dwie się części rodzaj ludzki dzieli,
„Zda się, iż losu różnego doznają:
„Jedni stroskani, a drudzy weseli,
„Ci wszystko dzierżą, tamci nic nie mają.
„Upokorzeni jedni, drudzy śmieli,
„Ci rozkazują, a tamci słuchają.
„Z tém wszystkiém, chociaż pozór niejednaki,
„Nędzne są wasze króle i żebraki.

„Mędrzec i prostak, bogacz i ubogi,
„Równe są przemian zdradliwych igrzyska.
„Męczy je rozpacz, zazdrość i ból srogi,
„Tych zbytek, tamtych potrzeba uciska.
„Niepewność wznieca bojaźnie i trwogi,
„Zgoła bierz, jak chcesz, zdaleka, czy zblizka,
„Czyli-to krótkie, czy długie dni pędzą;
„Zewsząd świat smutkiem, boleścią i nędzą.

„Krótki jest zamiar życia w waszym świecie,
„Krótki, bo życie jest tylko przeprawą.
„Czy starców, czyli młodzież w wieku kwiecie,
„Równie dotyka śmiertelności prawo.
„Czemuż opuszczać wygnania nie chcecie?
„A obietnicę gdy macie łaskawą,
„Szczęściem mianujcie boleści i blizny,
„Co was z wygnania wiodą do ojczyzny.

„Tu jest; bo godna duszy nieśmiertelnéj.
„Tu zmierzaj, a gardź nikłemi pieszczoty,
„Gardź znikomością chwały skazitelnéj!
„Do téj skłoń serce, co pochodzi z cnoty!
„Na zamach mężny ręki twojéj dzielnéj
„Padnie niewierny. Lecz zysk twéj ochoty
„Niech cię nie wznosi; twą słabość poznawaj!
„Bóg zwycięztw dawca, jemu chwałę dawaj!

„Na to mnie zesłał, byś myśli stroskane
„Widokiem jego dzieł wielkich ukoił;
„Widzisz przybytki chwały pożądane;
„Czas, byś już myśli smutne uspokoił.
„Patrz! oto miejsce tobie zgotowane,
„Chwal Pana, co cię łaskawie przyswoił.
„Wkrótce tu będziesz.“ Zniknął widok chwały,
Padł na kolana Chodkiewicz struchlały.

PIEŚŃ XI.

Treść: Osman wyprowadza raz jeszcze wojska w pole i sam je zapala. Polacy dzielny odpór dają. Chodkiewicz wszędzie gromi i zwycięża. Ucieka z placu Osman. Hussejn od Sieniawskiego zabity. Polacy dziękują Bogu za zwycięztwo.

Nadziejo wdzięczna! tyś wsparciem człowieka!
Chociaż się pasmo nieszczęścia wysila,
Chociaż fatalny los na niego czeka,
I już najsroższa grozi zgubą chwila;
Skoro ukażesz pomoc choć zdaleka,
Tobą się umysł strapiony zasila:
I choć w uciskach jęczy, płacze, wzdycha,
Gdy na cię spojrzy, nędzarz się uśmiécha.

Wzmocniłaś dzielnie umysł Chodkiewicza,
Nieba go wsparły przedziwném widzeniem;
Bóg mu swych darów obficie użycza,
I przykrość wdzięczném znosi osłodzeniem.
Szedł; wtém znać dają, iż się zbliża dzicza:
Osman, zajadły wojska utraceniem,
Ostatnie siły swoje wywarł na to,
By się nasycił chrześcijaństwa stratą.

Stanęły wojska potężnego szyki,
Stanęli w odpór i nasi rycerze.
Bluźnierskie były niewiernych okrzyki;
W Bogu zaufan, przy Pańskiéj Ofierze,
Wiódł wódz na boje mężne wojowniki.
A gdy na placu każdy miejsce bierze,
Od przodków wziętą, świętém stanowieniem,
Bogarodzicę czcili dawném pieniem.

Szły bisurmany na bój jadowite.
Już wycia dzikich tłumów słychać było;
Obszerne pola już były okryte
Mnóstwem, które się w szyki gromadziło.
Okazały się hufce znamienite,
Na srogą bitwę już się zanosiło,
Nadzieja zwycięztw mężne serca pasła,
Wszyscy z chciwością oczekują hasła.

Dane. Jak chmury, co tuczę zawarły,
Poprzedniczemi najeżone blaski,
Na gór wierzchołkach, gdy się w Tatrach wsparły,
Obwieszczają się straszliwemi trzaski:
Tak się waleczne wojska razem sparły.
Wzniosły się srogie odgłosy i wrzaski;
Tu rozpacz, a tu nadzieja zwycięztwa
Zajadłym tłuszczom dodawają męztwa.

Arabskim pułkom odpór dawał mocny,
Weyher, wsławiony rycerskiemi dzieły:
Weyher, ojczyznie szacowny, pomocny.
Tam stawał mężnie, kędy się zawzięły
Największe boje od strony północnéj.
Zewsząd się zatém srogie walki wszczęły:
Sapieha, pełen dzielności i mocy,
Stawiał się wszędzie i był ku pomocy.

Natarł walecznie, gdzie hordy skupione
Mężne odpory dotychczas dawały.
Nie wzruszyły się pułki rozjuszone,
I mężnie pierwszy atak wytrzymały.
Widzący daléj wątpliwą ochronę,
Z placu się w szykach pomału cofały:
A rzęd trzymając i ściśłe szeregi,
Po nad Dniestrowe tłoczyły się brzegi.

Tam dalszych losów czekając wyroku,
Waleczny Hussejn z swemi się osadził,
A sam dorodny wśród mężnego tłoku,
Świeżo posiłki zbierał i gromadził.
Gdy postrzegł, jako w natarczywym kroku
Ku niemu pułki Sapieha prowadził,
Nie czekał przyjścia; lecz skoro go zoczył,
Ochoczym pędem ku niemu poskoczył.

Tuman się gęsty wzniósł; głośne okrzyki,
Straszliwe wrzaski powstały zarazem:
Wsparły się wzajem mężne wojowniki,
Broń pryska, szczęka żelazo żelazem.
Tłoczą się zjadłe, zapalczywe szyki.
Wodzów przykładem wsparte i rozkazem;
Pierwsi w zapędzie, w dziełach pełni męztwa,
Szukają sławy, śmierci lub zwycięztwa.

Krwią się Dniestr zbroczył, krwią pluszczały wrzosy,
Krwią się opoki brzeżne rumieniały;
Trwał spór straszliwy, a odmienne losy
Coraz się w inną stronę nakłaniały.
Raz się radosne słyszyć dają głosy,
Znowu okropne wrzaski nastawały:
Ci mężni w wierze, ci w złości zuchwali;
Los państw na jednéj zawieszon był szali.

Orszakiem pierwszych baszów otoczony,
Ażeby hańbę klęsk dawniejszych zmazał,
Rozpaczą zjadły, złością rozjuszony,
Sam się na czele wojsk Osman ukazał:
A gdzie znak wodza postrzegł wyniesiony,
Tam wszystek impet obrócić rozkazał.
Pewny zuchwale, że wiernych pokona,
Szedł dumny Osman wpośród baszów grona.

Skoro go wojsko niewierne ujrzało,
Wrzask nagły powstał, powstał wrzask ochoczy.
Hurmem się mnóstwo do boju skupiało,
Tłum niezliczony koło niego tłoczy:
Wszystkim ochoty, męztwa przybywało,
Wszystkich na pana obrócone oczy.
Szedł wstępnym bojem, dumny i surowy,
Zagrzewał swoich przykładem i słowy.

Wśród mnogich pułków, co go otaczały,
Odzywały się wrzaskliwe muzyki;
Bluźnierskie pienia mołny powtarzały,
Bluźnierskie słał lud modły i okrzyki;
Znak Mahometa wznosił się wspaniały,
Szły wkoło niego dzielne wojowniki;
Omar szedł za nim, a gusły i czary
Oddawał piekłu, szkaradne ofiary.

Postrzegł Chodkiewicz niewiernych zapędy,
Postrzegł niezmierną zgraję bisurmańską.
Zawołał: „Panie! co twych wspierasz wszędy,
„Weź w Twą obronę sprawę chrześcijańską;
„Nie dzielność nasza, ale Twoje względy
„Dadzą zwycięztwo. Zgnęb hardość pogańską!
„Nie zginął, kto się Twéj pieczy powierzył.“
Rzekł, i najpierwszy wśród tłumów uderzył.

Gdzie spojrzał, rzeźwił; gdzie stąpił, zwyciężał,
I mężność swoich nową siłą krzepił:
Cios ów doznany nad karki zaciężał,
Blask miecza jego trwożne tłumy ślepił.
Ten, co się w srogim zapale natężał,
Poznał bisurman, kogo był zaczepił.
Poznał zgnębiony, w ohydliwéj klęsce,
Mściciela Polski i swego zwycięzcę.

Tam, gdzie się Osman wspaniale wydawał,
W okazałego pompie majestatu;
Tam się wódz zbliżał, srogie ciosy dawał,
Tam śklnił się zamach srogiego bułatu.
Krwią się niewierną obficie napawał,
A ten, co w dumie swojéj groził światu,
Drżący i zbladły, zwycięzcy nie czekał:
Zuchwały Osman zelżywie uciekał.

Owe potęgi otomańskiéj znaki,
Świetne proporce, buńczuki wspaniałe;
Owe dorodne junakow orszaki,
Rycerzów dumnych pułki okazałe;
Mnogich narodów pułki wielorakie,
Co roznieść miały Mahometa chwałę,
Co zgubą naszą paśli się ochotnie;
Pierzchnęli nagle, pierzchnęli sromotnie.

Odwagę w boju śmiałą i ochotną
Jeszcze waleczny Hussejn pokazywał;
Jeszcze jéj próbę dawał wielokrotną,
Jeszcze na wielkie dzieła się zdobywał.
Wtém postrzegł swoich ucieczkę sromotną:
A gdy zwycięztwa już się nie spodziewał,
Gdy widział, iż już nadzieje upadły,
Wśród mieczów, grotów rzucił się zajadły.

Jak światło wtenczas, kiedy dogorywa,
Najwydatniejszym obwieszcza się blaskiem:
Tak Hussejn mężną rozpacz wykonywa.
Krzyk jego razi niezwyczajnym wrzaskiem.
Zda się, iż coraz męztwa mu przybywa,
Zda się, iż nowym kunsztu wynalazkiem
Świeżą moc powziął, a większy nad człeka,
Godnego siebie przeciwnika czeka.

Ma go w Sieniawskim. Skoro się postrzegli,
Z ochotą każdy krwawą bitwę zoczył;
Niezwykłym pędem wprost ku sobie biegli,
Tłum się natychmiast z obu stron rozskoczył:
W pierwszém natarciu rześkie konie legły,
W pierwszém natarciu plac się krwią ubroczył.
Powstali razem, a zwarłszy się zblizka,
Straszne wydali z siebie widowiska.

Co kunszt potrafić mógł w najwyższym sporze,
Wszystko się w owym pojedynku działo:
Równi w urodzie, w wieku i w honorze,
Równi szermierstwa sztuką doskonałą.
Moc, zwrotność, chybkość, udatność w wyborze,
Serce zagrzane ochotą wspaniałą,
Pokazały się w tak sławnéj potrzebie;
Czuli rycerze, iż są godni siebie.

Ściągnęli na się patrzających oczy,
Z obu stron bojaźń z nadzieją się nęka.
Hussejn zuchwały i w boju ochoczy;
Lecz Sieniawskiego doświadczeńsza ręka
Tnie w kark; wtém Hussejn na stronę uskoczy,
Spuszcza miecz, słabnie, chwieje się, uklęka:
Padł; a gdy w własnej krwi zemdlony tonął,
Bluźniący, ducha szkaradnie wyzionął.

Pierzchli niewierni, jak błędne ćmy nocne,
Skoro się zorza śklnią blaskiem rumianym;
Poszły w rozsypkę owe hufce mocne.
Tłuszczom, sromotnie z bitwy rozegnanym,
Mroki wieczorne zdatne i pomocne.
Cieszą się wierni dniem tym pożądanym:
A gdy już ciemność dalszych bojów broni,
Wracają w obóz zwycięzcy z pogoni.

Obrządki zatém z uroczystém pieniem
W Pańskiéj świątnicy sprawione zostały:
Kapłani, z żywém serca rozrzewnieniem,
Pana zastępów śpiewali pochwały:
A cześć powinną łącząc z dziękczynieniem,
Święte wielbienia powtarzał lud cały;
Powtarzał głośném pieniem lud niezmierny,
Jak Pan łaskawy, jak Pan miłosierny.

Tak dzień ów szczęsny, dzień ów pożądany
Zszedł na radości i obrządkach świętych.
Mierny spoczynek wódz brał spracowany,
I wojsko wzięło po trudach podjętych;
A nieprzyjaciel, stratą pomieszany,
Widząc złe skutki dzieł swych rozpoczętych,
Chociaż na pozór w przegróżkach się srożył;
Zgnębiony klęską, lękał się i trwożył.

Poznali hardzi, że nie gminy liczne,
Ani wspaniałość zwierzchnie okazała,
Nie twierdze, ani gmachy niebotyczne,
Ani przegróżka dumna i zuchwała
Niesie zwycięztwo; a klęski rozliczne
Dały im uczuć, że ich dawna chwała
Spełzła do szczętu przeciw małéj rzeszy,
Co się z ich hańby natrząsa i cieszy.

PIEŚŃ XII.

Treść: Rozpacz Osmana. Skinder, chce jeszcze boju doświadczać. Wojsko bisurmańskie nalega o pokój. Skinder, wyznaczony do traktowania, zabija się. Chodkiewicz umiera. Turcy, korzystając z śmierci wodza, uderzają na obóz polski, ale zgromieni od Lubomirskiego, o pokój proszą.

Jest Bóg, wyniosłych co zuchwałość karze,
Jest Bóg, co wspiera w sobie zaufanych!
Próżno się dumni srożyli mocarze,
Próżno w przegróżkach nieraz powtarzanych
Niecili pożar; spełzli w swym pożarze:
W radość się trwałą zmienił płacz stroskanych;
A dawca losu, gdy się z względy śpieszył,
Sługi swe wierne wsparł, wzmógł i pocieszył.

Dał dumie tamę; a jak brzeżne skały
Szum przeraźliwy wiatrów rozjuszonych
Daremnym czynią; zwracają się wały,
Zżyma się impet bałwanów spienionych,
Próżno się zżyma; wyrok wiecznotrwały
Żywioł w granicach cieśni zamierzonych:
Ten, co w bezdenność duchy wietrzne wpycha,
Rozkaże morzu, i morze ucicha.

Nie moc i liczność dzielne roty wsparła;
Duch mężny postać okrutną przemienił!
Zgnębiona hardość, co się rozpostarła,
Spodlał ten, co się zbyt wyniośle cenił.
Im się zjadliwiéj bezbożność rozżarła,
Tém dzielniéj wódz się w odporze nie lenił.
Duch mężny, w sercach co prawych przebywa,
Znękał zuchwalce, a Polska szczęśliwa.

Nieopłoniony Osman w swoim wstydzie,
Żarł się w rozpaczy z pognębioną zgrają;
Groźna potęga została w ohydzie,
Trwożne go zewsząd tłumy otaczają.
Na dywan smutne grono baszów idzie:
A gdy na srogie losy narzekają,
Ten, co tłómaczem pierwszym Alkoranu,
Tak się odezwał ku radzie i panu:

„Bóg losy daje, ale daje godnym,
„Krnąbrne pognębia, zasmuca i karze.
„Dawał zwycięztwo, ale nieodrodnym,
„Szczęścił, co czcili trony i ołtarze.
„Zniżył nas, podał w pogardę swobodnym
„Za nasze zbrodnie, gwałty i potwarze.
„Poprawa zmiękczy wyrok srogi nieba,
„Od téj zaczynać każde dzieło trzeba.

„Zacznijmy!“ przerwał Skinder: „Rzesza podła
„Niezliczonemi przygnębiona klęski;
„Czerń, co się ledwo z kryjówek wywiodła,
„W którą ją zagnał nasz oręż zwycięzki,
„Odnosi tryumf! Daremna tu modła,
„W rozpaczy szuka zemsty umysł męzki.
„Tym, co zwycięztwy przywyknęli słynąć,
„Dwie tylko drogi: zwyciężyć, lub zginąć.“

Już do ostatniej rozpaczy się brało,
Gdy wrzask okropny radzących potrwożył.
Okropny odgłos echo przyczyniało,
A gdy się coraz straszliwiéj powtórzył,
Chcąc wiedzieć, co się w stanowiskach działo,
Szedł Osman. Nowy widok się otworzył.
Strwożonéj rzeszy umysł niespokojny
Przegrażał buntem, pragnąc końca wojny.

Jęknął bezbożny, a łzy zajadliwe,
Pełne rozpaczy, z oczu mu wypadły;
Coraz się wrzaski wzmagały straszliwe:
Poniżon, zdręczon, a zemstą rozjadły,
Darmo chciał tłumić bunty zapalczywe;
Więc pełen złości, drżący i wybladły
Skłonił kark dumny: wyznaczone posły,
Coby wstyd jego w podłéj prośbie niosły.

Skinder, gdy imię swe słyszał i zoczył,
Wpadł wpośród rzeszy, a pałając wzrokiem:
„Niech idzie,“ krzyknął, „kto pierwszy wykroczył!
„Niech się haniebnym upodla wyrokiem,
„Kto z drogi wiernych muzułmanów zboczył,
„I śmie sromotnym deptać honor krokiem!
„Kto zniesie, by go wstyd ostatni tropił,
„Niech idzie!“ — Wtém miecz wśród serca utopił.

Jak piorun w trzasku, tak śmierć walecznego
Przelękłe tłuszcze zarazem ujęła:
Jęk powstał; widok rycerza wielkiego,
Pamięć na jego heroiczne dzieła
Mnożyły boleść. Wśród zgiełku strasznego
Powszechną wolą ta rada stanęła;
Spahów, Janczarów groźny poczet wrzasnął:
Żebrać pokoju. — Kto go miał dać, gasnął.

Próżne tam zwycięztw pienia i odgłosy,
Gdzie ostateczną czas się zbliża chwilą:
Te, co bujały w dostawaniu, kłosy,
Pod sierp dojrzałe niżą się i chylą.
Już czas przychodził, aby ten, co ciosy
I złą odwrócił od ojczyzny chwilą,
Spełnił swój wyrok: a dusza swobodna
Tam odpoczęła, kędy spocząć godna.

Płaczliwe rzesze otaczają łoże,
W którém obrońca ojczyzny spoczywał.
Widzi płaczących i jeszcze się wzmoże,
Rzucił blask płomień, który dogorywał:
„Wielbmy, rzekł, wielbmy miłosierdzie boże!
„Ziścił Pan wiernym to, co obiecywał;
„Niechaj się dumni mocy jego boją,
„Zgnębił mocarstwa świętą ręką swoją.

„Nie płaczcie! — Radość niech w sercach przebywa!
„Miła ojczyzna kiedy ocalała.
„Jeszcze na wiernych jéj synach nie zbywa:
„Was, jeśli wzrusza jéj godność i chwała,
„Znajdzie obrońców, i będzie szczęśliwa.
„A gdy stos taki dzielnie wytrzymała,
„Znać, że zastępów Pan, który ją broni,
„Wyrwie i potém, choć z najgłębszej toni.

„Miejcie w pamięci, żeście prawowierni,
„I święte boże zachowujcie prawa:
„Bądźcie monarchom waszym zawżdy wierni,
„A pamiętajcie, iż je Bóg nadawa.
„Bracia jesteście, możni, czy mizerni,
„Chowajcie równość, jak każe ustawa.
„Ojczyzno!“ — Zamilkł — A gdzie cnota wiodła,
Tam duch odpoczął wśród istności źródła.

Tak cedr, co w niebo wzniósł wierzch okazały,
I cieniem swoim doliny zasłaniał:
Próżno nań groźne wiatry powstawały;
Trwał: młode drzewka, krzewiny ochraniał.
Doznał nakoniec, iż nie wiecznotrwały:
I gdy się chwiejąc ku upadku skłaniał,
Padł. — Wstrząsł się Hermon, a Libanu skały
Odgłosem spadku jego zajęczały.

Wzmógł się niewierny, a ostatnie siły
Wywarł, chcąc zmazać hańbę, którą znosił.
Po smutnych jękach groźby nastąpiły;
A który zgnębion o przymierze prosił,
Nowe go zemsty duchy orzeźwiły.
Odgłos się wojny natychmiast podnosił;
Wsparci nadzieją wodzowie i basze,
Wiedli swe tłumy na okopy nasze.

W nich zacne, dotąd umieszczone zwłoki
W najokazalszém miejscu spoczywały.
Poutwierdzane nadbrzeżne opoki;
Zmocnione straże szańców pilnowały.
Opatrzon obóz żywnością bez zwłoki;
Wódz Lubomirski, przezorny i śmiały,
Godzien następcą zostać Chodkiewicza,
Przemysłem twierdzom obrony użycza.

Stanął najpierwszy wówczas, gdy tłum dziki
Na obóz całą potęgą uderzył;
Stanęły w miejscach swoich wojowniki,
A gdzie się impet pohańców zamierzył,
Pomimo groźby i okropne krzyki,
Wszędzie go odpór waleczny uśmierzył.
Wszędzie odparci, wstyd swój jawnie baczą;
Wracają z hańbą i wściekłą rozpaczą.

Tyś, Lubomirski, w dzień ów zawołany,
Stanął ojczyznie za wybawiciela;
Odporem twoim Bisurman zmieszany
Tryumfalnego przymnożył wesela:
Z hańbą od szańców naszych odegnany;
A zgnębionego grom nieprzyjaciela
Wzniósł sławę polską: niewinnych obrońca,
Bóg wsparciem swojém zasilał do końca.

Ci, co z szacownéj nas wyzuć swobody,
I w podłe jarzmo swoje wprzągać mieli,
Upokorzeni na nowe zawody,
Żebrać pokoju sromotnie musieli.
Stanął; czas przyszedł wspaniałéj nagrody,
W wiecznéj ją chwale nasi osiągnęli.
A sława, która bystrym lotem leci,
W obronie matki uwielbiła dzieci.

WIERSZE RÓŻNE.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

O pochwałach do króla.

I Parnas już zdworczał, a Muza ostrożna,
Wié co zysk, wié co strata; straciła swą śmiałość.
Ty królu! co cię chwalić bez pochlebstwa można,
Ty, co znasz szczerość chwalców, pochlebców zuchwałość,
Twéj cnocie miła chwała, lecz taki obrzydły,
Który ją nieprawemi oczernia kadzidły.

Chwalić męża prawego, co godzien pochwały,
Jest to hołd winny dawać przymiotom i cnocie.
Nie idzie drogą pochlebstw człowiek doskonały,
Widzi świetny blask szychu, lecz zna się na złocie.
Chęć zysku błahych myśli na nim nie wymodli;
Ta chwalcę upokarza, chwalonego podli.

Nie dla próżnych okrzyków działa wielka dusza,
Sama sobie nagrodą, o fraszki nie stoi.
Umysł gminu poziomy okazałość wzrusza,
Kupuje wielbicielów, kto się prawdy boi.
Chwała, kunsztem nabyta, wieków nie oszuka:
Dobrym korzyść, złym hańba, a miernym nauka.

Wielkich stopnie dostojeństw nie są próbą cnoty,
Częściéj ta w najpodlejszém mieszkaniu się kryje:

Miejsce sławy, rozumu, posiadł kruszec złoty,
Wyszła z mody poczciwość, chytrością świat żyje.
Nie nasze, co los szczęsnym przysposobił datkiem;
Cnota treścią człowieka, a reszta przypadkiem.

Mylna roznosicielka dzieł tylko pozornych,
Za mniemaniem, nie prawdą, sława się unosi:
Wielbią pióra przedajne tyranów niesfornych,
Okrzyk gminu podłego szczęście tylko głosi:
Błędny w swoich wyrokach, żądzą uprzedzony,
Potępił Sokratesów, uwielbiał Nerony.

Gardzi czczemi pozory i gminu odgłosem
Ten, którego poczciwość jest nienaruszona.
Nie w ludzkiéj jest to mocy dysponować losem;
Walczy on zawsze z cnotą, lecz jéj nie pokona.
Prawe chęci nadwątla fatalnym przymusem:
Rzym świetny za Augusta, zgorzał pod Tytusem.

Osobność.

Spokojny kącie, w którym się ukrywam
Od uprzykrzonéj natrętników zgrai,
W twojéj zaciszy we wszystko opływam,
Pewien, że głos mój i myśl się utai.
Złemi widoki utrudzony srodze,
Pozwól, niech w tobie przykrość moję słodzę.

Dość długo byłem fortuny igrzyskiem,
Czas już rozpięte dawno spuścić żagle:
Niech się świat bawi innem widowiskiem,
Niech jednych wznosi, spuszcza drugich nagle;
Niechcę i myśléć o fortuny kole!
Byłem na górze, byłem i na dole.

Póki wiek rześki niepewne zawody
Przyszłego wieku uwdzięczał i słodził,
Biegłem za szczęściem mniéj baczny, bo młody:
Niech też odetchnę! dościem się nachodził!
Patrzcie na innych, Argusy stooczne,
Ja sobie w kącie tymczasem odpocznę.

O niestateczności losu.

Czemuż się skarżysz na fortuny ciosy,
W twych ulżeniach mniéj baczny?
Nie wiesz, jak zmienne wszystkie nasze losy,
Jaki jéj humor dziwaczny?
W momencie jednym szczęście zniszczyć zdoła,
A w swém działaniu fałszywém,
Raz zbytnie smutna, drugi raz wesoła,
Czyni nędznego szczęśliwym.
Stoją u portu bezpieczne okręty,
Żeglarz spokojny w ochronie:
W punkcie rwą z kotwic gwałtowne odmęty,
Żeglarz i okręt utonie.
Szczęśliwy, który w dzień doznawszy burzy,
Niepewien w wrzawie noclegu,
Patrząc zdaleka, jak się okręt nurzy,
Śmieje się z fali na brzegu.

Pszczoły, do Aleksandra Wasilewskiego.

Ty, któryś rzucił jarzmo uprzedzenia,
Chęć dumnych różnic i dworszczyzny troski:
Ty, coś w mierności szukał utajenia,
I znalazł szczęście wpośród twojéj wioski,
Tam, gdzie liść szemrze, gdzie mruczą strumyki,
Siądź na murawie, czytaj te wierszyki.

Rządnego państwa mieszkańcy szczęśliwi,
Wam tylko szczęścia, wam losu zazdroszczę.
O wspólne dobro jedynie troskliwi,
Zysk was nie ślepi, chciwość was nie troszcze,
Zazdrość nie gryzie, nadzieja nie łudzi:
Pszczółki! szczęśliwsze jesteście od ludzi.

Pod czułéj matki starownym dozorem,
Bez trosk, bez pracy, dni wasze pędzicie:
Równe w usłudze, gardzicie wyborem,
Skrzętne o przyszłość, siebie, nas żywicie.
Niewdzięczny człowiek wam tylko nie sprzyja,
Bierze dar chciwie, a dawce zabija.

Gdy wieczna pora nastającéj wiosny
Słodkiém wzruszeniem rzeźwi przyrodzenie:
Daje się słyszeć w rojach brzęk radosny;
A opuściwszy zimowe schronienie,

Z drzew, pól rozległych, słodycz kiedy znoszą,
Miłym się plonem żywią i panoszą.
  Gdzie lekki Zefir wpośród łąk kwiecistych,
Z ziółkami igra, i z trawką się pieści,
Albo się wkradłszy do lip rozłożystych,
Chwieje gałązką, i liściem szeleści;
Tam wasza zdobycz: ssąc kwiatek lub trawkę,
Razem z użytkiem łączycie zabawkę.
  Nader obfite mający dostatki,
Umiecie pszczółki zachować i użyć:
Okryte plonem wracacie do matki,
Aby i sobie i drugim usłużyć.
Ztąd w przykréj zimie miewacie wygody,
Ztąd nam dajecie i woski i miody.
  Gdybyście tylko po łąkach bujały,
I pasły oczy pięknych kwiatów wdziękiem,
Prędkoby wasze rozkosze ustały,
Późny żal smutnym wydałby się brzękiem.
Słodki wasz pokarm, dla nas pożądany,
Wam jeszcze słodszy, bo zapracowany.
  Domki rozkoszne, dostatnie śpiżarnie,
Widzę, iż praca korzyści nie traci;
Znajduje karę, kto czas trawi marnie:
Pszczółki! gubicie leniwych współ-braci.
U was do nagród zasługi sposobią,
Karmicie w zimie tych, co w lecie robią.
  Macie żądełka, i rażą boleśnie,
Ale je tylko ku obronie macie.
Zwierz najmocniejszy drażni was niewcześnie;
Słabe, złączeniem siły zwyciężacie.
Każda w nadziei, iż roju ochroni,
Choć wié, że zginie, przecież matki broni.
  Paście się, pszczółki, po rozkosznéj łące,
Zbierajcie słodycz z kwiatów wybujałych,
Póki wam służą dni lata gorące,
Póki wam stanie żeru z ziół dojrzałych.
Wasz brzęk rozkoszny nikogo nie nudzi,
Lepiéj być z wami, niźli wpośród ludzi.

Laur.

  Szczepu dobrego ulubiony płodzie,
Ty, co mnie teraz cieszysz i okrywasz;
A w przyrodzonéj ozdobny urodzie

Na coraz nowe wdzięki się zdobywasz;
Laurze! ja, wieśniak spokojny w umyśle,
Pod twoim cieniem pozwól, niechaj myślę!
Jeśli nieczułość często pożądana,
Laurze, szczęśliwyś przeto, iż nie czujesz.
Masz deszcz zbawienny w wieczór, rosę z rana;
Słońce dopieka, ty się nie frasujesz.
Chociaż z niejedném drzewem u mnie goscisz,
Mniejszém nie gardzisz, większym nie zazdrościsz.
Gdybyś mógł patrzéć na twoje obroty,
Wierz mi, w uczuciu byłbyś nieszczęśliwym!
Musisz uwieńczać szczęśliwe niecnoty,
Jużeś być przestał nagrodą cnotliwym.
Niegdyś, od godnych wieńczenia noszony,
Zdobiłeś, zdobisz Sylle i Nerony.
Zdajesz się przecież czułym po te czasy,
Kiedy Marona nagrobek okrywasz.
Zginęły z wiekiem Olimpy, Parnasy,
I ty się próżno na kwitłość zdobywasz.
Co jest, nie wielbię; co będzie, nie tuszę,
Laurze! nie kwitnij! Zeszły wielkie dusze.

Do Katarzyny z Krasickich Stadnickiéj.

O matko dobra! co za dawnym wiekiem
Idziesz, choć jesteś i młoda i ładna,
Co znasz, iż płód twój przecież jest człowiekiem,
A w czasach naszych zbyt rzadko przykładna,
Żono poczciwa, rozumna, i miła,
Śmiesz sama karmić to, coś urodziła!

Taj się, bo cnota teraz pośmiewiskiem,
Taj się, bo dobrą już się być nie godzi;
Tak wiek, nie rzeczą świątły, lecz nazwiskiem,
Nad dawną cnotą zuchwale przewodzi;
I gdy przepisy wiekotrwałe maże,
Śmie szydzić z tego, co natura każe.

Pod Jagiełłami, Wazami i Piastą
Poczciwa dzikość rozrządzała domy;
Lepiéj, niż damą, było być niewiastą.
Nasz wiek, syt w zbytki, w istocie poziomy,
Zrządził, iż zniósłszy dawne grubijaństwo,
Utraciliśmy i cnotę i państwo.

Płci wdzięczna! kiedy męzka tak odrodna,
Dawaj przykłady, zawstydź, wzbudź ospałych!
Płci wdzięczna! stań się uwielbienia godna,
Ródź, karm, pielęgnuj w umyśle wspaniałych!
Zgładzi wiek przyszły, co dzisiejszy szpeci·
Z poczciwych matek, dobre będą dzieci.

Do Wojciecha Jakubowskiego.

Panie Wojciechu! mówcie, jako chcecie,
Przecież to dziwne rzeczy na tym świecie.
Młodzi i starzy za złym poszli wzorkiem:
Tych miłość ślepi, ci lecą za workiem.
Baby się kłócą, krewni się nie lubią,
Panowie straszą, a słudzy się czubią.
Panie Wojciechu! mówcie, jako chcecie,
Przecież to dziwne rzeczy na tym świecie.

Do tegoż.

Mój sąsiedzie, mój Wojciechu,
Idzie radość bez pośpiechu;
Nie gdy chcemy, do nas chodzi,
Nie gdy chcemy, troski słodzi.

Bywa jednak, lecz gdy zechce:
Kto zbyt pragnie, ten jéj nie chce.
Więc pragnący czasem śmiechu,
Nie naglij ją, mój Wojciechu.

Przyjdzie, ujrzysz ją w téj chacie,
Osłodzi myśl po utracie;
Lecz, jak łupina w orzechu,
Tak jest ona, mój Wojciechu.

Trzeba to zgryźć, co ją kryje,
A dopiéro się użyje;
Wzmoże w pracy przy oddechu,
I orzeźwi, mój Wojciechu.

Modlitwa.

Stwórco! my Twoje stworzenia,
Chwałę Twoję świętą głosim;
Czém jesteśmy, Twe zdarzenia.
Pozwoliłeś prosić, prosim.

Łaska Twoja daje, bierze,
Dasz, czy weźmiesz, zawsześ Panem.
Daj użytek, daj go w mierze,
To jest najszczęśliwszym stanem.
Twoje dawać, nasze prosić,
Twoje kazać, nasze służyć;
Dasz ubóstwo, daj go znosić,
Dasz obfitość, daj jéj użyć.

Hymn na rocznicę 3-go Maja.

Wyższym nad nieba wzniosły majestatem,
Boże! co raczysz zawiadować światem,
I dobrodziejstwy, czém jesteś, objawić,
Pozwól się sławić!

Lud Twój, lud braci znękan niegdyś marnie,
Wesół do Twego kościoła się garnie.
Przyjm na ofiarę, Opatrzności święta,
Stargane pęta!

Daj użyć, coś dał, w pokoju i zgodzie!
Daj ducha rady i męztwa w narodzie,
Podległość rządną, w swobodzie wstrzymałość,
W działaniu trwałość!

Niech łaski Twojéj będzie uczestnikiem
Król, radny, rycerz, mieszczanin z rolnikiem!
Dotąd, gdy większą szczęśliwiąc swobodą,
Tyś sam nagrodą!

Do Michała.

Panie Michale,
Wiész doskonale,
W codziennym trudzie,
Coto są ludzie.
Tych złość zaślepia,
Tych zysk zasklepia,
Tych sława łudzi,
Tych zazdrość budzi.
Ci nadto kreślą,
Ci nic nie myślą;
Więc źle na świecie?
Żyjem w nim przecię;

Więc się wynosić?
Zostać, i znosić;
Bo któż bez ale?
Panie Michale.

Marzenia dworaka na wsi osiadłego.

Już czas mroźny, już czas słotny,
Co zamartwiał przyrodzenie,
Zwalnia; widok śnieżny, błotny,
Jędrne biorąc ukrzepienie,
Wdzięczy nadzieje ku wiośnie;
Pączki wschodzą, trawka rośnie.

Orzeźwione ciepłem ptaszki
Porę życia pozdrawiają;
Zwierząt skoki i igraszki
Przyszłą płodność oznaczają;
Zewsząd radość, zewsząd pienie;
Odmładza się przyrodzenie.

Rolnik czuły idzie w pole,
W pole swym potem skropione;
Wraca zziajan ku stodole,
Kędy krówki wytuczone,
Krówki, co wygodnie mieścił,
Co chował, karmił i pieścił.

Puszcza w wolność. Ryk radosny
Echa głośne powtarzają;
Wszystko niesie piętno wiosny:
Barany, kozły igrają,
I gdy się ziemia zieleni,
Czują powab, co je pleni.

Słowik nuci wdzięczne pienia,
W gniaździe osiadłéj samice;
A zbyt czułe rozrzewnienia
Podawając w okolice,
Czyli zwalnia, czyli śpieszy,
Bawi, łudzi, smuci, cieszy.

W zmroku wdzięcznym rozpościera
Księżyc promienie srebrzyste,

Przez gałęzie się przedziera,
A strumyków wody czyste,
Gdy wietrzyki powiewają,
Drżącą postać wydawają.

Pod jaworem siedzą starce,
Oddychają słodkiém wianiem;
Igra młodzież przy fujarce.
Czułém zdjęci rozrzewnianiem,
Przypominają, jak mali,
I oni trzody pasali.

O wsi wdzięczna! w tobie życie,
Tyś rozkoszy prawém źródłem;
O wsi wdzięczna! miłe skrycie.
Czemuż w tobie dni nie wiodłem?
Miast miłośnik, martwy byłem,
W tobiem osiadł, i ożyłem.

Tak stary dworak przy krynicznéj strudze,
Zwiedzion w usłudze,
Siedząc w chłodniku, dworak zbyt poczciwy,
I nieszczęśliwy.
Mniéj czuły na to, iż się nie zbogacił,
I swoje stracił;
Przypatrując się przezroczystéj wodzie,
Mądry po szkodzie,
Rzekł: patrząc, kędy w jego okolicy,
Trakt ku stolicy:
Żegnam cię, próżen; po służbach zbyt długich,
Oszukuj drugich.

Do .....

Mości księże kanoniku!
Głupstwa w świecie jest bez liku;
Nieźle jednak rzecz oznaczyć,
I w czém głupstwo, wytłómaczyć.
Ci, co zwierzchność posiadają,
Głupstwa żadnego nie mają;
Z natury, sposobu, czynu,
To jest tylko podział gminu.
Ci ubodzy, ci bogaci:
Kto jest głupi? ten, co płaci.

Rzecz trzymając w równej mierze,
Kto jest mądry? ten, co bierze.

Czerwony złoty.

Z pośrodka ziemi niegdyś wydobyty,
Różne na siebie bierałem postaci;
Teraz, pod stęplem mennicznym ukryty,
Włóczęga na wzór moich innych braci,
Niech też przemówię, a w przykładzie rzadki,
Opowiem moje rozliczne przypadki.

Murzyn mnie zdobył, gdym był jeszcze proszkiem;
Prostak! na lemiesz, do pługa ukował.
Byłem naczyniem, zrobili mnie bożkiem,
Ten, co mną orał, czcił potém, szanował.
Zwyczajne ślepéj fortuny igrzysko,
Raz zbyt wysoko byłem, drugi nizko.

Choć byłem bożkiem, przecież, żem był złoty,
Przyszło do tego, iż z ołtarza spadłem.
Trzeba pójść było na nowe obroty:
Znowum się spotkał z młotem i kowadłem;
A przyciśniony stęplowym mosiądzem,
Lemiesz, bóg, kubek, zostałem pieniądzem.

Idealnego towarów szacunku
Z razu bywałem cechą sprawiedliwą;
Wspierałem nędznych w przystojnym szafunku,
Rozdany szczodrze ręką dobrotliwą;
Z latym się popsuł, a powszechną szkodą
Stałem się niecnót i zdrady nagrodą.

Dopiérom poznał dzielność, przedtém skrytą,
Kiedym się w rękach bezbożnych obaczył.
Zacząłem rządzić Rzecząpospolitą,
Jam prawa znosił, stanowił, tłómaczył.
Skorom gdzie błysnął, zaraz jak najrychléj
Zagadłem mędrców, a mówce ucichli.

Tam, gdziem był wieków przykładem odparty,
Gdzie Likurg wszystkie przystępy zagrodził;
Przecież z Lizandrem wkradłem się do Sparty,
Lud z jarzma prostéj cnoty oswobodził.

Ów, co przemysłem tyle dokazywał,
Mną Filip zamków najlepiéj dobywał.

Gdzie niegdy owe nieprzedajne dusze,
Stateczną zawsze tłumiły mnie wzgardą;
Jam przeinaczył rzymskie animusze,
Jam zgnębił cnotę, ubóstwem zbyt hardą.
Tych, co Porsena, Pyrrus nie zbogacił,
Numid Jugurta pieniędzmi zapłacił.

W dalszym przeciągu, pod różnemi cechy,
Rządziłem światem i z cnotą wojował;
Jéj świętą odzież jam wkładał na grzechy,
Jam sprawiedliwość niezbytą kupował.
Waleczny zelant, statysta uprzejmy,
Dla stołków, świéczek, rwałem wolne sejmy.

Byłem nieprawych korzyści zapłatą
Jaśnie wielmożnych, jaśnie oświeconych;
Byłem bezczelnych złodziejów intratą,
Byłem orężem w ręku u szalonych;
Wpadłem dziś gorzéj, niż w pazury wilcze,
Jestem tam, gdzie to... Lepiéj, że zamilczę.

Do pana Jana.

Panie Janie!
W każdym stanie
Zyskać można.
Myśl ostrożna
Obrać umié,
Gdy rozumié;
I obiera,
Gdy otwiera
To w czém treści.
Więc boleści
Się ustrzega,
Zapobiega.
W czém ma stracić,
W czém zbogacić
Ma się snadnie,
Łatwo zgadnie.
Więc ty o to
Zawsze z cnotą

Masz się starać;
Bo ukarać
Insze kroki,
Bez odwłoki
Niebo może.
Cnota wzmoże,
A szalbierstwo,
Duma, zdzierstwo,
Źle prowadzi,
Zawsze zdradzi.
Cnota wdzięczy,
Cnota wieńczy!
Kto cnotliwy,
Ten szczęśliwy!

Do pana Ignacego.

Mój Ignacy,
Któż bez pracy
Zyskał szczęście,
I zamężcie?
Gospodarstwo,
I handlarstwo,
Wszystko w czasie
Tam uda się,
Gdy kto szczerze
Rzeczy bierze,
Mocnie ima,
Co raz trzyma.
Nasz los igra;
Ten co wygra,
Rzeczy mierzy,
A nie wierzy.
Trwałość, żywość,
A cierpliwość,
To bogaci;
A ten traci,
Kto się spuszcza
I opuszcza
Dobrą chwilę.
Słodko, mile,
Ten używa,
Który bywa
Zawsze czujny;

Bo zysk bujny
Tam, gdzie praca
Ubogaca.

Do . . . . .

Szacowny starcze! iskierko ostatnia
Dawnéj Polaków ochoty!
Płaczesz? Ojczyzna niegdyś zbyt dostatnia
W skarby, oręże i cnoty,
Dziś w innym stanie! podłych duchów matnia!
Upłynął ojców wiek złoty;
W odrodnym płodzie pełzną i nadzieje,
Gwałt, co ją zniszczył, jeszcze się z niéj śmieje.

Nietrwałość ludzkiéj roboty znamieniem,
Moment ją stawia i psuje.
Idą w łup czasu, za dzielném wzruszeniem,
I gmach, i ten, co buduje;
I dąb stuletnim niemocen korzeniem,
Przyjdzie grom, z ozdób wyzuje.
Pył śmiertelności, na piętno poddaństwa,
Przysypał wiecznie mocarze i państwa.

Grozi wiek przyszły gmachom wyniesionym,
Łupy wspaniałe przyswoi;
Przestanie jednak być niezwyciężonym,
Gdy się na cnotę uzbroi.
Na fundamencie wsparta niewzruszonym,
Mocy się jego nie boi.
Choć gwałt nieprawy gnębi i ciemięży,
Przetrwa gwałt, nędzę, i los przezwycięży.

Żeglarz, chociaż się na schyłku zobaczy,
Sili się skały ominąć.
Źle czynił Kato, ginący w rozpaczy;
Nie śmiercią, życiem miał słynąć.
Wspaniały umysł działać ma inaczéj,
Bronić ojczyznę, i zginąć.
Niech podły służy, niech zyska na panach!
Milsza śmierć wolna, niż życie w kajdanach!

Nieborak.

Kiedy się pióro znajdzie (nie zawsze znachodzi,
Bo mizerne poety i tego nie mają)

Pisze się i co miło, i co pisać godzi.
Tak uczeni, tak dobrzy, piszą i igrają.

Toż się stało i ze mną, mniej złym, mniej uczonym;
Piszę jednak, bom znalazł, co drudzy szukają.
A że trzeba dać sytnie, obficie tuczonym,
Niech to oni odemnie za naukę mają.

W cnocie trzeba być trwałym, w dowcipie cierpliwym;
Ta zraża, tamten rodzi nienawiści wielkie;
Więc gdy z cnotą, z rozumem masz być nieszczęśliwym,
Uzbrajaj się zawczasu na przygody wszelkie.

Złych jest mnóstwo, a głupich liczba bez rachuby,
A ci nieprzyjaciele dla twego rzemiosła;
Więc trzeba bitwę zacząć z odwagą bez chluby,
Żeby łatwa wygrana w dumę nie podniosła.

Nie zacząć bitwy? Zaczną. Nim więc zaczną, czekać,
Przyjdzie słaba, dać odpór, ale nie ciemiężyć.
Przyjdzie dzielna, być mężnym, wzmódz się, nie narzekać,
I z dzielnością odeprzeć, z ludzkością zwyciężyć.

Tak mi mówił Matyasz, wielce zaczepiony,
Co sowite zaczepki zbył skromném milczeniem,
Względny na zaczepniki, choć niezwyciężony;
Dwojako je ukarał swojém zwyciężeniem.

Myślał on, iż oświecać, pobudzać i uczyć,
Jest człeka powinnością, a w téj powinności
Gardził tym, co potrafia nadstawiać i huczyć,
I był większym nad zjadłość dumy i zazdrości.

Szedł on bitym gościńcem, co starzy ubili;
Starzy, dziś znieważeni przez płód ich niegodny;
Tak on myślał, tak mówił, jak dobrzy uczyli,
Jak trzeba myśléć, i był od nich nieodrodny.

Siedział w ścisłéj zaciszy; to miejsce przymiotów,
Przymiotów pogardzonych. W swéj cnocie się schował;
Świadek przysad, obłudy i głupich obrotów,
Nie natrząsał się, widział, czuł, sądził, żałował.

Do myśli.

Myśli słodka! gdy spokojna,
Bodaj zawsze byłaś u mnie!
Czy to pokój, czyli wojna,
Czy pełno, czy pustki w gumnie,
Słodzisz pracę i daremną,
Gdy ja z tobą, a ty ze mną.

Bywaj, myśli pożądana!
Co po życiu, kiedy w troskach?
Biedzisz z mroku aż do rana,
Smutna w miastach, rzeźwisz w wioskach.
Tu przestajesz być nikczemną,
Gdy ja z tobą, a ty ze mną.

Myśli słodka i spokojna,
Uszczęśliwiaj pokryjomu!
Myśli prawa i dostojna!
Jakeś weszła, trwaj w mym domu;
Wszystko ma postać przyjemną,
Gdy ja z tobą, a ty ze mną.

Przyjaciele! siądźmy w cieniu,
Siądźmy w cieniu téj topoli,
Orzeźw słodka w odpocznieniu,
Daj się ucieszyć do woli.
Niech czują rozkosz wzajemną,
Gdy ja z tobą, a ty ze mną.

Dwór.

Czyś jest smutny, gdy się los wspacza,
Czyś dobrego w szczęściu humoru,
Wiedz, iż postać wiele oznacza;
Ta najwięcéj płaci u dworu.

Oko pańskie, jak słońce w wschodzie,
Pędzi ciemność, gdy się podnosi;
Odwrót, jako słońce w zachodzie,
I na ciemność gdy się zanosi.

Wszystko wdzięcznie, wszystko obłudnie,
Wszystko czuje gwałtowność sporu;

Rzadki, komu sprzyja południe;
Tak wschód, tak dzień, tak zmrok u dworu.

Myśli starca.

Sny na jawie!
W was ja prawie
Kładę moją szczęśliwość;
Cóż jest życie?
Śmiech, użycie,
Reszta kłopot, troskliwość.
Niech się troszczą,
Co zazdroszczą
Szczęścia, gdy go nie znają.
W mojéj chacie,
I po stracie,
Mam co drudzy nie mają.
W tém co miałem,
Cóż uznałem?
Cień, a reszta przykrości.
Młody żyłem,
Średni byłem,
Może celem zazdrości;
Teraz stary,
Kiedy miary
Prawych rozkosz używam;
I gust słodszy,
I jam młodszy;
Wdzięczne muzy! was wzywam!

Mierność.

Słodka myśli, kiedy wolna,
W tobie korzyść i pociecha;
Jesteś czuła i powolna,
Mile się cnota uśmiecha;
Czego żądze nie doznały,
Jéj uśmiech, jest uśmiech trwały.

Bogacz każe przyjść igraszkom,
Bogacz, gdy niecnotą wygra;
Trudno dawać prawa fraszkom,
Ma czém igrać, a nie igra.
Nie uczynią myśli zadość;
Darmo złotem kupić radość.

Dworak wzniosły, co przedajnie,
Zlewa szczęście na czołgacze,
W tłumie podłych, co zwyczajnie,
Jak kto chce, śmieje się, płacze:
Znudzon w pracy; przy oddechu
Nie korzysta z płaczu, śmiechu.

I ten co nad książką siedzi,
Żeby sklecił nową książkę,
Nim co skleci, sam się biedzi;
A choć zyska tytuł, wstążkę,
Na zazdrosnych jad zbyt czuły,
Klnie i wstążki i tytuły.

Mierność stanu, mierność myśli,
To najlepszym człeka losem.
Niechaj kto chce, jak chce kreśli,
Z wstążką, tytułem i trzosem;
I w tém co jest, i co czeka,
Mierność szczęściem jest człowieka.

Do Boga.

Do Ciebie, Panie, wznosim nasze prośby,
Czy cieszysz dary, czyli trwożysz groźby,
Zawsze jest wsparcie pod Twym świętym progiem,
Boś Ty jest Bogiem!

Stwórco! stworzenie wsparcia Twego czeka,
Z niczegoś stworzył marnego człowieka,
A dając duszę, choć zejście przyśpieje,
Dałeś nadzieję.

Bo cóż, żyć bez niéj? dar nie byłby darem.
Tyś dobroczynny przedziwnym wymiarem,
Połączył życia nierozdzielne skutki:
Radość i smutki.

Czyli te gnębią, czy tamte podnoszą,
Czczemi są rzeczmi smutek i z rozkoszą;
Twego świętego wykonanie prawa,
To zysk nadawa.

A wtenczas, czy człek płacze, czy się śmieje,
Ukrzepiającą zyskawszy nadzieję;
Oczy, co rzeźwi radość, smuci trwoga,
Wznosi do Boga.

Wieńczy pociechą, karze On żałością,
Darami Jego są żal i z radością;
Lepiéj wie ojciec, co pożytek wznieci,
Niżeli dzieci.

Gdérania starego Bartłomieja.

Trzeba zawsze starym wierzyć,
Przedtém zazwyczaj wierzono;
Doświadczeniem rzeczy mierzyć,
Dobrą rzeczą osądzono.
Nie zdradza ta rzecz albowiem,
Wierzcież temu, co ja powiem.

Za moich czasów działano
Tak, jako działać przystało;
Za moich czasów gadano,
Jak się gadać należało.
Starość młodość sposobiła,
Młodzież dobra starość czciła.

Za moich czasów rozumni
Tacy byli, co umieli;
A bajarzé próżni, dumni,
Poszanowania nie mieli.
Znano, co szkło, a co szkiełka;
Były światła, nie światełka.

Za moich czasów i grzeczność
Nie taką, jak teraz, była.
Duma, potwarz i wszeteczność
W posiedzenia nie wchodziła;
A jednakże grzeczni byli,
A jednakże się bawili.

Za moich czasów pieniądze,
Bez potrzeby nie rzucano;
Skromne wówczas były żądze,
Na czas przyszły uważano.

Nie wiedziano, co bankruty,
Nie wiedziano, co filuty.

Za moich czasów i dzieci
Lepiéj swe rodzice czcili.
Mówiono: respekt nie szpeci,
Jakoż dobrzy ludzie byli.
Co rodzicom udziałali,
To im dzieci oddawali.

Za moich czasów, mąż, żona,
Znali, co jest małżeństw sprzęża;
Sąd się obszedł bez patrona;
Nie dla intrat byli księża;
I zaszczyt kraju nie gasnął,
I — — stary Bartłomiéj zasnął.

Pociecha.

Gdy się los uprze czynić nieszczęśliwym,
Co czynić? Widząc smutną alternatę;
Być trwałym w zdaniu, w przygodzie cierpliwym,
I rzeczą zmienną zwać korzyść i stratę.

Mienią się rzeczy, tak jak my zmieniamy,
Obrót to zwykły. Nie trzeba narzekać.
Nie nasze to jest, co losem trzymamy.
Zły? uczuć, wzmódz się, pracować i czekać.

Myślić: co innym, to téż przyszło do mnie;
Myślić: dla innych gorzéj się rzecz wspaczy;
Przyjdzie los dobry, bierzmy dary skromnie;
Nie przyjdzie, podléj strzeżmy się rozpaczy.

Wzbić się nad ludzkość, to dumne mniemanie;
Łez nie wstrzymujmy, gdy boleść wyciska.
Nie grzechem uśmiech w pożądanym stanie;
A cnota cnotą, czy traci, czy zyska.

Prostak.

Szczęśliwe mędrcy! A my prostacy,
Czyli téż możem być szczęśliwemi?
Im wszystko łatwo, nam wszystko z pracy!
Przecież na wspólnéj mieszkamy ziemi!

Oni, w przymiotach mając załogę,
Tak myślą, jak chcą; ja tak, jak mogę.

Prostak, co ojciec i matka rzekli,
Ja to wypełniam w mojéj prostocie.
Widzę, iż drudzy więcéj dociekli;
Słyszę, iż mówią górnie o cnocie;
Ja tak nie umiem. Kiedy się wzmogę,
Chcąc być cnotliwym, czynię, co mogę.

Nie mam honoru być Kapucynem,
Ale mam zaszczyt być dobrym człekiem;
Więc po mojemu idę za gminem,
Idę za losem, idę za wiekiem;
I bitą sobie obrawszy drogę,
Mówię, jak myślę; czynię, jak mogę.

Do Marcina.

Nie wysławiony Marcinie!
Coś w ogromnym brzuchów gminie
Pierwsze roty godnie wodził,
I rozkoszne chwile płodził!
Choć weteran, wodzisz jeszcze!
Słusznie cię więc tam umieszczę,
Gdzie wesołość hasłem głośném,
Hasłem rzeźwém i donośném,
Gdzie bluszcz laurem, gdzie dzban tarczą,
Gdzie przywódzcy nie dostarczą;
Tam gdzie żwawo, tam gdzie hucznie.
Marne względem mistrza ucznie!
Tak wśród stepów, tak wśród zaspów,
I Kaukazów i Hydaspów,
Pewien, i że świat pokona;
Wiódł tryumfy bożek grona.
A mistrz Sylen w Nimf orszaku,
Zatrudniony tylko w braku,
Gdy reszty gronów wyciskał,
Śmiał się z ucznia, choć i błyskał.
W wdzięcznéj radości osnowie
Biegli Satyry, Faunowie,
I w też same idąc ślady,
Nimfy i Hamadryady,
Wzbujałego brodą, wąsem,

Skocznym zabawiały pląsem.
A rozkosznéj chwili sprawca,
A radości prawodawca,
Co zgnębił troski z frasunkiem,
Ledwo mówny hojnym trunkiem:
Choć i winobrania przeszły,
Uśmiechnął się — grona zeszły.
Praprawnuku prapradziada,
Pij i śmiéj się! Mędrków rada
Zła winnicom; pić chcą tłuszcze!
Sławne laury, lepsze bluszcze!
Okryj niemi czoło twoje!
Fraszka wielkość, fraszka boje;
Co orzeźwi, co ucieszy,
Co łagodzi, co rozśmieszy,
Mimo to, co mądrzy plotą,
Dobréj chwili jest istotą.

Do . . . . .

Ty, coś nad płoche przysady,
Wśród uprzedzeń zeszła, wzniosła;
A nowemi idąc ślady,
Krzewiłaś się i urosła;
Szczepie bujny, a bez ale,
Pozwól, niech cię ja pochwalę.

Tobie przykre, innym miłe
Będą moje pochwalenia:
Rymotworskich duchów siłę
Nie wdam ja w te uwielbienia.
Tak, jak cnocie rzecz zwyczajna,
Dzielna czynem, chcesz być tajna.

I ja wielbiąc, nic nie przydam;
Mniejszy jest kunszt, niż rzecz wielka.
Nazwiska twego nie wydam;
Jeśli rzeczy rządzicielka
Da to poznać, co ja piszę;
Hołd cnocie z czuciem usłyszę.

I ty go z czuciem, choć z wstrętem
Może, iż będziesz słyszała;

Gardziłaś tém, co momentem;
Co wiekami, w tymeś trwała.
Staréj cnoty nieodrodna,
Ja cię chwalę, boś jest godna.

Do księżnéj z Duninów Sanguszkowéj, marszałkowéj W. Litewskiéj.

Prababko! jednak miła, płci niewieściéj cudzie,
Racz powiedziéć, zkąd takie powaby i wdzięki?
Urodziłaś się jednak tak, jak inni ludzie!
Owe wietrznych istności bajeczne poręki,
Nadawały coś nadto, ale bajki przeszły;
Ma okrasę wiek młody, odrazę podeszły.

Nie młodaś, to płci twojéj mówić nie jest grzecznie;
Aleś ty nad płeć twoję, mówić ci to można.
Dziwisz, a tém przeświadczasz, choć kto myśli sprzecznie,
Iż przykładna, roztropna, czuła i pobożna;
Chociaż to przeciw modzie (którą głupstwa wiodą),
Cnoty swojéj dzielnością więcéj jest, niż modą.

Losów sprawca wlał na cię swych darów szczodrotę.
Niech się na ciebie patrzą, niech znają współziomki,
Jak można być przyjemną, utrzymując cnotę;
A dzierżąc, czego teraz ledwo są ułomki,
Z naszych win niepodobne razem rzeczy mieścić:
Ująć serca przykładem, wdziękiem oczy pieścić.

Do Jędrzeja Mokronoskiego.

Panie Jędrzeju! ach, cóż to się święci!
Nie tak bywało za naszéj pamięci.
Nie chodził zdrajca po mieście bezpiecznie;
Łgali i przedtém, ale łgali grzecznie;
Tracili za nas, ale każdy w domu;
Była rozpusta, ale pokryjomu;
Były oszusty ale nieustawnie,
Kradli jak dzisiaj, ale nie tak jawnie.
Panie Jędrzeju! ach cóż to się święci?
Nie tak bywało za naszéj pamięci.

Do tegoż, po odbytém marszałkowstwie sejmowém.

Ktoś mi powiedział, pan Jędrzéj w robocie!
Rzekłem: tém lepiéj zasługom i cnocie.

Skończył robotę, aż mi powiadają:
Jedni go chwalą, a drudzy go łają.
A on co na to? śmieje się, a służy.
Panie Jędrzeju! żyjcież jak najdłużéj.
Cóż więcéj słychać? Pan Jędrzéj bez złota!
Przecież to była zyskowna robota.
Dawano, nie chciał. Źle, panie Jędrzeju!
Nie gore czapka na wielkim złodzieju.
Żeś jednak nie szedł złym torem w podróży,
Panie Jędrzeju! żyjcież jak najdłużéj.
Można brać było dary od ojczyzny,
Prawda, ale ją zdarły darowizny,
Więc dla nagrody postępkom cnotliwym
Przynajmniéj tytuł: Najlepszy poczciwym.
Czegóż krok taki daléj nie wywróży?
Panie Jędrzeju! żyjcież jak najdłużéj.

Nowy Rok.

Nowego roku czas każe winszować,
Więc się zdobywam na powinszowanie:
Daj Panie Boże, w tym się tak zachować,
Iżby się nasze spełniło żądanie.
I spełni pewnie, kiedy w każdym kroku
O sobie będziem myśléć, nie o roku.

Bo cóż rok? Bożym czas zmierzony darem,
Miejsce i pora naszego działania;
Nie dni, lecz czynów dzielmy go wymiarem,
A czynów plennych prawego starania;
Wówczas, jak wieniec kłosami uwity,
Da plon szacowny, da plon znamienity.

Przeszły tysiączne, przejdą i następne,
Szala je wieczna, jak zmierzy, tak ziści;
Z nas plenne, z nas czcze, prawe, lub występne,
Skutek użycia, czucia i korzyści.
Odmiana, trwałość, nieczynność, ochota,
Da poznać w czém jest występek, lub cnota.

Lecz sprawca, który rzeczy mierzy trwale,
Spuszcza wzrok względny na tych, co sprawieni
Nie jest człowieka, co jest doskonale.
Sobą nikczemni, sprawcą orzeźwieni,

Czekajmy losu. Najwyższa Istoto!
Karzesz z odrazą, nagradzasz z ochotą.

Szczęśliwość.

Szczęśliwy taki, który wznieść się może
Nad to, co szkodzi, lub co dopomoże,
A na zbyt trwożny termin dla człowieka,
Spokojnie czeka.

Co szczęście daje, lub bierze przypadkiem,
Nie tak działaczem, jak tego jest świadkiem;
Równie na szczęście i smutne odmiany
Przygotowany.

Zna, iż się rzeczy tak snują, jak snuły;
W sobie zawarty, lecz dla innych czuły;
Nie zarzeka się tego, co od wieka
Zdobi człowieka.

Dobro umysłu wśród siebie gdy mnoży,
Cudza go zdrożność dolega, nie sroży;
Czém jest, gdy pomni, źle sądzić nieskrzętny,
Miary pamiętny.

Ta żądz porywczych kiedy trzyma wodze,
I bujać w szczęściu i upadać w trwodze
Broni; a tłumiąc zbytnią czucia tkliwość,
Daje szczęśliwość.

O! quid solutis beatius curis?

Cóż nad spoczynek być może milszego?
Kiedy strudzeni szczyt domku naszego
Obaczym przecię, a kończąc podróże,
Na własne nasze rzucamy się łoże.
O domku wdzięczny! widok mnie twój krzepi,
Dobrze gdzieindziéj, u ciebie najlepiéj.

Cierpliwość.

Nagadaliście się do wieczora,
Mój panie Pietrze, aż do sytości;
Całą godzinę trwała perora,
Trwała i drugą, o cierpliwości.
Jeżeli wiedzieć, czém ona, chcecie,
Ja wam to powiem, ale do ucha.
Oto, gdy jeden raz po raz plecie,
A kiedy drugi raz po raz słucha.

Do Doktora.

Panie doktorze, gdy się rozgadacie,
Rzadko rzecz bywa ku naszéj pociesze:
Zawsze w zanadrzu coś złego chowacie,
Ażeby straszyć lekkowierne rzesze.
Dobrze czynicie z tą wymową waszą:
Szczodrzy są tacy, którzy się przestraszą.

Rolnik rznie pługiem, ogrodnik nożycą,
Furman pracuje i wołem i osłem:
Czém się wzmagają, tém się ludzie szczycą,
Trzeba żyć człeku powziętém rzemiosłem.
Każdy to czyni, co zyskowi sprzyja,
Ksiądz ludzi grzebie, a doktór zabija.

Nadzieja.

Co czynić, gdy się los dla nas spaczy,
I smutną straszy koleją?
Czyliż się srogiéj poddać rozpaczy?
Czyli się wzmagać nadzieją?
Płynący, w burzy kiedy maszt pryśnie,
Widzi, iż łódka ma zginąć;
Niechże łagodny promyk zabłyśnie,
Sili się brzega dopłynąć.
Straszy zdaleka uprawne role
Wzmagająca się ulewa;
Idzie starowny oracz na pole,
I co uprawił zasiewa.
Nie wie, czy zbierze, na co pracuje,
Nie wie, czy zyska pogodę,
Jednakże słodycz w nadziei czuje,
I wróży sobie nagrodę.

Gaskon (*z francuzkiego*).

Pytał się raz kardynał jednego Gaskona:
Czyli Tyber tak wielki, jak u nich Garonna?
Jakto? — odpowie Gaskon żwawo i zuchwale, —
Gdyby pod moim zamkiem, przy moim kanale,
Śmiał płynąć Tyber, który mają tu za wielki,
Kazałbym go do razu przelać na butelki.

Do Jana.

Życie nasze jest igraszką,
I kłopotne i trwa mało.
Zatrudniamy się nad fraszką,
Uładzonym okazałą.
Dzieci płoche bieżym sporo,
I ustajem w zbytnim pędzie:
Każda chwila dobrą porą,
A my w ustawicznym błędzie.
Jedni biegną za rozkoszą
I daremnie się mordują;
Ci chciwością zdobycz płoszą;
Ci lenistwem nie zyskują.
Niedołężni, posiąść chciwi,
Zbytnim pędem zmordowani,
I porywczy i leniwi,
Zostajemy oszukani.
Bodaj spocząć, po wsi biegać,
Gdy spoczynek w naszéj woli:
Po co zdrady się wystrzegać,
Bać się kajdan bez niewoli?
Przejdą troski i uciski,
Samo się szczęście udzieli;
Same do nas przyjdą zyski,
Bylebyśmy tylko chcieli.
Tak się obchodź w swojém życiu,
A zbytnią chęcią nie pałaj!
Przestań na mizerném byciu,
Jak umyślisz, tak i działaj!
Byleś tylko myślał prawie,
Nic nie przyjdzie niespodzianie:
Kto zbyt skrzętny, na przeprawie
Chybia portu, miły Janie!

Do mojego worka.

O ty! co niegdyś złotym wzdęty plonem,
Wspaniałym brzękiem pieścił moje uszy,
Coraz słabiejesz, grozisz blizkim zgonem,
I wkrótce będziesz, jak ciało bez duszy.
Worku! za szczęścia mojego dostatni,
Słuchaj głos pana do ciebie ostatni.

Trzeba się rozstać, czas trawisz daremnie,
I próżno rzewnisz oczy zapłakane:
Pójdź w świat, usługuj szczęśliwszym nademnie,
Ja w nędzy mego ubóstwa zostanę:
Gdy cię już więcej utrzymać nie mogę,
Przyjm, co dać zdołam: naukę na drogę.

Pójdziesz w świat, może ten cię w zdobycz dostać,
Co na kradzieży lub intrygach zyskał;
Może ten, zdradną który mieniąc postać,
Zwierzchnie dogadzał, a skrycie uciskał.
Może ten skąpiec, co się użyć nie dał;
Może ten zdrajca, co ojczyznę przedał.

Staniesz się wówczas więzieniem, katuszą,
Wzdęty, z woreczka może będziesz worem;
Kto wie, może cię losy tam przymuszą,
Gdzie ustawicznie zostaniesz otworem.
Bodajeś skromne tylko zyski zbierał!
Bodajeś nędznym tylko się otwierał!

Gdybyś czuł, gdybyś sam mógł sobą władać,
Wiem, gdziebyś znalazł najmilsze siedlisko:
Tambyś, mój worku, powinien osiadać,
Gdziebyś miał codzień czułe widowisko,
Gdzie skryta hojność, szacownemi dary,
W wsparciu bliźniego śle Bogu ofiary.

Tam idź! Jak poznać masz przyszłego pana,
Ja cię nauczę; patrz, gdzie szczyt wspaniały;
Patrz, gdzie powaga z dobrocią zmieszana,
Patrz tam, gdzie skromność unika pochwały;
Gdzie jad nie zemstę, lecz uczynność zyska,
Znajdziesz, choć ja ci nie powiem nazwiska.

Do Antoniego Krasickiego.

Panie Antoni, jużeśmy też starzy,
Wybacz, jeżeli czasem mi się marzy.
Przyśniło mi się przed niedawnym czasem,
Żeś ty był królem, a jam był prymasem.
Dobrze nam było; w tem przeciwna strona,
Nagłem wzniesieniem naszem rozdrażniona,

Zmawia się na nas; aż gwałty, zaboje;
Idzie o życie, i moje i twoje.
Boim się wzajem, źle koło ojczyzny,
Na pogotowiu zabójstwa, trucizny;
Aż twoja złota korona zbyt cięży,
Mnie moja mitra gnębi i ciemięży.
Kto inszy w Gnieźnie, kto inszy na tronie,
Tyś z niego zleciał, jam osiadł w Ankonie.
A ten karceres tak mnie srodze znudził,
Żem się ze strachu porwawszy, obudził.
Chwała bądź Bogu! lepiéj nam tymczasem,
Żeś ty nie królem, a ja nie prymasem.

Do Grzegorza.

I na lądzie i na morzu,
Wszędzie bieda, mój Grzegorzu!

Młodość, miłą zowią wiosną;
Żywość, wdzięki, są w téj porze.
I przy kwiatach kolce rosną!
Trudno brykać przy dozorze.

Więc wiek męzki szczęściu zdolny.
Ale żona! ale dzieci!
Zakręt domowy i rolny
Od sług, od sąsiad, od kmieci!

Starość zatém idzie sporzéj;
Trzeba innym być przykładem!
Więc w téj porze jeszcze gorzéj:
Smutny honor zostać dziadem!

I na lądzie i na morzu,
Wszędzie bieda, mój Grzegorzu!

Z Boecyusza.

Ma to do siebie rozkosz i swawola,
Używających iż pieści i bodzie:
A nakształt pszczółki latającéj w pola,
Kiedy słodycze czujno zbiera w miodzie,
Zbyt bystrém żądłem raziwszy człowieka,
Zostawia boleść, a samą ucieka.

Do .....

Różne są zdania, i każde ma wsparcie,
Jak być szczęśliwym (jeżeli być można).
Jedni tajemnie, a drudzy otwarcie
Jawili szczęście: roztropność ostrożna
To objawiła w wyrazie prawdziwym,
Iż każdy człowiek może być szczęśliwym.

Honor podwyższa, i wyżsi nim hardzi,
Ale i niżsi mogą się pocieszyć.
Mniejszość rozrzewnia; większość serce twardzi:
A w dobieżeniu, gdy się trzeba śpieszyć,
Prędzéj ten dojdzie do szczęścia zamiaru,
Kto choć z małego umiał wziąść zysk daru.

Pałac, czy chatka, równie człeka chroni,
Kto w nich spoczywa, ten ich ceni wartość:
Od zgryzot duma dachów nie zasłoni,
Nie zelży chatki poziomej otwartość.
O! jak zbyt często spoczywa wyrodny!
Chłop godzien pana, pan chłopem być godny.

Chlubi się dumny, najeżony trzosem,
Śmie gardzić tymi, co trzosów nie mają.
Los z szczęściem igra, cnota walczy z losem;
A ci najwięcéj w zyskach posiadają,
Co i bez trzosu, albo z trzosem miernym,
Dali wstręt żądzom, w cichości niezmiernym.

Siebie zwyciężyć, więcéj niż narody;
Te szczęsny hazard w podłe jarzmo wprzęga.
Wolność cel człeka, a w cnocie swobody
Najwyższych celów z istoty dosięga,
Kto tego doszedł, szczęśliwy, bo czuje,
Patrzy, poznawa, wspomaga, żałuje.

Do Urszuli Charczewskiéj, swojéj wnuki, a córki Anny z Krasickich Charczewskiéj.

O Kochanowski! ty coś pisał czule,
Dałeś nam w trenach znać twoję Urszulę.
I ja mam moję, mam: lecz lepiéj jeszcze,
Ty swojéj płaczesz, ja się z moją pieszczę.

Jeszcze dziecino, czém jesteś, nie czujesz!
Rośnij, mały krzaczku, wzmagaj się pomału:
Wzniesiesz się z czasem, i czasów spróbujesz,
Z wyroków Bożych wielkiego podziału.
Wzeszłaś i wzrośniesz: w dobréj rośniesz ziemi!
Poznasz szczep z czasem i gruntu uprawę;
A między dęby plennie wzbujałemi,
Może i krzaczek ozdobić murawę.
Rośnij, mały krzaczku, wiatr ci nie zaszkodzi,
Mróz nie dokuczy, przychodzień nie wytnie.
A działacz wielki rzeknie, gdy nagrodzi:
Niech jedno buja, a niech drugie kwitnie.

Nagrobek Stanisławowi Konarskiemu, Scholarum Piarum.

Ten, co pierwsze zdziczałe ciął gałęzie wzniosłe,
I śmiał ścieżki odkrywać wiekami zarosłe:
Co nauki, co miłość kraju wzniósł i krzepił,
W cieniu laurów spoczywa, które sam zaszczepił.

Nagrobek Mokronoskiemu, wojewodzie mazowieckiemu.

Ludzkość rzeźka, w przyjaźni i wdzięczności trwałość,
Serce ciągle uprzejme, umysłu wspaniałość,
Poczciwość dobroczynna, służba nie z zarobkiem,
To twoim, Mokronoski, wieczystym nagrobkiem.

Nagrobek Jackowi Ogrodzkiemu, Sekretarzowi Koronnemu.

Wierny królowi swemu, ojczyźnie życzliwy,
Uprzejmy przyjaciołom, pilny, wstrzemięźliwy,
Cichy rzeczy posiadacz, w powszechnéj żałobie
Króla, przyjaciół, ziomków, złożony w tym grobie.

Nagrobek Łojkowi, Podkomorzemu nadwornemu, kawalerowi orderu Świętego Stanisława.

Skromny w wziętości, i w tém trwający do końca,
Praw ojczystych dowodny czciciel i obrońca,
Tu jest Łojko położon wśród śmiertelnych składów,
A z nim grzeczność rzetelna, ślad naszych pradziadów.

Nagrobek Wojciechowi Jakubowskiemu, generałowi wojsk francuzkich.

Pod głazem ostatecznym, który go okrywa,
Tu złożon Jakubowski, dojrzale zabrany:

A co rzadko w uczonym i dworaku bywa,
Czuły, wdzięczny, przykładny, miły i kochany.

Nagrobek Piotrowi Baudoniu Missyonarzowi, Fundatorowi szpitala w Warszawie.

Którego święta miłość bliźniego ujęła,
Mężu prawy, spoczywaj wpośród twego dzieła.
Bajeczna starożytność niech rycerzów głosi!
Nędzna sława, co światu nieszczęście przynosi.
Nie ten godzien pamięci, kto gnębił, kto zdzierał,
Nie ten, co łzy wyciskał, lecz kto je ocierał.

CZĘŚĆ DRUGA.

LISTY Z PODRÓŻY.

Wyjazd z Warszawy. Do księcia Stanisława Poniatowskiego.

Gdybym obiecał pisać do w. ks. mości z drogi, to co teraz czynię, byłoby dotrzymaniem słowa; nie obiecawszy, gdy piszę, rozumiem, iż grzeczność w dwójnasób uznasz; a choćbyś mi w tém i przeczyć chciał, ja jednakże mojego się zdania trzymam, i nie bawiąc dłuższą przedmową, do opisania podróży mojéj przystępuję.

Wybrałem się z Warszawy z dość liczną gromadą towarzyszów, a po zwyczajnych przy wyjeździe zatrudnieniach, porzuciłem to miejsce,

W którém, jak zwyczajnie w mieście,
Za dwóch dobrych, łotrów dwieście.

Podziękowawszy więc Panu Bogu, że się bez szwanku i szkody obeszło, a rozmyślając o przyszłych niewygodach, zbliżyłem się nieznacznie ku Ujazdowu:

Gdzie ów zamek zawołany (1)
Mieścił Zygmunty, Stefany,

---

(1) Jazdów albo Ujazdów, wieś, w niéj zamek za czasów Zygmunta Starego, czyli Augusta, jak niesie tradycya, wystawiony, zkąd widok piękny na Warszawę i jéj okolice. Iż w niéj Stefan Batory, król polski, przemieszkiwał, dowodem reprezentacya na teatrum tam wystawioném dzieła dramatycznego: Wy-

Teraz smutny i ponury
Pogląda na pana z góry;

Pogląda, jeżeli zamki poglądać mogą, ale ten wyraz przywilejom rymotwórstwa darować należy; pogląda więc i zazdrości:

Iż to, co było do niego przydatkiem,
Szkli się i gustem, szkli się i dostatkiem.
Tak to zwyczajnie ze staremi bywa:
Młodzież ochocza, wesoła i żywa,
Zabiera miejsce, które posiadali,
A dziaduś w kącie dawne czasy chwali.

Ale, że dziady do opisu nie należą, jechałem dalej

Pomiędzy rozkoszne gaje (1),
Kędy ptasząt liczne zgraje,
Gdzie się wietrzyk z trawką pieści,
Strumyk mruczy, liść szeleści.
Gdzie kunszt z gustem połączony,
Wabi oko z każdéj strony;
Gdzie pan wśród miłéj zaciszy
(Mniéj dworszczyzny kiedy słyszy),
Czując, jak wolność szczęśliwa,
Po kłopotach odpoczywa.

Wpadłem więc w rozmaite uwagi, i ledwo nie moralne, nad zwyczajnemi i dworów i dworaków obrotami; wtém postrzegłem, wyjechawszy z Łazienek, przy drodze pustkę.

Pustkę znaczną blizko mostu,
Ale pustkę nie poprostu,

Umyślnie albowiem, jak mi powiadano, wystawiona była dla ozdoby miejsca.

Bo tak teraz każe moda:
Trzeba pustek do ogroda.

---

prawa posłów greckich r. 1578 dnia 12 Stycznia, jak się to pokazuje z listu Jana Kochanowskiego do Jana Zamojskiego, który położony w dziełach tegoż Kochanowskiego.

(1) Łazienki, gmach piękny w zwierzyńcu ujazdowskim, od Stanisława ks. Lubomirskiego marszałka w. K. zbudowany, od Augusta II króla Polskiego ozdobiony, nierównie wspanialéj od panującego teraz Stanisława-Augusta.

W tym rodzaju architektury rozumiem, iż rzadki nas naród przejdzie.

Idąc dalej przez ulicę,
Postrzegłem jakąś świątnicę;
Gust pięknej architektury,
Wieże, baszty, mosty, góry.
Więc się nieco zatrzymałem,
A gdy: co to jest? pytałem,
Chociażem pięknie przywitał,
Rozśmiał się ten, com go pytał.

I poniekąd miał sprawiedliwą przyczynę: dowiedziałem się albowiem od niego z niezmiernem mojem podziwieniem, iż zmówiłem pacierz przed kuchnią, a com dla baszty sądził fortecą, było gołębnikiem. Zawstydziłem się mojej prostoty wieśniackiej; a obracając rzecz ku pożytkowi duchownemu, rzekłem do towarzyszów:

Bracia, nie wszystko złoto, co się świeci,
Bije blask często od szychowych nici,
Mylą pozory.....

Chciałem dalej rzecz prowadzić, ale chęć ziewania przeniosła się nieznacznie od słuchaczów do mnie, a w tem się zaczęły zdaleka ukazywać:

Owe wspaniałe pięknych gmachów szczyty ([1]),
Gdzie niegdyś rycerz sławny, znamienity,
Co męztwem swojem narody zdumiewał,
Wielki Jan trzeci pod laury spoczywał.
Tam laty, pracą, troskami znużony,
Słodził w zaciszu niesmaki korony;
Tam pokój znalazł wśród chwili niezręcznych,
Tam świat pożegnał, i ziomków niewdzięcznych.

Z uszanowaniem zastanowiłem się, i patrzałem na miejsce udeptane ślady wielkiego człowieka. Zdaje mi się widzieć go w cieniu owych rozłożystych jaworów, przechodzącego się z pisarzem anty-

([1]) Wilanów, upodobane miejsce spoczynku Jana III króla; sam on włoskim kształtem dom ozdobiony wymurował, ogród przy nim założył. Tamże i życia dokonał r. 1696; panował lat 22. August II rozszerzył to mieszkanie, i wiele mu ozdoby przydał; do tej zaś pory, w której teraz jest, przyprowadził August książę Czartoryski wojewoda Russki.

Lukrecyusza (1); rozmawiającego z godnym posiedzenia swojego Lubomirskim (2); przypominającego ze słodyczą dawne dzieła z Jabłonowskim (3); słuchającego rytmów poważnych Chrościńskiego (4). Zdawało mi się widzieć zestarzałych pomocników wielkich dzieł jego, przybliżających się ku niemu z uszanowaniem, całując z rozrzewnieniem tę rękę, którą nieprzyjaciół ojczyzny gromił, orzeźwionych słyszeniem jeszcze głosu tego, który hasłem bywał zwycięztwa. Oderwać mi się przyszło gwałtem od Wilanowa,

A porzucając te ślady,
Rzekłem: o dzielne przykłady!
O miejsce wiekom szanowne,
Czułym sercom zbyt wymowne!
Wzniecaj do prawéj ochoty,
Wzbudź w następcach ojców cnoty!

W uciszeniu i myślach dalszą podróż odprawowałem; i gdy się już przy nader mocnych upałach ku południowi zabierało, stanąłem:

Utrudzony niezmiernie
W owéj sławnéj Jeziernie.

Nie wiem, czy godne zastanowienia miejsce, które raczéj osławionéem, niżeli sławném zwać należy.

Tam w niezmiernéj cholerze,
Rozjuszeni rycerze,
Dla przymówki, lub flaszki,
Kładą życie za fraszki.

Częstokroć i nie kładą, a natychmiast rozlanie krwi wino zastępuje. Z przeproszeniem rycerzy, ja to wolę.

Wdzięczniejsza zgody, niźli bitew postać,
Lepiéj się upić, niż w łeb kulą dostać.

---

(1) Pisarz anty-Lukrecyusza, wierszem wybornym łacińskim, kardynał de Polignac, naówczas poseł francuzki w Polsce.

(2) Stanisław Lubomirski, marszałek wielki koronny, o ktorym wyżéj była wzmianka, mąż wielce uczony, jak to znać z pism jego na świat wyszłych.

(3) Stanisław Jabłonowski, kasztelan krakowski, hetman wielki koronny, godny współecznik dzieł wielkich Jana III-go, przyjaźnią ścisłą i powinowactwem z nim złączony.

(4) Chrościński, sekretarz króla Jana III, poeta w czasach swoich znakomity. Miedzy innemi dziełami jest Farsalia Lukana, od niego na wiersz polski przełożona, którą Janowi III przypisał.

Postępując dalej;

Gdy ciekawość coraz wzrasta,
Postrzegłem coś nakształt miasta ([1]).

Że to coś, była Góra, kto miejsca świadom, łatwo się domyślić może.

Domki szczupłe, tych niewiele,
A zaś kościół przy kościele.
Zamiast miejsca, gdzie gospoda,
Dom Piłata, dom Heroda,
Kaifaszowe piwniczki,
Porozrzucane kapliczki,
Miejsce Piotrowéj ucieczki,
Most przez Cedron, a bez rzeczki;
Zgoła wszystko niezamożnie,
Pusto, głodno, lecz pobożnie.
Rozwalone przez połowę,
O miasto wielkopiątkowe!
Życzę ci jak najgoręcéj,
Mniéj kapliczek, karczem więcéj.

Widzieć się dalej dają, ponad Wisłą, wieże zamku niegdyś Czerskiego, znaki smutne dawnéj wspaniałości miast naszych, niedaleko ujścia Pilicy do Wisły;

Ta, nim swe wody wyleje na morze,
Wspaniałym biegiem żyzne brzegi porze;
Niosąc w zdobyczy krajowe dochody,
Żywiącym plonem podsyca narody.

I Pilica jéj dopomaga, którą przebywszy,

Piękny się widok Mniszewa otworzył ([2]),
Równie się wdzięcznie w Gruszczynie ([3]) powtórzył.

([1]) Góra, miasteczko rozmaitych panów i zgromadzeń duchownych, dziedziczne niegdyś Wierzbowskiego, biskupa poznańskiego, który tam Kalwaryą i stacye z podobnym wymiarem, jak są święte miejsca Jerozolimy, założył.

([2]) Mniszew, majętność księcia Sapiehy, kanclerza w. litewskiego, i w niéj ozdobny pałac.

([3]) Gruszczyn, majętność ś. p. zacnego ministra Stanisława ks. Lubomirskiego, marszałka wielkiego Koronnego, a w niéj kształtna rezydencya, którą tenże z gruntu wymurował.

Mimo dość ozdobnie wznoszący się z dawnych pustek Magnuszów ([1]).

Stanęliśmy w Ryczywole ([2]),
O którym zamilczyć wolę;

A jeżeliby się kto koniecznie przyczyny milczenia mojego domagał, ta jest, a nie inna, iż najlepiéj tam milczyć, gdzie nie masz co powiedzieć.

Przejechaliśmy przez Kozienice, okoliczną puszczą i łowami monarchów sławne.

Co w tém mieście nie nowina:
Są przechadzki Bernardyna ([3]);
Chodzi, mówią, czasem do dnia,
W ręku kosztur, lub pochodnia,
A zazwyczaj głupich straszy.

Więc się go moi towarzysze nie zlękli; jakoż pełni odwagi, puściliśmy się zmrokiem ku miejscu jego przechadzek; postrzegliśmy, prawda, zdaleka światło, ale to było z okien Janikowa, wsi opata sieciechowskiego.

Tego opactwa byłeś nominatem ([4]),
O Kochanowski! przecież być opatem
Nie chciałeś. Kontent z tego, co los niesie,
Osiadłeś w gnieździe swojém Czarnolesie.
Wybacz o mistrzu! nie znałeś się na tém,

([1]) Miasteczko niegdyś dziedziczne Potockiego, teraz Jędrzeja Zamojskiego, przeszłego wielkiego kanclerza koronnego.

([2]) Jak tylko się o czém zamilcza, tak tém bardziéj noty na to kłaść nie trzeba.

([3]) Z okazyi meteorów, w nocy niekiedy tam się pokazujących, bajka ta urosła między pospólstwem.

([4]) W życiu Jana Kochanowskiego, przez Starowolskiego pisaném, jest wzmianka o téj nominacyi, i sam to zdaje się utwierdzać w rytmie swoim, między fraszkami położonym:

Do gór i lasów.

Dziś żak spokojny, jutro przepasany
Do miecza rycerz; dziś między dworzany
W pańskim pałacu, jutro zasię cichy
Ksiądz w kapitule; tylko że nie z mnichy,
W szaréj kaplicy, a z dwojakim płatem;
I to czemu nie? jeśli-że opatem.

Nie złe to rzeczy zostawać opatem!
Sława, dźwięk próżny; bogactwa istotą!
Laur tylko zdobi; uszczęśliwia złoto!

Zawstydziłem się i wstydzę myśli tak podłéj, nie zmażę jednak tego, com napisał; zmarszczy się Naruszewicz, ale Tepper pochwali. Gdyśmy zmierzali już ku Sieciechowu, z drugiéj strony Wisły dał się widzieć Gołąb ([1]).

Gdzie nasz biedny ów król Michał,
Gdy go z tronu prymas spychał,
Podstępom swoich zdradzieckim
Dawał odpór przy Czarneckim.

Był-ci i drugi naówczas podszczuwacz do złego dzieła, ale darujmy wielkiemu mężowi przywarę ludzkości:

Niedługo się on przepościł,
Dostał to, czego zazdrościł.

I uznał doświadczeniem, iż im wyższy stopień, tem dotkliwsze umartwienia.

Los go ciężki srodze chłostał:
Za pokutę królem został,
A gdy już był równy stanem,
Zemścił się Michał nad Janem.

Dosc tego o Gołąbiu, i o gołąbskiéj konfederacyi; nocą pojechaliśmy do Sieciechowa.

Ten, który na wojnie tchórzył,
Sieciech ([2]), swój dom zakapturzył.
I z tchórzów czasem pociecha!
Gdyby nie było Sieciecha,

([1]) W roku 1672, przeciw Prażmowskiemu i partyzantom jego stanęła sławna konfederacya Gołąbska, pod dyrekcyą Czarneckiego, pisarza polnego koronnego, reassumowana na sejmie warszawskim w następującym roku.

([2]) Jest wieść, iż opactwo Sieciechowskie Benedyktynów, fundowane przez Bolesława Chrobrego, i przez Sieciecha Toporczyka uposażone, miało póżniéj za Bolesława Krzywoustego zyskać część konfiskaty Sieciecha, wojewody krakowskiego, który z bitwy sromotnie uciekł. Ale Bielski twierdzi, iż nazwisko tego wojewody umyślnie zataiły dawne kroniki, dla oszczędzenia potomków.

Państwu, naukom potrzebne,
Nasze ojcy przewielebne,
Nie miałyby tu siedliska.

Postanowiłem go odwiedzić, a tymczasem rozmyślałem na podsieniu:

Wielce strudzony przy głodzie,
O Sieciechowéj przygodzie.

Niech wybaczą przewielebni ojcowie, ale kto w ich karczmie nocuje, albo popasa, jeżeli się myślą nie zasili, próżno innego posiłku spodziewać się ma. Przecież sen smaczny wzmógł nas utrudzonych. Nazajutrz, gdy słońce wschodziło, udaliśmy się do opactwa:

Zaraz nam się widzieć dała
Struktura piękna, wspaniała:
W kształtném rzeźby udawaniu,
Dziwiłem się malowaniu;
Bardziéj jednak, niż strukturze,
Iż ksiądz opat ([1]) śpiewał w chórze.

Po nabożeństwie zaprosił nas do swojego pomieszkania; tam dowiedzieliśmy się, iż wkrótce ([2])

Wyznaczone z zwierzchności osoby przybędą,
Aby dzielić opactwem, kaptur z rewerendą,
A opatrzywszy mnichy odzieżą i wiktem,
Pogodzą się Piotr święty z świętym Benedyktem.

Jak najpomyślniejszéj ugody życzyłem przewielebnym ojcom; siadając zaś do pojazdu, obróciłem się ku nim, i rzekłem:

Bracia! kiedy się z mocnym słaby dzieli,
Jeden się smuci, a drugi weseli.

Dali znać skłonieniem głów, iż moja maksyma prawdziwa, a z każdego postaci uznałem, iż czuli, kto słabszy. W dalszą się podróż puszczając ku Gniewoszowu, umyślnie z drogi zboczyłem, chcąc od-

---

([1]) Leonard Prokopowicz.
([2]) Wkrótce nastąpić miała eksdywizya dóbr opactwa między kommendataryuszem, opatem klasztornym i zgromadzeniem.

wiedzić Czarnolas (¹). Przebywszy dość złe przeprawy, gdym z gęstego gaju wyjechał, ukazało się owo ulubione ojczyste gniazdo Kochanowskiego.

Darmo szukałem w odmianie wieczystéj
Owéj rozkosznéj lipy rozłożystéj (²),
Pod któréj niegdyś ulubionym cieniem,
Wdzięcznym mąż wielki rozrzewniał się pieniem.

Widziałem miejsca, w których się zabawiał,
Miejsca, gdzie wdzięczne sobótki odprawiał,
Gdzie grzebiąc dzielne przymioty w ukryciu,
W ziemiańskiém szczęście upatrywał życiu.

Wdzięczny strumyku! przy twojéj on wodzie,
Swojéj się szczupłéj przypatrywał trzodzie;
Laurowy oracz z ojczystemi chłopki,
Gromadził w żniwa plenne swoje snopki.

(¹) Czarnolas, o milę od Sieciechowa, wieś niegdyś dziedziczna Jana Kochanowskiego, czego dowodem napis, który się w dziełach jego znajduje:

Na dom w Czarnolesie:

Panie, to moja praca, a zdarzenie twoje
Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoje.
Inni niechaj pałace marmurowe mają,
I szczerym złotogłowem ściany obijają,
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tém gniaździe ojczystém,
A Ty mnie zdrowiem opatrz i sumieniem czystém,
Pożywieniem uczciwém, ludzką życzliwością,
Obyczajmi znośnemi, nieprzykrą starością.

(²) Jest w fraszkach Kochanowskiego wiersz powtórzony do lipy. W jednym tak mówi:

Uczony gościu, jeśli sprawą mego cienia
Uchodzisz gorącego letnich dni promienia,
Jeślić lutnia na łonie, i dzban w zimnéj wodzie,
Tém wdzięczniejszy, że siedzisz i sam przy nim w chłodzie,
Ani mnie za to winem, ani pój oliwą;
Bujne drzewa najlepiéj dżdżem niebieskim żywą.
Ale mnie raczéj daruj rymem pochwalonym,
Coby zazdrość uczynić mógł nie tylko płonym,
Ale i płodnym wierszom, a nie mów: co lipie
Do wierszów? skaczą lasy, gdy Orfeusz skrzypie.

O wy! na żałość rodzicielską czuli,
Płaczcie z nim stratę najmilszéj Urszuli ([1])!
Płaczcie, a siedząc w zaciszy przy źródle,
Rznijcie pamiątki na ponuréj jodle.

W szczupłém siedlisku nad gmin się unosił,
A gdy mąż wieków bohatery głosił,
Czuł swoją wielkość, iż czasy potomne,
Ze czcią przyjmując dzieła wiekopomne,

Tam go postawią, gdzie stanąć zasłużył.
Los mu zawistny wieku nie przedłużył;
Dość żył dla sławy.....

A moje uwielbienia, ile niedostarczające wielkości jego, niech koniec mają. Dwa już wieki przeszły, miejsce się prawie tylko samo zostało, gdzie mieszkał; ale winna Polska czułości księcia Jabłonowskiego, wojewody Nowogrodzkiego, iż kupiwszy umyślnie tę majętność, ostatki domu wielkiego męża kształtném mieszkaniem przyozdobił; tak zaś budowlą rozporządził, iż dom, w którym mieszkał Kochanowski, nienaruszenie zachowany. Wierzyć należy, iż przy coraz bardziéj krzewiących się w Polsce naukach, miejsce to znamienite, uszanowanie zwykłe, winne śladom wielkich ludzi odbierać będzie.

Dalszéj podróży osnowa
Wiodła nas do Gniewoszowa,
Ztamtąd zmierzając ku lasku,
Miejsce cudowne na piasku;
Za nim ów widziany lasek,
A za laskiem znowu piasek.

Zgoła, przeciąg takowéj podróży byłby niemiły i przykry, gdyby się zdaleka nie ukazały:

Godne monarchów Puławy ([2]),
Gdzie syt wieku, szczęścia, sławy,
Młodzież ku cnocie sposobił
Starzec, co kraj przyozdobił.

([1]) Treny Jana Kochanowskiego, na śmierć córki swojéj Urszuli.
([2]) Puławy, majętność, niegdyś dziedzictwo Lubomirskich od Opalińskich przeszłe, przyozdobione pałacem wspaniałym i ogrodami przez książęcia Czartoryskiego, wojewodę russkiego, który tam często przemieszkiwał.

W żałobę przybrani słudzy ukazywali nam ogrody i pałac; czułość ich i rozrzewnienie pochwałą były widoczną pana, którego świeżo utracili. Przejeżdżając przez Kurów, postrzegliśmy przy drodze saméj kształtny budynek, a że kościół był blizko, domyśliłem się, iż to mieszkanie proboszcza:

Więc widząc na przysionku piękną kolumnatę,
Pomyślałem: dobrą tu ma proboszcz intratę.
I zgadłem; proboszcz kontent, a przestając na tém
Co posiada, rzetelnie zdał mi się bogatym.

Coraz zbliżając się ku Lublinowi, postrzegliśmy na boku ostatki dąbrowickiego zamku, opuszczonego teraz, sławnego jednak w historyi naszéj ztąd, iż był gniazdem i siedliskiem familii Firlejów. Winni oni byli wzrost swój zasługom, ale i protekcya królowéj Bony niepomału do uszczęśliwienia ich pomogła.

Ta, co od nas uciekła z niezmiernym połowem,
Chytra, chciwa, lubieżna, Włoszka jednem słowem.
Co się przy pańskich dworach dość zwyczajnie dzieje,
Tém, co zdarła od drugich, stroiła Firleje.

Nie daleko tego miejsca Babin ([1]):

Gdzie Pszonka, dobréj myśli chcąc być sprawcą,
Nowego państwa został prawodawcą;

([1]) O tym Babinie Sarnicki w dziełach swoich, pod rokiem 1560, taką czyni wzmiankę: „W tymże samym czasie (to jest w r. 1560), rzecz ucieszna i bardzo przyjemna od niektórych obywateli w województwie Lubelskiém wymyślona była. Ustanowili oni niejako społeczeństwo, lub zgromadzenie, które rzecząpospolitą Babińską zwali dlatego, iż jéj wynalazcą był Pszonka, dziedzic wsi Babina; i tak to miejsce przejeżdżającym, przez wspomnienie na to, co się w niém działo niegdyś, bywa przyczyną rozweselenia. Ludzie żartobliwego humoru umyślili towarzystwo swoje nazwiskiem rzeczypospolitéj upoważnić, a dla większéj okazałości na wzór innych państw, mieli senatorów, ministrów i urzędników. Sposób wybierania na takowe stopnie był takowy: ktokolwiek nad innych, czyli w publiczném, czyli prywatném posiedzeniu chciał się wynosić, kładli go na czele. Rozszerzał się kto zbytnie w mowie nad rzeczami, jego stanowi mniéj przyzwoitemi, pewien był miejsca w senacie babińskim; kto się z prawdą ominął, albo przynajmniéj co mniéj podobnego do prawdy powiedział, tego posłem, albo urzędnikiem stanowili; kto się niewcześnie z waleczności chełpił, tego rotmistrzem, lub pułkownikiem wojsk rzeczypospolitéj babińskiej kreowali. Dlatego do naprawy obyczajów, mówienia roztropnego, nauczania obyczajnéj wstrzemięźliwości, żart ten był bardzo pożyteczny.“ Dodaje daléj Sarnicki, iż to zgromadzenie ze śmiercią Pszonki, który był starostą, i Kaszowskiego kanclerza, ustało.

O Kaszowskim, wspomina tenże pisarz, iż był jeszcze za jego czasów, i był sędzią ziemskim lubelskim.

A za tak sławnym idąc przewodnikiem,
Kto głupstwo zrobił, został urzędnikiem.
Gdyby tych indziej używano względów,
Byłby niezmierny nacisk do urzędów.

Zbliżając się ku Lublinowi,

Ja, który z łaski Bożéj pieniaczem nie jestem,
Bojąc się spotkać z pozwem, albo z manifestem,

Stanąłem na Wieniawie, sławnéj piwnicami.

A gdym się o nowiny badał u Węgrzyna,
Rzekł — Źle się w Polsce dzieje, już nie chcą pić wina.
Popsuł wszystko obyczaj jakiś nowomodny;
Przedtém winne bywały, dziś trybunał wodny.

Dopomogliśmy przy flaszce wzdychać Węgrzynowi, a uprowidowani na drogę, wjechaliśmy w stołeczne miasto województwa lubelskiego:

Gdzie, jakoby na przemiany,
Pomieszane wszystkie stany,
Wadzą się i gryzą społem.
Z strachem ratusz ominąłem.
Tam pod tronem, pieniactw jędza,
Ziemianina, kupca, księdza,
Gdy się jadem wzdęta zżyma,
U nóg swoich w pętach trzyma.
Wśród wrzasków, jęczeń, lamentów,
Wpośród stosów dokumentów,
Chciwość na zysk zdradnie czuwa,
Zjadłość nędzarzów podszczuwa.
Godne bożyszcza kapłany
Podstęp czynią naprzemiany;
Możne pieniactwa okupem,
Panoszą się nędznym łupem.

Takie zwykły bywać siedliska pieniactw. a że nie masz, jak mówią, reguł bez ekscepcyj, przykładność sędziów, których zastałem, pewną rękojmią, iż się do nich ten opis nie stosuje.

Późno w noc wyjechaliśmy z Lublina. Stanęliśmy na nocleg we wsi, a że i potoczne okoliczności wypisać nie zawadzi, zastaliśmy w karczmie wesele chłopskie.

Miły to widok, kto ma czułe serce,
Gdy rodzaj ludzi, miany w poniewierce,
Rodzaj szacowny prostéj kmiotków rzeszy,
Po dziennéj pracy wieczorem się cieszy.
Tam radość szczera, uprzejma, prawdziwa,
To, co jest w sercu, na widok odkrywa.
Nie masz obłudy, zazdrości i plotek;
Śpiewa piosneczkę pośród tańca kmiotek;
Niefrasobliwe o przyszłe dorobki,
Skaczą wesoło ochocze parobki;
Fałszywym tonem skrzypiciel rzępoli,
A młodzież wiejska, wśród płochéj swawoli,
Skoczne hołubce wybijając pięty,
Tańcuje żywo z raźnemi dziewczęty.

Miły to wprawdzie widok, przejeżdżającym jednak i snem zmorzonym nienajpożądańszy, zwłaszcza, iż się ochota przez całą noc przewlekła.

Więc wdzięk skrzypków w uszach mając,
Jechaliśmy poziewając,

I stanęliśmy w Wysokiém [1].

Gdzie wdowa, a niemodna, z zgorszeniem Warszawy,
Zamiast gotowalnianéj istotnéj zabawy,
Podłą się pracą bawi, śmie myśléć o roli,
I wpośród kmieci swoich bardziéj mieszkać woli,
Niż błyszczéć w wielkim świecie...

Zgorszył mnie takowy sposób myślenia i postępowania; będąc zatém w jéj domu, zaraz to sobie w myśli ułożyłem, iż ją przed wielkim światem (tak albowiem teraz z francuzka stołeczne miasta zowią) oskarżę.

Dobrze to było niegdyś, gdy prababki nasze
Wiedziały, kiedy bydło szło z obór na paszę.
Inny wiek, inne prawo; za wdziękiem i modą,
Damy, zwyczaj płci pięknéj przyzwoitszy wiodą.

---

[1] Wysokie, miasteczko, dziedzictwo Jabłonowskich, pod dożywociem z Sapiehów księżnéj Jabłonowskiéj, wojewodziny bracławskiéj.

Mogą dumać o trzodzie, lecz co Filis pędzi,
A wsparte na wygodnéj kanapy krawędzi,
Rozmyślać o pasterzach, o rolach, zagonach,
Lecz pasterzach, oraczach, Dafnisach, Damonach.

Jeżeliby na tém mogło poniekąd szkodować gospodarstwo wewnętrzne domów, podłośćby to była równać takową szkodę z oczywistym zarobkiem, wsparciem, i rozkrzewieniem dobrego gustu.

Trakt dalszy na Goraj.

Kraj górzysty i niepłodny
Nocleg, popas niewygodny,
Przewodniki bałamutne,
Droga ciemna, lasy smutne.

Taka była przeprawa nasza do miasteczka Biłgoraja.

Zaszczyt jego wieloraki:
Sławne w sita i przetaki

A co większa i w jubilery niepoślednie.

Jakoż wyborne klejnoty,
Po talarze pierścień złoty,
Dyamenty wielkiéj wagi,
Za dwa grosze trzy smaragi.

Zgoła dziwić się trzeba obfitości towarów i dobroci przedawaczów.

Że daléj jechać przyszło na nocleg, niewiele mogliśmy na galanteryach zyskać; mając zaś na sercu niegodziwe przeprawy, rzekłem:

Bodaj się człowiek dobry w tych stronach nie gnieździł!
Bodaj tylko wygnaniec temi ścieżki jeździł,
Bodaj ludzie nie kryły te dzikie szałasze:
A gdy chłopi na targi, albo na kiermasze
Do tych miejsc jeździć będą, pielgrzymując wzajem,
Niech klną tak, jak ja dzisiaj, Goraj z Biłgorajem.

Ulżyłem sobie nieco tém przekleństwem, a gdym ku Tarnogrodowi zmierzał, postrzegłem przy drodze za mostem słup; co na nim, nie wyrażam: westchnąłem przejeżdżając. Zatrzymała mnie jednak

ciekawość przy owej karczmie, gdzie, jak powiadają, między Biłgorajem a Tarnogrodem, kozak jakowąś księgę znalazł.

Pytałem gospodarza, zkąd wieść poszła taka?
Rzekł z przysięgą: — i księgi nie znam i Kozaka.
Chciałem więc reszty szukać, a gdym Żyda sfukał,
Znalazłem, ale wcale nie tę, któréj-m szukał.

Regestra były akcyzy od towarów i kupców przejeżdżających. Rodzaj ksiąg takowych pożyteczny, ale niezabawny. Jechaliśmy do Tarnogroda.

W tém miejscu Ledóchowski próżnéj pracy użył;
Zaszkodził on niewinnie, bo mniemał, iż służył.
Godzien jednak wspomnienia, pragnąc dobrze czynić.

Zeszłoby do wiersza: kogo? jak? dlaczego winić? ale to do historyi, nie do listu należy.

Sieniawa była na drodze, siedlisko już zeszłego, a zasłużonego w kraju domu. Następował Jarosław,

Sławny panami, w których ręku bywał.
Tam dziedzic z Sprowy zacny odpoczywał;
Tam, które ciągła potomność pamięta,
Miały siedlisko Ostrogskie książęta.
W buncie niewiernych, co szukał pomocy,
Tam przytulenie chciał znaléźć Rakocy.
Z wiekiem i zwykłą wiekowi odmianą,
Brały w dziedzictwo ziemię pożądaną
Domy najpierwsze. Miasto okazałe,
Gmachy poważne, świątnice wspaniałe,
Ale czas zwykłe zdziałał alternaty:
W świątnicy nauk dziś stoją warsztaty.

I tu był wstęp ku uwagom. Ruszyłem się daléj, a gdym ku pobliższemu lasowi zmierzał,

Niebo zaczęło się chmurzyć,
Wiatry wzmagać, świstać, burzyć,
Deszcz rzęsisty wskroś nas zmoczył.
Blask piorunów oczy mroczył.
Szukający przytulenia,
Mniéj czuli na utrudzenia,

Między topolą a jodłą,
Znaleźliśmy chatkę podłą.

Schroniliśmy się do niéj, a widok ostatniéj nędzy gospodarza przyczynił nam jeszcze dotkliwego uczucia:

O potrzebo odpocznienia!
Wśród tak nędznego schronienia
Dałaś uczuć, jak sen smaczny!
Na wygody zbyt dziwaczny,
Choć w najprzykrzejszéj postawie,
Znalazłem wdzięk, śpiąc na ławie.

Niedługo trwał; trzask piorunów obudził mnie. Gdy się burza uspokoiła, jechałem do wsi blizkiéj, a ztamtąd,

Przebywszy góry, brody, rzeki, piaski,
Przebywszy bory, puszcze, krzaki, laski,
Przebywszy miasta, miasteczka i wioski,
Upały, burze, niepogody, troski,
Po zbyt trudzących pracach odpocząłem,
W ojczystém gnieździe z radością stanąłem.

Darujesz W. X. Mość zwyczajnéj przywarze pielgrzymujących nadto może obszerne miejsc i rzeczy opisanie, gdy w chęci opisującego uznasz szacunek i przyjaźń, z którą zostaję.

Powrót do Warszawy.

Opisawszy wyjazd z Warszawy, zostaje powrót:

O! miejsce słodkie gdzie się urodziłem ([1])!
W tobie los zrządził pierwszy wątek życia,
Wyszedłem na świat; co zdarza, użyłem;
A czas długiego wśród ludzi przebycia
To zdziałał: gdyby się można odrodzić,
Lepiéjby było z ciebie nie wychodzić.

Wyszedłem, tak kazało przeznaczenie; trzeba było opuścić ulubione gniazdo, i

([1]) Dubieck, miasteczko założone od Piotra Kmity, marszałka wielkiego koronnego, od lat dwóchset dwudziestu Krasickich, w posessyi teraz Antoniego hrabi Krasickiego.

Bieżąc w zapędy za szczęściem mniemaném,
Powziąwszy korzyść, gdy się zdał los śpieszyć,
Stać się bez winy cudzym i wygnanym,
I przeszłą tylko pomyślnością cieszyć.

Te były myśli wyjeżdżając. Zwróciłem oczy, tracąc luby widok, i przymusiłem się drugi raz oczu nie zwracać; a teraz przymuszam się trzeci raz, żeby mnie zapęd rymotwórstwa nie zarwał. Jakaby tu bowiem była sposobność do elegii, gdybym się chciał rozpostrzéć nad pożegnaniem

Gór, pagórków i gaików,
Lasów, źródeł, i strumyków!

Trzeba było wyjechać; przecież że się to stało w dobrém towarzystwie i po rzęsistém śniadaniu:

Ten, co wszystkie troski tłumi,
Dał znać trunek, co on umie.
Raźno, ochoczo się działo;
Znikły, gdy się wyjeżdżało,
Góry, pagórki, gaiki,
Lasy, źródła i strumyki.

I nieźle to, według zdania ojców naszych, przy żalu trunek,

Nie taki, który obrzydle
Przemienia człowieka w bydlę.
Taki jednak co ochoczy,
Wzmaga, cieszy, a nie mroczy.

I że nie mroczył, pokazało się to, gdyśmy wkrótce postrzegli Krasiczyński zamek ([1]).

Jego się znamieniem zwali
Ci, którzy go budowali,

ci, których mi wspomnieć miło, ale ci, którzy nie pozwalają, ażebym się nad jego starożytnością i wspaniałością zastanowił. Nad

---

([1]) Krasiczyn, zamek w nim założony od Stanisława Krasickiego kasztelana przemyskiego, dokończony przez syna jego Marcina hrabię Krasickiego, wojewodę podolskiego, w roku 1613.

czém się zastanowić i sprawiedliwie należy, jest droga wygodna, kosztowna, wspaniała, dzieło godne wdzięczności potomnych wieków.

Kędy niegdyś straszyły zarosłe manowce,
A klął drżący podróżny okropne wapowce,
Miłym się teraz cieszy, zastanawia dziwem,
Rączym Sanu płytkiego szumiące upływem,
Widok z niegdyś dzikiego czyniące wspaniały;
Pienią się, już niestraszne przechodzącym, skały.

Przemyśl się zatém ukazał:

A w kraju niegdyś swoim, przychodnie i goście,
Przez San upokorzony przeszliśmy po moście.

Udałem się do kościoła katedralnego:

Gdzie, jakto bywa zwyczajnie na świecie,
Niegdyś i ja téż siedząc w mantolecie,
Do chóru skrzętny, czy się los pomnoży,
Szedłem dla grosza i dla chwały bożéj.

I powiodło się; z tego miejsca,

Działającego uprzejmie, choć z prosta,
Zrobił szczęśliwym proboszcza starosta.

A jakże tu zastanowić się nad Przemyślem! Niedługo jednak można było w nim bawić; czekano z obiadem w Hurku:

Gospodyni, Polek dawnych ([1])
Jeszcze mi postać stawiała,
Polek owych cnotą sławnych;
Zmarszczki dobroć okraszała,
Czuła, wdzięczna do ostatka,
Prababka, babka i matka.

Nocleg był w Krakowcu:

I lat czterdziestu przyjaciel ([2]),
I lat czterdziestu bez zmiany,

([1]) Franciszka z Jezierskich, pierwszém małżeństwem Charczewska, kasztelanowa Słońska, powtórném Rosnowska.
([2]) Ignacy Cetner, wojewoda bełzki.

Dawnéj cnoty oznaczaciel,
Kochający i kochany.

Ten był, który mnie przyjął. Pożądane tam było zastanowienie się moje, i dla gospodarza i dla miejsca, gdziem moje pierwsze lata strawił. Wspaniały teraz Krakowiec nie był takim, gdym ja w nim przebywał.

Nie kształciły go rzemiosła,
Przecież mi się piękny zdawał:
Żywiéj wówczas trawka rosła;
Jam czuł, zyskał i doznawał;
W pożądanéj wieku wiośnie
Z nami wszystko wdzięcznie rośnie.

Po kilkodniowém zabawieniu się w Krakowcu, przypadł trakt dalszy podróży na Jaworów, miejsce niegdyś upodobane króla Jana. Już i śladów nie było, i jego mieszkania, i jego ogrodu, i jego zwierzyńca, którem ja niegdyś widział.

Pożarł wszystko czas łakomy!
Mrą i ludzie, mrą i domy.

Przebywszy Skło ([1]), siarczystemi źródłami sławne, przyjechaliśmy do Janowa. Tam w przysionku kościoła czytałem nagrobek Konstancyi Poniatowskiéj, kasztelanowéj krakowskiéj:

Uczyniłem godną, tę matronę wielką,
Być matką królów i nauczycielką.

Lwów się zatém ukazał:

I wspanialszy i ludniejszy,
Jednak przedtém, choć był mniejszy,
Choć mniéj ludny, mniéj kształtniejszy,
Gdy był swoim, był wdzięczniejszy.

Nie bawiłem się w nim długo. Trakt dalszy szedł do Żółkwi na Kulików:

([1]) Skło, wieś należąca do starostwa jaworowskiego, w niem źródło wód mineralnych. O ich przymiotach i użyteczności jest książka sławnego niegdyś lekarza lwowskiego Syksta; jéj tytuł: „O cieplicach we Skle“.

I tu ślad dziedzicznéj ziemie
Bohatera, co bił Turki:
Niewolników dotąd plemię
Tka kobierce, koce, burki;

Nie żem potrzebował, ale oddając hołd zwycięzkiemu tych rzemiosł ustanowcy:

Żarliwiéj ujęty sercem,
Z burką, z kocem i z kobiercem

Przyjechałem do Żółkwi. Że było już późno w nocy, trzeba było odłożyć nasycenie ciekawości do jutra.

A że w złéj izbie czekać trzeba było rana,
Myślałem, nie tak było tu za króla Jana.

A natychmiast druga myśl przyszła:

Nie szukali wygody i miękkiego pierza,
Zwycięzne domowniki monarchy rycerza.

Zabrałem się do spoczynku w czułych myślach, które sławne miejsca nadawać zwykły. Nazajutrz szedłem oglądać zamek, i znalazłem

Nie gmach z szczytu, z posągów, z kolumn okazały,
Dom miernością szacowny, mieszkańcem wspaniały.

Zdawał mi się być najwyborniejszéj architektury, albowiem mnie się zdaje,

Iż mówiono i za Leszka,
To dom zdobi, kto w nim mieszka.

Ale ichmościom architektom, którzyby się może tym prostym sarmackim wyrazem urazili, mam honor powiedzieć, iż to ich kunsztowi bynajmniéj nie uwłóczy; i owszem wolno, i pięknie na stotysięcznéj wiosce stawiać pałac dwakroćstotysięczny. Szedłem do kollegiaty wspaniałéj, dawniéj albowiem,

Chociaż dom bywał w dość wspaniałym progu,
Wspanialsze cnota poświęcała Bogu.

Zbliżywszy się do nagrobku Żółkiewskiego, postrzegłem, iż dawny napis był zmazany, a natychmiast dowiedziałem się od pokazującego, iż (¹) pradziadowi swojemu te słowa, które się dotąd dają widzieć, położył król Jan:

Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor.

Odmieniać nagrobki, mazać napisy, nie rzecz; ale godziło się dawny napis odmienić temu, który

Święte pradziada swego uwielbiając zwłoki,
Pradziada, co był kraju zaszczytem, podporą,
Zemścił się dnia onego, kiedy w Dniestr potoki
Krwi polskiej pod fatalną płynęły Cecorą (²).

Nad grobem wyobrażone zwycięztwo klusyńskie, i onego skutek: wzięcie stolicy i carów (³).

Jak kołowrot wystawia w odmiennéj posturze,
Kto był na wierzchu w dole, kto w dole na górze,
Los jak z ludźmi i z państwy po swojemu igra;
Jego kunsztu to przemysł: kto przegra, kto wygra.

Widzieć się dają kunsztowne wyobrażenia zwycięztw pod Wiedniem, Strygoniem, i to co je poprzedziło, Chocimskie; po którém

Bracia swojemu walecznemu bratu,
Co je od hańby i straty ochronił,
Dali w nagrodę zaszczyt majestatu,
I spoczął na tym, którego obronił (⁴).

(¹) Stanisław Żółkiewski, hetman i kanclerz wielki koronny, z Reginy Herbutownéj miał syna bezpotomnego, Jana starostę hrubieszowskiego, i córkę Zofię Danielewiczównę, wojewodzinę Ruską. Z téj spłodzona Teofila Sobieska, kasztelanowa krakowska, matka króla Jana, wniosła w dom Sobieskich Żółkiew i Olesko, gdzie się ten wielki bohater urodził.

(²) Stanisław Żółkiewski, hetman i kanclerz wielki koronny, wyprawiwszy się za Dniestr przeciw wojskom tureckim, pod przywódzcą Skinder baszą w Multany weszłym, przy Cecorze mężnie się potykając, dokonał chwalebnego życia swego starzec siedmdziesięcioletni.

(³) W roku 1610.

(⁴) Po sławném zwycięztwie chocimskiém wkrótce dokonał życia Michał Wiśniowiecki, król polski, w roku 1672. W następującym obrany królem Jan Sobieski, naówczas marszałek i hetman wielki koronny.

Z Żółkwi trakt do Rawy. Ale cóż o Rawie powiedzieć? Właśnie tu jest toż samo, co się w pierwszéj podróży zdarzało z Ryczywołem.

Jednakże Ryczywół traci,
Tu są księża Reformaci.

Nie było czasu ich odwiedzić, ale w opisaniu jest sposobność uczynić o nich wzmiankę:

Uczciwi, dobrzy, otwarci,
Są wspomnienia zawsze warci;
W jakimkolwiek bądź gatunku,
I wspomnienia i szacunku.

I dlatego zastanawiam się nad ich wspomnieniem:

Chociaż kaptur wyszedł z mody,
Godna cnota jest nagrody.
Czy w odzieży, co czas wytrze,
Czy w kapturze, czyli w mitrze,
Mimo paklak, mimo złoto,
Zawsze jednak cnota cnotą.

Jadąc daléj pokazał się Łaszczów.

Niegdyś i tam owi byli,
Co nie próżno czas trawili;
Do oświecenia przywykli,
Tak jak światło, zgaśli, znikli ([1]).

W okolicach miłych i żyznych Zamość. Z wioski stało się miasto ozdobne, twierdza znaczna, kollegiata wspaniała, *universitas* liczna, a te godne monarchów dzieła, obywatel uczynił:

Dzielny radą, pismy, wojski,
Nieśmiertelny Jan Zamojski.

Wszedłszy do kościoła,

Grób jego nawiedzałem, jak świętość niezwykłą.
A choć, co było znikłe, zniszczało i znikło,

([1]) Jezuickie niegdyś collegium, fundowane w tém mieście dziedzicznéin, od Łaszcza koadjutora biskupa kijowskiego.

Ostatki, które trawią zbyt dzielne żywioły,
Czciłem, i łzami wielkie skrapiałem popioły ([1]);

Gdyby zadziwiły, odpowiedziałbym zadziwiającemu, pokazując grób tego wielkiego człowieka:

Słusznie, choć inaczéj mniemasz;
Takich trzeba, takich nie masz!

Przed kaplicą na filarze nagrobek Simona Simonidesa, a po naszemu Szymona Szymonowicza:

Słodkie jego Sielanki, który tylko czyta,
Czuje zsłowiaczonego wdzięki Teokryta ([2]).

([1]) W pobocznéj kaplicy kościoła kollegiaty zamojskiéj złożony ten wielki człowiek; napis grobowca:

Hic situs est Joannes Zamoyski.

Stało się to z wyraźnéj jego woli, w testamencie tak wyrażonéj: Sepultura corporis mei idem etiam templum Zamoscense praefinio, in quo, quod mortale est, consumatur et in terram, ex qua profectum est, revertatur. Ante aram hypogeum, sepulchri mei fiat stratum, lapide marmoreo nigro, meis insignibus impressis ac clava imperii militaris et sigilli regni insigne, non uberiori quam tali inscriptione, insignito: hic situs est Joannes Zamoyski.

([2]) Szymon Szymonowicz Lwowianin, jeden z najcelniejszych rymotwórców polskich. Sielanki jego, czyli własne, czyli z dawnych naśladowane, mogą się nazwać najwyborniejszém swego rodzaju prawidłem. Rytmy łacińskie szacowne, razem zebrane, niedawnemi czasy na świat wyszły. Siostrzeniec jego Solski, takowy mu położył nagrobek:

Simon Simonides; situs est hic, cui bene credas
Congessisse Charin omnia mella sua.
Versibus hic rigidas ducebat montibus ornos,
Et dulcis Suadae fluxerat ore melos.
Non illum latuit, quod pagina sacra docebat,
Quaeque canit, divae pagina justitiae.
Noverat et culti natantia sidera mundi
Noverat excellens, quid docet Hippocrates.
Principibus placuitque viris, sat ultus ab illis,
Illos consilio, mente bonaque juvans.
Jane Zamoyski! tuus fuit hic lectissimus olim
Cineas, rerum et flos dulcis amorque tuus.
Illius ingenio posuisti maxima rerum,
Ille Thomamque tuum surgere dat studiis.
Illustres animae! vos hic locus unus habebat,
Et nunc una domus post pia fata tenet.
Nil magnum spirate, o nil mortalia corda!
Gloria nil vestra est, nil quoque divitiae.

Umarł w roku 1624, mając lat 71. Z dzieł jego, wydanych w Warszawie 1772 r., pokazuje się, iż był domownikiem ulubionym Jana Zamojskiego, który mu dozór edukacyi syna swego powierzył.

Jechało się dalej:

A mówiąc rzecz obyczajnie,
Przez wsie, jakto wsie zwyczajnie,
Przez gościniec niezbyt prosty,
Przez niemurowane mosty,
Przez manowce dosyć kręte,
Przez lasy dosyć wycięte.

Zatém Krasnystaw. Niegdyś wielce wspaniały kościół jezuitów, teraz katedra Chełmska. Ziściło się tu znowu toż samo, co w Sieciechowie:

Synów swoich zabiegi, skutek skrzętnéj pracy,
Jak Benedykt, Piotrowi ustąpił Ignacy.

Z tą jednak różnicą,

Iż jednemu z zyskiem, z powagą, z wygodą,
Tu wielu, a ubogim dał wspaniałość z szkodą.

Szedłem do zamku, gdzie gdy mi pokazywano rozwaliny gmachu, i powiadano o tym, który w nim niegdyś przebywał; tak to mi się zdawało, jak gdyby kto zacnemu nieborakowi przypomniał, iż jego pradziad był wojewodą.

Daléj jadąc,

Ukazała nam się zręczna
Na przemysły swoje Łęczna.
Ormiany, Greki i Żydzi,
Na to hasło: Święty Idzi,

Zbiegają się hurmem ze wszystkich stron, i naówczas dokładnie się wydaje

Wsiom, miasteczkom, stolicom, dosyć znana sztuka:
Jak kto kogo, w czém kiedy, odrwi i oszuka.

Już nie było jarmarku, gdym przejeżdżał; obeszło się przeto bez kupna, to jest bez straty. Ciąg drogi do Lubartowa:

Tam potomek Lubarta, dzielną swoją dłonią,
Na Firlejów Lamparcie osadził Pogonią.

Był to Paweł książę Sanguszko, marszałek wielki litewski, mąż

staro-polską cnotą znamienity. Wszystko co ma Lubartów, jego dziełem; i Kapucyni. Odwiedziłem ich:

Choć nie są kształtem urody,
Mogą być grzeczne i brody.

I są. Sposób ich przyjmowania uprzejmy, ludzki. A i w kościele, i w mieszkaniach i w ogrodzie,

Nie wytwornych ozdób mnóstwo
Lecz w ubóstwie ochędóstwo.

Droga dalej na Kock:

Gdzie Wieprz płynie korytem wązkiem a głębokiem;
Taż sama pani w Kocku, która i w Wysokiem.

Przebywała naówczas w Siemiatyczach.

Wszystkim chłopom, mieszczanom, tego losu życzę,
Jaki mają Wysokie, Kock i Siemiatycze:

Nocleg przypadł w Syrokomli [1], i nie znalazłem karczmy; zgorszony dziedzica nieczułością, gdy się wypytuję, gdzie karczma, a po grzecznemu: austerya? pokazano mi budynek, który minąłem, nie mogąc sobie imaginować, żeby karczma mogła mieć tak ozdobny przysionek i facyatę. Nie byłbym się omylił, gdybym był przeczytał napis: *Podróżnym ku wygodzie.* Na innych takby należało napisać:

Przejeżdżającym ku szkodzie,
Panu, Żydom ku wygodzie.

Wielbiłem więc dziedzica:

Bodaj takowych było, bodaj było wiele!
Co dobrzy gospodarze i obywatele,
Kiedy zysk poczciwemi przemysłami kreślą,
I sobie dogadzają i o drugich myślą.

---

[1] Ta majętność dziedzicznem prawem, ile niegdyś królewszczyzna, nadana Firlejom: posiada ją ostatni z Firlejów potomek Scypion, podstoli litewski.

Wyrznąłem na szybie wdzięczność:

A jakto nie dziękować na drzwiach, lub na oknie,
Gdy nasycon podróżny ma wczas i nie moknie?

Dalej nie bardzo można było dziękować, tém bardziéj, iż

Czas nastawał sejmowy dwuletniéj rozprawy;
Więc gminy niezliczone razem do Warszawy,
Jak gdyby ją pochłonąć miały srogim szturmem,
Pieszo, konno, w pojazdach, waliły się hurmem.

W tym tumulcie,

Cel powrotu mojego, Warszawę gdym zoczył,
Mogę rzec, żem nie wjechał, ale żem się wtłoczył.

Do M. H. K. K. W.

Wyobrażenie życia ludzkiego, takby można uczynić:

Nieznacznie szczep mały wschodzi,
I nim starania nagrodzi,
Pielęgnujących troskliwość
Wznawia smutek i dotkliwość:
W skutkach często się zawodzi,
Kwiat spada, owoc nie wschodzi.

Gdy zejdzie:

Łudzą strzeżących nadzieje,
Czyli strzeżony dojrzeje,
Czy dojrzeje w własnéj porze.
Więc w trwogi; w nadziei sporze,
Gdy oczekują na przyjście,
Wzrasta bujny, ale w liście.

A choć i w owoc:

Zimno słabi, wiatr go wzrusza,
Słota niszczy, wędzi susza,
I choć trzymany w rezerwie,
Przyjdzie chciwy, niewczas zerwie.

Jeżeli go i to nie spotka:

Dojdzie, lecz bujność uwięzi.
Spełznie czasem na gałęzi;
Dojrzałego w smaku snadnie
Zniszczy robak, gdy się wkradnie.

Trafia to się często owocom i drzewom, częściéj tym, których owoce i drzewa są podobieństwem.

Do S. D. K. G.

Nadzieje mylą. Na te zwyczajne losu igrzyska przygotowanym być trzeba, a jak umiéć z szczęścia korzystać, gdy przyjdzie, tak, gdy się zwróci i oddali, strzedz się słabości zbytecznego zmartwienia.

Rozpacz, podłych dusz rzemiosło;
Zdarzenie zniszczyło, wzniosło,
To przypadek. W tém istota,
Gdzie duch mężny i gdzie cnota.
Nad los umysł, kiedy wielki,
Szczęścia płochéj rządzicielki,
Co nie warci, ci czciciele,
Czy kto mało ma, czy wiele,
Gardząc, czém się małość zżyma,
W tém, co czuje, większość trzyma,
Nie tego, co wart, nie wziął, los srogi udręczył,
Lecz tego, co znał, uczuł, mógł, a nie uwieńczył.

Do X. S. P.

Zagrzebanie się w domu jest czasem skutkiem uwagi, czasem melancholii, najczęściéj okoliczności, w których zostajemy.

Wielu się w swoich domach zagrzebało
Nie bez przyczyny, Ów, co zyskał, zgubił;
Temu się w dworskiém życiu nie udało;
Ten chciał znać ludzi, poznał i nie lubił.
Źli i otwarcie, źli i pokryjomu;
Rozum po szkodzie; najlepiéj żyć w domu.

Zabawno patrzyć na fortuny losy,
Jak jednych wznosi, drugich upokarza;
Jednakże martwią jéj dotkliwe ciosy,
A widok, który codziennie się zdarza,

Uczy, jak źle być w polu podczas gromu.
Cóż zysk z bojaźnią? Najlepiej żyć w domu.

Dobry dostatek, gdy się coraz mnoży,
A pora sprzyja, ażeby się mnożył.
I ten stan przecie nie raz możność trwoży;
Dzień jeden wspomógł, dzień drugi zubożył.
Bodaj żyć, złego nie życząc nikomu,
Sobie wystarczyć, i skończyć los w domu.

Do . . . .

Grzeczna powinność każe winszować odmiany stanu. Jest jedna z najmilszych, która nadaje życia towarzyszkę:

Więc winszuję,
I niesprzecznie;
Więc rokuję,
I statecznie:
Bo wiem, iż się dobrze darzy,
Gdy cnota związek kojarzy.

Pod tém hasłem, bez prorokowania spodziewać się wszelkiego dobra należy.

Tak nasze przodki
Małżeństwa wiedli;
Związek był słodki,
Który posiedli.
Cnotą złączone
Były te sprzęża:
Kochał mąż żonę,
A żona męża.

Najistotniejsza to jest życia okoliczność; jeżeli więc gdzie, tu roztropność wydawać się ma. Zastanowienie się nad krokiem decydującym przerażające:

Jakto się poznać?
Jak rzeczy doznać,
Żeby wiek oddać
I życie poddać
W tém, co zamężcie,
W nędzę lub w szczęście?

Zuchwały to jest azard: jednak tym świat stoi;
Mniéj czasem śmiały traci, niż co się zbyt boi.

Jeżeli więc w tym ważnym kroku zdarzy się zyskać, mówmy z Kochanowskim:

Trzykroć szczęśliwy, któremu ty zdarzysz.
Ten . . .

Jeżeli szkodować, kończmy z Kochanowskim:

. . . . ale zły towarzysz,
Odejmie wszystko, a troski w pół wieka
Zgryzą człowieka.

Do X. S. P.

Rok się stary kończy, nowy zaczyna, a zatém powinszowań bez końca:

Żyj lata Matuzalowe
Albo przynajmniéj połowę,
A choćby ćwierć dla igraszki!
Dwieście lat, i to nie fraszki!

Jeżeli koncept nie najwyborniejszy, życzenie uprzejme: proszę go tém sercem przyjąć, którém pisane, i zachowywać w szacownéj dla mnie przyjaźni.

Do S. M.

Doszły mię pisma, uwłoczące dobroci, i dobrze myślącemu i dobrze czyniącemu.

Sprosne pochlebstwo, niewarte względu,
Przechwalonego i chwalcę szpeci:
Wielbić wielkiego tylko z urzędu,
Dym-to jest znikły, co z wiatrem leci.
Ten chwały godzien, ten na nię robi,
Co z siebie chwalny, to czém jest, zdobi.

Nie truj, co zdrowe: godzienże jadu,
Kto zbytkiem tylko dobroci zgrzeszył?

Szukaj równego teraz przykładu!
Nie człowiek, kogo żart z cnoty śmieszył;
W kim serce czułe, czułość ostrożna,
Chwalić takiego nadto nie można.

Do S. P. W. R.

Przy nowym roku każe grzeczność winszować, a przyjaźń i szacunek czcze oświadczenia w istotne życzenia przeistacza.

Coraz gorsze chwile nastają, trzeba się uzbrajać przeciwko temu, co nastąpić może.

Im się bardziéj idzie w lata,
Tém powszechniéj to się iści,
Iż się dobro złém przepłata,
Więcéj szkody niż korzyści.

Choćby inszych strat i szkód nie było, ta bolesna, iż czas przeszedł, a im go więcéj przeszło, tém czuléj się postrzega, iż śpieszno uchodzi; jednakże,

Choć chwil przeszłych czuła strata,
Te uczucia są odmienne;
Nie żałuje rolnik lata,
Kiedy widzi snopki plenne.

Odpowiedź Bełżaninowi.

Pochlebna mi jest wielce odezwa WMPana, w któréj pragniesz, abym tak jak o Popielu i myszach, pisał o djable i o upiorach, i natychmiast już chrzcisz płód, jeszcze na świat nie wyszły, nazywając to przyszłe dzieło: *Upireidos*. Wieleby na to zagadnienie odpowiedzieć można; ja od tego zaczynam:

Gdy wiek rzeźki władał piórem,
Szły te rzeczy nie oporem;
Była jazda i dość żywa.
Teraz Pegaz odpoczywa.

Ale dajmy to, iż się rumak da dosiąść, a jeździec iż się jeszcze na nim utrzyma; natenczas toby się stało, co się podeszłym rodzicom przytrafia względem dzieci:

Choć starsze lepiéj dobrane,
Młodsze bardziéj ukochane.

A ztąd chęć mieć coraz młodsze, a te coraz młodsze, coraz niedołężniejsze:

Więc się już lepiéj nie biedzić,
W spokojności cicho siedzieć,
A gdy się żądze uciszą,
Patrzyć, jak téż drudzy piszą.

Upireidos, jeżeliby miała kogo nawrócić, to nawrócenie stosowałoby się do gminu, a gmin nie czyta. Ci zaś, co gminu uprzedzenie mają, chociażby i czytali, albo się nie domyślą, iż rzecz do nich, albo chociażby się i domyślili, uprzedzenia raz powziętego nie porzucą.

Nie przejdzie przez grube czaszki,
Dobroć moralnéj igraszki:

A co gorsza,

W żarliwości niewygasły,
Może jaki mędrzec spasły,
Jak sokół, ująwszy szponą,
Zgnębi Muzę przestraszoną;
I pokaże światu jawnie,
Równie mądrze, jak zabawnie,
Iż takiego żartownika
Trzeba mieć za heretyka.

Nie należy się dobrowolnie na niebezpieczeństwo podawać i narażać, a miawszy już doświadczenie po szkodzie, trzeba mieć rozum przed szkodą.

Gdyby jednak mimo to wszystko, chęć pisania, owa najzjadliwsza, a oraz najpowszechniejsza choroba piszących, przemogła, trzebaby w to wejrzeć, jeżeliby rzecz o upiorach była sposobna do poematu. Pierwszą osobą akcyi musiałby być djabeł: prawda, że u Miltona niepoślednie miejsce trzyma, ale tu byłby osobą jedyną, gdyż zwłoki martwe, w któreby wszedł, nie możnaby tak zwać:

W nich bowiem jak w masce chodzi,
A dopiéro jad rozwodzi
Wtenczas, gdy się rozrubaszy,
I po nocy głupich straszy.

Prawda, iż jak na wszystko jest sposób, jest też i na niego:

Póty bezpieczeństwo w masce,
Póty uciecha w igraszce,
Póty szkodzenia nadzieje,
Póki kogut nie zapieje.

Tak mi powiadała świętéj pamięci moja mamka. Ja w tém upatruję coś podobieństwa między djabłem a lwem (bo i o lwie mi też powiadała):

Więc jak z lwami niebezpieczno,
Z djabły i źle i wszeteczno.

Dajmyż upiorom pokój: jeżeli to djabła bawi,

Niech się po nocy przechadza;
Gdy się nieborak rozrucha,
Niech się w cmentarzach zasadza,
Niechaj wrzeszczy, niechaj chucha,
Niechaj sobie gdzie chce bieży,
Wdziawszy ciało jak opończę,
Niezazdrośćmy téj odzieży,
A ja na tém list mój kończę.

Do P. B.

Muszę się przyznać, iż nie wiem, zkąd zacząć i na czém kończyć, gdy powinszowania czynić należy. Rocznica Wmć pana nadchodzi, a ta rocznica czułości mojéj i pożądana i miła. Ale wyrażenia téj czułości, czyli raczéj zmyślania onéj, tak są powszechne, tyle razy powtórzone, tyle razy coraz inaczéj obrócone, iż jeżeli o czém, o tém najlepiéj mówić można, że cokolwiek się powiedzieć mogło, już to było powiedziane.

Bądź więcéj, niźli sławnym, więcéj niż bogatym!
Bądź więcéj; niż szczęśliwym! A cóż przyjdzie zatém?
Oto iżbyś przesadził i nie był szczęśliwym!
Miéj co masz, a miéj kontent, to szczęściem prawdziwém!

A jeżeliby jeszcze co więcéj los zdarzył, nie miałbyś się o co gniewać, i jabym się nie gniewał na nowo powinszować, i daj to Panie Boże!

Do . . .

Trudne zagadnienie, wybierać w postanowieniu między bogatym, grzecznym, a rozumnym: gdyby był czwarty wyrażony, a miał w podziele roztropność, byłby mi oszczędził pisma. Bogactwa do wszystkiego sposobią, grzeczność uprzedza, rozum wymaga szacunku, ale też bogaty bez grzeczności, grzeczny bez rozumu, rozumny bez obojga, niewiele ważą.

Jakże wybrać? rozumny ponury i sprzeczny;
Bogaty nieużyty; pełen fałszu, grzeczny.
Lecz gdy trzeba wybierać, a wybrać koniecznie,
Jak żyć lepiéj? bogato, rozumnie, czy grzecznie?
Sama osądź, ja daléj nie potrafię szperać;
Źle wyboru nie czynić, źle nadto wybierać.

Do R. H. K.

Nie dziwuję się temu wyrazowi, który w liście WMć pana wyczytuję, iż teraz Maciejowie stali się Maciusiami.

Uczą starych rozumu, to wieku jest cechą.
A z takową dla młodych korzyścią, pociechą,
Łatwo się sława, rozum, wzięcie, sprawność kupi,
Kiedy głupi rozumni, a rozumni głupi.

Z modą się świat obraca, wyszedł rozum z mody;
Co ledwo stary dostał, dziś łatwo ma młody.
Cóż czynić? trudno walczyć z niezliczonym tłumem!
Niech będzie rozum głupstwem, a głupstwo rozumem.

Do S . . . . .

Nieraz myślałem o przywarach każdego stanu, i skutek mojego myślenia ten był, iż nie masz w świecie sytuacyi takowéj, którąby nie miała w sobie jakowéj zdrożności; mniéj ich, lub więcéj, czyni to, co my zowiemy szczęściem. To najgorzéj, iż co dobre, traci czasem swój powab; co złe, im dłużéj trwa, tém przykrzejsze. Ztąd téż-to podobno owi dawni filozofowie, sekty Stoików, w nieczułości kładli doskonałość człowieka. Ale i ten stan martwy równie przykry: jeżeli bowiem oszczędza umartwienia, nie daje uczuć słodyczy, a jedno z drugiém pospolicie życie nasze przeplata. Zostawmy więc rzeczy tak jak są; wykwintność je nasza nie poprawi.

Być księdzem praca, kłopot, i biskup i sądy;
Być młodzianem czcza pora, złe chwile, złe rządy;
Być żonatym, staranie o dzieciach i żonie;
Być wdowcem, żal lat przeszłych, tęskność w każdéj stronie.
Być dworakiem, niewola w powabnéj postaci;
Być żołnierzem, zysk trudny i życie się traci;
Być w domu gospodarzem, i tam złe znajdziemy.
Czémże być? Wszędzie przykrość. Żyjmy jak możemy!

Do ......

Odebrałem niezbyt pochlebne opisanie krajów polskich, tak Wołynia jako i Kijowskiego województwa. Dajmy pokój Polesiowi; prawda, iż błotniste, bagniste, lesiste, nienajgorsze jednak;

Gdyby nie było potażu,
Nie byłoby ekwipażu.
Skarb-to nie dosyć wielbiony;
Za popiół mamy galony.

Ów zapadły kraj przynosi ojczyznie naszej ubogiéj jakiekolwiek zasilenie, a z czasem będzie ją może i ogrzewał, gdy resztę lasów zbyt chciwi na zyski dziedzice wytną.

Już to temu lat dwieście, jak narzekał Kochanowski w swoim Satyrze; znajdują się tam następujące wyrazy:

„O wy biedne pieniądze, wszak i drew po chwili
„Nie najdą, żeby sobie izbę upalili.
„Próżna to, niech mi wiere, jako kto chce łaje,
„Nie masz dziś w Polsce, jedno kupcy a rataje.

Na zapytania, co czynię i czynić zamyślam,

Tomitanae jam non novus incola terrae?

Tak odpowiadam:

Minęły czasy, w których żywość śmiała,
Coraz ku chęciom wrota otwarzała.
Pora odpocząć i czas ku téj porze:
Niech innym miłe wschodzi w zranku zorze!
Południe przeszło, dzień chyli ku zmroku,
Igrzysko szczere górnego wyroku.

Gdy znam i czuję, iż ku mecie śpieszę,
Ani się z tego smucę, ani cieszę.

Do J. B.

Zbliża się czas sejmu w Grodnie, gdzie WMćpan z obowiązku urzędu swego mieszkasz, a jabym chciał wiedzieć, co tam się będzie działo, i przed sejmem, i podczas sejmu, i po sejmie. W sylogizmie są trzy części: *major* objawia rzecz w powszechności, *minor* powszechność do szczególności stosuje, *konsekwencya* wyłuszcza, do czego się zamierzało. Naprzykład: kto w Grodnie mieszka, wie co się w Grodnie dzieje, a że WMćpan się w Grodnie mieszkasz, *ergo* wiesz, co się w Grodnie dzieje. A że w Grodnie będzie sejm, więc WMćpan będziesz wiedział, co się podczas sejmu tamtejszego będzie działo. A że jabym chciał wiedzieć, co się podczas sejmu będzie działo, nie mogę się lepiéj w téj mierze udać, jak do Wmość pana, co w Grodnie mieszkasz. Udaję się więc do Wmość pana, abyś kazał dla mnie dyaryusz pisać, a zaś niekiedy i swemi téż listami obsełał.

W każdym świata horyzoncie,
Są ciekawi ci, co w kącie;

A dlatego ciekawi, iż się im rzadko zdarzy mieć dokładne wiadomości: bo któż dba o wygnańców?

Słodzą domowe kłopoty
Siostry Teresy, Doroty,
Kiedy Dorocie, Teresie,
Ksiądz lektor bajkę przyniesie.
Dopiéroż ta bajka lata!
Więc oddalone od świata,
Chcąc wiedzieć ludzkie obroty,
Zagrzane żądzą niewieścią,
Gdy nie mogą znać istoty,
Bawią się przynajmniéj wieścią.

I w płeć męzką ta się chęć wkrada. Wyznaję ja się pokornie z téj liczby; zagranicą, jak za kratą.

Napisz więc, albo każ napisać co o Grodnie. Na przykład:

Jako wszyscy, zagrzani ojczyzny miłością,
Pałając godną Sparty cnotą, żarliwością,
Zapomnieli o żądzach, z których się wyzuli.
Napisz, jako o dobro braci swoich czuli,

Zrzucili uprzedzenia, dobrego się jęli:
Nie podli, nie matacze, wspaniali i śmieli,
Czyniąc, co czynić można, bez trwogi, bez zysku,
Jak mogli, kraj dźwignęli z nędzy i ucisku.

Bywały czasy takowe, a daj to Boże, aby się nie wróciły, kiedy tak było mówić można:

Iż się zjechali,
Ażeby brali,
Ażeby zwiedli,
Pili i jedli:
Aby tracili,
Jedli i pili:
Dawnym zwyczajem,
Gryźli się wzajem:

A czyniąc wszystko płochym duchem napastniczym,
Jak przyszli bez niczego, tak wrócili z niczém.

Nadzieja w Bogu, iż się takowych wieści spodziewać nie należy.

Przynajmniéj ten zysk klęska zostawia w narodzie,
Iż, jak niesie przysłowie: mądrzejszy po szkodzie.

Jeżeli tak jest, mądrość nasza powinnaby wszystkie inne mądrości przejść.

Bo téż, czyli na ziemi jest zakątcik jaki,
Gdzieby się tak, jak u nas, dała bieda w znaki?

Tylko nam do zupełnéj kollekcyi, trzęsienia ziem nie dostaje, jednakże —

Ziemia, co była naszą, sąsiady bogaci:
Znośniéj to, gdy się trzęsie, niż gdy się utraci!

Przystępuję teraz do dyaryuszu, jaki ma być, nie dlatego, iżbym przepisywał reguły, ale żebym wyraził, co widzieć pragnę.

Jużci ten co sejmowy, pójdzie swoim kształtem:
Jedno powiész szczególnie, a drugie ryczałtem.

To jest, w szczególności to, co będzie tchnęło duchem prawdzi-

wie obywatelskim; krasomówstwo potém idzie, za niém swary albo pochlebstwa.

Jeśli się jakie komu dziwactwo wydarzy
(Boć to i zacnym mężom czasem się zamarzy,
Kiedy umysł podlące płaci głupstwa myto),
Niech to pójdzie na stronę, jak plewy za sito.

Nie spodziewam ja się tych plew; ale jeżeliby były jakowe, obejdę się bez nich; daj zatém ziarno, z którego się na potém plenności spodziewać można.

Uważałem ja to, i napatrzyłem się temu, i przy siejbie, i przy zwożeniu snopków:

Kiedy się wójt pracy ima,
A gromada z wójtem trzyma,
Idzie wszystko dobrym torem;
Ale gdy idzie oporem,
Gdy z wójtem robić nierada,
Mało zbierze tu gromada.

Do A. H. K. M. B.

Zakazane są w kraju naszym polowania do Świętego Bartłomieja, więc jak Ś-ty Bartłomiéj minie, chęć powszechna polować. Przetrzymałem ja tę chęć, ile niewielki myśliwiec; że jednak nie trzeba się szczególnością różnić, wyjeżdżam na polowanie.

I zadziwisz się, mój bracie,
Iż myślę o zwierząt stracie.

Trzeba jednak o czém myśléć, a że los nie pozwolił myśléć o czém lepszém,

Potrzeba się, mojém zdaniem,
Zabawić i polowaniem.

Nie uczyni się w téj mierze nic przeciw kanonom, które krzykliwych łowów księżom zakazują:

Nie moje idą ogary,
Jeden ślepy drugi stary,

A kto wié, jeżeli się co więcéj znajdzie, może będą i chrome i głuche, a ja wódz myśliwskiéj rzeszy:

Niby na zyski gotowy,
Bez strzelby jadę na łowy,
Świadek tego co się stanie;
Tak odprawię polowanie.

Przecież kto wie, może też i my coś zabijemy.

Ale jakie to coś będzie?
Czy podskoczy, czy usiędzie,
Czy zabijem, czy spudłujem,
Czy radość, czy żal uczujem,

Wszystko to zawisło od moich myśliwych współtowarzyszów.

Oni mówią, a ja wierzę,
Iż zdarzy się czasem zwierzę,
Zwierzę, co my zabijamy;
Ale choć go i nie mamy,

Mnie to nie bardzo smuci, naówczas albowiem:

W niewielkim potraw wyborze,
Mam ja zwierza, co to orze.

Przychodzą i inne na stół.

A wiesz zwierzęta te jakie?
Ja opowiem, oto takie:
Czasem ten, co w północ krzyczy,
Casem, co w południe ryczy,
Czasem, co przed wieczór skacze,
Czasem, co gęga, co gdacze:
Zgoła, nieźle używamy,
A zwierzynę zawsze mamy.

Pliniusz, opisując polowanie swoje wyraża: iż choć w torbach myśliwskich bywały niekiedy pustki, w jego pugilaresie zawsze pełno.

Różne różnych interesa,
On miał swego pularesa:
Ja bez niego idę w puszczę,
I choć pisać czas opuszczę,
Nie żałuję, iż bez niego.
Tęgość uczczenia zbytniego

Nie do rzeczy czasem roi;
Przynuki się umysł boi.
Więc ja idę, nic nie myślę,
A wróciwszy, choć co kreślę,
Rzucam pióro, i tam śpieszę,
Gdzie się bawię, gdzie się cieszę.

Biedniż-to pisarze książek! oni rozumieją, iż szczęśliwość człowieka in *folio*, albo *in octavo*.

Nie tam dobra chwila siedzi!
Kiedy radość nas odwiedzi,
Obejdzie się bez nauki.
Rzucajmy szkolne przynuki,
Bądźmy sobie! Krótkie chwile
Czujmy życie, trwajmy mile.

To jest tak, jak przystoi: w tém życie; w tém zaś polowanie, ażeby się opatrzyć w strzelbę i psy. Jakiekolwiek nasze są przecięż,

I one téż będą grały
(Bo tak się zwie, gdy szczekają),
A ja, myśliwiec zuchwały,
Pójdę w knieję za tą zgrają

Na grzyby;

Bo flinty nosić nie umiem,
Chociaż siedzę w flintów kraju:
Choć rzemiosła nie rozumiem,
Pójdę jednak dla zwyczaju.
Nie zabiję, tak jak oni,
Co zwierza w lasach ścigają;
Nie będę w szczwaczów pogoni;
Niechaj inni zabijają.

Lubo skutek takowego zabójstwa lubię, i nie chcę być zabójcą, z tém wszystkiém sprawdzam owo: *Video meliora etc.;* wybieram się, a co gorsza z zupełnym rozmysłem na morderstwo niewinnych. Cóż bowiem innego polowanie?

Wojna to jest, żądza ludzi;
Zabijamy, choć nie ludzi.

Odmieńmy czworonożne zwierzęta w dwójnożne, myśliwiec będzie bohaterem.

Przyszedł dzień polowania, obudziłem się, albo raczéj obudzono mnie bardzo rano:

Pierwsze słońca promienie szły na świat ukosem,
Gdy trąby przeraźliwie chrapowatym głosem
Dały hasło wyjazdu. Więc każdy co żywo,
Czy chęć mając zmyśloną, czyli téż prawdziwą,
Wybierał się na łowy....

I ja téż:

A lubo mnie sen męczył, zmyślałem chęć wielką.
Więc bronią na bój srogi opatrzeni wszelką,
Wyszliśmy ziewający, jednakże ochotni,
Kareciani, wózkowi, konni i piechotni.
Ten z rusznicą, ten z trąbą, ów z torbą, ten z pałką,
Z pieczenią, z chlebem, z serem, z piernikiem, z gorzałką;
Zgoła, piękny był wyjazd, ale...

Nieszczęściem życia ludzkiego jest to *ale*. Zawsze się tam wmiesza, gdze go nie potrzeba.

To więc *ale* sprawiło, iż czas, co nas cieszył,
Co sprawiał dobre myśli, co wzmagał, co śmieszył,
Ów początek pogodny nie trwał. Deszcz się puścił,
Ów rusznicę, ów trąbę, ów piernik upuścił;
Ów, co wspaniale smycze lotnych chartów trzymał,
Przypomniał miękką pościel, i znowu zadrzémał.

Zgoła, byłoby zupełnie spełzło polowanie, bo się wszyscy coraz ku domowi obracali, psom zmoczonym iść się nie chciało, a ci, którzy gorzałkę wypili i pierniki zjedli, już kontenci byli z polowania, i zaczęli próbować, jak wielkie jest niebezpieczeństwo, zwłaszcza podczas jesieni, kaszlu i kataru. Właśnie naówczas czytałem Seneki księgę o wspaniałości umysłu; napuszony więc heroicznym duchem, choć deszcz padał, zrzuciłem płaszcz, a stanąwszy na mokréj bróździe, tonem filozofskim (bo taki teraz popłaca), do zgromadzonéj rzeszy zacząłem takową przemowę:

O przemokli towarzysze!
Ta, co ważne rzeczy pisze,
Ta, co pisze, ta, co głosi,
Sława, was o trwałość prosi.

Im się gorsze chwile zdarzą,
Im sroższe losy kojarzą,
Tém się bardziéj wznosi męztwo,
Tém wspanialsze jest zwycięztwo.

Nie zrozumieli, albo też może i nie dosłyszeli drzémiący słuchacze, i na dobre to wyszło, iż nie zrozumieli, albo nie dosłyszeli. Ton głosu, postać najeżona, a to najbardziéj, iżem płaszcz z siebie zdjął, tyle to wszystko sprawiło, iż wszyscy, mimo deszcz rzęsisty, postanowili iść w las.

Gdyby się między niemi znalazł poeta, byłby może pomyślał, iż ja pierwszy sławę szczebiotliwą nauczyłem pisać, ale nasz kraj uchował Pan Bóg od trzęsienia ziemi, szarańczy, i od poetów:

Więc choć zmokli wszyscy poszli,
I po błocie sławy doszli.

I tu mógłby jaki Zoil zarzucić, iż nie jest to dosyć sławy, przyjść, a dopiéroż iść na miejsce, gdzie się na nię zarabiać ma: ale ja odpowiadam, a co większa po łacinie: *et voluisse sat est*, a obaczy czytelnik łaskawy, jak jest wielka i obszerna ze wszech miar dzielność tego wyrazu.

Więc i chcieli i wskórali...
Ale o tém będzie daléj.

Pojechaliśmy więc, poszliśmy więc, i przywędrowaliśmy do lasu, a gdyśmy w nim stanęli, iżby polowanie szło swoim właściwym trybem:

Każdy się o miejsce badał,
A deszcz, jak padał, tak padał.

Według rozporządzenia więc biegłych w rzemiośle, każdy stanął na wyznaczoném sobie miejscu: puszczono psy — poszły.

Po tém pójściu, jak na licho,
Przez dwie godzin było cicho.

Dopiéro o godzinie trzeciéj polowania naszego, gdy ów deszcz fatalny przestał, zajaśniało słońce, a dopiéro naówczas:

Już każdy rozweselony,
Czekał rychło, co usłyszy;

Obzierał się w każde strony — —
Wszystko jednak było w ciszy.

I trwało to przez godzin dwie.

Więc my w radę, co tu czynić?
A że los nie trzeba winić,
Na tośmy się ugodzili,
Iżeśmy się ucieszyli.

Więc zmokli, głodni, kontenci jednak, powróciliśmy się do domu i postanowiliśmy jak najczęściéj lasy odwiedzać, ponieważ nie masz nic w życiu zabawniejszego nad polowanie.

Do .....

To prawda, iż zima jest przykra, a i to druga prawda, iż musimy tam mieszkać, gdzie przykrość zimna, jeżeli nie największa, przecież dość czuła. Ale ten, co dał to, co mrozi, dał i to, co grzeje:

Gdy więc drzewka do komina
Słuszne ręce raźno niosą,
A smacznego puhar wina
Słodkotłoczną jędrzy rosą,
Niech kto o nas, jak chce trzyma:
Ma wdzięk lato, ma i zima.

A czyżby to północni, dlatego że północni, mieli być mniéj szczęśliwi nad tych, co południowi, zachodni, lub wschodni?

Jeden sprawca, co je tworzył,
Równe dziełom dał podziały,
Mróz i upał równie morzył.
Niesyt, czém jest człek zuchwały,
Chcąc mądrością chrzcić niewierność,
Chciałby dawcy wziąć niezmierność.

Jakoż zachciało nam się i po powietrzu latać:
I spadliśmy wśród igraszki;
Ziemia dla nas, co nas zetrze.
Niech latają sobie ptaszki!
Nie nasz żywioł jest powietrze.

Płonny zapęd czuje szkoda;
Miedzioserczny pierwszy płynął,

Nie dla człeka była woda,
Chciał rwać tamę, i rwąc zginął.

Przecież i floty i wojowniki, i bitwy na morzu!

Jakby w tym opłakanym zdań naszych przesądzie,
Nie dosyć było głupstwa jeszcze i na lądzie!

Do ......

A jak to nie wielbić nowe coraz wynalazki! Jeden z najwziętszych teraz, wyrugowanie nauki języków dawnych, źródlanych języków. Luboć albowiem coś im niby zostawiono, i to tak się z czasem zmniejszy, iż się mało, albo i nic nie zostanie prawideł od przodków naszych czczonych. Szkoda starych posiadaczów wyrzucać z zawiekowałych siedlisk; my to mamy na ich miejscu siedzieć; jednakże

Jakżeśmy mali! Gdy w porównaniu
Okrzyk powszechny uprzedzam, zgadam;
Powtarzam jednak w szczerém wyznaniu,
Nie uprzedzonym ja to powiadam,
Ale powiadam tym, co ich zwiedli,
Co mieli posieść, a nie posiedli:

Nie rzeczą, ale odjęciem dumni,
A przeświadczeni, że nie zubożem;
Niby to grzeczni, niby rozumni,
Tém gardzim, czego dosiądz nie możem.
A prawda prawdą. Mdli małotrwali,
Znikłe światełka, jakżeśmy mali!

Znieśmy Rzymiaństwo, znieśmy Greczyznę,
Niech dalszych płodów dalsi nie widzą.
Damy następcom drogą spuściznę,
Nie wiedząc o tych, którzy nas wstydzą;
Pierwsze z ufnością miejsca zasiędą,
Kontenci z siebie, wielkiemi będą.

Do ......

Kiedy zimno albo mglisto, komin najmilszy towarzysz, a przy nim marzy się. Był kałamarz, papier i pióro na pogotowiu, co się więc wymarzyło, to się i napisało:

Zkąd pochodzi, Michale, że co w wierszach marzą,
Nigdy nie są kontenci, i zawsze się skarzą?

A choć je sława wielbi, któréj każdy łaknie,
Niesyci zawsze znajdą, że im czegoś braknie.

Ten wstęp, gdy zarywa coś na satyrę, wchodźmy w jéj części; a przeto w szczególne sposoby dogadzania, których nieboraki poety (po większéj części głodne), używają względem czytelników i mecenasów:

Bodaj to panegiryk nadęty w arkuszach,
Co o wieczno pamiętnych pisząc animuszach,
Brzmiący w ogromnym dźwięku i dzikim terminie,
Wierszem, prozą, po polsku łże i po łacinie;
Zbija Krym i Zaporoż, Multany, Wołochy,
Pędzi poza Budziaki pierzchliwe motłochy,
Krwią rumieni Ocean, w Carogrodzkie bramy
Tłoczy Assyryjczyki i Mezopotamy;
A mecenas, co czyta wspaniałe przykłady,
Za zwycięzce tak sławne dziady i pradziady,
Za monarchy, z któremi łgarz go koligaci,
I mile podziękuje, i dobrze zapłaci.

Bodaj to ślubne pienia. Z miłym towarzyszem
Burmistrzowa Wenera, a burmistrz Jowiszem;
Gra Apollo na cytrze, Kupidyny swaty,
Fauny w pląsach, Dryady śpiewają wiwaty,
A Lucyna się krząta o nowe przybysze...
A nasz poeta kontent, jak pisze, tak pisze.

Cóż dopiéro, gdy chcący pochwalić dokładnie,
Paprockiego herbarza szczęśliwie dopadnie!
Jak wsiędzie na Rawicza ozdobnego plonem,
Jak się wzbije do góry z lotnym Ślepowronem,
Jak Grzymałą umocni, co wieki nie zwalą,
Jelenną i Bajwolą nasroży Rogalą!
Podkowy torem szczęścia, Pogoń zyski chyże;
A dopiéroż i całe i niecałe krzyże!

Zgoła, zapatrując się na rzeczy śmiechu godne, można się zawsze ucieszyć, ile że to jest rola nazbyt i zawsze urodzajna.

Do . . . . . .

Uskarżasz się WMPan na niesforność rymotworską, albo raczéj mniemanych rymotworców. Wolno się każdemu bawić, a ułożenie rzeczy uczyniło, iż niewolno każdemu mieć talent, jakiegoby chciał.

Sporządziła to jednak natura, iż ci, którzy talentu nie mają, słodycz podobania się sobie kreślą, więc gryzmolą i cieszą się; a że o głupich nietrudno na tym świecie, znajdują i wielbicielów.

I za czasów mistrza Jana
Działo się to, i dziać będzie;
Nie najlepsza, przechwalana
Siadła wziętość w muzów rzędzie.

Skromność wielkim towarzyszy;
Małych najzuchwalsze kroki.
Siedzi nieraz słowik w ciszy,
Kiedy w lesie krzeczą sroki.

Do . . . . . .

Jak wyczytuję z listu WMPana, bardzo wiele, a w krótkim czasie, było rzeczy do rozdania. Zmarli niech sobie odpoczywają w pokoju, ale każdy z żyjących:

Jak myśliwiec wpośród kniei,
Tropi zbyt rączego zwierza,
Głodzien zysku, a w nadziei,
W prawą, w lewą i wprost zmierza.

Czuwaczów rodzaj najobfitszy:

Każdy z nich ma swoje prawo,
Prawo, co sam sobie stworzył;
Ci podstępnie, a ci żwawo,
Byleby głód nie umorzył.

Trzeba albowiem żyć:

A co w roli nie pracują,
Chcą żyć dobrze i bezpiecznie,
Potrzebę majątku czują,
I pragną dostać koniecznie.

Ztąd owa ciżba przy dworach haftowanych i galonowanych suto nieboraków,

Co się projektami bawią:
Jak to zebrać, choć uciskać;
Co rozdawcom raz wraz prawią,
Jak są godni, żeby zyskać.

I są rozdawcy; co im wierzą:

A to przez wzgląd miłosierny,
A to przez wzgląd czasem cudzy;
Traci na tém dobry, wierny,
A drą panów zdradni słudzy.

Od Lizbony aż do Japonu to się podobno zdarza; a jak w nagrobku owego księcia Mirandoli czytamy, możnaby o téj prawdzie powiedzieć, iż przeświadczone o niéj: *et Tagus, et Ganges, et Antipodes.*

Gdyby sami godni brać mieli, nierazby rzecz rozdajna dość długo była wstrzymana, nimby przezorne dawcy oko upatrzyło, komu dań należy.

Do . . . . . .

Czy jeździć do cudzych krajów, czyli nie? czy naśladować innych, czyli się swego trzymać? różne są w téj mierze zdania. Na zapytanie się w téj mierze, ja tak odpowiadam:

W moim sadzie gdy drzew mało,
Biorę je z sadu cudzego,
Ażeby się zdatne zdało,
I jam korzystał z swojego.

Ale kiedy ja ogrodnik, czy ziółka, czy kwiatki, czy drzewka z cudzego sadu w mój przesadzam:

Nim przesadzę, patrzę pilnie,
Jak drzewko, ziółko przesadzić,
Grunt uprawiam, i usilnie.
Wtenczas prace nie zwykł zdradzić;
Więc mając takie zadatki,
Kwitną drzewka, ziółka, kwiatki.

Do . . . .

Częste zwykłem odbierać pytania, podobne temu, które WMpan czynisz, czyli się w zakącie moim nie nudzę. I w miastach się nudzą. Nie idzie więc o to, żeby się wcale nie nudzić, ale żeby mniéj nudności doznawać, niżeli inni doznawać zwykli. Mędrcy dawnych wieków powiadali, a teraźniejsi ustawicznie powtarzają:

Iż kto w głąb' rzeczy docieka,
Wznieść się może nad człowieka.

A jednakże, gdyby i tych mędrców kto dobrze szpiegował, znalazłby ich może i nieraz ziewających.

Wewnątrz nas ułomność siedzi;
Chybabyśmy byli z miedzi,
Gdyśmy nie doznawali
Czego i wielcy i mali,
Co ludzką naturę mają,
Ustawicznie doznawają;

To jest niespokojności, trosków, zgoła, chwil przykrych.

Wieśniak chwali łąki, kwiatki,
Co powabnie oczy łudzą,
Jednak te wdzięków zadatki
I wieśniaka czasem nudzą.

Miast mieszkańce wśród rozkoszy
Wielbią różność i wspaniałość:
Zbytek zabaw radość płoszy,
Słabi czucie ciągła trwałość.

I ci, w których ręku dzielnych
Dary Fortuna złożyła,
Uznali czczość skazitelnych:
Sama wielkość trudem była.

Zgoła, wszystkie świata stany
Losu ludzi nie przewrócą:
W biegu swoim na przemiany,
Raz się cieszą, drugi smucą.

Nie masz więc ani ciągle wesołych, ani ciągle smutnych chwil: a co starożytność podaje o Heraklicie ustawnie płaczącym, śmiejącym się Demokrycie, między bajki kłaść należy.

Radość smutkiem, czczość użyciem,
Nieźle to, iż się przeplata;
Nie byłoby życie życiem,
Gdyby był los inszy świata.
Jak lato idzie po wiośnie,
Jak jesień idzie po lecie:
Tak w nas radość, smutek rośnie,
Tak szczęście z nędzą na świecie.

Do .....

Szczęście-to jest dla narodu, kiedy nauki kwitną, a uczeni są w poważaniu:

Szabla kraje rozpościera,
Ale pióro je istoczy;
Moc dzierży, wzmacnia, zabiera,
Lecz rozum otwarza oczy;
Sławny tryumf, co zadziwia,
Większy ten, co uszczęśliwia.

A jest w dobroci rządzących, w szczęściu rządzonych.

Aleksandra, Cezara czytałem ja sprawy,
Czytałem i jęczałem nad zyskiem ich sławy:
Mają następców. Dzieła Antonina, Tyta,
Nasz wiek, zbrodniom przyuczon, za bajki poczyta.

A dzienniki, pamiętniki, gazety, raz wraz o heroicznych dziełach prawią.

Ci co zdarci, zgnębieni, tym rzeczom mniéj wierzą.
Prostacy! swoją nędzą sprawy wielkie mierzą.
Nie wchodząc w treści rzeczy, w zdaniach podłych błądzą:
Cierpieć, dział słuchających; zyskać tych, co rządzą.

Zdaje się być z pierwszego wejrzenia ten podział rzeczą mniéj przyzwoitą i godziwą, ale się trzeba strzedz uprzedzeń pierwszego wejrzenia: ten, który dusił syna Filipa drugiego, nie kazał mu krzyczeć, bo to się na jego dobre działo.

I stał się świat oświecon, w rozum się zbogacił,
Ale też dosyć drogo ten rozum opłacił;
Tysiącami lat głupi w staraniu i trudzie,
Bez starania i trudu dziś rozumni ludzie.

Nie śmiem ja iść za takowém mniemaniem, choćby poniekąd i iść za niém należało:

Może to być, iż w zdaniu nieuważnie sądzę,
Tém się ja jednak wzmagam, iż z wiekami błądzę,

Czasy nasze, które zdarzyły ciałom przymiot niepospolity po powietrzu latać, pozwoliły umysłom nad powietrze bujać..

Prostak, jak na banie lotne,
Patrzy na myśli obrotne.
Dziwią mnie cudy swojemi,
Jednak się ja trzymam ziemi.

Nie uwłaczam czasom naszym w tém, co mają dobrego: jednak zdaje mi się, iż w ścisłém rzeczy obrachowaniu i porównaniu, kto wié, czyby nie znalazło się to, iż więcéj jest teraz złego, niż było przedtém; a to podobno i dla téj przyczyny, iż mniéj gadano o cnocie, ale ją pełniono lepiéj.

Nie z książek dawniéj działano:
A gdy nie nazbyt szperano,
Co dobre, miano w zalecie,
I lepiéj było na świecie.

Prawda, iż przedtém bywały niezgody, nie brakło na oszukujących, a zatém i na oszukanych; świat był światem, ludzie ludźmi, przecież

Kto był łotrem, był otwarcie;
A ubogich ludzi zdarcie
Nie chrzczono dobrocią serca;
Ten co zdzierał, zwan był zdzierca.

Nie znajdowali się jurgieltowi niecnot chwalcy, nikczemności czciciele, głodnokupni pochlebiacze. W tém była podłość, gdy patrzący, wiedzący, czujący, milczał. Teraz

Księgi, wiersze, dzienniki, płatni uwielbiacze;
Pełno dzieł heroicznych, a jednak lud płacze.

Nauczyła mniemana wieku teraźniejszego wytworność wszystko do siebie ściągać: i ten jest skutek wysilonéj imaginacyi, iż gdy się zbytkiem swoim sama łudzi, innych omamia i nieszczęśliwemi czyni.

Ekscerpt z listu z Dubna, podczas kontraktów, pana Macieja do pana Wojciecha.

Zgoła, mój panie kumie, ja to spostrzegałem, i teraz coraz bardziéj spostrzegam, iż panowie z nas szlachty żartują.

Wzdęci nadzieją,
Lub przywilejem,

Oni się śmieją;
My się z nich śmiejem.

Prawda, iż oni są jaśnie oświeceni, jaśnie wielmożni, a my się poufale w posiedzeniu zwiemy po naszych imionach, tak jak się nasi ojcowie wspólnie między sobą zwali:

Bo tytuł próżny,
Gdy czczo w szkatule;
Kiedy kto dłużny,
Co po tytule?
Bo ten nie płaci,
Choć zapłacony:
A u nas braci
Takie androny
Niewiele ważą.
Spichlerz, pasieka,
Pod dobrą strażą
Na kupca czeka;
A gdy ten brzęknie
Ogromnym trzosem,
Kto z nas ujęknie
Pod nędznym losem?
Lepiéj być w domu
Panem Maciejem,
Niż pokryjomu,
Choć z przywilejem,
Kiedy nie tuczy
Chlubna nadzieja:
Gdy głód dokuczy,
Szukać Macieja.

Do . . . . .

List pożałowania tak, jak i mowy i pisma bardzo są trudne; nie do napisania lub mówienia, lecz do przyniesienia skutku, do którego zmierzają.

Mówmy co chcemy,
Serce nie stalem;
Nie uśmierzemy;
Żal zawsze żalem.

Jedyna pociecha w téj porze, przestanie na woli bożéj.

Z przedwiecznych sądów wymiaru,
Daje, bierze, bo pan daru.

I wie lepiéj niż my:

Czy odjęcie, czém się straszym,
Czy dar trwały szczęściem naszém?

Do P. W. R.

Nie byłem interesowanym i nie jestem: przypominam obiecaną wilczurę. Assumpt nie zdaje się kwadrować z konkluzyą, przecież gotów jestem dowieść (a choćby i cytacyami autorów klassycznych), iż można o wilczurę prosić, konserwując nieskazitelność wspaniałego umysłu:

Wszak i Seneka, mędrzec zachwalony,
Wielbi ubóstwo, a kradł milijony.

Zapędziłem się w erudycyą, wracam więc od Seneki do wilczury, a wpadając w moralność, mam honor (ile proszący) z uszanowaniem przełożyć:

Iż to powszechnym na świecie okrzykiem,
Kto raz obiecał, ten został dłużnikiem.

Prawda, iż wiek teraźniejszy zdaje się poniekąd stare maksymy znosić:

Przecież pomimo wszelkie konjektury,
Niech się to mojéj nie tycze wilczury.

Nadchodzą zimowe czasy, a JWWMPanu wiadomo, iż brzegi baltyckiego morza nie są siedliskiem Zefirów i Fawoniuszów. Sławnéj pamięci Owidyusz dmuchał w palce nad Dunajem; cóż dopiéro tam, gdzie w porównaniu taka różnica od Dunaju, jaka była Dunaja od Tybru. Cóżkolwiek bądź, lubo rymotworskie umysły dość bywają rozgrzane, jednakowoż

Zapał umysłu, czy w wierszu, czy w prozie,
Buja, gdy ciepło; ustaje na mrozie.

Jest-ci, to prawda, od téj przygody piec, albo komin: ale, że się i po za domem wspaniałe myśli częstokroć marzą:

Dobra wilczura od takowéj pory!
Pod nią się roją pięknych myśli wzory;
Pod nią, gdy członki wzmaga miłe ciepło,
Myśl rozżarzona rzeźwi czułość skrzepłą.

Racz zatém wiedzieć, J. W. Mecenasie (wielu i wilczury nie dawszy, ten tytuł noszą), racz wiedzieć, wiele dobrego literaturze ojczystéj uczynić możesz szczodrobliwością swoją. Imaginuj sobie rozrzewnienie poetyckie na widok szacownego daru:

Wzbiwszy się w górę na twoje pochwały,
Wpadnę na Parnas, wzruszę Olimp cały;
A grzmotném hasłem głosząc twoję sławę,
Wśród Zodyaku osadzę Pilawę.

Mogło się z łaski Ichmościów astronomów pomieścić na niebie *scutum Sobiescii*, czemużby ojczysty klejnot J. W. Mecenasa nie mógł mieć miejsca na kręgu słonecznych obrotów?

A cóż lepszego niedźwiadek i raki,
Co je chaldejskie tam kładły dziwaki?

Z tych więc moralnych, historycznych, geograficznych, astronomicznych pobudek, obiecanéj wilczury z niecierpliwością oczekuję: a gdy przyjdzie, dam dowód, iż jeżeli umiem prosić, umiem i dziękować.

Do tegoż.

Kiedy też ów piękny, rzadki, szacowny wilk, wyprawiony w Styczniu, dopiéro w Lipcu do mnie zawitał wraz z listem dawcy! Nie moja więc wina, żem się z podziękowaniem opóźnił:

A jakto nie dziękować, zwłaszcza gdy jest za co?

Drugiego wiersza nie dokładam, boby w brzmieniu był, prawda, do składu; ale dla kadencyi musiałoby się położyć *ą*, zamiast *o*. Że mi się więc (jakto mówią: na pierwszym podskoku) nie powiodło, ja przeto fantazyi nie tracę:

Choć się myśl rymotworska nie nadała pierwsza,
Przecież w nowym zawodzie powracam do wiersza.

Najeżywszy się więc tak, jak moi współbracia umieją:

Będę ci dziękował odą,
Zacny ruski wojewodo!

Brzmij Kalliopo, a wspaniałym ruchem,
Kastalskich bełtów napuszona duchem,
W grzmotliwym górnych prawideł oddechu,
Pędź w swym pośpiechu!

Co widzę! oto zżymają się skały,
Kręty Euryppu huczno się wezbrały,
Nurty się mącą, a zdroje w zawody
Pienią swe wody.

Gdzieżeś Pindarze?...

Ale że się Pindar nie odzywa, więc i ja z górnego tonu spuszczam:

A potknąwszy się już to razy kilka,
Wracam do wilka.

I powiadam:

Iż to prawnuk tej wilczycy,
Której owi ludzie dzicy
Dali karmić Romulusa,
I brata jego Remusa.

Prawda, iż daleko z Rzymu do Tulczyna: ale czyliż w przeciągu dwóch tysięcy lat nie mógłby który wilk włoski zawędrować na Ukrainę? a wreszcie, czy zawędrował, czy nie zawędrował:

Czy on z północy rodem, czyli z wschodu,
Wart być potomkiem tak zacnego rodu.

Dość to na jego pochwałę, a ja za szacowny podarunek i za miłą odezwę z wdzięcznością dziękuję.

Do . . . . .

Przecież to i koło Warty nie zapominają o dobrych przyjaciołach; jam już był o tém zwątpił, tak długie wytrzymawszy milczenie.

Jak pamiętać o takich, którzy sami siedzą,
I ledwo o tém tylko w kącie swoim wiedzą,
Co wczoraj, a co dzisiaj?

Słodkie czytanie odezwy WMPana, w której cytujesz kalendarz i banalukę, dało mi uczuć,

Iż to czasem i w kącie pociecha się zdarza,
Lepsza od banaluki i od kalendarza.

Jedno z drugiém prawie równie, ale

To nie jest banaluką, w czém ma korzyść serce;
Już te miłe wyrazy dzisiaj w poniewierce.

Ja dawnych się prawideł trzymając, powtarzam, i powtarzać będę:

Niechaj modni dziwaczą, cóż moda nie marzy?
Kształtnie czynią dzisiejsi, lepiéj jednak starzy.

Zgoła się kryć trzeba teraz z tém, co kto umié; z tém co kto czuje:

Bo go zgaszą, co wiedzą nie to, co w istocie,
Ale co wiedzą krzyczeć: więc w swojéj prostocie,
Gdy jednemu zbyt trudno walczyć z liczną rzeszą,
Musi mądry ulegać, a głupi się cieszą.

Ów zielony pokój, spoczynek wdzięczny, nie jest téj zimy w użyciu, ale i w tym, gdzie przesiaduję, i ten list piszę, toż samo jest, co i w tamtym bywało:

Trzeba rzeczy przeplatać, inaczéj tęsknota;
Tuż koło Cycerona znajdziesz Donkiszota.

Ale, żeby go znaléźć, trzeba przyjechać; żeby przyjechać, trzeba się na wielką podróż odważyć; wiem ja, że to odstręcza, ale też i to wiem, iż prawdziwéj przyjaźni wszystko łatwo.

Do ......

Przeczytałem książkę, którąś mi WMPan przysłał; pięknie oprawna.

Malherbe, wskrzesiciel rymotwórstwa we Francyi, powiadał, iż tak są potrzebni i użyteczni krajowi każdemu poeci, jak gracze w kręgle. W złym on podobno był humorze, kiedy to powiedział, i ledwoby nie można mówić, iż powracał z jakiego przedpokoju. Ale bez złego humoru można powiedzieć:

W rzemiosłach przepisom wierność
Dosyć działa, choć rzecz trudna;
Ale w rymotwórcy mierność
Więcej niż zła, bo jest nudna.

Tych po większej części głodnych rzemieślników, co to słowa szykują, a na końcu dwóch szyków podobne w brzmieniu dwa brzęki stawiają, większy jest cech podobno nad wszystkie inne całego świata, i wszerz i wzdłuż. I niechby sobie szykowali, ale

Chcą, żeby się drudzy śmiali,
A nie dają nic śmiesznego;
Chcą, żeby drudzy płakali,
A nie dają nic smutnego.

I na tém się kończy z niemałym, a bardzo trapiącym zawodem,

Iż w owych, jak mniemali, przeraźliwych pieniach,
Iż w pieniach, co mniemali, aż nadto żałosnych:
Zwiedzion w czuciu czytelnik, zwiedzion w rozrzewnieniach,
Śmieje się przy płaczliwych, a płacze z radosnych.

Do . . .

Nie mogłem się wstrzymać, nie mówię od śmiechu, ale od uśmiechania, gdy wyczytuję, iż mi z czułością żalu donosisz, że zamiast syna, masz córkę.

Więc jeśli to nieszczęściem, jak list oznajmuje,
Ja grzecznie to nieszczęściem uznawam i czuję.

Zważam zatém, iż projekt pierwiastkowy WMpana w pojęciu żony ten był, a nie inny, iżby syny rodziła:

A projekta na dal brane
Rzadko skutki pożądane,
Choć nadzieją myśli pieszczą,
W zbyt żądanej porze mieszczą.

Trzebaby więc pisać list pocieszalny, zarywający na to, co zowiemy kondolencyą. Nim się ja jednak na ten list zdobędę, racz w to wejrzeć:

Płód małżeństwa słodkim darem,
Wyrok przedziwnym wymiarem,

W odrodzeniu który nieci,
Zdarzył ojcom, matkom dzieci.
Opatrzności ten zadatek,
Posilenie naszych czynów;
Tzeba ojców, trzeba matek,
Trzeba córek, trzeba synów.

Uskarżyciele na często rodzące się syny, córki,

W nieroztropnéj troskliwości,
Bluźnierce są Opatrzności.

Nie rozumiem, iżby to moje przyjacielskie a szczere zdanie miało być WMpanu przykre, którego sposób myślenia znając, sądzę, iż w tym momencie, gdyś do mnie pisał, uwiodłeś się uprzedzeniem, i oddałeś niechcący hołd, przeciw któremu powstawałeś.

Do S . . .

Ciekawy jesteś wiedzieć odemnie opis tego, co zowiemy tu *manoeuvres;* to jest popis wojska, czyniący wyobrażenie tego, co się podczas wojny dzieje. Rzecz wprawdzie widzenia godna, wspaniała, wznosząca umysł. Na wielu podobnych byłem, i zwiększałem ciżbę pasących się osobliwością dwójnożnych zwierząt,

Na większe jeszcze patrzących zwierzęta.
Więc z widowiska, co się zapamięta,

Powiem; a najprzód:

To com ja widział, było nakształt sławy,
Huku aż nadto, a pełno kurzawy.

Jedno głuszyło, drugie przeszkadzało dobrze widzieć. Z tém wszystkiém takowe widowiska poważne ogromnością.

Jak Etna ogniami swemi,
Jak nagłe trzęsienie ziemi,
Jak płomień mieszkania źrący,
Jak ulew nadbrzeża rwący,
Jak żywioły w swoim sporze,
Jak zbujałe wiatry, morze,

Wszystko to wspaniałe, ale oglądać pogorzeliska, wzburzenie, wylewy, najlepiéj tak, jak ja owe popisy wojsk oglądałem;

W bardzo skromnéj pozyturze,
I z daleka, i na górze.

Zaczynało się więc to i działało, czém Sezostrys, Aleksander, Juliusz, świat pokonali.

Dzieło wielkie, patrzéć miło,
Ale gdyby go nie było;
Ten co cierpiał, ten co płacił,
Podobnoby świat nie stracił.

Bodaj to na takie widowiska patrzéć,

Gdzie przy zagonie
Sierpy za bronie,
A kłosów wieńce
Wzmagają żeńce.

Trzeba wprawdzie tego, żeby nas kto bronił od napaści złych sąsiadów: ale gdyby mógł być wymyślony kunszt taki, iżby się w téj mierze bez broni obeszło.

Choćby mnie popis nie bawił,
Jabym ten kunszt bardziéj sławił.

Był ksiądz jeden we Francyi, co całe życie strawił na myśleniu o tym kunszcie;

Śmiali się z niego,
Bo z poczciwego.

Zwano snem jego usiłowania i prace.

Bodaj tak nasi rycerze drzémali!
My nieboracy lepiéjbyśmy spali!
Śmieszna to przecie
Jest rzecz na świecie:
W karczmie, gdy chłopy
O grosz, o snopy,
Pełni gorzałki
Pójdą na pałki;
W pijanym gwarze
Zwierzchność je karze.

A ci, którzy nie pozwalają się bić w karczmie z tymi, na których uraza częstokroć sprawiedliwa, każą się bić z takimi, którzy nic nie winni, i nawet bijących nie znają;

Więc człek spokojny,
Przez prawo wojny,
Co panu sprzyja,
Niechcąc zabija.

I któryby przez wielokrotne zaboje zasłużył na szubienicę, przez zabój przykazany odbiera nagrodę. Od czego więc zacząłem, na tém kończę:

Czy to wojna, czy przymierze,
I co daje, i co bierze,
Na to, czém jest, nie pamięta;
Zgoła, ludzie są zwierzęta.

Do . . .

Podróży WMpana okoliczności, a osobliwie, iż wszystko stało się w krótkim czasie, wielce mnie zabawiły, gdym je przesłane od WMpana czytał.

Bo co czynią więksi niby,
Mniejsi niby uwielbiamy:
Ten zyska złoto, ów grzyby;
Lecz gdy w zysku korzyść mamy,
Miłe zawsze są zarobki;
Tak pan czuje, jak parobki.

Aleksandrowi chciało się drugiego świata, księciu chce się królestwa, hrabiemu księztwa, szlachcicowi hrabstwa, mieszczaninowi szlachectwa, dzierżawcy zastawy, zastawnikowi dziedzictwa.

Chęć jest jedna, jak jestestwa,
Ten chce wioski, ten królestwa.

Ja, który, jak WMpan wiesz, miałem wioski, a teraz ich nie mam, a były i niezłe,

Nie klnę na los, co wziął wioski,
Ujął skrzętność, ujął trwogę;

Dał spokojność, a wziął troski;
Więcéj być nie chcę, nie mogę.

I nie jest to wyznanie owéj liszki, która nie mogąc dostać kiełbasy, nazwała ją powrozem:

Napatrzyłem się ja zblizka,
Co to być wyższym nad innych;
Blask omamia, lecz uciska.
Widok oczów, uszów gminnych,
Wielbiąc czém wspaniałość pieści,
Nie wié, co się pod nią mieści.

Sekret to jest stanu w każdém państwie: monarchów, iżby się udawali za szczęśliwych; ministrów, żeby nie oznaczali zewnętrznie wzgardy względem tych, co ich czczą; a czczących, żeby nie powiadali tego, co myślą.

Do . . .

Wyjeżdżasz WMpan do cudzych krajów, i mojéj rady w téj mierze zasięgasz, a wyrażasz w liście swoim, iż wyjeżdżasz; żądasz więc nie rady, ale approbacyi swojego kroku. Powstawałem ja niekiedy przeciwko nierozmyślnym za granicę pielgrzymowaniom; ale gdym powstał przeciw nierozmyślnym, bacznych nie ganiłem. Znam sposób myślenia WMpana, i dobrze tuszę o jego podróży. Co więc wyrażę, nie do siebie przyjmiesz, ale do zbyt zagęszczonych naszych pielgrzymów, którzy na to się pokazują, żeby zostawali pośmiewiskiem; tym wszystkim trzeba powiedziéć, nim się na swoją płochą, a kosztowną podróż wybiorą:

A najprzód, gdy masz szaléć, trzeba o tém wiedziéć,
Lepiéj być głupim w domu, i tam cicho siedziéć,
Niźli śmiesząc sąsiadów, bogacąc filutów,
Osiąść w głupich szpitalu, lub w turmie bankrutów.

Bo dopiéro wtenczas głupio-wspaniałe nasze rodaki czynią rekursa do kochanéj matki ojczyzny; a gdy nieborak ojciec, lub matka, stryj, ksiądz, lub wuj opiekun:

Z płaczem hołd głupstwu dając, poślą za granicę
Spieniężone, len, owies, żyto i pszenicę,

Powraca:

W zbiorze pomad, perfumów, fryzur, nowych sprzączek,
Guzików nadzwyczajnych i modnych obrączek:

Obywatel szacowny, *qui mores hominum vidit et urbes*, przywozi, jak Pitagoras od Garamantów, umysł wzniesiony.

Więc błyszczący żarzącym promieniem stolicy,
Dziwo parafijalnéj całéj okolicy,
Zwąc wszystko niezgrabnością, prostactwem i dziczą,
Omamia płeć żonatą, wdowią i dziewiczą.

A że do zdań wielce głębokich, trzeba powagi pisarzy wielkich:

Cytuje więc autory w reformie powziętéj:
Wolter, nie kazał słuchać w niedzielę mszy świętéj;
Helwecyusz powiedział: dobre są rozwody;
Rousseau nieprzyjacielem był święconéj wody;
Lock uznał w dziesięcinach wynalazek prosty;
Newton czterdziesto-dniowe nienawidził posty;
Diderot mniemał, iż źle bywać na kazaniu;
Alembert pisał książkę przeciw bierzmowaniu.

Więc słuchacze, porównywając wdzięk słodyczy krasomówskiéj wyperfumowanego apostoła z twardą dzikością dawnéj słowiańszczyzny; zaczynają powstawać przeciw mszy świętéj w niedzielę, święconéj wodzie, postom, kazaniom, dziesięcinom, bierzmowaniu, i tak daléj.

Nie pamiętam ja, żeby kto brewiarz cytował; znajdzie jednak w nim rzecz, która, względem naszych ziomków osobliwie, dość zdaje mi się służyć do tego, co mówię. Jest to rzecz o naszym ziomku św. Stanisławie. Był on w młodości swojéj posłany do Paryża, a lekcye jutrzni, które w dzień uroczystości jego duchowieństwo mówi, taką o téj jego podróży do cudzych krajów czynią wzmiankę: *Lutetiam igitur Parisiorum, urbem studiis literarum ex antiquo celebrem, mittitur. Redit domum, tanquam ex mercatura mercator bonus; integris suis pietate, modestia, castitate, sinceritate: quaesitis multis, excellenti doctrina, rerum gerendarum dexteritate summa.*

Do . . .

Gdyś raczył WMpan być u mnie, nie zdobyłem się na owe wspaniałe przyjęcia, które to wspaniałe na moment, po owym przeszłym momencie, dają niekiedy wspaniałość przeklinać. Nie nudziłeś się

jednak, a ja teraz po rozstaniu mam czułość smutną. I w tej czułości rozważam, iż gdybyśmy mieli na pogotowiu śpiewaków, możeby nam to zaśpiewać mogli wśród zabaw, cośmy dobrze użyli, co ja tu kładę na ulgę żałości mojéj:

Niech co chce będzie,
Choć już i złego,
I w tym zapędzie
Losu przykrego,
Czuli, a cnotni,
Bądźmy ochotni.

Przegra kto, wygra,
Z torbą, lub z trzosem,
Los z nami igra;
Igrajmy z losem!
Czuli, a cnotni,
Bądźmy ochotni.

Trosk nie wystraszym
Przez płacze rzewne;
Dzisiaj jest naszém,
Jutro niepewne.
Czuli, a cnotni,
Bądźmy ochotni.

Do . . .

List WMpana był pełen uwag ważnych, i z czułością go czytałem. Podobne tym myśli są skutkiem albo tego, co rozumem się nie stało, albo gdy nadto wielkie użycie sprawiło nudność z rzeczy źle użytych. Nie z tego powodu poszło, coś do mnie pisał, bo cię znam zdawna, i zdawna szacuję. Wiele z tych uwag, które raczyłeś mi powierzyć, są o szczęściu, rzeczy najpożądańszéj rodzajowi ludzkiemu. Jakoż to myślenie, jak ludziom najwłaściwsze, tak téż najwięcéj i zatrudniało i zatrudnia, i mówiąc, i czyniąc, i pisząc:

W czém szczęście? to pytanie od stworzenia świata!
Złe się z dobrém połącza, dobre ze złém brata.
Moja rada, nie szperać, jak się rzeczy dzieją,
Dać złemu z dobrém walkę, a wzmódz się nadzieją.

Do . . .

Piszesz mi WMpan, iż przenosisz się do miasta stołecznego na czas zimowy, ponieważ wieś w téj porze jest nudna. Na taki wyrok, luboby wiele powiedzieć można, iżbym się nie zdał jednak zbyt trudnym, może nie tak WMpanu, jak jéjmości, to tylko wyrażam:

Miłe w miastach przebycie wśród zabaw i zbytków,
Przebycie, co wesołość, potém smutek rości.
Umysł nieuprzedzony bada się pożytków;
Zły miesiąc nazbyt tuczny, gdy po nim rok pości.

Mój dobry przyjacielu! zbytek ów rozjadły
Pożarł wielkie majątki, co poczciwość wzniosła;
Tém nasze wielkie domy do szczętu upadły;
Tém wstrzemięźliwość małych na wielkich urosła.

Do . . .

Z listu WMpana wyczytuję kłopoty w domu, troski za domem. Nie idzie o to w naszém życiu, żeby kłopotów i trosk nie mieć; ten szczęśliwy, który ich ma najmniéj. Więc powiesz: życie ustawicznym jest smutkiem. Ten jednak, co go nadał, jest dobrym istotnie, zaczém, albo się uspokoić, albo bluźnić. Bluźnić? możnaż? uspokoić się w naszéj mocy, bylebyśmy to, cośmy powinni, tak czynili, jak czynić trzeba. Więc na powtórzone owo hasło:

A jak to się nie smucić? mówię: tak, mój bracie!
Podległe utraceniu jest to, co trzymacie.
Tak myśl, a troski zmniejszysz, i z czasem nie będą.
Co ty, to jest dziedzictwem; co twoje, arendą.

Do . . .

Przedziwne dzieła Wirgiliusza i Horacyusza dotąd nie znalazły w tak odległéj wieków porze takich, którzyby z nimi walcząc, z nimi się zrównać mogli; pokorne to wyznanie, ale prawdziwe. Jeśli więc walczyć trudno, przynajmniéj naśladować i tłómaczyć niech się godzi. Z ksiąg Wirgiliusza wiersze niektóre przetłómaczyłem, i posełam je:

Z księgi szóstéj Eneidy.

Tak mówił rozrzewniony. Przez morza zakręty,
Po nad brzegi Eubojskie i Kumów okręty

Spoczęły; a zwróciwszy ster w tych okolicach,
Na porzących grunt tęgi stanęły kotwicach.
Młodzież rzeźka na brzegi Hesperu skoczyła,
A kiedy skry z krzemieni w nich zwarte zdobyła,
Szli drudzy w miejsca górne, co krył gaj rozwlekły;
Potrwożone zwierzęta w zacisze uciekły.
I odkryły się rzeki. Eneasz pobożny
Te siedliska, któremi wzniosły i przemożny
Zawiaduje Apollo, i straszne pieczary
Tajemnic Sybilijskich, nad człecze zamiary,
Kiedy go duchy bóstwa orzeźwiają wieszcze,
Śmie odwiedzić, i przyszłość niedoznaną jeszcze.

Z téjże księgi szóstéj Wirgiliusza.

Tak Anchizes, i dodał: Patrzaj, z jaką sławą
Marcellus idzie, wieczną ozdobion wyprawą,
I zwycięzca nad innych wznosi się wspaniale.
Ten rzecz rzymską, mimo tłum czyniących zuchwale
Wesprze, i niegdyś dumnych uczyni pokornych,
Zjadłych Kartagińczyków i Gallów niesfornych,
I co Rzym zaszczyt wszystkich wspaniałości liczy,
Trzecie królów znękanych zawiesi zdobyczy.
Wtém ozwał się Eneasz (bo postrzegł, iż młodzian
Ozdobny, miły, rzeźki, w broń świetną przyodzian,
Następował, lecz smutny, w ziemię spuszczał oczy);
O ojcze! rzekł: Któż to jest? jaki go żal tłoczy?
Czy to syn tego męża? czy kto z jego rodu?
Słyszę radość wielbienia, okrzyki narodu!
Ale jakaż się ciemność nad młodzieńcem snuje?
Wtém Anchizes spłakany: Patrz, i czuj, co czuję;
O synu! nie badaj się o twoich niedoli,
Da go niebo, lecz cieszyć nim się nie pozwoli.
Pokaże go los światu, i weźmie, co nadał;
Nadtoby Rzym był wielkim, gdyby go posiadał.
Co za płacz w Marsa dzielném powstanie siedlisku!
Tybrze! w smutném żałoby wielkiéj widowisku
Ponuro będziesz płynął mimo zwłoki jego.
Któryż młodzian Trojańczyk z szczepu łacińskiego
Tak mógł wznieść swoje przodki, a sławny w przykłady,
Cieszyć rzymiańską ziemię, co wzmogły pradziady?
Cnoto dawna! i ręko nieprzeparta w bojach!
Gdyby on w wojowniczych był powstał zabojach,
Któżby uszedł bez szwanku natarłszy na niego?

Czyby powinność czynił żołnierza pieszego,
Czyby zżymał bodźcami rumaki do woli.
Ach! młodzieńcze nieszczęsny! jeśli los pozwoli,
Ty będziesz Marcelusem.

List imieniem Brata do Siostry.

Trzeba być wdzięcznym. Odbieram od ciebie, moja kochana siostro, dyaryusze tygodniowe, ja téż mój dzienny umyśliłem opisać. Luboś tam była, gdzie ja teraz jestem, nie zawadzi opisać to miejsce, które może nie bez słodkiego uczucia sobie przypomnisz:

Między dwoma rzekami płynącemi blizko,
Wznosi się staroświeckie obszerne zamczysko;
Długim wieków przeciągiem te wspaniałe gmachy
Dziwią oczy patrzących wyniosłemi dachy.
Co niegdyś budowali Goty i Krzyżaki,
Tu jeszcze tego ślady i ogromne znaki;
Baszt, wież, ganków i sklepień ponura wspaniałość,
Umieszcza z gruntownością dawną okazałość.

Ale w czém szacować należy istotny sposób myślenia założycielów tego miejsca:

Starowni o dostatki, zbiór jadła, napojów,
Więcéj piwnic, śpichlerzów mieli, niż pokojów.

Że zaś pokoje, a po staroświecku izby, komory, komnaty tak stawiane, iż choćby były w Kalabryi stawiane, możnaby się w nich nie bać trzęsienia ziemi:

Każde z nich zasklepione, i z dołu i z góry,
A te, które je zewsząd otaczają mury,
Tak subtelne, iż w naszym miłym horyzoncie,
Choć południe u okna, zawsze wieczór w kącie;

Jednakże izba, gmach nakształt kościoła. Jak w niéj dawni, podczas zimy przebywać mogli, pojąć trudno, ale kryte drzwi w podłodze ułatwiają rzecz:

Choć zimno w niezmiernej sali,
Jednak się w niéj dawni grzali;

Każdy do niéj wespół śpieszył,
Trunek wzmagał, rzeźwił, cieszył.
A gdy dobry humor grzeje,
Niech śnieg pada, niech wiatr wieje!
Gdy radości coraz rosną,
Zimno ciepłem, zima wiosną.

Nam niezbyt często trafia ta dobra chwila; przecież nie można mówić, iżby się to kiedy nie miało zdarzyć:

Były czasem dysputy o gwiazdach, o słońcu,
Różnie różni sądzili; jednakże przy końcu
Ten, który najdokładniéj rozdraźnienia słodził,
Dzban, uśmierzył rozterki i mędrców pogodził.

I dlatego, gdybym ja był królem, albo przynajmniéj dyrektorem jakiéj akademii, postanowiłbym, iżby się dysputy odprawowały zawsze w stołowéj izbie, a takiéj, z któréjby były drzwi do piwnicy. Żeśmy z téj okazałéj sali jeszcze nie wyszli, jaka ona jest teraz, nie od rzeczy będzie opowiedzieć:

Stała się zbiorem obrazów.
Tam, wśród kunsztownych wyrazów,
W wyborném pędzla okrasie,
Myśl się wdzięczném czuciem pasie.
Kunsztów cuda jakże wdzięczne!
Rzeźwią umysł dzieła zręczne,
Wzrok się wzmaga patrząc na nie.
Widzi, w jakim były stanie,
Gdy w pierwiastkach wątłe, małe,
Daléj wdzięczne, okazałe;
Wzrost swój wziąwszy z czasem z pracą,
Uwielbieniem talent płacą.

Przy starém zamczysku jest drugi nowy, i z jednego się do drugiego przechodzi.

Kształtny . . . . gruntowniejszy stary;
Wieków to świeżych przywary.
Ma ich piętno, i my mamy.
Z dawnych pracy korzystamy,
I niewdzięczni i zuchwali;
My pozorni, oni trwali.

Moralność wypadła z pióra: możnaby się podobno bez niéj obejść w tym opisie, ale kiedy to się stało, iż wypadła, niechże tak, ja wypadła, i zostanie.

Jakże też się to rzeczy inaczéj ułożą, a inaczéj idą! Obiecałem całodzienne tu moje sprawowanie, a tu go jeszcze i początku nie masz. Zaczynam od przebudzenia; trzeba więc i o śnie coś wspomnieć.

Śnie pożądany, co rzeźwisz człowieka,
I mdłe sposobnym dziełu czynisz zmysły,
Gdy osłabiona uśpieniem powieka,
Działać nie zdoła obowiązek ścisły;
Obrazie zgonu, trwożliwy, lecz miły,
Przeciwne rzeczy w tobie się złączyły!

Nie żyć twój skutek, zejście przepowiadać.
Straszliwy wyrok! Miękczysz go słodyczą.
Bujaniem myśli czuć i przyszłość zgadać,
W tém zasilenie i nędzarze liczą.
Straszysz i cieszysz; mdłe ciało spoczywa;
Zmyślność się krzepi; myśl cała i żywa.

Ale jak to snu z jego darami nie uczuć, kiedy się śpi wygodnie? Przebudzam się; pierwszy widok dzień pogodny, a w tém niosą kawę.

Bodaj przebywać w ośmnastym wieku!
Może, iż w przyszłym jeszcze lepiéj będzie;
Cieszyć się z tego, co dzierżysz człowieku,
To jest najlepiéj w przyrodzonym rzędzie.
Achilles, Cezar, wielcy ludzie byli;
Jednakże kawy z śmietanką nie pili.

Wielcy! cóż z tego? ja im nie zazdroszczę!
Byli, ja jestem. Śpię, piję i jadam;
Przebiorę miarę, więc się i przeposzczę,
I znowu wesół jem, piję i gadam.
Przejdę; a o mnie nie będzie się badał
Ten, który po mnie będzie jadł, pił, gadał.

Przebywszy trzy zamkowe podwórza, obaczyłem się w polu, a słońce wschodziło. Jakażby to była pora, jak najwspanialszemi wierszami przywitać słońce; ale tylekroć razy witali je poetowie, a po większéj części tak nic do rzeczy, iż zdaje mi się, że największą przysługę czynię, kiedy mu nowe powitanie oszczędzę. Niechże go witają ptaszki.

Pozdrawiajcie miłe ptaszki,
Pozdrawiajcie jasność słońca!
Rzeźwcie dzień swemi igraszki,
Nim się zabierze do końca!
Niech uprawując zagony,
Słucha was rolnik znużony!

Odzywajcie się ptaszęta!
Zorze nikną, słońce wschodzi;
Do piosneczek o dziewczęta!
Chłopcy! milczyć się nie godzi;
Zaczynajcie wdzięczną zgrają,
Niechaj echa powtarzają!

A ja słucham, i w lubéj prostocie widzę wiek złoty. Bawimy się, ale jakież to porównanie naszego bawienia z ową żywą radością tych, których zowiemy prostakami:

Na wsi mieszka radość żywa;
Tam uprzejma, tam prawdziwa.
Wstyd rumieńcem twarze wdzięczy,
Prawą miłość cnota wieńczy.

Słońce zaczyna dopiekać, wracam do domu; trudno nie wstąpić do ogrodu, kiedy się koło niego idzie:

Nie kunsztowny, nie wspaniały,
Pańskich to przesadów cuda;
Ani wielki, ani mały,
I taki się czasem uda;
Ścieżki kręte, położyste,
Drzewa spore, gałęziste.

Miło błądzić w tych uliczkach,
Widzieć owoc, kwiat w zawiązkach;
Spada strumyk po kamyczkach,
Wiatr szeleści po gałązkach,
Świeża trawka, w drzewek cieniu,
Wabi wdzięcznie ku spocznieniu.

Zmordowany, siadłem nad brzegiem strumyka, a patrząc na kręty bieg jego, rzekłem:

Pomiędzy łąki, ogrody,
Płyniesz rozkoszny strumyku;
Idą śpieszne twoje wody,
Mruczysz sobie na kamyku;
Jak my żyjem, tak ty płyniesz,
I my przejdziem, i ty zginiesz,

Przeszedł czas w myślach łagodnych. Zegar zamkowy ostrzega, iż się pora obiadu zbliża.

Wstawam więc, śpieszę, zastaję...
Jak ten głupi, co to baje,
Iż dość ku zdrowia wygodzie,
Żyć o chlebie i o wodzie!
Jestci u nas chleb i woda,
Ale na tém przestać szkoda;
Mało potraw, ale smaczne.
Czy tę skończę, czy tę zacznę,
Mogąc gust z potrzebą złączyć,
Nie żal zacząć, nie żal skończyć.
A i wino nie od tego;
Od jednego do drugiego
Skoro się raz kolej zacznie,
Wzmaga się radość nieznacznie.
Radość mierna z miernym trunkiem,
Takim to biesiad gatunkiem,
I mędrcy się uraczali;
A choć i miarę przebrali,
Rzadki błąd niewiele zgrzeszył,
Nas uśmiesza, ich pocieszył.

Jakoż miła to pora, jeść dobrze, pić smaczno, i bawić w dobranem towarzystwie; wszak i w zakonnym refektarzu

Brat Kapistran przy pulpicie
Czyta z Skargi Świętych życie,
A ojciec Rafał tymczasem,
Pomrukując sobie basem,
Chwaląc wstrzemięźliwość świętą,
Dusi flaszkę nadpoczętą.

Powiada Tacyt, iż ludzie północni lubią długo biesiadować. Byłaby niegrzeczność w nas północnych, zadawać fałsz tak wielkiemu

człowiekowi. Czas poobiedni przykry, zwłaszcza w lecie; więc trawi go z nas każdy jak może: ja około trzeciéj śpieszę do biblioteki, zasiadam nad książkami.

I dobrze się czas tak trawi,
Czas co uczy, czas co bawi.
Dobra sprawa z umarłemi!
Powieściami oni swemi,
Czyli uczą, czyli łudzą,
Ten dar mają, iż nie nudzą.

O wszystkich księgach to mówić nie można: i owszem, gdyby rzecz ściśle wziąć, przywiléj nienudzenia dość rzadki. Biblioteka jednak tutejsza dość liczna, a w niéj ksiąg starych najwięcéj.

Gdy się zbiera ku zachodu,
Idą drudzy do ogrodu,
A ja w pole między zboże.
Tam, gdy w bruździe się położę,
Słucham jak ptaszęta nucą,
Jak się godzą, jak się kłócą.
Kończy się ich dzienna praca,
Do gniazdeczka każde wraca;
Wraca z plonem czułość matek,
Wita je pisk miłych dziatek.
Rosa pada, czas się chłodzi,
Zorze gasną, księżyc wschodzi.

Jakaż to słodka pora w spoczynku przyrodzenia!

Zda się zaspać; przeszły pienia,
  Jednakże się coś odzywa:
Bąk w jeziorze wznosi brzmienia,
  Derkacz je gdaniem przerywa;
    Noc ponurą rzeźwi w cieniach
    Słowik, czuły w swych nuceniach.

Śklni się niebo z gwiazd wielości,
  Śklni się wieczno-trwałym szykiem;
W nieprzejrzanéj ogromności
  Owe światy są płomykiem:
    Myśl się wzmaga i upada,
    Czuje, kto wzniósł i posiada.

I trzeba się od czułości téj oderwać, bo następuje czas zgromadzenia wieczornego.

I com się w księgach bawił bohaterów walką,
Potykam się walecznie i z królem i z kralką.
Czterech pułków wodzowie, szykujem rycerze,
Kunszt wzmaga, lecz los rzeczy i daje i bierze.

Po grze wieczerza. A jak przy obiedzie dzień się wdzięcznie dzielił, przy niéj się wesoło kończy: a ja, zabierając się do wczasu, w słodkiéj nadziei, iż mi się może przyśnisz, powiadam ci: dobra noc, moja kochana siostro!

Gość w Heilsbergu.

Wiersz Stanisława Trembeckiego, 1784 roku pisany do Ignacego Krasickiego, podówczas Księcia Biskupa Warmińskiego.

Książę! jasnego domu szczepie znamienity,
Któremu większe dajesz nad wzięte zaszczyty!
Kochający ojczyznę, i kochany wzajem,
Czemuż cię za ojczystym szukać trzeba krajem?
Twe sądy, równie słuszne, dla obojéj strony,
Chwalił zwyciężający, chwalił zwyciężony.
Ty, wraz mieszczący w sobie bardzo różne dary,
Szerząc światło rozsądku, nie słabiłeś wiary.
Z ciebie miał Kościół polski podporę niezmierną,
Z ciebie senat ozdobę, i król radę wierną.
O! jak smutne wspomnienie razi moję tkliwość!
Z polskich nierządów obca korzystała chciwość:
Gdy nasze dzielą dobro sąsiedzkie narody,
Ciebie wzięcie za czwarte rachujemy szkody.

A choć teraz w odległéj bursztynowéj ziemi
Mieszkać musisz, pasterzu, z owieczkami twemi,
Sprzyjaj téj, co cię na świat wydała krainie!
Niechaj rodaków imię twemi dzieły słynie!

Ci z usilném pragnieniem chwytać sobie życzą
Pienia, w których przeplatasz użytek słodyczą:
Wszak, świetniejszém wybraniem, dla głowy obsłony,
Nad purpurowy kolor przekładasz zielony;
A cnéj pisania sztuki z dowcipem i gustem,

Tyś pierwsze dał przykłady pod naszym Augustem.
Rządca ten, gdy swe państwa biegłemi obdarzał:
Ciebie umiał wynaléźć, a innych postwarzał.
Gdy zaś twój każdy wyraz wiele zawsze znaczy,
Biedne naśladowniki zostawiasz w rozpaczy.
Próżno się onych pióro z twojém równać sili:
Tysiąc było poetów, a jeden Wirgili.
Twe nawiedzić mieszkanie, natchnienie mnie wzywa:
Czasem dzielność do miejsca przywiązana bywa.
Na domu, gdzie Maurycy ma spoczynek wieczny,
Broń swoję żołnierz ostrząc, staje się waleczny;
Grubsze straci przesądy i rozumu przetrze,
Kto ma szczęście Fernejskie oddychać powietrze;
Lecz kto się treściwemi chce rytmami wsławić,
Ten musi dzień choć jeden w Heilsbergu zabawić.
Tu nasz prawdziwy Parnas, nasze Hipokreny,
Tu miłe swoją słyną bujnością Kameny.
O! gdybym, tu przytomny, na ich dar zasłużył!
Dla korzyści mych ziomków zarazbym go użył.

Rzekłbym do prawodawców, łączących się w Grodnie:
„Jedźcie bracia pomyślnie, a sprawcie się godnie.
„Jak ów okręt, któremu nieprzejrzana szarga
„Wszystkie maszty pokruszy i żagle potarga,
„W tym razie, shukanemu morzu na ofiary,
„Roztropnie choć najdroższe wyrzuca ciężary:
„A potém z niebezpiecznéj wyrwawszy się toni,
„Innemi swéj utraty zyskami dogoni:
„Tak i po naszéj burzy, po naszéj przygodzie,
„Starajmy się pomyśléć o szkody nagrodzie.
„Nie chciałbym ja krajowych zwyczajów przywrócić:
„Jak będziemy szczęśliwi, będziemy się kłócić.
„Ale teraz domowe odłóżcie niesnaski,
„Odrzućcie podejrzane nieprzyjaznych łaski,
„A dobra powszechnego tchnąc jedynie duchem,
„Jednomyślnéj przyjaźni wiążcie się łańcuchem!
„Oto pora do przykréj ulżenia niedoli,
„Kiedy znowu Europa zamieszania woli.
„Wrą gniewy, pokój niknie, i łączą się mocy,
„Zachód grozi wschodowi, południe północy.
„Nas, jeśli pamięć krzywdy do zemsty zapali,
„Ta przeważy, do któréj miecz przydamy szali.
„Lecz w takowém wybraniu, ażeby nie zbłądzić,

„Ostrożną się przystoi przezornością rządzić.
„Poradzić się Minerwy, sposób jest jedyny,
„Którą świat pod imieniem wielbi Katarzyny.
„Pocisk ten, który widzim jéj ręce przydany,
„Drugim końcem zalecza od pierwszego rany.
„Te związki przyzwoitsze: i pomnić się godzi,
„Iż Rusin z jednych z nami początków pochodzi.
„Jedna krew, jeden język, taż natura twarda,
„Taż śmiałość niewzruszona i śmierci pogarda.
„Długo nam Jędze wspólną sprawiały ślepotę,
„Że brodzić w krwi braterskiéj mieliśmy za cnotę.
„On na nas Niemce zwabiał, a my nań Tatary,
„On nam brał senatory, a my jego cary.
„Gdy własnemi siłami niszczym się niegodnie:
„Nazbyt w naszych krainach wzmogli się przychodnie.
„Niech w gruzie starych ruin niepamięć zawali
„Klęski, któreśmy wzajem i wzięli i dali!
„My odtąd, przyjaźń tego utrzymując brata,
„Łatwo reszty potędze oprzemy się świata.
„Nigdy nam z męztwa straszne nie były Teutony,
„Szerzące się przez chytrość, przez kupno, i żony.
„Z tych, jedni nasi byli hołdownicy wczora,
„Drugicheśmy z pod Pogan wydarli topora.
„Kiedyśmy przed ich bronią na kolana padli?
„Uśpili nas przyjaźnią, i śpiących okradli.
„Pysznią się dziś, a naród, z przyrodzenia mężny,
„Dla przywary swych rządów zda się niedołężny.
„Ułóżcie rząd czynniejszy, to nam siły doda,
„Dzień po nocach nastąpi, po słotach pogoda.
„Te co były wysoko, być muszą na dole;
„Toczą się losy krajów na fortuny kole.
„Niechaj górnych nadziei Słowak nie utraca,
„Czuje August, a koło jeszcze się obraca.“

Głos mój słaby ustaje: Książę! wznieś twe tony,
Które naród przychylnie słuchać wzwyczajony;
Kieruj żywszą namową umysły swobodne,
Zaleć zgodę obradom, a staną się zgodne.
A jeśli trąba Marsa w pole nas wywoła,
Krwią, potem i kurzawą, zdobić chlubne czoła;
Pójdziem chętnie na trudy, na najsroższe boje,
O miłości ojczyzny nucąc hymny twoje.

Wiersz Franciszka Dmochowskiego, do Ignacego Krasickiego, Księcia Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, przy ofiarowaniu Nocy Younga.

Albiońskiego Barda czułe treny,
Nucone świeżo nadwiślańskiém pieniem,
Święcę ci, książę Sławackiéj Kameny!
Racz je łaskawém zaszczycić wejrzeniem!

W tobie czcim wielkość i palmę Poety!
Mitra z wawrzynem zdobi twoje skronie.
Najrzadsze razem połączasz zalety:
Pierwszy w Kościele i na Helikonie.

W twych dziełach, Polski pamiątka zostanie,
Wdziękiem ich wnucy będą się poili:
Zginęli Grecy, zginęli Rzymianie,
Lecz żyje wiecznie Homer i Wirgili.

PIEŚNI OSSYANA.

OBJAŚNIENIE.

Imię *Ossyana* i jego pieśni nieznane były Europie: przeszły one drogą podania przez XV wieków aż do dni naszych, między góralami Szkocyi, między mieszkańcami wysp *Orkad* i *Hebryd*. Ale oświecone narody, bogate grecką, łacińską i swoją literaturą, wcale były obojętne, co ludzie prości o dawnych swoich przodkach śpiewali. Dopiero w pół upłynionego wieku *Macpherson*, słysząc o ich zaletach, nauczył się mowy Kaledończyków, zebrał je, połączył i wydał w języku angielskim: a z tego przeniósł je *Le Tourneur* na francuzki, *Cesarotti* na włoski. Tak przelane i po całej Europie rozgłoszone, ściągnęły powszechną uwagę. Dziwiono się jędrności wyrazów, mocy obrotów, tkliwości uczuć. Zaczęły więc być przekładane na wszystkie języki europejskie. *Ignacy Krasicki* zbogacił znaczną częścią pieśni *Ossyana* literaturę polską. Ale nim cokolwiek powiemy o *Ossyanie*, damy krótką o Kaledończykach i ich Bardach wiadomość, gdyż ta istotnie jest potrzebna do zrozumienia pieśni *Fingala* i innych, które, przez *Krasickiego* przełożone, do zbioru dzieł jego wchodzą.

Kaledończykowie, mieszkańcy dzisiejszéj Szkocyi, pochodzili od Celtów. Dzielili się na pokolenia, czyli *Klany;* każdy Klan miał swego dowódcę. Ich powaga, wyjąwszy w czasie wojny, była bardzo ograniczona. Naczelnicy osobnych pokoleń mieli nad sobą najwyższego urzędnika, zwanego *Vergobret:* ten urząd czasowy stał się potém dziedziczny i odmieniony na imię króla.

W sprawach cywilnych żadnego naczelnicy pokoleń wpływu nie mieli. Sądzono je stosownie do podania, czyli *Clechdy.*

Wojna była panującą namiętnością Kaledończyków. Gardzili życiem spokojném, sądząc, że spoczynek upadla człowieka. Mur, którym się od nich Rzymianie oddzielić chcieli, pokazuje, jak im odwaga Kaledończyków straszną była. Skoro młodzieniec wyszedł z dzieciństwa, zaraz towarzyszył ojcu na wojnach. Bojaźń shańbienia się w oczach takiego przewodnika, i chęć zrównania jego chwale, przetwarzała dzieci w bohaterów. Póty młodzieńcowi nie dano imienia, póki sobie na nie przez jaki czyn znakomity nie zasłużył.

Broń zaczepna była włócznia, strzały, puginał i szabla; odporna: przyłbica i puklerz. Skrzydło orła zdobiło przyłbicę króla. Prawie zawsze Kaledończykowie walczyli pieszo, sami dowódcy z wozów. Gdy dzień potyczki nadszedł, król oddalał się na blizki pagórek: tam w milczeniu układał plan bitwy, nadedniem zdawał komendę jednemu ze swoich dowódców, a sam z kilką Bardami został na pagórku. Jeśli postrzegł, że jego rycerze ustępowali, posełał do nich Barda, aby w nich, przez pieśni rycerskie, ożywił męztwo: a jeśli to nie skutkowało, król sam walczył osobiście.

Po odniesioném zwycięztwie stawiano pamiątkę z kamienia; takich kamieni jeszcze się wiele znajduje w Szkocyi. Ze zwyciężonemi obchodzono się z ludzkością, i prawie zawsze na wolność ich wypuszczano. Nienawiść między familiami rodziła ustawne bitwy pojedynkowe. Często dwaj bohaterowie bili się jedynie dla niechęci swych przodków. Ale jak nienawiść, tak też przyjaźń dziedzictwem z pokolenia do pokolenia przechodziła. W największym zapale, gdy rycerz powiedział imię swoje nieprzyjacielowi, a ten widział, że ich przodkowie byli sobie przyjaciołmi: zaraz rzucał broń i ściskał swego przeciwnika. Gościnność w największym zostawała u nich szacunku, i najpiękniejsze było imię *przyjaciela przychodniów*.

Różnili się bardzo Kaledończykowie w swoich uczuciach dla płci od wschodnich narodów. Tam passye największe połączone były z upodleniem i wzgardą. Kaledończykowie patrzali na kobiety, jak na swoje towarzyszki, a przez męztwo i cnoty starali się na ich szacunek zasłużyć. Czasem przebrane kobiety obok swoich mężów walczyły.

Znali Kaledończykowie żeglugę. Zaświadczają to ich wyprawy do Skandynawii. Budowali z drzewa, potém z kamienia: pospolicie stawiali domy na wyższych miejscach.

W zdaniu Kaledończyków, obłoki były siedliskiem dusz po śmierci. Waleczni i cnotliwi umieszczeni byli w pałacu powietrznym swych ojców: nikczemni i niecnotliwi błąkali się na wiatrach. Cienie tém samém bawiły się po śmierci, co zmarli lubili w życiu. Powszechnie u nich rozumiano, że się dusze pokazywały i objawiały. Wszystkie skutki natury przypisywali duchom.

Mówmy cokolwiek o Bardach. Bardowie byli niższemi Druidami. Ci mieli najwyższą powagę we wszystkich sprawach, tamci zaś śpiewali pochwały królow i bohaterów. Druidowie zostali wyniszczeni u Kaledończyków, że nadto sobie powagi przywłaszczali, Bardowie oszczędzeni.

Nic tak nie przyłożyło się do zjednania powagi królom i dowódcom, jak pieśni Bardów. Ci, wysławiając ich przymioty i czyny, wmawiali w lud największe dla nich uszanowanie; a w pieśniach swoich wystawując wzór doskonałego bohatera i rządcy, wzniecali w królach chęć stania się tym wzorom podobnemi. Zkąd to uformował się w Kaledończykach charakter męztwa i wspaniałości.

Każdy naczelnik miał swoich Bardów. Król dawał corok wielką ucztę, na którą się zgromadzali Bardowie wszystkich pokoleń, i tam swoje pieśni powtarzali. Wybierano z nich najlepsze i kazano nauczać dzieci. W wojsku zbierali się wszyscy Bardowie, i razem głosili zwycięztwo, albo opłakiwali śmierć jakiéj znacznéj osoby. Takie pieśni składał Archibard, to jest, naczelnik królewskich Bardów; i ten świetny stopień był winien wyższości swojéj w Poezyi. Bardowie służyli jeszcze za posłów; osoba ich była święta. Z czasem zepsucie Bardów, podłość, pochlebstwa, mierność talentów, podały ich w pogardę i przyśpieszyły ich upadek.

Imię *Ossyana* między Bardami najsławniejsze. Żył on przed wprowadzeniem religii chrześciańskiéj do Szkocyi, przy końcu wieku trzeciego, lub na początku czwartego. Pochodził od sławnego *Trenmora*, który zniszczył Druidów, i przez wszystkie pokolenia królem okrzykniony został. *Fingal* syn *Comhala*, a wnuk *Trenmora*, był ojcem *Ossyana*, który, skoro tylko mógł broń nosić, towarzyszył ojcu we wszystkich wyprawach, dzieląc jego niebezpieczeństwa i chwałę. *Fingal*, wsławiwszy się przez wielkie dziela, oddał uroczyście włócznią swoję *Ossyanowi*. Używał jednak jéj nasz Bard na obronę słabego i uciśnionego, póki mu jéj starość z rąk nie wytrąciła. Wtedy, pozbawiony ojca i syna *Oskara*, którego *Cairbar* przywłaszczyciel, przez najhaniebniejszą zdradę zabił, ślepy i słaby, szukał osłodzenia w swoich boleściach i nieszczęściach, śpiewając czyny swoich przyjaciół. *Malwina*, żona jego kochanego *Oskara*, nigdy go nie opuściła. Do niéj po większéj części obraca swoje poemata, osobliwie te, w których waleczny *Oskar* główniejszą gra rolę. Czuła przyjaźń, troskliwość naszego Barda dla *Malwiny*, jéj wdzięczność i przywiązanie do ojca, dowodzą, że delikatne uczucia nie są szczególnym ludu ucywilizowanego podziałem.

Malwina uczyła się na pamięć poematów *Ossyana*, i śpiewała je przy dźwięku arfy. Po śmierci *Ossyana* Bardowie nauczyli się ich od *Malwiny*, i powtarzali je, dając im pierwszeństwo nad własnemi

dziełami. Kochali się w nich Kaledończykowie, równie dla opisów historycznych, które się w nich znajdują, jak dla piękności poezyi. Ale to najbardziéj szacunek ich dzisiaj pomnaża, że w nich znajdujemy wierny obraz obyczajów tamtego czasu, i że służyć mogą do historyi rozumu ludzkiego. Opinie, zwyczajne namiętności, uciechy i zabawy ludu, dopiéro z rąk natury wychodzącego, nie mogą być obojętnym dla filozofa przedmiotem.

RZECZ POEMATU FINGALA.

Arto, monarcha Irlandzki, umarł w *Temora*, pałacu królów téj wyspy, i zostawił w małoletności syna *Kormaka*. Zgromadziły się pokolenia w *Temora*, dla wybrania opiekuna. *Kukulin*, syn *Semo*, króla jednéj z wysp *Hebryd*, jednomyślnym głosem był wybrany, jako wielką mający sławę rycerską. Tylko co objął rządy, dowiedział się, że *Swaran*, król *Loklinu* w Skandynawii, przedsięwziął wyprawę do Irlandyi. Posłał więc *Morana*, syna *Fityla* do *Fingala*, wodza Kaledończyków, prosząc o pomoc. Ten, już przez szlachetność, już, że był spokrewniony z familią królewską w Irlandyi, przedsięwziął ruszyć z wojskiem do tego kraju: ale nim przybył, *Swaran* już wkroczył do *Ulster*, prowincyi Irlandyi. *Kukulin* zebrał wybór pokoleń irlandzkich w *Tura*, miejscu obronném. Rozesłał szpiegów po brzegach, aby był natychmiast uwiadomiony o przybyciu nieprzyjaciela. Tu zaczyna się poemat: akcya trwa tylko pięć dni i nocy. Scena odprawuje się na równinie *Lena*, przy górze *Kromla*, nad brzegiem prowincyi *Ulster*. *Fingal*, ojciec *Ossyana*, król *Morwenu* w Szkocyi, jest bohaterem tego poematu.

Fingal.

DUMA I.

Treść. Kulin, uwiadomiony od *Morana* o zbliżeniu się *Swarana*, zgromadza na radę wodzów. *Konnal*, król *Togormy*, przyjaciel *Kukulina*, radzi cofać się aż do przybycia *Fingala*. *Kalmar*, król *Lary* w prowincyi *Konnaught*, jest za stoczeniem bitwy. *Kukulin* skłania się do tego zdania. Przybywa *Fergus* rycerz, i donosi o śmierci *Dukomara* i *Kaitbata*. Ztąd wypływa tkliwy ustęp o *Mornie*, córce *Kormaka*. Wysiada *Swaran*, widzi z daleka wojsko *Kukulina*, i wysełą syna swego *Arno*, dla uważania poruszeń nieprzyjacielskich, a sam szykuje wojsko do boju. Stoczona bitwa; noc wojowników rozłącza. *Kukulin*, podług praw gościnności, zachowywanych w owych czasach, zaprasza *Swarana* na ucztę, lecz ten jéj nie przyjmuje. *Karyl* Bard opowiada *Kukulinowi* historyą *Grudara* i *Brassolis*. Na wniosek *Konnala*, *Kukulin* wysełą poczet swoich, dla uważania nieprzyjaciół, i na tém się akcya dnia pierwszego kończy.

Tam, gdzie się wznoszą wieże niebotyczne,
I bramy Tury, i twierdze rozliczne,
Gdzie wiatr gałęzie kołysał powoli;
Siedział Kukulin pod cieniem topoli.
Oszczep, waleczne co go ręce niosły,
Oparł na skale, mchem zewsząd obrosłéj;
Puklerz tuż przy nim leżał na murawie.
W téj mąż waleczny zostając postawie,
Dumał, jak zwalczył i życia pozbawił
Karbara; w tém się Moran przed nim stawił,
Moran, któremu straż morza przeznaczył,
I ostrzegł wodza o tém, co obaczył.
„Wstań Kukulinie, mówi rycerz młody;
Swaran się zbliża: oceanu wody

Z pienistym szumem pędzą żagiel wzdęty,
Patrz, jak się liczne zbliżają okręty,
Pełne Mocarzów!“ — „O synu Fityla,
Widzę, że straszna ta dla ciebie chwila.
Drżysz, trwoga w oczach nieprzyjaciół mnoży.
Może to Fingal — rzekł Kukulin hoży —
Fingal, górzystéj monarcha krainy,
Mnie ku pomocy śpieszy w te niziny.“
„Widziałem, rzecze Moran, jak wspaniała
Postać ich wodza: śkląca lodem skała
Nie tak przeraża blaskiem zdjęte oczy.
Puklerz, jak księżyc co się w pełni toczy;
A co w przemożnéj ręce swojéj niesie,
Oszczep, jak jodła wybujała w lesie.
Siedział u brzegu na skale wysoki,
A w koło niego, jak ciemne obłoki,
Snuły się zewsząd hufce okazałe.
Rzekłem, mocarzu, masz wojsko niemałe;
Czeka cię mnóstwo rycerzów u Tury,
Jak łoskot wału, lub grom strasznéj chmury.“
Ozwał się Swaran, wspierając na tarczy:
„Kto mojéj sile w tych polach wystarczy?
Kto się nie wzdrygnie, gdy ja rzucę okiem?
Leżą rycerze, co zuchwałym krokiem
Chcieli próbować razów zamaszystych.
Sam tylko Fingal, król pagórków dżdżystych,
Mógł mi się oprzéć: gdyśmy się spotkali,
Tęgiemi kroki ziemięśmy zorali.
Na górze Malmor rwały się opoki,
A w bystrym pędzie przelękłe potoki
W inszą się stronę przerznęły przez lasy;
Uciekły, mrucząc na nasze zapasy.
Trzy dniśmy coraz tak się pasowali!
Drżący rycerze na ustroniu stali.
Gdy się zaczęły pokazować zorza
Czwartego, krzyknął Fingal, padł król morza!
Nie padł, rzekł Swaran, utwierdzony w kroku.
Niechże Kukulin, posępnego wzroku,
Ustąpi temu, ustąpi w pokorze,
Co tak jest straszny, jak chmura w Malmorze.“
„Nie, nie ustąpi Kukulin, Swaranie.
Padnie, lub będzie wielkim; ty, Moranie,
Idź, weź mój oszczep, niech nim uderzona

Brzmi Kabaita tarcza, zawieszona
W Turze; niech wojny głos brzmi w twierdzach, w mu-
Niech go usłyszą mocarze po górach!“ [rach,
Rzekł; skoczył Moran, bije w tarcz, brzęk głośny
Po górach, skałach, rozległy, donośny
Daje się słyszeć; drży łań przy jezierze:
Konnal, zdrzewiały od krwi oszczep bierze,
Kurat z wierzchołka porywa się skały,
I syn Tawila, Krugal, jak śnieg, biały.“
„Słyszę dźwięk tarczy, woła Ronnar mężny. —
„Grot Kukulina bije weń potężny —
Zawołał Lugar — przywdziej hełm Kalmarze,
Pilno pośpieszaj; a ty, Kairbarze,
Rzucaj las Kromli; Eth kolana giętkie
Sposób do biegu, porzuć wrzosy miętkie,
Tam kędy Lena bystre wody toczy.
I ty, Kaolcie hoży i ochoczy,
Śpiesz się na wdzięczne odwadze igrzyska,
Niech z ziół pod twemi kroki rosa pryska.
Przepasuj biodra, biodra twoje białe,
Bielsze od piany, gdy w Kuton na skałę
Rzuca się morze.“ — Gromadzą się mężni,
Wspaniali w kroku, a w boju potężni;
Pamięć dzieł dawnych zarumienia lice;
Na hasło wojny śklnią się już źrenice.
Rękojeść miecza każdy tęgo ściska,
A stal hartowna jak piorunem błyska.
Schodzą z pagórków, jak potoki dżdżyste;
Wodzowie zbroje przywdzieli ojczyste;
Za niemi groźna i posępna tłuszcza:
Jak gdy się obłok płomienisty spuszcza,
Przodkuje chmurze, co ulewę nosi,
Trzaskają gromy, deszcz niziny rosi.
Brzęk słychać groźny, tarcz szczęka o tarczą,
Brytany wyją, i przy panach warczą.
Już pieśń pogromu mocarze zaczęli,
Echo odgłosy po padołach dzieli,
Drżą lasy Kromli, na wierzchołkach Leni
Spoczywa wojsko. Tak w dżdżystej jesieni
Coraz się dymy wznoszą nad potoki,
A w grube dalej gęszcząc się obłoki,
W czarną mgłę wierzchy gór wielkich gdy mienią,
Pod samą niebios wznoszą się przestrzenią.

„Zdrowie, Kukulin rzekł, dzieciom padołu.
I wam jeleni gońcom dziś pospołu!
Na insze teraz przychodzim igrzyska;
Straszne, jak bałwan, co na skały pryska.
Mamyż się z królem Loklinu potykać,
Lub z wdzięcznych nizin Insfalu umykać?
Czy ręka nasza na odpór wystarczy?
Mów ty, Konnalu, kruszycielu tarczy.“
Rzekł Konnal: „Oszczep gotowy do wojny,
Lubi krew oszczep, lecz umysł spokojny.
Ręka chce bitwy, ale serce zgody.
Wodzu! patrz jako Oceanu wody
Swarana flotą okryły się nagle!
Nieprzeliczone i maszty i żagle!
Jak giętkie trzciny na Legony bagnie,
Rycerzów mnóstwo; Konnal zgody pragnie.
Fingal, najpierwszy z mocarzów walecznych.
Swarana ręki ciosów niebezpiecznych
Strzeże się; Fingal, co jak wietrzna słota,
Przerzadza hufce i mocarzmi miota.“
„Ustąp, rzekł Kalmar, miłośniku wczasu;
Idź, a wśród nizin spokojnych i lasu,
Gdzie głucho zawsze i zwierz nie zaskomli,
Trwożne uganiaj łanie w puszczach Kromli.
Niechaj strzał twoich żelezca stępione,
Rażą jelenie w biegu ugodzone.
Ty Semy płodzie! pędź Loklińce w strony!
Twój oszczep, na ich klęsce zaprawiony,
Niech gromi hufce, niech zuchwalców znosi!
Niech nasze morze ich żaglów nie nosi!
Wstańcie, o wiatry Erynu burzliwe,
Wichry i burze i gromy straszliwe!
Od gniewnych cieni porwany w obłoki,
Niech wśród was Kalmar spełznie, jeśli kroki
Milsze mu w puszczach, niż na placu wojny.“
„Kalmarze! na to rzekł Konnal dostojny;
Nigdym ja z placu nie zszedł, a na czele
Rot moich, znali mię nieprzyjaciele.
W oczach się moich bitwy wygrywały.
O synu Semy! tron Kormaka trwały,
Tron starożytny, lecz pokój żądany.
Choćby i złotem miał być kupowany,
Choćby połową państwa, dajmy hojnie,

Póki nas Fingal nie wspomoże w wojnie.
Chcesz jéj koniecznie? ja się jéj nie wzdrygam.
Z ochotą oszczep w ręce mojéj dźwigam,
Przywdzieję oręż, zbroję włożę na się,
W bitwie duch raźny, a dusza się pasie.“

„Mnie, rzekł Kukulin, miły szczęk oręża,
Jak gdy się odgłos grzmotowy natęża,
Wdzięcznym jest w wiośnie deszczu poprzednikiem.
Niechaj rycerze nasi staną szykiem!
Niech tak jaśnieją śpieszący przez wrzosy,
Jak promień słońca ukształca niebiosy,
Gdy wdzięcznym blaskiem zwykł przodkować słocie,
Nim góry zabrzmią w ogromnym łoskocie!
Gdzież jest Kaitbat śnieżystego łona?
Dukomar, piorun, co mężnych pokona?
Fergus, co ze mną dobre chwile dzielił?
Fergus, co swemi dziełmi mię weselił?“

„Zdrowie synowi Rossy, wdzięczne chwile! (*)
Czemu ponury?“ — „Na szczupłéj mogile
Cztery kamienie, a Kaitbat w ziemi,
Rzekł Fergus smutny; rękami mojemi
Dziś Dukomara pogrzebałem zwłoki.
Synu Tormana! jak między obłoki
Świeci jutrzenka, takiś ty był z nami!
Dukomar straszny z nieprzjaciołami;
Morna przecudna słodkiemi powieki,
Najmilsza z dziewic, i ty śpisz na wieki!
Nie masz cię, piękna, takeś znikła właśnie,
Jak światło gwiazdy, które w biegu gaśnie.“

Rzekł wódz: — „Opowiedz, jak zginęli mężni?
Czyli Loklinu mocarze potężni
Wzięli im życie? Mów, jakiemi kroki
Poszli w posępny padół i głęboki?“

„Gdzie potok szumi, a dąb rozwiódł sęki,
Rzekł Fergus; legł Kaitbat z Dukomara ręki.
Poszedł do pieczar Tury zabójca niesforny,
Napotkał; i te słowa powiedział do Morny:
O najpiękniejsza z dziewic! pocożeś ty sama?
Wdzięczna córko Kormaka, ta odludna jama

(*) Fergus przychodzi.

Pocóż ciebie ukrywa? Potok smutnie brzęczy,
Nadpróchniała topola pod wiatrami jęczy,
Wody się przezroczyste mięszają w jezierze;
Obłok ciemno posępny światłość słońcu bierze.
Ale ty jesteś biała, jako śnieg na wrzosach,
A powab miły, co się zaśklnił w twoich włosach,
W mych oczach, jak mgła jasna, na wierzchołku skały,
Gdy przy zachodzie słońca daje blask wspaniały.“
„Zkąd idziesz? — rzekła Morna; ty, której tęsknice
Masz na brwiach twoich czarnych, śklnią ci się źrenice?
Rzekł Dukomar: daleko na łowy chodziłem,
Byłem na blizkich górach, trzy sarny zabiłem;
Weź je wszystkie, mam jeszcze pięknego jelenia,
I tego weź; a pozwól wdzięcznego wejrzenia.“
— „Nie chcę ja twoich darów, piękna Morna rzekła;
Nie chcę, patrzy ci z oczów jakaś dzikość wściekła.
W twojej się tylko kocham, Kaitbacie, cnocie;
Tyś mi tak pożądany, jak promyk po słocie.
Powiedz, czyś go nie potkał na sarnim parowie?“
— „Próżno go czekasz, Morna! Dukomar odpowie;
Próżno: stawiam mogiłę walecznemu mężu,
Krew jego stygnie jeszcze na moim orężu.“
— „Niestety! zginął wdzięczny potomek Tormana!“
Rzekła jęcząc natychmiast Morna zapłakana.
„Leży martwy w mogile rycerz, piękny, młody,
Ten, co bystre jelenie poganiał w zawody!
Leży martwy! Ogromne nieprzyjaciół roty
Nieraz przed nim pierzchały. O mężu bez cnoty!
Dukomarze nieprawy! z ciebie moja strata!
Daj choć miecz ten, gdzie krew mojego Kaitbata.“
Dał miecz, wzięła go w ręce; na wskroś nim przebodła;
Padł Dukomar, jak w lesie wybujała jodła,
Padł, a drżącą ku Mornie wyciągając rękę:
„Masz zemstę, rzekł, obfitą, czuję srogą mękę!
Zmiłuj się! niechaj umrze Dukomar spokojnie,
Oddaj nieczułe zwłoki młodej mojej Mojnie:
Ta mnie wiernie kochała, grób wystawi nowy,
A kiedy się myśliwiec zapędzi na łowy,
Gdy go w puszczy spostrzeże, westchnie przy mogile.
Przebóg! ostatnie teraz gdy dopędzam chwile,
Zlituj się przecie, piękna, wyjm żelazo z łona!
Wskroś mnie mrozi; Dukomar niech spokojnie kona!“
Zbliżyła się ku niemu, a za jednym razem

Miecz wyjęła; wyrwał go, i przebił żelazem.
Padła Morna natychmiast; wybujałe włosy
Pięknemi niegdyś wkoło okryły się wrzosy.
Twarz owa, pełna wdzięków, zupełnie się mieni;
Pierś śnieżystą krew zsiadła szpeci i rumieni,
Kona, a gdy ostatnie siły odstąpiły,
Jęki, serca rażące echa powtórzyły.“
„Pokój na zawsze, rzekł Kukulin, takim!
W niebezpieczeństwie niech wzmogą wszelakiem,
Niech się ich cienie w oczach naszych snują,
Twarze waleczne niech się ukazują!
Na taki widok krzepi się odwaga,
Umysł się cieszy, i dusza się wzmaga.
A ty, o Morno nadobnego lica,
Zbliż się na świetnym promieniu księżyca!
Kiedy snem miłym zdjęte będą oczy,
Niech cię spokojny duch naówczas zoczy.
Idźmy na bitwę, wrzask, szczęki i zgroza
Niechaj się snują koło mego woza!
Kładźcie oszczepy! W walecznéj pogoni
Idźcie za śladem rączych moich koni!
Gdy bitwy chmura przysuniona zbliska,
Miecz mój osiędzie, miecz co na śmierć błyska,
Niech każdy z moich ku sławie się śpieszy,
Niech mnie widokiem swych czynów ucieszy!“
Jak bystry potok, co się wydobędzie
Z wierzchołka Kromli, zapieniony w pędzie,
Gdy gromy biją, i niebo się czerni;
Tak lecą wodza towarzysze wierni.
Ten, jak wieloryb, co bałwany porze,
Gdy wpośród burzy puszcza się na morze,
I z wałmi igra, a gdy fale wzrusza,
Zwraca, i z sobą iść gwałtem przymusza.
Pędzi; już słychać nadejście rycerza.
Swaran w swój puklerz oszczepem uderza.
„Mów synu Arna! rzekł, co za brzęk słyszę?
A jak w wieczorne dni letnich zacisze
Polne się świrki zdala odzywają,
Krzyki Insfału słyszeć nam się dają?
Zapewne to jest odgłos mężnéj tłuszczy,
Jak szelest wiatru wychodzący z puszczy;
Tak jęczy Kormal, gdy z jego padołu
Huk się zaczyna, a gromy pospołu

Wzdymają morza bałwany pieniste.
Wstąp synu Arna, na wzgórki wrzosiste.“
Wstąpił, zszedł trwożny: „Wstań, rzekł, synu morza!
Wóz Kukulina, jak posępna zorza,
Wóz zbrojny, szczęka srogiemi łoskoty:
A jako czarna chmura, wzdęta grzmoty,
Toczy się z hukiem, pogrom śmierci niesie.
Wprzężon Syffada (*), co do boju drze się,
Rwie grunt kopytem i wędzidła pieni,
Głos rżenia jego słychać po przestrzeni,
Jak wiatr w Gormalu śnieżnym szum roznosi.
Duzronal drugi równą żartkość głosi,
Ogniste nozdrzem wypuszcza oddechy;
Nogi mu drgają na lotne pośpiechy.
Sklnącym okryte kruszcem koła błyszczą,
Zajęte lotnym biegiem wiatry świszczą.
Taki wóz: na nim siedzi czarnobrwisty
Kukulin, jego źrenic żar ognisty:
Oszczep ma w ręku, pogromu nie czekaj,
O królu morza! grzmi chmura, uciekaj!“
„Niech grzmi, ja stoję; kiedyż, mężu podły,
Bitwy Swarana do trwogi przywiodły?
Ja, com na gromy nie dbał i na fale,
Ja mam uciekać? chociażby zuchwale
I sam tu Fingal stanął, nie przestraszy;
Do mnie, rycerze! ufam sile waszéj!
Kupcie się, młodzież, koło mego miecza!
Jak skały, które ogrom ubezpiecza,
Czekają gniewnych obłoków z weselem,
Tak się otrzyjmy dziś z nieprzyjacielem.“
Już się zbliżają; jak gdy między góry
Dwie groźne razem uderzą się chmury,
Grom się podnosi, a gdy wzmaga jeszcze,
Pienią potoki ulewy i deszcze;
Tak pełne chęci i wojny zapału,
Starły się wojska Loklinu, Insfału.
Walczy wódz z wodzem, a rycerz z rycerzem,
Puklerz szczęk daje przytarty puklerzem,
Hartowne miecze błyskają i błyszczą,
Cięciwy brzęczą, lotne strzały świszczą,

(*) Koń Kukulina.

Kruszą się groty, krew rozlana kurzy;
A jako nocnej błyskawica burzy,
Mnogie żelezca taką jasność dają;
Okropne wrzawy razem się mieszają.
Tak huczy morze, gdy zapienia piaski,
Tak głuszy piorun ostatniemi trzaski.
Choćby sto Bardów tę bitwę śpiewało,
Sto Bardów tegoby nie dokazało,
Żeby następcom podać dostatecznie,
Wielu rycerzów tam padło walecznie.
Płaczcie, o Bardy, zejście Sytalina!
Odgłos w Fionie żałosny się wszczyna,
Płaczą Ardana: jak jelonki stepu,
Padliście oba z Swarana oszczepu.
Zaryczał Swaran, jako duch pogromu,
Co na Kormalu siedząc pokryjomu,
We mgle zawarty, wśród wichrów i burzy
Cieszy się, okręt gdy w wałach zanurzy.
I twoich ciosów, ciosów zamaszystych,
Doznał niejeden na polach ojczystych,
Miecz Kukulina, jak piorun, co pali!
Okropnym głosem coraz poryżali:
Duzronal znojem pobitych okryty;
Skrwawione zwłoki żartkiemi kopyty
Tłoczy Syffada (*): tak gdy ćmy wichrzyste,
Ciemne obłoki na pola wrzosiste
I lasy pędzą, pod okropną falą
Jęczą padoły, a dęby się walą.
Zapłacz na skałach, córko Inistory,
Piękniejsza niżli duch pagórków skory,
Co po słonecznych promieniach się wije!
Płacz po nad brzegi, twój miły nie żyje!
Zginął twój miły mieczem Kukulina,
Trenar, ach Trenar! nadzieja jedyna
Plemienia swego, padł w nieszczęsną chwilę!
Psy jego wierne wyją na mogile,
Łuk jego tęgi zawieszon na ścienie,
W puszczach okropne panuje milczenie.
Tysiąc bałwanów uderza o skałę:
Tak idzie wojsko Swarana wspaniałe;

(*) Duzronal i Syffada, konie Kukulina.

Tysiąc bałwanów skała się nie boi,
Tak mężna tłuszcza Insfałczyków stoi.
Już śmierć zawyła wpośród broni szczęku,
A każdy rycerz, miecz trzymając w ręku,
Jak ciemny obłok, z którego grom pryska.
Jęczą okropne bitwy stanowiska,
Huk się roznosi, wzmaga po przestrzeni:
A jak żelazo, co ogień czerwieni,
Stokroć tłuczone ogromnemi młoty:
Trzęsie się ziemia strasznemi łoskoty.
  Jacyż to straszni, ponurzy i dzicy
Wiodą spór w polach Leny wojownicy?
Jak dwa obłoki piorunowe trą się;
Szczęk mieczów padół powtarza w odgłosie.
Syn-to jest morza, co z wodzem Eryna
Okropną bitwę sam na sam zaczyna.
Patrzą się na nich rycerze zdumiali;
Ci, w zajadłości swej zapamiętali,
Śmiertelne ciosy zadawają zbliska.
Noc zakończyła straszne widowiska.
  Na rozłożystej Kromli Dorglas schyłku
Przyprawia sarnę, braci ku posiłku.
Ci się krzątają, wrzosem ogień niecą,
Dym się podnosi, gęste iskry lecą.
Kukulin mężny po boju odpoczął,
Wsparł się na mieczu i tak mówić począł:
  „Dla nas to tylko samych ta biesiada?
Karylu, ty, co i ojca i dziada
Śpiewasz zwycięztwa; nad brzegami rzeki
Swaran spoczywa od swoich daleki.
Mów mu odemnie, niech do nas pośpieszy,
Niechaj się naszą biesiadą ucieszy:
Gdy wiatr szeleści w tych lasów zaciszy,
Niech przyjdzie, dumy niech nasze usłyszy.“
  Powstał wspaniały Karyl, szedł do niego:
„Swaranie! odwiedź, rzekł, wodza naszego!
Czeka uprzejmie wszystka młodzież nasza;
Kukulin chętnie na ucztę zaprasza.“
  A Swaran na to, jak łoskot pod chmurą,
Głosem niewdzięcznym i miną ponurą
Rzekł: „Choćby wszystkie Insfału dziewice,
Wdzięki urody i nadobne lice
Stawiły razem, ja się ztąd nie ruszę,

I póty w waszéj ziemi zostać muszę,
Póki nie zbawię życia Kukulina.
Miły z Loklinu wiatr, kiedy się wszczyna,
Kiedy się wzmaga, a postawszy nagle,
Wzrusza bałwany i dmie w moje żagle:
Natenczas gotów na boje, na blizny,
Wzmagam się słodką pamięcią ojczyzny.
Jeśli Kukulin poddać nam się leni,
Krew jego pianę potoków zrumieni.“
Powraca Karyl... „Swarana srogiego
Głos, rzekł, złéj wróżby.“ — „Złéj wróżby dla niego!
Wódz odpowiedział: idź, wznieś głos twój miły!
Mów, na co dawne wieki już patrzyły:
Słódź przykrość nocy twojemi pieśniami,
Zacny Karylu, a ojców dziejami
Orzeźw potomków: miło słuchać żale.
A gdy myśliwiec spoczywa na skale,
Kiedy potoki ciche mruczą, zrana
Echo powtarza pieśni Ossyana. —

Czasów onych dzieci morza
Kiedy do nas przybyły,
Tysiąc masztów pierwsze zorza,
Tysiąc żaglów odkryły.
Wyszła przeciw téj gromadzie
Raźna młodzież Erynu,
Za powinność sobie kładzie
Bronić brzegów Ulinu.
Kabar ów najpierwszy z ludzi,
Piękny Grudar, tam byli;
Nieprzyjaźni gniew ich budzi;
Nieraz bitwy toczyli.
Kiedy przyszło do odporu,
Zapomnieli o bliznie,
Zjadłość dawnego rankoru
Darowali ojczyznie.
Na ich przyjście ludzie morza,
Co przypadli, jak wściekli,
Skoro tylko zeszły zorza,
Obelżywie uciekli.
Wracają razem, spostrzegli,
O co była waśń stara;
Znowu do potyczki biegli,

Zabił Karbar Grudara.
Przyszedł Karbar sam do Tury,
Gdzie najmilsza z siostr jego,
Brassolis, wdzięcznéj postury
I oblicza pięknego,
Od wieczora do poranka
Wylewała łzy hojnie,
Trwożyła się o kochanka,
Czy nie zginął na wojnie.
Weź ten puklerz zakrwawiony,
Rzekł brat, powieś na szczycie,
Czyj był, zginął zwyciężony,
Odebrałem mu życie.
Poznała puklerz miłego,
Wzięła w rękę i zbladła.
Nie rzekła słowa żadnego,
Jęknęła i martwa padła.
Przy tym posępnym padole,
Kędy rolę zorano,
Patrzaj, gdzie są dwie topole,
Tam ich zwłoki schowano.

Rzekł wódz: „Karylu! głos twój tak jest wdzięczny,
Jak rosa wtenczas, gdy promyk miesięczny
Bladawą jasność na góry przywdziewa.
O Bardzie! niechaj arfa twa opiewa
Tę, którą kocham; śpiewaj tę odludną,
Śpiewaj tę gwiazdę Dunfkaru przecudną!
Niechaj kochana, wybrana wśród wiela,
W twych pieśniach wdzięcznych nam zabrzmi Bragela.“

O małżonko Semowica!
Otrzyj łzy twego lica,
Wychodź na wierzch górnéj skały,
Patrz, czy pędzą okręt wały.
Dzieli morze serca wierne,
Patrz, jak bałwany niezmierne
Bielą się pienistym szumem,
Jedne drugie pędzą tłumem.
Nieraz się ucieszysz nagle,
Biorąc bałwany za żagle;
Nieraz cię wzrok miły zwiedzie,
Że twój wierny mąż przyjedzie.

Wróć się do domu, kochana!
Wiatr północny wieje z rana!
Wróć się, niech cię żal nie dręczy,
Śpij, mąż czuje, śpij, mąż jęczy!
„Mów mi Konnalu, rzekł wódz rozrzewniony:
Mów mi o wojnie.“ — Konnal rzekł: „Z téj strony,
Gdzie Swaranowe czują na nas roty,
Miéj baczność, jakie ich będą obroty,
Póki wojsk swoich Fingal nie sprowadzi:
Konnal nietrwożny, ale pokój radzi.“
Uderzył w puklerz wódz, co byli legli,
Wszyscy rycerze na odgłos przybiegli.
Wysłał na zwiady mocarzów wybranych,
Miły sen objął resztę zmordowanych.
Tymczasem zeszłych wojowników duchy,
Głuchym odgłosem straszyły podsłuchy.
Echo jęk niesie, a żałosne krzyki
Pewne są przyszłych śmierci poprzedniki.

DUMA II.

Treść: Cień *Krugala,* jednego z bohaterów irlandzkich, zabitego w boju, pokazuje się *Konnalowi.* Przepowiada przegraną *Kukulina,* i radzi zawrzeć pokój ze *Swaranem. Konnal* opowiada swoje widzenie *Kukulinowi,* lecz ten, przez punkt honoru, nie chce pierwszy żądać pokoju. Druga bitwa. Ucieczka *Grumala* trwoży Irlandczyków. *Kukulin* i *Konnal* zasłaniają ustępujących. Pokazuje się flota *Fingala*: *Kukulin* swoje niepowodzenie przyznaje śmierci *Ferdy,* swego przyjaciela, którego niedawno zabił. *Karyl,* Bard, chce okazać, że nie wszyscy ci, którzy niewinnie zabili swoich przyjaciół, są nieszczęśliwi; opowiada mu historyę o *Konnalu* i *Galwinie.*

Pod starym bukiem Konnal odpoczywał.
Potok, co z blizkich skał się wydobywał,
Mruczeniem wdzięczném sprawiał mu sen miły:
Wtém się zdaleka o uszy obiły
Jęczenia duchów: sam był widział we śnie,
W ognistéj łunie, Krugala, co wcześnie
Zszedł z świata, ręką Swarana zabity.
Twarz jego, jako księżyc mgłą zakryty,
Wtenczas, gdy bladą jasnością przyświeca.
Ozdobne niegdyś siność szpeci lica:
Oczy, jak światło, kiedy dogorywa:
Piersi zawrzała krwią rana okrywa.

„Tyżeś-to Krugal? rzekł Konnal nietrwożny;
Tyś-to mocarzu, w sławie tak zamożny?
Synu Dedgala, tyżeś-to, coś w puszczy
Druzgotał tarcze nieprzyjaznéj tłuszczy?
Zkąd taka bladość? straszliwy w zamachu,
Nie bladłeś nigdy za życia od strachu:
Powiedz, jakie cię przygody zmieniły?“
Stanął duch: z oczów łzy mu się puściły.
Dotknął Konnala ręką zamartwiałą,
Zimno natychmiast wskróś go przejmowało.
Ozwał się: ale jak szelest wietrzyka,
Gdy się po łozach nieznacznie pomyka,
Taki głos jego. „Konnalu! w mgłach dżdżystych
Duch się mój błąka po wzgórkach ojczystych;
Ciało na piaskach Ulinu spoczywa.
Gdzie owa nasza uprzejmość życzliwa?
Już zemną więcéj społem nie usiędziesz,
Już zemną więcéj rozmawiać nie będziesz.
Jako wiatr Kromli, co poprzedza gromy,
Duch jestem lekki, czczy, płonny, znikomy.
Synu Kolgara! Leny stanowiska
Osiadła nagle śmierci chmura blizka:
Biada Eryńcom, ja cię rzucać muszę.“
Rzekł; i jak promyk zniknął w zawierusze.
„Wróć się, zaczekaj, powróć ku mówieniu!
Rzekł Konnal, wróć się na bladym promieniu!
Powiedz, gdzie mieszkasz? gdzie twoje zacisze?
Mów, czyli twego głosu dźwięk usłyszę,
Gdy ćmy i mary w niezwykłym pośpiechu,
Będą leciały na wiatrów oddechu?“
Porwał się Konnal, Kukulina budzi,
Rzekł wódz: „Konnalu! cóż to cię tak trudzi?
Masz-li co mówić? mów, rady zbawienne
Twoje, jak promień w pogody jesienne.“
„O! synu Semy! gdy w spoczynek ległem,
Stanął przedemną Krugal, i postrzegłem,
Jak wskroś przez jego cień gwiazdy błyszczały.
Duch z pieczar wyszedł; słyszeć mi się dały
Jęczenia jego, jak strumyk zdaleka,
Gdy słabo mruczy, i kręto ucieka.
Śmierci poprzednik smutne wieści głosi,
Mężny Kukulin niech o pokój prosi.“
„Synu Kolgara! rzekł wódz, co niewcześnie

Opowiedziałeś, może było we śnie:
A przestraszony łoskotnym rozruchem,
Może świst wiatrów mieniłeś być duchem.
Jeśli był Krugal, czemu nie szedł do mnie?
Niech się przedemną stawi, niech przytomnie
Głosi wyroki: pójdę! jego duszę,
Objawić przyszłość, mieczem mym przymuszę.
Ale o prawdzie któż nas ubezpieczy?
Jakto on może wiedzieć przyszłe rzeczy?
On, co był z nami wczoraj? martwe w zwłokach
Jest ciało, dusza buja po obłokach:
Niedawno Krugal wpośród duchów siedział,
Jakby się rzeczy tam przyszłych dowiedział?“

„Po śmierci ciała, duch z duchem przestaje,
Rzekł Konnal; co ma nastąpić, poznaje.“

„Niechże o inszych myślą, rzekł wódz; w grobie
Niech się o mojéj nie troszczą osobie.
Bądź co chce, z placu bitwy nie uciekam:
Jeśli mam zginąć, tego się doczekam,
Że i po śmierci sława mnie ogarnie.
Bragello moja! nie zapłaczesz marnie!
Niech się grom sroży, ja kroku dostoję!
Wiem, co żyć, ale umrzéć się nie boję:
Śmierć mię nie trwoży, obelga mię straszy.
Nie cofnąłem się w przytomności waszéj;
Sam Fingal nieraz w nieprzyjaciół klęsce
Widział, co mogę, i chwalił zwycięzcę.
Staw się przedemną, duchu smutnych wieści!
Niechaj się zbliży obłók, co cię mieści,
Niechaj się zbliży! Wznieć gromy, wiatr wzdymaj,
I śmierci oszczep w groźnéj ręce trzymaj;
Nie przymusisz mię do zwrócenia kroku.
Znikoma paro, czczy płodzie obłoku,
Synu Kolgara! w puklerz zawieszony
Uderz oszczepem, niech na wszystkie strony
Dźwięk się rozchodzi, i budzi rycerze:
Niech się z nich każdy do oręża bierze!
Chociaż się Fingal z wojskiem przybyć leni,
Na rozłożystéj Insfału przestrzeni
My się stawimy, oprzemy potężnie!
Synu Kolgara, zginiemy, lecz mężnie!“

Brzęk głośny tarczy echa powtarzają.

Mocarze ze snu obudzeni wstają,
Powstali razem; a jak dęby mocne,
Co w nie z pod chmury dmą wiatry północne,
Gdy inne drzewa szturm łamie i kruszy,
Liście szeleszczą, dąb się ani ruszy.

We mgle ukryty pomiędzy obłoki,
Widzieć się daje grzbiet Kromli wysoki:
W spokojnych wodach nadbrzeżnego morza,
Miga się drżący blask zeszłego zorza,
Chmura się sunie, a idąc pomału,
Okrywa hufce rycerzów Insfału.

„Czas! krzyknął Swaran na swoich; do broni!
Niechaj z was każdy Insfałczyków goni!
A ty wprzód, Morla, na zamek Kormaka!
Idź, mów Eryńcom: wola moja taka,
Niech zwyciężeni dzielnością Swarana,
Zwycięzcę swego uznają za pana.
Sprzeczni orężem mściwym zginą marnie,
Śmierć i milczenie ich ziemię ogarnie.“

Na takie hasło, jako w stadzie ptacy,
Wraz się porwali Loklinu junacy.
Rozruch się wzmaga, jak odgłos potoków,
Kiedy po burzy, z pośrodka obłoków,
Raz jasną bladość rzuci, drugi cienie
Skryty, lub zeszły księżyc na strumienie.

Idą Loklińcy, jako cień w jesieni,
Kiedy umyka po dolnéj przestrzeni.
Idą; po lasach wybujałe wrzosy
Niosą zdaleka krzyki i odgłosy.
Jak jeleń w Morwen, pierwszy Swaran mocny;
Tarcz jego błyska, jako płomień nocny.
Wiatr powstał nagły, i chmurę rozrywa,
Wojsko Insfału razem się odkrywa.

„Morla! rzekł Swaran, jeśli się poddadzą,
Jeśli na naszę łaskawość się zdadzą,
Ogłoś im pokój taki, jaki mają
Ci, co dzielności naszéj doznawają,
Kiedy rycerze ich pobici legną,
A córki żebrać miłosierdzia biegną.“

Szedł syn Suarta; przed wodzem Eryna
Stanął; słuchają; on mówić zaczyna:
„Bierz od Swarana pokój; takić daje,

Jaki przyjęły zwyciężone kraje;
Kiedy na odgłos pogromu przelękli,
Króle, narody przed nami uklękli.
Ustępuj z nizin i oddaj mu żonę,
A ten, co kroki ma niedoścignione,
Stróż twej osoby, niech mu się dostanie.
Bądź nam posłuszny!" „Na takie żądanie,
Rzekł wódz Eryńców, powiedz twemu panu:
Tu ma grób, albo wodę z oceanu.
Bragella moja nie będzie dla niego,
A Luat, kroku niedoścignionego,
Wierny mój brytan, w Swaranowej sforze
Nie pójdzie gonić jelenie za morze."
„Słaby powóżco wojennej sprzężai,
Słuchaj, rzekł poseł, co ci Morla rai:
Darmo się targasz słaby na mocnego!
Wiesz, jaka dzielność jest pana mojego?
Wiesz, jakie wojska, jakie floty liczne?
I ciebie razem i państwa dziedziczne,
I całą wyspę przeniósłby za morze.
Takiś jest mały, ty, co trwasz w uporze."
„Morla! Kukulin rzekł, słów się nie boję;
A póki w ręku mam oręże moje,
Póki tchu tylko w moich piersiach stanie,
Będę Kormaka bronił panowanie.
Słyszysz, Konnalu, najcelniejszy w boju!
Co mówił Morla: czy żądasz pokoju?
Duchu Krugala! darmo straszysz zgonem.
Choćbym i śmierci miał dziś zostać plonem,
Pójdę na bitwę: w ciemne zgonu kraje,
Miło iść, światła gdy sława dodaje."
„Dzieci Insfału! do broni! do łuków!"
Rzekł; a jak obłok pełen groźnych huków,
Z takim łoskotem ruszyły się roty:
Wódz, jak duch burzy, co poprzedza grzmoty,
Co ogniem miota, a wiatr w ręku niesie.
Trąby chrapliwe już słychać po lesie,
Głos dzielny wodza, wskroś serce porusza;
Wchodzi w rycerzów dusze jego dusza.
Śpiewały Bardy: gdzie Krugal przebywa?
Krugal ów sławny, milczy i spoczywa!
Spoczął pod ziemią snem twardym, śpi w grobie,
Małżonka płacze, dom cały w żałobie.

Cóżto za piękna wśród boju przebywa?
Płacze, wiatr lekki włosy jéj powiewa.
Ach to Degrena! zginął mąż twój miły,
Duch się czczy tylko wznosi nad mogiły.
Niekiedy w oczach twoich stawa, jęczy,
Głos jego jęków, jak pszczółka, gdy brzęczy!
Padła Degrena, grot odjął jéj życie,
Płacz Kaitbacie! i zięcia i dziécię
Straciłeś razem! Porwał się i bieży,
Przypadł do córki, ta już martwa leży.
Ryknął, i rzucił się w Loklina szyki;
Bitwa się wszczęła z strasznemi okrzyki,
Oba się wojska walecznie spotkały,
Gromadne hufce z obu stron padały.
Padli rycerze; tak wiatr dęby wali,
Tak pożar puszcze zajmuje i pali.
Jak małe trawki, wódz Loklinów siecze,
Swaran druzgota i zbroje i miecze.
Pod jego ciosy Karbar wraz z Karachem,
Morglan, za jednym zgładzony zamachem;
Pod własną tarczą Kaolt, mniéj bezpieczny;
Zajadły Swaran wprawił go w sen wieczny.
Padł, zadrżał wszystek, i zemdlony kona,
Szpeci krew białość śnieżystego łona.
Nieraz na téjże, kędy poległ, ziemi,
Po dziennéj pracy z rówienniki swemi
Sprawował uczty: nieraz dźwięk muzyki
Głosiły echa, mnożyły okrzyki.
Szedł Swaran, jako potok zapieniały,
Co góry wzrusza, rwie drzewa i skały.
Wsparł go Kukulin; tak wierzchołek Kony
Na łoskot grzmotu stoi niewzruszony.
Dzieci Insfału kupią się ku niemu;
On stał za tarczę wojsku walecznemu.
Gdzie stąpi, zaraz zewsząd krew się leje.
Lecz z drugiéj strony, jako śnieg, topnieje
Wojsko Eryńców. „O! dzieci Insfału!
Zakrzyknął Grumal; trudno ujść zakału!
Loklin zwycięzca! uchodźmy za góry!“
Rzekł, a jak jeleń w Morwen lotem skory,
Bieżał w zawody; lecz z Insfału szyków
Mało przelękłych miał naśladowników.
Gromił Kukulin: wtém postrzegł, że roty,

Mimo usilność walecznéj ochoty,
Zaczęły słabieć; w rozpaczy i żalu
Rzekł: „O najpierwszy z mocarzów, Konnalu!
Tyś mię zaprawiał na gromy i boje!
Pierzchają nasi, ja kroku dostoję.
Karylu! resztę niedobitków zbieraj,
Ty zaś, Konnalu, przy mnie się opieraj,
Zgińmy tu razem!“ Skoczył Konnal mężny,
Obadwa odpór dawali potężny;
Tarcze wraz oba wsparli na ramieniu.
Tak się wydaje miesiąc przy zaćmieniu,
Kiedy obwieszcza swój okrąg ponury.
Pną się Duzronal z Syffadą do góry,
Ciągną wóz, żartką pianą lice moczą,
A tuż za niemi Loklińcy się tłoczą.
Na wierzchach Kromli Eryńcy stanęli;
Rycerze, niegdyś ochotni, weseli,
Milczą. Po szykach znać wielość zginionych,
Jak pożar w puszczy z dębów wypalonych.
Wsparł się na mieczu Kukulin ponury,
A smutném okiem poglądając z góry,
Patrzał na morze, żalem wskroś przejęty.
Wtém krzyknął Moran: „Okręty! okręty!
Fingal, najpierwszy z mocarzów przybywa,
Las masztów jego już morze okrywa.“
„Dmijcie o wiatry! rzekł wódz, dmijcie nagle!
Dmijcie o wiatry w Fingalowe żagle!
Przychodź, wybawco, zgnęb przeciwnych wielu!
Przychodź na pomoc, wierny przyjacielu!
Maszty i żagle twoje wpośród morza
Tak mi przyjemne, jak wiośniana zorza,
Jak jasność, gdy się niebo wypogodzi:
Tyś światło, co nas z ciemności wywodzi.
Konnalu! świadku mojego wesela,
Patrz, jak jest słodki widok przyjaciela!
Ale zmrok kryje nam flotę Fingala:
Czujmy, a kiedy ciemność nie pozwala
Widzieć okręty, czekajmy, aż zorza
Odkryją razem i flotę i morza!“
Wiatry z szelestem z puszczy powstawały,
Potoki bystre szumiąc z skał spadały,
Na deszcz się w górach Kromli zabierało,
A gwiazd obłoki widzieć dały mało.

Siedział wódz smutny nad mruczącą strugą,
A w zamyśleniu trwając chwilę długą,
Westchnął; rzekł potém: „Ręko nieszczęśliwa!
Straciłaś dzielność, szczęścia ci ubywa:
Odtąd ów dzielny zamach się osłabił,
Jakem mojego przyjaciela zabił!
Ferdo kochany! jakże byłeś miły!“
„Powiedz, rzekł Konnal, jak się zakończyły
Dni jego młode? jak przyszedł do zgonu?“
„Szedł, rzekł Kukulin, do nas z Albionu.
Tam w szkole Mury gdy słynąć zaczyna,
Zyskał serdeczną przyjaźń Kukulina.
Wraześmy odtąd z sobą polowali,
Wraześmy z sobą odpoczynek brali.
Sławna była pięknością naówczas Deugala;
Tę, gdy Ferdy uroda przedziwna zniewala,
Rzekła do swego męża: nie chcę z tobą w parze;
Wróć mi posag, połowę stada, Kaitbarze.
Rzekł mąż do niéj, gdy z ciebie rozwód się zaczyna,
Zgoda; niech nas podzieli ręka Kukulina.
Idź do niego, i zaproś: zaraz się stawiłem,
Połową stada męża z żoną podzieliłem.
Jedna się jeszcze była z jałowic została,
Piękna, rosła nadzwyczaj i jako śnieg biała.
Tę, że była nad podział, mężowi oddałem,
Czém tak srodze Deugalę piękną rozgniewałem,
Iż zaraz rzekła: „Ferdzie, o synu Damana!
Jestem teraz nadzwyczaj bolesna, stroskana.
Kukulin mnie ukrzywdził, dał żalu przyczynę,
Chcę jego śmierci, albo pewnie sama zginę:
Zginę, a duch stroskany będzie ci złorzeczył,
Żeś jego śmiercią, Ferda, mnie nie ubezpieczył.“
„Deugalo! rzekł jéj na to młodzian urodziwy,
Kukulin mój przyjaciel wierny i życzliwy:
Mamże miecz przeciw niemu w potyczce podnosić?“
Trzy dni go rzewnym płaczem nie przestała prosić,
Czwartego jéj obiecał: „Bitwę, rzekł, z kochanym
Będę wiódł, kiedy każesz, lecz niech pokonanym
Zostanę, niechaj zginę, tego życzę sobie,
Niźlibym przyjaciela miał oglądać w grobie.“
Zwiedliśmy bitwę z sobą na wierzchołku Mury.
Nie chcieliśmy się razić, a jeżeli który
Cios zadał, w puklerz tylko uderzał, lub w zbroję:

Ona raźno patrzała na te nasze boje.
Nakoniec, widząc, że mnie przyjaciel oszczędza:
„Słabyś, synu Damana, wyrzekła ta jędza;
Ustąp z placu, niegodzien bitwy z rycerzami!“
Natychmiast oczy mu się napełniły łzami.
„Strzeż się, rzekł, przyjacielu, zapłakanym głosem,
Strzeż się, żebyś nie zginął pod méj ręki ciosem.“
Westchnąłem, i broń wzniosłem, a z zadanéj rany
Padł natychmiast przedemną mój Ferda kochany.
Ręko moja! już odtąd na wszystkiém ci zbywa!
Ręko moja! już odtąd jesteś nieszczęśliwa!“
Rzekł Karyl: „Wodzu! powieść twoja smutna!
Takaż się za mnie przygoda okrutna
Trafiła; przecież, choć żal sercu ciężał,
Konnal na wojnie gromił i zwyciężał.
I on był z Albionu, stu górami rządził;
Po nich niejeden jeleń gdy rozkosznie błądził,
W tysiąc zdrojów rozlane pił wody kryniczne;
Pasły się po dolinach stada jego liczne:
A kiedy z sfór spuszczone psy zwierzęta gnały,
Tysiąc skał mnożne echa coraz powtarzały.
Mocy był nadzwyczajnéj, mąż pięknego lica,
Zwyciężyła go jednak nadobna dziewica.
Córka to była Kamli, co między pannami
Tak śklniła, jak jutrzenka pomiędzy gwiazdami.
Włosy jéj były czarne, jako krucze skrzydła;
Czy w bór szła zwierza dostać, czy stawiła sidła,
Napięte z jéj cięciwy żartkolotne strzały
Zawsze w pewnéj zdobyczy śmiertelnie utkwiały.
Nieużyta, przypadkiem Konnala poznała,
Podobał się jéj, ona jemu podobała.
Już odtąd wzajem równą miłością pałali,
Nieodstępni, ustawnie z sobą polowali,
A raczéj pod pozorem chodzenia na łowy,
W skrytych puszczy zaciszach miewali rozmowy.
Zazdrościł tak szczęśliwéj dziki Grumal doli.
Raz, kiedy spoczywali pod cieniem topoli,
Blizko pieczar Ronańskich, gdzie rynsztunki swoje
Wieszał Konnal pomiędzy dawne ojców zbroje:
„Poczekaj, o Galwino! rzekł do swojéj miłéj;
Patrz, jak się jeleń spuszcza z téj skały pochyłéj!
Pójdę ja nań czatować!“ „Nie chodź, piękna rzekła;
Wiesz, jako na nas czuwa złość Grumala wściekła.

Często on tu przychodzi, a ja się go boję.
Nie baw się, ja tymczasem schronię się pod zbroję.“
Poszedł Konnal, i kiedy gonił za jeleniem,
Ona go chcąc spróbować nowém doświadczeniem,
Wdziała zbroję na siebie i z pieczar wychodzi.
Postrzegł Konnal, a sądząc, że na niego godzi
Dziki Grumal, natychmiast twarz mu z gniewu zbladła;
Wziął łuk, strzałę wypuścił, Galwina upadła.
Skoczył do niéj, i widząc już w ostatnim zgonie,
Ryknął głosem żałośnym, zemdlał na jéj łonie.
Tak, ich społem leżących, gdy strzelcy postrzegli,
Na ratunek téj pary nieszczęśliwéj biegli.
Otrzeźwili Konnala; jęcząc przyjął życie.
Odtąd błądził po puszczy łzy lejąc obficie,
Pędził odtąd ustawnie wieczory, poranki,
Jęcząc nędzny przy grobie straconéj kochanki.
W tym był stanie, gdy postrzegł nieprzyjaciół flotę.
Porwał broń, a straconą wzmagając ochotę,
Walczył z niemi zwycięzko rycerz znamienity,
Tego tylko żądając, aby był zabity.
Rzucił puklerz nakoniec, aby śmierć przybyła;
W tym go punkcie śmiertelna strzała ugodziła.
Śpi teraz snem wieczystym przy swojéj Galwinie;
A gdy okręt do tego ich brzegu zawinie,
Wychodzą smutne majtki, i wzdychając, wiosły
Czyszczą grób wiernéj pary, mchem zewsząd obrosły.

DUMA III.

Treść: *Kukulin* rozkazuje *Karylowi*, aby mu opiewał różne przypadki. Ten opowiada mu dzieła *Fingala* w kraju *Loklińców* i śmierć *Angadeki*, siostry *Swarana*. *Kalmar*, który pierwszy radził bitwę, przychodzi raniony z placu i donosi, że *Swaran* chce nagle uderzyć na resztę wojska irlandzkiego. Ofiaruje się w przesmyku zatrzymać nieprzyjaciela. *Kukulin* z nim zostaje. *Kalmar* umiera z ran. *Swaran*, postrzegłszy flotę Kaledończyków, chce wstrzymać wylądowanie *Fingala*. *Kukulin*, nie śmiąc się pokazać przed *Fingalem* po swojéj przegranej, udaje się do jaskini *Tura*. Noc przerywa bitwę *Fingala* ze *Swaranem*. *Fingal* daje przestrogi swemu wnukowi *Oskarowi*: zkąd rodzi się ustęp o *Fainaolli*, córce *Kraka*, którą *Fingal* w swojéj młodości wziął pod opiekę. *Fingal* i *Oskar* uważają poruszenia nieprzyjaciela w nocy. *Gaul*, syn *Morny*, prosi *Fingala* o dowództwo w następnéj bitwie. Kończy się ta pieśń na ogólnych uwagach poety.

„Na pieśni Bardów, rzekł wódz, duch rzeźwieje:
Miło jest słuchać ojców naszych dzieje.

Sercom poczciwym tak są miłe, wdzięczne,
Jak ranna rosa, promienie miesięczne
Kiedy nastają, a słońce w zachodzie
Sklni się i miga w przezroczystéj wodzie.
Karylu! jeszcze daj słyszyć głos miły!
Spiewaj te dumy, które nas bawiły
Wtenczas, gdy Fingal mężny wśród biesiady,
Zasilał duszę dawnemi przykłady.

— Fingalu mężny, co w pierwszéj młodości (*)
Świat dziełmiś twemi zadziwił,
Spełzł Loklin w ogniu twéj zapalczywości,
Gdy się zuchwale sprzeciwił.
Nieraz powabem przecudnéj piękności
Sercaś dziewicze ożywił.
A gdy w urodzie wszystkie przewyższyłeś,
Na twarzy wdzięki, śmierć w ręku nosiłeś.

Rycerze twoi, co z tobą chodzili,
Szukali w sławie ponęty;
Starna, Loklińców wodza zwyciężyli,
Starna, co dumą był wzdęty.
Mieli go w więzach, z więzów wypuścili;
Poszedł na swoje okręty,
Ale złość jego, rozżarzona w klęsce,
Na to czuwała, jak podejść zwycięzcę.

Siadł Starno w puszczy, gdzie biesiady sprawiał.
Wołał starego Sniwana,
Ten go wdzięcznemi pieśniami zabawiał,
Gdy uczta była sprawiana.
Kiedy on śpiewał, dzielność w boju wznawiał;
Szła za nią bitwa wygrana.
Na odgłos jego, jakby czuciem zdjęte,
Nieraz kamienie wzruszały się święte.

Idź więc ku brzegu Arwen wyniosłemu,
Mów Fingalowi, niech schodzi:
Powiedz z mocarzów najokazalszemu,
Niech śmiele do mnie przychodzi:

(*) Tu śpiewa Bard pochwały Fingala.

Daję mu córkę; stadłu nadobnemu
Niechaj na niczém nie schodzi!
Pobłogosławię ulubionéj parze,
Niechaj z nim przyjdą i jego mocarze.

Szedł stary Sniwan do góry Arwinu:
Fingal, radością przejęty,
Popłynął zaraz ku brzegom Loklinu;
Serce uprzedza okręty.
Czeka szczęsnego żądz lubych terminu,
Liczy godziny, momenty:
Momenta skore i godziny liczy,
Póki przyjemnéj nie zyska zdobyczy.

Witaj, o królu ustępów Arweńskich!
Witaj, rzekł Starno ponury,
I wy, co z pieczar schodzicie Morweńskich,
Rycerze mężnéj natury.
Fingalu! niźli do ślubów małżeńskich
Przyjdziesz, pośpieszaj na góry!
Niech Agandeka, w téj gdzie jest zaciszy,
Wieść o twych dziełach przyjemną usłyszy.

Na owych górach zdradne myśli knował,
Chciał Starno zgładzić Fingala:
Śmierci mu sidła po cichu gotował.
Lecz tak zabójców zniewala,
Iż nie śmie natrzéć ten, co nań czatował;
Strach sidła śmierci obala.
Uciekli wszyscy: dokończywszy łowy,
Wrócił się Fingal ochoczy i zdrowy.

Arfy i gęśle natychmiast zabrzmiały,
Słychać okrzyki radośne:
Śpiewają Bardy rycerzów pochwały,
Śpiewają pieśni miłosne.
Podniósł głos Ulin, śpiewak doskonały,
Jęczy, jak słowik pod wiosnę:
Niezwykłym wdziękiem słuchaczów zdumiewał,
Pięknéj pochwały Agandeki śpiewał.

Wyszła na odgłos wdzięcznego śpiewania
Z miejsc, w których była osobnie:
Wyszła z miejsc, w których tajemne wzdychania
Mogła obwieszczać sposobnie.

Blask jéj piękności wabił do kochania,
Śklniła się w oczach ozdobnie.
Już władał sercem Fingal okazały,
Jego jéj oczy błękitne szukały.

Dzień przyszedł, w którym znowu polowanie
Mieli odprawiać rycerze:
Uprzedza Starno ponury świtanie,
Fingala budzi i bierze.
Ten, gdy postrzega miłą niespodzianie,
Rzuca i połów i zwierzę.
Znagła w te puszcze tajemnie przybyła,
I tak do swego miłego mówiła:

„Nie daj się uwieść powabnemi słowy,
Strzeż się, Fingalu wspaniały!
Na twoją zgubę wszczęły się te łowy,
Będą cię hufce ścigały.
Bądź wraz z twoimi na odpór gotowy,
Czuwają na cię dzień cały.
Ja smutnych losów twoich nie ominę,
Ciebie wybawiam, ale sama zginę.“

Stanął z swoimi rycerz przestrzeżony.
W męztwie nadzieję swą kładli:
Wtém się pokazał hufiec zaczajony,
A co się byli zakradli,
Puścili razem okrzyk powtórzony,
Razem do niego przypadli.
Narzędzia zdrady zniósł Fingal wspaniały,
Góry Gormalu ich klęską zabrzmiały.

Przed zamkiem Starna stanęli rycerze,
I wyjścia jego czekają.
Wychodzi, groźną postać na się bierze;
Oczy mu jadem pałają:
Niech Agandekę w wieczyste przymierze
Fingal ma! niechaj wołają:
Co ona rzekła, to skutek objawił;
Fingal w krwi naszéj dziś swą rękę pławił.

Przyszła na ów dźwięk, który serca wabił
I mieszał myśli spokojne:
Smutek nieznośny zmienił ją, osłabił,
Zmieniły oczy łzy hojne.

Porwał się ojciec, własną ręką zabił,
Zwiędniały członki dostojne.
Padła jak bryła śklniącego się śniegu,
Gdy ją wiatr srogi oderwie od brzegu.

Jak piorun skoczył Fingal ze swoimi,
Rozpacz się w sercu zajęła;
Niesie miecz zemstę razy ognistemi,
Bitwa się straszna zaczęła.
Padli Loklińcy; rękami własnemi
Niósł Fingal tę, co zginęła.
A kędy morze w brzeg bije wysoki,
Płacząc, na Arwen, pochował jéj zwłoki.

„Sławny był Fingal, rzekł wódz, w czasie przeszłym,
I teraz dzielny; choć w wieku podeszłym,
Zgnębi Loklińców. Księżycu, wschodź nagle,
Wyjdź z za obłoków, oświeć jego żagle!
A jeśli jaki duch przebywa w chmurze,
Niechaj się wstrzyma, i oddali burze.“
Tak gdy wódz mówił przy obfitym zdroju,
Kalmar, syn Mata, powrócił się z boju:
Ranny był Kalmar, krwią własną zbroczony.
Wolnym szedł krokiem; a że osłabiony,
Ledwo wlekł oszczep, opadły już siły,
Duchy go jeszcze wspaniałe rzeźwiły.
„Przybywaj, krzyknął Konnal, Mata synu!
Przybywaj wpośród przyjaznego gminu!
Przyjdź! czemu wzdychasz? nie znałeś bojaźni.“
„Ani ją poznam, rzekł: bitwa duch drażni,
Bitwa mię krzepi; jęk pobitéj rzeszy,
Wrzawa walczących wzmaga mię i cieszy.
Kolmar, najpierwszy mojego plemienia,
Śmiał się wśród fali z morskiego burzenia:
Puścił się w odmęt, a łódź jego mała
Na skrzydłach szumów pienistych latała.
Wzruszył raz morze duch wiatrów burzliwy;
Noc była czarna, a łoskot straszliwy.
Kiedy w nię biły rozjuszone wały,
Skaliste brzegi jęki wydawały.
Miotał bałwany szturm; nadbrzeżne piaski
Głuszyły gromy okropnemi wrzaski.
I Kolmar zadrżał: wzmógł się, puścił w morze,

I gdy bałwany rozbujałe porze,
Stał z mieczem w ręku, a wśród zawieruchy,
Darł się przez wichry i gnał wściekłe duchy.
Pierzchnęły: z lekka burze ustawały,
A gwiazdy wdzięczne jasność pokazały.
Taki był Kolmar, a jam jest krew jego:
Pierzcha strach podły od miecza mojego.
Kupcie się razem, póki czas pozwala,
A jak najprędzéj śpieszcie do Fingala!
Słychać Loklińców ogromne zbliżanie,
Wy ustępujcie, sam Kolmar zostanie.
Wodzu! pamiętaj na mnie, jeśli zginę,
Pochowaj zwłoki; a gdy w tę dolinę
Stroskana matka Kolmara pośpieszy,
Niech ją przynajmniéj grób syna pocieszy."
„Nie tak się stanie, rzekł wódz, synu Mata!
Z tobą ja wszędzie, a jeżeli strata
Nastąpi, obaj zginiemy w odporze.
Idźcie, żołnierze! a gdy zejdą zorze,
Gdy się walecznie z Loklińcy zetrzecie,
Tu nasze ciała martwe zastaniecie,
Tu pod tym dębem. Bież, chyży Moranie,
Bież do Fingala! Mów: Eryn w złym stanie,
Insfał w swobodach swoich niebezpieczny!
Niechaj się śpieszy przyjaciel waleczny!"
Już się ku pierwszym zorzom zabierało,
Poranek odkrył Kromlę okazałą.
Pełne odwagi i mężnéj ochoty,
Idą za wodzem Swaranowe roty.
Postrzegł Kukulin, że Kolmar blednieje,
Jął się oszczepu, waży się i chwieje:
Wsparł się na broni, broni ojca swego,
Którą mu płacząc dała matka jego;
Padł, jako jawor, na wierzchołkach Kony.
Jęknął Kukulin, srodze rozrzewniony;
Sam tylko został, jako skała w burzy,
Co ją pienista fala zewsząd nurzy.
Grom na niéj pełznie, a ta w mocy swojéj
Mimo grom, fale, niewzruszona stoi.
Mgła schodzi; ta, co na pomoc przybywa,
Flota Fingala, jawnie się odkrywa.
Lekkim oddechem dmie wiatr w żagiel wzdęty,
Po groźnych wałach bujają okręty.

Postrzegł to Swaran, i zwraca się nagle
Tam, gdzie Fingala zbliżają się żagle.
Jęczy tymczasem Kukulin strapiony,
Nie śmie Fingala widzieć zwyciężony.
Łzami mu zaszły oczy; sam ponury
Szedł w lasy Kromli, i udał się w góry.
„Ci, co okrzyki wydawali głośnie,
Padli rycerze! — powtarzał żałośnie —
Leżą na piaskach braci moich zwłoki.
Duchy wspaniałe! co po nad obłoki
Bujacie teraz, przybliżcie się do mnie!
Po was ja płaczę, stawcie się przytomnie!
W pieczarach Tury już odtąd osiędę,
Odtąd przestawać z wami tylko będę:
Osiędę smutny, wśród dzikiej zaciszy,
Żaden już z Bardów o mnie nie usłyszy.
Bragello moja! zapłacz, żono miła,
Zapłacz, wiernegoś męża utraciła!“
Stał na okręcie Fingal z mieczem w ręku,
A straszny oręż śmiertelnego szczęku
Błysnął na zgubę, pogromy i klęski;
W ręku Fingala ów oręż zwycięzki.
„Znać krew na brzegach, rzekł mocarz dostojny,
Krew mych przyjaciół, piętno srogiej wojny.
Smutek ponury temi miejscy włada,
A w puszczach Kromli żałoba osiada.
Zgnębili Insfał Loklińcy zajadli,
Młodzieńcy jego urodziwi padli,
Zginął syn Semy! ozwijcie się dzieci!
Niech odgłos trąby po pagórkach leci.
Ryno! Fillanie! w okropnym odgłosie
Niechaj się echo rozchodzi po rosie!
Wstąpcie na wzgórek, gdzie jest grób Landarga,
A co na naszych przyjaciół się targa,
Niechaj usłyszy, jak wołam na boje:
Wznoście głos, jak ja, wznoście, dzieci moje!
Czekam Swarana na tym śmierci brzegu,
Niech siły wzmacnia i niech w całym biegu
Uderzy na nas Swaran, mocarz mężny,
Niech się pokaże ten rycerz potężny.“
Jak grot piorunu skoczył Ryno wdzięczny,
Fillan smaglawy, jako cień miesięczny:
Już słychać hasło Fingala w odgłosach,

Huczy po Leni rozłożystych wrzosach.
Nie tak wezbrany stopionemi śniegi,
Szumiący potok rwie skaliste brzegi,
Jako Loklińcy do boju się rwali;
Miga się zewsząd blask hartownej stali:
Na czele Swaran, zajuszony złością;
Oczy mu dziką pałają zjadłością.
Fingal wspaniały postrzegł go zdaleka,
Przyszła mu zaraz na myśl Agandeka.
Brat jego miłej był Swaran okrutny,
Na taki widok stanął Fingal smutny;
A kiedy dawną miłość przypomina,
Zawołał Barda, sławnego Ulina:
„Zaproś na ucztę, rzekł, Swarana do mnie,
Niechaj się w zgodzie dziś stawi przytomnie:
Jutro tarcz skruszym.“ Szedł Ulin sędziwy,
Gdzie stał z swoimi Swaran zapalczywy.
„O! ty, rzekł, na bój coś płynął przez morze,
Użyj Fingala uczty w dobréj porze:
Daj się uprzejmą chęcią jego wzruszyć,
Jutro będziemy tarcze z sobą kruszyć.“
„Dziś, krzyknął Swaran ponury i zjadły:
Jutro dam ucztę, kiedy Fingal zbladły
Albo w łup pójdzie, lub na placu legnie.“
Natychmiast Ulin z odpowiedzią biegnie.
„Kiedy chce Swaran, niechże tak się stanie!“
Rzekł Fingal mężny. „Do mnie, Ossyanie!
Gaul! bierz miecz srogi; Fergus! gotuj strzały;
Fillanie! podnieś oszczep krwią zrdzewiały;
Imajcie tarcze! za mną, moje dzieci!“
Jako duch wiatru, co w Morwenie leci,
Kiedy się grzmotem chmury wzajem sparły.
Tak się obadwa wojska razem starły.
Wpadł Fingal w hufce i mieczem śmierć miota,
Jak duch Trenmora, co dęby druzgota.
Widziałem rękę twoją zakrwawioną,
Ojcze kochany! a blask miecza łono
Straszliwe czynił; wzmagały się boje,
Kiedyś przypomniał dawne dzieła twoje.
Ryno waleczny, z tobą Fillan leci,
I jam był w gronie twoich miłych dzieci.
Skoro miecz ojca w oczach naszych błysnął,
Każdy grot żartko na Loklińców cisnął,

Za każdym jego wrzał duch we mnie giestem.
Nie taki byłem, jakim teraz jestem!
Posępna starość sił wówczas nie starła,
Ani krew w żyłach była wpół umarła!
Siwizna, jak dziś, włosów nie osiadła,
I mgła ślepoty na oczy nie padła!
   Któżby pobitych rycerzów zrachował,
Których Fingala oręż piorunował?
Póki ciemności świata nie okryły,
Jęki po jękach doliny głosiły;
Pierzchali w zawód Loklińcy wybledli.
   Myśmy nad rzeką Lubarą osiedli.
Zabrzmiały arfy, a Bardy śpiewały:
Słuchał ich pieśni Fingal okazały:
Dumał, ochłonął, i już się nie gniewał.
Wiatr jego włosy siwemi powiewał.
Stał przy nim Oskar, mój Oskar kochany,
A całodziennym bojem zmordowany,
Wsparł się na mieczu, oczy w dziada wlepił,
I tym widokiem duszę swoją krzepił.
   „Wnuku, rzekł Fingal, dobrze się sprawiałeś!
Serce dziadowskie dziś uradowałeś:
Zaprawiłeś się na Loklińców stracie,
Serce mi rośnie, kiedy patrzę na cię.
Chlubię się z tego, żem jest twoim dziadem!
Idź przodków twoich nieśmiertelnym śladem;
Trenmor i Tratal świat dziełmi zdziwili,
Idź za ich śladem, i bądź, jacy byli!
Dziełami swemi gnęb hardych, zuchwałych,
Słabych oszczędzaj, a w czynach wspaniałych
Broń ludu! Niech się w sercu twojém mieści!
Bądź mu jak wietrzyk, co się z trawą pieści.
Taki był Tratal, Trenmor, gdy lud wodził;
A Fingal, co się od nich nie odrodził,
Nie cierpiał nigdy, żeby nędzny wzdychał:
W cieniu méj tarczy strapiony oddychał.
   „Oskarze! byłem wówczas, równie jak ty, młody,
Gdym poznał Fanasollę przecudnéj urody:
Córka to była Kraka; powracałem z Kony.
Wtém okręt był zdaleka od nas postrzeżony,
W nim była; zbliżyłem się ku brzegu, poskoczę,
Postrzegłem, że płakała, a piękne warkocze
Wiatrem wzdęte po łonie pieszczoném igrały:

Łzy rzewne po jéj licu nadobném spadały.
Czemu płaczesz? o piękna! rzekłem, młodym jeszcze,
Ale, jeśli się w liczbie sług twoich pomieszczę,
Jeżeli mię do twoich usług raczysz użyć,
Tą ci ręką i sercem gotów jestem służyć.
Może w mocy równego znajdę, lub usłyszę;
Ale w serca wierności żaden nie przepisze."
„Broń mnie, o wodzu mężnych! do ciebie uciekam,
Rzekła piękna; od ciebie wsparcia mego czekam!
Miłością ku mnie zdjęty, którym ja się brzydzę,
Barbal, król Sory, chce mię mieć w małżeńskiéj lidze:
Uciekam przed nim nędzna; chroń mię pod tarcz twoją!"
Rzekłem: „Pierzchnie król Sory: okryję cię zbroją!
Nie chowaj się gdzieindziéj: wpośród mężnéj rzeszy,
Wpośród pocisków bitwy duch się mój ucieszy."
Wkrótce, wpośrodku morza pokazał się zdala
Okręt wały porzący dumnego Barbala.
Pienią się w koło wody, a łódź jak ptak chyża,
Do brzegu, gdzieśmy stali, kiedy się przybliża,
Krzyknąłem: „Cudzodziemcze! przyjdź do nas bezpieczny!"
Zadrżała Fanasolla, w tém Barbal wszeteczny
Puścił strzałę, i w samo serce ją ugodził.
Skoczyłem; a gdy śmiało na nasz brzeg wychodził,
Wszczęliśmy srogą bitwę; zwyciężyłem zdrajcę,
Grzebłem z płaczem niewinną, z wzgardą winowajcę.
Takim byłem. Oskarze, w kwiecie wieku mego!
Naśladuj, miły wnuku, Fingala starego.
A teraz idźcie, gdzie Loklińcy biegną!
Niechaj ci zdrajcy mieczym waszym legną!
Brońcie im morza, ażeby ci wściekli
Na swe okręty wsiadłszy nie uciekli."
Biegli: a jako wpośród zawieruchy
Straszą lud trwożny napastliwe duchy,
Taki ich pośpiech. Wtém rzekł Gaul, syn Morny;
„Już słońce zaszło, mrok nastał wieczorny,
Noc się przybliża, niech Bardy śpiewają!
Rozkaż, niech nasi wdzięcznie zasypiają!
Schowaj miecz w pochwy, Fingalu potężny,
A pozwól, niech się spotka lud twój mężny.
Odpocznij, niech my tylko na cię patrzem,
Jak zajdą zorza, pozwól, sami natrzem!
A ty się patrzaj i ciesz w sławie naszéj!
Niech téż syn Morny Loklińców nastraszy."

„O dzielny mężu! rzekł Fingal; pozwalam,
Idź, ale ja się od was nie oddalam.
W pośrodku bitwy nie będziecie sami,
Oręż Fingala błyśnie i za wami.
Teraz, o Bardy, nućcie! już dzień gaśnie,
Śpiewajcie dumy, niechaj Fingal zaśnie.
O Agandeko! jeżeliś w obłoku,
Jeśli nas widzisz w tym posępnym zmroku,
Przybliż się do mnie, do mnie, co cię płaczę,
Niech choć raz jeszcze twarz twoję zobaczę!“
Tysiąc się gęśli razem odezwało,
A grono Bardów Fingala śpiewało;
Śpiewały Bardy wtenczas i o tobie,
O Ossyanie! coś teraz w żałobie!
I ja wraz z ojcem w zwycięztwach bywałem,
I ja niejedne wojska zwyciężałem;
Teraz kaleka i starzec zgrzybiały,
Wzdychając nucę ojcowskie pochwały!
Fingalu! gdzieżeś jest, waleczny mężu?
Gdzie moc właściwa twojemu orężu?
Przeszły, ach! przeszły ulubione chwile!
Zwierza się pasą na twojéj mogile.

DUMA IV.

Treść. Noc przerwała czynności wojenne. *Ossyan*, korzystając z téj okoliczności, opowiada własne czyny, miłość swoję dla *Ewralliny* matki *Oskara*, która niedawno przed wyprawą *Fingala* do Irandyi, umarła. Ostrzeżony od jéj cienia o niebezpieczeństwie *Oskara*, bieży mu na pomoc. *Fingal* zdaje dowództwo *Gaulowi*. *Oskar* i *Ossyan* przemagają prawe skrzydło nieprzyjacielskie, lecz *Gaul*, który walczył ze *Swaranem*, już zaczął ustępować z pola: *Fingal* poséła swego Barda *Ulina*, dla ożywienia w nim odwagi: z tém wszystkiém przemaga *Swaran*. Natenczas *Fingal* zstępuję z góry, i stacza osobiście bitwę. *Kukulin*, który ze swoim przyjacielem *Konnalem* i *Karylem* Bardem, cofnął się do jaskini *Tura*, wstąpił na pagórek blizki placu bitwy, i chciał iść na pomoc *Fingalowi*, ale mu *Konnal* odradził. Posłał więc tylko *Karyla* z powinszowaniem wodzowi pomyślnego boju.

Cóż to za piękna z gór śpiewając schodzi,
Jak tęcza gdy się niebo wypogodzi?
Ta to jest, któréj głos wdzięczny i miły.
Córko Toskara! nieraz cię wabiły
Piosneczki moje, nieraz, gdyś słuchała,
Łza z pięknych oczów twoich wypadała.

Czyż po to schodzisz, żeby widzieć boje?
Czyż po to, abym śpiewał dumy moje?
Piękna Malwino! nie takim ja byłem;
Ślepy, zgrzybiały, wszystko utraciłem.
Nie taki byłem w tę szczęsną godzinę,
Kiedym nadobną poznał Ewralinę.
Tysiąc ona rycerzów ofiary zwabiła,
Jam tylko był szczęśliwy. Przy Lego jeziorze
Był jéj dom; tam poszedłem; szli za mną rycerze.
Przyjął nas Brano, ojciec, człek pełen ludzkości,
A widząc w domu swoim pożądanych gości,
Rzekł: „nie łatwato zdobycz, wielu odmówiona:
Ale ty bądź szczęśliwym, będzie z tobą ona.
O synu wiecznéj sławy! krwi godna Fingala,
Bierz córkę, chętnie ojciec i ona pozwala.
Wchodź w dom mój, wchodź szczęśliwie!“ to kiedy powtórzył,
Otworzył wrota, które kryły Ewralinę.
Ujrzałem piękną mojéj podróży przyczynę.
W tém się na górze zbrojni mężnie pokazali,
Ośmiu było rycerzów co z Kormakiem stali.
Śklniły się w oczach naszych rynsztunki i zbroje,
Tam był ów sławny Toskar, zawołany w boje,
Kolla mężny i Duna, Frestat, Dala, Tago,
I Dajro, sławny wszędzie niezwykłą odwagą.
Patrzałem z zadziwieniem na te widowiska,
A postrzegłszy, że ku nam mieczem Kormak błyska,
Szedłem prosto ku niemu z memi rycerzami.
Dzielni jego junacy spotkali się z nami;
Trzykroć oręż Kormaka o tarcz mą uderzył,
Trzykroć i jam się żwawo na niego zamierzył;
Zginął młodzian waleczny, głowę mu uciąłem,
I w oczach zlękłych jego rycerzów wstrząsnąłem.
Uciekli: któżby wtenczas był powiedział,
Malwino moja, że ja będę siedział
Smutny, kaleka, sam jeden na puszczy?
Już ustawały głosy mężnéj tłuszczy;
Bardy ucichły, wiatry co powstały,
Wyniosłych dębów wierzchy kołysały,
A gdy zniewalał sen mocą przyjemną,
Ewiralina stanęła przedemną.
„Wstań, Ossyanie — rzekła — ratuj syna!
Znowu z Loklińcy potyczkę zaczyna.“
Rzekła, i w jasnym zniknęła obłoku.

Wstałem: a w nagłym pośpieszając kroku,
Dopadłem miejsca, gdzie syn gonił trwożnych.
Bojąc się jego gonitw nieostrożnych,
Krzyknąłem: „Dość już straty dla Loklinu!
Dość dla nich zemsty! powróć się mój synu!“
Powrócił; a chrzęst świetnéj jego zbroje
Wdzięcznym odgłosem cieszył serce moje.
„Po cóż — rzekł — ojcze wstrzymujesz gonitwę?
Oni najpierwsi wszczęli z nami bitwę,
Oni się do nas najpierwéj zakradli;
Wtenczas z Fillanem dopierośmy wpadli,
Przerzedziliśmy tę strwożoną rzeszą,
Lecz większe jeszcze hufce onych śpieszą.
Hufce Loklinu coraz się zbliżają;
Ćmy nocne smutne jęki powtarzają:
Ognie się nocne znagła pokazały,
Widziałem, bladym płomieniem gorzały:
Pewnie to, ojcze, śmierci poprzedniki,
Obudźmy króla, nim wpadnie w ich szyki.
Skoro powstanie, co w bitwach się śmieje,
Loklin, jak chmura, przed słońcem zrzednieje.“
Porwał się Fingal, i wsparł na puklerzu;
Tarczto Trenmora, co w wojnie, w przymierzu,
Tysiąckroć jego przodki podnosiły.
Widoki smutne srodze go zmartwiły:
Skoro sen zamknął znużone powieki,
Stanął cień przed nim wdzięcznéj Agandeki.
Duch lekko w jasnym obłoku się wznosił,
Twarz zbladłą łzami kroplistemi rosił:
Ściągnęła rękę, oczy łzą skropiła.
Rzekł: „Czemu płaczesz, Agandeko miła?“
Zniknął cień z oczu, i sen co go łudził;
Fingal się łzami oblany obudził.
Bladawe gwiazdy gasnąć poczynały.
Pierwsze się zorza już pokazywały,
Gdy postrzegł Fingal po ozdobnéj zbroi,
Że młody Oskar niedaleko stoi.
Zbliżył się młodzian. „Gdzie nieprzyjaciele?
Zawołał Fingal: czyli jeszcze śmiele
Stoją na placu najezdnicy wściekli?
Czy już na swoich okrętach uciekli?
Ale są dla nas, jeszcze głos ich słyszę!
Oskarze! biegnij pomiędzy zacisze,

Budź mężnych!“ Podniósł głos Fingal wspaniały,
Ogromnym hukiem puszcze się ozwały,
Zlękły się zwierze; wzniesione w obłoki,
Niezwykłém drgnieniem zadrżały opoki.
Jak wiatr, co chmury pędzi w jednę stronę,
Tak na głos wodza wojska zgromadzone,
Głos ten donioSły, co na boje wodził,
Radosnym wdziękiem twarze wypogodził.
„Idźcie — rzekł Fingal — na zwycięzkie boje!
Będę ja z wami, idźcie, dzieci moje!
Na tym pagórku będzie miecz mój błyskał:
A jeśliby was przeciwnik uciskał,
Ja was wspomogę; lecz na cóż wspomagać?
Na co wam w mężnym boju dopomagać?
Wy sami odnieść zwycięztwo zdołacie,
Na czele waszém syna Morny macie:
On was wieść będzie, on się pierwszy stawi,
On się pieśniami Bardów naszych sławi.
Duchy rycerzów naszych znamienite!
Duchy w obłokach powietrznych zakryte,
Wieczni mieszkańcy szczęśliwéj zacisze!
Wy niegdyś wierni moi towarzysze!
Jeżeli który z tych mocarzów padnie,
Przyjmie go poczet was wybrany snadnie.
Niechaj na skrzydłach wiatru unoszeni,
Po krain naszych rozkosznéj przestrzeni,
Kiedy w snach wdzięcznych do żyjących śpieszą,
I mnie niekiedy wesprą i pocieszą!
Fillan! Oskarze! i ty Ryno dworny,
Idźcie wstępujcie w ślady syna Morny!
Bądźcie pamiętni na ojców przykłady.
O dzieci moje! czy z mocy, czy z zdrady,
Gdybyście padli, poszedłbym za wami:
A wtenczas duch mój z waszemi duchami,
Wspólnem miłości ogniwem złączony,
Bujałby jeszcze nad wierzchołkiem Kony.“
Jak obłok czarny, najeżony grzmoty,
Tak król mocarzów wyprawiwszy roty,
Wracał się nazad przez wrzosiste stepy;
Śklnią mu się w ręku dwa płytkie oszczepy.
Nieraz się spojrzał na pobojowiska,
Trzy jego bardy stoją przy nim z blizka;
Usiadł na Kromli, a blask jego zbroje

Świecił z daleka. Myśmy szli na boje.
Pełen radości był mój Oskar miły,
Piękne się jego lica rumieniły,
A łzy miał w oczach, łzy wdzięczne, radosne,
Miecz jego błyszczał, jak promień na wiosnę;
Szedł hoży młodzian niezwykłym pośpiechem,
I wyrzekł do mnie te słowa z uśmiechem:
„Ojcze kochany! wodzu wojowników!
I ty się uchroń, ustąp z naszych szyków!
Ustąp synowi chwały pożądanéj:
A jeśli zginie, powiedz ukochanéj,
Powiedz Toskara córce, która jęczy
Tam, kędy strumyk kręto płynąc brzęczy:
Jęczy nieboga, powiedz, że jéj miły
Na jéj płakanie i z ciemnéj mogiły
Wydostanie się, a duch w lekkim locie
Będzie ją wzmagał i cieszył w kłopocie.“
Rzekłem: „Oskarze! ty mnie staw mogiłę!
Najsroższe bitwy w oczach moich miłe.
Z téj nie ustąpię, poznasz mym przykładem,
Jakim się ojcem zaszczycasz i dziadem;
A jeśli zginę, złóż broń na mogile!
Nie masz Oskarze téj, na którą mile
Nierazem patrzał. Synu! jeśli zginę,
Tę, którąm kochał znajdę Ewralinę.“
Takąśmy z synem mowę wtenczas mieli,
Gdyśmy głos Gaula znagła usłyszeli.
Miecz ojca trzymał, w odgłosie wesoły,
Wpadł wielkim pędem na nieprzyjacioły.
Wszczęła się bitwa, odgłos się powtarza,
Miecz w miecz uderza, a mocarz w mocarza.
Chrzęst zbrój i tarczy, szczęki słychać stali!
Gaul, jako piorun, co las w Arwen pali:
Swaran, jako potok, co po strasznéj tuczy
Rwie skały, drzewa, pieni się i huczy.
Kto zdoła liczyć rycerzów zginionych?
Miecz Ossyana, w ciosach doświadczonych,
Gromady zmiatał: ty, z synów wybrany,
Oskarze, jakie zadawałeś rany!
Jakeś był straszny, patrzałem z weselem,
Jak twój oręż nad nieprzyjacielem
Strwożonym błyskał! Pierzchnęli: my gonim,
Ścigamy zblizka, i uciekać bronim.

Padają mężni; tak kruszec pod młotem,
Tak wrzos pod ogniem, tak dęby pod grzmotem.
Widzi to Swaran; zwrócił się niesforny,
I biegł natychmiast tam, gdzie był syn Morny.
Postrzegł go Fingal, i rzekł do Ulina:
„Idź, Bardzie sławny, idź do Morny syna,
Wzbudzaj pieśniami na czyny dostojne,
Przypomnij jego dawniéj sławną wojnę.“
Szedł Ulin stary kroki poważnemi,
I tak go wzbudzał pieśniami swojemi:
„Potomku rycerzów dawny,
I zaszczycie rodaków!
Zawołany, w ciosach sławny,
Wodzu mężnych junaków!
Śmierci dawca, twój miecz skory
Niech się w ciosach nie leni:
Walcz na brzegach Inistory!
Niech pierzchają strwożeni!“
Śpiewał; a w Gaulu serce się wzmagało.
Wtém przypadł Swaran, i w tarcz okazałą
Tak ciął, iż ciosu syn Morny nie zdołał.
Postrzegł to Fingal, porwał się, zawołał;
Trzykroć głos podniósł, trzykroć góry drżały,
A zbiegłe roty, które uciekały,
Na odgłos jego stanęły, jak wryte.
Twarze ich smutne i wstydem okryte;
W ziemię strwożeni pokornie patrzali.
Nadchodzi Fingal, a jak w srogiéj fali,
Gdy chmury idą w stepy wysuszone,
Czekają deszczu zioła pochylone,
Tak wojsko wodza swojego czekało.
Postrzegł i Swaran osobę wspaniałą,
Poznał Fingala; jadem rozjuszony,
Wsparł się na mieczu, stał wskróś przerażony.
Jaskrawym ogniem oczy mu błyszczały.
Tak dąb, piorunem niegdyś ogorzały,
Ogromny w sobie i wiekami stary,
Spuszcza ku ziemi uwiędłe konary.
Zwrócił się Swaran, z nim rycerzów tłuszcza
W inszą się stronę przenosi i spuszcza.
Rzekł Fingal: „Dawne zwycięztw moich znaki
Niech się okażą pomiędzy orszaki!
Niech dmie w chorągiew wiatr, co wdzięcznie wieje!

Na taki szelest duch mężny rzeźwieje:
Do mnie, o dzieci! zwracaj kroki twoje,
Gaulu! Oskarze, co rośniesz na boje!
Kupcie się do mnie Konnalu! Dermidzie!
Ossyan w pieśniach sławny, niech tu idzie!“
  Złotemi zewsząd ozdobny haftami,
Słońca proporzec zaśklnił się nad nami.
Miłe z nim wiatrów oddechy igrały;
Serca się takim widokiem wzmagały.
„Patrzcie — rzekł Fingal — nieprzyjaciół tłuszcza
Tak rzadka, jako po pożarze puszcza:
Niechaj z was każdy, tak, jak mu się zdarza,
Z Loklińców sobie obierze mocarza;
Niechaj z nim walczy.“ Rzekł Gaul: „Siedmiu biorę!“
Oskar: — „Ja wodza, co ma Inistorę.“
Madana Darmid; Termanu król mężny
Na tego przypadł, co dziś niedołężny,
Co dziś zgrzybiały, kaleka i ślepy,
Tuła się między manowce i stepy.
  Już się król rzucać mocarzom pozwala.
„Wam, rzekł, Loklińcy; Swaran dla Fingala.“
Natychmiast, jako wiatry rozjuszone,
Wojska się nasze udały w tę stronę,
Kędy Loklińców mężne roty stały;
Echa okrzyki nasze powtarzały.
Któż zdoła głosić, co się wówczas działo?
Córko Toskara! krwią się rumieniało
To straszne pole; jak zerwane skały,
Tak liczne pułki Loklińców padały.
Padały pułki, szło zwycięztwo z nami,
Wszyscyśmy słowo sprawdzili skutkami.
Córko Toskara! tyś naówczas bladła,
A gdyś nad brzegiem Branny trwożna siadła,
Nieraz patrzając na straszne rozruchy,
Pierś twoja śnieżna, jak łabędzie puchy,
Coraz się nagłém wzruszeniem wznosiła.
Nieraześ słońce, jak w krwi zobaczyła:
Czarne obłoki jasność jego kryły,
A duchy błędne pomiędzy mogiły,
Jako wiatr lekki, co świszcze przez skały,
Okropnym jękiem uszy przerażały.
Grad leci, chmura grzmi, huczy i łyska;
Takie téj bitwy były widowiska!

Malwino! płaczesz? przestań! niech te płaczą,
Co już najmilszych swoich nie zobaczą!
Niech Loklin płacze, co postradał męże!
Już dawnéj swojéj sławy nie dosięże.
Kupami jego mocarze padali,
Krwiąśmy ich nasze miecze sfarbowali.
Jam wszystkich przeżył, sam się z moich baczę,
Malwino! nie płacz, niechaj Ossyan płacze!
Postrzegł jednego Fingal z zwyciężonych,
Sam weń miecz wraził, a w zapędach onych,
Gdy się weń wpatrzył, starca poważnego
Poznał; ten ręce wyciągał do niego.
Ku niemu zwracał zmartwiałe powieki:
„Ach przyjacielu mojéj Agandeki,
Tyżeśto, krzyknął Fingal, co ją strzegłeś?
Tyżeśto, który z ręki mojéj ległeś?
Bardy! śpiewajcie na jego pogrzebie!
O Agandeko! gdy wielbimy ciebie,
I twój przyjaciel będzie wspominany,
Spocznie w mogile od nas usypanéj.“
Zasłyszał w Kromli Kukulin wspaniały,
Jako się oba wojska potykały.
Wołał Karyla z Konnalem odważnym:
Ci krokiem idą do niego poważnym,
Przywiedli zbroje starcy znamienite;
Patrzą. Jak morze bałwany okryte,
Tak się zdaleka wojska wydawały.
Na taki widok wódz zapamiętały
Wzniósł umysł mężny, umysł swój ochoczy;
Zagrzane sławą iskrzą mu się oczy,
Pasą się srogą nieprzyjaciół klęską.
Porwał natychmiast broń ojców zwycięzką;
Trzykroć do boju walecznie się zżymał.
Trzykroć go Konnal poważny zatrzymał;
„Fingal zwycięża, nie bierz sławy jemu,
Fingal podobien wichrowi strasznemu.“
„Idź do Fingala, rzekł Kukulin żwawy;
Śpiewaj, o Bardzie, wielkość jego sławy!
Daj mu miecz, którym mogłem dokazować!
Już go Kukulin niegodzien piastować.
I wy, o cienie! co na Kromli górach,
W lekkich zawarte snujecie się chmurach,
Duchy mocarzów! których głosy słyszem,

Przyjmijcie! waszym będę towarzyszem.
Jaśniałem niegdyś, jak światłość promienia,
Zniknąłem, jak wiatr. Próżne pocieszenia!
Na cóż, Konnalu, wspominasz me dzieła,
Sławę mi moją przegrana odjęła!
Zwyciężył Swaran! ty, co płakać raczysz,
Bragello moja, już mnie nie obaczysz!"

DUMA V.

Treść: *Kukulin* i *Konnal* zostają na pagórku, *Fingal* walczy ze *Swaranem*. Opis ich bitwy. *Swaran* zwyciężony i oddany pod straż *Ossyana* i *Gaula*. *Fingal* z *Oskarem* i innemi swemi dziećmi, ściga nieprzyjaciela. Ustęp o *Orle*, jednym z dowódców loklińskich, śmiertelnie ranionym w boju. *Fingal*, żałując śmierci tego bohatera, każe się mieć do odwrotu Kaledończykom, a przywołując swoje dzieci, dowiaduje się, że *Ryno*, najmłodszy, został zabity. Opłakuje jego śmierć. Słucha historyi o *Lamdargu* i *Gelkossie*, i wraca na miejsce, w którém zostawił *Swarana*. *Karyl* wysłany od *Kukulina*, dla powinszowania *Fingalowi* zwycięztwa, spotyka *Ossyana*. Rozmowa między tymi dwoma Bardami kończy rzecz dnia czwartego.

„O synu Semy! — rzekł Konnal wodzowi,
Pocóż się twemu poddajesz smutkowi?
Mocni są w boju przyjaciele nasi!
Trwa sława, która dzieła twoje krasi;
Pomnij, z jakiém cię Bragella weselem
Witała wtenczas, gdy z nieprzyjacielem
Mężnieś się sprawił, a twoje pochwały
Wdzięcznemi głosy Bardy opiewały.
Patrz, jak się zbliża Fingal ku pomocy,
Pożar, grom, powódź, znaki jego mocy.
Szczęśliwy naród, co go ma za pana!
Fingalu! w tobie razem jest zebrana
I dzielność bitwy, i słodycz pokoju.
Rycerze mężni słuchają cię w boju,
Strachem przeraża miecz twój zapalczywy.
Fingalu mężny! twój naród szczęśliwy:
Przeciwko niemu kto się iść ośmiela?
Swaran, ten tylko jeden z pośród wiela,
Fingala godzien. Patrz, już bitwę wszczęli!
Tak morze szumem pienistym się bieli,
Gdy walczą z sobą duchy, co niém władną.
Majtki w ucieczce bezpieczeństwo kładną,
Drżą gór mieszkańcy na pół obumarli."

Już srogą bitwę wodze z sobą zwarli.
Bitwo! pamiętne straszne twoje ciosy!
Groźne spojrzenia, okropne odgłosy!
Chrzęst zbroi, szczęk mieczów słychać wieloraki,
Skruszyli tarcze, skruszyli szyszaki.
Rzucili bronie, w zapasy się rwali;
A gdy się ściśle za barki imali,
Krwią zaszły członki gwałtem wysilone;
Chwieją się wzajem, miotają się w stronę;
Nakoniec, gdy się najsrożéj rozżarli,
Gdy się ostatniém wysileniem wsparli,
Wstrzęsła się góra, doliny zadrżały:
Zachwiał się, osłabł, padł Swaran zuchwały.
Tak dwa wierzchołki, gdy woda podrywa,
Chylą się wzajem, a co je okrywa,
Drzewo się łączy, wzniesione w powietrze,
Nim je upadek pokruszy i zetrze.
„Dzieci Morwenu! miéjcie teraz w straży,
Rzekł Fingal, tego, co za tysiąc waży;
Tysiąc mocarzom Swaran w boju zdoła.
Czas, niechaj pora nastąpi wesoła!
Gaulu odważny! i ty, Ossyanie,
Miéjcie o królu Loklinu staranie!
Cieszcie go: a wy, Fillanie i Ryno,
Gromcie Loklińców, niech hardzie nie płyną!
Niech nie postaną więcéj na tym brzegu!“
Skoczyli, jako piorun w groźnym biegu.
Fingal natychmiast kroki poważnemi,
Jak dżdżysta chmura szedł zwolna za niemi.
Postrzegł, jak wsparty o nadbrzeżne skały,
Stał na ustroniu rycerz okazały:
„Ktoś jest młodzieńcze? rzekł Fingal; czy z nami?
Czyś nieprzyjaciel? — Jestem z Loklińcami;
Broń moja, zawżdy w utarczkach pomocna;
Orla się zowię; ręka moja mocna.
— Poddać się, lub bić, rzekł wódz, w woli twojéj?
Nieprzyjaciela Fingal się nie boi,
Przyjaciół kocha; pójdź na ucztę z nami.
— Nie! słabych bronię wszystkiemi siłami.
Równego szukam; niech się Fingal podda!
— A komuż z ludzi miecz swój Fingal odda?
Wybierz, którego chcesz z moich mocarzów.
— Takich, jak Fingal, szukam adwersarzów.

Jeśli od ciebie będę zwyciężony,
W wyższéj od innych mogile złożony
Być powinienem; miecz odeślij żonie,
Ten ona, syna piastując na łonie,
Żeby się w wielkie mógł dzieła zdobywać,
Nieraz mu z płaczem będzie pokazywać.
— Młodzianie! pocóż żale wznawiasz we mnie?
Umrzemy, a broń nasza nadaremnie
W przysionkach dzieci będzie zawieszona;
Zaczynaj! miecz twój będzie miała żona!“
Szli zatém Fingal z rycerzem na boje:
Przeciął do razu Fingal tarcz na dwoje,
Prysła w kawałki; tych blask tak przyświeca,
Jak drżące w wodzie promienie księżyca.
„Dobij, Morwenu królu! — zwyciężony
Rzekł rycerz — w bitwie już byłem raniony.
Tu mnie samego ci, co niegdyś strzegli,
I przyjaciele i swoi odbiegli.
Umyślnie na tém miejscu cię czekałem,
Z twojéj walecznéj ręki umrzéć chciałem.
Los mój nieszczęsny; dziś osierocona
Będzie nad brzegiem Lody płakać żona.
— Nie czyń mię sprawcą fatalnéj przygody —
Rzekł Fingal — pragnę byś nad brzegi Lody
Witał się z żoną w domowéj zaciszy.
Twój ojciec stary niech syna usłyszy;
A jeśli widziéć lata mu nie dają,
Drżące cię ręce jego niech szukają.
— Nie znajdą! w piersiach utkwił grot śmiertelny.
Patrz! — wyrwał z rany, i padł rycerz dzielny.
Zapłakał Fingal, zwołał dzieci swoje:
„Sypcie mogiłę, zawieszajcie zbroje,
Od brzegów krętéj, oddalonéj Lody
Niech tu spoczywa wiecznie rycerz młody;
Przyjdzie czas, kiedy pozostałe wnuki,
Darmo się silić będą z jego łuki,
A czując zawód w ręce niedołężnéj,
Nie taki bywał, rzekną, Orla mężny.
Niech się odezwą trąby! Do Swarana
Idźmy; a niechaj uczta pożądana
Osłodzi boje. Oskarze! Fillanie!
Ryno!... Gdzie Ryno? ten, co na wołanie
Najpierwszy z młodzi zawżdy się odzywał?

— Z duchami przodków będzie odpoczywał,
Rzekł Ulin stary: padł na polach Leny.
„Nie masz cię, synu! krzyknął król Morweny,
Synu mój wdzięczny! latorośli młoda!
Gdzież twoja raźność? gdzie twoja uroda?
Okryłeś ojca starego żałobą,
Tylkoś mi zeszedł! pójdę ja za tobą!
Znajdę cię, w wiecznéj gdy spocznę zaciszy!
Już twego głosu żaden nie usłyszy,
Nie ujrzy śladów. Ujął cię sen twardy!
Jeszcze twych pochwał nie śpiewały Bardy!
Ulinie, śpiewaj żale i pochwały,
Ogłoś, jak z wiekiem mocarz doskonały
Stałby się z niego, gdyby śmierć zazdrośnie
Nie ścięła mojéj latorośli w wiośnie!
Spoczywaj wiecznie, o mój synu miły!
Już moje oczy nie będą patrzyły
Na twoje dzieła, dzieła pełne cnoty.
Tyś pierwszy w boju dodawał ochoty,
Tyś się przy ojcu najodważniéj stawiał,
Synu mój! już cię nie będę zaprawiał!
Już cię nie ujrzę!“ — Łzy mówić nie dały,
Płakali bracia, płakał go lud cały,
Wzniósł oczy Fingal, płacząc dziecię miłe.
Postrzegł na boku wyniosłą mogiłę:
„Mocarz tu pewnie, rzekł, jakiś przebywa,
Niech mój kochany Ryno z nim spoczywa.
Ulinie! ogłoś téj raźnéj młodzieży,
Kto był, co w dawnéj téj mogile leży?“
„Sąto najpierwsi z rycerzów walecznych,
Lamdarg z Ulinem w snach spoczęli wiecznych,
A niegdyś sławni w dziełach i ozdobie,
Śpią teraz w grobie.
Cóżto za piękność w obłoku przyśpiesza?
Wdziękiem posępność łagodzi, rozśmiesza?
Córko Tetala, co się w serce wkradłaś,
Dla czego zbladłaś?
Gelkossa wdzięczna gdzie teraz przebywa?
Czyli z rycerzem tu razem spoczywa?
Tyś ich zwaśniła, każdy był życzliwy,
Jeden szczęśliwy.
Lamdarg, ten tylko zyskał serce twoje!
Z srogim Ulfadą odprawiwszy boje,

Przyszedł do Selmy, gdzie cię był zostawił,
Nim się wyprawił.
Płakałaś wtenczas, gdy na bitwę godził,
I Lamdarg prawie od siebie odchodził:
Wrócił twój Lamdarg, uderzył w tarcz brzęczną,
Wołał na wdzięczną:
Ozwij się, piękna! Posępne milczenie.
Ozwij się, piękna! Próżne powtórzenie.
Ucichły Bardy: nawet wierne Brano
Milczy za ścianą.
Ten, który, kiedym Gelkossę nawiedzał,
Przybycie moje szczekaniem uprzedzał,
Brano mój milczy. Gelkossa, gdzieś była?
Ozwij się, miła!
Zapewne, Ferkos rzekł, z towarzyszami
Bawi się w puszczach Gelkossa łowami.
— Nie słychać głosu polującéj tłuszczy,
Po całéj puszczy. —
Poszli do wróżka, co w pieczarze siedział:
Wróżku! powiedz nam, czy nie będziesz wiedział,
Gdzie jest Gelkossa z Kromli, jak w obłoku
W pociesznym kroku? —
Do gmachów Selmy, gdy Ulin przybywał.
Na srogą bitwę Lamdarga wyzywał:
Ustąp Gelkossy ty, coś mi nie zdołał!
Trzykroć zawołał.
Nie masz Lamdarga, Gelkossa mu rzekła,
Ani go straszy zapalczywość wściekła:
Szedł na Ulfada, co go w bitwy woła,
I tobie zdoła.
Rozjadły Lamdarg na takowe wieści,
Poszedł na zwiady, gdzie się Ulin mieści.
Aby go słyszał, otrąbił się w lesie:
Echo głos niesie.
Usłyszał Ulin, i już się raduje,
Że mu ta bitwa zwycięztwo gotuje.
Śpieszy na odgłos, zżyma się i sroży.
Piękna się trwoży.
Trwoży się piękna o swego Lamdarga,
Że się na jego życie Ulin targa.
— Nędzna! może go więcéj nie zobaczę! —
Jęczy i płacze.

Bieży: już w bitwie rycerzów zastała.
Czyjażby mowa to opowiedziała,
Co się tam działo? padł na wierzchu skały,
Ulin zuchwały.
Powraca Lamdarg skrwawiony i zbladły,
Wraca do swojéj, siły go opadły.
Nieprzyjaciela twojegom pokonał!
Rzekł; padł i skonał.
Jęczała nędzna nad kochankiem wiernym,
Jęczała nędzna; a w żalu niezmiernym,
Tegoż, co Lamdarg dnia, i jego miła
Życie skończyła.
Rzekł Fingal. „Niechaj odpoczywa z niemi
Mój syn kochany, a z rycerzy swemi
Nieście i Orli na to miejsce zwłoki!
Niech i on spocznie nad temi potoki!
Niechaj wraz z niemi spocznie rycerz młody.
Płaczcie, Morwenu dziewice i Lody!
Obadwa, jako młode latorośli,
Jak młode dąbki, w cieniu dawnych rośli,
Obadwa padli. Patrz, Oskarze miły,
Jaką ich chwałą dzieła nabawiły!
Bądź tak, jak oni, ale wiekuj dłużéj.
Piękna rzecz sława, kto na nią zasłuży.
Straszna ich postać, kiedy byli w boju,
Ale mój Ryno wdzięczny był w pokoju;
Tak był przyjemny, jak po grzmocie tęcza,
Ozdobném pasmem gdy niebo uwieńcza.
Śpi już na wieki mój kochany Ryno!
I nasze chwile pomału upłyną;
Późniéj, czy prędzéj, i trwożny i śmiały,
Pójdą tam, kędy pokój wiecznotrwały.“
Takeś narzekał nad synem, Fingalu.
Któż pojmie czułość Ossyana żalu,
Gdy ciebie stracił? Nie masz cię, mój ojcze!
Gdzie twe oręże, gdzie groty zabójcze?
Gdzie ów głos wdzięczny, donośny, ogromny?
Zniknęło wszystko; zgrzybiały, ułomny,
Tułam się nędzny pomiędzy zacisze.
Zda mi się czasem, że twój odgłos słyszę,
Szelest to wiatru; do mogiły wracam,
A gdy nie widzę, drżącą ręką macam:

Ze mchu i z zielska twój grobowiec czyszczę;
Smutno potoki mruczą i wiatr świszcze.
Siadł z Ossyanem Gaul wedle Swarana,
Tam kędy uczta była zgotowana;
Ująłem arfę, chcąc cieszyć mężnego,
Alem pocieszyć nie mógł strapionego.
Czylim zaśpiewał, czym na arfie brzęknął,
Swaran strapiony westchnął, albo jęknął.
Na górę Kromli gdy rzuciłem okiem,
Postrzegłem, jako szedł leniwym krokiem
Smutny Kukulin: zwycięztwo Fingala
Wiedział ów mocarz, i kto go ocala.
Lubo go cieszy państwa wybawienie,
Z przegranéj swojéj bolał nieskończenie.
Szedł za nim Konnal; jak dwie groźne chmury,
Zeszli ku dołu, spuszczali się z góry,
Weszli w pieczarę, którą kryją drzewa,
A kręty potok nakoło oblewa.
Liście szeleszczą, wiatr kiedy zahuczy,
Strumyk spadając, na kamyczkach mruczy:
Tam siadł syn Semy z przyjacielem wiernym,
A żalem srodze przejęty niezmiernym,
Płakał na sławę swoję utraconą.
„Gdzieżeś, Bragello? gdzieżeś, miła żono?
Gdybyś go w takim stanie oglądała,
Twoją rozpaczą mękibyś przydała
Mężowi twemu! — Któżto idzie do mnie?
Witaj, Karylu, sławny wiekopomnie!
Twój głos tak wdzięczny, jako arfów brzmienie,
Albo jak rosa, gdy pierwsze promienie
Wypuszcza słońce w poranek pogodny.
Gdzie jest Kukulin? powiedz, Bardzie godny!“
„Tyś pierwszy z Bardów, zacny Ossyanie,
Rzekł Karyl; nieraz na twoje żądanie
Braliśmy arfę, a miłym wyrazem
O Ewralinie śpiewaliśmy razem.
Nieraz i sama nam dopomagała.
Pamiętam, kiedy Kormaka śpiewała,
Płakała wtenczas rycerza młodego,
I chociaż serca nie miała do niego,
Ubolewała jednak nad przygodą.
O! córko Brama, przecudna urodą,

Kogóżby takie łzy nie poruszyły?
Płakał wraz z tobą twój Ossyan miły.
„Przestań, Karylu, nie rozrzewniaj duszy!
Kogóż jéj pamięć słodka nie poruszy?
Nie masz cię, wdzięczna! znikłaś, żono miła!
Smutna cię teraz okrywa mogiła!
Przystępuj ku nam, Bardzie znamienity,
A bądź na chętne żądania użyty,
Wznieś głos twój wdzięczny, głos, co uszy pieści,
Jak wietrzyk ranny, gdy w liściach szeleści."

DUMA VI.

Treść: *Fingal* w nocy daje ucztę dla swego wojska, na któréj znajduje się *Swaran*. Rozkazuje *Ulinowi* śpiewać pieśń pokoju. Ten opowiada dzieła *Trenmora*, pradziada *Fingala*, w Skandynawii, i jego małżeństwo z *Inibaką*, córką króla *Loklinu*, jednego z przodków *Swarana*. Z tego powodu, jako téż, że *Swaran* był bratem *Agandeki*, którą *Fingal* kochał w swojéj młodości, daje mu wolność. *Swaran* czyni przygotowania do odjazdu. *Fingal* pyta się *Karyla* o *Kukulina*: zkąd wypada historya o *Grumalu*. Ze wschodem jutrzenki rusza *Swaran*. *Fingal* bawi się polowaniem i cieszy *Kukulina*, którego spotykają w jaskini *Tura*. Nazajutrz siada na flotę i płynie do Szkocyi. Na tém się kończy poemat.

Grube się chmury pomału toczyły;
Już nocne cienie wierzch Kromli okryły,
Przez mgły zrzedzone gwiazdy się błyszczały,
Wiatry z ogromnym szumem powstawały;
Szelest na puszczy, w dolinach milczenie,
Wszędzie posępne osiadło uśpienie.
A Karyl śpiewał w pośrodku ciemności:
Głos jego wdzięczny, pełen łagodności,
Cieszył nas wszystkich; ćmy nocne szlochały,
I cichym jękiem pieśni powtarzały.
Śpiewał łagodnie Karyl, Bard podeszły,
Jak lekkie młode lata nasze zeszły,
Jak przeszła piękna lat naszych pociecha;
Śpiewał, głos jego powtarzały echa.
I tyś już spoczął, Bardzie znamienity!
Ujął cię twardy sen i niepozbyty.
Duszo szlachetna, na głos jęku mego,
Przybliż się, nawiedź starca strapionego!
Przychodzisz czasem w te dzikie zacisze:

Nieraz na gęśli brzęki w nocy słyszę.
Duch-to twój, lekkim wiatrem uniesiony,
Słabém dotknięciem wzrusza moje strony.
Przemów, objaw mi, kiedy do was pójdę?
Kiedyż trosk moich kresu, kiedyż dojdę?
Milczysz; z szelestem cichym znikła dusza,
A wietrzyk siwe włosy moje wzrusza.
Na wzgórku Mory kupią się rycerze.
Już każdy czaszę uczty w rękę bierze,
Radość na twarzach. Swaran siedział smutny,
Milczy, żal serce przeniknął okrutny:
Jad mu się iskrzy w oczach rozżarzonych,
Jęczy nad mnóstwem rycerzów straconych.
Stał Fingal, kędy zapalone stosy,
A wiatr powiewał siwe jego włosy,
Przy łunie ognia i świetle miesięcznem,
Zaśklnił się blaskiem ozdobnym i wdzięcznym.
Widząc, że smutny był Swaran po boju,
Rzekł Fingal: „Bardy, nućcie pieśń pokoju!
Zacznij Ulinie, osłodź duszę moję.
Czas ustać wrzawie, którą niecą boje:
Niech się do arf Bardy moje śpieszą,
Króla Loklinu niech pieśni pocieszą,
Niechaj się z nami rozstanie przyjemnie.
Nikt jeszcze smutny nie odszedł odemnie."
Rozkaz monarchy Ulin wykonywa,
I przeszłe dzieje wdzięcznym głosem śpiewa:
„Minęły wieki, czas już to jest dawny,
Jak z towarzyszmi puścił się na morze,
Trenmor, Morwenu ów monarcha sławny:
A gdy pieniste wały w biegu porze,
Przez mgły, które się coraz rozrzedzały,
Postrzegł Loklinu i puszcze i skały.
Spuścił natychmiast wzdęte wiatrem żagle,
Zstąpił na brzegi z towarzyszmi swemi.
Wtém zwierz zajadły wypadł z puszczy nagle,
Zwierz straszny, klęski co zdziałał w téj ziemi:
Poskoczył Trenmor, na boje ochoczy,
Padł zwierz do razu i krwią ziemię broczy.
Śpiewały Bardy zdumione tamtejsze
Moc cudzoziemca, śmiałość nadzwyczajną:
Sam go król wezwał na uczty przedniejsze,
I wielbił dzielność już w kraju nietajną:

Trzy dni biesiady i igrzyska trwały,
Brzmiał wszystek Loklin Trenmora pochwały.
Już dnia czwartego zeszły były zorza,
Wsiadł mężny Trenmor na swoje okręty;
Już się gotował puścić wpośród morza,
Wiatrem pomyślnym już był żagiel wzdęty,
Kiedy na brzegu, przecudnéj urody
Stanął naprzeciw niemu rycerz młody.
Sklnił mu się oręż, kołczan pełnostrzały,
Uśmiech przymilał czarne jego oczy;
Wiatry z pięknemi włosami igrały.
Wtém raźno rycerz ku brzegu przyskoczy:
„Stój, krzyknął, jeszcześ méj siły nie doznał,
Jeszcześ się z synem Lonwala nie poznał.“
„Młodzieńcze, co masz postać tak przyjemną,
Rzekł Trenmor: próżno wyzywasz na boje;
Nadtoś jest słaby, nie zrównasz się ze mną,
Na zwierza lepiéj obróć bronie twoje.“
— Nie zejdę z pola, póki broń nie oddasz,
Krzyknął młodzieniec, póki się nie poddasz.
„Zbyt jesteś śmiały, rzekł mu Trenmor gniewny,
Godzieneś kary za twoję zuchwałość;
Kto mnie zaczepia, ten życia niepewny;
Przypłacisz drogo nieroztropną śmiałość.
Osierocona, w bolesnéj utracie,
Nieszczęsna matka będzie płakać na cię.“
— Nie oszczepami, rzekł młodzieniec hoży;
Pójdziemy z sobą na groty, na strzały,
Niech zbroje z siebie król Morwenu złoży,
I ja te zdejmę, co mnie okrywały;
Puść strzałę; przegra, kto z nas pierwszy ranny. —
Wtém postrzegł Trenmor pierś śnieżystą panny.
Siostra to była króla na Loklinie;
Na taki widok mocarz zadumiały
Stanął i wlepił wzrok w pięknéj dziewczynie.
Rzucił swe groty, rzucił łuk i strzały;
Do nóg téj, z którą szedł na bój, poskoczy,
Już go jéj piękne pokonały oczy.
„Królu Morwenu, wtenczas piękna rzekła,
Pozwól, niech na twe okręty się schronię.
Jam tu do ciebie przed Korlą uciekła,
Jego natrętnéj miłości się bronię;

Czuwa on na mnie z swojemi junaki,
Obroń mię, zyskasz serce Inibaki.“
Trzy dni na miejscu stał Trenmor wspaniały,
Trzy dni na bitwę rywala wyzywał,
Echa trąb jego odgłos powtarzały.
Gdy przestraszony Korla nie przybywał,
Dał mu król siostrę, siostrę ukochaną;
Tak zyskał Trenmor zdobycz pożądaną.“
„Jednąśmy krwią, Swaranie, my co bitwy zwodzim;
Rzekł Fingal, pogódźmy się, z jednéj krwi pochodzim;
Nieraz się domy nasze wzajemnie zwaśniły,
Przecież po bitwach, swoich godził pokój miły.
Dawali sobie uczty pradziadowie nasi,
Niechaj promyk wesela twarz twoję okrasi!
Daj się użyć, Swaranie! jak grom wojowałeś,
Wielkie twojéj dowody waleczności dałeś.
Daj się użyć, dopomóż nam miłéj ochoty;
I w przeciwnym wielbiłem szacowne przymioty,
Tém bardziéj w przyjacielu; jutro płyń w daleki
Twój kraj, szacowny bracie mojéj Agandeki!
Widziałem, jakeś dla niéj oczy łzami zalał,
Mściłem się, tyś sam jeden natenczas ocalał.
Jeśli chcesz jeszcze boju, niech się i to stanie,
Wszystkom gotów uczynić na twoje żądanie;
Obieraj broń i miejsce, stawię ci się w słowie.
Tak z mojemi i twoi czynili przodkowie.
Pragnę tego, żebyś mię uznał przyjacielem,
Odjeżdżaj, zacny mężu, odemnie z weselem;
Bądź pełen sławy, chwały dziedzicznéj w twym rodzie,
I świeć twoim, jak słońce w pogodnym zachodzie.“
„Królu Morwenu, nie tak to się stanie,
Skończmy przyjaźnią nasze wojowanie.
Daję ci rękę; w domu ojca mego,
Byliśmy wieku obadwa równego.
Widząc coś działał, mówiłem do siebie:
Kiedy się Swaran tak wsławi w potrzebie?
Przyszedł czas, kiedy już w dojrzałéj porze
Zwiedliśmy owę bitwę na Malmorze;
Bardziéj mię dobroć, niż męztwo zniewala.
Bardy, śpiewajcie zwycięztwo Fingala!
Wielu młodzieńców straciłem w téj dobie;
Co chcesz z okrętów ofiaruję tobie,
Kochaj Swarana!“ — „Chęć twoja życzliwa,

Rzekł Fingal, lecz mi na niczém nie zbywa;
Płyń na okrętach twoich do Gormala.“
„Królu uczt, mówił Swaran do Fingala,
Już nic przyjaźni naszéj nie naruszy!
Pokój i szczęście twéj poczciwéj duszy!
Teraz rycerzów, co uśpił sen twardy,
Pozwól, Fingalu, niech śpiewają Bardy.
Stawmy kamienie, na pamiątkę będą;
A gdy koło nich wnuki nasze siędą,
Przypomną sobie, jakto byli sławni
Fingal i Swaran, mocarzowie dawni!“
Rzekł Fingal: „Sława teraz nasza słynie;
Przejdziemy jednak, a w téjże krainie
Przyjdzie czas, kiedy chwałę wiekopomną
Późni następcy zupełnie zapomną.
Tam, gdzie się męztwo nasze wydawało,
Smutne milczenie będzie panowało.
Przestaną echa brzmieć pieśnią radosną,
Mchem groby nasze i zielskiem zarosną.
Zapomną nawet, gdzie nasze mogiły;
Lecz pieśni Bardów, które nas sławiły,
Te czas przeżyją. Karylu, Ulinie!
Śpiewajcie, niechaj pamięć słodka słynie
Rycerzów naszych.“ — Bardy się ozwały,
Arfy wdzięcznemi brzęki pomagały.
Orzeźwiał Swaran; tak promień księżyca
Miłą jasnością doliny oświeca,
Gdy zejdą ciemne chmury, co go kryły.
„Gdzież jest, Karylu, mój przyjaciel miły?
Rzekł Fingal; gdzie jest mocarz znamienity?
„Kukulin w Tury pieczarach ukryty,
Rzekł Karyl, jęczy nad bitwą przegraną;
Żal osiadł duszę nad zamiar stroskaną.
Nie chce już miecza nosić nadaremnie,
Tobie go, królu, odséła przezemnie;
Bierz, coś mocarzów tchem twoim rozegnał,
Weź miecz, Kukulin z sławą się pożegnał;
Znikła, jak lekka mgła, co wiatr rozwiewa.“
„Niechaj się tego nigdy nie spodziewa,
Rzekł Fingal, abym odzierżał miecz jego;
Niech się śklni w rękach męża walecznego,
Niech tak, jak przedtém błyska się i słynie!
Ta, co ją zyskał, sława nie zaginie.

Nieraz zwycięzca został zwyciężony,
I ty Swaranie, zostań pocieszony;
Kryje niekiedy słońce obłok ciemny;
Wschodzi, natychmiast wraca blask przyjemny."
„Grumal, byłto król Kony, waleczny i żwawy,
Coraz z wojskiem na nowe puszczał się wyprawy:
Widok go krwi orzeźwiał, wrzask wojenny cieszył.
Pewnego czasu z wojskiem w kraj Kraka pośpieszył.
Wyszedł ten zaraz z puszczy, kędy bóstwa błagał,
A gdy się coraz odgłos wojsk Grumala wzmagał,
Wyszedł Krak przeciw niemu. O piękną walczyli;
Kilkakrotnie utarczki z sobą powtórzyli.
Zwyciężył Krak Grumala, pojmał, wziął w łańcuchy,
Osadził w skałach Brunko, gdzie pierzchliwe duchy
Straszne ryki, okropne jęki wydawały.
Opuszczony od wszystkich był przez czas niemały.
Odmienił się nakoniec los, co go uciskał,
Grumal nie tylko wolność, i sławę odzyskał."
Bardy! wzruszenia srogie uśmierzajcie,
Rycerzów w bitwie poległych śpiewajcie!
Kiedyż usłyszę śpiewania podobne,
I dzieła ojców wielkie i ozdobne?
Głuchy las Selmy, o pagórki Kony
Nie obija się głos mile wzniesiony;
Czasy szczęśliwe, jużeście minęły!
I arfy milczą i Bardy usnęły!
Już pierwsze zorza niebo zrumieniło,
Wierzchołek Kromli świtanie odkryło,
Gdy się otrąbił Swaran w polach Leni.
Przyszli rycerze jego zwyciężeni,
W smutnem milczeniu siedli na okręty,
A dobrym wiatrem żagiel mając wzdęty,
Wkrótce wódz z wojskiem z oczów naszych zniknął.
„Gdzie dzieci moje? Fingal na nas krzyknął;
Fillanie! Ryno! ach nie masz cię miły!
Wieczne cię mroki, mój synu, zakryły.
Fillanie, Fergus, otrąbcie się razem,
Niechaj myśliwcy za moim rozkazem
Stawią się, wiedźcie tu moje brytany,
Niech pójdzie Branno, Luat zawołany."
Głosy trąb wdzięcznych po puszczach zabrzmiały,
Echa goniących wrzawę powtarzały,
A Branno lotny, zaciekłszy się w lesie,

Zdobycz myślistwa swego, sarnę niesie.
Złożył trafunkiem na Ryna mogile;
Zapłakał Fingal, a dumając chwilę,
Żałosnym głosem rzekł: „Wcześnie zebrany,
Nie czujesz tego, mój synu kochany!
Miłe rozrywki już cię nie ucieszą!
A gdy myśliwcy w te miejsca pośpieszą,
Niejeden dziką tę knieją przebieży,
Nie wiedząc o tém, że tu Ryno leży.
Gdzie my płaczemy, tam oni wykrzykną;
I my znikniemy, i mogiły znikną!
„Idźmy nawiedzić teraz Kukulina,
Idźmy do Tury. Cóżto za ruina?
Tenżeto zamek, niegdyś okazały?
Wyniosłe jego twierdze spustoszały!
Znać, że pan w smutku: ktoś się zbliża do mnie.“
„Kukulin mężny stawia się przytomnie,
Rzekł Fillan, idzie smutny, niespokojny.“
„Zdrowie, rzekł Fingal, mocarzowi wojny.“
„Zdrowie i szczęście, rzekł Kukulin, temu,
Co się przybliża ku zwyciężonemu:
Nie tak jest miły wdzięk słońca promieni
Tym, co ciemnością byli otoczeni,
Jak ty mnie, królu; dzieci twoje z tobą,
Jak gwiazdy, co są księżyca ozdobą.
Nie takim przeszłe widziały mnie lata,
Kiedy przedemną chronił się król świata.“
Rzekł Konnan, rycerz bez czci i bez cnoty:
„Nadtoś się chwalił z walecznej ochoty.
Gdzie twoje dzieła? słabegośmy wsparli;
Kryj się, my bitwę z Loklińcami zwarli.
Konnan za ciebie na placu się stawił,
Czas, byś broń twoję śmielszemu zostawił.“
„Płochy młodzieńcze! rzekł Kukulin mężny,
Jeszcze się taki nie znalazł potężny,
Któryby z ręku śmiał mi wydrzeć bronie!
Niech się odważy; przed nim się nie schronię;
Choćby i tysiąc uparło się na to,
Śmierć, wstyd i hańba będzie im zapłatą.“
„Milcz, młody! krzyknął Fingal rozgniewany;
Kukulin dawno rycerz zawołany.
Wodzu Insfału, znam ja sławę twoją,
Twoich się ciosów i mocarze boją.

Bądź uczestnikiem naszego wesela;
Pośpiesz do twoich, czeka cię Bragella,
Czeka cię z płaczem, podparta na skale,
Patrzy na morskie odmęty i fale;
Patrzy, a kiedy morze się uciszy,
Rozumie nędzna, że śpiewania słyszy,
Że słyszy arfy na twoim okręcie.“
„Próżno się łudzi na moje przyjęcie,
Próżno wychodzi; tu dni moje skrócę,
Już się do miłej nigdy nie powrócę.
Zwyciężcą zawsze wracałem do domu!“
„I będziesz jeszcze, rzekł Fingal; nikomu
Twoja waleczność nie ustąpi kroku;
Zakwitniesz jeszcze; a jak miłe wzroku
Bujnego drzewa gałęzie się wznoszą;
Tak nowe dzieła twą sławę ogłoszą.“
Siedliśmy zatem na uczcie Fingala.
Okrzyk wesoły tak duszę zniewala,
Iż się Kukulin wzmógł, orzeźwiał z'nami;
Pierzchła troskliwość z smutnemi myślami.
Wznieśli donośnie swe głosy i mile
Ulin z Karylem; i jam w taką chwilę
Wraz z niemi śpiewał, zwycięztwa śpiewałem,
Ja, który teraz sam tylko zostałem;
Sam tylko w puszczy; przeszła dawna chwała!
Żałosna tylko pamięć się została!
Nastał poranek, już zgasnęły zorza,
Wstał Fingal z uczty, zbliżył się do morza.
Wsiedliśmy wszyscy na nasze okręty,
A gdy był raźnym wiatrem żagiel wzdęty,
Do swéj ojczyzny, z miłemi okrzyki,
Płynęły z wodzem mężne wojowniki.

Śmierć Oskara.

Treść: *Karut*, ojciec *Oskara*, opowiada śmierć swego syna i *Dermida*, jego przyjaciela. Nie trzeba go brać za *Oskara*, syna *Ossyana*.

Pocóż, synu Alpina, wznawiać żal doznany?
Poco pytać, jak zginął mój Oskar kochany?
Łez obfitość już światło mych oczów zalała,
Pamięć nieszczęścia mego zawsze w sercu trwała.
Jak ci wodza walecznych zgon smutny oznaczę?
Oskarze! o mój synu! już cię nie obaczę!
Zniknął, jak światłość nocna, lub słońce, gdy burza
Wśród bałwanów wierzchołki Ardandru zachmurza.
A ja, jak ów dąb letni, co w Morwenu lesie
Wypróchniały, za lada wietrzykiem chwieje się,
Więdnieję i usycham przez ustawne płacze.
Oskarze! o mój synu! już cię nie obaczę!
Synu Alpina! mężny nie pada, jak trawa;
Miecz jego krwią się kurzy i krwią się napawa;
Nim legnie, obok z śmiercią miota srogie rany.
Nie doznał téj pociechy mój Oskar kochany!
Oszczep jego zrumienił się krwią przyjaciela.
Nic Oskara z Dermidem węzła nie przedziela.
Tak mocny był ich związek, jak tarcz co zbroiła;
Wśród téj pary walecznéj śmierć zawsze chodziła.
Jak dwie skały Arwenu na hufce padali,
Krzepła krew zwyciężonych na ich mieczów stali.
Na samo ich wspomnienie bledli mężni z wstydem;
Z Oskarem tylko Dermid! a Oskar z Dermidem!
Znękali byli Darga, Darga niecofnego.
Jak zorza pierwiastkowe, jak zmrok dnia cichego,
Jak w blasku swoim miła bywa noc miesięczna:
Tak córka jego była i piękna i wdzięczna.
Oczy jéj, jak dwie gwiazdy, co przez obłok ciemny
Wydawają swój widok, świetny, lecz przyjemny.
Usta słodką skromnością wabiły w uśmiechu,
Wietrzyk ranny powiewał w jéj świeżym oddechu,
Pierś biała, jak śnieg w wiośnie, co gdy ziemię rosi,
Wraz z trawką się nagina, wraz z trawką się wznosi.

Postrzegli ją rycerze, postrzegli ją oba,
A gdy się im, jak sława własna ich podoba,
Oskar zyskał pierwszeństwo. Rzekł Dermid wzgardzony:
„Oskarze! równo kocham, lecz upośledzony
Żyć nie mogę; weź życie.“ — „Czyż śmiesz o to badać?
Rzekł Oskar, żebym ja ci mógł cios śmierci zadać?“
„Ty, odpowiedział Dermid, ty tylko wart tego;
Miecz Oskara stanie się sławą zejścia mego.“
„Nie tak będzie, rzekł Oskar; nie tak będziesz słynął.
Walczmy, bodajbym z ręku przyjaciela zginął!“
Bitwa się wszczęła, straszna bitwa nastąpiła,
Krew ich brzegi potoku Branny zrumieniła.
Padł Dermid, a gdy nad nim Oskar płakał, wzdychał,
On na niego poglądał, w zgonie się uśmiechał.
„Zgasłeś synu Darana! zgasłeś ukochany!
Krzyknął Oskar, z zadanéj ręką moją rany!
Ty, coś nie znał, co trwoga!“ Powtarzając skargi,
Szedł zatém pełen żalu, szedł do córki Dargi.
— Cóżto ci? rzekła piękna. — Utraciłem sławę,
Śmiercią Gormala moję skończyłem wyprawę.
A gdym ku tobie, piękna, z tarczą jego śpieszył,
Stawiłem ją przy drzewie, abym strzałmi przeszył,
I wszystkie nadaremnie w puklerzu zostały.
„Doświadczę, rzekła piękna, na nim mojéj strzały.“
Poszła, on biegł i stanął na tyle puklerza;
Ta, gdy giętki łuk wzniosła, i do celu zmierza,
Żartko z płytkiéj cięciwy gdy strzałę puściła,
Świsła, puklerz wskroś przeszła, w Oskarze utkwiła.
Padł, mówiąc: „Szczęsny łuku, strzało ukochana!
Córko Dargi, z twych ręku śmierć mi pożądana,
Złóż razem z przyjaciela zwłokami i moje.“
„Oskarze, rzekła piękna, śmierci się nie boję,
Z tobą życie zakończę, dla ciebiem go strzegła.“
To mówiąc, własnym grotem przebiwszy się, legła.
Śpią teraz snem wieczystym; a pomiędzy łozy,
Tam, gdzie wiatr chwieje smutne topole i brzozy,
Zacisz ponura w gęstwi ich grobu okrasą,
A trawką ich mogiłek zwierzątka się pasą.

Minwana.

Treść: Ryno syn *Fingala*, który, jakośmy widzieli w poemacie *Fingala*, był zabity w Irlandyi podczas wojny przeciw *Swaranowi*, był mąż znakomity i z piękności i z szybkości w biegu, i z dzieł rycerskich. *Minwana*, siostra *Gaula*, kochała się w *Ryno*. W tym ułomku, pozostałym z długiego poematu, wysławia poeta *Minwanę*, siedzącą na skale, gdy flota *Fingala* powraca z Irlandyi.

Stała smutna Minwana, z twarzą zapaloną,
Na wierzchołku skał Morwen, w morze nachyloną;
Patrzała na rycerzów, którzy ku niéj płyną,
Mówiąc: „gdzieżeś, ach! gdzieżeś, mój kochany Ryno!“
Smutne nasze wejrzenia i zwieszone szyje,
Dały jéj srodze uczuć, iż Ryno nie żyje,
Że już cień jéj kochanka, przez wieczne wyroki,
Uleciał i już buja pomiędzy obłoki.
Głos jego słaby słychać w cichych wiatrów wrzawie,
Na wyniosłych pagórków zielonéj murawie.
„Jakto? już syn nie żyje mężnego Fingala?
Cóżto za mocna ręka, która go obala!
A ja w osieroconym pozostała stanie!
Lecz nie!... Sama Minwana pewnie nie zostanie!
O wietrze! co rozwiewasz moje czarne włosy,
Niedługo z tobą moje mieszać będę głosy;
Trzeba, żebym wraz z Ryno poległa w mogile.
Ach mój drogi kochanku! już te słodkie chwile
Nie wrócą się, ażebyś z pomiędzy parowów,
Okryty wdziękiem wiosny, wracał do mnie z łowów.
Cień grubéj nocy okrył Minwany kochanie,
I wieczne cichość jego zajęła mieszkanie.
Gdzież się teraz podziały twe wierne brytany?
Gdzie łuk giętki i puklerz twój niezmocowany?
Oszczep na nieprzyjaciół klęsce zakrwawiony?
Miecz podobien do chmury, gromem zapalonéj?
Niestety! oto broń twą postrzegam złożoną
Na okręcie, i jeszcze świeżą krwią zbroczoną.
Czemuż ją nie złożyli, mój Ryno, przy tobie?
Ach! czemuż nie spoczywa w jednym z tobą grobie?
Kiedy zejdzie jutrzenka na pogodnem niebie,

Wstawaj młody rycerzu, zawoła na ciebie:
Wstawaj, oto już strzelcy są na polowaniu,
Jelenie wyskakują przy twojém mieszkaniu!
Lecz się oddal, Jutrzenko, skryj twoje promienie!
Śpi Ryno, a na grobie pasą się jelenie.
W samym kwiecie młodości doznał śmierci ciosu;
Zginął, i już nie słyszy więcéj twego głosu.
Ryno! ja się bez wrzasku wcisnę na twe łoże,
I cicho się przy tobie nieszczęsna położę;
Młode mię towarzyszki szukać będą wszędzie,
Lecz daremnie, Minwany na świecie nie będzie!
Pójdą za mych nóg śladem wyśpiewując mile,
Lecz ja was nie usłyszę, wtenczas już w mogile.
O! moje towarzyszki! w śmiertelnéj żałobie
Wraz z Ryno w jednym będę odpoczywać grobie!

Pieśni Selmy.

Treść: Bardowie zgromadzali się corok, jakeśmy powiedzieli w objaśnieniu; śpiewali swoje pieśni, z których wybierano najlepsze, uczono ich dzieci, i tym sposobem przesełano je w potomne czasy. Takowa uroczystość podała *Ossyanowi* rzecz tego poematu. Wysławia w nim poeta Bardów kolejno śpiewających.

Księżycu! światło nocy, co wschodzisz nieznacznie,
Nim się blask twych promieni rozpościerać zacznie,
I na dnie błękitnawém wyiskrzać się pocznie,
Aż się w śkleniu srebrzystém pokaże widocznie;
Cóż cię tu w te spokojne doliny przywodzi?
Po burzy, noc w zaciszy ponuréj nadchodzi,
Szum się morza uśmierzył, już wiatry ustały;
W brzeg skalisty, bałwanów szturmem zapieniały;
Też same lekko biją i nazad wracają;
Motyle, uniesione wietrzykiem, igrają;
Brzęk się bąków i muszek po wrzosach rozchodzi.
Światło nocy, cóż cię w te doliny przywodzi?
Oddalasz się i spuszczasz coraz w twoim locie,
W morze zapadasz; wały w radosnym obrocie
Wiją się wkoło ciebie, i twój warkocz moczą.
Żegnam cię, już niknący spadzistą uboczą.

Blask twój przestał; niechaj się pieśni moich zacznie!
Czuję żem wzruszon — wzrasta — wyiskrza się znacznie —
Widzę cienie w tym blasku — między wzgórki Lory
Snują się na przemiany — już lot biorą skory.
Znam was — cóż widzę? Fingal! Fingal między wami!
Wznosi się między swemi Fingal rycerzami;
A Bardy koło niego, moi towarzysze;
Ulin poważny, odgłos pieśni jego słyszę.
Z nim ów Ryno przezacny, Alpin słodko-głośny,
Minony jęk się wzbija tkliwy i donośny.
Takeśmy, bracia mili, przed laty śpiewali!
Jakżeście teraz insi! jak poodmieniali!
Od owych czasów, kiedy w czułych sławy zyskach
Szukaliśmy pierwszeństwa w Selmie na igrzyskach.
Silił się każdy w pieśniach, jak wietrzyk wiośniany,
Co z innemi po łąkach igra na przemiany;
A wiania przyjemnego ujęte rozkoszą,
Trawki się pochylają i kwiaty unoszą.
   Wpośród tych igrzysk raz weszła Minona,
Twarz oznaczała, iż była zmartwiona.
Łzami się piękne oczy napełniały,
Zaczęła śpiewać, duchy się wzruszały.
Rycerze, czuli na tak słodkie pienia,
Przypominali Kolmy utrapienia,
Gdy tam, gdzie dzika wśród puszczy pieczara,
Płakała rzewnie nad grobem Salgara;
Sama bez wsparcia, bez żadnéj pomocy,
Płakała we dnie, płakała i w nocy.

Pieśń pierwsza Kolmy.

Noc jest, a ja opuszczona!
Na téj skale zostawiona,
Kędy wiatry, burze wiodą,
Grozi chmura niepogodą;
Wody się zewsząd zebrały,
Huczy strumień zapieniały;
A ja sama opuszczona,
Na téj skale zostawiona!

Wschódź księżycu w dolin cienia!
Gwiazdy! wasze zabłyśnienia
Przed wiatry i niepogodą,

Niech mnie do miłego wiodą!
Pewnie, gdzie krynica żywa,
Zmordowany odpoczywa,
A te, co mu towarzyszą,
Koło niego charty dyszą.
A ja sama opuszczona,
Na tėj skale zostawiona!

Czemuż, gdzie krynica żywa,
Mój się Salgar nie odzywa?
Oto już księżyc przyświeca,
Oto strumyk i krynica,
Oto skały i pieczara;
I nie masz mego Salgara!
A ja sama opuszczona,
Na tėj skale zostawiona!

Pomnij, gdzie jest twoja miła,
Ojca, matkę opuściła,
Opuściła je dla ciebie,
I nie ratujesz w potrzebie?
A ja sama opuszczona,
Na tėj skale zostawiona!

Uciszcie się, wiatry srogie,
Cicho płyńcie, zdroje mnogie,
Kręte rzeczki idźcie w ciszy!
Jednak Salgar mnie nie słyszy,
A ja sama opuszczona,
Na tėj skale zostawiona!

Księżyc świeci; nie masz mego,
Nie masz Salgara miłego!
Charty się nie odzywają,
Charty go nie uprzedzają.
Cóż mam czynić nieszczęśliwa!
Ale któż tu odpoczywa?

Czy nie mój brat? czy nie miły?
Czy ich tak prace uśpiły?
Ozwijcie się! — sen ich mroczy,
Miecze leżą — krew je broczy.

Zabił — Przebóg! Co za strata!
Brat Salgara, Salgar brata.

Pieśń druga Kolmy nad Salgarem i bratem.

Bracie! Salgar! równie wdzięczni,
Równie oba kochani!
W piastowaniu broni zręczni,
I w urodzie dobrani;
Przyjacielu! miły bracie!
Gdzieżeście się podzieli?
Czemuż się nie odzywacie?
Snem wieczystym zasnęli!

Ozwijcie się, czułe dusze,
Ozwijcie się wołaniu!
Nie zlęknę się, ani wzruszę
Zbytnim wstrętem w spotkaniu.
Albo wskażcie, gdzie was znajdę,
Paro wdzięczna i miła;
W lasy, skały, przepaść zajdę,
Bym was tylko zoczyła.

Milczą — próżno wiatr szeleści,
Próżno rzeczki szumieją;
Powiększają się boleści,
Zawiedzioną nadzieją.
Nic już sercu nie ulżywa,
Coraz zwiększa się trwoga;
Księżyc w blasku dogorywa,
A ja płaczę nieboga!

Sypcie mogiłę zmarłych, przyjaciele!
I obchód zwłokom ulubionym sprawcie;
Sypcie, z któremi żal mój ciężki dzielę,
A i dla Kolmy tam miejsce zostawcie.
Niech, jak kochała, kiedy była żywa,
Tak i po śmierci z niemi odpoczywa.

Wówczas, gdy zewsząd niebo się zachmurzy,
I obłok gęsty na wzgórkach osiędzie,
Ja tam na skrzydłach uniesiona burzy
Spocznę, i głos mój rozlegać się będzie:

A strzegąc trzody w skał dzikiej zaciszy,
Czuły pastuszek westchnie, gdy usłyszy.

Tak śpiewała Minona, a rumieniec żywy
Osiadał na jéj twarzy wdzięcznéj, urodziwéj.
Myśmy, płacząc, milczeli w czułém rozrzewnieniu.
Wtém wszedł Ulin poważny; w słodkiém arfy brzmieniu
Przerażający serca odgłos wydobywał,
Pieśni Ryna, a z niemi Alpinowe śpiewał.
Obudwóch śmierć już była z żywota wyzuła;
Głos Alpina był wdzięczny, dusza Ryna czuła.
Śpiewał ich pieśń, gdy razem z sobą polowali,
I nad śmiercią pierwszego z mocarzów płakali.
Morar-to był, przyjaźnią co Fingala słynął,
Mocny, jak miecz Oskara, w kwiecie wieku zginął.
Płakał ojciec i siostra Minona płakała;
Ta, skoro imię brata swego usłyszała,
Jak się księżyca postać, przyjemna i miła,
Kryje w obłok przed burzą, przed nami się kryła.

Ryno.

Wiatry się ciszą i deszcze ustały,
Dzień się w południe ukazuje miły;
Łączą się chmury, które powstawały,
I wzmagają się, aby dzień zaćmiły.
Zmyka się z wzgórków blask słońca wspaniały,
Z wzgórków, przy słońcu co się zieleniały;
Z obrosłych szczytów skalistéj opoki,
Huczą spadając zebrane potoki.
Potoki bystre! wasz szelest mnie cieszy;
Wdzięczne go echo po skałach roznosi.
Dźwięk się odbitém powtarzaniem śpieszy
Alpina, kiedy tkliwie nucąc głosi,
Jak zniknął Morar wśród przyjaciół rzeszy.
Pytam się: starcze, co cię tak unosi?
Powiédz, dlaczego twój jęk, jako skały,
Gdy w nie gwałtowne fale uderzały?

Alpin.

Z łzami grób Morara wieńczę,
Głos mój zmarłych wspomina.

Nie wynoś się, o młodzieńcze,
Żeć się pora zaczyna!
Równe losy twoje będą,
Jeśli nieba przeznaczą;
Na twym grobie gdy usiędą,
Przechodzący zapłaczą.

Owe wzgórki, gdzieś przebywał,
Nie będą cię widziały!
Łuk, z którymeś dokazywał,
Legnie, legną i strzały.
Tym był Morar; jeleń w biegu,
Gwiazda w wdzięku, grom w gniewie;
Doszedł wiecznego noclegu,
I już o nim nikt nie wie.

Gdy głos wznosił, straszył rzesze,
I mocarze zadrżeli.
Łagodny był ku pociesze,
Gdy wdzięcznego ujrzeli.
Tak po grzmotach i powodzi,
Wraca słońce za ciszą,
Tak w upałach wietrzyk chłodzi,
Gałązki się kołyszą.

Jakżeś teraz odmieniony,
Ukochany Morarze!
Wśród zaroślin utajony,
Odpoczywasz w pieczarze;
Jawor cię kryje, wieczysty
Cień osłania topoli;
Po dolinie krzemienistéj
Mruczy strumyk powoli.

O Morarze, jakżeś zniknął!
Uwiądł nasz szczep zbujały;
Ojciec nędzny, jęcząc, ryknął,
Siostry rzewnie płakały.
Matka!... O płodzie wybrany!
To jéj zmarłéj ulżyło;
Iż kiedy legł ukochany,
Już jéj wtenczas nie było.

Cóżto za starzec na kiju się wspiera?
Wiek zśnieżył włosy, i ledwo przeziera
Ponurym wzrokiem, a oczy nabrzmiałe,
Od płaczu znikłe i zaczerwieniałe.
Ach! ojciec to twój, Morarze kochany!
Ojciec nieszczęsną przygodą stroskany;
Niegdyś otoczon wesołym orszakiem,
Dziś nędzny płacze nad swym jedynakiem.
Niegdyś, gdy słyszał o synowém męztwie,
Młodniał staruszek po każdém zwycięztwie;
Znika już teraz w płaczu nieustannym,
Nie wiedział nawet, kiedy był syn rannym.

Płacz, nędzny ojcze! płacz w smutnéj zaciszy,
Lecz płaczu twego syn miły nie słyszy!
Nieprzebudzonym już snem odpoczywa,
Mchem go porosły grobowiec okrywa.
Już nie usłyszy głosu ojca swego,
Nie wnijdzie światło już do domku jego.
Raz legły, więcéj już się nie obudzi.
Żegnam cię z płaczem, najmężniejszy z ludzi,
Żegnam na wieki! — Gdzież wieść bitwy twojéj?
Gdzie ów blask świetno-błyszczącéj się zbroi?
Łuny z niéj straszne puszcze oświecały;
Jakież się twoje pamiątki zostały?
I synaś nie miał, coby cię nam zjawił!
Alem ja został, ja cię będę sławił;
Alpin w żałobnym dajeć pieśni darze,
Te ciebie wiekom podadzą, Morarze.“

Śpiewał Alpin, a każdy z nas stał, jak zmartwiały,
Lecz łzy z oczu Armina rzęsiste padały.
Postać syna natychmiast w myśli mu stanęła;
Karmor starzec był przy nim, litość go ujęła.
Arminie, rzekł, czas już te jęczenia porzucić,
Wielbią twego Morara, pocóż się już smucić?
Dźwięk słodki pieśni, gdy się przysłuchują czuli,
Zwalnia ciężkie jęczenia, i płacz rzewny tuli.
Tak mgła, gdy się z jeziora podnosi nieznacznie,
I snuje nad doliny, nim się wzbijać zacznie,
Niknie potém; a rosy zbawienne i miłe
Krzepią trawy zwiędniałe i kwiaty pochyłe.
Rządzco Gormy! już czas te jęczenia porzucić!

Armin.

Jestem smutny, Karmorze, i będę się smucić.
Snadno tobie uśmierzać płacz, który się wszczyna!
Nie straciłeś ty córki, nie straciłeś syna;
W oczach twoich, nadobnych dzieci stoi para,
Widzisz piękną Anirę, dzielnego Kolgara.
Armin już zgasł, sam został z Minoną bez syna.
Dauro! tyś potém była łez moich przyczyna.
Córko kochana! kiedyż z twojego uśpienia
Wstaniesz? niech jeszcze ojciec słyszy twoje pienia.
O nocy nieszczęśliwa! dmijcie wiatry mroźne!
Powstańcie! szturmy wasze porywcze i groźne
Niech się dadzą usłyszyć! Potoki burzliwe!
Toczcie z hukiem spadania wasze popędliwe,
Niechaj chmura okropném ponawianiem błyska,
Niech grom dębów wierzchołki zapala i pryska;
A księżyc wybledniały, gdy się wzmaga burza,
Sili się z chmur wydobyć i znowu w nie nurza!
O nocy nieszczęśliwa! wówczas, gdyś się wszczęła,
Padł mój Morar, padł Armar, i Daura zginęła.
Nie tak gwiazda jest miła błyskaniem promyka,
Jak ty, Dauro! twój oddech, jak świeżość wietrzyka.
Nie tak straszliwy obłok, zkąd piorun uderza,
Jak blask, synu kochany, był twego puklerza!

Armar, wódz mężny, Daurę był polubił,
Godzien był Armar, aby jéj poślubił;
Przyrzekłem. Pragnął Erat, syn Odgala
Podejść Armara; zemsta gdy zniewala
Za to, iż Armar brata jego zabił;
Postać więc swoję na pozór osłabił,
Zmyślił siwiznę; a widząc, iż chodzi
Nad brzegiem Daura, tam płynął na łodzi,
I rzekł jéj: na téj, co wśród morza, skale,
Armar cię, piękna, wzywa poufale.
Mnie przysłał, abym zawiózł cię do niego.
Siadła na czółno do Armara swego.
Przewiózł ją Erat, a gdy go wołała,
Już łódka zdrajcy nazad odpływała;
A on gdy brzegów, zkąd ją wziął, dosiągał,
Z jéj się wołania i płaczu urągał.
Woła na ojca, brata, nieszczęśliwa,

I brat i ojciec, jéj się nie odzywa.
Brat szedł brzegiem, wpadł na bieżącego
Ku siostrze brata; ten zdrajcę onego
Pokonał łatwo, i śpieszył ku łodzi.
Armar w tym punkcie gdy właśnie nadchodzi,
Słysząc głos Daury, mniemał, iż kto płynął,
Uwiózł mu Daurę; więc chcąc, aby zginął,
Puścił nań z łuku natężoną strzałę.
Trafił w Morara; a ręce zmartwiałe
Chwiejąc się, w wodę upuściły wiosło.
Morze łódź z bratem do Daury przyniosło;
Padła. To Armar skoro tylko zoczył,
Chcąc ją ratować, z brzegu w morze skoczył,
I równie zginął; równie jego zwłoki
Przybiło morze pod owe opoki;
Gdzie skoro nędzna oczy otworzyła,
Razem z swym miłym brata obaczyła.
Nadbiegłem; ale łyskania i grzmoty,
Szum spienionego morza i łoskoty,
Broniła przejścia okropność straszliwa;
Słychać niekiedy było, iż mnie wzywa;
Ratować trudno. Wtém gromy ustały,
A gdy się zmniejszać fale zaczynały,
Wsiadłem na łódkę; gdy w brzeg przybijałem,
Daurę, ach Daurę! już martwą zastałem.
Nocy straszliwa! odtąd, kiedy burza
Owę nieszczęsną wyspę w wałach nurza;
Ilekroć tylko tę skałę zobaczę,
Tylekroć syna, córki, zięcia płaczę.
Wielekroć razy uciszą się fale,
A księżyc spuszcza promienie ku skale,
Tylekroć jasność owego promienia,
Daje mi widzieć dzieci moich cienia.
I zdaje mi się, iż się przechadzają,
I ojca swego może wspominają.
Dzieci! macie mnie przed sobą przytomnie,
Dzieci kochane! ozwijcie się do mnie!
I mamże jęki moje płaczliwe porzucić,
Karmorze! jestem smutny i będę się smucić.
Takie bywały Bardów w Selmie pienia.
Fingal wraz z nami dzielił rozrzewnienia;
Z okolic ku nam wszyscy się zbiegali,
I czułość naszych pieśni wysławiali.

Byłem ja z niemi, wraz z niemi śpiewałem;
Zgrzybiały starzec sam teraz zostałem.
Jeszcze, gdy wietrzyk liściem zakołysze,
Zda mi się słyszyć moje towarzysze,
I chcę zanucić; ale głos ustaje.
Wiek woła: porzuć dawne obyczaje!
Już śpiewać przestań, czas śpieszyć za niemi!
Już spocznij razem z towarzyszmi twemi!
Upadający, niknący widocznie,
Ossyan czeka, rychło-li odpocznie.
Przeszli rycerze, przeszły i śpiewaki,
Jak odgłos szumów morza wieloraki,
Gdy w brzegi silnie uderza i nurzy,
Brzmi ciągle w skałach po gwałtownéj burzy;
A żeglarz, zdala płynący zaciszą,
Widzi, jak jeszcze drzewa się kołyszą.

Opisanie

NOCY MIESIĄCA PAŹDZIERNIKA NA PÓŁNOCY SZKOCYI.

Treść: Pięciu Bardów zgromadzonych w nocy u dowódzcy, który sam jest poetą, wychodzą kolejno, zważają odmiany atmosfery, i powróciwszy, opisują, co widzieli.

Bard pierwszy.

Noc ponura, noc smutna, mgły na górach wiszą,
Szum drzew słychać zdaleka, wiatry je kołyszą.
Skrył się księżyc, gwiazd nie znać, a potoki mruczą,
Po wyniosłych wierzchołkach drzew puhacze huczą;
A gdzie ciemne grobowców wśród gęstwi pieczary,
Tułają się okropne straszydła i mary.
Jedna z nich tam już zmierza, gdzie bywać przywykła;
Snuje się lekka postać, rzednieje i znikła;
Pewnie komuś z rycerzów rokuje widocznie,
Iż i on zwykłym torem tam zajdzie i spocznie.
Pies się w chacie odzywa, jeleń śpi na wrzosie;
Łani tuż koło niego, strwożona w odgłosie,
Porywa się, ogląda i kładzie się znowu;
Wśród skalistego sarna ciśnie się parowu.

Po krzewinach tają się zajączkowie czuli,
A jarząbek pod skrzydła głowę swoję tuli.
Zbłądził w ciemni podróżny, i znużon drży w lesie.
Przez skały się przedziera, a przysłuchuje się,
Przebywając mokrzydła, pnąc się na opoki,
Gdzie mruczy kręty strumień, gdzie szumią potoki.
Jęczyć zdaje się jawor, rozłożysty, stary,
Gdy nań natrze moc wiatrów, chwiejąca konary;
A coraz powtarzając silne swoje przyjścia,
Splotłe łamie gałęzie, zżółkłe miota liścia.
Noc mglista, ciemna, wietrzna, strach, śmierć w oczach stoi;
Wspomóżcie mię, ratujcie, przyjaciele moi!

Bard drugi.

Wiatr się wzniósł, deszcz nadchodzi i wyją ćmy nocne;
Z trzaskiem drzewa padają, a zawiasy mocne
Pękają się i biją w odrzwi połamane;
Lecą z gór przed powodzią źrebce rozhukane,
Ryczy bydło nad brzegiem, który rwą potoki;
Drą się kozy na skałę, pomiędzy opoki;
Woda się mętna pieni, a podróżny w zgonie
Opiera się nawałom, pogrąża i tonie.
Czy słyszycie, jak woła? Strzelec w szczupłym domku
Roznieca zgasły płomień w spróchniałym ułomku;
Mchem, jak może, zatyka rozdwojone szpary;
Tulą się koło niego przemokłe ogary.
Już powódź krąży chatę, i we drzwi się ciśnie.
Pasterz zlękły wygląda, rychło zorza błyśnie,
A z dachów zmokłych zlecą ulewy kropliste.
Ciszy się przecię burza, już mgły przezroczyste;
Ale nowa sroży się, w okropności swojéj;
Wspomóżcie mię, ratujcie, przyjaciele moi!

Bard trzeci.

Świszcze wiatr w opoczystych skały rozpadlinach,
Zgina trawy i huczy w krzakach po dolinach.
Sosny padają, jodły wyniosłe druzgota,
Trzęsie chaty i dachy nizkiemi pomiota.
Pędzą czarne obłoki, chmura groźna błyska,
Blaski wróżą śmierć, piorun dąb zwiędły rozpryska.
Cóż to jest? co ja widzę w żałobnym ubiorze?

Jezioro bije w skałę; czółn, co wody porze,
Chwieje się wśród bałwanów; pasterka wygląda,
Czy przypłynie, którego przypłynienia żąda,
Ukochany pastuszek? Widziała czółn jego,
Smutna płacze nad losem kochanka swojego.
Widzi czółn skołatany, co na brzeg zawinął,
Ach! czy nie ten, na którym ukochany płynął?
Głos się jakiś jękliwy unosi zdaleka,
Płacze, ach! czy nie tego, na którego czeka!
Łoskot się, jak od gradu, przeraźliwy wszczyna,
Wiatr ucichł, śniegiem spadłym bieli się dolina;
Czas mroźny niezadługo w szron drzewa przystroi;
Wspomóżcie mię, ratujcie, przyjaciele moi!

Bard czwarty.

Noc spokojna i czysta, na dnie błękitnawém
Żarzą się śklniące gwiazdy promieniem jaskrawym,
Ucichły wiatry, skryły za góry obłoki,
Księżyc oświeca skały, lasy i potoki.
Niegdyś trwożne, zbierają, przyśpiewując chłopy,
Rozrzucone po polach gałęzie i snopy.
Noc cicha, noc przyjemna; w tém, gdy patrzam, zoczę,
Zbliża się biała postać; czarne jéj warkocze.
Ach! córka to jest wodza, co ją noc uśpiła.
Przystąp ku nam, o piękna! zbliż się do nas, miła!
Tyś niewoliła wodze, wodze nasze mężne;
Unoszą się, i pełzną cienie niedołężne.
Noc pogodna i jasna rzeźwi i spokoi;
Pozwólcie się ucieszyć, przyjaciele moi!

Bard piąty.

Cichość teraz, lecz przyjściem grozi straszna burza.
Księżyc blady, swój okrąg w obłoku zanurza;
Blask się jego z pagórków umyka nieznacznie,
Słychać łoskot zdaleka, wkrótce grom się zacznie.
Strzelec budzi ogary, te śpieszą do niego,
Idzie w czaty, na zwierza już upatrzonego.
Czekając, rychło zorza zaśklnią w swéj postawie,
Rzeźwi mdłe członki, drzémiąc na miękkiéj murawie.
Już światłość gwiazd przygasła, księżyc skrył za skały,
Zbliżają się obłoki, co na dal błyskały;

Nim grom dzielny przerzedzi chmury i rozdwoi,
Wspomóżcie mię, ratujcie, przyjaciele moi!

Wódz Bardów.

Pocóż nucić, obłoki że po skałach wiszą,
Że drzewa gałęziste wiatrem się kołyszą?
Że ćmy nocne bujają w rozwlekłéj dolinie?
Że potok zapieniony bystrym pędem płynie?
Że grom pryska z obłoków, i po lasach broi?
Że podróżny błyskawic i grzmotów się boi?
Noc ucieka, dzień młodnie za rannèm świtaniem;
My raz zeszli; gdy legniem, już więcéj nie wstaniem.
To miejsce, gdzie śpiewamy, kiedy wieki zajdą,
Pokolenia następne, kto wié, czyli znajdą.
Będą się starych pytać, gdzie te były domki,
Których w ziemi zakryte ostatnie ułomki?
Podnoście głos, o bracia! i w arfy zagrajcie,
Czaszą radości w okrąg ducha orzeźwiajcie!
Niech oświecą swym blaskiem to miejsce kagańce!
Pasterze i pasterki, zaczynajcie tańce!
Niech nam prawi Bard starszy ojców naszych dzieła,
Dzieje wodzów, śmierć których snem twardym zajęła!
Niech smutnéj nocy tęskność, ucztą naszą złudzim!
Pójdziem przed zorzą, w puszczy jelenie pobudzim.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS RZECZY.

BAJKI I PRZYPOWIEŚCI.

Część pierwsza.

Część druga.

BAJKI NOWE.

Część pierwsza.

Część druga.

Część trzecia.

Część czwarta.

SATYRY.

Część pierwsza.

Część druga.

LISTY.

POEZYE.

WIERSZE RÓŻNE.

Część pierwsza.

Część druga.

PIEŚNI OSSYANA.